



PETER V.  
BRETT

PUSTYNNNA  
WŁÓCZNIA

JEDNOŚĆ JEST WARTA KAŻDEJ CENY WE KRWI



fabryka słów  
www.fabrykaslow.pl

# Opowieść Maricka

333 ROK PLAGI, ZIMA

Gdy jeźdźcy odnaleźli uchodźców, panowały już całkowite ciemności. Była ich piątka, dokładnie tak, jak mówiła zrozpaczona kobieta. Stali w zaimprovizowanym runicznym kręgu otoczonym przez hordy otchłańców. Ogniste demony ziały płomieniem, a ich wichrowi kuzyni co rusz nurkowali z nieba, wsparł ich nawet ogromny demon skalny.

Za każdym razem, gdy któryś uderzył i runy rozjarzały się blaskiem, Rojer widział szczeliny w barierze, na tyle szerokie, że demon dałby radę się przecisnąć. Dwóch młodych mężczyzn próbowało odpędzić potwory widłami, a para starszych ludzi zajmowała się tym, co bez wątpienia opóźniło ucieczkę nielicznej grupki. Młoda kobieta właśnie rodziła dziecko.

Naznaczony warknął i popędził ogiera, znów wyprzedzając resztę. Odrzucił szatę, opadła na ziemię daleko za nim. Gared i pozostali Rębacze z rykiem rzucili się do boju, wznosząc w galopie runiczne topory.

Naznaczony nakierował Nocnego Tancerza prosto na skalnego demona. Wzmocnione runami stalowe szpice, przyspawane do pancerza chroniącego koński łeb, aż zaskwierczały od magii, przebijając czarne łuski na brzuchu otchłańca. Demon został odrzucony, a Naznaczony zeskoczył z siodła, złapał stwora za róg i tłukł pięściami w runicznych rękawicach po gardzieli, aż przeciwnik w końcu padł.

Naznaczony zaś poderwał się w okamgnieniu, dopadł ognistego demona i oderwał mu żuchwę. W tej samej chwili między otchłańce wpadli Rębacze, przechwytyjąc ogniste splunięcia runicznymi tarczami i rąbiąc demony niczym bale drewna.

Wonda i pozostałe łuczniczki włączyły się do bitwy. Zatrzymały wierzchowce kilkadziesiąt jardów za walczącymi, ściągnęły z pleców broń i wycelowały w górę. Wkrótce zaświstały pierwsze strzały i wichrowe demony jeden po drugim zaczęły spadać z nieba, z ich skórzastych ciał sterczały lotki pocisków.

Rojer ześlizgnął się z siodła i pozostawił konia przy wierzchowcach łuczniczek. Ruszył pędem do niewielkiego kręgu, grając już w biegu. Podobnie jak wykonany przez Leeszę Płaszcz Ślepoty, muzyka czyniła go stosunkowo niewidzialnym dla otchłańców i bez przeszkód przemknął przez ich szeregi. Chwilę później znalazł się już wewnątrz kręgu i natychmiast zaczął wygrywać ostre, zgrzytliwe dźwięki, by odegnać demony precz.

Młoda kobieta wrzeszczała ze strachu, widząc walczących i czarną juchę otchłańców bryzgającą w nocnym powietrzu. Jej rodzice starali się zapewnić córce wygodę, jednakże widać było po ich niezdecydowanych ruchach, iż nie mają pojęcia, co robić przy porodzie.

– Ona potrzebuje pomocy! – wykrzyknął Rojer. – Musimy ją zabrać do Zielarki!

Naznaczony oderwał się od demonów, które związał walką, i w jednej chwili znalazł się u boku Rojera. Odziany był jedynie w przepaskę biodrową, a jego wytatuowane ciało zbryzgane było demonią posoką. Rizończycy cofnęli się ze strachem, ale targana boleściami dziewczyna nawet go nie zauważyła.

– Pędź po moją sakwę z ziołami – polecił skrzypkowi, po czym klękawszy przy rodzącej, zbadał ją z zaskakującą delikatnością. – Odeszły jej wody, a skurcze są coraz częstsze. Nie ma czasu na poszukiwanie Zielarki.

Rojer podbiegł do Nocnego Tancerza, ale owładnięty szalem bitewnym rumak miotał się dziko, wbijając parę ognistych demonów w śnieg i błoto. Minstrel narzucił swój płaszcz na ramiona i znów ujął skrzypce. Jego szczególna magia działała w tym samym stopniu na demony co na zwierzęta, nie trzeba było długo czekać, by rumak się uspokoił, a Rojer mógł pospiesznie ściągnąć sakwę z ziołami.

Bezwłocznie przyniósł ją Naznaczonemu, który bez chwili wahania zaczął je ucierać i mieszać z wodą. Rodzice rodzącej trzymali się z daleka, przyglądając mu się z przerażeniem, a tymczasem Rębacze szerzyli zniszczenie wśród demonów.

– Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? – zapytał nerwowo Rojer, gdy Naznaczony ostrożnie wlewał miksturę w usta jęczącej kobiety.

– W trakcie szkolenia na Posłańca przez sześć miesięcy uczyłem się u Zielarki – odparł. – Widziałem, jak to się robi.

– Widziałeś? – zapytał Rojer.

– Co, a może sam chcesz się tym zająć? – Naznaczony zmierzył go ostrym spojrzeniem. Rojer pobladł i pokręcił głową. – To bierz te swoje cholerne skrzypki i graj, żeby przynajmniej demony dały nam spokój.

Rojer posłusznie złapał za smyczek.

Kilka godzin później, gdy odgłosy bitwy wreszcie ustały, ciszę nocy przerwał głośny płacz dziecka. Rojer spojrział na rozwrzeszczane maleństwo i uśmiechnął się.

– Teraz to już się nie wyprzesz, gdy ludzie będą cię nazywać Wybawicielem – oznajmił.

Naznaczony spojrział nań krzywo, ale Minstrel tylko się roześmiał.

\* \* \*

Leesha niosła parującą tacę po schodach tawerny Smitta, a jej serce biło szybko i nerwowo. Pomysł oddania się Marickowi, którego rzeczywiście uważała za przystojnego i inteligentnego, przyszedł jej już dwukrotnie do głowy, ale za każdym razem w kluczowym

momencie rezygnowała. Nie mogła się bowiem oprzeć wrażeniu, że Posłaniec przedkłada własne potrzeby nad jej, o ile w ogóle jej potrzeby dla niego istniały.

Lecz matka miała rację. Zresztą należało przyznać, że w podobnych sprawach często miewała rację, nawet jeśli wykorzystywała swą wiedzę tylko po to, by docinać innym.

Leesha miała już dosyć życia w samotności, a w głębi serca czuła, że Arlen nigdy tej pustki nie wypełni. Po raz kolejny pożałowała, że nie zastąpił go Rojer, lecz wiedziała, że to absolutnie niemożliwe. Kochała Minstrela, ale nie pociągał jej, nie umiała wyobrazić ich sobie razem w łóżku. Marick zaś udowodnił ludziom z Fortu Rizon, że jest mężczyzną, na którego można liczyć w chwili próby. Być może nadszedł czas, by zapomnieć o jego błędach z przeszłości.

Leesha wygładziła suknię i zaraz poczuła się głupio. Odepchnęła to uczucie i zapukała do drzwi.

– Tak? – zapytał Marick, otwierając. Nie miał na sobie koszuli, a jego skóra była mokra, właśnie wyszedł z gorącej kąpieli w balii. Na widok Leeshy szeroko otworzył oczy.

– Nie chciałam ci przeszkadzać – powiedziała. – Pomyślałam sobie, że może zjadłbyś coś ciepłego Przed snem.

– Ja... Znaczy się tak, dziękuję! – Marick złapał tunikę i naciągnął na grzbiet. Leesha taktownie odwróciła wzrok, ale przed oczami nadal miała jego muskularne ciało.

Posłaniec wziął od niej tacę i odłożył na niewielki stolik przy łóżku, głęboko wciągając zapachy potraw. Uniósł pokrywkę i ujrzał porcję soczystego mięsa z ostro przyprawionymi ziemniakami i ugotowanymi na parze warzywami.

– Wkrótce w Zakątku zrobi się krucho z jedzeniem – rzekła Leesha. – Lecz zapasy Smitta wystarczą jeszcze na tę noc.

– Po prawie dwóch tygodniach spania w śniegu już samo łóżko wydaje się królewskim darem – odparł Marick. – To zaś wygląda mi na prezent od samego Stwórcy!

Z zapalem zabrał się do pałaszowania, a Leesha odkryła, że przyglądanie się, jak mężczyzna pochłania posiłek, który osobiście przygotowała, sprawia jej osobliwą przyjemność. Mgliście pamiętała podobne odczucie z czasów, gdy byli sobie przyrzeczeni z Garedem i kiedy po raz pierwszy przygotowała mu posiłek, teraz odniosła jednak wrażenie, że wszystko to miało miejsce sto lat temu, zgoła w innym życiu.

– Pyszne było – oznajmił Marick, ocierając usta rękawem.

– To tylko skromne podziękowanie za to, czego dokonałeś – odparła Leesha. – Przywiodłeś tych ludzi do bezpiecznego miejsca. Pomogłeś im, gdy znaleźli się w prawdziwej potrzebie.

– Chociaż ciebie zawiodłem? – zapytał.

Leesha spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Rok temu, gdy dowiedziałas się, że w Zakątku szaleje choroba, i natychmiast musiałaś wracać do domu, zażądałem... Zażądałem nieuczciwej ceny za swoje usługi.

– Marick... – zaczęła łagodnie Leesha.

– Nie, daj mi dokończyć. Gdy jechaliśmy do Angiers, byłem w tobie zadurzony po uszy. Ba, sądziłem nawet, że przed upływem roku będziemy razem niańczyć dzieci. Ale wtedy w namiocie, gdy nie mogłem... No, nie mogłem być mężczyzną przy tobie, ja...

– Marick... – odezwała się ponownie Leesha.

– Myślałem, że oszaleję – ciągnął Posłaniec. – Poczułem, że muszę wyjechać gdzieś daleko, jak najdalej od ciebie, ale gdy tak uczyniłem, okazało się, że nadal nie mogę przestać o tobie myśleć, nawet gdy... Gdy spałem z innymi kobietami.

Odwrócił wzrok.

– Lecz gdy ujrzałem cię znowu – ciągnął – poczułem, że coś się we mnie burzy. Chciałem zatuszować tamte niepowodzenia, i to jak najszybciej, zanim coś mi znowu przeszkodzi. Potraktowałem cię niesprawiedliwie i przykro mi z tego powodu.

Leesha położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie jestem dzieckiem – powiedziała. – Jestem za to wszystko odpowiedzialna w tym samym stopniu co ty.

W jej słowach było więcej prawdy, niż się domyślał, lecz Leesha poczuła wstyd i przerażenie z powodu tego, co zrobiła. Wtedy, na trakcie, wydawało jej się, że postępuje słusznie i cnotliwie, lecz w rzeczywistości podała Marickowi zioła dla własnej wygody, nie przejmując się, że ten postępek zostawi głębokie ślady w psychice mężczyzny. Może Rojer miał rację, że Leesha bardziej przypominała swoją matkę, niż chciała to przyznać.

– Miło mi, że to mówisz – rzekł Marick i uścisnął jej dłoń. – Niemniej oboje wiemy, że prawda wygląda inaczej. Cieszę się, że udało ci się dotrzeć do domu. Cieszę się też, że nie musiałaś zapłacić za to cnotą.

Leesha już się pochylała ku niemu, lecz słysząc te słowa, wzdrygnęła się, gdyż Marick się mylił. W istocie zapłaciła za tamtą wyprawę cnotą, zabraną przemocą przez bandytów – cena za wędrowkę bez odpowiedniej eskorty. A wszystko to przez brak cierpliwości Maricka i jego nieumiejętność myślenia o innych.

Mężczyzna jednakże nie wyczuł zmiany w zachowaniu towarzyszkii. Zachichotał tylko i pokręcił głową.

– Nie mogę wyjść z podziwu, jak rządysz Zakątkiem! Co się stało z tą łagodną dziewczyną, która potrafiła zawrócić w głowie każdemu napotkanemu mężczyźnie? Przez jedną noc stałaś się Wiedźmą Bruną! Założę się, że nawet otchłańce się ciebie boją.

Wiedźmą Bruną? Czy tak ludzie ją teraz postrzegali? Mieli ją za samotną wariatkę, która gnębiła i zastraszała każdego człowieka w mieście? Czyżby Leesha stała się właśnie kimś takim, po tym jak przemocą odebrano jej cnotę?

Jej matka również wyczuła tę zmianę.

„Nie tak sobie wymarzyłam chwilę, kiedy stracisz swój wianek, ale czas był już najwyższy i spodziewam się, że czegoś się nauczyłaś”, powiedziała.

Leesha potrząsnęła głową, by odpędzić natrętne myśli, czując, że chwila bliskości powoli znika.

– Co teraz planujesz? – zapytała. – Pomożesz nam w szukaniu i eskortowaniu kolejnych uchodźców, czy może masz zamiar zabrać swoją grupę prosto do Angiers?

Marick spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Ani to, ani to – rzekł.

– Jak mam to rozumieć?

– Rizończycy są już bezpieczni, a więc pora, bym ruszył naprzód. Księżę musi się dowiedzieć o ataku Krasjan, a pomoc, jakiej udzieliłem uchodźcom, wystarczająco mnie spowolniła.

– Spowolniła? – powtórzyła Leesha. – Przecież życie tych ludzi zależało od ciebie!

Marick pokiwał głową.

– Nie mogłem porzucić tych ludzi na szlaku. Teraz jednakże są bezpieczni. Ja zaś nie jestem Rizończykiem i nie ponoszę za nich odpowiedzialności.

– Ale Zakątek Wybawiciela nie może pomieścić aż tylu uciekinierów! – wykrzyknęła Leesha.

– Zamelduję o tym księciu – wzruszył ramionami Marick. – Niech to będzie jego problemem.

– Przecież to nie problem, Marick! To ludzie! Ludzie z krwi i kości!

– A czego się po mnie spodziewasz? – zdziwił się. – Że poświęcę resztę życia opiece nad nimi? Przecież Posłańcy są stworzeni do innych rzeczy.

– Cóż, cieszę się więc, że nasz związek nie skończył się wspólnym nianczeniem dzieci – parsknęła Leesha. – Korzystaj z wygód, Posłańcze.

Wzięła tacę i wyszła, trzaskając drzwiami.

\* \* \*

– I co teraz poczniemy? – zapytał Smitt na późnym spotkaniu rady miasteczka, które zwołała Leesha, by ogłosić reszcie, iż Marick wyrusza rankiem do Angiers i zostawia uchodźców w Zakątku.

– Oczywiście należy ich przyjąć – powiedziała Leesha. – Otwórzcie przed nimi podwoje, pomóżcie im zbudować własne schronienia. Nie możemy po prostu zostawić ludzi bez jedzenia i dachu nad głową.

– Wielki run nie pomieści tylu nowych domów – oznajmił Smitt.

– To zbudujemy kolejny – rzekła Leesha. – Mamy prawie dwa tysiące rąk do pracy i całe mile lasu do wyrąbania.

– Nie chcę tu psuć runów – wtrąciła się Darsy – ale jak niby mamy wyżywić tylu ludzi w samym środku zimy? Jeśli przybędą kolejni, wkrótce będziemy musieli jeść śnieg.

Leesha zastanawiała się już nad tym problemem.

– Każda młoda kobieta w Zakątku potrafi posługiwać się łukiem – odparła. – Niech polują, a chłopcy będą zastawiać wnyki.

– Nie zaspokoisz w ten sposób wszystkich potrzeb – stwierdziła Vika.

– Korklak – powiedziała. – To zioło może i jest twarde oraz gorzkie, ale za to pożywne, a co więcej, rośnie na niemal wszystkim i nie ginie zimą. Trzeba będzie przydzielić młodsze dzieci do zbierania, a ja wymyślę sposób, jak to gotować i przyprawiać. Jeśli korklak nie wystarczy, jest również jadalna kora, a nawet owady, którymi można napęścić pusty brzuch.

– Zielsko i owady? – zapytała Elona. – Ty naprawdę chcesz, by ci ludzie jedli robale?

– Chcę dołożyć wszelkich starań, by nie cierpieli głodu, matko. Jeśli będę musiała usiąść przed nimi i zjeść parę robaków, by dać przykład, zrobię to bez wahania.

– W porządku, nie ma sprawy – odparła Elona. – Ale nie oczekuj po mnie tego samego.

– Ty będziesz miała własną rolę do odegrania – rzekła Leesha.

Elona zmierzyła córkę spojrzeniem.

– Nie zamienię domu w gospodę dla każdego wagabundy, który nadejdzie drogą.

Leesha westchnęła.

– Robi się coraz ciemniej, matko. Lepiej będzie, jak udasz się do domu. Porozmawiamy rano.

Pozostali zrozumieli, że spotkanie tym samym dobiegło końca, i jedni po drugich wyszli z pokoju w ślad za Eloną, aż w środku została tylko Leesha ze Stefny.

– Nie irytuj się – powiedziała Stefny. – Jestem Pewna, że twoja matka z radością otworzy swoje drzwi Rizończykom z największymi interesami.

Leesha obrzuciła ją złowrogim spojrzeniem.

– Mama nie jest jedyną kobietą w tej osadzie, która złamała śluby – przypomniała. Najmłodszy syn Stefny, Keet, został poczęty nie przez Smitta, ale poprzedniego Opiekuna, Michela. Smitt i reszta ludzi w miasteczku nadal byli tego nieświadomi, ale Bruna, która asystowała przy porodzie, знаła prawdę od początku. – Jeśli sądzisz, że sekrety Bruny umarły wraz z nią, jesteś w błędzie – ostrzegła Leesha Stefny. – Zachowaj hipokryzję dla siebie.

Żona Smitta pobladła i potulnie pokiwała głową, a potem umknęła z pokoju. Leesha uśmiechnęła się z rozbawieniem, zaraz jednak spoważniała, uświadomiła sobie bowiem, że zachowała się zupełnie jak Bruna.

\* \* \*

Naznaczony wraz z Rojerem powrócił do Zakątku w jakiś tydzień po wyjeździe Maricka. Posłańca zęgały wiwaty i słowa uwielbienia od ludzi, których porzucał na pastwę losu. Erny oraz Rębacze wrócili parę dni wcześniej i przywiedli kilka grup uciekinierów, lecz Naznaczony w towarzystwie Minstrela wypuścił się o wiele dalej – jego powrót wyprzedziły

opowieści uchodźców, których uratował.

Leesha była dumna, że Arlen i Rojer tylu ludzi ocalili przed niechybną śmiercią, lecz zarazem czuła rozpacz na myśl, że Zakątek będzie musiał wykarmić tak wielkie tłumy.

– Dotarliśmy tak blisko Rizon, jak się dało – powiedział Rojer niedługo po powrocie. Siedział w chacie Zielarki i ogrzewał dłonie kubkiem gorącej herbaty. – Myślę, że odnaleźliśmy wszystkich, którzy wyruszyli na szlak, choć nie można wykluczyć, iż wielu próbowało wędrować na przełaj. Krasjanie na dobre rozgościli się w okolicy miasta i wysyłali drogą regularne patrole.

– Zagościli tylko na jakiś czas – stwierdził Naznaczony. – Tylko patrzeć, aż znów się ruszą.

– Mam nadzieję, że wrócą na swoją cholerną pustynię – rzekł Rojer.

Naznaczony pokręcił głową.

– Nie. Podbiją Lakton, a potem skręcą na północ, prosto na Zakątek.

Leesha poczuła, że krew ścina jej się w żyłach. Rojer pobladł, jakby nagle ogarnęła go słabość.

– Skąd to wiesz? – zapytała.

– Krasjanie wierzą, że Kaji, pierwszy Wybawiciel, zjednoczył plemiona Krasji, a potem przebył pustynię, by przez następne dwie dekady podbijać ziemie na Północy – wyjaśnił Naznaczony. – Nazwał to *Sharak Suun*, Wojną w Blasku Dnia. A potem poprowadził ludzi do *Sharak Ka*, świętej wojny przeciwko demonom. Jeśli Ahmann Jardir sądzi, że jest odrodzonym Wybawicielem, będzie chciał podążyć tą samą drogą.

– Co zatem mamy zrobić? – zapytała Leesha.

– Wznieść umocnienia i stawić im czoła – odparł Naznaczony. – Bronić każdego skrawka ziemi.

– Nie – pokręciła głową Leesha. – Nie będę popierać takich pomysłów. Przecież to zabijanie ludzi, a nie demonów, Arlen! Krasjanie są ludźmi!

– Sądzisz, że o tym nie wiem? Mam przyjaciół wśród Krasjan! Możesz to samo powiedzieć o sobie?

Leesha z trudem otrząsnęła się z zaskoczenia i pokręciła głową.

– Słuchaj mnie uważnie – ciągnął Naznaczony, nieco ciszej, ale nadal z zaciekleścią w głosie. – Krasjanie wierzą, że każdy mieszkaniec Północy jest kimś gorszym nawet od najpodlejszego spośród nich. Okazują łaskę przywódcom, którzy ich zdaniem mogą okazać się użyteczni, z czego zresztą robią wielkie widowisko, ale dla zwykłych ludzi nie czynią żadnych ustępstw. Zabijają lub wtrącają do niewoli każdego, kto nie zaprzysięgnie całkowitej, bezwarunkowej wierności Jardirowi i Evejah. Nie mamy wyboru, musimy walczyć!

– Możemy zbiec do Angiers – rzekła Leesha. – Możemy skryć się za murami miasta.

– Nie wolno im oddawać terenu. – Naznaczony pokręcił głową. – Ani skrawka, powtarzam! Dobrze znam tych ludzi. Jeśli okażemy wobec nich lęk i wycofamy się, uznają



nas za słabych i będą nacierać jeszcze zacieklej.

– Nadal mi się to nie podoba – stwierdziła Leesha z uporem.

– Trudno – wzruszył ramionami Naznaczony. – Na pocieszenie mogę cię tylko zapewnić, że Krasjanie nie mają więcej niż sześć tysięcy wojowników. Problem natomiast w tym, że każdy z nich może bez trudu stawić czoła trzem Rębaczom, a zanim dotrą do Zakątka, wzmocnią swoje siły o ogromne oddziały utworzone z miejscowych niewolników.

– To jak niby mamy z nimi walczyć? – zapytał Rojer.

– Musimy się zjednoczyć – rzekł Naznaczony. – Należy podjąć rozmowy z Lakton, i to szybko, nim Krasjanie odetną szlaki, a także wysłać petycje do książąt Angiers i Miln, by zaprzestali zatargów i przyłączyli się do obrońców.

– Nie znam księcia Miln – stwierdził Rojer. – Niemniej wychowałem się na dworze Rhinebecka, mój mistrz Arrick służył jako jego herold. Dlatego wiem, że władca Angiers prędzej dogada się z otchłańcami niż z księciem Euchorem.

– A zatem będziemy musieli przekonać go osobiście – stwierdziła Leesha i spojrzała na obu mężczyzn. – Wszyscy jak tu siedzimy.

Naznaczony westchnął ciężko.

– Do Lakton wejść nie mam zamiaru. Nie jestem tam mile widziany.

– A więc opowieść mówi prawdę? – zapytał Rojer. – Szefowie doków próbowali cię zabić?

– Mniej więcej – mruknął Naznaczony.

\* \* \*

Rojer usiadł tej nocy w muszli akustycznej i grał spokojne melodie, by ukoić uchodźców, którzy nadal mieszkali w namiotach na Cmentarzysku Otchłańców.

Wielu podeszło bliżej i wygrzewało się w blasku wielkiego runu, ulegając czarowi muzyki Rojera. Jego melodie przelewały się wśród słuchaczy, sprawiały, że zapominali, przynajmniej na krótką chwilę, o swoim zdruzgotanym życiu.

Wydawać by się mogło, że muzyka nie jest odpowiednim darem, ale mieszkańcy Zakątka nie mieli nic innego. Rojer grał więc i skrywał twarz za maską Minstrela, nie okazując ponurego nastroju, który zagościł w jego sercu.

Opiekun Jona czekał, aż Minstrel skończy grę. Święty Mąż był młodym człowiekiem, nie ukończył nawet trzydziestu lat, ale mieszkańcy Zakątka darzyli go szczerą miłością. Podobnie traktowali go uchodźcy, gdyż mało kto spośród miejscowych bardziej się troszczył o potrzeby uciekinierów, zarówno te materialne, jak i duchowe. Nie dość, że wziął na swe barki większość zadań związanych z racjonowaniem żywności i organizowaniem miejsc noclegowych dla nowo przybyłych, to jeszcze uczył się ich imion i niósł im pokrzepienie, zapewniając, że nie zostali porzuceni na pastwę losu. Przewodził modlitwom za zmarłych,

szukał opiekunów dla sierot i udzielał ślubu kochankom, połączonym wspólną tragedią.

– Dziękuję za ten koncert – powiedział Jona. – Czułem, jak ich dusze wzbijają się ku niebu, gdy słuchali twojej gry. Z moją stało się to samo.

– Będę grał co noc, jeśli nie zostaną wezwany gdzieś indziej – przyrzekł Rojer.

– Niech cię Stwórca błogosławi – powiedział Jona. – Twoja muzyka dodaje wszystkim sił.

– Szkoda tylko, że ja nie czuję się od niej silniejszy – westchnął Minstrel. – Czasem mam wrażenie, że w moim przypadku działa to na odwrót.

– Nonsens – stwierdził Jona. – Siła ducha nie jest niczym ograniczona, nie jest czymś, co jeden człowiek musi stracić, by inny mógł zyskać. Stwórca wszystkich nas obdarza siłą i słabościami. Z jakiego powodu czujesz się słaby, dziecko?

– Dziecko? – zaśmiał się Rojer. – Nie należę do twej publiczności, Opiekunie. Mam swój instrument – pokazał skrzypce – a ty masz swój.

Wskazał smyczkiem ciężki, oprawiony w skórę tom Kanonu trzymany przez Jonę.

Wiedział, że jego słowa zraniły Opiekuna, który zasługiwał na więcej szacunku, ale serce Rojera było czarne z rozpacz, a Jona nie mógł wybrać gorszej chwili na wywyższanie się. Minstrel czekał tylko, aż Święty Mąż zacznie nań krzyczeć, gotów odpowiedzieć tym samym. Ale Jona nigdy się nie unosił. Wsunął księgę do przeznaczonych na to sakwy i rozłożył dłonie, pokazując, że są puste.

– Dobrze, będę więc mówił do ciebie jako twój przyjaciel – rzekł. – Jako ktoś, kto rozumie twój ból.

– A skąd ci się wzięło przekonanie, że rozumiesz mój ból? – warknął Rojer.

– Bo też ją kocham, Rojer – uśmiechnął się Jona. – Wątpię, czy kiedykolwiek spotkałem człowieka, który by jej nie kochał. Swego czasu przychodziła niemal co dzień do Świętego Domu, by czytać, a potem rozmawialiśmy całymi godzinami. Widywałem, jak opromienia swoim blaskiem mężczyzn, którzy na nią nie zasługiwali, a nigdy nie zauważył, że ja też jestem mężczyzną.

Rojer usiłował nadal chronić się za maską Minstrela, ale w głosie Jony słychać było tyle szczerości, że wola walki młodzieńca całkiem skruszała.

– Jak sobie z tym poradziłeś? Jak można zapomnieć, że się kogoś kocha?

– Stwórca sprawił, że miłość jest bezwarunkowa – rzekł Jona. – Miłość czyni nas ludźmi. Miłość odróżnia nas od otchłańców. Miłość jest cennym skarbem, nawet jeśli nie jest odwzajemniona.

– A więc nadal ją kochasz? – zapytał Rojer.

– Tak – skinął głową Jona. – Ale kocham też Vikę i jeszcze bardziej nasze dzieci. Miłość jest równie nieskończona jak duch.

Z tymi słowami położył dłoń na ramieniu Rojera.

– Nie trać czasu na opłakiwanie tego, czego doświadczyłeś – dodał. – Ciesz się tym,

czego doświadczasz. A jeśli kiedykolwiek odczujesz potrzebę, by zamienić kilka słów z kimś, kto jest świadom wyzwania, z którym się mierzysz, przyjdź bez wahania. Obiecuję, że nawet nie wyjmę Kanonu z sakwy.

Klepnął Rojera w ramię i odszedł. Minstrel stał zaś i czuł, jakby ktoś zdjął mu ogromny ciężar z serca.

\* \* \*

Gdy Rojer znalazł się w pobliżu chatki Leeshy, zauważył, że światła w oknach nadal płoną, a frontowe drzwi stoją otworem. Tym razem nie wziął płaszcza, a otchłańce trzymał na dystans muzyką, co oznaczało, że Zielarka na pewno słyszała go, jak nadchodzi.

Był to ich wspólny rytuał. Leesha zawsze się czymś zajmowała, ale gdy tylko usłyszała muzykę skrzypiec, otwierała drzwi, po czym wracała do pracy. Wchodząc do jej chatki, Rojer widział, że kobieta siedzi pochylona nad książką czy haftem, uciera zioła lub zajmuje się roślinami.

Przestał grać, dopiero gdy znalazł się na runicznej ścieżce, a zimna noc na powrót stała się bezpieczna. Jedynym śladem zagrożenia były teraz rzadkie, odległe wrzaski otchłańców, lecz w narastającej ciszy Minstrel usłyszał szloch.

Zastał dziewczynę skuloną w starym fotelu na biegunach, owiniętą starym, postrzępionym szalem. Obie te rzeczy należały do jej nauczycielki Bruny i zawsze dawały Leeshy pociechę, gdy ogarniały ją wątpliwości.

Miała czerwone, zapuchnięte oczy, a zmięta chusteczka w jej dłoni przemokła do cna. Kiedy Rojer spojrzał na Leeshę, zrozumiał, co Jona miał na myśli, gdy mówił, by cieszyć się tym, czego się doświadczasz. Nawet gdy dopadła ją rozpacz, Zielarka otworzyła drzwi. Czy inni mężczyźni w jej życiu mogli się pochwalić takim przywilejem?

– Już się na mnie nie złościysz? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Oboje się trochę unieśliśmy, wielka mi rzecz.

– Cieszę się. – Leesha zmusiła się do uśmiechu.

– Twoja chustka jest całkiem mokra. – Rojer machnął ręką, wyciągając jedną z wielu kolorowych chusteczek trzymanyh w rękawie. Podał jej, lecz gdy Leesha wyciągnęła rękę, wyrzucił szmatkę w powietrze, dodał kilka innych, jakby wyczarowanych znikąd, i zaczął nimi żonglować, tworząc krąg kolorowych skrawków płynących w powietrzu. Leesha śmiała się i klaskała.

Jego mistrz, Arrick, potrafił żonglować wszystkim, co było pod ręką, ale Rojer, który miał okaleczoną dłoń, bez przeszkód żonglował jedynie chustkami.

– Wybierz kolor.

– Zielony – oznajmiła, a wtedy Minstrel, poruszając dłonią szybciej niż myśl, wyrwał zieloną chustkę z kręgu i rzucił ku niej. Okazał przy tym taką zręczność, iż wydawać by się

mogło, że skrawek tkaniny wyskoczył sam. Rojer złapał resztę chustek i schował, a Leesha wytarła twarz.

– O co chodzi? – zapytał.

– Nie dość, że po nocach prześladowają nas demony, to jeszcze ludzie biorą się za zabijanie ludzi. Arlen chce, byśmy walczyli zarówno z jednymi, jak i z drugimi, lecz jak ja mogę poprzeć taki pomysł?

– Wątpię, czy masz wybór – rzekł Rojer. – Jeśli się nie myli, Wojna w Blasku Dnia i tak nas dopadnie, bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie.

Leesha westchnęła i wtuliła się mocniej w szal, mimo że runy ciepła dookoła podwórza utrzymywały w chatce przyjemną temperaturę.

– Pamiętasz tę noc w jaskini?

Rojer pokiwał głową. Wydarzyło się to minionego lata, kilka dni po tym, jak Naznaczony ocalił ich na drodze. We troje schronili się wówczas w jaskini przed ulewą. Tam właśnie wyszło na jaw, że Naznaczony i Rojer zabili bandytów, którzy zgwałcili i obrabowali Leeszę. Dziewczyna wpadła wtedy we wściekłość i wyzwalała ich od morderców.

– Wiesz, dlaczego byłam tak zła na ciebie i Arlena? – zapytała, a Rojer pokręcił głową. – Ponieważ mogłam sama pozabijać tych ludzi, gdybym tylko chciała.

Z tymi słowami sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła wąską igłę pokrytą zielonkawą substancją.

– Zawsze mam takie igły przy sobie, do zabijania wściekłych zwierząt – wyjaśniła Leesha. – Trzymam je w kieszeni, gdyż są zbyt niebezpieczne, by wkładać je do sakwy z ziołami czy nawet do fartucha, który przecież czasami zdejmuję. Żaden człowiek nie przeżyłby ukłucia, nawet zwykłe draśnięcie mogłoby go z czasem zabić.

– Obiecuję, że od tej pory będę uważał przy tobie na to, co mówię – stwierdził Rojer, ale Leesha się nie roześmiała.

– Miałam jedną z nich w dłoni, gdy cisnęłam osłepiającym proszkiem w oczy ich herszta – mówiła. – Gdybym ukłuła nią tego niemowę, kiedy mnie pochwycił, rozstałby się z życiem w okamgnieniu, a wtedy dziabnęłabym również przywódcę.

– A ja załatwiłbym trzeciego – rzekł Rojer i uniósł pustą dłoń, w której nagle pojawił się nóż. Podrzucił go, obrócił w powietrzu i złapał za rękojeść. – A więc czemu tego nie zrobiłaś?

– Ponieważ co innego zabicie otchłānca, a co innego człowieka. Nawet złego człowieka. Chciałam ich pozabijać. Czasami, gdy wspominam tamto zdarzenie, żałuję, że tego nie zrobiłam. Ale wtedy nie mogłam się do tego zmusić.

Rojer przyjrzał się swemu nożowi, westchnęła i wsunęła go do specjalnej pochewki na przedramieniu, po czym zapiął mankiet.

– Ja chyba też nie potrafiłbym zabić człowieka – przyznał ze smutkiem. – Zacząłem się uczyć sztuki rzucania nożami jako pięciolatek, ale zawsze stosowałem ją jedynie podczas przedstawień. Nigdy nikogo nawet nie drasnąłem.

– Gdy uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie wyrządzić bandytom krzywdy, po prostu przestałam stawiać opór – dokończyła opowieść Leesha. – Na noc! Nawet naplułam sobie na dłoń, by się zwilżyć, gdy pierwszy z nich siłował się ze spodniami. Gdy sobie poszli, a ja leżałam bezsilnie na ziemi i płakałam, nie przyszło mi do głowy, by żałować, że ich nie pozabijałam.

– Wolałabyś, by to oni zabili ciebie – rzekł Rojer, a Leesha potwierdziła skinieniem głowy.

– Czuję się tak samo, po tym jak zabito mistrza Jaycoba – powiedział Rojer. – Nie pragnąłem zemsty, chciałem po prostu, by mój ból dobiegł wreszcie końca.

– Pamiętam – rzekła Leesha. – Błagałeś mnie, bym pozwoliła ci umrzeć.

– To właśnie dlatego poszedłem z Naznaczonym do obozu bandytów.

– Dla mnie? – zapytała Leesha.

Rojer pokręcił głową.

– Tych ludzi należało zabić, tak jak się zabija wściekłe konie, Leesha. Nie byliśmy pierwszymi, których obrabowali, i na pewno nie bylibyśmy ostatnimi, tym bardziej że skradli mój przenośny krąg. Ale nie zabiliśmy ich. Naznaczony odebrał twojego konia, ja złapałem przenośny krąg i uciekliśmy. Nie wyrządziliśmy im krzywdy.

– Zamieniliście ich w jedzenie dla demonów.

– Naznaczony powybił większość demonów w okolicy. Nie widzieliśmy ani jednego, gdy szliśmy do ich obozowiska, a do świtu brakowało jeszcze wielu godzin. Znaleźli się w o wiele lepszej sytuacji niż ta, w której nas porzucili.

Leesha westchnęła, ale nic nie powiedziała.

– Dlaczego ludzie wzywają Zielarkę, by uśpiła zwierzę? – zapytał, wpatrując się w nią. – Przecież równie dobrze można sprawę załatwić siekierą czy młotem.

– Wielu nie może się zmusić, by zabić wierne zwierzę, bywa też, że trzymają się nadziei, iż mogą je uzdrowić. Zdarza się jednak, że nie mogą, a wtedy zwierzę cierpi. Igły działają szybko i nie przysparzają bólu.

– Być może to samo można powiedzieć o Naznaczonym – stwierdził Rojer.

– Chodzi ci o to, że powinniśmy walczyć z Krasjanami?

– Nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. – Ale wydaje mi się, że powinniśmy mieć w ręku igłę, nawet gdybyśmy nigdy nie zamierzali z niej skorzystać.

## Kubek i talerz

### 333 ROK PLAGI, WIOSNA

Leesha i Rojer obserwowali, jak Wonda i Gared okrążają się powoli na Cmentarzysku Otchłańców, zwróceniu ku sobie twarzami. Wonda przewyższała wzrostem każdą kobietę w Zakątku, wliczając w to nawet uchodźców, ale Gared był od niej o wiele potężniejszy. Liczyła sobie dopiero piętnaście lat, a Gared prawie trzydzieści, lecz na jego twarzy malowało się skrajne skupienie, podczas gdy dziewczyna wyglądała na spokojną i rozluźnioną.

Nagle Gared runął naprzód, chcąc ją pochwycić, ale Wonda złapała go za nadgarstek, obróciła się i wparła wolną rękę w łokieć mężczyzny, jednocześnie robiąc krok w bok. Bez trudu wykorzystwała impet szarży przeciwko niemu i przewróciła Rębacza na bruk.

– Niech to Otchłań! – ryknął Gared.

– Dobra robota! – pogratulował Naznaczony dziewczynie, gdy pomogła Garedowi wstać. Spośród mieszkańców Zakątki Wonda okazała największy talent w sztuce *sharusahk*. – *Sharusahk* uczy, jak zmieniać zwrot siły skierowanej przeciwko tobie – przypomniał Garedowi. – Nie możesz ciągle polegać na brutalności. To nie walka z otchłańcem.

– Ani z drzewem – dodała Wonda, wzbudzając chichoty wśród innych dziewcząt uczących się walki wręcz od Naznaczonego. Rębacze zmierzylili je nieprzychylnymi spojrzeniami – wielu z nich zostało już położonych na łopatki przez dziewczyny, z czym żaden mężczyzna nie godził się łatwo.

– Spróbuj raz jeszcze – polecił mu Naznaczony. – Próbuj trzymać ręce bliżej boków i wyważ lepiej ciężar ciała. Nie ułatwiał jej zadania. A ty – zwrócił się do Wondy – nie nabieraj przeświadczenia, że jesteś niepokonana. Najgorsi z *dal'Sharum* ćwiczą tę sztukę przez całe życie, a nie od paru miesięcy. Walka z nimi okaże się dla ciebie prawdziwym sprawdzianem umiejętności.

Wonda pokiwała głową, a jej uśmiech zniknął. Wraz z Garedem wymienili ukłony i znów zaczęli zataczać kręgi wokół siebie.

– Szybko się uczą – powiedziała Leesha, podchodząc do Naznaczonego. Sama nigdy nie wzięła udziału w treningu, ale codziennie przyglądała się ćwiczeniom z ogromną uwagą, a jej umysł rejestrował każdy ruch.

Wonda znów rzuciła Gareda na łopatki i Leesha pokręciła z zadumą głową.

– To naprawdę piękna sztuka – stwierdziła. – Wielka szkoda, że jej jedynym celem jest okaleczać i zabijać.

– Idealnie odzwierciedla tych, którzy ją wynaleźli – stwierdził Naznaczony. – Ci ludzie również są imponujący, piękni i śmiertelnie niebezpieczni.

– Jesteś pewien, że nadchodzą? – zapytała dziewczyna.

– Nie mam ani cienia wątpliwości – westchnął Naznaczony. – Choć oddałbym wszystko, by było inaczej.

– Co twoim zdaniem postanowi księżę Rhinebeck?

Wzruszył ramionami.

– Widziałem go kilkukrotnie, gdy byłem jeszcze Posłańcem, ale mało wiem o tym, co kryje jego serce.

– Bo też nie ma tego wiele – wtrącił się Rojer. – Życie Rhinebecka wypełniają trzy rzeczy: liczenie gotówki, picie wina i zaciąganie do łóżka coraz to młodszych żon w nadziei, że któraś urodzi mu dziedzica.

– Jest bezpłodny? – spytała zaskoczona Leesha.

– Nie użyłbym tego określenia nigdzie, gdzie mógłbym zostać podsłuchany – rzekł Rojer. – Księżę wieszał Zielarki za mniejsze zniewagi. Wini za wszystko swoje żony.

– Jak to zwykle bywa – stwierdziła Leesha. – Zupełnie jakby mężczyzna bezpłodny nagle przestawał być mężczyzną.

– A tak nie jest? – spytał Rojer.

– Przestań wygadywać bzdury – oburzyła się Zielarka, ale nawet Naznaczony spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Tak czy owak, Bruna specjalizowała się w leczeniu bezpłodności i wiele mnie nauczyła. Być może, gdybym zdołała go uleczyć, udałoby mi się zdobyć jego względy.

– Względy? – spytał Rojer. – Uczyniłby cię księżną i spłodził to dziecko z tobą.

– Przecież to nieważne – wtrącił Naznaczony. – Nawet jeśli twoje zioła ożywią jego nasienie, miną długie miesiące, nim ujrzymy dowody na ich skuteczność. Musimy się oprzeć na czymś konkretniejszym.

– A jest coś konkretniejszego od armii pustynnych wojowników u bram?

– Jeśli Rhinebeck chce powstrzymać Jardira, będzie musiał zgromadzić wielkie siły na długo przed tym – rzekł Naznaczony. – Księżęta zaś nie są ludźmi, którzy podejmowaliby takie ryzyko bez przeświadczenia, że się nie mylą.

– Kolejną przeszkodą są bracia Rhinebecka – ciągnął Rojer. – Książę Mickael przejmie tron, jeśli Rhinebeck umrze bezpotomnie. Książę Pether jest Pasterzem Opiekunów Stwórcy, a najmłodszy z nich, Thamos, dowodzi gwardią Rhinebecka, Drewnianymi Żołnierzami.

– Czy któremuś z nich można przemówić do rozumu? – spytała Leesha.

– Raczej nie. Przekonać należy natomiast lorda Jansona, pierwszego ministra, bez którego żaden z książąt nie umiałby znaleźć własnych butów. W Angiers nic się nie dzieje bez jego wiedzy, a książęca rodzina wysługuje się nim w niemalże wszystkim.

– Czyli jeśli Janson nas nie poprze, książę też tego nie zrobi – rzekł Naznaczony.

– Sęk w tym, że to tchórz – ostrzegł Rojer. – Przekonanie go, by się zgodził na wypowiedzenie wojny, będzie... Cóż, na pewno trudne. Trzeba będzie uciec się do innych metod.

Naznaczony i Leesha spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Przecież jesteś cholernym Naznaczonym – stwierdził Rojer. – Połowa ludzi na południe od Miln i tak już ogłosiła cię Wybawicielem. Starczy kilka spotkań z Opiekunami i parę opowieści w Gildii Minstreli, a uwierzy i druga połowa.

– Nie – rzekł Naznaczony. – Nie będę podawał się za kogoś, kim nie jestem. Nawet w tej sytuacji.

– A kto mówi, że nie jesteś Wybawicielem? – zapytała Leesha.

Naznaczony spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Nie, tylko nie ty. Minstrele uganiający się za nowymi opowieściami i zaślepieni wiarą Opiekunowie wystarczą mi aż nadto. Przecież ty jesteś Zielarką. Leczysz pacjentów wiedzą, a nie modlitwą.

– Jestem też wiedźmą od runów – powiedziała Leesha. – Dzięki tobie zresztą. W rzeczy samej poświęcam o wiele więcej uwagi książkom naukowym niż Kanonowi Opiekunów, ale nawet nauka nie jest w stanie wyjaśnić, dlaczego kilka gryzmołów może zatrzymać otchłānca lub wyrzucić mu krzywdę. Nasz świat nie opiera się tylko i wyłącznie na wiedzy. Być może jest w nim miejsce również dla Wybawiciela.

– Nie przysłało mnie tu Niebo! Słuchaj, to, co mam na sumieniu... Nie, żadne Niebo by mnie nie zechciało.

– Wielu ludzi wierzy, że Wybawiciele z dawnych lat byli mężczyznami takimi jak ty – zauważyła Leesha. – Przywódcami, którzy pojawili się, gdy ludzie ich najbardziej potrzebowali. Odwrócisz się od ludzkości tylko dlatego, że nie podoba ci się miano?

– Tu nie chodzi tylko o miano – rzekł Naznaczony. – Kiedy ludzie zaczną zwracać się do mnie ze swoimi problemami, nigdy się nie nauczą, jak je rozwiązywać samodzielnie. Wszystko gotowe? – zapytał Rojera.

Ten pokiwał głową.

– Konie osiodłane. Możemy ruszać w każdej chwili.



\* \* \*

Od wiosennych roztopów upłynął już ponad miesiąc, a drzewa rosnące wzdłuż drogi do Angiers pokryły się świeżą zielenią. Rojer siedział w siodle za Leeshą i trzymał się jej mocno. Nie należał do dobrych jeźdźców i na ogół nie ufał koniom, zwłaszcza gdy nie ciągnęły wozów. Na szczęście był na tyle drobny, że mógł jechać w parze, nie obciążając zanadto wierzchowca. Dziewczyna zaś opanowała jazdę konną do perfekcji, zresztą jak wszystko, do czego się zabierała.

Mimo to świadomość, iż wracał do Angiers, sprawiała, że Rojerowi skręcało się w żołądku. Gdy rok temu wyjeżdżał stamtąd z Leeshą, zależało mu nie tylko na tym, by jej pomóc, ale i na ocaleniu własnego życia. Nie miał ochoty wracać, nawet u boku potężnych przyjaciół, tym bardziej że Gildia Minstreli dowie się, że młodzieniec żyje i ma się dobrze.

– Ma nadwagę? – zapytała niespodziewanie Leesha.

– Co?

– Księżę Rhinebeck. Ma nadwagę? Dużo pije?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Wygląda, jakby połknął beczkę piwa, co zresztą nie jest wielką przesadą.

Leesha zadawała mu pytania dotyczące księcia od rana, a jej umysł, który nigdy nie odpoczywał, już opracowywał diagnozę i możliwe lekarstwa, choć by mieć pewność, musiała najpierw księcia zobaczyć. Rojer wiedział, że to ważne zadanie, ale nie był w pałacu od dziesięciu lat i wiele z pytań poddało jego pamięć ciężkiej próbie. Nie miał pojęcia, czy jego odpowiedzi nadal są dokładne.

– Czy miewa problemy w łóżku?

– A skąd mam to wiedzieć, na Otchłań! – parsknął Rojer. – Przecież nie gustował w chłopcach!

Leesha zmarszczyła brwi i Minstrel momentalnie poczuł wstyd.

– Co cię gryzie, Rojer? – zapytała. – Od samego rana wydajesz się nieobecny.

– Nic – odburknął.

– Nie kłam. Nigdy nie byłeś w tym dobry.

– Chyba podróż tym traktem przywodzi wspomnienia z ubiegłego roku – powiedział.

– Tak, zewsząd złe wspomnienia – zgodziła się Leesha, zerkając na pobocze. – Wciąż mam wrażenie, że z drzew zeskoczą na nas bandyci.

– Nie przy tej obstawie – stwierdził Rojer, wskazując skinieniem głowy Wondę, która jechała przed nimi na lekkim kłusaku. Długi łuk zamocowany przy siodle kołysał się w rytmie kroków wierzchowca. Ani na chwilę nie zarzucała czujności, a jej bystre oczy i poznaczona bliznami twarz zwiastowały kłopoty każdemu, kto chciałby zatrzymać niewielką grupę podróżnych. Za Leeshą i Rojerem jechał Gared na ogromnym, ciężkim ogierze. Dzięki rozmiarom jeźdźcy koń nie wydawał się wcale tak wielki. Nad ramionami Rębacza sterczały

styliska toporów, których mógł dobyć w ułamku sekundy. Wonda i Gared byli doświadczonymi pogromcami demonów i przy nich Leeshy nie mogło zagrozić żadne niebezpieczeństwo ze strony śmiertelników.

Największym pocieszeniem, nawet w blasku słońca, było jednak towarzystwo Naznaczonego, który na czarnym ogierze prowadził niewielki orszak. Jak zwykle unikał gadania po próżnicy, ale sama jego obecność gwarantowała, że nikomu nie stanie się krzywda.

– Niepokoi cię szlak czy to, co znajduje się na jego końcu? – zapytała Leesha.

Rojer spojrzał na nią, zastanawiając się, jakim cudem odczytuje jego myśli.

– Co masz na myśli? – zapytał, choć sam dobrze znał odpowiedź.

– Nigdy nie mówiłeś, dlaczego trafiłeś do mojego szpitala w zeszłym roku, pobity niemalże na śmierć. Nie udałeś się też do straży w tej sprawie, nie poinformowałaś Gildii, że wciąż żyjesz, nawet po pogrzebie mistrza Jaycoba.

Rojer pomyślał o Jaycobie, który po śmierci mistrza Arricka stał się jedyną rodziną młodego Minstrela. Przygarnął go, gdy ten nie miał dokąd pójść, i położył własną reputację na szali, by otworzyć Rojerowi drzwi do kariery. Zapłacił jednak wysoką cenę za swą dobroć, gdyż został pobity na śmierć za wykroczenie popełnione przez Rojera.

Chłopak chciał się odezwać, ale głos go zawiódł, a łzy przesłoniły widok.

– Ciii... – szepnęła Leesha, ujmując jego dłonie i przyciągając go bliżej. – Porozmawiamy o tym, gdy będziesz gotów.

Rojer objął ją mocniej, wdychając słodki aromat jej włosów, i poczuł, jak znów ogarnia go spokój.

\* \* \*

Gdy od miasta dzieliły podróźnych jeszcze dwa dni drogi i znaleźli się blisko miejsca, gdzie po raz pierwszy Rojer i Leesha spotkali Naznaczonego, ten niespodziewanie zawrócił konia i wjechał między drzewa.

Leesha uderzyła wierzchowca piętami i ruszyła przez las w ślad za Arlenem, aż się z nim zrównała. Naznaczony nie podążał wzdłuż żadnej ścieżki, a miejsca ledwie wystarczało dla dwóch jeźdźców obok siebie, przez co bez przerwy musieli kluczyć między drzewami lub uchylać się przed niższymi gałęziami. Gared zmuszony był zeskoczyć z siodła i iść pieszo.

– Dokąd zmierzamy? – zapytała Leesha.

– Po grymuary dla ciebie – odparł Naznaczony.

– Mówiłeś, że są w Angiers, jak mi się zdaje.

– W księstwie Angiers, nie w mieście – uśmiechnął się krzywo.

Wkrótce pojawiła się ścieżka, z początku wąziutka, lecz potem coraz szersza, co mogło się wydawać całkowicie naturalne. Leesha jednakże była Zielarką i na niczym nie znalazła się

tak dobrze jak na roślinach.

– To ty ją stworzyłeś! – wykrzyknęła zdumiona. – Obalałeś drzewa i poszerzyłeś ścieżkę, a potem zamaskowałeś to, czego dokonałeś, by przejście nie rzucało się w oczy.

– Cenię sobie prywatność – odparł.

– Przecież to musiało trwać całe lata!

– Moja siła ma wiele zastosowań. – Naznaczony pokręcił głową. – Jestem w stanie obalić drzewo niemal tak szybko jak Gared i przeciągnąć łatwiej niż zaprzęg koni.

Ukryta ścieżka prowadziła w głąb lasu, ale nagle skręciła ostro w lewo. Naznaczony podążył jednak w prawo i znów zagłębił się między drzewa. Reszta bez słowa ruszyła za nimi, a gdy przebili się przez gąszcz, wszyscy aż westchnęli z podziwu.

W niewielkim jarze znajdował się kamienny mur, okryty bluszczem i mchem do tego stopnia, że z daleka był zupełnie niewidzialny.

– Niepojęte, że twoja kryjówka znajduje się tu, tak blisko drogi – rzekł Rojer.

– W tym lesie można znaleźć setki podobnych ruin – odparł Naznaczony. – Po Powrocie puszcza szybko odzyskała tereny zagarnięte przez człowieka. Posłańcy znają kilka takich miejsc i traktują jako punkty postojowe, ale wiele innych, jak choćby to, nie zostało odkrytych od wieków.

Jechali wzdłuż muru, aż natrafili na starą, zardzewiałą bramę. Naznaczony wyjął klucz z kieszeni, wsunął go do zamka i obrócił z cichym kliknięciem. Skrzydła rozchyliły się bezszelestnie.

W środku znajdowała się stajnia, która z zewnątrz wydawała się zapadniętą ruiną, ale ząb czasu oszczędził jej tylną część. Stał tam spory wóz z plandeką, a miejsca wystarczyłoby jeszcze dla czterech koni.

– To prawdziwy cud, że połowa stajni przetrwała tyle lat, a druga połowa nie – stwierdziła Leesha z krzywym uśmiechem i odsunęła kilka gałązek bluszczu, by obejrzeć świeże runy na ścianie. Naznaczony nie odezwał się ani słowem. Reszta również milczała, zajmując się oporządzeniem koni.

Podobnie jak reszta zabudowań, główny budynek już dawno zmienił się w ruinę. Dach się zapadł i cała konstrukcja wyglądała niepewnie, jakby w każdej chwili miała się zawalić. Naznaczony poprowadził jednakże towarzyszy do domu służby, który wedle standardów ludzi pochodzących ze wsi do małych nie należał. Dom ten był również częściowo zawałony, podobnie jak stajnia, ale drzwi, przez które wpuścił ich Naznaczony, okazały się ciężkie, grube i zamknięte na klucz. Prowadziły zaś do sporej izby, przekształconej w warsztat. Wszędzie zalegał sprzęt do wykonywania runów, zapieczętowane słoje z atramentem i farbą, najrozmaitsze niedokończone projekty i sterty arkuszy.

Przy palenisku stał niewielki kredens. Leesha otworzyła go, a w środku znalazła jeden kubek, jeden talerz, miskę i łyżkę. W garnku nad paleniskiem znajdowała się deska do krojenia, w której tkwił nóż.

– Jak tu zimo – szepnęła. – Cóż za samotne miejsce...

– Nie ma tu nawet łóżka – mruknął Rojer. – Musiał spać na podłodze.

– A ja sądziłam, że w chacie Bruny toczę samotne życie – dodała Leesha. – To jednak...

– Chodźcie tu. – Naznaczony podszedł do kąta, gdzie stała biblioteczka. Mebel natychmiast przykuł uwagę Leeshy.

– To twoje grymuary? – zapytała, nie kryjąc podniecenia.

Naznaczony zerknął na półkę i pokręcił głową.

– Nie ma tu nic wartościowego. Zwykle runy i książki, historia, podstawowe mapy. Znajdziesz to samo w biblioteczce każdego szanującego się Posłańca czy Patrona Runów.

– A zatem gdzie... – zaczęła Leesha, ale w tym momencie Naznaczony wybrał miejsce na podłodze, które na pierwszy rzut oka niczym nie różniło się od innych, i uderzył mocno piętą w określony punkt. Koniec deski zapadł się, lecz przeciwległy się uniósł, ukazując niewielki metalowy pierścień. Naznaczony złapał za obręcz i pociągnął. Deski zadrżały i okazało się wówczas, że kilka z nich tworzy doskonale zamaskowaną klapę o nierównych krawędziach i szczelinach wypełnionych trocinami.

Naznaczony zapalił latarnię i zszedł na dół, a Leesha, Rojer, Gared i Wonda udali się za nim. Znaleźli się w sporej piwnicy o kamiennych ścianach, gdzie powitał ich chłód, choć powietrze było suche.

W półmroku majaczył korytarz, odchodzący w kierunku zrujnowanego głównego domu, przegrodzony zwalonym skalnym blokiem. Uwagę wszystkich przykuła jednakże ogromna ilość runicznej broni – topory, włócznie różnej długości, halabardy i noże, co do jednego pokryte starannie wrytymi runami, wisiały na ścianach lub stały w stosach, a obok nich tuziny bełtów do kusz i tysiące, dosłownie tysiące strzał powiązanych w pęczki.

Znajdowały się tam również rozmaite trofea, takie jak czaszki demonów, rogi i szpony, a oprócz nich wyszczerbione tarcze i złamane włócznie. Gared i Wonda kreślili runy w powietrzu.

– Łap! – rzekł Naznaczony do Wondy, wręczając jej pęk strzał. Wzdłuż promienia i metalowego grotu ciągnęły się wykaligrafowane starannie runy. – Będą razić otchłańców o wiele dotkliwiej od tych, które nosisz w kołczanie.

Wonda przyjęła dar drżącymi rękoma. Nie mogąc wykrztusić ani słowa, ukłoniła się tylko, a Naznaczony odpowiedział tym samym. Następnie zwrócił się do Gareda.

– Pozwól tu – powiedział, a gdy olbrzym podszedł, ujął ciężką maczetę, której ostrze pokryte było setkami niewielkich runów, i wręczył mu ją rękojeścią do przodu. – Ta zabawka przerąbie kończyńę drzewnego demona jak pęd winorośli.

Gared opadł na kolana.

– Wstawaj – warknął Naznaczony. – Nie jestem żadnym cholernym Wybawicielem!

– Przecież cię tak nie nazwałem – rzekł Gared ze spuszczonego wzrokiem. – Wiem tylko, że przez całe życie byłem samolubnym głupkiem, ale gdy przybyłeś do Zakątki, ujrzałem

słońce. Zrozumiałem, że pozwoliłem, by zaślepiła mnie moja własna duma i... I żądze – przy tych słowach zerknął przelotnie na Leeshę. – Stwórca dał mi mocne ramiona, bym mógł zabijać demony, a nie po to, bym spełniał swoje zachcianki.

Naznaczony wyciągnął dłoń i pomógł mu wstać. Gared może i ważył grubo ponad sto kilogramów, lecz w tej chwili był słaby i bezwolny jak dziecko.

– Być może ujrzałeś słońce, Gared – powiedział. – Nie oznacza to jednak, że to ja ci je pokazałem. Dzień wcześniej straciłeś ojca. Każdy człowiek dorosły po takich przeżyciach. No, a teraz pokaż, co w życiu jest naprawdę ważne.

Znów podał mu maczetę, a Gared ją ujął. Było to imponujące ostrze, ale w jego ogromnej garści wyglądało na niewiele większe od sztyletu. Rębacz zdumiony przyjrzał się misternym szeregom runów.

Naznaczony zwrócił się do Leeshy.

– Grymuary są tam – wskazał kilka półek po drugiej stronie pokoju.

Dziewczyna natychmiast ruszyła, lecz wojownik pochwycił ją za ramię.

– Jak ci pozwolę tam podejść, przepadniesz na co najmniej dziesięć godzin.

Zielarka zmarszczyła brwi. Zależało jej tylko na tym, by wyrwać się i pogрузić w lekturze ciężkich, oprawionych w skórę tomów, ale opanowała pragnienie. Przecież to nie był jej dom.

– Zabierzemy te książki w drodze powrotnej – obiecał Naznaczony. – Mam parę kopii, które dostaniesz na własność.

– Każdy coś dostał prócz mnie? – odezwał się Rojer.

– Znajdziemy coś i dla ciebie – uśmiechnął się Naznaczony i wszedł w zawalony korytarz. Zagradzający przejście kamień zwornikowy, który osunął się ze sklepienia, wyglądał na ciężki, ważący setki kilogramów, ale mężczyzna uniósł go bez trudu i poprowadził towarzyszy ku ciężkim, zakluczonym drzwiom ukrytym w ciemnościach.

Wyciągnął kolejny klucz i obrócił go w zamku, a gdy drzwi się otworzyły, wszedł do środka. Dotknął lampy przy drzwiach, a ta natychmiast rozbłysła, światło odbiło się od ogromnych luster rozstawionych w pomieszczeniu. W komnacie natychmiast zrobiło się widno jak w dzień i wszyscy aż westchnęli z zachwytem.

Kamienną podłogę zaściewały grube, bogate dywany, wyblakłe od starości. Na ścianach wisiały tuziny obrazów, przedstawiających zapomnianych już ludzi i zapomniane wydarzenia, istne arcydzieła w pozłacanych ramach, a między nimi oprawione w metal lustra i wypolerowane do połysku meble. Wszędzie porozstawiano beczki na deszczówkę, z których aż się wylewały starożytne monety, klejnoty i biżuteria. Tu i ówdzie leżały maszyny niewiadomego przeznaczenia, niektóre częściowo rozebrane, nad nimi zaś wznosiły się marmurowe posągi i popiersia, widać też było instrumenty muzyczne oraz inne niezliczone skarby. Wszędzie też stały biblioteczki.

– Jak to możliwe? – zapytała Leesha.

– Otchłańce nie dbają o bogactwa – odparł Naznaczony. – Posłańcy ogołocili do czysta łatwo dostępne ruiny, ale nikt nie zliczy miejsc, których nigdy nie odwiedzili. Istnieją całe miasta, w których niepodzielnie rządzą demony. Ja tylko spróbowałem ocalić to, co przetrwało walkę z żywiołami.

– Jesteś bogatszy od wszystkich książąt razem wziętych – rzekł oszołomiony Rojer.

– Nie na wiele mi się to przydaje – wzruszył ramionami Naznaczony. – Bierz, co chcesz.

Rojer zakrzyknął z entuzjazmem i zaczął biegać po komnacie, przeczesując palcami sterty bogactw, podnosząc rzeźby i starożytną broń. Zagrał kilka tonów na mosiężnym rogu, a potem zanurkował za pękniętą rzeźbę, skąd wynurzył się ze skrzypcami. Struny już przegniły, ale drewno nadal było mocne i wypolerowane. Minstrel zaśmiał się i z triumfem uniósł znalezisko.

Gared rozejrzał się bacznie.

– W tej drugiej komnacie podobało mi się bardziej – mruknął.

Wonda kiwnęła głową, zgadzając się z nim w zupełności.

\* \* \*

Bramy Fortu Angiers były zamknięte.

– W ciągu dnia? – zdziwił się Rojer. – Zazwyczaj stoją otworem dla drwali i ich zaprzęgów.

Powoził teraz wozem z kryjówki Naznaczonego. Do wozu zaprzężono konia Leeshy. Dziewczyna siedziała za Rojerem, wśród worów z książkami i innymi przedmiotami, których celem było zamaskowanie drugiego dna. W specjalnie stworzonej skrytce znajdowało się sporo runicznej broni i jeszcze więcej złota.

– Może Rhinebeck bierze krasjańskie zagrożenie poważniej, niż sądzimy – stwierdziła Leesha.

W istocie, gdy podróżni podjechali bliżej, ujrzeli strażników uzbrojonych w naładowane kusze i cieśli wykańczających otwory strzelnicze w niższych partiach murów. Bramy, których niegdyś strzegło dwóch ludzi, teraz obsadzone były przez kilkunastu zbrojnych, czujnych i trzymających włócznie w pogotowiu.

– Opowieść Maricka zapewne wywołała panikę – zgodził się Naznaczony. – Ale założę się, że zadaniem strażników jest nie tyle odpieranie krasjańskich ataków, co powstrzymywanie napływu uchodźców.

– Przecież książę nie odmówiłby tym ludziom schronienia! – oburzyła się Leesha.

– Czemu nie? – spytał Naznaczony. – Książę Euchor gdzieś ma żebraków, którzy co noc śpią na pozbawionych runów ulicach Miln.

– Hej, wy! Co was sprowadza do miasta? – wykrzyknął strażnik.

Naznaczony naciągnął mocniej kaptur na twarz i ukrył się na tyłach grupy.

– Przybywamy z Zakątka Wybawiciela! – zawołał Rojer. – Jestem Rojer Bezpalczy, Minstrel z licencją Gildii, a oto są moi towarzysze.

– Bezpalczy? – zapytał strażnik. – Ten skrzypek?

– Tenże sam! – zawołał Rojer, unosząc подарowany mu przez Naznaczonego instrument, już z nowymi strunami.

– Słyszałem raz, jak grasz – burknął strażnik. – A reszta?

– To Leesha, Zielarka z Zakątka, swego czasu podwładna pani Jizell ze szpitala w Angiers. – Rojer wskazał dziewczynę. – Reszta to Rębacze, którzy stanowią naszą eskortę: Gared, Wonda i, eee... Flinn.

Wonda syknęła pod nosem. To samo imię nosił jej ojciec, który zginął w bitwie o Zakątek Drwali ledwie rok temu. Rojer natychmiast pożałował, że przyciągnął uwagę do Naznaczonego.

– Dlaczego zakrywa twarz? – Strażnik wskazał na towarzysza Minstrela.

Rojer pochylił się i szepnął:

– Jego twarz, niestety, została poznaczona szponami demonów. Nie lubi pokazywać swojego kalectwa.

– Czy to prawda, co ludzie mówią? Czy w Zakątku naprawdę zabija się demony? Podobno sam Wybawiciel tam zstąpił, przynosząc wojenne runy z dawnych lat.

– Ten tu Gared osobiście zabił całe tuziny demonów. – Rojer wskazał towarzysza.

– Czegóż bym nie oddał, by takie runy wymalowano mi na włóczni – oznajmił inny strażnik.

– Przybyliśmy tu na handel. Twoje marzenie spełni się szybciej, niż ci się wydaje.

– To właśnie wieziecie? – zapytał strażnik. – Broń?

Słyszając te słowa, kilku zbrojnych podeszło bliżej, by przyjrzeć się ładunkowi.

– Nie, broni nie mamy – rzekł Rojer, choć w gardle mu zaschło na myśl o skrytce.

– Nie, to chyba tylko książki z runami – rzucił któryś z żołnierzy, otwórzysz jeden z worków.

– Należą do mnie – oznajmiła Leesha. – Jestem Patronką Runów.

– Przed chwilą słyszałem, że jesteś Zielarką.

– Pełnię obie funkcje – odparła dziewczyna.

Żołnierz spojrzał na nią, a potem na Wondę i pokręcił głową.

– Kobiety walczą i zajmują się runami, nie do pomyślenia – parsknął. – W tych wsiach na wszystko im się pozwala.

Leesha aż się zjeżyła, ale Rojer uspokoił ją, kładąc dłoń na ramieniu.

Inny strażnik podszedł do Naznaczonego, siedzącego na grzbiecie Nocnego Tancerza. Większość wspaniałej zbroi ogiera została usunięta, lecz mimo to rumak zwracał na siebie uwagę, podobnie jak jego jeździec. Zbrojny zbliżył się, próbując zajrzeć pod kaptur Naznaczonego. Ten jak na życzenie uniósł nieco głowę i słońce na chwilę oświetliło mu

twarz.

Strażnik aż sapnął, cofnął się o krok, a potem popędził do swego zwierzchnika, nadal rozmawiającego z Rojerem. Szepnął dowódcy kilka słów do ucha i porucznik wytrzeszczył oczy.

– Otworzyć bramę! – zawołał. – Niech wjeżdżają!

Machnął kilkakrotnie i skrzydła rozchyliły się zapraszająco.

– Nie jestem pewien, czy poszło dobrze, czy źle – rzekł Rojer.

– Co się stało, to się nie odstanie – skomentował Naznaczony. – Ruszajmy, zanim rozniosą się plotki.

Wjechali na zatłoczone ulice wyłożone brukiem, by uniemożliwić otchłācom powstanie w obrębie bariery chroniącej miasto. Panowała tu taka ciżba, że musieli zeskoczyć z siodła i prowadzić wierzchowce, co znacznie spowolniło marsz, ale też pozwoliło Naznaczonemu skryć się między końmi lub za wozem.

O tym, by przeszli niespostrzeżenie, nie było jednak mowy.

– Jesteśmy śledzeni – oznajmił w pewnym momencie Naznaczony, gdy ulica stała się na tyle szeroka, by mógł się zrównać z wozem. – Jeden ze strażników podąża za nami od bramy.

Rojer obejrzał się i dostrzegł w oddali mundur, zanim strażnik skrył się za straganem.

– Co robimy? – zapytał.

– Przecież nie mamy wyboru – stwierdził Naznaczony. – Ostrzegłem cię tylko po to, byś wiedział.

Rojer dobrze znał labirynt uliczek Angiers i poprowadził towarzyszy okrężną drogą przez najbardziej zatłoczone dzielnice, mając nadzieję na zgubienie pościgu. Co chwila zerkał przez ramię, udając, że podziwia mijane kobiety lub towary sprzedawców, ale nadal dostrzegał mundur podążającego za wozem strażnika.

– Nie możemy tak krążyć w nieskończoność, Rojer – rzekła w końcu Leesha. – Udajmy się lepiej do Jizell, zanim zrobi się ciemno.

Rojer skinął głową i zawrócił wóz do szpitala, który wkrótce ukazał się ich oczom. Była to okazała, dwupiętrowa budowla, wykonana niemalże w całości z drewna, jak wszystkie inne budynki w Angiers. Z boku znajdowała się niewielka stajnia dla gości.

\* \* \*

– Pani Leesha? – zapytała ze zdumieniem dziewczyna zajęta sprzątaniami stajni.

– Tak, to ja, Roni – uśmiechnęła się Leesha. – Ależ ty wyrosłaś! Przykładałaś się do nauki podczas mojej nieobecności?

– Och, tak, pani! – odparła Roni, ale jej spojrzenie umknęło już ku Rojerowi, a potem ku Garedowi. Jako uczennica rokowała wielkie nadzieje, ale zanadto intrygowali ją mężczyźni. Liczyła sobie piętnaście lat i była w pełni dojrzała, gdyby przysła na świat na wsi, zapewne



już dochowałyby się własnych dzieci, lecz w Wolnych Miastach kobiety wydawano za mąż później i Leesha była z tego zadowolona.

– Biegnij powiedzieć pani Jizell, że przyjechaliśmy – powiedziała. – Nie miałam czasu napisać, stąd może nie mieć dla nas miejsca.

Roni skinęła głową i wybiegła ze stajni. Niedługo potem, gdy przybysze oporzadzali wierzchowce, usłyszeli za plecami krzyk:

– Leesha!

Dziewczyna odwróciła się i znalazła w objęciach pani Jizell. Jizell, która niebawem miała ukończyć sześćdziesiąty rok życia, pomimo swej tuszy nadal promieniała energią. Podobnie jak Leesha w przeszłości pobierała nauki od Bruny, a szpitalem w Angiers zarządzała od ponad dwudziestu lat.

– Dobrze cię widzieć! – oznajmiła i cofnęła się nieco. Na szczęście, gdyż szczupłutkiej, zgniecionej w uścisku Leeshy zaczynało już brakować tchu.

– Dobrze wrócić na stare śmieci! – odparła z uśmiechem Zielarka.

– Och, i młody pan Rojer! – zagrzmiała Jizell i przygarnęła nieszczęsnego chłopaka do obfitej piersi, miażdżąc go w podobnym uścisku jak wcześniej Leeshę. – Jestem twoją dłużniczką, gdyż nie dość, że odprowadziłeś Leeshę do Zakątka, to jeszcze przywiodłeś mi ją z powrotem!

– To drobiazg – odparł Rojer. – Jestem winien wam obu więcej, niż potrafię spłacić.

– Możesz zacząć odpracowywać dług, przygrywając dziś wieczór pacjentom.

– Jeśli nie masz gdzie nas przenocować, nie będziemy się narzucać – odezwała się Leesha. – Możemy zatrzymać się w gospodzie.

– Prędeż mnie Otchłań pochłonie – sprzeciwiła się Jizell. – Zostaniecie tutaj i nie ma o czym mówić. Mamy sporo spraw do omówienia, a poza tym dziewczęta będą chciały cię ujrzeć.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Leesha.

– Dobrze, a kim są twoi towarzysze? – Jizell już zwróciła się ku pozostałym. – Zaraz, pozwól mi odgadnąć – powiedziała, nim dziewczyna zdążyła otworzyć usta. – Przekonajmy się, czy wiernie opisujesz ludzi w swoich listach.

Zmierzyła wzrokiem Gareda i odchyliła nieco głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Ty to pewnie jesteś Gared Rębacz – odgadła.

– Tak, proszę pani – ukłonił się olbrzym.

– Z postury przypominasz niedźwiedzia, ale co za maniery! – oznajmiła Jizell i klepnęła go w muskularne ramię. – Chyba się zaprzyjaźnimy.

Następnie odwróciła się ku Wondzie, nie dając po sobie poznać, że widzi czerwone blizny na twarzy młodej kobiety.

– Wonda, ma się rozumieć? – zapytała.

– Tak, proszę pani – ukłoniła się luczniczka.

– Wygląda na to, że Zakątek jest pełen miłych olbrzymów – stwierdziła Jizell. Wedle angieriańskich standardów do niskich nie należała, ale Wonda i tak górowała nad nią wzrostem. – Witaj!

– Dziękuję, pani – odparła Wonda.

Wreszcie Jizell zwróciła się ku Naznaczonemu, który nadal skrywał twarz.

– Ty, jak sądzę, nie wymagasz przedstawienia – rzekła. – Przyjrzyjmy ci się zatem.

Luźne rękawy Naznaczonego opadły do łokci, gdy uniósł ręce, by zdjąć kaptur. Oczy Jizell rozwarły się szerzej na widok tatuaży, ale ujęła dłonie mężczyzny, ścisnęła je serdecznie i spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję ci za uratowanie życia Leeshy – powiedziała, a potem, nim zdążył zareagować, uścisnęła go mocno.

Zaskoczony spojrzał na Leeshę, otwartość starszej Zielarki wprawiła go w zakłopotanie.

– A teraz, skoro reszta z was zajmuje się końmi, chciałabym zamienić kilka słów z Leeshą na osobności – oznajmiła Jizell, a gdy wszyscy skinęli głowami, wprowadziła dawną podopieczną do szpitala.

Miejsce to było dla dziewczyny domem przez wiele lat i od razu poczuła radość na widok ciepłych znajomych wewnątrz, choć szpital wydał jej się mniejszy niż rok temu.

– Twój pokój jest nadal taki, jak go zapamiętałaś – rzekła Jizell, jakby czytała jej myśli. – Kadie i kilka starszych dziewczyn ciągle na to narzekają, ale jeśli o mnie chodzi, to twój pokój, chyba że zdecydujesz inaczej. Możesz tam spać, a pozostałych umieścimy na wolnych łóżkach w salach pacjentów.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– No, chyba że chciałabyś zaprosić kogoś ze swoich towarzyszy do siebie – dodała z porozumiewawczym mrugnięciem.

Leesha wybuchnęła śmiechem. Jizell nie zmieniła się nic a nic i nadal uparcie wyszukiwała dla niej partnera.

– Nie, dziękuję – odparła Leesha.

– Cóż za marnotrawstwo! – rzekła Jizell. – Mówiłaś, że ten Gared to przystojniak, ale słowem się nie zająknęłaś, jak jest zbudowany, a połowa Opiekunów i Minstreli w mieście szepcze, że twój Naznaczony to Wybawiciel. O Rojerze nie wspomnę, bo z takiej zdobyczy każda dziewczyna byłaby rada, a obie wiemy, jaką ma na ciebie ochotę.

– Jesteśmy z Rojerem przyjaciółmi – powiedziała Leesha. – To samo się tyczy pozostałych.

Jizell wzruszyła ramionami i zmieniła temat:

– Dobrze, że wróciłaś do domu.

– Nie na długo, Jizell. – Leesha położyła jej dłoń na ramieniu. – Moim domem jest teraz Zakątek Wybawiciela. Wieś się rozrosła w niewielkie miasto i każda Zielarka im się przyda. Nie stać mnie na długi pobyt u ciebie.

– Nie dość, że Zakątek zabrał mi Vikę, to teraz jeszcze ciebie – westchnęła Jizell. – Jeśli tak dalej pójdzie, równie dobrze mogę sprzedać kram i otworzyć sklep w Zakątku.

– Przydałyby się dodatkowe Zielarki, ale nie zaraz. Liczba uchodźców, których gościmy, trzykrotnie przewyższa liczbę mieszkańców. To teraz nie miejsce dla ciebie i dziewczyn.

– Lub miejsce, gdzie przydamy się najbardziej.

– Obawiam się, że jeszcze trochę, a będziecie mieć aż nadto uchodźców tutaj, w Angiers – pokręciła głową Leesha.

## Zachować pozory

333 ROK PLAGI, WIOSNA

– Otwierać, w imię księcia! – zabrzmiało tuż po świcie, a potem rozległo się walenie do drzwi, wciąż zamkniętych na noc.

Jizell oraz jej goście, nadal siedzący przy stole jadalnym, zamarli. Byli sami, gdyż uczennice już dawno spożyły posiłek, a teraz podawały jedzenie pacjentom.

Rojer odniósł wrażenie, że upłynęły długie minuty, ale w rzeczywistości po ledwie kilku sekundach Jizell otarła usta i wstała.

– Cóż, trzeba zobaczyć, o co tam chodzi. Nie wstawajcie, proszę, i dokończcie posiłek. Nie wiem, czego chce książę, ale nie warto stawiać temu czoła z pustym żołądkiem.

Wygladziła suknię i podeszła do drzwi. Ledwie wyszła z kuchni, a Rojer zerwał się i przyłgął do framugi, by podsłuchać rozmowę.

– Gdzie on jest? – zabrzmiał niski męski głos, gdy tylko Jizell otworzyła.

Rojer ukucnął i dyskretnie wyjrzał zza framugi – ledwie można było dostrzec jego oko i kosmyk rudych włosów. Potężny, wysoki mąż w błyszczącej zbroi górował nad panią Jizell. Znad ramienia wystawała mu piękna pozłacana włócznia, a na napierśniku nosił znak Drewnianego Żołnierza. Rojer od razu rozpoznał tę twarz z mocno zarysowaną szczęką.

– To brat księcia Rhinebecka, książę Thamos – szepnął do towarzyszy.

– Mamy wielu pacjentów, Wasza Wysokość – w głosie Jizell znać było raczej zaskoczenie aniżeli lęk. – Poproszę o więcej szczegółów.

– Nie igraj ze mną, kobieto! – warknął książę, celując w nią palcem. – Doskonale wiesz...

– Wasza Wysokość, proszę! – przerwał mu inny głos, męski, lecz o wiele wyższy. – Przecież nie trzeba sięgać do gróźb!

Między Jizell a księciem wyrósł mężczyzna, jakby chciał ochronić Zielarkę przed

karzącym palcem Thamosa. Na pierwszy rzut oka stanowił jego całkowite przeciwieństwo – był człowiekiem drobnym, nikczemnej urody, z łysiną na czubku głowy i wychudłą twarzą. Ciemne, proste włosy opadały mu na kryzę, a podbródek wieńczyła skromna bródka. Na długi nos nasadził okulary w drucianych oprawkach, przez co jego oczy wyglądały jak małe czarne kropki.

– Janson, pierwszy minister księcia – poinformował Rojer towarzyszy.

Thamos zerknął na ministra, który aż zadrżał, jakby się bał, że książę go uderzy, potem na Jizell i znów na ministra, ale napięcie z niego uleciało i po chwili skinął głową.

– Dobra, Janson, niech będzie po twojemu.

– Przepraszam za... za najście, pani Jizell – ukłonił się pierwszy minister. – Niemniej chcieliśmy uprzedzić ewentualny wyjazd niektórych spośród twoich, eee... gości.

Jedną ręką przycisnął do piersi skórzaną tuleję na listy, a drugą poprawił okulary.

– Gości? – powtórzyła Jizell, a książę Thamos warknął.

– Chodzi o Flinna Rębacza – rzekł Janson.

Jizell nadal patrzyła nań bez wyrazu.

– O... O Naznaczonego – sprecyzował pierwszy minister. W spojrzeniu Jizell pojawiła się czujność. – Zapewniam, pani, że nic mu nie grozi – dodał szybko Janson. – Jego Łaskawość chciałby po prostu zadać mu kilka pytań, nim zdecyduje, czy udzieli audiencji.

Rozległ się szurgot odsuwanego krzesła. Rojer odwrócił się i ujrzał, jak Naznaczony, wstając, daje mu znak.

– Nie ma problemu, pani Jizell – powiedział młody Minstrel, podchodząc do drzwi.

Janson obrzucił go niechętnym spojrzeniem i zmarszczył nos.

– Rojer z Gospody – stwierdził raczej, niż spytał.

– Jestem zaszczycony, iż mnie pamiętasz, ministrze – ukłonił się Rojer.

Pozostali wyszli z kuchni w ślad za nim.

– Oczywiście, że cię pamiętam. Jakże mógłbym zapomnieć chłopca, którego przyprowadził Arrick, jedyne ocalałego po masakrze Rzczułki?

Towarzysze Minstrela spojrzeli nań ze zdumieniem.

– Niemniej – ciągnął Janson, nadal marszcząc nos – przysięgłbym, że w raporcie mistrza Gildii Chollsa z ubiegłego roku wyczytałem, że zaginałeś i najprawdopodobniej nie żyjesz.

Jego spojrzenie nabrało ostrości.

– Co gorsza, pozostawiłeś spory, niespłacony dług w Gildii, o ile się nie mylę.

– Rojer! – wykrzyknęła Leesha.

Rojer przybrał obojętny wyraz twarzy. Pieniądze, o których była mowa, stanowiły rekompensatę za złamanie nosa siostrzeńcowi ministra, Jasinowi, zwanemu Złotogłosym. Rzecz jasna, Jasin już pobrał opłatę we krwi.

– Przeszedłeś taki szmat drogi, by pogawędzić z Minstrelem? – spytał Naznaczony, występując przed Rojera. Kaptur okrywał cieniem twarz mężczyzny, przez co wydawał się

mroczny i złowieszczy nawet tym, którzy dobrze go znali. Thamos sięgnął do włóczni.

Janson drgnął nerwowo, spoglądając to na jednego, to na drugiego, ale szybko odzyskał rezon.

– W rzeczy samej – zgodził się, zapominając o Minstrelu z łatwością, jakby nie chodziło o osobę, a zwykłą księgę rachunkową. Przeształ z nogi na nogę, jakby zamierzał zaraz uskoczyć i skryć się za plecami księcia. – A więc to... to ty, tak? – zapytał.

Naznaczony odrzucił kaptur, ukazując księciu i ministrowi swe prawdziwe oblicze. Obaj wytrzeszczyli oczy, lecz poza tym nie dali po sobie poznać, iż ujrzeli coś niezwykłego.

Janson uklonił się nisko.

– To zaszczyt poznać cię, panie Flinn. Pozwól, że przedstawię księcia Thamosa, kapitana Drewnianych Żołnierzy, najmłodszego brata księcia Rhinebecka i trzeciego w kolejce do bluszczowego tronu. Jego Wysokość przybył tu jako moja eskorta.

Wskazał księcia, który skinął uprzejmie, choć w jego spojrzeniu nadal kryło się wyzwanie.

– Wasza Wysokość. – Naznaczony pochylił głowę zgodnie ze zwyczajem przyjętym w Angiers. Leesha dygnęła, a Rojer wykonał swój najlepszy ukłon. Minstrel wiedział, że Naznaczony spotkał obu notabli, gdy pracował jako Posłaniec, lecz bez wątplenia nawet Janson, który słynął z doskonałej pamięci, nie rozpoznał dawnego sługi.

Janson zerknął na lewo, gdzie pojawił się mały chłopiec, do tej pory trzymający się z tyłu.

– Oto mój syn i asystent, Pawi – rzekł. Chłopiec liczył sobie góra dziesięć lat i był równie drobny jak ojciec, z identycznymi prostymi czarnymi włosami i twarzą podobną do pyska fretki.

Naznaczony uklonił się chłopcu.

– Miło mi poznać ciebie i twojego syna, panie.

– Proszę dać sobie spokój z tytułami, wystarczy Janson – rzekł pierwszy minister. – Przecież jestem równie nisko urodzony jak wy wszyscy, zwykłym urzędnikiem, tyle że piastuję wysokie stanowisko. Przepraszam też, jeśli uderza was moja niezdarność czy nieskładna mowa. Z reguły podobnych zadań podejmuje się książęcy herold, mój siostrzeniec, ale pechowo się złożyło, że przebywa on teraz poza miastem.

– Jasin Złotogłosy jest nowym heroldem księcia? – wykrzyknął Rojer.

Zwrócił tym na siebie uwagę zebranych, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Rok temu Jasin i jego czeladnicy ciężko pobili Rojera i jego mentora Jaycoba, po czym pozostawili obu na pastwę losu, gdy zapadły ciemności. Młody Minstrel ocalał tylko dzięki Leeshy i kilku odważnym strażnikom, którzy nie zawahali się położyć własnego życia na szali, by ich uratować. Niestety, mistrz Jaycob nie przeżył. Mimo to Rojer nigdy nie złożył skargi i udawał, że nie pamięta napastników, z obawy, że Jasin skorzysta z kontaktów swego wuja i uniknie kary, po czym zacznie szukać zemsty na ocalałym z bijatyki.

Janson jednakowoż sprawiał wrażenie, że nie ma o tym pojęcia. Przyglądał się Rojerowi z

zaciekawieniem, jakby w istocie sprawdzał jakąś zapomnianą księgę.

– Ach, tak – rzekł po chwili. – Mistrz Arrick i Jasin swego czasu rywalizowali, nieprawdaż? Z pewnością nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że przegrał.

– Nie dowie się – odparł Rojer. – Został zabity na trakcie przez otchłańce trzy lata temu.

– Doprawdy? – Janson otworzył szerzej oczy. – Przykro mi to słyszeć. Arrick miał wiele wad, ale był świetnym heroldem i dobrze się zapisał w książęcej pamięci, nie tylko swoim bohaterstwem w Rzeczułce. Szkoda tylko, że był zamieszany w ów incydent w burdelu.

– Incydent w burdelu? – zapytała Leesha z rozbawieniem, patrząc na Rojera.

Janson natychmiast oblał się rumieńcem i głęboko uklonił Leeshy.

– Ach, proszę o wybaczenie, zacna pani, iż poruszam tak niedelikatne tematy w obecności damy. Nie chciałem urazić.

– Nie czuję się urażona – zapewniła młoda kobieta. – Jestem Zielarką i przez to nawykłam do niedelikatnych tematów. Mam na imię Leesha. – Wyciągnęła dłoń. – Mieszkam w Zakątku Wybawiciela.

Słyszając nową nazwę, którą mieszkańcy nadali swej osadzie, książę wydał wargi, a chłopiec zmarszczył nos, lecz Janson skinął jedynie głową i dodał:

– Z niemalym zainteresowaniem śledzę twoją karierę od czasu, gdy pobierałaś nauki u pani Bruny.

– Tak? – spytała zaskoczona dziewczyna, lecz Janson wyjaśnił cierpliwie:

– Nie powinno cię to dziwić. Co roku przeglądam spis ludności i zwracam uwagę na wybitnych obywateli księstwa, zwłaszcza takich jak Bruna, która była rejestrowana co roku od czasu pierwszego spisu. Ten zaś miał miejsce ponad wiek temu, za rządów Rhinebecka Pierwszego. Przyglądałem się jej czeladniczkom, zastanawiając się, która przejmie schedę. Z wielkim żalem powitałem wieść o śmierci pani Bruny rok temu.

Leesha ze smutkiem pokiwała głową. Minister Janson nie odzywał się przez chwilę z szacunku dla zmarłej, po czym odchrząknął.

– A skoro już o tym mowa, pani Leesho – poprawił okulary i zmierzył ją tym samym ostrym spojrzeniem co wcześniej Rojera – wasz coroczny spis spóźnia się już o całe miesiące.

Leesha zarumieniała się, a Rojer zachichotał za jej plecami.

– Ja... Cóż... Mieliśmy nieco...

– ...spraw na głowie w związku z zarazą – dokończył Janson, a potem zerknął na Naznaczonego. – I innych ważnych problemów, które oczywiście rozumiem. Ale twój ojciec z pewnością ci uświadomił, pani, że papier napędza gospodarkę kraju.

– Tak, panie ministrze – skinęła głową Leesha.

– Janson, litości! – wtrącił Thamos, odsuwając pierwszego ministra na bok. Obrzucił przy tym postać Leeshy drapieżnym spojrzeniem i Rojer aż się najeżył. – Zakątek dość ostatnio przeszedł. Odpuść im póki co te twoje biurokratyczne sprawy, które nie mają końca.

Janson zmarszczył brwi, ale uklonił się księciu.

– Wasza wola, panie.

– Książę Thamos, do usług. – Książę uklonił się nisko i ucałował dłoń Leeshy. Na policzki Zielarki wystąpił rumieniec i Rojer skrzywił się z niechęcią.

Janson odchrząknął i zwrócił się do Naznaczonego:

– Dość już tego szurania papierami. Czy możemy przejść do spraw, z którymi przysyła nas książę?

Naznaczony skinął głową, a Janson zwrócił się do Jizell:

– Pani, byłbym zobowiązany, gdybyś wskazała nam ustronne miejsce, gdzie można swobodnie porozmawiać...

Jizell zaprowadziła ich do własnego gabinetu.

– Przyniosę dzbanek z herbatą – dodała i wróciła do kuchni.

Książę Thamos podał Leeshy ramię, a ona ujęła je z lekkim oszołomieniem. Gared nie odstępował ich ani na krok, ale jeśli Zielarka czy książę zwrócili na niego uwagę, żadne nie dało tego po sobie poznać.

Pawi ujął tuleję z dokumentami ojca i przypadł do biurka pani Jizell, gdzie rozłożył stertę notatek oraz kilka czystych kart. Przygotował również przybory do pisania oraz bibułę, po czym przysunął krzesło dla ojca, który zasiadł, ujął pióro i zamoczył je w atramencie.

Niespodziewanie uniósł głowę.

– Nie macie nic przeciwko, rzecz jasna, bym zapisał treść naszej rozmowy dla księcia? – zapytał. – Wykreślę oczywiście wszystko, co uznacie za nieodpowiednie lub niedyskretne.

– W porządku – rzekł Naznaczony, a Janson pokiwał głową i zerknął na kartkę.

– A zatem – rozpoczął – jak już mówiłem pani Jizell, książę z ogromną ochotą przyjmie na audjencji przedstawicieli... khm... Zakątką Wybawiciela, ale zastanawia go, czy stanowicie autentyczną reprezentację miasteczka. Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego pan Smitt, Mówca Zakątką, nie przybył z wami? Przecież uczestnictwo w podobnych delegacjach stanowi prawny i bynajmniej nie jedyny obowiązek Mówcy, czyż nie?

Jego dłoń w oszłamiającym tempie stawiała kolejne szeregi drobnych, niemalże nieczytelnych znaków. Janson zapisywał nawet własne słowa i co chwila oszczędnie zanurzał pióro w kałamarzu, nie roniąc nawet kropli atramentu.

– Tak może myśleć każdy, kto nigdy nie mieszkał poza miastem, panie ministrze – parsknęła Leesha. – W trudnych czasach ludzie potrzebują Mówcy. Uchodźcy z Rizon nadal napływają, a ci, którzy już przybyli, nie mogą zaspokoić nawet najbardziej podstawowych potrzeb. Trudno więc, by w takiej chwili Mówca opuszczał wieś. Wysłał mnie w zastępstwie.

– Ciebie? – zapytał z niedowierzaniem Thamos. – Kobietę?

Leesha skrzywiła się, ale Janson odchrząknął głośno, nim zdążyła się odciąć.

– Sądzę, iż Jego Wysokość miał na myśli to, że stosownym zastępcą dla Mówcy w takiej właśnie sytuacji powinien być wasz Opiekun, Jona.

– Święty Dom jest zatłoczony uchodźcami potrzebującymi schronienia – odparła Leesha.



– Jona jest w tej samej sytuacji co Smitt.

– Dziwne, że Zakątek może się obyć bez Zielarki w tak trudnym okresie – rzucił prowokacyjnie Thamos.

– Dla Jego Łaskawości księcia Rhinebecka stanowi to problem – mówił Janson i patrzył na Leeszę, nie przerywając przy tym notowania. – Jak by to wyglądało, gdyby przyjął delegację z jednego ze swoich podległych siół, które nie szanuje bluszczowego tronu na tyle, by przysłać odpowiedniego Mówcę? Byłaby to zniewaga dla innych osad.

– Zapewniam, panie, że nie zamierzaliśmy nikogo znieważać – odparła Leesha.

– Nie? – zapytał ostro Thamos. – Wasz Mówca powinien tu przybyć bez względu na okoliczności! Przecież Zakątek Drwali – położył nacisk na drugi człon nazwy – leży zaledwie sześć nocy stąd! Zdaje się, że Zakątek tego tam Wybawiciela przesunął się gdzieś dalej!

– A co mam teraz waszym zdaniem uczynić, Wasza Wysokość? – zapytała Leesha. – Zmarnować kolejne dwa tygodnie na przywiezienie tu Smitta, gdy za progiem stoi wroga armia?

Księżę Thamos parsknął.

– Doprawdy proszę nie przesadzać! – rzekł Janson, nadal pisząc. – Księżęca rodzina wie wszystko o krasjańskim najeździe na Rizon, ale niebezpieczeństwo grożące ziemiom księstwa Angiers jest znikome.

– Na razie – odparł Naznaczony. – Ale to nie są zwykłe najazdy. Fort Rizon i wie otaczające miasto ongiś stanowiły spichlerz całej Thesy, a teraz znalazły się pod kontrolą Krasjan. Najeźdźcy spędzą może rok na podbitych terytoriach, zaciągną nowe oddziały spośród Rizończyków i przeszkolą je, a potem pochłoną Lakton. Być może upłyną całe lata, zanim ruszą na północ, ku waszemu miastu, ale zapewniam was, uczynią to na pewno. Jeśli chcecie stawić im czoła, będziecie potrzebowali sojuszników.

– Nawet jeśli twoje bujdy są chociaż częściowo prawdą, Fort Angiers nie obawia się garstki pustynnych szczurów! – warknął Thamos.

– Wasza Wysokość, proszę! – pisnął Janson. Gdy księżę ucichł, Janson zwrócił się ku Naznaczonemu. – Czy mogę wiedzieć, skąd tyle wiesz o krasjańskich planach, panie Flinn?

– Czy masz egzemplarz świętej księgi Krasjan w swoich archiwach, ministrze? – spytał Naznaczony.

Spojrzenie Jansona zamgliło się na moment, jakby sprawdzał niewidzialną listę.

– Tak, nazywa się Evejah.

– Zalecam zatem jej lekturę. Krasjanie wierzą, że ich przywódca jest reinkarnacją Kajiego, Wybawiciela. Toczą właśnie swoją Wojnę w Blasku Dnia.

– Wojnę w Blasku Dnia? – zdziwił się Janson.

Naznaczony pokiwał głową.

– Evejah opisuje, jak Kaji podbił cały znany świat i zjednoczył go pod swoimi rozkazami, by wspólnie ruszyć na otchłańce. Jardir będzie chciał uczynić to samo. Po każdym

zwycięstwie nastąpi zapewne okres konsolidacji, podczas którego JarDir będzie łamał opór swoich nowych poddanych i zmuszał ich do przyjęcia prawa Evejah – przy tych słowach zmierzył Jansona i Thamosa twardym spojrzeniem. – Naiwnością jednak byłoby sądzić, że Krasjanie zaniechają dalszych podbojów.

Księżę odpowiedział dumnym, zuchwałym spojrzeniem, ale Janson pobladł zauważalnie. Pomimo chłodu poranka na jego twarzy pojawiły się krople potu.

– Sporo wiesz o Krasjanach jak na Rębacza, panie Flinn – zauważył.

– Spędziłem trochę czasu w Forcie Krasja – odparł Naznaczony.

Janson znów coś zapisał swymi osobliwymi gryzmołami.

– Rozumiesz już, dlaczego musimy porozmawiać z Jego Łaskawością, ministrze – rzekła Leesha. – Krasjan stać na to, by się nie spieszyć. Dzięki spichlerzom zajęтым w Rizon mogą żywić swoją armię w nieskończoność nawet po odcięciu szlaków handlowych z Północą.

Janson nawet nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Są ludzie, którzy utrzymują, że to ty jesteś Wybawicielem – powiedział do Naznaczonego.

– A ja jestem oswojonym otchłańcem – burknął Thamos pod nosem.

Naznaczony zlekceważył zaczepkę i nie spuszczał wzroku z ministra.

– Nie domagam się tego i nigdy się tego nie domagałem – odparł.

Janson potaknął, nie przestając pisać.

– Jego Łaskawość przyjmie to oświadczenie z wielką ulgą. Z kolei co do runów wojennych...

– Runy... – zaczęła Leesha, ale przerwał jej Naznaczony:

– Oczywiście ujawnimy je wszystkim za darmo – oznajmił, a widząc zaskoczone spojrzenia zebranych, dodał: – Otchłańce są wrogiem całej ludzkości, ministrze. To jedyna kwestia, w której zgadzam się z Krasjanami. Nie odmówię runów nikomu, kto chciałby walczyć za ich pomocą.

– O ile w ogóle działają – mruknął Thamos.

Naznaczony wreszcie spojrział księciu prosto w oczy. Nawet ktoś tak pełen dumy jak Thamos nie był w stanie znieść jego wzroku i po chwili opuścił oczy.

– Wonda! – rzucił Naznaczony, nie patrząc na młodą kobietę. Ta drgnęła, słysząc własne imię. – Podaj mi strzałę ze swojego kołczanu.

Wyciągnął rękę, a Wonda posłusznie włożyła w nią strzałę. Naznaczony ułożył pocisk na dłoni i zaprezentował księciu, nie kłaniając się jednak, stojąc przed nim jak równy przed równym.

– Wypróbujcie ją, Wasza Wysokość – rzekł. – Stańcie dziś w nocy na murze i każcie najlepszemu ze swoich strzelców posłać tę strzałę w największego demona. Sami zdecydujecie, czy działa, czy nie.

Thamos cofnął się, a potem szybko wyprostował, jakby się obawiał, że zebrani uznają, iż

złakł się Naznaczonego. Skinął głową i wziął strzałę.

– Tak też się stanie.

Pierwszy minister odsunął krzesło i wstał, a Pawi doskoczył, by nakryć bibułą mokre jeszcze kartki i wsunąć je do tulei. Zebrał również pióro oraz kałamarz i wytarł blat, gdy tymczasem Janson Podszedł do księcia Thamosa.

– To chyba póki co wszystko – rzekł minister. – Jego Łaskawość przyjmie was jutro w zamku, godzinę po świcie. Przyślę po was powóz, by uniknąć... khm... nieprzyjemności, gdyby – jego spojrzenie umknęło na moment ku Naznaczonemu – ujrzano was na ulicach.

Naznaczony uklonił się.

– Dziękujemy bardzo.

Leesha i Rojer również się pokłonili.

– Ministrze – odezwała się nagle Leesha, podchodząc do niego bliżej i zniżając głos – słyszałam, że Jego Łaskawość pragnie spłodzić potomka.

Thamos nachmurzył się, ale Janson uniósł dłoń, powstrzymując księcia od mówienia.

– To, iż bluszczowy tron nie ma następcy, nie stanowi żadnej tajemnicy – odrzekł spokojnie.

– Pani Bruna specjalizowała się w leczeniu bezpłodności – wyjaśniła Leesha. – I przekazała mi swój talent. Byłabym zaszczycona, gdyby pozwolono mi przeprowadzić badania, jeśli księżę wyrazi takie życzenie.

– Mój brat jest w stanie spłodzić potomka bez niczyjej pomocy – warknął Thamos.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – dygnęła Leesha. – Niemniej uznałam, iż być może warto przebadać księżną, gdyby to ona miała trudności.

Janson zmarszczył brwi.

– Dziękuję za szczerą propozycję, pani, ale Jej Wysokość ma własne Zielarki i osobiście odradzałbym podejmowanie tego tematu przed obliczem Jego Wysokości. Przekażę twoją ofertę, pani, nieoficjalną drogą.

Była to dość mglista obietnica, niemniej Leesha skinęła głową i nie odezwała się już ani słowem. Minister wraz z księciem skierowali się do drzwi, lecz nim wyszli, Janson odwrócił się jeszcze do Rojera.

– Mam nadzieję, że odwiedzisz Gildię, by sprecyzować swój status i uregulować długi przed ponownym opuszczeniem miasta?

– Tak – odparł Minstrel ponuro.

– Jestem pewien, iż opowieści o twoich niedawnych przygodach pomogą ci spłacić należności, niemniej mam nadzieję, że okażesz dyskrecję co do pewnych – przy tych słowach znów zerknął na Naznaczonego – subiektywnych interpretacji niektórych wydarzeń. Liczę też, że sensacyjne interpretacje nie okażą się nazbyt kuszące.

– Oczywiście, panie ministrze. – Rojer poparł swe słowa głębokim ukłonem.

– A zatem do widzenia – oznajmił Janson i wraz z księciem wyszli ze szpitala.

– Incydent w burdelu? – zapytała Leesha.

– Nawet cała chmara drzewnych demonów nie skłoniłaby mnie, bym ci o tym opowiedział – rzekł Rojer. – Tak więc równie dobrze możesz dać sobie spokój z pytaniami.

\* \* \*

Leesha patrzyła przez okno w kuchni Jizell, jak podjeżdża powóz, na którego szerokich drzwiach znajdował się herb Rhinebecka – drewniana korona na tronie porośniętym bluszczem. Powozowi towarzyszył książę Thamos w pełnej zbroi, dosiadający ogromnego ogiera, oraz pieszy oddział elitarnych gwardzistów zwanych Drewnianymi Żołnierzami.

– Przywiedli tu całą armię – powiedział Rojer, który stanął za nią i wyjrzał przez okno. – Nie mam pojęcia, czy jesteśmy chronieni, czy więzieni.

– A niby czemu dzień miałby różnić się od nocy? – zapytał Naznaczony.

– Może książę zawsze tak postępuje z ludźmi, których zaprasza na audiencję – rzekła Leesha.

Rojer pokręcił głową.

– Jechałem tym powozem wielokrotnie, kiedy Arrick był heroldem. Nigdy w mieście nie towarzyszyli mu Drewniani Żołnierze.

– Zapewne przetestowali strzałę zeszłej nocy – domyśliła się Leesha. – To zaś oznacza, że wiedzą, iż nie opowiadamy kłamstw.

– Co ma być, to będzie. – Naznaczony wzruszył ramionami. – Lepiej, aby to była eskorta. W przeciwnym razie Rhinebeckowi zostanie banda kalek.

Leesha otworzyła szeroko usta, lecz nim zdołała odpowiedzieć, Naznaczony wyszedł na dziedziniec przed szpitalem. Reszta ruszyła w ślad za nim.

Lokaj w powozie ustawił małe schodki i przytrzymał drzwi. Thamos przyglądał się wsiadającym z grzbietu rumaka, tylko Naznaczonego powitał skinieniem głowy. Gdy cała trójka wsiadła, powóz ruszył ku pałacowi Rhinebecka, terkocząc po bruku.

Zamek książęcy był w okolicy jedyną budowlą, którą w całości wzniesiono z kamienia, stanowił też niezwykle popis bogactwa. Podobnie jak w przypadku księcia Euchora z Miln, zamek Rhinebecka był niewielką samowystarczalną fortecą w obrębie murów miasta. Zamek otaczała otwarta przestrzeń, miał także osobne mury obronne, mierzące sobie trzydzieści stóp i pokryte ogromnymi runami, rytymi, a następnie wypełnionymi lakierem. Wyglądały na niezniszczalne, choć nigdy nie zostały sprawdzone przez przeciwnika silniejszego niż samotny demon wichrowy. Gdyby obrona Angiers została przełamana i do miasta wtargnęłyby horda demonów, Rhinebeck mógłby po prostu zamknąć bramy i bezpiecznie doczekać świtu, nawet gdyby wokół rozpętała się pożoga. Po przekroczeniu bramy powóz minął prywatne ogrody i pastwiska księcia, wśród których wznosiły się dziesiątki budynków przeznaczonych dla służących i rzemieślników. Minęła dłuższa chwila, nim orszak dotarł do

pałacu, imponującej kilkupiętrowej budowli z wieżyczkami obserwacyjnymi wznoszącymi się ponad barierą runiczną.

Runy chroniące pałac stanowiły istne dzieło sztuki i Leesha wyczuła magię kryjącą się w symbolach. Jej oczy przemknęły po niewidzialnych liniach mocy, które tworzyły ochronną sieć.

– Proszę za mną – powiedział książę Thamos do Naznaczonego, gdy powóz zatrzymał się przed wejściem. Leesha zmarszczyła brwi, gdy szła za księciem, zastanawiając się, czy ze względu na Naznaczonego będzie ignorowana przez całą rozmowę. Arlen wielokrotnie powtarzał, że nie weźmie na siebie odpowiedzialności za Zakątek, podobnie jak Marick, który nie poczuwał się do obowiązku wobec uchodźców z Rizon. Czy Leesha mogła zatem zaufać wytatuowanemu mężczyźnie, że przedłoży dobro miasteczka ponad własne korzyści?

Sklepienie sieni pałacowej wznosiło się wysoko, lecz w olbrzymiej sali nie było ani jednego petenta. Książę nie zaprowadził jednak Naznaczonego, Rojera i Leeshy do głównej sali tronowej, ale powiódł ich korytarzami o podłogach wyściełanych grubymi dywanami i ścianach obwieszonych tkaninami oraz obrazami. Grupa dotarła wreszcie do poczekalni z kanapami obitymi aksamitem i marmurowym kominkiem, w którym huczał ogień.

– Zasiądźcie i poczekajcie na wezwanie księcia – polecił Thamos. – Służba poda wam przekąski.

– Dziękuję – rzekł Naznaczony, gdy pojawił się lokaj z tacą z napojami i niewielkimi kanapkami. Dwóch Drewnianych Żołnierzy stało sztywno wyprostowanych, trzymając włócznie w pogotowiu.

Czas płynął, a Rojer, znudzony oczekiwaniem, w końcu zaczął zonglować pustymi filiżankami.

– Jak sądzicie, ile jeszcze Rhinebeck każe nam czekać? – zapytał, wybijając stopami rytm, łapiąc i rzucając filiżanki swą okaleczoną dłonią.

– Na tyle długo, by dać nam do zrozumienia, że to on jest panem sytuacji – odparł Naznaczony. – Książęta zawsze sobie życzą, by czekano pod ich drzwiami. Im ważniejszy gość, tym dłużej będzie liczył włókna w dywaniku przed salą tronową. To nużąca gra, ale jeśli Rhinebeck czuje się przez to bezpieczny, niech sobie gra, jak mu się żywnie spodoba.

– Szkoda, że nie wzięłam robótki – poskarżyła się Leesha.

– Mam kilka nieskończonych, moja droga – rozległ się spokojny głos za plecami oczekujących. – Rozpoczynanie pracy zawsze dobrze mi szło, ale nigdy jakoś nie udawało mi się skończyć.

Leesha odwróciła się i ujrzała w progu ministra Jansona trzymającego pod ramię szacowną damę, która liczyła sobie chyba z osiemdziesiąt lat.

Rojer aż podskoczył wystraszony, a Leesha skrzywiła się, gdy jedna z filiżanek, którymi zonglował, uderzyła o podłogę. Na szczęście odbiła się od grubego dywanu i nie pękła.

Dama zmierzyła Rojera spojrzeniem, z którego Elona byłaby dumna.

– Jak widzę, Arrick nigdy nie zabrał się do uczenia cię dobrych manier – oznajmiła, a policzki Rojera oblał rumieniec o wiele bardziej jaskrawy niż jego włosy.

Była drobną kobietą, nawet jak na standardy angierskie, ledwie pięć stóp od białej krasjańskiej koronki wzdłuż rąbka szerokiej sukni z zielonego aksamitu po lakierowany drewniany diadem, ułożony na mocno upiętych siwiuteńkich włosach. Diadem był oprawiony w złoto i zdobiony cennymi klejnotami. Dama, chuda niczym trzcina i lekko przygarbiona, wspierała się na ramieniu ministra dłonią o pomarszczoną, niemalże przejrzystą skórę. Wysoki aksamitny kołnierz otaczający jej szyję zdobił szmaragd wielkości piąstki małego dziecka.

– Pozwólcie, że przedstawię Jej Łaskawość Lady Araine, Księżną Matkę i rodzicielkę Jego Łaskawości księcia Rhinebecka Trzeciego, Strażnika Leśnej Fortecy...

– Tak, tak – przerwała mu Araine. – Wszyscy ludzie na tym świecie znają tytuły mojego syna, a ja wcale nie staję się młodszą od tego, że recytujesz mi je po raz tysięczny w tym tygodniu, Janson.

– Proszę o wybaczenie, moja pani. – Minister ukłonił się lekko.

Leesha dygnęła, a mężczyźni pochylili głowy. Wonda zaś, która nosiła męskie spodnie i nie miała spódnicy, którą mogłaby rozłożyć, przyjęła niezdarną pozę, której do pokłonu było równie daleko jak do dygnięcia.

– Jeśli masz zamiar nosić się jak mężczyzna, dziewczyno, to kłaniaj się również jak mężczyzna – oznajmiła Araine i zarumieniona po uszy Wonda pokłoniła się głęboko.

Staruszka burknęła ukontentowana i zwróciła się do Leeshy.

– Przybyłam tu, by uwolnić cię od męczącego towarzystwa mężczyzn, moja droga. – Zerknęła przy tym na Wondę. – I tę młodą damę również.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Łaskawość – Leesha dygnęła po raz drugi – niemniej pełnię obowiązków Mówczynie Zakątka Wybawiciela i muszę tu pozostać na czas audiencji.

– Cóż za bzdura – zachnęła się Araine. – Kobieta Mówcą? Może w takim Miln pozwalają sobie na podobną frywolność, ale w Angiers szanuje się tradycję. Kobiety nie zostały stworzone po to, by zajmować się sprawami państwowymi.

Księżna puściła ramię Jansona i przyłgnęła do Leeshy, ciągnąc ją ku drzwiom, udając, że brak jej sił i jest zmuszona oprzeć się na Zielarce.

– Pozostaw mężczyzn z ich księgami rachunkowymi i proklamacjami – dodała. – My sobie pogawędzimy o bardziej kobiecych sprawach.

Leeshę zaskoczyła siła starszej kobiety. Księżna nie była wcale tak krucha, jak się wydawało. Niemniej perspektywa siedzenia po próżnicy wśród ustrojonych dam i przysłuchiwania się jałowemu rozmowom o modzie i pogodzie, podczas gdy mężczyźni rozprawiają o przyszłości Zakątka, była dla Leeshy nie do przyjęcia.

Janson pochylił się ku Zielarce, która usiłowała opierać się starszej pani.

– Niemądrze jest rozgniewać księżną – szepnął. – Zalecałbym nie sprzeciwiać się jej

kaprysom. Księżę tak czy owak każe na siebie jeszcze jakiś czas czekać, a ja przyjdę po ciebie, pani, gdy audiencja się rozpocznie.

Leesha zerknęła na niego, lecz twarz ministra była nieprzenikniona. Zmarszczyła brwi i niechętnie pozwoliła księżnej, by wyciągnęła ją z poczekalni. Nie należało narażać się rodzinie panującej.

\* \* \*

– Kobiece skrzydło znajduje się z tej strony, moja droga – rzekła Araine, prowadząc Leeszę długim, bogato zdobionym korytarzem. Nie licząc skarbcza Naznaczonego, Zielarka nigdy wcześniej nie widziała takiego zbytku jak w pałacu. Jej ojciec był kiedyś najbogatszym człowiekiem w Zakątku Drwali, ale majątek Erny’ego w porównaniu z książęcym przypominał ochłapy rzucone psom po wielkiej uczcie. Każdy krok w zamku tłumili puszyste, gęste dywany, utkane w bajeczne wzory, ściany zdobiły tkaniny oraz marmurowe posągi. Wymalowany na złoto sufit mienił się w blasku świeczników.

We wszystkich osadach Angiers głodowali uchodźcy z Rizon, ale czy członkowie rodziny panującej, otoczeni takim zbytkiem, naprawdę mogli to zrozumieć? Leeshy przyszła na myśl jej własna matka, która zawsze dbała w pierwszej kolejności o własne wygody, a o innych troszczyła się tylko na pokaz.

Araine z początku szła powoli, szurając stopami, ale z każdą chwilą jej kroki stawały się mocniejsze i wątpła starszka wiodła młodszą kobietę przez ogromny pałac niczym mężczyzna prowadzący partnerkę w tańcu. Wonda szła za nimi w ciszy, aż minęły ostatnie drzwi, dopiero wtedy księżna zaszczyliła ją spojrzeniem.

– Bądź taka dobra i zamknij drzwi – powiedziała, a gdy Wonda zatrasnęła masywne dębowe wrota, dodała: – O, co za miła dziewczyna. Dobrze, a teraz przyjrzyjmy się tobie.

Ostatnie słowa skierowane były do Leeshy. Starszka pociągnęła ją za ramię i dziewczyna chcąc nie chcąc zawirowała jak fryga. Księżna pani zmierzyła ją wzrokiem i wyduła lekko usta.

– A więc to ty jesteś tym genialnym dzieckiem, z którego tak dumna była Bruna – stwierdziła takim tonem, jakby chciała podkreślić, że bynajmniej nie jest pod wrażeniem. – Ile masz lat, dziewczyno? Dwadzieścia pięć?

– Dwadzieścia osiem – odparła Leesha.

Araine parsknęła.

– Bruna mawiała, że Zielarka przed pięćdziesiątką jest guzik warta.

– Znaliście Brunę, Wasza Łaskawość? – zapytała zaskoczona Leesha.

Araine zachichotała.

– Znałam? Ta stara wiedźma wyciągnęła mi dwóch książąt spomiędzy nóg, więc chyba mogę uznać, że ją znałam. Pether przyszedł na świat prawie pięćdziesiąt lat temu, a już wtedy

Bruna była niemalże tak stara jak ja w tej chwili. Thamos urodził się dziesięć lat później – ogromne niemowlę, podobnie jak jego bracia, a ja już nie byłam pierwszej młodości i potrzebowałam doświadczonej położnej. Bruna liczyła już sobie ponad osiemdziesiąt lat i nie kwapiła się do wyjazdu z Zakątka, gdy posłałam herolda, by błagał ją na kolanach. Nie przestała marudzić ani przez chwilę, ale mimo to spakowała się i przyjechała, a potem została w pałacu na długie miesiące. Przyjęła nawet dwie dziewczyny na naukę, Jizell i Jessę.

– Jessę? – zapytała Leesha. – Nigdy nic o niej nie wspominała.

– Ha! – parsknęła Araine. – Nic dziwnego.

Leesha spodziewała się, że księżna powie coś więcej na temat nieznaney uczennicy, ale staruszka Powróciła do Bruny:

– Gdyby zechciała, mianowałabym ją księżką Zielarką, lecz ta przeklęta stara wiedźma wróciła do domu zaraz po przecięciu pępownicy Thamosa. Powiedziała, że gardzi tytułami, a jedyne, co się dla niej liczy, to jej dzieci w Zakątku. Czy to właśnie czujesz, dziewczyno? – spytała nagle, patrząc na Leeszę badawczo. – Czy Zakątek jest dla ciebie wszystkim? Czy odpowiedzialność za osadę jest ważniejsza niż powinności wobec bluszczowego tronu?

Leesha spojrzała jej w oczy i skinęła głową.

– Tak.

Araine patrzyła długą chwilę, zupełnie jakby czekała, aż Leesha mrugnie, ale w końcu mruknęła z zadowoleniem.

– Gdybyś udzieliła innej odpowiedzi, nie zaufałabym już ani jednemu twemu słowu. Ach, przejdźmy do ważniejszych spraw. Janson utrzymuje, że odziedziczyłaś talent Bruny w leczeniu bezpłodności.

Leesha znów skinęła głową.

– Bruna wtajemniczyła mnie w arkana, a ponadto mam za sobą lata praktyki.

Araine znów przeszła ją baczny spojrzeniem.

– Nie aż tyle tych lat było – stwierdziła. – Ale póki co wybaczę ci brak doświadczenia. Nie zaszkodzi, jak ją przebadasz. Wszyscy inni mają już to za sobą.

– Ją?

– Księżną – rzekła Araine. – Moją ostatnią synową. Chcę wiedzieć, czy to dziewczyna jest bezpłodna, czy mój syn.

– Nie ustalę obu tych rzeczy, badając jedynie księżną.

– Byłoby szczytem bezczelności, gdybyś twierdziła, że to potrafisz. Ale zajmijmy się najpierw jedną rzeczą – zbadaj dziewczynę.

– Oczywiście – rzekła Leesha. – Czy jest coś, co możecie mi, pani, powiedzieć o Jej Wysokości, nim przystąpię do badań?

– Jest zdrowa i energiczna jak żrebak, ma mocną budowę ciała i szerokie biodra – odparła Araine. – Nie jest może najbystrzejszą kobietą na świecie, ale tego właśnie Angieriańczycy oczekują od dam. Jej bracia są stosunkowo sprytni, a więc zakładam, że to cecha nabyta, a nie



wrodzona. Po ostatnim rozwodzie Rhinebecka osobiście wybrałam ją z grona rokujących nadzieję młodych panien, mając na uwadze głównie potencjał rozplodowy. Lady Melny jest najmłodsza z dwanaściorga rodzeństwa, lecz ma tylko trzy siostry. Wszystkie urodziły już własne dzieci – dwóch chłopców na jedną dziewczynkę. Jeśli ktokolwiek jest w stanie dać bluszczowemu tronowi dziedzica, jest to właśnie Melny. Oczywiście mojego syna interesował głównie rozmiar jej piersi, ale na szczęście nawet tak wielkie niemowlę jak Rhiney ma co ssać.

– Od jak dawna są małżeństwem? – zapytała Leesha, ignorując komentarze księżnej.

– Od roku – odparła Araine. – Księżęca Zielarka nie przestaje warzyć naparów pobudzających płodność, a na czas płodnych dni nakazuje Jansonowi zamykać burdele, ale mimo to małżonka księcia nadal krwawi równie regularnie jak przed ślubem.

Araine prowadziła Leeszę przez labirynt prywatnych korytarzy i schodów wykorzystywanych przez kobiety z rodziny panującej. Dostrzegła służące, ani jednego mężczyzny. W końcu obie kobiety znalazły się w luksusowej sypialni pełnej aksamitnych poduszek i krasjańskich jedwabii. Młoda księżna stała przed jednym z wielkich witraży i spoglądała na miasto. Miała na sobie szeroką zielono-żółtą suknię, krótszą z przodu i ściągniętą mocno w talii. Na jej wysoko upiętych włosach spoczywała złota tiara wysadzana klejnotami, a twarz zdobił zmysłowy makijaż. Była gotowa w każdej chwili odpowiedzieć na wezwanie księcia. Nie mogła sobie liczyć więcej niż szesnaście lat.

– Melny, oto pani Leesha z Zakątką Drwali – przedstawiła ją Araine.

– Zakątką Wybawiciela – poprawiła ją Leesha, na co Araine zareagowała jedynie uśmiechem pobłażania.

– Pani Leesha zna się doskonale na zwalczaniu bezpłodności – ciągnęła Araine – i zaraz cię przebada. Zdejmij suknię.

Dziewczyna skinęła głową i bez chwili wahania sięgnęła do sznurków gorsetu. Nie było wątpliwości, kto sprawuje prawdziwą władzę wśród kobiet księcia. Służące przypadły do księżnej małżonki, by pomóc z zapięciami, i po chwili suknia została ułożona obok łóżka.

– Zbadaj ją, jak chcesz – mruknęła Araine Leeszy do ucha. – Tę dziewczynę szturchano i nadzieevano częściej niż byle zdzirę za pół miedziaka.

Leesha pokręciła głową ze współczuciem dla biednej księżnej, ale zaraz pochyliła się i otworzyła sakwę z ziołami, skąd wyjęła kolekcję buteleczek i tamponów. Miała nadzieję, że ta chwila nastąpi, stąd wyposażyła się w odpowiednie chemikalia.

Młoda księżna stała potulnie i nie wymówiła słowa skargi, gdy Leesha przystąpiła do badań, ale gdy Zielarka przyłożyła ucho do jej klatki piersiowej, przekonała się, że serce Melny bije jak szalone. Była przerażona tym, co się z nią stanie, jeśli, jak jej poprzedniczki, nie zdoła urodzić potomka. Leesha zaś zastanawiała się, czy księżna Melny miała coś do powiedzenia w kwestii ślubu, czy też w myśl ogólnie przyjętego zwyczaju małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców, którzy nie zapytali córki o zdanie.

Leesha pobrała próbkę moczu oraz wydzieliny pochwowej, po czym zmieszała je ze środkami chemicznymi i odstawiła na chwilę. Pomacała łono dziewczyny, posunęła się nawet do tego, że wsunęła palec, by zbadać szyjkę macicy. W końcu uśmiechnęła się do księżnej.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, Wasza Wysokość. Dziękuję za współpracę. Proszę się ubrać.

– Dziękuję ci, pani – rzekła żona Rhinebecka. – Mam nadzieję, że uda ci się odkryć, co jest ze mną nie tak.

– Nie sądzę, by było coś z wami nie tak, pani – odparła Leesha. – Niemniej jeśli coś należy poprawić, proszę być spokojną, damy sobie z tym radę.

Młoda księżna uśmiechnęła się słabo i pokiwała głową. Z pewnością usłyszała to od tuzina innych Zielarek i nie miała żadnego powodu, by uważać, że Leesha jest inna. Powróciła do tego samego okna, przy którym stała poprzednio, a Leesha nachyliła się nad próbkami, by zbadać odczyt. Księżna matka podeszła bliżej.

– Wygląda na to, że wszystko z nią w najlepszym porządku – stwierdziła Zielarka. – Mogłaby urodzić armię następców tronu.

Araïne podała jej siateczkę wypełnioną suszonymi ziołami.

– Z tego księżęca Zielarka przygotowuje wywar pobudzający płodność.

– Powszechnie stosowane zioła – oznajmiła Leesha, powąchawszy zawartość. – Z pewnością nie zaszkodzi, choć potrafiłabym sporządzić coś mocniejszego... Obawiam się jednak, że nie miałyby to większego znaczenia.

– A zatem sądzisz, że wina leży po stronie mojego syna.

– Kolejnym logicznym krokiem byłoby zbadanie właśnie jego, Wasza Łaskawość.

– Ten uparty osioł nie pozwala Zielarce zajrzeć sobie do gardła nawet wtedy, gdy kaszląc, wypłuka własne wnętrze – parsknęła Araïne. – Raczej wątpię, czy pozwoliłby ci dotknąć swojej męskości, chyba że...

Otaksowała Leeszę wzrokiem i uśmiechnęła się krzywo.

– Chyba że chciałabyś go zbadać i zdobyć próbkę w tradycyjny sposób.

Leesha obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem, a Araïne wybuchła śmiechem.

– Takiej odpowiedzi się spodziewałam! – zachichotała. – Dobrze, a więc dziewczę wykona tę robotę za ciebie! Od czego w końcu mamy młodą księżną?

\* \* \*

Minister Janson nie opuścił poczekalni po wyjściu starszej księżnej wraz z Leeszą i Wondą. Wyjął niewielkie pudełko z gładkiego, polakierowanego drewna dębowego i wręczył Rojerowi.

– Znaleźliśmy je w komnacie Arricka po jego zniknięciu – oznajmił. – Poinformowałem Gildię Minstreli, iż znajdujemy się w posiadaniu tego przedmiotu, ale mistrz jakoś nie miał

ochoty go odebrać. Zaskoczyło mnie to, przyznaję. Uchodząc, Arrick pozostawił jedynie puch z materaca, nie zawahał się również spakować kilku rzeczy, które tak naprawdę do niego nie należały, ale to puzderko zostawił na stole.

Rojer ujął pudełko i otworzył. W środku na wyściółce z zielonego aksamitu znajdował się złoty wisior na ciężkim, plecionym łańcuchu. Na medalionie wygrawerowano dwie włócznie, skrzyżowane na tle tarczy z herbem księcia Rhinebecka – liściastą koroną nad tronem pokrytym bluszczem.

Rojer sporo pamiętał z lekcji heraldyki udzielonych mu przez Arricka i od razu rozpoznał książęcy angieriański Medal za Męstwo, najwyższe wyróżnienie, jakie mogło spotkać człowieka. Młody Minstrel otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Czegóż dokonał Arrick, by zasłużyć na taki zaszczyt, i dlaczego nie wziął odznaczenia? Pominąwszy symboliczną wartość, medal musiał kosztować fortunę. W Angiers, gdzie ustawicznie brakowało metalu, sam łańcuch był sporo wart, a złoto...

– Jego Łaskawość przyznał medal Arrickowi za dzielność, jaką okazał podczas upadku Rzeczułki – rzekł Janson, jak gdyby czytał myśli Rojera. – Wystarczyłoby, żeby ocalił własne życie i powrócił złożyć księciu meldunek, ale Arrick stawiał czoła otchłanom i ocalił ciebie, chłopca liczącego sobie ledwie trzy latka, który nie potrafił uciec ani schować się samodzielnie...

Urwał i pokręcił głową. Rojer zaś poczuł się, jakby minister smagnął go właśnie w twarz.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nie chciał go zabrać – powiedział martwym głosem, przełykając z trudem ślinę. – Dziękuję, że go przechowałeś, panie ministrze.

Z tymi słowami zamknął pudełko i wsunął do pstrokatej torby, którą nosił na ramieniu.

– Cóż... – Janson, gdy nie było wątpliwości, że Rojer nie ma już nic do powiedzenia, zerknął na Naznaczonego. – Jeśli jesteś gotowy, panie Flinn, Wasza Łaskawość zechce przyjąć delegację.

– Ale Leesha... – zaczął Rojer.

Minister zasznurował usta.

– Jego Łaskawość nie życzy sobie przyjmować kobiet w sali tronowej – rzekł. – Zapewniam, że pani Leesha jest w dobrych rękach. Przebywa właśnie w towarzystwie księżnej i jej dam dworu. Możecie opowiedzieć jej o przebiegu audiencji, po tym jak Jego Łaskawość zechce was zwolnić.

Naznaczony zmarszczył brwi i wbił złowrogie spojrzenie w ministra, ten zaś zeszytniał ze strachu i zerknął ku gwardzistom przy drzwiach, ale nie ustąpił.

– Dobrze więc – rzekł w końcu Naznaczony. – Prowadź.

– Tędy, proszę. – Janson uklonem zamaskował westchnienie ulgi.

\* \* \*

Książę Rhinebeck był mężczyzną wysokim jak na Angieriańczyka, ale nadal niższym od większości mieszkańców Zakątka Wybawiciela. Liczył już sobie ponad pięćdziesiąt lat i choć nadal imponował rozłożystymi ramionami, mięśnie zaczynały mu powoli flaczeć. Zarówno jego szmaragdowy, poplamiony sosem kubrak, jak i brązowe spodnie wykonane zostały z rzadkiego krasjańskiego jedwabiu. Na lśniących brązowych włosach, tu i ówdzie przyprószonych siwizną, nosił drewnianą koronę Angiers, dłonie i szyję zdobiły pierścienie i naszyjniki z milneńskiego złota.

Po prawicy księcia na nieco niższym tronie zasiadał jego brat i następca, książę Mickael, odziany z podobnym przepychem. Choć był niemalże w tym samym wieku co książę, wydawał się bardziej od niego krzepki, a jego włosy spinał diadem ze złota. Po lewicy z kolei zasiadał Pasterz Pether, człowiek jeszcze grubszy od Rhinebecka, choć zarówno ogołona głowa, jak i niewyszukana brunatna szata miały znamionować surowość i ubóstwo. Tymczasem w przeciwieństwie do większości Opiekunów, którzy odziewali się w stroje z prostych materiałów, Pasterz miał na sobie szatę z wełny najwyższej jakości, przepasaną żółtą jedwabną szarfą.

Książę Thamos nie usiadł. Stał u stóp tronu w napierśniku, nagolennikach z runami i z włócznią w pogotowiu, podobnie jak Drewniani Żołnierze przy wejściu, choć Rojera, jak i resztę skrupulatnie przeszukano i rozbrojono przed wpuszczeniem na salę tronową. Tak czy owak, stojąc u boku Gareda i Naznaczonego, Rojer czuł się równie bezpiecznie jak w środku Zakątka Wybawiciela w miłym blasku słońca.

– Oto Jego Łaskawość książę Rhinebeck Trzeci! – oznajmił Janson. – Strażnik Leśnej Fortecy, Powiernik Drewnianej Korony i władca całego Angiers!

Rojer opadł na kolano, Gared uczynił to samo. Naznaczony jednakże ograniczył się tylko do ukłonu.

– Ukłęknij przed swoim księciem! – warknął Thamos, celując w niego włócznią.

– Nie chcę was urazić, Wasza Wysokość, ale nie jestem Angieriańczykiem.

– Cóż to za nonsens? – zapytał gniewnie książę Mickael. – Jesteś przecież Flinn Rębacz z Zakątka Drwali, urodzony w księstwie Angiers i tu wychowany. Chcesz dać mi do zrozumienia, że Zakątek nie przynależy już do księstwa?

Thamos zacisnął pięści na włóczni i wycelował ostrze w gości, a Rojer przełknął z trudem ślinę. Oby Naznaczony wiedział, co czyni.

Ten jednakże sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

– Nie, nie chciałem dać nic takiego do zrozumienia, Wasza Wysokość. Nie nazywam się Flinn Rębacz, zostałem jedynie przedstawiony tym imieniem przed bramami miasta. Wybaczcie, że wprowadziłem was w błąd.

Pokłonił się.

Janson, który zasiadł za niewielkim biurkiem przy podium z tronami, zaczął pospiesznie gryzmolić.

– Mówisz z milneńskim akcentem – rzekł Pasterz Pether. – Czy jesteś może poddanym Euchora?

– Mieszkałem jakiś czas w Forcie Miln, ale nie jestem Milneńczykiem – odpowiedział Naznaczony.

– A zatem wyjaw nam swoje miano i miasto, z którego pochodzisz – oznajmił Thamos.

– Moje miano jest tylko moją sprawą – odparł Naznaczony. – Nie ma też takiego miasta, które zwałbym ojczystym.

– Jak śmiesz?! – parsknął Thamos, postępując ku niemu ze swą włócznią.

Naznaczony obrzucił go lekko zdumionym spojrzeniem, jakim mężczyzna mierzy dziecko grożące mu piąstkami. Rojer wstrzymał oddech.

– Dość tego – warknął Rhinebeck. – Thamos, uspokój się!

Książęcy brat skrzywił się, ale usłuchał. Wrócił do stóp podium, nie spuszcżając wściekłego spojrzenia z Naznaczonego.

– Jeśli taka twoja wola, nie zdradzaj nam swoich tajemnic – rzekł Rhinebeck i uniośł rękę, by ubiec protesty.

Książę Mickael smagnął brata niechętnym spojrzeniem, ale nie odezwał się.

– Ciebie pamiętam. – Rhinebeck zwrócił swoją uwagę na Rojera, najwidoczniej próbując rozładować napięcie. – Rojer z Gospody, dzieciak Arricka Słodkiej Pieśni, który sądził, że mój burdel jest żłobkiem – zachichotał. – Nazwali twój mistrza Słodką Pieśnią, gdyż od jego śpiewu kobietom robiło się słodko między nogami. Czy uczeń przerósł mistrza?

– Ja jedynie czaruję otchłańce moją muzyką, Wasza Łaskawość – odparł Rojer z ukłonem i przywołał cały swój talent Minstrela, by ukryć gniew za sztucznym uśmiechem.

Rhinebeck parsknął śmiechem, klepiąc się po kolanie.

– Pewnie, hahaha! Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić otchłańca, którego urzekłaby muzyka jak jakąś zdziwę o ptasim mózdzku! Odziedziczyłeś poczucie humoru Arricka, chłopcze, to jedno muszę ci przyznać!

Janson odchrząknął.

– Co takiego? – Rhinebeck odwrócił się ku swemu sekretarzowi.

– Posłańcy, którzy odwiedzili Zakątek, utrzymują, że młody pan Rojer w istocie potrafi oczarować otchłańce muzyką, Wasza Łaskawość.

– Doprawdy? – Książę wybałuszył oczy, a Janson pokiwał głową na potwierdzenie.

Rhinebeck zakaszłał, by ukryć zdumienie, a potem skupił uwagę na Garedzie.

– A ty jesteś kapitan Gared, przywódca Rębaczy, tak? – zapytał.

– Eee... Starszy Gared, Wasza Wysokość – wyjąkał Gared. – Znaczy się przewodzę Rębaczom, ale żaden ze mnie kapitan. Tyle że dobrze mi topór w garści leży.

– Zbyteczna skromność, młodzieńcze – rzekł Rhinebeck. – Nikt nie pochwali człowieka, który sam siebie pochwalić nie potrafi. Jeśli tylko połowa z tego, co o tobie usłyszałem, jest prawdą, sam chętnie nadam ci rangę kapitana.

Gared otworzył usta, by odpowiedzieć, ale było jasne, iż nie ma pojęcia, co należy rzec, więc po prostu złożył księżciu głęboki ukłon.

Biedny Gared, omal nie rozbił sobie podbródka o podłogę, pomyślał Rojer złośliwie.

\* \* \*

Leesha sączyła herbatę i zerknęła znad filiżanki na starszą księżną. Władczyni równie badawczo w milczeniu przyglądała się Zielarce. Pokojówki Araine rozstawiły srebrny serwis oraz tace z cienkimi kanapkami i ciasteczkami, po czym znikły. Obok zastawy spoczywał srebrny dzwonek, którym można było wezwać służbę.

Wonda siedziała sztywno, jakby chciała zniknąć z oczu księżęcej matki. Wpatrywała się tęsknie w stertę kanapek, ale była zbyt przestraszona, by sięgnąć po przysmak, wołała też nie zwracać na siebie uwagi.

Nagle księżna pani zwróciła się wprost do Wondy:

– Dziewczę, skoro ubierasz się jak mężczyzna i nosisz włócznię, przestań zachowywać się jak wstydliva dziewczica, która właśnie ujrzała pierwszego młodzieńca starającego się o jej wdzięki! Jedz! Te kanapki nie są tu na pokaz!

– Przepraszam, Wasza Łaskawość – rzekła Wonda i ukłoniła się niezdarne, po czym zgarnęła garść ciastek i zaczęła wpychać je do ust, całkiem zapominając o serwetce i talerzu. Araine przewróciła oczyma, ale wydawała się bardziej rozbawiona zachowaniem dziewczyny niż wyprowadzona z równowagi.

– Jeśli zaś chodzi o ciebie – staruszka popatrzyła na Leeszę – widzę, że nie możesz się doczekać, by zacząć zadawać pytania, nie krępuj się zatem. Nie staję się młodszą, czekając, aż się odezwiesz.

– Ja... Ja tylko jestem zaskoczona, Wasza Łaskawość – zająknęła się Leesha. – Jesteście, pani, zupełnie inna, niż się spodziewałam.

Araine parsknęła śmiechem.

– A co? Uwierzyłaś, że jestem kruchą staruszką, którą odgrywam przed mężczyznami? Na Stwórcę, dziewczyno, Bruna zapewniała mnie, że jesteś sprytna, ale skoro mnie nie przejrzałaś, zaczynam mieć wątpliwości.

– Nie dam się po raz drugi wprowadzić w błąd, zapewniam was, pani – rzekła Leesha. – Przyznaję jednak, że zupełnie nie rozumiem, po co to przedstawienie. Bruna nigdy nie udawała, że jest...

– Sklerotyczną, niedołązną staruszką? – zapytała z uśmiechem Araine. Wybrała z tacy ciastko i umoczywszy w herbacie, zjadła je szybko, lecz z wdziękiem. Wonda spróbowała uczynić to samo, lecz moczyła herbatnik nieco zbyt długo i namoknięty koniec odłamał się i wpadł do filiżanki. Zawstydzona jednym haustem pochłonęła napój wraz z niecodzienną zawartością. Księżna parsknęła na ten widok.

– To wasze słowa, Wasza Łaskawość – rzekła Leesha.

Starsza pani obrzuciła Zielarkę karcącym spojrzeniem. Leeshy przypomniała się mina Jansona i zapytała się w duchu, czy pierwszy minister nauczył się tego od swej pani.

– To konieczne – rzekła Araine. – Mężczyźni stają się sztywni i wyniośli w towarzystwie kobiety bystrej i inteligentnej, natomiast przy wątlej staruszce robią się ustępliwi i serdeczni. Przeżyj jeszcze kilka dekad, a sama się przekonasz, co mam na myśli.

– Będę o tym pamiętać podczas audiencji u Jego Łaskawości – zapewniła Leesha.

– Zachowuj pozory, graj swoją rolę – doradziła Araine. – Audiencja odbywa się tutaj. To, co się dzieje w sali tronowej, jest tylko na pokaz. Moi synowie, bez względu na to, co im się wydaje, rządzą miastem w tym samym stopniu, co twój Smitt rządzi Zakątkiem.

Leesha zakrztusiła się kawałkiem ciasta i niemalże rozlała herbatę. Wstrząśnięta spojrzała na Araine.

– Źle to zaplanowaliście – syknęła Araine. – Trzeba było wziąć ze sobą pana Smitta. Bruna nienawidziła polityki, ale mogła nauczyć cię choćby podstaw, bo te akurat znała doskonale. Moi synowie wdali się w ojca i tolerują kobiety tylko przy stole lub pod nim. Z naturalnych przyczyn uznali więc, że to pan Flinn – o ile to w ogóle jego imię – stoi na czele waszej delegacji, i gotowi są okazać nawet temu goryłowi Garedowi czy dzieciakowi Arricka więcej szacunku niż tobie.

– Naznaczony nie przemawia w imieniu Zakątka – powiedziała Leesha. – Pozostali również się do tego nie nadają.

– Sądzisz, że jestem głupia? – zapytała Araine. – Starczyło mi na nich spojrzeć, by to zrozumieć. Nie ma to jednak większego znaczenia, bo wszystkie decyzje i tak zostały już podjęte.

– Słucham? – zapytała zdumiona Leesha.

– Zeszłej nocy, po przeczytaniu raportu Jansona, przekazałam mu instrukcje, które teraz wypełnia – rzekła Araine. – Mam nadzieję, że te pawie ograniczą się do puszenia i dumnego kroczenia po sali tronowej. O ile któryś z nich nie sprowokuje twoich przyjaciół do walki, rezultaty tej niby-audiencji będą następujące: powrócisz do Zakątka z grupą moich najlepszych Patronów, by nauczyć ich sztuki stawiania runów wojennych. Przed nastaniem zimy chcę, żeby każdy, nawet najpodlejszy Patron w Angiers kreślił te runy bezbłędnie. Życzę sobie także, by każdy tępy myśliwy, który jeszcze może napinać łuk, miał kołczan runicznych strzał, a uliczni handlarze sprzedawali za miedziaki runiczne włócznie. Patronom Runów towarzyszyć będzie Thamos z Drewnianymi Żołnierzami. Niech gwardia chroni Patronów, lecz pragnę także, by nauczyła się polować na demony od twoich Rębaczy.

– Oczywiście, Wasza Łaskawość – rzekła Leesha.

Araine uśmiechnęła się wyrozumiale, a Zielarka uświadomiła sobie nagle, że księżna nie składała propozycji, lecz wydała rozkazy.

– W kwestii twojego malowanego przyjaciela Opiekunowie nie mogą dojść do

porozumienia – ciągnęła Araine. – Połowa z nich twierdzi, że to Wybawiciel, reszta utrzymuje, że jest gorszy od matki wszystkich demonów. Żadna ze stron konfliktu nie ufa młodemu Jonie, choć ten wydaje się skłaniać ku pierwszemu przekonaniu. Rada Opiekunów zamierza przeprowadzić oficjalne śledztwo. Wymieniłam kilka pism z moimi doradcami i doszliśmy do wniosku, że Jonę należy wezwać do Angiers, by złożył oficjalne oświadczenie przed Radą, a póki co jego obowiązki pełnić będzie zastępca, Opiekun Hayes. To dobry człowiek, którego nie można nazwać ani fanatykiem, ani głupcem. Zbada wiarę mieszkańców Zakątka i ich zdanie o Naznaczonym, a przez ten czas Rada Opiekunów zapozna się z opinią Jony.

Leesha odkaslnęła.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Łaskawość, ale Zakątek nie jest miasteczkiem z tuzinami Opiekunów. Ludzie cenią Jonę, gdyż zapracował sobie na zaufanie przez wiele lat. Nie pójdą za obcym w brązowej szacie, nie spodoba im się też wasz pomysł zabrania Jony na oficjalne śledztwo do stolicy, pani.

– Jeśli Jona jest lojalny wobec zwierzchników, uda się na przesłuchanie dobrowolnie i tym samym rozwieje moje wątpliwości. Jeśli zaś nie... Cóż, ciekawa jestem, wobec kogo i czego jest lojalny. Rada również z chęcią się tego dowie.

– A jeśli dochodzenie Rady skończy się dla niego niepomysłnie? – zapytała Leesha.

– Upłynęło już sporo czasu, odkąd Opiekunowie spalili jakiegoś heretyka – rzekła Araine – ale sądzę, że wciąż pamiętają, jak się to robi.

– A zatem Opiekun Jona nigdzie się nie wybiera – powiedziała Leesha stanowczo, odkładając filiżankę. Bez lęku popatrzyła księżnej prosto w oczy. – Chyba że chcecie sprawdzić, jak Drewniani Żołnierze radzą sobie w walce z tymi, którzy za dnia rąbią drzewo, a w nocy drzewne demony.

Araine uniosła wysoko brwi, a nozdrza rozchyliły jej się, lecz maska spokoju powróciła natychmiast na pomarszczoną twarz, tak szybko, iż Leesha zastanawiała się, czy błysk gniewu nie był tylko złudzeniem. Staruszka przyjrzała się Wondzie.

– To prawda, dziewczę? – zapytała. – Chwycilibyście za broń, gdyby Drewniani Żołnierze przybyli po waszego Opiekuna?

– Chwycę za broń przeciwko każdemu, kogo wskaże mi Leesha – odparła Wonda i po raz pierwszy od przekroczenia progu kobiecych komnat wyprostowała się.

Liczyła sobie dopiero piętnaście lat, ale już przewyższała wzrostem większość mężczyzn w Zakątku Wybawiciela, a ci wszak słynęli ze słusznej postury w całym księstwie. Górowała nad drobną staruszką, ale ta wydawała się bardziej rozbawiona niż wystraszona. W końcu skinęła głową, jakby przykazując, by Wonda rozluźniła się i zajęła jedzeniem, po czym ponownie skupiła uwagę na Leeshy. Postukała paznokciem o delikatną filiżankę.

– Dobrze więc – zdecydowała. – Osobiście gwarantuję, że Jona wróci bezpiecznie do Zakątka, choć niewykluczone, że już bez szat Opiekuna.



– Dziękuję wam, Wasza Łaskawość. – Leesha pochyliła głowę, zgadzając się na przedstawione warunki.

Araïne uśmiechnęła się i uniosła filiżankę.

– Może jednak jesteś spadkobierczynią Bruny – powiedziała.

Leesha uśmiechnęła się i razem upiły nieco herbaty.

– Naznaczony zaś – podjęła Araïne po chwili – uda się samotnie do Miln, by opowiedzieć historię o Krasjanach księciu Euchorowi i przedstawić naszą prośbę o pomoc.

– Dlaczego Naznaczony, a nie wasz herold?

– Ten nieopierzony fircyk? – parsknęła Araïne. – Siostrzeniec Jansona? Euchor zjadłby go żywcem. Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, Euchor z moim synem nienawidzą się jak pies z kotem.

Leesha przyjrzała jej się baczniej, ale księżna pani machnęła ręką.

– Nie próbuj się w to mieszać, dziewczyno. Konflikt między bluszczowym i metalowym tronem zaczął się na długo przed tym, nim obecni książęta umościли na stolcach swoje przerośnięte, tłuste tyłki, i będzie trwał długo po nich. To w ten sposób mężczyźni ze sobą rywalizują.

– Nie tłumaczy to jednak, dlaczego trzeba wysłać Naznaczonego, a nie księżęcego Posłańca – powiedziała Leesha. – Zapewniam was, pani, nawet jeśli Naznaczony zgodzi się udać do Miln – a nadmienię, że trudniej na niego wpłynąć, niż wam się wydaje – pojedzie tam z własnymi sprawami, a nie sprawami Angiers.

– Ależ oczywiście – rzekła Araïne. – Właśnie dlatego chcę, by ten człowiek znalazł się jak najdalej od miasta. Bez względu na to, czy sobie tego życzy czy nie, jego obecność wywołuje wrzenie. Za jego sprawą zwykli ludzie przeistoczą się w szalonych fanatyków, a tego musimy uniknąć, jeśli chcemy utrzymać rządy w państwie. Niech stąd wyjedzie i wywoła zamieszanie w Miln, a wtedy Euchor zgodzi się na wszystko, czego zażądamy, byle tylko pozbyć się Naznaczonego.

– A czego „my” zażądamy? – zapytała Leesha.

Araïne wbiła w nią spojrzenie, lecz dziewczyna nie potrafiła odgadnąć, czy wyraża ono rozbawienie, czy rozdrażnienie jej śmiałością.

– Sojusz przeciwko Krasjanom, rzecz jasna – powiedziała księżna po chwili. – Dzikie kłótnie o kilka wozów z drewnem czy minerałami to jedno, a walki między psami pasterskimi, gdy wilki podchodzą pod zagrody, to zupełnie coś innego.

Leesha chciała się sprzeciwić, ale w głębi duszy zgadzała się ze starą księżną. Przy Arlenie Zielarka czuła się bezpiecznie i nie chciała, by wyjeżdżał z Zakątką, ale obecność Naznaczonego także ją przytłaczała, dusiła, a wrażenie to z biegiem czasu przybierało na sile. Jego obawy się sprawdziły i mieszkańcy Zakątką wraz z uchodźcami, zamiast sobie radzić i decydować samodzielnie, oczekiwali, że to on przyjdzie z pomocą. Lecz czy Leesha nie postępowała w identyczny sposób? Może rzeczywiście byłoby najlepiej, gdyby Arlen zniknął

ludziom z oczu na jakiś czas.

Znów minęła dłuższa chwila. Leesha milczała, a Araine skinęła tylko głową i zaczęła sączyć herbatę.

– Muszę jeszcze się zastanowić, co zrobić z chłopakiem Arricka. Jego tak zwana magia wymaga solidnego zbadania, ale póki co nie wiem, jak się do tego zabrać.

– To nie magia – odezwała się Leesha. – W każdym razie nie w zwykłym znaczeniu. On po prostu... Cóż, oczarowuje otchłańce. Bawi się nimi tak jak zwykły Mistrz nastrojami tłumów. To pożyteczna umiejętność, ale jej efekty nie utrzymują się po przerwaniu gry. I jak dotąd Rojerowi nie udało się nauczyć jej innych.

– Może byłby z niego dobry herold – zastanowiła się Araine. – Cóż, na pewno byłby lepszy od tego fircyka, siostrzeńca Jansona, choć to marna pochwała.

– Wolałabym, żeby Rojer pozostał przy mnie, Wasza Łaskawość.

– Oho! Doprawdy? – zapytała rozbawiona Araine, po czym wyciągnęła rękę i uszczypnęła Leeszę w policzek. – Lubię cię, dziewczyno. Nie boisz się mówić, co myślisz.

Rozparła się na kanapie i przez chwilę przyglądała Leeszy, po czym wzruszyła ramionami.

– Mam dziś dobry nastrój – powiedziała, dolewając herbaty gościom. – Zatrzymaj Mistrza, jeśli chcesz. Dobrze, zajmijmy się teraz sprawą Wybawiciela.

– Naznaczony nigdy nie rościł sobie praw do miana Wybawiciela, Wasza Łaskawość – powiedziała Leesha i parsknęła. – Na noc, odgryźłby głowę każdemu, kto w ogóle by to zasugerował.

– Nieważne, co on twierdzi – rzekła Araine. – Ważne, w co wierzą ludzie. Niechaj dowodem będzie choćby zmiana nazwy waszej wsi. Bez książęcej zgody, pozwolę sobie dodać.

– To była decyzja rady miasteczka – wzruszyła ramionami Leesha. – Nie miałam z nią nic wspólnego.

– Ale nie sprzeciwiłaś się – zauważyła Araine.

Leesha ponownie wzruszyła ramionami.

– Wierzysz w to? – Księżna znów przechwyciła jej spojrzenie. – Czy twoim zdaniem on jest odrodzonym Wybawicielem?

Zielarka milczała dłuższą chwilę.

– Nie – rzekła w końcu. Wonda aż sapnęła ze zdumienia, a Zielarka skarciła ją wzrokiem.

– Zdaje się, że twoja ochrona nie podziela twoich poglądów.

– Nie ja mam mówić ludziom, w co mają wierzyć.

Araine pokiwała głową.

– Otóż to. Rada miejska Zakątki również takiego prawa nie posiada. Janson już spisał książkę odezwe potępiającą zmianę nazwy. Jeśli rada składa się z mądrych ludzi, pośpiesznie namalują nowe drogowskazy.

– Przekażę jej te słowa, Wasza Łaskawość – zapewniła Leesha.

Araïne zmrużyła oczy na tak niejasną odpowiedź, ale nie skomentowała jej.

– A uchodźcy? – zmieniła temat Leesha.

– Co z nimi?

– Przyjmiecie ich w Angiers?

– A gdzie niby mielibyśmy ich rozlokować? – parsknęła księżna. – Czym ich wykarmić? Rusz głową, dziewczyno. Księstwo Angiers ich przyjmie, ale miasto nie jest w stanie. Niech schronią się we wsiach takich jak wasza. Patroni Runów oraz żołnierze, których mam zamiar wysłać do Zakątka, będą wyrazem pełnego poparcia księcia dla mieszkańców sąsiednich krain, okazanego w chwili wielkiej potrzeby. Wybaczmy również to, że Zakątek nie dostarczył na czas wymaganej ilości drewna.

Leesha zacisnęła usta.

– Będziemy potrzebowali o wiele więcej, Wasza Łaskawość. Jeden koc przypada u nas na trzy osoby, a dzieci biegają w łachmanach. Jeśli nie możecie podzielić się żywnością, przyslijcie chociaż odzież lub wełnę z Doliny Pastuszków, byśmy mogli sporządzić własne ubrania. Właśnie trwa sezon strzyżenia owiec, czyż nie?

Araïne zastanowiła się.

– Każę wysłać do was kilka wozów surowej wełny i setkę owiec.

– Dwieście – powiedziała Leesha. – I niech przynajmniej połowa z nich będzie jeszcze gotowa do rozrodu. Przydałaby się też setka mlecznych krów.

Araïne skrzywiła się, ale skinęła głową.

– Załatwione.

– Potrzeba nam również ziarna z Wysokich Pól i Drewnorogu – dodała Leesha. – Nastął właśnie sezon siewu i jeśli będziemy mieli nasiona, przygotujemy pola pod zasiew.

– To jest w interesie nas wszystkich – zgodziła się Araïne. – Dostaniecie tyle, ile będziemy w stanie rozdać.

– Skąd macie pewność, Wasza Łaskawość, że mężczyźni przystaną na te warunki? – spytała Leesha.

Araïne zachichotała.

– Moi synowie nie umieliby zawiązać własnych butów bez Jansona, a Janson jest całkowicie lojalny wobec mnie. Nie dość, że książęta podejmą decyzję zgodnie z moimi wytycznymi, to jeszcze odejść z tego świata całkowicie przeświadczeni, iż były to ich własne pomysły.

Leesha nadal miała wątpliwości, ale księżna pani wzruszyła jedynie ramionami.

– Zaraz usłyszysz to na własne uszy, gdy tylko twoi przyjaciele wyjdą z sali audiencyjnej i powiedzą ci, co „wynegocjowali”. A my tymczasem skończmy herbatę.

\* \* \*

– Dlaczego stanąłeś przed bluszczowym tronem? – zapytał Rhinebeck.

– Najazd Krasjan jest zagrożeniem dla wszystkich – rzekł Naznaczony. – Fale uchodźców zalewają wiejskie tereny. Uciekinierów już jest o wiele więcej, niż wsie są w stanie wyżywić, a gdy Krasjanie ruszą na Lakton...

– Idiotyczny pomysł – przerwał mu książę Mickael. – Co więcej, skoro masz czelność przemawiać do księcia, ukaż oblicze.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. – Naznaczony uklonił się lekko i odsunął kaptur. W blasku słonecznym, który wpadał przez okna sali tronowej, runy pokrywające jego twarz zdawały się pełzać niczym żywe istoty. Thamos i Janson widzieli już wcześniej tatuaże Naznaczonego i okazali opanowanie, ale pozostali książęta nie potrafili ukryć oszołomienia.

– Na Stwórcę – wyszeptał Pether i nakreślił run w powietrzu.

Zaskoczenie na twarzy Mickaela szybko zmieniło się w drwiący grymas.

– Skoro nie nosisz żadnego miana, to może powinniśmy cię zwać panem Wielki Run? – zapytał.

Naznaczony pokręcił głową i uśmiechnął się oschle.

– Jestem tylko zwykłym, nisko urodzonym chłopem. Nie noszę żadnych tytułów.

– Mniejsza o urodzenie – parsknął Mickael. – Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by człowiek, który udaje Wybawiciela, nie uważał się za pana równego przynajmniej członkom rodu panującego. A może sądzisz, że jesteś ponad to?

– Nie jestem Wybawicielem, Wasza Wysokość – rzekł Naznaczony. – Nigdy też nie głosiłem niczego innego.

– Opiekun w Zakątku Drwali wierzy w coś przeciwnego, jeśli ufać jego raportom – zauważył Pasterz Pether, machając zwojem papierów.

– To nie jest mój Opiekun – skrzywił się Naznaczony. – Może sobie wierzyć, w co zechce.

– Tak naprawdę to nie może – przerwał mu Janson. – Jeśli reprezentuje Opiekunów Stwórcy z Angiers, jest winien posłuszeństwo Jego Łaskawości Pasterzowi oraz Radzie Opiekunów. Skoro głosi herezję...

– Słuszna uwaga, Janson – wtrącił się Pether. – Trzeba będzie się temu przyjrzeć.

– Moglibyście przykazać Radzie Opiekunów, by wezwała tego Jonę i poddała go przesłuchaniom, Wasza Łaskawość – zaproponował Janson.

– Słusznie, słusznie – rzekł Mickael i spojrzał na brata. – Powinieneś się tym zająć, i to bezzwłocznie, bracie.

Pether potaknął z namysłem.

– Uważam, że wasz były mentor, Opiekun Hayes, będzie się idealnie nadawał, by zastąpić Jonę w Zakątku i wspierać duchowo uchodźców, Wasza Łaskawość – ciągnął Janson. – Ma doświadczenie w pracy z ludźmi ubogimi, a ponadto jest lojalny wobec

bluszczowego tronu. Być może udałoby się wam przekonać Radę, by wysłano właśnie jego?

– Przekonać? – spytał ostro Pether. – Janson, ja jestem ich Pasterzem! Każę im wysłać Opiekuna Hayesa i koniec!

– Wasza wola, panie – ukłonił się Janson.

– Co zaś się tyczy ciebie... – Pether znów skupił swą uwagę na Naznaczonym. – Wyjaśnij, dlaczego mieszkańcy zmienili nazwę wsi na Zakątek Wybawiciela, skoro nie masz tam żadnych wpływów?

– Nie chciałem żadnych zmian – odparł Naznaczony. – Uczynili to wbrew moim sugestiom.

– Wciskaj tę bajeczkę pijakom w podłych tawernach – parsknął Mickael. – Ależ oczywiście, że dążyłeś do zmian.

– Po co, Wasza Wysokość? Przecież ta decyzja rozpowszechniła miano, które najchętniej bym zdeptał i odrzucił.

– Jeśli to prawda, to zapewne nie sprzeciwisz się, jeśli Jego Łaskawość wyśle radzie miasteczka książęcy dekret nakazujący powrót do poprzedniej nazwy, prawda? – spytał Janson.

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Zajmij się tym. – Rhinebeck skinął na pierwszego ministra.

– Jak każecie, Wasza Wysokość – rzekł Janson.

– Słuchajcie, to przecież próżna gadanina bez ładu i składu – warknął książę Thamos i uderzył końcem włóczni w podłogę. Potem wbił wzrok w Naznaczonego. – Sprawdziliśmy te wojenne runy. Własnoręcznie ubiłem drzewnego demona tą twoją strzałą. Chcę ich więcej. Chcę też dostać inne runy wojenne, które opracowałeś, a do tego pragnę, by moi ludzie zostali przeszkoleni do polowania na otchłańce. Czego chcesz w zamian?

– To, czego on chce, nie ma znaczenia – rzekł Rhinebeck. – Mieszkańcy Zakątka są moimi poddanymi i nie mam zamiaru płacić za to, co i tak są winni bluszczowemu tronowi.

– Jak już mówiłem księciu Thamosowi i ministrowi Jansonowi, Wasza Łaskawość – odparł Naznaczony – naszym prawdziwym przeciwnikiem są otchłańce. Dam runiczną broń każdemu, kto o nią poprosi.

Rhinebeck warknął tylko, a w oczach Thamosa błysnął zapal.

– Mogę skontaktować się z Gildią Patronów Runów, by wybrali najlepszych ze swojego grona i posłali ich do Zakątka, jeśli Jego Łaskawość sobie życzy – rzekł Janson. – Być może warto by też dodać kontyngent Drewnianych Żołnierzy, by ich strzegli?

– Poprowadzę ich osobiście, bracie – rzekł Thamos, odwracając się ku Rhinebeckowi, który skinął głową na znak zgody.

– Niech tak będzie – oznajmił.

– A co z uchodźcami z Rizon? – zapytał Naznaczony. – Przyjmiecie ich?

– W moim mieście nie ma miejsca dla tysięcy bezdomnych – odparł Rhinebeck. – Niech

szukają schronienia po wsiach. My zaś możemy im zaoferować... Jak to było, Janson?

– Książęcy azyl – odpowiedział Janson. – I opiekę dla wszystkich, którzy złożą przysięgę na wierność wobec tronu Angiers.

– To bardzo hojna propozycja, Wasza Łaskawość. – Naznaczony uklonił się. – Niemniej ci ludzie są wygłodzeni i bez grosza przy duszy, brakuje im dosłownie wszystkiego i ledwie udaje im się przeżyć. W swoim miłosierdziu z pewnością możecie zaoferować więcej.

– Dobrze – rzekł Rhinebeck wspaniałomyślnie. – Nie jestem człowiekiem bez serca. Janson, co możemy oddać?

– Cóż, Wasza Łaskawość. – Janson otworzył księgę rachunkową i przejrzał jej treść. – Oczywiście możemy darować Zakątkowi zaległy transport drewna...

– Oczywiście – powtórzył Rhinebeck.

– Po przybyciu do Zakątka książęcy Patroni Runów mogą służyć doświadczeniem i pomagać w ochronie uchodźców nocą – ciągnął minister. – Wraz z Drewnianymi Żołnierzami, rzecz jasna.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził Rhinebeck.

Janson zacisnął usta.

– Proszę dać mi chwilę, a przejrzę nasze zasoby, Wasza Łaskawość, po czym przedstawię szczegółową listę surowców, które mamy do dyspozycji.

– Zajmij się tym – przykazał Rhinebeck, a minister znów się uklonił.

– Jak sobie życzyacie, Wasza Łaskawość – powiedział.

– A co z krasjańską inwazją? – wtrącił Naznaczony.

– Poza twoimi słowami nic nie potwierdza, że Krasjanie w ogóle ruszą dalej – stwierdził Rhinebeck.

– Ruszą – zapewnił go Naznaczony. – Ewejah ich do tego obliguje.

– Sporo wiesz o pustynnych szczurach i ich pogańskiej religii – odezwał się Pether. – Janson przekazał nam, że nawet mieszkałeś kiedyś wśród nich.

– To prawda, Wasza Łaskawość.

– A zatem skąd mamy wiedzieć, wobec kogo jesteś tak naprawdę lojalny? – spytał Pasterz. – Może jesteś zrodzonym przez Otchłań wyznawcą Ewejah? Na noc, jeśli nie powiesz nam, kim jesteś i skąd pochodzisz, skąd będziemy mieć pewność, czy pod tymi tatuażami nie kryje się Krasjanin?

Gared warknął, ale Naznaczony uniósł palec, uciszając go. Ogromny Rębacz zamilkł.

– Zapewniam was, panie, że nie jest tak, jak myślicie – rzekł. – Jestem lojalny wobec Thesy.

– Udowodnij to – uśmiechnął się Rhinebeck.

– W jaki sposób, Wasza Łaskawość? – Naznaczony przechylił głowę, wpatrując się w księcia z zaciekawieniem.

– Mój herold objeżdża właśnie wsie – rzekł Rhinebeck. – A nawet gdyby był do

dyspozycji, z pewnością nie potrafi podróżować równie szybko jak ty. Udaj się do Fortu Miln w moim imieniu i rozmów z księciem Euchorem. Zainicjuj odrodzenie Paktu.

– Paktu, Wasza Wysokość? – powtórzył Naznaczony.

Rhinebeck spojrział na Jansona, który odkasznął.

– Chodzi o Pakt Wolnych Miast – wyjaśnił minister. – W pierwszym roku po Powrocie, gdy zakończono budowę pierwszych murów wzmocnionych runami, a w spustoszonych przez otchłance krainach przywrócono porządek, ocaleli książęta Thesy podpisali porozumienie o nieagresji zwane Paktem Wolnych Miast. Stwierdzili w nim śmierć króla Thesy i wygaśnięcie jego dynastii oraz uznali swą suwerenność na rządzonych terytoriach. Pakt zabrania atakować terytoria innych księstw i zobowiązuje sygnatariuszy do współpracy w zwalczaniu agresorów.

– Czy Krasjanie również podpisali to porozumienie? – spytał Naznaczony.

– Nie, Krasja nigdy nie stanowiła części Thesy – pokręcił głową Janson. – Niemniej – uniósł palec, by uprzedzić dalsze pytania, po czym poprawił okulary i rozwinął stary pergamin – dokładna treść dokumentu brzmi następująco: „Gdyby terytorium lub suwerenność któregokolwiek z księstw została zagrożona działalnością ze strony ludzi, obowiązkiem wszystkich sygnatariuszy oraz ich dziedziców będzie zjednoczenie sił celem udzielenia pomocy tym, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie” – odczytał, a potem odłożył pergamin. – Treść Paktu została zatem sformułowana tak, by wykluczyć i uniemożliwić działania wojenne między ludźmi, gdyż Powrót zdziesiątkował naszą społeczność. Pozostaje więc wiążący, bez względu na to, czy przywódcy krasjańscy podpisali go, czy też nie.

– Sądzisz, panie, że książę Euchor zgodzi się z twoją opinią? – zapytał Naznaczony Jansona.

– Czy to audycja u mego sekretarza, czy u mnie? – zagrział Rhinebeck, na powrót przyciągając uwagę zgromadzonych. Rojer spostrzegł, że książę poczerwieniał zupełnie jak tej nocy, gdy natknął się na siedmioletniego Rojera śpiącego w książęcym łóżu u boku jednej z ulubionych nałożnic Jego Łaskawości.

Naznaczony uklonił się.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Łaskawość – oznajmił. – Nie zamierzałem okazać wam braku szacunku.

Jego odpowiedź załagodziła nieco gniew Rhinebecka, niemniej w głosie księcia nadal pobrzmiwała uraza.

– Euchor będzie próbował znaleźć sposób, by się z tego wykręcić, zupełnie jak otchłaniec usiłujący prześlizgnąć się przez lukę w barierze, ale bez jego wsparcia Angiers nie poradzi sobie z krasjańską armią.

– Pogwałcilibyście Pakt, Wasza Łaskawość? – zapytał Naznaczony.

– Pakt nakazuje nam „zjednoczenie sił” – warknął książę. – Mam zetrzeć się z pustynnymi szczurami samotnie tylko po to, by Euchor zebrał później własne wojska, rozbił

nasze zdziesiątkowane oddziały i ogłosił się królem?

Naznaczony milczał przez dłuższą chwilę.

– A dlaczego ja, Wasza Wysokość?

– Nie bądź taki skromny – parsknął Rhinebeck. – Śpiewa o tobie każdy Minstrel w Thesie. Jeśli twoje przybycie wywoła w Miln zamieszanie nawet o połowę mniejsze od tego w Angiers, Euchor nie będzie miał wyboru. Będzie musiał uszanować Pakt, tym bardziej jeśli osłodziś gorycz księcia darem z runów wojennych.

– Nie zamierzam wykorzystywać runów w politycznych rozgrywkach – zaproponował Naznaczony.

– Oczywiście, że nie – wyszczerzył zęby Rhinebeck. – Ale Euchor nie musi o tym wiedzieć, prawda?

Rojer zbliżył się niezauważalnie do wojownika. Jako uzdolniony aktor i lalkarz, potrafił szeptać, a nawet krzyczeć, nie poruszając ustami, potrafił też stworzyć wrażenie, że dźwięki dobiegają z innego miejsca.

– On po prostu próbuje się ciebie pozbyć – ostrzegł towarzysza szeptem, ale jeśli Naznaczony usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

– Dobrze – rzekł. – Wypełnię wasze polecenie. Będę potrzebował waszego glejtu, panie, by książę Euchor wiedział, że naprawdę zostałem przysłany przez was.

– Otrzymasz wszystko, co ci będzie potrzebne – obiecał Rhinebeck.

\* \* \*

– Wasza Łaskawość – odezwała się dworka – lord Janson kazał przekazać, że audyencja delegacji z Zakątka Drwali dobiega końca.

– Dziękuję, Ema. – Araine nie zapytała nawet o przebieg spotkania. – Poinformuj, proszę, Jansona, że spotkam się z nim w salonie po wypiciu herbaty.

Ema dygnęła dwornie i zniknęła. Wonda opróżniła filiżankę i zerwała się nerwowo.

– Nie ma powodu do pośpiechu, młoda damo – napomniała ją Araine. – Mężczyźni nie zawadzi poczekać na kobietę raz na jakiś czas. Mało co tak dobrze uczy cierpliwości.

– Tak, proszę pani – ukłoniła się Wonda.

– Podejź tu, dziewczę – rzekła księżna, wstając. – Niech no ci się dobrze przyjrzę.

Wonda zbliżyła się nieśmiało, a Araine obeszła ją dookoła, oglądając znoszone, połatane ubranie oraz poszarpane blizny na jej nadobnej twarzy. Księżna kilkakrotnie ucisnęła również barki i ramiona Wondy, niczym rzeźnik kupujący bydło.

– Rozumiem już, dlaczego zdecydowałaś się prowadzić męski tryb życia – stwierdziła stara dama. – Jesteś zbudowana jak mężczyzna. Nie brakuje ci strojenia się w sukienki i rumieńców na widok kawalerów uderzających w konkury?

Leesha poderwała się na równe nogi, ale księżna pani uniosła palec, nawet się nie



obracając. Zielarka powstrzymała pragnienie, by się wtrącić do rozmowy.

Wonda przestąpiła z nogi na nogę, czując się cokolwiek nieswojo.

– Jakoś żem się nad tym nie zastanawiała.

Araïne pokiwała głową.

– Co to za uczucie, dziewczę, stanąć między mężczyznami i ruszyć na wojnę?

Wonda wzruszyła ramionami.

– Dobrze jest niszczyć demony. Zabiły mojego ojca i wielu przyjaciół. Z początku niektórzy Rębacze traktowali nas, kobiety, inaczej i próbowali trzymać nas z tyłu, gdy pojawiały się demony, ale zabijałyśmy je równie skutecznie jak oni. Oczywiście trzeba było pacnąć jednego z drugim, żeby wreszcie zaczęli się zajmować potworami, a nie nami, ale szybko nabrali rozumu.

– Tutaj mężczyźni bywają o wiele gorsi – rzekła Araïne. – Po śmierci męża musiałam abdykować, choć mój najstarszy syn był głupcem, a jego bracia okazali się niewiele lepsi. Na Stwórcę, kobieta na bluszczowym tronie? Nie do pomyślenia. Zawsze nieco zazdrościłam starej Brunie jej umiejętności wpływania na ludzi. Tutaj, w Angiers, nie da się tego robić otwarcie, tak jak ona miała w zwyczaju.

Znów zmierzyła Wondę baczny spojrzeniem.

– A w każdym razie jeszcze nie – dodała. – Stawaj z honorem, gdy nadejdzie noc, dziewczyno. Stawaj dumnie, bo walczysz w imieniu każdej kobiety w Angiers. I nigdy pod żadnym pozorem nie pozwól nikomu, ani mężczyźnie, ani kobiecie, by przygiął cię do ziemi.

– Nie pozwolę, Wasza Łaskawość – rzekła Wonda i ukloniła się, po raz pierwszy należycie. – Przysięgłam na słońce.

Araïne chrząknęła i poklepała ją po policzku, a potem strzeliła palcami. Pochwyciła srebrny dzwonek i potrząsnęła. W okamgnieniu zjawiała się jedna z dworek.

– Natychmiast wezwij tu krawcową – powiedziała Araïne.

Kobieta dygnęła i wybiegła z komnaty, a w chwilę później pojawiła się inna kobieta w asyście młodej dziewczyny z oprawioną w skórę księgą i piórem.

– Chodzi o tę pannę – rzekła Araïne, wskazując Wondę. – Weź jej wymiary. Wszystkie.

Księżęca krawcowa dygnęła, wyciągnęła zwój sznurków z węzełkami i przystąpiła do mierzenia oszołomionej, stojącej bezradnie Wondy. Oplatała ją sznurkami, unosila jej ręce jak lalce i bez skrpułów dotykała miejsc intymnych, co sprawiło, że lica dziewczyny natychmiast oblał głęboki rumieniec, a białe blizny na jej twarzy stały się jeszcze bardziej widoczne. Krawcowa wykrzykiwała pobrane wymiary, a jej pomocnica skrupulatnie zapisywała je w księdze.

Zakończywszy pracę, krawcowa podeszła do Araïne i Leeshy.

– To godne wyzwanie – przyznała. – Dziewczyna jest płaska tam, gdzie kobieta powinna być zaokrąglona, i szeroka tam, gdzie kobieta powinna być wąska. Dodam kilka falbanek na sukni, by zatuszować niedoskonałości, trzeba będzie także znaleźć wachlarz, który mógłby

zasłonić blizny...

– Masz mnie za idiotkę? – warknęła Araine. – Równie dobrze mogłabym przystroić w kieckę Thamosa!

Kobieta pobladła i dygnęła pokornie.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Łaskawość – powiedziała. – Co mieliście na myśli, pani?

– Jeszcze nie wiem – rzekła Araine. – Ale jestem pewna, że wpadnę na jakiś pomysł. Dobrze, idź już.

Kobieta dygnęła raz jeszcze i szybko opuściła komnatę wraz ze swą pomocnicą.

Araine zaś zwróciła się ku Leeshy, która wraz z Wondą zbierała się również do wyjścia:

– Byłyśmy z Bruną dobrymi przyjaciółkami, moja droga, i ceniłyśmy się wzajemnie, co przyniosło nam wiele korzyści. Mam nadzieję, że my również się zaprzyjaźnimy.

– Ja także mam taką nadzieję – rzekła Leesha.

## Mistrz Gildii Cholls

### 333 ROK PLAGI, WIOSNA

– Dlaczego zgodziłeś się na wyjazd? – zapytał szeptem Rojer, po tym jak Janson wyprowadził ich z sali tronowej i pozostawił, by poczekać na Leeshę i Wondę. – Rhinebeck próbuje się ciebie pozbyć, bo obawia się, że zyskasz za duży wpływ na jego poddanych.

– Tak samo jak księżę, nie życzę sobie tego – zapewnił Naznaczony. – Nie chcę, by ludzie zaczęli mnie uważać za jakiegoś zbawcę. Poza tym mam własne powody, by odwiedzić Miln, a misja zlecona przez Rhinebecka to zbyt dobra okazja, by jej nie wykorzystać.

– Masz zamiar przekazać im swoje runy wojenne – rzekł Rojer.

– Między innymi – pokiwał głową Naznaczony-

– Dobrze – westchnął Minstrel. – Kiedy wyruszamy?

– Błąd, Rojer. – Naznaczony zmierzył go wzrokiem. – Nie ma żadnego „my”. Ruszam do Miln sam. Będę gnał przez noc i nie chcę, by ktokolwiek mnie spowalniał. Poza tym masz przecież uczniów, których nie możesz zaniedbać.

– Ale po co? – zdumiał się Rojer. – Bez względu na to, co właściwie robię otchłāncem, nie jestem w stanie tego nikogo nauczyć!

– Gówna prawda! – warknął Naznaczony. – Dość narzekań! Ćwiczysz ich zaledwie od paru miesięcy! Potrzebujemy tych skrzypkowych czarodziejów, Rojer. Musisz znaleźć sposób, by ich przygotować, i tyle.

Podszedł do młodzieńca, pochwycił go za ramiona i spojrzał głęboko w oczy. Młody Minstrel dostrzegł w tym spojrzeniu determinację i zdecydowanie, a także zaufanie, wiarę w niego.

– Dasz sobie radę! – rzekł Naznaczony i uściskał młodzieńca.

Rojerowi wydało się, że udzieliła mu się determinacja towarzysza, jakby wystarczyło

jedno spojrzenie, by przekazać uczucia. Minstrel pomyślał, że skoro sam nie potrafił wyćwiczyć swych uczniów, musi zrobić to ktoś inny. A Rojer wiedział kto. Młodzieniec musiał tylko pokonać strach i udać się w odpowiednie miejsce.

Gared podszedł do Naznaczonego i opadł na kolano.

– Pozwól mi pojechać z sobą – poprosił. – Nie boję się galopować przez noc. Nie będę cię spowalniał.

– Wstawaj! – parsknął Naznaczony i kopnął Gareda w nogę.

Rębacz poderwał się, ale nie uniósł spojrzenia. Wtedy Naznaczony położył mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, że mnie nie spowolnisz, Gared – rzekł. – Ale tak czy owak nie mogę cię zabrać. Jadę do Miln sam.

– Ale przecież potrzebujesz kogoś, kto będzie cię chronić – sprzeciwił się Gared. – Świat cię potrzebuje!

– Temu światu bardziej potrzebni są mężczyźni tacy jak ty aniżeli tacy jak ja. Poza tym nie potrzebuję ochroniarza. Pomyślałem o innym zadaniu dla ciebie.

– Zrobię wszystko – obiecał Gared.

– Mnie niepotrzebna ochrona, ale Rojerowi owszem – ciągnął Naznaczony, ignorując ostre spojrzenie Minstrela. – Chciałbym, żebyś go pilnował, tak jak Wonda strzeże Leeshy. Jego muzyczna magia jest unikalna i niezastąpiona i gdy uda nam się poznać jej tajniki, może odwrócić losy wojny.

Gared uklonił się nisko i stanął w promieniach słońca wpadających przez okno.

– Przysięgam na słońce – rzekł, patrząc na Rojera. – Nie odstąpię go ani na krok.

Minstrel zerknął na ogromnego, nieprzewidywalnego Rębacza z obawą, nie był pewien, czy powinien poczuć ulgę, czy jeszcze większy strach.

– Ale z kibla będę mógł korzystać na osobności? – rzucił.

Gared ryknął śmiechem i klepnął Rojera w plecy tak mocno, że chłopak stracił dech w piersi i omal nie upadł.

\* \* \*

– Wyruszam do Fortu Miln przed wieczornym zamknięciem Bramy Północnej – odezwał się Naznaczony do Leeshy, gdy wspólnie zasiedli w powozie jadącym do szpitala. – Właściwie mam zamiar wyjechać zaraz po tym, jak spakuję juki Nocnego Tancerza.

Leesha poleciła Wondzie, by nie okazała zdziwienia, gdyby dowiedziała się, że audyencja przebiegła zgodnie z przewidywaniami Araine. Wonda w istocie nie zdradziła żadnych uczuć, ale Leesha z trudem opanowała lekki uśmiech cisnący jej się na usta.

– Co takiego?

– Rhinebeck chce, bym w jego imieniu poprosił księcia Euchora o pomoc w odparciu

Krasjan z ziemi Thesy – wyjaśnił Naznaczony.

Leesha udała, że kiwa głową z ponurą miną, lecz w gruncie rzeczy była zdumiona potęgą i wpływami starej księżnej. Oddałaby wszystko, by naginać mężczyzn do własnej woli tak, że nawet nie zdawałoby sobie z tego sprawy.

– Mówię, że wyjeżdżam, i nie słyszę żadnych protestów? – Naznaczony wydawał się rozczarowany. – Nie słyszę uporczywych prośb, bym pozwolił ci się przyłączyć?

– Mam wiele spraw do załatwienia w Zakątku – Parsknęła Leesha, ale unikała jego spojrzenia. – Ty zaś od początku nie ukrywałeś, że chcesz podzielić się runami wojennymi z każdym miastem, miasteczkiem i wsią. Twoja wyprawa wszystkim wyjdzie na dobre.

– Ja też tak sądzę – zgodził się Naznaczony.

Reszta przejażdżki upłynęła w milczeniu. Przed szpital Leesha i wojownik dotarli, gdy uczennice ściągały prześcieradła ze sznurów.

– Gared, pomóż tym dziewczynom wnieść kosze z praniem – poleciła Leesha, gdy pusty powóz odjechał. Olbrzym ukłonił się i odszedł. – Wonda, Naznaczony będzie potrzebował strzał na drogę. Przynieś, proszę, kilka pęczków.

– Tak, proszę pani – odparła Wonda i wbiegła do szpitala.

– Pięć minut na dworze i wszyscy się wszystkim kłaniają – mruknął Rojer.

– Rojer, a mógłbyś poprosić panią Jizell, by kazała dziewczynom przygotować prowiant?  
– zapytała Leesha.

– A może powinienem zostać z wami jako przyzwoitka? – skrzywił się Rojer.

Leesha posłała mu takie spojrzenie, że się wzdrygnął. Ukłonił się zatem przesadnie i z zauważalnym sarkazmem, po czym odszedł, a dziewczyna i Naznaczony udali się do stajni. Tam mężczyzna zabrał się do nakładania runicznego siodła i zbroi rumaka.

– Będiesz na siebie uważał, dobrze? – poprosiła Leesha.

– Zawsze na siebie uważam. W przeciwnym razie już by mnie tu nie było.

– Co racja, to racja – odparła Leesha. – Niemniej nie chodziło mi o otchłańce. Książę Euchor ma... Cóż, o wiele gorszą reputację niż Rhinebeck.

– Chodzi ci o to, że nie podskakuje na smyczy trzymanej przez swoich doradców? Wiem. Spotkałem go kiedyś.

– Istnieje jakieś miejsce, do którego nigdy nie dotarłeś? – pokręciła głowę Leesha z niedowierzaniem.

– Nigdy nie byłem za wschodnimi górami. Nie przebyłem lasów na zachodzie. Nie dotarłem do morza za krasjańską pustynią – odparł mężczyzna i spojrzał na Zielarkę. – Ale dotrę tam kiedyś, jeśli będę w stanie.

– Jak Stwórca pozwoli, też chciałabym kiedyś się tam wybrać – rzekła Leesha.

– Nic cię już nie zatrzymuje – odparł, unosząc wytatuowaną dłoń.

Już miała powiedzieć: „Albo z tobą, albo wcale”, ale ugryzła się w język. Jego słowa wyraziły przecież wszystko. Była dla niego tym, kim dla niej był Rojer. Bez sensu udawać, że

jest inaczej.

– Ty też na siebie uważaj. – Wojownik wyciągnął dłoń.

Dziewczyna odtrąciła ją i objęła go mocno.

– Żegnaj.

W godzinę później Naznaczony wypadł galopem przez Północną Bramę. Leesha, choć jej oczy były mokre od łez, poczuła się tak, jakby z serca spadł jej ciężki kamień.

\* \* \*

Leesha od razu wpadła w szpitalną rutynę i podczas gdy Jizell zajmowała się korespondencją, wykonała obchód, przy okazji szkoląc uczące się tu dziewczęta. Zielarka nie mogła przestać myśleć o woluminach z runami, które czekały na nią w pokoju na piętrze, ale opanowała pokusę zaznajomienia się z wynikami badań Arlena, gdyż dobrze wiedziała, że jak raz wsadzi nos w książkę, to już go nie wyciągnie. Nauka była dla niej równie uzależniająca jak dla Gareda dreszcz magii, który przesywał ciało po zabiciu otchłānca runicznym ostrzem. Leesha postanowiła jednak, że przynajmniej przez kilka godzin będzie szukać pocieszenia w zwykłych przyjemnościach, jak ucieranie ziół i leczenie pacjentów cierpiących na prozaiczne dolegliwości: od złamań kości po paskudne przeziębienia.

Po odwiedzinach u chorych i odesłaniu dziewcząt do łóżek Leesha zagotowała sobie dzbanek herbaty i zabrała filiżankę do salonu Jizell. Wiedziała, że o tej porze pokój będzie pusty, a co więcej, zastanie tam ciepłe palenisko i niewielkie biurko. Leesha miała również listy do napisania – utrzymywała kontakt z wieloma Zielarkami w księstwie, a niektóre nie wiedziały jeszcze o odejściu Bruny. Podobnie jak z ucieraniem ziół, utrzymywanie kontaktu ze starymi przyjaciółkami było kolejną sprawą, na którą dziewczyna nie miała czasu, odkąd poznała Rojera i Naznaczonego.

Już miała wejść do saloniku, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Już w progu Leesha ujrzała Rojera, który zasiadał przy biurku Jizell. Stała na nim otwarta karafka z brandy. Ogień syczał i buchał gniewnie, a na kamieniach paleniska mieniły się okruchy szkła.

– Chcesz podpalić cały budynek? – krzyknęła Zielarka, wyszarpując szmatkę z fartucha. Przypadła do kominka i zaczęła ścierać alkohol, nim ten stanął w płomieniach, ale Minstrel ją zignorował. Ujął kolejny kieliszek i napełnił trunkiem. – Pani Jizell nie będzie zadowolona z tego, że tłuczysz jej naczynia! – napomniała przyjaciela Leesha.

Rojer wsunął rękę do worka, z którym nigdy się nie rozstawał. Był stary, brudny i polatany, ale Minstrel nadal nazywał go workiem pełnym cudów. W istocie potrafił zeń wyciągać rzeczy, które powodowały zdumienie nawet najbardziej sceptycznie nastawionej publiczności.

Tym razem cisnął na blat garść starożytnych monet ze skarbca Naznaczonego. Potoczyły się z brzękiem, niektóre spadły na podłogę.

– Kupi sobie za to sto nowych kielichów.

– Rojer, co się z tobą dzieje? – zapytała ostrzej Leesha. – Słuchaj, jeśli chodzi o to, jak odesłałam cię wcześniej...

Chłopak machnął dłonią z lekceważeniem i łyknął brandy. Zielarka uświadomiła sobie, że młodzieniec jest bardzo pijany.

– Gdzieś mam to, w jaki sposób pożegnaliście się z Arlenem w stajni.

– Nie rozłożyłam przed nim nóg, jeśli to próbujesz zasugerować. – Leesha wbiła weń złowrogie spojrzenie.

– Twoja sprawa. – Rojer wzruszył ramionami.

– A więc o co chodzi? – zapytała łagodniej Leesha, podchodząc bliżej.

Rojer spojrzał na nią, a potem znów sięgnął do worka pełnego cudów, skąd wyjął wąskie drewniane pudełko, w którym znajdował się ciężki złoty medalion.

– Dostałem to od ministra Jansona – wyjaśnił. – To książęcy Medal za Męstwo. Rhinebeck wręczył go Arrickowi za uratowanie mnie z zaatakowanej Rzeczułki. Nie miałem o tym pojęcia.

– Brakuje ci go – stwierdziła Leesha. – Nic w tym dziwnego. Uratował ci życie.

– Gówna prawda! – wykrzyknął Rojer, złapał za łańcuch i cisnął odznaczeniem przez pokój. Medal łupnął o ścianę i ze szczękiem spadł na ziemię.

Leesha położyła dłonie na ramionach chłopaka, lecz ten skrzywił się, jakby zamierzał ją uderzyć.

– Rojer, co się stało? – zapytała cicho.

Minstrel wyrwał się z jej objęć i odwrócił. Milczał tak długo i dziewczyna myślała, że już się nie odezwie, gdy nagle zaczął mówić:

– Kiedyś sądziłem, że to zwykły koszmara. – Jego głos był wysoki, rozciągnięty, jakby miał lada chwila się załamać. – Tańczyliśmy z mamą, a Arrick przygrywał na skrzypcach. Mój ojciec i pewien Posłaniec, Geral, klaskali do taktu. Było już po sezonie i karczma świeciła pustkami.

Nabrał tchu, z trudem przełknął ślinę.

– Nagle rozległ się trzask, jakby coś ciężkiego uderzyło o drzwi. Pamiętam, że tego samego dnia mój ojciec kłócił się z mistrzem Piterem, Patronem Runów, ale wspólnie z Geralem orzekli, że nie mamy powodów do obaw. – Rojer zachichotał z goryczą. – Pomylili się, i to bardzo, bo gdy odwróciliśmy się ku wejściu, ujrzeliśmy w progu skalnego demona.

– Och, Rojer! – Leesha przycisnęła pięść do ust, ale przyjaciel się nie odwrócił.

– Skalny potwór rozwalił futrynę, by wedrzeć się do środka, a między jego nogami przepychały się jeden za drugim ogniste. Mama chwyciła mnie w ramiona i wszyscy zaczęli wrzeszczeć. Nie pamiętam, co krzyczeli, ale...

Zaszlochał, a Leesha z trudem zwalczyła pragnienie, by do niego podejść. Młodzieniec zresztą szybko przezwyciężył słabość.

– Gerał rzucił Arrickowi runiczną tarczę i kazał mu zaprowadzić mnie i matkę w bezpieczne miejsce, a potem pochwycił za włócznię. Mój ojciec złapał żelazny pogrzebacz z kominka i obaj stawili czoła otchłanom.

Rojer milczał przez dłuższą chwilę, a gdy się w końcu odezwał, jego głos był zimny, monotony, pozbawiony emocji.

– Matka podbiegła do Arricka, ale ten ją odepchnął, złapał worek pełen cudów i wypadł z pokoju.

Leesha westchnęła przerażona, a Rojer pokiwał głową.

– Przysięgam. Arrick pomógł mi tylko dlatego, że matka wepchnęła mnie do kryjówki wraz z nim, a w chwilę później porwał ją jakiś demon. Nawet wtedy ten stary drań próbował się mnie pozbyć.

Minstrel złapał worek Arricka i musnął palcami wytarty aksamit oraz splekane skórzane łąty.

– Nie był wówczas taki zniszczony ani wypłowiały. Arrick należał przecież do ludzi księcia, nosił nowiutką sakwę, jak przystoi księżęcemu heroldowi. I oto cała prawda o męstwie Arricka – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Uratował worek z zabawkami!

Złapał worek zdrową dłonią i zacisnął ją z taką siłą, że aż kłykcie pobieleły.

– Ocalił ten oto worek, który wszędzie ze sobą noszę, zupełnie jakby dla mnie był równie ważny!

Potrząsnął nim przed oczyma Leeshy, a potem zerknął na ogień huczący w kominku.

– Rojer, nie! – wykrzyknęła Leesha, gdy młodzieniec ruszył do paleniska. Chciała zastąpić mu drogę i odebrać worek. Minstrel trzymał jednak sakwę mocno, Leesha nie zdołałaby jej wyszarpnąć. Lecz chłopak nie próbował walczyć. Ich spojrzenia spotkały się – Rojer miał oczy szeroko rozwarte, niczym zaszczute zwierzę. Leesha objęła go, a on wtulił głowę w jej pierś i zaszlochał.

Minęła dłuższa chwila, nim się uspokoił. Dziewczyna puściła go, lecz Rojer nadal trzymał się jej mocno. Nie otwierał oczu, a jego usta niespodziewanie zbliżyły się do jej ust. Leesha cofnęła się szybko, zaraz jednak złapała chłopaka, gdy ten zatoczył się i niemalże upadł.

– Przepraszam – wyjąkał.

– Nic się nie stało. – Odprowadziła go do biurka. Opadł na krzesło i wstrzymał oddech, jakby zmagając się z mdłościami. Na jego bladą twarz wystąpił pot.

– Napij się herbaty. – Leesha odebrała mu worek pełen cudów – a Rojer nie stawiał oporu – i odłożyła go w ciemnym kącie, z dala od ognia. Następnie podniosła złoty medalion Arricka z podłogi.

– Dlaczego go zostawił? – zapytał Rojer, wpatrując się w odznaczenie. – Gdy księżę wyrzucił nas z Angiers, Arrick zabrał wszystko, co nie było przymocowane do podłogi. Mógł przecież sprzedać ten medal jak wiele innych rzeczy, które odepchnął podczas naszej włóczędzy.



Dzięki temu medalionowi mielibyśmy wikt i opierunek na długie miesiące. Na noc, mógł nim spłacić długi w każdej knajpie w tym mieście, a to naprawdę coś!

– Może zdawał sobie sprawę, że na niego nie zasługuje – powiedziała Leesha. – Może wstydził się tego, co zrobił.

Rojer pokiwał głową.

– Też mi się tak wydaje. Lecz to jeszcze gorzej. Chcę go nienawidzić, ale...

– Ale był dla ciebie jak ojciec i nie możesz się do tego zmusić – skończyła za niego Leesha i pokręciła głową. – Doskonale cię rozumiem.

Obróciła medalion w palcach, głaszcząc jego gładką powierzchnię.

– Rojer, jakie imiona nosili twoi rodzice?

– Kally i Jessum. Dlaczego pytasz?

Leesha ułożyła medalion na biurku i sięgnęła do jednej z wielu kieszeni swego fartucha, skąd wyjęła niewielką skórzaną sakiewkę z narzędziami do rycia runów.

– Ten medalion powinien nie tylko upamiętniać twoje ocalenie z masakry w Rzeczułce, lecz także tych, którzy w niej zginęli.

Kilkoma płynnymi pociągnięciami wyryła imiona Kally, Jessuma i Gerała w miękkim metalu. Gdy skończyła, imiona zamigotały w blasku ognia. Rojer otworzył szeroko oczy, gdy Leesha ujęła ciężki łańcuch i założyła mu na szyję.

– Teraz gdy będziesz na niego patrzył, nie myśl o porażce Arricka. Pamiętaj o tych, którzy również ponieśli ofiarę, a pieśni o nich nie wspominają.

Rojer dotknął medalionu. Samotna łza opadła na jego powierzchnię.

– Nigdy go nie wyrzucę.

Leesha położyła mu dłoń na ramieniu.

– Myślę, że gdy będziesz musiał wybierać, czy zachować medal, czy ocalić komuś życie, wyrzucisz tę błyskotkę bez namysłu. Nie jesteś Arrickiem, Rojer. Zostałeś ulepiony z o wiele twardszej gliny.

Młodzieniec pokiwał głową.

– Pora, bym to udowodnił.

Wstał, ale zatoczył się i musiał złapać się biurka, by zachować równowagę.

– Ale dopiero jutro – poprawił się.

\* \* \*

– Ja będę z nimi rozmawiał, a ty się lepiej nie odzywaj – pouczył Rojer Gareda, gdy razem weszli do Gildii Minstreli. – Nie daj się zwieść ich szczerym uśmiechom i pstrokatym strojom. Prawie każdy tutaj umie podwędzić ci sakiewkę tak zręcznie, że nawet tego nie zauważysz.

Gared odruchowo położył dłoń na kieszeni.

– Tylko nie to – ostrzegł go Rojer. – W ten sposób pokazujesz, gdzie ją trzymasz.

– To co mam robić?

– Po prostu trzymaj ręce przy sobie i nie pozwól, by ktoś na ciebie wpadł – rzekł Rojer i zagłębił się w płataninę korytarzy Gildii. Ogromny Rębacz z dwoma toporami na plecach trzymał się tuż za nim, przyciągając kilka spojrzeń, ale bynajmniej nie wywołując zbiegowiska. Gildia Minstreli dobrze wiedziała, na czym polegają widowiska, a ci, którzy przyglądali się Garedowi, zastanawiali się jedynie, jaką rolę odgrywał ów olbrzym i dla kogo.

W końcu młodzieniec i Rębacz trafili do komnaty, w której urzędował mistrz.

– Rojer Bezpalczy chciałby zobaczyć się z mistrzem Chollsem – zaansował się Minstrel sekretarzowi.

Ten zmierzył go baczny spojrzeniem. Był to Daved, człowiek dobrze Rojerowi znany.

– Rozum postradałeś, że zjawiasz się po tym wszystkim? – szepnął ochryple, zerkając, czy ktoś nie idzie korytarzem. – Mistrz każe ci wyrwać jaja!

– Jeśli zależy mu na własnych, szybko sobie ten pomysł daruje – warknął Gared.

Daved zerknął w stronę, skąd padły zuchwałe słowa, lecz ujrzał jedynie parę masywnych ramion skrzyżowanych na piersi. Aby spojrzeć Rębaczowi w oczy, sekretarz musiał mocno zadzierać głowę.

– Stanie się, jak sobie życzysz, panie. – Urzędnik przełknął ślinę i wstał zza biurka. – Przekażę mistrzowi niezwłocznie, że oczekujesz na audiencję.

Podszedł do ciężkich dębowych drzwi, zastukał i wszedł do środka po usłyszeniu stłumionej odpowiedzi.

– Tutaj? Teraz? – dobiegło z komnaty, a potem drzwi nagle stanęły otworem i pojawił się w nich mistrz Gildii Cholls. Zamiast pstrokatego ubioru, preferowanego przez większość Minstreli, miał na sobie wspaniałą lnianą koszulę i wełnianą kamizelkę, nosił też starannie przystrzyżoną brodę, a włosy zaczesane do tyłu. Przypominał bardziej członka książęcego rodu aniżeli Minstrela. Rojer niespodziewanie uświadomił sobie, że nigdy nie widział jego występu. Ciekawe, czy Cholls w ogóle był Minstrelem?

Mistrz kipiał wściekłością, co natychmiast wyrwało Rojera z zadumy.

– Masz tupet, Bezpalczy! – ryknął. – Masz tupet, że się tu zjawiasz! Wyprawiliśmy ci cholerny pogrzeb, a do tego jesteś mi winien... – Zerknął na sekretarza.

– Pięć tysięcy – usłużnie podpowiedział urzędnik. – Mniej więcej.

– Dobrze, załatwmy najpierw sprawy finansowe. – Rojer wyciągnął sakiewkę podarowaną mu przez Naznaczonego i rzucił ją mistrzowi. Wartość znajdujących się w niej starożytnych monet przekraczała przynajmniej dwukrotnie dług.

Cholls rozsypał kieskę i jego oczy zabłyśły na widok złota. Złapał pierwszą lepszą monetę i nagryzł ją. Grymas na jego twarzy znikł, gdy ujrzał odcisk, jaki zęby pozostawiły na miękkim metalu. Spojrzał na Rojera zupełnie inaczej.

– Sądzę, że znajdę chwilę, by wysłuchać twoich wyjaśnień – powiedział i gestem zaprosił

Rojera i Gareda do komnaty. – Daved, podaj nam herbatę.

Daved spełnił polecenie, a Rojer obdarował go złotą monetą, której wartość przypuszczalnie przekraczała roczne zarobki sekretarza.

– To za pracę papierkową, dzięki której przywrócisz mnie do życia.

Daved radośnie skinął głową.

– Do zachodu słońca zdejmę cię ze stosu pogrzebowego, panie, i przywrócę do świata żywych – oznajmił i wyszedł, zamykając drzwi.

– W porządku, Rojer – rzekł Cholls. – Cóż takiego zdarzyło się rok temu i gdzieżeś się, na Otchłań, podziewał? Jednego dnia zbijacie z Jaycobem fortunę, a następnego dostaję wezwanie od jakiegoś urzędnika, bym zapłacił za spalenie zwłok Jaycoba, bo zniknąłeś!

– Mistrza Jaycoba i mnie zaatakowano podstępnie – rzekł Rojer. – Minęło wiele miesięcy, nim doszedłem do siebie w szpitalu, a gdy to się stało, uznałem, że lepiej będzie zniknąć na jakiś czas.

Uśmiechnął się.

– Lecz od tamtej pory jestem świadkiem najwspanialszej opowieści w dziejach świata, a co najlepsze, ta opowieść dzieje się naprawdę!

– Powoli, Bezpalcu – przerwał mu Cholls. – Kto was zaatakował?

– A jak sądzisz, mistrzu? – Rojer spojrział nań znacząco.

Cholls otworzył szerzej oczy i odchrząknął, by ukryć zaskoczenie.

– Cóż, najważniejsze, że nic ci się nie stało.

– Ktoś ci spuścił lanie i wylądowałeś w szpitalu? – zapytał Gared, zaciskając ogromną pięść. – Powiedz mi tylko, gdzie go znaleźć, a ja...

– Znaleźliśmy się tu w innym celu – uspokoił Rojer Rębacza, kładąc mu dłoń na ramieniu, lecz nie omieszkał zerknąć znacząco na Cholla. Mistrz westchnął ciężko.

– Niech szlag trafi herbatę – mruknął. – Napiłbym się czegoś mocniejszego.

Lekko trzęsącymi się dłońmi wyciągnął z szuflady szklisty gliniany słój oraz trzy szklaneczki. Nappełnił szczerze naczynia i wręczył gościom.

– Za powodzenie! – wznosił toast mistrz i upił nieco, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Rojerem. Gared zaś zerknął na nich podejrzliwie i młodzieniec zadał sobie w duchu pytanie, czy zwalisty Rębacz w istocie myślał tak wolno, jak uważano.

Olbrzym wzruszył tylko ramionami i opróżnił szklaneczkę jednym haustem. Natychmiast wybałuszył oczy, poczerwieniał i zaniósł się głośnym kaszlem.

– Na Stwórcę, chłopcze, tego się nie żłopie! – skarcił go Cholls. – To angieriańska brandy, przypuszczalnie starsza od ciebie. Tym należy się delektować!

– Przepraszam – sapnął ochryple Gared.

– W Zakątku pije się rozwodnione piwo – wyjaśnił Rojer. – W wielkich pieniących się kufiach, które olbrzymy takie jak Gared obalają całymi tuzinami. Spirytus idzie prosto z aparatury fermentującej do kielicha.

– Nie doceniają finezji – zgodził się Cholls. – A ty, Bezpalczy?

– Byłem przecież uczniem Arricka, nieprawdaż? – uśmiechnął się Rojer i upił trunku, rozkoszując się smakiem. Odetchnął, a powietrze aż sparzyło go w nozdrza. – Pijałem brandy, na długo nim doczekałem się owłosienia w majtkach.

Cholls zaśmiał się i znów sięgnął do szuflady, tym razem wyjmując skórzaną sakiewkę z ziołami.

– A palicie w Zakątku? – zapytał wciąż kaszlącego Gareda.

Rębacz skinął głową. Niespodziewanie jednak mistrz znieruchomiał i wbił spojrzenie w Rojera.

– Zaraz, w Zakątku? – spytał. – Dobrze usłyszałem?

– Tak. – Młody Minstrel wziął z sakiewki Cholla'sa szczyptę tytoniu i wepchnął do fajki, która pojawiła się w jego okaleczonej dłoni. – Dobrze usłyszałeś, mistrzu.

– Ty jesteś skrzypkim-czarodziejem Naznaczonego? – upewnił się Cholls z niedowierzaniem.

Rojer pokiwał głową, od lampy przy biurku zapalił małą świeczkę, po czym rozżarzył od niej fajkę.

Cholls opadł na fotel, nie kryjąc zdumienia. Zaraz się jednak opanował.

– W sumie to nie jestem chyba aż tak zaskoczony. Zawsze sądziłem, że w twojej grze kryje się magia.

Młody Minstrel podał mu fajkę i Cholls pyknął kilka razy, po czym przekazał ją Garedowi. Palili chwilę w milczeniu, aż mistrz wyprostował się, utracił nieco popiołu i ułożył fajkę na drewnianym stojaku.

– Dobra, Rojer, możesz tu siedzieć przez cały dzień i uśmiechać się tajemniczo, ale ja mam Gildię na głowie. Podsumujmy zatem: byłeś w Zakątku Drwali, gdy przybył tam Naznaczony?

– Nie tak do końca. On przybył tam wraz ze mną i z Leeshą – poprawił go Rojer.

– Z tą, która nazywana jest Runiczną Wiedźmą?

Rojer pokiwał głową i Cholls zmarszczył brwi.

– Jeśli wciskasz mi bujdy, Rojer, przysięgam na słońce, że ci...

– To nie bujdy – przerwał mu chłopak. – To prawda, co do słowa.

– Obaj dobrze wiemy, że rozmawiamy o historii, za którą każdy Minstrel gotów byłby zabić – rzekł Cholls. – Przejdźmy więc do konkretów. Ile za nią chcesz?

– Pieniądze już mnie nie interesują, mistrzu.

– Tylko mi nie mów, że doznałeś religijnego oświecenia. Arrick w grobie by się przewrócił. Opowieść o Naznaczonym przyciągnie tłumy, ale chyba nie wierzysz, że to Wybawiciel?

Rozmowę przerwał głośny trzask. Obaj Minstrele odwrócili się gwałtownie. Gared właśnie oderwał jedną z poręczy krzesła.

– On jest Wybawicielem! – warknął. – I rozszarpie każdego, kto twierdzi inaczej!

– Ani się waż! – ostudził go Rojer. – Sam stwierdził, że nim nie jest, i jeśli nie chcesz, bym mu powiedział, jakiego głupka z siebie robisz, lepiej milcz.

Gared popatrzył złowrogo i Rojerowi krew ścięła się w żyłach. Mimo to odpowiedział równie groźnym spojrzeniem, aż Rębacz uspokoił się, opuścił głowę i zmieszany zerknął na mistrza Gildii.

– Przepraszam za krzesło – bąknął, niezdarnie próbując wstawić oderwaną poręcz na miejsce.

– Cóż, nie przejmuj się – rzekł Cholls, choć Rojer wiedział, że krzesło warte było więcej niż dzienny zarobek dobrego Minstrela.

– Nie mnie orzekać, czy Naznaczony jest Wybawicielem – powiedział młodzieniec. – Aż do zeszłego roku uważałem, że to tylko historyjka opowiadana przy piwie. Sam zresztą wymyśliłem sporo jej wątków. Niemniej jednak on istnieje naprawdę. Zabija demony gołymi rękami i dysponuje mocami, których nie potrafię wyjaśnić.

– Jarmarczne sztuczki – burknął sceptycznie Cholls.

– Swego czasu zarabiałem na życie, robiąc prostaków w konia magicznymi sztuczkami, mistrzu – pokręcił głową Rojer. – Nie jestem byle głupkiem, którego można oszukać ruchami zręcznych dłoni i osłepiającymi proszkami. Nie wiem, czy Naznaczony został przysłany przez Stwórcę, ale włada prawdziwą magią. Co do tego nie ma wątpliwości.

Cholls rozparł się na fotelu i splótł palce.

– Załóżmy, że mówisz prawdę. Wyjaśnij mi zatem, po co przyszedłeś, skoro nie zamierzasz sprzedać mi tej historii?

– Och, sprzedam ją, a jakże. Ułożyłem pieśń pod tytułem „Bitwa o Zakątek Drwali”, której ludzie będą się domagać w każdej knajpie i na każdym placu tego miasta, a tylko zeszły rok dostarczył tylu historii, że Minstrele będą musieli przerywać pracę, by wysypać monety z kapeluszy.

– A więc czego chcesz, jeśli nie pieniędzy?

– Muszę nauczyć innych, jak posługiwać się magią skrzypiec – wyznał Rojer. – Kiepski jednak ze mnie nauczyciel. Szkolę grupę uczniów od paru miesięcy i może potrafią już przygrywać na zabawie, ale żaden nie umie sprawić, by owładnięty żądzą krwi otchłaniec uspokoił się choć trochę.

– Istnieją dwa aspekty muzyki, Rojer – stwierdził Cholls. – Jednym z nich jest talent, a drugim umiejętności. Umiejętności można się wyuczyć, ale talentu nie, a ja w życiu nie widziałem nikogo, kto dysponowałby tak wielkim talentem jak ty. Masz naturalny dar, którego nie wyćwiczy żaden nauczyciel gry na skrzypcach.

– Zatem nie pomożesz mi, mistrzu? – zapytał Rojer.

– Tego nie powiedziałem – odparł Cholls. – Ale musiałem cię uprzedzić, żebyś nie spodziewał się zbyt wiele. Może uda nam się coś dla ciebie zrobić. Czy Arrick nauczył cię

sygnałów muzycznych?

Rojer spojrział na mistrza z zaintrygowaniem i potrząsnął przecząco głową.

– Chodzi o przekazywanie instrukcji muzykom za pomocą rąk.

– Dyrygowanie?

– Nie. Muzycy, którzy grają pod okiem dyrygenta, znają utwór. Sygnalista muzyczny komponuje na bieżąco i przekazuje znaki muzykom, a ci grają pod jego dyktando.

– Naprawdę? – Rojer uniósł się na krześle.

– Naprawdę – uśmiechnął się Cholls. – Mamy kilku mistrzów, którzy potrafią uczyć tej sztuki. Wyślę ich do Zakątka i przykażę, by słuchali twoich wytycznych.

Rojer mrugnął.

– Przy czym nie myśl, że działam z altruistycznych pobudek – zaznaczył Cholls. – Historie, które nam przekażesz, wystarczą na jakiś czas, ale bez względu na to, czy objawił nam się Wybawiciel czy nie, jesteśmy świadkami przełomu w dziejach, a opowieść nadal się rozwija. Areną najważniejszych wydarzeń jest ów Zakątek. Od dawna planowałem wysłać tam Minstreli, ale nikt się jakoś nie kwapił. Najpierw zaraza, teraz ci uchodźcy... Jeśli zapewnisz Minstrelom bezpieczeństwo, wikt i opierunek, znajdę sposób, by kilku z nich, cóż... przekonać.

– Daję słowo – rzekł z uśmiechem Rojer.

Część III

Osądy

# 19

## NÓŻ

### 333 ROK PLAGI, LATO

Kilka dni po nocy, którą Renna spędziła w wychodku, w gospodarstwie zawitał gość. Jej serce zabiło żywiej na widok wędrowca na trakcie, nie był to jednak Cobie, lecz jego ojciec Garric.

Garric Fisher, ogromny, zwały mężczyzna, niewiele różnił się od syna. Choć liczył sobie ponad pięćdziesiąt lat, w jego gęstych, kręconych ciemnych włosach oraz w brodzie pojawiło się ledwie kilka pasemek siwych włosów. Podjechał wozem i skinął Rennie.

– Jest tu gdzieś twój stary? – zapytał.

Renna pokiwała głową. Garric splunął w bok.

– No to leć po niego!

Renna znów skinęła i z bijącym mocno sercem pobiegła na pole. Czego mógł chcieć Garric? Może Przyjechał porozmawiać w imieniu Cobiego? Czyżby Cobie nadal o niej myślał? Była tak pochłonięta rozważaniami, że nieomal wpadła na ojca, który wynurzył się ze ścieżki między łanami kukurydzy.

– Na noc, dziewczko! Cóż, na Otchłań, w ciebie wstąpiło? – zapytał, łapiąc ją za ramiona i potrząsając.

– Garric Fisher właśnie przyjechał – powiedziała Renna. – Czeka na podwórzu!

– Czeka na mnie, tak? – skrzywił się Harl, wytarł dłonie w szmatę i dotknął kościanej rękojeści noża, jakby chciał się upewnić, że wciąż ma go przy sobie. Następnie ruszył ku domowi.

– Tanner! – Garric zeskoczył z wozu na widok Harla. – Miło cię ujrzeć w dobrym zdrowiu.

– Ciebie też, Fisher. – Harl pokiwał głową i uściśnął wyciągniętą dłoń. – Co cię tu



sprowadza?

– Przywiozłem trochę ryb. – Garric wskazał beczki na wozie. – Porządne sumy i pstrągi, i to nadal żywe. Wrzucaj raz na jakiś czas trochę chleba do beczki, a pociągną długo. Chyba minęło sporo czasu, odkąd jedliście tu świeżą rybę.

– Dzięki, że pomyślałeś – powiedział Harl i pomógł Garricowi rozładować wóz.

– Przynajmniej tak mogę pomóc – rzekł Garric i otarł spocone czoło, gdy znieśli ostatnią beczkę. – Mocno dziś przygrzewa. Mam za sobą długą drogę i pić mi się chce jak zaraza. Usiądziemy sobie na ganku, zanim ruszę z powrotem?

Harl pokiwał głową i obaj zasiedli na starych fotelach bujanych na ganku. Renna przyniosła dzbanek zimnej wody i dwie szklanki. Garric z kieszeni wyciągnął glinianą fajkę.

– Masz coś przeciwko, jak sobie zakurzę? – zapytał.

Harl pokręcił głową.

– Dziewczyno, przynieś no mi fajkę i sakiewkę z ziołami – rozkazał, a potem podzielił się zawartością z Garrikiem. Renna przyniosła im również świeczkę, by mieli czym zapalić fajki.

– Mmm. – Garric wydmuchnął dym, delektując się aromatem. – Nieźle.

– Sam hoduję – rzekł Harl. – Wieprz kupuje większość tytoniu w Południowej Strażnicy, a tam zawsze sprzedaje mu się byle co, najlepszy towar handlarze zatrzymują dla siebie. Hej, dziewczucho – odwrócił się do Renny – napełnij sakiewkę pana Fishera. Niech się rozkoszuje moim tytoniem również u siebie.

Dziewczyna skinęła głową i weszła do domu, ale zatrzymała się przy drzwiach, nasłuchując. Wiedziała, że gdy formalności dobiegną końca, zacznie się prawdziwa rozmowa, a z tej nie chciała uronić ani słowa.

– Wybacz, że tyle czasu musiałeś na mnie czekać – zaczął Garric. – Nie chciałem cię urazić.

– Nie uraziłeś mnie w niczym – odparł Harl i pyknął z fajeczki.

– W całej wsi aż huczy od plotek o tym, co się zdarzyło między dziećmi. Usłyszałem o wszystkim od córki Wieprza. Baby nie mają chyba nic innego do roboty oprócz pytlowania na prawo i lewo.

Harl splunął.

– Chciałem cię przeprosić za zachowanie mojego chłopaka – ciągnął Garric. – Cobie lubi się przechwalać, że jest już dorosły i potrafi zająć się własnymi sprawami, ale ja zawsze powiadam: poznasz dorosłego po czynach jego. I co, nie miałem racji?

– Mało powiedziane – burknął Harl i znów splunął.

– Cóż, muszę ci powiedzieć, że po tym jak wyrzuciłeś go stąd na zbity pysk, domyśliłem się wszystkiego i wkroczyłem do akcji. Obiecuję, że nie przydarzy się to ponownie.

– Miło mi to słyszeć – odparł Harl. – Na twoim miejscu nauczyłbym szczeniaka moresu.

– A ja na twoim miejscu nauczyłbym córkę chodzić ze spuszczoną suknią – skrzywił się Garric – a nie przywozić do grzechu każdego mężczyznę, który przechodzi nieopodal.

– O, zamieniłem z nią parę słów – zapewnił go Harl. – Nie będzie już grzeszyć. Nauczyłem jej bojaźni wobec Stwórcy, wierz mi.

– Gdyby to była moja córka, nie poprzestałbym na słowach – rzekł Garric. – Tłukłbym różgą, aż plecy krwią by spłynęły.

– Wymierzaj kary swoim dzieciakom wedle uznania, Fisher – odparł Harl. – Ale od moich wara.

– Co racja, to racja. – Garric pokiwał głową i pyknął z fajki. – Gdyby ten mięczak Opiekun udzielił im ślubu, uciekliby do Pagórka Bogginów i tyle byś ich widział – ostrzegł.

Renna jęknęła, a jej serce zamarło. Przerażona przycisnęła dłoń do ust i wstrzymywała oddech tak długo, aż nabrała pewności, że mężczyźni jej nie usłyszeli.

– Harral zawsze był zbyt miękki – stwierdził Harl. – Opiekun musi karać występki, a nie pobbłażać mu!

Garric burknięciem wyraził aprobatę, a potem spytał:

– Nic jej nie dolega?

Dołożył wszelkich starań, by pytanie zabrzmiało normalnie, ale Renna czuła, że kryło się w tym więcej. Ojciec Cobiego wyraźnie był spięty.

– Krwawi co miesiąc, jak należy. – Harl pokręcił głową.

Garric odetchnął głośno, bez wątpienia z ulgą, a Renna nagle zrozumiała, dlaczego zwlekał tak długo z wizytą. Nieświadomie przycisnęła ręce do łona, żałując, że nie poczęła, lecz miała w sobie nasienie Cobiego tylko raz, a Harl zawsze uważał.

– Bez urazy – ciągnął Garric – ale mój syn nierób po raz pierwszy w życiu ma przed sobą szansę. Robimy z Nomi, co się da, by znaleźć mu jakąś porządną dziewczynę, a nie ladacznice.

– Jeśli twój młody choć raz dotknie mojej córki, więcej szans nie dostanie – rzekł Harl.

Garric skrzywił się, ale przytaknął.

– Gdyby była to któraś z moich dziewczuch, myślałbym tak jak ty – oznajmił i wystukał popiół z fajki. – Chyba się rozumiemy.

– Chyba tak – stwierdził Harl. – Dziewczyno! Gdzie ten tytoń?

Renna aż podskoczyła, całkiem zapomniawszy o napełnieniu sakwy. Podbiegła do baryłki z liśćmi tytoniu i błyskawicznie napchała nimi worek.

– Już lecę!

Harl zmierzył ją gniewnym spojrzeniem, gdy wróciła, i dał jej klapsa za opieszałość. Wręczył sakiewkę Garricowi i wraz z córką długo patrzył, jak ojciec Cobiego wsiada na wóz i odjeżdża.

\* \* \*

– Myślisz, że to wszystko prawda, Pani Drapko? – spytała Renna swą kocięcę.

Był już wieczór i Drapka ułożyła się za zepsutą taczka w oborze, gdzie ukryła młode, po czym zaczęła je karmić. Kocięta włożyły jedno na drugie, zmagając się o dostęp do sutków. Renna nazywała ją teraz Panią Drapką, ponieważ kotka była przecież szanującą się matką, choć obawy dziewczyny się spełniły i ojciec potomstwa nie zjawił się od chwili narodzin kociąt.

– Sądzisz, że Opiekun naprawdę udzieliłby nam ślubu, gdybyśmy się do niego udali? – zapytała. – Cobie był tego pewien, podobnie zresztą Garric. Och, wyobrażasz sobie, Pani Drapko?

Renna uniosła jedno z kociąt i ucałowała je w łepkę, a zwierzątko miauknęło słodko.

– Renna, żona Posłańca – wypróbowała brzmienie swego tytułu. Brzmiał dobrze. Ba, brzmiał z należytą godnością. – Dałabym jakoś radę dotrzeć do Ryneczku – powiedziała. – To daleko stąd, ale pewnie udałoby się przebiec w jakieś cztery godziny. Gdybym wyruszyła późnym popołudniem, ojciec nigdy by mnie nie dogonił. Za bardzo dokuczają mu stawy.

Zerknęła na wóz.

– Zwłaszcza gdyby musiał iść pieszo – dodała cicho. – Ale co zrobię, jeśli Cobiego nie będzie w domu? Albo jeżeli mu już na mnie nie zależy?

Gdy tak rozważała ponurą perspektywę, niczym syn marnotrawny pojawił się kocur, trzymając w zębach tłustą mysz. Położył ją przy Pani Drapce, a Renna uznała, że jest to znak od samego Stwórcy.

\* \* \*

Z realizacją planu Renna odczekała kilka dni, na wypadek gdyby ojciec podejrzewał, że usłyszała jego rozmowę z Garrikiem. Dziewczyna przemyślała każdy szczegół, dobrze wiedząc, że będzie to jej ostatnia próba ucieczki. Gdyby ojciec znów ją złapał, konsekwencje z pewnością byłyby tragiczne – wątpiła bowiem, czy udałoby jej się przeżyć kolejną noc w wychodku, a już na pewno nie zdobyłaby się na ponowną próbę.

Ojciec wracał z pola po południu i niespiesznie spożywał posiłek, po czym wracał do pracy. Gdyby uciekła w tym właśnie momencie, dotarłaby do Ryneczku na dwie godziny przed zapadnięciem zmroku. Harl zaś zdałby sobie sprawę z jej zniknięcia, dopiero gdy byłoby już za późno. Powstające otchłānce uniemożliwiłyby mu pościg i musiałby czekać do rana lub przynajmniej poszukać schronienia na noc.

Gdyby zastała Cobiego w Ryneczku, miałby resztę dnia, by udać się do Pagórka Bogginów i zobaczyć się z Opiekunem. Jeżeli nie byłoby go na miejscu, Renna mogłaby pobiec na farmę Jepha. Nigdy tam nie była, ale Lucik odwiedził gospodarstwo Ilain i utrzymywał, że znajdowało się w odległości dwóch godzin marszu północną drogą z Ryneczku. Renna miałaby więc mnóstwo czasu, by tam dotrzeć i poprosić siostrę o pomoc. Wiedziała, że Ilain jej nie odmówi.

Gdy nadszedł dzień ucieczki, Renna dołożyła wszelkich starań, by nie zdradzić się ze swoimi zamiarami. Jak zwykle zakończyła wszystkie prace w obejściu, uważając, by zachować tę samą kolejność co zwykle.

Gdy Harl wrócił z pola, gulasz już na niego czekał.

– Chcesz dokładkę? – zapytała ojca, usiłując nie okazać po sobie pośpiechu. – Lepiej opróżnij garnek. Wyszoruję go i przygotuję w nim kolację.

– No, przecież nie odmówię drugiej miski twojego przysmaku, Ren – uśmiechnął się Harl. – To ty powinnaś była gotować przez wszystkie te lata, a nie Beni.

Uszczypnął ją w pośladek, gdy nachyliła się, by napełnić jego miskę. Renna już chciała oblać go gorącym gulaszem, ale zdusiła pokusę, a zamiast tego zmusiła się do chichotu. Wręczyła mu miskę z uśmiechem.

– Miło mi widzieć, jak się uśmiechasz – powiedział Harl. – Od czasu gdy wyniosła się stąd twoja siostra z dziećmi, minę miałaś kwaśną.

– Chyba zaczynam się przyzwyczajać do nowych porządków – odparła Renna, nałożyła sobie drugą porcję i usiadła, choć jedzenie było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę.

Po odejściu Harla policzyła do stu, a potem wstała szybko. Na desce do krojenia leżały warzywa przeznaczone na potrawę, której dziewczyna i tak nie planowała ugotować. Wzięła nóż i udała się do obory.

Jedynymi zwierzętami pociągowymi były dwa muły. Renna przyjrzała im się ze smutkiem, gdyż zajmowała się nimi od chwili, gdy Harl przywiódł je z gospodarstwa Macka. Były wówczas małymi źrebakami.

Lecz czy była na to gotowa? Gospodarstwo Harla było całym znanym jej światem. Kilkakrotnie odwiedziła Ryneček czy Pagórek Bogginów, lecz czuła się tam stłamszona, przytłoczona. Nie potrafiła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł zachować zdrowy rozsądek w takim tłumie. Czy ludzie ją zaakceptują? Czy naprawdę krążyła za nią opinia dziwki? Czy mężczyźni będą ją zmuszać do seksu, uważając, że jest głupia jak but i zawsze chętna?

Serce łomotało Rennie wręcz ogłuszająco, ale nabrała tchu w płuca i wyciszyła emocje do chwili, gdy nóż w jej ręku przestał drżeć. Wtedy uniosła go zdecydowanie i poprzecinała wszystkie popręgi u siodła, a także upręże, uzdy i strzemiona. Wybiła młotkiem jeden czop z koła i oderwała je kolejnym uderzeniem.

Upuściła młotek i sięgnęła do kieszeni fartucha, skąd wyciągnęła długi naszyjnik z otoczków, подарowany jej przez Cobiego. Wiedziała, że lepiej się z nim nie obnosić w obecności ojca, ale nie pozbyła się go i napawała nim w tajemnicy. Nadszedł moment, by go założyć, i Renna z radością powitała jego ciężar na szyi.

Następnie pochwyciła ukryty zawczasu bukłak, wyslizgnęła się z obory, uniosła spódnice i popędziła drogą ile sił w nogach.

Dotarcie do Ryneczku okazało się o wiele trudniejsze, niż sądziła Renna. Była silną dziewczyną, ale nienawykłą do biegania. Już po chwili płuca paliły ją żywym ogniem, a obolałe stopy ledwie ją niosły. Gdy opadała całkiem z sił, zatrzymywała się i sapała ciężko, popijając łączywie wodę z bukłaka, ale ani razu nie pozwoliła sobie na dłuższą przerwę.

Zmordowana ledwie widziała na oczy, a świat wokół chwiał się i rozmywał. Gdy Renna dotarła do mostka nad potokiem, czuła się, jakby nadużyła piwa Bogginów. Opadła na kolana przy brzegu strugi, zanurzyła twarz w chłodnej wodzie i piła bez umiaru.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Po raz pierwszy od prawie godziny Renna mogła znów logicznie myśleć. Wiedziała, że uda jej się dotrzeć na czas, jeśli utrzyma tempo. Jej stopy, nogi i płuca zaprotestowały, gdy wstała, ale dziewczyna zignorowała falę bólu i znów rzuciła się do biegu.

Gdy przemierzała Ryneczek, tu i ówdzie widziała ludzi, w większości miejscowych sprawdzających runy przed nadejściem zmierzchu. Przyglądali jej się z zaciekawieniem, ktoś nawet za nią krzyknął, ale nie zwracała na to uwagi, kierując się ku jednemu miejscu, które znali wszyscy ludzie w Potoku Tibbeta, ku sklepowi Wieprza.

– Samknięte – wyseplenił Stam Tailor, schodząc po stopniach ganku. Niespodziewanie zatoczył się i Renna, która zmierzała w górę, złapała go w porę.

– Co takiego? – zapytała, usiłując ukryć rozpacz. – Jak to zamknięte? Przecież Wieprz ma zawsze otwarte aż do zmierzchu!

Skoro Cobiego nie było w sklepie, nie miała pojęcia, gdzie go szukać, a to oznaczało, że będzie musiała biec do Ilain.

– Tesz im tak powieziałem! – wrzasnął Stam, kiwając energicznie głową. – No dobra, trochę se wypilem, może nawet ziebko za duszo, ale czy to powód, by wykopaś biednego Stama na dwór i samknać wsześniej?

Renna dopiero teraz poczuła bijący od niego smród i aż się cofnęła. Wymiociny na jego koszuli nadal były wilgotne. Zdaje się, że niektóre plotki – jak na przykład ta, że Stam nigdy nie trzeźwieje – jednak okazały się prawdą.

Oparła go o poręcz i wbiegła na samą górę, gdzie załomotała do drzwi.

– Panie Rusco! – krzyknęła. – To ja, Renna Tanner! Muszę się zobaczyć z Cobiem Fisherem!

Tłukła, aż rozbolą ją ręka, ale ze środka nie dobiegł najcichszy nawet odgłos.

– Se jusz poszedł – wybełkotał Stam, trzymając się kurczowo poręczy, jakby zależało od tego jego życie. Był chorobliwie blady i chwiał się. – Jakiś czas temu. A ja se tu siedziałem na ssschodach, próbujas... No, próbujas jakoś wsstać.

Renna spojrzała nań z przerażeniem, a Stam źle zrozumiał wyraz jej twarzy.

– Och, się pani szanowna nie przejmuję starym Stamem – chuchnął w jej kierunku. – Bywało goszej. Se jakoś dam radę.

Renna pokiwała głową, czekając, aż odejdzie precz, by mogła bez przeszkód obieć sklep i załomotać do tylnych drzwi. Wątpiła, czy Wieprz byłby gotów zaufać komukolwiek, nawet Cobiemu, i wpuścić go do sklepu pod swą nieobecność. Skoro Cobie mieszkał gdzieś na zapleczu, musiało tam prowadzić osobne wejście.

Nie pomyliła się. Tuż przy stajni znajdowała się niewielka izdebka, przypuszczalnie pomyślana jako magazyn żywności, ale wystarczająco duża, by zmieścił się tam kufer i prycza. Nabrała tchu i zastukała. W chwilę później w progu stanął Cobie, a Renna aż roześmiała się z ulgą.

– Renna, co ty tu robisz? – Oczy Cobiego niemalże wyszły z orbit. Wyrżał czujnie, a potem złapał dziewczynę za ramię i wciągnął do środka.

Chciała go objąć, ale nadal nie puszczał jej ramienia i nie pozwalał się zbliżyć.

– Czy ktoś cię widział po drodze? – zapytał.

– Tylko Stam Tailor przed sklepem – uśmiechnęła się Renna. – Ale był tak pijany, że zdziwiłabym się, gdyby zapamiętał.

Znow chciała się do niego zbliżyć, ale Cobie jej nie puszczał.

– Nie powinnaś tu przychodzić, Ren – powiedział.

Cios obuchem nie zaboląby bardziej od jego słów.

– Co? – wyjąkała.

– Musisz stąd iść, zanim ktoś cię tu znajdzie! Jeśli twój stary mnie nie zabije, to z pewnością zrobi to mój!

– Masz trzydzieści lat na karku i jesteś silny jak byk! – krzyknęła Renna. – I to ty boisz się naszych ojców bardziej ode mnie?

– Twój stary nie zabije ciebie, ale mnie!

– Nie, nie zabije! Sprawi, że będę się modliła o śmierć!

– Tym bardziej powinnaś stąd iść, zanim znajdzie nas razem – rzekł Cobie. – Oni nie odpuszczą, nawet jeśli Opiekun udzieli nam ślubu. Nie znasz mojego starego. Ubrdał sobie, że mam poślubić córkę Ebera Marsha, choćbym miał to zrobić z widłami wbitymi w plecy. Dał mu mnóstwo ryb w zamian za przyrzeczenie.

– A więc ucieknijmy stąd! – Renna wpiła się w jego ramię. – Ucieknijmy na Słoneczne Pastwiska lub nawet do Wolnych Miast! Mógłbyś wstąpić do prawdziwej Gildii Posłańców!

– I spać pod gołym niebem? – zapytał Cobie ze zgrozą. – Oszalałaś?

– Ale mówiłeś, że mnie kochasz! – Renna złapała za naszyjnik z otoczaków. – Mówiłeś, że nic nas nie rozłączy!

– Tak, mówiłem, ale było to, zanim twój stary niemalże oberznął mi jajca, a o tym, co zrobił mój, nie chcę nawet myśleć. – Cobie rozejrzał się po izbie z szaleństwem w oczach. – Mnie też nie wolno tu dziś spać – mruknął. – Do zmierrchu zostało trochę czasu, być może Harl jeszcze tu zajrzy. Uciekaj do Pagórka Bogginów, do swojej siostry, a ja pójdę do ojca. Będzie wiedział, że nie zrobiłem niczego złego. No, dalej!

Popchnął ją lekko, a oszołomiona dziewczyna nie protestowała. Cobie otworzył drzwi, a wtedy ujrzeni oczekującego na zewnątrz Harla z nożem w dłoni. Kilka kroków za nim klęczał w pyłe drogi jeden z mułów i rzeźił, wycieńczony szaleńczą jazdą. Harl dosiadał go na oklep.

– Mam was! – zawołał i grzmotnął Cobiego w twarz. Uderzenie pięści zaciśniętej na rękojeści noża rzuciło chłopaka na ziemię. Wówczas Harl pochwycił Rennę za ramię. Jego twarde, kościste palce wbiły się boleśnie w jej ciało. – Biegnij do swojej siostry, proś o schronienie na noc – wyszczał oślepiiony wściekłością. – Zaraz tam dotrę i porachuję się z tobą.

Jego spojrzenie odnalazło Cobiego.

– To nie tak, jak myślisz! – krzyknął Cobie, który zdołał uklęknąć na jedno kolano i unieść dłoń, by powstrzymać Harla. – Nigdy nie prosiłem jej, by tu przychodziła!

– Jasne, na Otchłań! Oczywiście! – zaszydził Harl, unosząc nóż. – Coś ci obiecałem, chłopcze, a ja nie łamię obietnic.

Odwrócił się ku Rennie, zamarłej ze strachu.

– Ruszaj! – warknął przez ramię. – Zasłużyłaś na tydzień w wychodku! Jeśli znów mnie zdenerwujesz, zrobią się z tego dwa!

Renna cofnęła się gwałtownie, wspominając ciągnące się jak wieczność godziny psychicznych tortur podczas upiornej nocy w wychodku. I to, co nastąpiło potem – zapach łóżka, w którym ciężkie, pomarszczone ciało sapiącego ojca przygniotło Rennę.

Pomyślała o powrocie do gospodarstwa i coś w jej sercu nagle pękło.

– Nie! – wrzasnęła i skoczyła na ojca, szarpiąc mu twarz paznokciami, jakby były to szpony. Zaskoczony zatoczył się i padł, uderzając głową o ziemię. Próbowwała odebrać mu nóż, ale nie udało się, Harl był silniejszy.

Cobie zdążył już się podnieść, ale nie podchodził.

– Cobie! – błagała Renna. – Cobie, pomóż mi!

Harl uderzył ją w twarz, odtrącił, doskoczył, by przygnieść dziewczynę do ziemi, ale wgryzła się w jego ramię. Mężczyzna zawył z bólu i znów rąbnął ją w twarz, a potem trzykrotnie w żołądek, aż Renna go puściła.

– Ty mała suko! – sapnął, patrząc na krew ściekającą z rany, a potem warknął, upuścił nóż i pochwycił córkę za gardło.

Miotła się dziko, ale żelazne dłonie ojca ani drgnęły. Otworzyła szeroko usta, bezskutecznie próbując złapać oddech. Na jej twarz kapwały krople krwi ściekające z ramienia Harla. W jego oczach lśniło szaleństwo i Renna zrozumiała, że tym razem ojciec nie odpuści. Tym razem ją zabije.

Zerknęła na Cobiego, ale ten nadal ani drgnął. Pochwyciła jego spojrzenie i wyraziła niemą prośbę.

Chłopak jakby się przebudził.

– Dość tego! – krzyknął. – Zabijesz ją!

– Słusznie, dość tego, chłopcze. – Harl puścił gardło Renny, by odszukać nóż.

Cobie próbował ściągnąć mężczyznę z dziewczyny, ale wówczas Harl niespodziewanie wbił mu ostrze między nogi.

Twarz chłopaka poczerwieniała. Ze zgrozą spojrział w dół, na strumyki krwi płynące z rany. Nabrał tchu, by wrzasnąć, ale Harl nie dał mu szansy. Wyrwał nóż i wbił go Cobiemu w serce.

Chłopak pochwycił broń sterczącą z klatki piersiowej i otworzył usta w proteście, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Padł martwy.

Harl wstał znad dyszącej, bezsilnej Renny i podszedł do ciała, by wyjąć nóż.

– Ostrzegałem cię niejednokrotnie, chłopcze – powiedział, wycierając ostrze w jego koszulę. – Trza było słuchać.

Wsunął broń do pochewki. Ledwie cofnął dłoń, gdy rękojeść pochwyciła Renna, wyrwała nóż i wbiła ojcu w plecy. Dźgała raz za razem, wrzeszcząc i płacząc, a krew bryzgała na jej twarz i suknię.



## Sędzia Raddock

333 ROK PLAGI, LATO

Jeph Bales w samą porę skończył sprawdzanie runów na ganku. Jego rodzina była już w środku, dzieci myły się przed kolacją, a Ilain i Norine pracowały w kuchni. Zerknął na ostatnie promienie zachodzącego słońca. Ciepło dnia umykało z ziemi, otwierając demonom drogę z Otchłani.

Gdy nad ziemi uniosły się pierwsze cuchnące obłoki szarej mgły, Jeph odwrócił się i ruszył do domu. Demony nie materializowały się w okamgnieniu i miał jeszcze chwilę, ale wolał nie ryzykować.

Gdy sięgnął dłonią ku klamce, usłyszał odległe zawodzenie. Uniósł głowę – ktoś biegł drogą do gospodarstwa i wrzeszczał ze wszystkich sił.

Jeph pochwycił topór, który zawsze stał przy drzwiach, i podszedł do granicy bariery runicznej, obrzucając nerwowym spojrzeniem materializujące się otchłańce. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie swego najstarszego syna, który nie zawahałby się ani chwili i popędził na ratunek obcemu, ale Arlen nie żył od czternastu lat, a Jeph nigdy nie dorównał mu odwagą.

– Wytrzymaj! – krzyknął. – Biegnij co sił! Odwagi, schronienie jest tuż-tuż!

Otchłańce, wciąż jeszcze półprzezryste, uniosły łby, słysząc wołanie, i Jeph mocniej zacisnął dłonie na stylisku topora. Za nic w świecie nie wyszedłby poza barierę, ale gdyby któryś z demonów znalazł się za blisko, mężczyzna uderzyłby na niego, by oczyścić nieznajomemu drogę.

– Co się dzieje? – rozległ się zaniepokojony okrzyk Ilain.

– Niech nikt nie wychodzi z domu! – odkrzyknął Jeph. – Bez względu na to, co usłyszysz, nie wychodź!

Zatrzasnął drzwi i odwrócił się. Wrzeszcząca nieznajoma – widział już, że to kobieta, a jej suknia jest zbrzydzone krwią – pędziła jak oszalała. Trzymała coś w ręku, lecz Jeph nie był w stanie dostrzec, co to było.

Otchłanice doskakiwały do niej i cięły pazurami, lecz na szczęście proces materializacji jeszcze się nie zakończył i ich szpony, miast rozszarpywać ciało na strzępy, zostawiały ledwie zadrapania. Zdawało się, że uciekająca nawet tego nie dostrzega, choć nie przestawała wrzeszczeć.

– Biegnij, nie zatrzymuj się! – powtórzył Jeph, mając nadzieję, że owe mizerne słowa wesprą przybyłą.

Kobieta wpadła na podwórze i dobiegła już prawie do ganku, gdy Jeph nareszcie ją rozpoznał. W tym samym momencie w pełni uformowany ognisty demon znalazł się na jej drodze.

– Renna! – sapnął mężczyzna, ale gdy spojrzał ponownie, ujrzał nie Rennę Tanner, ale swą żonę Silvy, zamordowaną przez ognistego demona czternaście lat temu w tym samym miejscu.

Niespodziewanie coś w nim stwardniało. W okamgnieniu znalazł się poza barierą i zaczął rąbać stalowym toporem. Pancierz ognistego demona był w stanie znieść cios każdej broni wykonanej przez człowieka, ale stworzenie do wielkich nie należało i pod silnymi uderzeniami Jepha potoczyło się daleko po podwórzu.

Inne otchłanice zawrzasnęły i skoczyły ku walczącym, ale nie miały czasu, by odciąć uciekinierce drogę ucieczki. Jeph pochwycił Rennę za ramię i pociągnął za sobą ku barierze. Potknął się na schodach ganku i oboje stracili równowagę, ale byli już bezpieczni. Ścigający ich drzewny demon uderzył w barierę ułamek sekundy później. W powietrzu zarysowała się pajęczyna srebrnych refleksów magicznych, a otchłaniec poleciał w tył.

Jeph otoczył Rennę ramionami i przytulił mocno, ale dziewczyna nadal wrzeszczała, nieświadoma, że nic jej już nie grozi. Ubranie, a także twarz i dłonie pokryte miała krwią, ale mężczyzna nie dostrzegł żadnej rany. W prawej dłoni Renna ścisnęła zakrwawiony wielki nóż z kościaną rękojeścią.

– Renna, nic ci nie jest? – zapytał. – Czyja to krew?

Wtedy otworzyły się drzwi i wyszła Ilain. Na widok siostry aż sapnęła z przerażenia.

– Czyja to krew? – powtórzył pytanie Jeph, ale Renna, jeśli go słyszała, nie dała tego po sobie poznać, nie przestawała bowiem krzyczeć i szlochać. Strumienie łez spływały po jej policzkach, rzeźbiąc kanaliki w brudzie.

– To nóż taty. – Ilain wskazała zakrwawione ostrze, które Renna ścisnęła z taką siłą. – Wszędzie bym go rozpoznała. Nigdy się z nim nie rozstaje.

– Na Stwórcę... – pobałdł Jeph.

– Ren, co się stało? – Ilain pochyliła się i ujęła siostrę za ramiona. – Jesteś ranna? Gdzie jest ojciec? Nic mu się nie stało?

Renna jednakże nadal nie odpowiadała i Ilain zamilkła, słuchając szlochania siostry i otchłańców, które z wrzaskiem usiłowały przebić się przez runy.

– Najlepiej będzie, jak wniesiemy ją do środka – stwierdził Jeph. – Ułóż dzieciaki w ich pokojach, a ja zaniosę ją do naszego.

Ilain ruszyła posłusznie. Jeph poszedł za nią, uniósłszy drżącą Rennę w potężnych ramionach. Ułożył ją delikatnie na słomianym materacu, a Ilain przyniosła miskę ciepłej wody i czyste sukno. Renna przestała już krzyczeć, ale nadal nie odpowiadała na żadne pytania. Milczała, gdy Ilain wyjęła zakrwawiony nóż z jej dłoni i ułożyła go na nocnym stoliku, a potem rozebrała siostrę i miarowymi, zdecydowanymi ruchami zaczęła ścierać krew z jej ciała.

– Jak sądzisz, co się stało? – zapytał Jeph, gdy Renna, opatulona w koce, zaległa nieruchomo, w milczeniu patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma.

– Nie wiem – pokręciła głową Ilain. – Gospodarstwo ojca leży daleko stąd. Niezły szmat drogi do przebiegnięcia, nawet na przełaj. Musiała biec wiele godzin bez przerwy.

– Przybiegła od strony miasta – zauważył Jeph.

Ilain wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo, co się tak naprawdę zdarzyło, ale nie możemy winić o to otchłańców – rzekł Jeph. – Demony w blasku dnia?

– Jeph, chciałabym, byś pojechał jutro na farmę ojca – powiedziała Ilain. – Być może napadły ich wilki albo bandyci. Pojęcia nie mam. Będę kryć Rennę do twojego powrotu.

– Wilki i bandyci w Potoku Tibbeta? – zapytał z powątpiewaniem Jeph.

– Udaj się tam, dobrze? Jedź tam i rozejrzyj się.

– A co, jeśli natknę się na trupa zasztyletowanego Harla? – odezwał się Jeph, wiedząc, że Ilain również o tym myśli.

Dziewczyna westchnęła głęboko.

– Wówczas wytrzesz podłogę z krwi i spalisz jego ciało na stosie, a jak ktoś będzie się dopytywał, to powiesz, że spadł z drabiny i złamał sobie kark.

– Nie możemy po prostu kłamać! – rzekł Jeph. – Jeśli ona kogoś zabiła...

– A co takiego, na Otchłań, robiliśmy przez wszystkie te lata? – Ilain przerwała mu wściekłym warknięciem.

Jeph uniósł dłoń, chcąc ją uspokoić, ale dziewczyna nawet tego nie dostrzegła.

– Byłam dla ciebie dobrą żoną? – pytała. – Dbałam o twój dom? Urodziłam ci synów? Kochasz mnie?

– Oczywiście, że tak!

– A zatem zrób to dla mnie, Jeph – powiedziała. – Zrób to dla nas wszystkich, a także dla Beni i jej chłopców. Doprawdy nie ma potrzeby, by to, co wydarzyło się w gospodarstwie, dotarło do uszu ludzi z miasta. Przynajmniej plotek nie będzie.

Jeph milczał przez dłuższą chwilę, mierząc spojrzeniem wpatrzoną w niego żonę, aż w

końcu kiwnął głową.

– W porządku. Wyjadę po śniadaniu.

\* \* \*

Jeph zerwał się skoro świt i pośpiesznie wykonał poranne prace, chociaż w starych kościach znów odezwał się ból. Przez całą noc starali się z Ilain skłonić Rennę, by powiedziała coś z sensem, ale dziewczyna tylko wpatrywała się w sufit i nie chciała ani jeść, ani spać. Po śniadaniu osiodłał ich najlepszą klacz.

– Będę się trzymał z dala od drogi – powiedział do Ilain. – Pojadę skrótem przez pola na południowym wschodzie.

Ilain pokiwała głową i objęła go mocno. Odwzajemnił uścisk, choć żołądek mu się skręcał na myśl o wszystkich okropnościach, które mógł zastać w gospodarstwie Harla. W końcu puścił żonę.

– Dobra, czas ruszać, póki jeszcze mam czas na powrót.

Ledwie usadowił się w siodle, gdy usłyszał tętent kopyt. Nadjeżdżał właśnie wóz z Zielarką Coline Trigg oraz Mówczynią, zwaną Selią Wyszniętą. Na twarzy tej ostatniej malowała się ponura niechęć. Liczyła już sobie prawie siedemdziesiąt lat, a jej chuda i wiotka sylwetka mogła niejednego zmylić, tak naprawdę Selia była twarda niczym wygotowany rzemień i ostra jak topór Rębacza.

Obok wozu jechał Rusco Wieprz, a po drugiej stronie Garric Fisher i Raddock Lawry, wuj Garrica i Mówca Rybitw. Za wozem z kolei szedł Opiekun Harral i przynajmniej połowa mężczyzn z Rybitw, wszyscy uzbrojeni w cienkie ościenie.

Garric uderzył piętami w boki konia i wyrwał galopem do przodu. Wstrzymał wierzchowca dopiero przed samym gankiem, a uczynił to z taką furią, że zwierzę aż zaryło kopytami w ziemię i przysiadło na zadzie.

– Gdzie ona jest? – warknął.

– Kto taki? – zapytała Ilain, bez wysiłku odwzajemniając dzikie spojrzenie starszego Fishera.

– Nie igraj ze mną, kobieto! – warknął Garric. – Przyjechałem po tę kurwiącą się wiedźmę! Przybyłem po twoją siostrę morderczynię i dobrze o tym wiesz!

Zeskoczył z konia i ruszył na Ilain, wymachując pięścią.

– Ani kroku dalej, Fisher – osadziła go w miejscu Norine Cutter, która wyszła, dzierżąc topór. Mieszkała na farmie Jepha od chwili śmierci jego żony i od dawna uznawała jego rodzinę za własną. – To nie twoja ziemia, nie twój dom. Cofnij się i wyjaśnij, co cię tu sprowadza, chyba że masz ochotę chwycić otchłańca za rogi.

– Przyjechałem tu, ponieważ Renna Tanner zamordowała mojego syna, a ja dopilnuję, by trafiła za to do Otchłani! Zadzgała też własnego ojca! – wykrzyknął Garric. – Nie masz prawa

jej ukrywać!

Między rozjuszonym mężczyzną i kobietami stanął Opiekun Harral. Młody i silny, mógł się okazać godnym przeciwnikiem dla równie potężnego, ale starszego Garrica.

– Nie mamy żadnych dowodów – powstrzymał go. – Musimy jedynie zadać jej kilka pytań – zwrócił się do Ilain. – Tobie też, jeśli Renna zdradziła cokolwiek od wyjazdu Jepha.

– To nie wszystko – dorzucił Raddock, zsiadając z konia. Urodził się jako Fisher, ale wszyscy w Potoku nazywali go Sędzią, ponieważ reprezentował Rybitwy w radzie okręgu i zajmował się rozstrzygnięciem konfliktów prawnych we własnej osadzie. Był łysy jak kolano, ale nosił bujną, posiwiałą brodę. Choć starszy od Selii, słynął z porywczosci. Nienawidził łamania prawa, a co więcej, potrafił wzbudzać tę pasję w innych. – Dziewczyna musi odpowiedzieć za swoją zbrodnię.

Wieprz zeskoczył z siodła tuż po nim. Jak zwykle prezentował się imponująco, jak przystało na człowieka, który władał połową Potoku i udzielał pożyczek właścicielom drugiej połowy.

– Garric nie kłamie – powiedział do Ilain. – Twój ojciec i Cobie Fisher naprawdę nie żyją. Wczoraj wieczorem usłyszeliśmy z córkami krzyki przy sklepie. Chcieliśmy zobaczyć, co się dzieje, i oto w pokoju, który wynajmowałem Cobiemu, znaleźliśmy dwa trupy. Nie zostali po prostu zakłuci – ich ciała były wręcz poszlachtowane! Stam Tailor twierdzi, że widział twoją siostrę tuż przed zdarzeniem.

Ilain krzyknęła z przestachu i zasłoniła usta.

– Tak, to okropne – zgodził się Harral. – Dlatego właśnie musimy się jak najszybciej zobaczyć z Renną.

– A więc wpuście nas, i to już! – rozkazał Raddock, przepychając się naprzód.

– To ja jestem Mówczynią Potoku, a nie ty! – warknęła Selia i wszyscy zamilkli.

Jeph wyciągnął dłoń, by pomóc jej zejść z wozu. Kobieta ujęła suknię, by jej nie pobrudzić, i podeszła do rozmawiających. Sama jej obecność sprawiła, że młodszy mężczyźni, więksi od niej i potężniejsi, wydawali się kurczyć i maleć.

Rzadko zdarzało się, by komukolwiek w Potoku udawało się dożyć wieku Selii – tylko najbystrzejszym, najsprytniejszym i najbardziej zaradnym. Takich ludzi, którym podeszły wiek siwizną przyprószył skronie, traktowano z odpowiednim szacunkiem. Za młodu Selia była kobietą pełną energii. Teraz uosabiała siłę.

Tylko Raddock nie dał się zastraszyć. Przynajmniej raz w życiu zdołał wyrugować Selię ze stanowiska Mówcy, a jeśli wiek w Potoku Tibbeta w istocie oznaczał władzę, to Sędzia ustępował tylko i wyłącznie jej.

– Wejść do środka wraz z Coline, Harralem, Rusco i Raddockiem. Razem porozmawiamy z Renną – oznajmiła Selia Jephowi. Nie była to bynajmniej prośba. Ich piątka stanowiła połowę rady okręgu, więc Jeph mógł jedynie skinąć głową i zejść jej z drogi.

– Ja też idę! – warknął Garric, otoczony tłumem gniewnych, pochmurnych Fisherów,

swych bliższych i dalszych krewniaków.

– Nie, nie wchodzisz. – Selia zmierzyła rodzinę stalowym spojrzeniem. – Krew w tobie kipi i nikt się temu nie dziwi, ale przybyliśmy tu, by się dowiedzieć, co zaszło, a nie żeby uśmiercić dziewczynę bez procesu.

Raddock położył dłoń na ramieniu Garrica.

– Nigdzie nam nie ucieknie, Garr, obiecuję ci – zapewnił.

Garric zacisnął mocno zęby, ale skinął głową i ustąpił. Pięcioro starszych weszło do domu.

Renna leżała w tej samej pozycji, w której Ilain i Jeph ułożyli ją zeszłej nocy. Nadal wpatrywała się w sufit, mrugając od czasu do czasu. Coline podeszła do jej posłania.

– Och, na miłosierdzie – rzekła Selia, dostrzegłszy zakrwawiony nóż na stoliku nocnym. Jeph zaklął w duchu. Po co żona go tam zostawiła? Powinna była od razu wrzucić go do studni.

– Na Stwórcę – szepnął Harral i nakreślił run w powietrzu.

– Spójrzcie też na to – burknął Raddock, kopiąc miskę przy drzwiach. Moczyła się w niej suknia Renny, a woda była różowa od krwi. – Nadal sądzisz, że mamy tu jedynie zadać parę pytań, Opiekunie?

Coline z troską przyjrzała się siniakom na twarzy Renny i zbadała je kilkoma pewnymi ruchami, a potem odwróciła się do reszty i chrząknęła znacząco. Mężczyźni przez chwilę wpatrywali się, niczego nie rozumiejąc, a potem odwrócili się pospiesznie. Starsza kobieta zdjęła z leżącej nakrycie.

\* \* \*

– Nie ma żadnych złamań – powiedziała Coline Selii po zakończonym badaniu. – Ale została okrutnie pobita, a sińce wokół szyi wskazują, że ktoś próbował ją udusić.

Selia usiadła przy posłaniu Renny i łagodnie odgarnęła włosy z jej spoconej twarzy.

– Renna, kochanie, słyszysz mnie? – zapytała.

Dziewczyna nie zareagowała.

– Zachowuje się tak przez całą noc? – zmarszczyła brwi Mówczyni.

– Tak – odparł Jeph.

Selia westchnęła, położyła dłonie na kolanach i wstała. Następnie ujęła nóż, odwróciła się i wyprosiła wszystkich z pokoju. Sama wyszła jako ostatnia, zamykając za nimi drzwi.

– Widziałam już coś takiego, ale głównie po atakach demonów – powiedziała, a Coline przytaknęła. – Tak bywa, gdy człowiek jest bardziej przerażony, niż może znieść. Leży potem bez ruchu i gapi się przed siebie.

– Dojdzie do siebie? – spytała Ilain.

– Czasami ofiary są w stanie otrząsnąć się z tego w kilka dni – odparła Selia. – A

czasami... Cóż, nie będę cię okłamywać, Ilain Bales. Jak daleko sięgam pamięcią, w Potoku Tibbeta nigdy nie zdarzyło się nic równie potwornego. Jestem Mówczynią od trzydziestu lat i widziałam wielu ludzi, którzy odeszli, nim nastał ich czas, ale nikt nie został zabity w afekcie. Takie rzeczy zdarzają się może w Wolnych Miastach, ale nie tutaj.

– Ale Renna nie mogła... – rozpacz odebrała Ilain mowę.

Selia objęła ją i przytuliła.

– Właśnie dlatego miałam nadzieję, że uda mi się z nią porozmawiać i usłyszeć jej wersję.

– Zerknęła na Raddocka. – Ta banda Fisherów aż dyszy żądzą krwi i tylko dobre wyjaśnienie powstrzyma ich od samosądu.

– Mamy wystarczający powód! – warknął Raddock. – Jeden z moich krewniaków nie żyje!

– Jeden z moich również, jakbyś nie zauważył – odcięła się Ilain, mierząc go złym spojrzeniem.

– Tym bardziej należy domagać się sprawiedliwości! – oznajmił Raddock.

Selia syknęła i wszyscy zamilkli. Podała zakrwawiony nóż Harralowi.

– Opiekunie, byłabym ci wdzięczna, gdybyś był taki dobry i zawinął to w coś, a potem ukrył pod szatą do czasu przybycia do wsi.

Harral skinął głową i wyciągnął rękę.

– Cóż, na Otchłań, strzeliło ci do głowy? – krzyknął Raddock i złapał nóż, nim Harral zdolał go ująć. – Cały okręg ma prawo to ujrzeć! – dodał, machając bronią w powietrzu.

Selia złapała go za nadgarstek, lecz Raddock, dwakroć od niej cięższy, zaśmiał się szyderczo. Jego śmiech urwał się jednak, gdy wbiła mu piętę w śródstopie. Zawył głośno z bólu i wypuścił broń, by chwycić się za stopę. Selia złapała nóż, nim spadł na podłogę.

– Rusz głową, Lawry – warknęła. – Ten nóż to dowód i rzeczywiście, wszyscy mają prawo go ujrzeć, ale nie w sytuacji, gdy główna podejrzana leży tu bezbronna, a na zewnątrz czekają dwa tuziny zbrojne we włócznie. Przecież Opiekun go nie ukradnie!

Ilain przyniosła płachtę, a Selia owinęła nóż i przekazała Harralowi, który ukrył go bezpiecznie za pazuchą. Następnie Mówczyni zebrała suknię i wyszła z dumnie uniesioną głową. Wyzywająco spojrzała na zebranych Fisherów, którzy pomrukiwali gniewnie i zaciskali dłonie na włócznieach.

– Dziewczyna nie jest w stanie mówić – oznajmiła.

– Nie zebraliśmy się tu na rozmowy! – krzyknął Garric, a reszta przytaknęła.

– Nie dbam o to, po co się tu zebraliście – oznajmiła Mówczyni. – Niech nikt nie waży się zrobić czegokolwiek przed spotkaniem rady wsi.

– Przed spotkaniem rady?! – zdumiał się Garric. – Przecież to nie atak otchłańców! Ta zdzira zamordowała mojego syna!

– Nie wiesz tego, Garric – oznajmił Opiekun. – Być może Cobie i Harl pozabijali się nawzajem.

– Może i nie ona trzymała za nóż, ale ona za to odpowiada, nikt inny! – rzekł Garric. – Skusiła mojego syna, przywiodła go do grzechu i okryła wstydem swojego ojca!

– Prawo jest prawem, Garric – oznajmiła Selia. – Dziewczyna zasłużyła na zwołanie posiedzenia rady wsi, gdzie będziesz mógł wygłosić oskarżenie, a ona będzie mogła przemawiać w swojej obronie, zanim uznamy ją winną. Wystarczą mi dwa zabójstwa. Nie pozwolę tej bandzie dokonać trzeciego tylko dlatego, że ty nie możesz doczekać się sprawiedliwości.

Garric spojrzał na Raddocka, spodziewając się poparcia, ale Mówca Rybitw milczał, przesuając się ku Harralowi. Niespodziewanie przygniótł go do ściany i wsunął dłoń pod jego szatę.

– Nie powiedziała wam wszystkiego! – krzyknął. – Suknia tej dziewczyny właśnie moczy się w misce, a woda jest czerwona od krwi! A oto nóż! – Uniósł wyrwaną Harralowi broń. – Na jego ostrzu zakrzepła krew.

Jego krewniacy złapali za włócznię i zaczęli miotać przekleństwa, gotowi, by wdrzeć się do domu.

– Niech Otchłań porwie twoje prawo – rzucił Garric do Selii – skoro mówi ono, że nie mogę pomścić mojego syna.

– Po moim trupie! – odezwała się Selia. Stała w progu domu wraz z resztą rady i rodziną Jepha. – Jeśli chcecie zamordować tę dziewczynę, najpierw będziecie musieli zabić mnie. Tego właśnie chcecie? – zawołała. – By i was obwołano mordercami? Każdego Fishera?

– Ba, wszystkich nas nie powieszysz – parsknął Raddock. – Bierzemy dziewczynę i koniec tematu. Odsuńcie się albo sami was rozpędzimy.

Rusco uniósł ręce i odszedł.

– Wiarołomca! – rzuciła Selia, mierząc go wściekłym spojrzeniem.

– Żaden ze mnie wiarołomca, pani – uśmiechnął się Rusco. – Jestem jedynie człowiekiem interesu i branie udziału w podobnych zwadach nie jest moim zadaniem.

– Jesteś członkiem rady tego okręgu w tym samym stopniu co każdy z nas! – krzyknęła Selia. – Mieszkasz w Ryneczku od dwudziestu lat i niemal cały ten czas zasiadasz w radzie! Jeśli jest jakieś miejsce, które jest ci bliższe niż rada, lepiej będzie, jak wrócisz tam bezzwłocznie.

– Przykro mi, droga pani, ale muszę zachować zdrowy rozsądek. – Rusco znów odpowiedział uśmiechem. – Stawianie czoła całej wsi to nie najlepszy sposób na ubijanie interesów.

– Przynajmniej raz do roku przybywa do mnie połowa mieszkańców tego miasta, a wszyscy aż się palą, by cię pognać gdzie pieprz rośnie, jak już cię pognali w Miln, Angiers i Stwórca jeden wie gdzie jeszcze – oznajmiła Selia. – Mnie zaś co roku udaje się im ów zamiar wyperswadować. Uświadamiam im, że twój sklep jest dla wszystkich wielkim źródłem dochodów, i przypominam, jak się sprawy miały wcześniej, przed twoim



przybyciem. Skoro jednak decydujesz się odstąpić, proszę cię bardzo. Wiedz tylko, że dołożę wszelkich starań, by żaden przyzwoity człowiek nie postawił już nogi w twoim sklepie.

– Nie zrobisz tego! – krzyknął Wieprz.

– Owszem, zrobię, Rusco – powiedziała Selia. – Chcesz zaryzykować?

Raddock skrzywił się, a gdy Wieprz ponownie dołączył do Selii, smagnął go jadowitym spojrzeniem. Wieprz wytrzymał.

– Nie chcę tego słuchać, Raddock. Poczekamy jeszcze dzień czy dwa. Każdy człowiek, który tknie Rennę Tanner przed spotkaniem rady okręgu, ma zakaz wstępu do sklepu.

Selia zwróciła się ku Raddockowi. Jej oczy lśniły.

– Jak długo, Sędzio? – zapytała. – Jak długo Rybitwy wytrzymają bez tutejszego mięsa i ziarna? A co z ryżem z Mokradel? Piwem Bogginów? Drewnem od Rębaczy? Założę się, że my bez tych waszych cholernych ryb wytrzymamy o wiele dłużej!

– Dobrze, zwołaj tę swoją radę – powiedział Raddock. – Ale do czasu procesu zamkniemy dziewczynę w Rybitwach.

– Chyba nie sądzisz, że powierzę ją twojej opiece? – parsknęła Selia.

– A zatem gdzie będziecie ją trzymać? – zapytał. – Prędszej mnie Otchłań pochłonie, nim pozwolę, by została z rodziną! Stąd może uciec!

Selia westchnęła i spojrzała na dom.

– Dobrze, umieścimy ją w mojej izdebce tkackiej – oznajmiła. – Są tam porządne drzwi, a jak sobie życzysz, możemy przybić okiennice gwoździami i postawić straż.

– Sądzisz, że to dobry pomysł? – zapytał Rusco, unosząc brew.

– Dajże spokój – machnęła dłonią Selia. – Przecież to tylko młoda dziewczyna!

– Młoda dziewczyna, która zabiła dwóch dorosłych mężczyzn – przypomniał jej Rusco.

– Bzdura – rzekła Selia. – Wątpię, czy byłaby w stanie zabić kóregokolwiek z nich, nie mówiąc już o dwóch.

– Dobrze – warknął Raddock. – Ale do czasu rady zatrzymuję to. – Uniósł nóż. – Wezmę też suknię Renny Tanner.

Selia znów się skrzywiła. Ona i Sędzia zmierzyli się spojrzeniami, tocząc pojedynek woli. Mówczyni wiedziała, że Raddock, dysponując odpowiednimi dowodami, jest w stanie poderwać cały okręg, ale nie miała wyboru.

– Roześlę dziś gońców. – Skinęła głową. – Spotkamy się za trzy dni.

Jeph zaniósł Rennę na wóz i razem zabrali ją do domu Selii, po czym zamknęli w izdebce tkackiej. Garric osobiście przybił okiennice i sumiennie sprawdził wytrzymałość drewna, potem burknął pod nosem przekleństwo i odjechał.

## Rada okręgu

333 ROK PLAGI, LATO

Nadszedł świt i Selia podniosła się sztywno z łóżka. Dobrze parę lat temu zaczęła mieć bóle w stawach. Najbardziej dokuczały kobiecie w zimne bądź deszczowe dni, ale ostatnio czuła rwanie nawet podczas tych najcieplejszych i najsuchszych. Przeczuwała, że ból będzie się nasilać aż do jej śmierci.

Jednakże nie skarżyła się nikomu, nawet Coline Trigg. Ból należał do Selii, był jej brzemieniem. Piastowała przeciw stanowisko Mówczyni Potoku Tibbeta i ludzie oczekiwali po niej, iż zawsze będzie silna i nieustrudzenie poprze każdą słuszną sprawę. Bez względu na to, jak bardzo dokuczał jej ból, nigdy nie dała tego po sobie poznać. Selia zawsze była opoką, na którą każdy mógł liczyć.

Wstała i przystąpiła do porannych ablucji, a potem założyła jedną ze swoich ciężkich szat z wysokim kołnierzem, przez cały czas czując ów dodatkowy ciężar odpowiedzialności na swych barkach. Nie znała dobrze ani Renny, ani też jej sióstr, ale poznała ich matkę i wiedziała, jak Harl ją traktował, nim zabiły ją otchłańce. Niektórzy powiadali, że z chęcią oddała się demonom, aby tylko uciec od swego męża. Jeśli Harl podobnie traktował córki, Selia bez trudu mogła sobie wyobrazić, iż Renna zabiła go w samoobronie.

Po zakończeniu porannych czynności Mówczyni zajrzała do dziewczyny. Ubrała Rennę w jedną ze swych szat, a potem posadziła przy stole i wmusiła w nią nieco owsianki. Po posiłku wytarła usta dziewczyny i wyszła z izdebki tkackiej, zamykając drzwi na kłode.

Przed domem stał Rik Fisher, uzbrojony w harpun. Liczył sobie siedemnaście lat i nie był jeszcze żonaty, choć Selia widywała go w towarzystwie córki Ferda Millera, Jan. Jeśli Ferd aprobował wybór Jan, wkrótce młodych czekało przyrzeczenie.

– Chcę, żebyś pobiegł i załatwił dla mnie jedną sprawę – powiedziała Selia.

– Bardzo mi przykro, proszę pani – rzekł Rik – ale Sędzia Raddock kazał mi tu stać i baczyć, by dziewczyna nie nawiała, obojętnie, co ludzie powiedzą.

– Naprawdę? – zapytała Selia. – A czy słusznie się domyślam, że twój brat Borry czai się na tyłach, przy moich pięknych okiennicach, przybitych do ścian przez Garrica?

– Tak, proszę pani – rzekł Rik.

Selia zniknęła we wnętrzu domu i wyszła z powrotem z miotłą i grabiami.

– Nie pozwolę, by wokół mojego domu kręcili się jacyś próżniacy, Rik. Chcesz tu zostać, to proszę bardzo, ale zamieciesz podwórze do czysta, a twój brat wygarnie liście i zeschrzą trawę z trawnika za domem.

– Nie jestem pewien... – zaczął Rik.

– Jesteś zbyt leniwy, by pomóc starej kobiecie? Może wypada, bym wspomniała o tym Ferdowi Millerowi, gdy go znów zobaczę.

Rik Fisher wziął od niej miotłę i grabie, nim dokończyła zdanie.

– No, dobry z ciebie chłopak – pochwaliła go Selia. – Jak skończysz, możesz sprawdzić moje runy. Jeśli ktoś przyjdzie z wizytą, poproś, by poczekał na ganku. Niedługo będę z powrotem.

– Tak, proszę pani – odparł Rik.

Pochwyciła garnek z maślanymi ciasteczkami i ruszyła ku miejscom, gdzie bawiły się dzieci. Wybrała spośród nich najszybsze, które w zamian za ciastko zanoszą wieści do wybranych osób. Po rozesłaniu gońców Selia wróciła do domu. Rik zakończył już zmiatanie podwórza i zabrał się do ganku. Stam Tailor, pierwszy z wezwanych przez Mówczynię, siedział na schodach ganku i trzymał się za obolałą głowę.

– Pokutujesz za wczorajsze piwo, co? – zapytała, choć dobrze znała odpowiedź.

Stam zawsze pokutował za wczorajsze piwo, nawet w chwili, gdy sięgał po dzisiejsze.

Teraz tylko jęknął w odpowiedzi.

– Wejdzż zatem. Zrobię ci herbaty, która uśmierzy ból głowy – powiedziała Selia. – Chcę pogadać o tym, co widziałeś dwa dni temu wieczorem.

Przesłuchiwała dokładnie Stama, a potem innych, którzy utrzymywali, iż wiedzieli Rennę zmierzającą do sklepu. Okazało się jednak, że świadków zebrała się spora grupa. Selia nie wierzyła, by połowa wsi mogła widzieć Rennę biegnącą z nożem w ręku i ogniem w oczach. Raddock i Garric odwiedzili wszystkie zakątki okręgu, wszędzie pokazując zakrwawiony nóż i niewypraną suknię, dlatego teraz wielu chciało wziąć udział w dramacie.

– Cobie może nie był najbystrzejszym człowiekiem na świecie – powiedział Opiekun Harral, przypominając sobie scenę po pogrzebie Fernana Boggina – ale naprawdę pragnął związać się z Renną. Miał to wypisane na twarzy. Ona zresztą też. To w oczach Harla pojawiała się żądza mordu na choćby wzmiankę o ślubie.

– Mój Lucik wdał się w bójkę z dwoma chłopakami od Fisherów zeszłego wieczoru – zdradziła jej Meada Boggin. – Powiedzieli mu, że Renna od dawna nosiła się z zamiarem

pozbycia się ojca i chciała zrobić Cobiego w zabójstwo. Lucik rąbnął jednego w nos, a ci złamali mu rękę.

– Lucik walnął jednego? – zapytała Selia.

– Mój chłopak mieszkał pod tym samym dachem co Renna Tanner przez prawie czternaście lat – odparła Meada. – I skoro twierdzi, że nie jest morderczynią, mnie to wystarczy.

– Jesteś Mówczynią Pagórka Bogginów po śmierci Fernana? – zapytała Selia.

– Tak – skinęła głową Meada. – Wczoraj mieliśmy głosowanie.

Jako kolejna osoba pojawiła się Coline Trigg.

– Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego nieszczęsny Cobie został dwukrotnie cięty po kroczu – powiedziała Zielarka. – To musiała być robota Renny, żaden mężczyzna nie zrobiłby tego innemu. Pewnie nie była aż tak chętna do miłosnych igraszek z Cobiem, jak ludzie twierdzą. Przypuszczam, że próbował ją zgwałcić, a ona się zemściła. Ojciec próbował ją powstrzymać, więc zabiła również i jego.

\* \* \*

Po południu przybył Jeph z żoną i szwagierką. Trzymał się blisko obu kobiet i zasłonił Beni, gdy przechodził obok Rika Fishera. Obaj zmierzyli się nieprzyjawnymi spojrzeniami.

– Jak się ma Lucik? – zapytała Selia.

– Coline twierdzi, że to zagoi się za parę miesięcy – westchnęła Beni. – Stawia nas to jednak w kiepskiej sytuacji, gdyż pewnie nie damy rady wypełnić wszystkich zamówień na piwo złożonych przez Wieprza. Boję się też o moich chłopców. Co będzie, jeśli ta waśń potrwa dłużej?

Selia kiwnęła głową.

– Nie rozstawaj się z nimi nawet na chwilę. Raddock obudził w Fisherach święty gniew i wmówił im, że zniewaga powinna zostać zmaszana krwią. Istnieje ryzyko, że będą jej szukać gdzie popadnie. Póki co spróbuję znaleźć kogoś, kto nie ma nic do roboty, a mógłby pomóc przy warzeniu piwa.

– Dziękuję, Mówczyni – rzekła Beni.

Selia obrzuciła całą trójkę ostrym spojrzeniem.

– Gdy nadejdzie czas próby, każdy z nas musi dać z siebie wszystko – powiedziała, po czym zaprowadziła ich do izdebki tkackiej. Renna siedziała na krześle i gapiała się w ścianę.

– Zjadła coś? – zapytała Ilain z niepokojem.

– Jak włożysz jej coś do ust, przełknie – skinęła głową Selia. – Skorzysta też z wychodka, jak się go do niej zaprowadzi. Zeszłej nocy popracowała nawet przy kołowrotku. Znikła tylko jej wola.

– Wobec mnie zachowała się identycznie – powiedziała Ilain.

Beni wybuchła płaczem.

– Czy zostawiłabyś nas samych na chwilę, Mówczyni? – zapytał Jeph.

– Oczywiście – rzekła Selia i wyszła, zamykając drzwi.

\* \* \*

Jeph stanął z tyłu, a Ilain i Beni podeszły do siostry. Mówiły szeptem, ale Jeph słychał z dobrego słuchu – podobno był w stanie usłyszeć kreta drążącego dziurę trzydzieści jardów dalej – i pochwycił każde słowo.

– Zrobiła to – szepnęła Beni. – Nigdy nie uwierzę, że mogłaby skrzywdzić Cobiego Fishera, ale bała się ojca i nie chciała z nim zostać sama. Błagała mnie, byśmy ją zabrali...

Obie z Ilain wybuchły płaczem. Przez dłuższą chwilę obejmowały się mocno, dopóki się nie uspokoiły.

– Och, Ren – powiedziała Ilain. – Dlaczego musiałś go zabić? Ja zawsze znosiłam to wszystko w milczeniu.

– Akurat! – warknęła niespodziewanie Beni. – Zrobiłaś dokładnie to, co ja! Schowałaś się za pierwszym mężczyzną, który się napatoczył. I tobie, i mnie uszło to na sucho, bo ojciec miał jeszcze jedną córkę w domu.

Ilain odwróciła się do niej z przerażeniem w oczach.

– Nigdy do głowy mi nie przyszło, że ojciec weźmie się za ciebie! – Przytuliła siostrę. – Sądziłam, że jesteś za mała.

Beni odtrąciła jej rękę.

– Wiedziałaś, i to dobrze. – Splunęła. – Miałam spore cycki, większe niż niejedna dorosła kobieta, byłam też na tyle duża, by zacząć myśleć o przyrzeczeniu mnie jakiemuś mężczyźnie! Wiedziałaś, a mimo to uciekłaś, bo myślałaś tylko o sobie, a nie o rodzinie.

– A czy ty nie uczyniłaś tego samego? – odcięła się Ilain. – Przyganiał kocioł garnkowi!

Zaczęły się kłócić, lecz wtedy podszedł do nich Jeph, złapał je za kołnierze i rozdzielił.

– Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać – powiedział, mierząc kobiety groźnym spojrzeniem.

Zawstydzone opuściły głowy.

– Może nadszedł czas, by opowiedzieć o wszystkim przed radą – rzekł. Obie kobiety spojrzały na niego ostro. – Powiedzcie, jakim człowiekiem był Harl. Może wtedy rada nie będzie winić Ren za to, co zrobiła.

Ilain usiadła ciężko obok Renny, rozważając pomysł, ale Beni wbiła w Jepha nienawistne spojrzenie.

– Myślisz, że stanę przed Sędzią Raddockiem albo matką Lucika i wyznam, że mój ojciec traktował własne córki jak żony? – zapytała ostro. – Spodziewasz się, że opowiem wszystko właścicielowi tawerny i tej starej plotkarze Coline Trigg? Na noc, jak miałabym po tym

spojrzeć w oczy mężowi? Jak miałabym iść przez wieś z podniesioną głową? Jeśli ludzie się dowiedzą, co zaszło, będzie tylko gorzej.

– Wolisz, by twoja siostra spłonęła na stosie?

– Przecież nie ma pewności, że ktokolwiek w radzie zmieni zdanie po takim wyznaniu – ciągnęła Beni. – Może się skończyć tym, że nie tylko Renna, ale i my trafimy na stos.

Jeph spojrzął na Ilain. Żona milczała zamyślona.

– Zgadzam się – powiedziała bardzo cicho. – Jeśli wszyscy się dowiedzą, może już być tylko gorzej.

Przy ostatnim słowie rozszlochała się na powrót. Jeph przyklęknął przy niej na jedno kolano i objął ją mocno.

– Ty też lepiej trzymaj gębę na kłódkę, Jeph – nakazała Beni.

Jeph spojrzął na szlochającą żonę i pokiwał głową.

– W istocie, nie mnie podejmować decyzję za was obie. Nie pisnę słowa.

Ilain znów spojrzała na Rennę i jęknęła.

– Przepraszam – zaszlochała i wybiegła z pokoju.

\* \* \*

– Wszystko w porządku, moja droga? – zapytała Selia, gdy Ilain wypadła z izdebki tkackiej.

– Nie mogę znieść jej widoku – wyszeptała Ilain.

Selia pokiwała głową, a potem wskazała jej krzesło.

– Usiądź. Zrobię herbaty.

– Dziękuję, Mówczyni – rzekła Ilain. – Mamy jednak kilka spraw...

– Siadaj! – powtórzyła Selia i tym razem było to polecenie, nie prośba.

Ilain natychmiast usłuchała.

– Wy też – dodała Mówczyni, widząc Beni i Jepha w drzwiach. – Rada spotyka się jutro – powiedziała, podawszy swym gościom herbatę. – Najpewniej wczesnym rankiem. Jeśli Renna nie przemówi do tego czasu, a nie spodziewam się, by do tego doszło, Raddock będzie się domagał uchwalenia wyroku bez jej zeznań. Tyle dowodów przemawia przeciwko niej, że ani chybi dopnie swego. Spróbuję opóźnić wyrok do chwili, gdy poczuje się lepiej, ale wszystko zależy od wspólnej decyzji rady.

– Jaki będzie werdykt, twoim zdaniem? – zapytał Jeph.

Selia wypuściła powietrze z płuc.

– Nie mam pewności, bo do takich przestępstw wcześniej nie dochodziło. Banda Fisherów paraduje jednakże pod bronią, przez co mieszkańcy Mokradel i Strażnicy będą mieć jeszcze jeden powód, by trzymać swoje dzieci z dala od Ryneczku i czyhających tam pokus. Opiekun i Meada zapewne nie zwrócą się przeciwko dziewczynie, ale nie mam pojęcia, jak

zachowa się reszta. Najprawdopodobniej Renna zawiśnie na najbliższym drzewie, a Garric osobiście będzie ciągnął za linę.

Ilain krzyknęła cicho.

– To nie byle przestępstwo, dziewczyno – ciągnęła Selia. – Mamy dwa trupy, z których jeden pozostawił wściekłych krewniaków. Będę przemawiać w obronie Renny do upadłego, ale prawo jest prawem. Gdy rada przystąpi do głosowania, nie będzie odwrotu. Wyrok zostanie wydany.

Spojrzała na Beni i Ilain.

– Jeśli wiecie o czymś – czymkolwiek – co może pomóc mi w walce o waszą siostrę, to ostatnia szansa, by się tym podzielić.

Obie zerknęły na Jepha, ale żadna nie odezwała się ani słowem.

Selia parsknęła z irytacją.

– Jeph, rady gospodarstwa reprezentowane są na spotkaniach przez Macka. Wpadnij no do niego z wizytą, spróbuj się dowiedzieć, jak będzie głosował. Upewnij się, czy zna fakty. Nie chcę, by opierał się na bujdach wciśniętych mu przez Raddocka.

– Przecież gospodarstwo Macka leży niezły kawał drogi stąd – zaprotestował Jeph. – Samo dotarcie tam zabierze mi resztę dnia.

– A więc zostań tam na noc i nie zmarnuj tego czasu – rozkazała Selia. – Ruszaj, mój drogi. Ja zadbam, by Ilain i Beni dotarły bezpiecznie do domu.

Jeph zerknął nerwowo na żonę, a potem skinieniem wyraził zgodę.

– Tak, proszę pani – powiedział i wyszedł.

Selia zaś odwróciła się ku siostrze, lecz nie podniosła na nie spojrzenia.

– Wielokrotnie myślałam o waszym ojcu – powiedziała, wybierając maślane ciasteczko. – Nauczyłam się przyglądać mężczyznom, którym otchłańce porywały żony. Niektórzy z nich czasami... Czasami pękali. Zaczynali zachowywać się irracjonalnie. Prosiłam, by przyglądano się Harlowi, ale wasz ojciec był bardzo skryty i z niczym się nie obnosił. Przez wiele lat wydawało się, że wszystko jest u was w porządku.

Zamoczyła ciastko w herbacie, nadal przyglądając się własnym dłoniom.

– A potem ty, Ilain, uciekłaś z Jephem, z człowiekiem, który dopiero co stracił żonę. Nawet jeszcze nie spaliliśmy jej ciała. Znów zaczęłam się zastanawiać. Przed czym uciekłaś? Harl, którego znałam, ściągnąłby kilku ludzi i zawlókł cię do domu, nie zważając na wrzaski i protesty. Sama właściwie byłam gotowa to zrobić.

Szybko zjadła wilgotne ciastko i starannie wytarła usta serwetką. Ilain wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

– Ale tego nie zrobił. – Selia odłożyła serwetkę i spojrzała dziewczynie prosto w oczy. – Dlaczego?

W spojrzeniu starszej kobiety kryła się taka siła, że Ilain aż się cofnęła. Spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Nie wiem – odparła.

Selia zmarszczyła brwi, wybierając kolejne ciastko.

– A potem zaintrygowała mnie kwestia wszystkich tych młodych chłopaków, którzy starali się o wdzięki Renny – powiedziała, ponownie opuszczając wzrok. – Piękna dziewczyna, zdrowa jak ryba, najmłodsza z trójki sióstr, które urodziły zdrowych synów. Po ucieczce Arlena Harl mógł ją wydać, za kogo tylko chciał. Zyskałby parę rąk do pomocy, a sam mógłby nawet poślubić jakąś wdówkę. Tymczasem tak się nie stało. Przeganiał jednego chłopaka za drugim, czasami nawet strasząc ich widłami, aż Rennie minęły najlepsze lata do rodzenia. Wówczas na kogoś lepszego niż Cobie nie mogła już liczyć, a w gospodarstwie na gwałt potrzebna była pomoc, ale Harl nie chciał o tym słyszeć. Zastanawiam się, z jakich powodów człowiek tak się zachowuje, i mam pewne wnioski, ale to tylko domysły. Albowiem cóż mogę wiedzieć? Widywałam waszego ojca może raz, dwa razy do roku. Przecież wy znałyście go o wiele lepiej ode mnie. Czy chciałybyście coś dodać?

Ilain i Beni spojrzały na gospodynię, na siebie i wbiły wzrok w swoje dłonie.

– Nie – wymamrotały wspólnie.

– Nikt też nie widział, byście uroniły choć łzę z powodu śmierci Harla – naciskała Selia.

– Trudno sobie wyobrazić, by dziewczęta nie płakały, po tym jak zadźgano ich ojca.

Beni i Ilain nie uniosły nawet oczu. Selia przyglądała im się przez chwilę, a potem westchnęła głęboko.

– A więc wynocha mi stąd! – wrzasnęła. – Precz z mego domu, bo pochwycę za trzcinę i oćwiczę! Modłę się do Stwórcy, byście nigdy już nie potrzebowały niczyjej pomocy, wy samolubne, głupie bachory!

Siostry wybiegły w pośpiechu z domu, a Selia ukryła twarz w dłoniach. Nigdy dotąd nie czuła się tak staro.

\* \* \*

Następnego ranka, ledwie Selia zdążyła się ubrać, a już na podwórzu pojawił się Sędzia Raddock oraz rodzice Cobiego, Garre i Nomi. Towarzyszyło im prawie stu ludzi z Rybitw, czyli niemal wszyscy mieszkańcy tej wioski.

– Czy twoje słowa tak niewiele znaczą, Raddock, że potrzebujesz krewniaków, by wzmocnić ich wymowę? – zapytała Mówczyni, wychodząc na ganek.

W tłumie poniósł się pomruk zdumienia i przybysze jak jeden mąż spojrzeli na Raddocka, nie wiedząc, co robić. Sędzia już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Selia na to nie pozwoliła.

– Nie zwołam rady okręgu przed dzikim tłumem! – krzyknęła, a jej głos sprawiał, że dorośli mężczyźni kulili się i spuszczaali głowy. – Nie bez powodu objąłeś rolę Mówcy! Rozgoń teraz tę tłuszcę, niech zostaną jedynie ci, którzy mają wygłosić oskarżenie! I lepiej



się pospiesz, bo jeśli tego nie zrobisz, nie zwołam rady okręgu, nawet jeśli miałbyś przesiadzieć całą zimę na progu mojej chaty!

Odpowiedź Raddocka zagłuszyły szemrania tłumu. Po chwili zebrani zaczęli się rozchodzić – część udała się do Rybitw, inni jednakże ruszyli w stronę rynku i sklepu, by tam oczekiwać wyroku. Selii nie przypadło to do gustu, ale po tym jak opuścili jej ziemię, niewiele już mogła zrobić.

Raddock obrzucił ją nieprzychylnym spojrzeniem, ale staruszka uśmiechnęła się jedynie sztywno i nakazała Nomi, by pomogła przy podawaniu herbaty na ganek.

Wkrótce potem przybyła Coline Trigg. Mieszkała w domu przy drodze i usłyszała zgiełk. Jej córki, które zresztą szkoliła na zastępczynię, zajęły się podawaniem herbaty, a troje członków rady oczekiwało na przybycie pozostałych.

W radzie zasiadało dziesięć osób. W każdej osadzie Potoku Tibbeta co roku odbywało się głosowanie, które wyłaniało kandydata do rady okręgu. Do rady należeli także Opiekun i Zielarka. Ponadto miało również miejsce głosowanie ogólne, w którym wybierano Mówcę dla Potoku. Stanowisko to piastowała zwykle Selia, a gdy wybrano kogoś innego, reprezentowała Ryneczek. Miejsce w radzie z reguły przypadało najstarszym i najmądrzejszym mieszkańcom wsi i rzadko zdarzało się, by kandydat zmienił się z roku na rok, zazwyczaj ze stanowiska zwalniała tylko śmierć. Na tych zasadach urząd dla Pagórka Bogginów piastował przez dziesięć lat Fernan Boggin. Gdy zmarł, jego miejsce zajęła wdowa po nim. Meada Boggin przybyła zresztą jako następną, eskortowana przez przynajmniej pięćdziesięciu ludzi z Pagórka Bogginów, którzy szybko rozeszli się po Ryneczku. Meada poszła do chaty Selii z Ludkiem, który nosił rękę na temblaku, oraz Beni, która narzuciła na ramiona czarny szal na znak żałoby po ojcu. Towarzyszył im również Opiekun Harral oraz dwóch akolitów.

– Paradowanie u boku pobitego synalka nie przysporzy ci współczucia – ostrzegł Meadę Raddock, gdy kobieta usiadła i ujęła filiżankę z herbatą.

– Paradowanie – powtórzyła rozbawiona Meada. – I kto to mówi? Człowiek, który galopował z jednego końca okręgu na drugi, wymachując zakrwawioną suknią niczym flagą.

Raddock skrzywił się, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo pojawił się Brine Rębacz, przezywany Zwalistym. Tupiąc głośno, wszedł na ganek.

– Witajcie, przyjaciele – zagrzmiał i pochylił się, by nie uderzyć czołem o daszek nad gankiem. Serdecznie objął każdą z kobiet i wymienił tak mocne uściski dłoni z mężczyznami, aż ci skrzywili się z bólu.

Piętnaście lat temu Brine cudem ocalał z Masakry Osady przy Borach. Potem spędził całe tygodnie w letargu podobnym do stanu Renny, niemniej doszedł do siebie i z godnością pełnił teraz obowiązki Mówcy Osady. Jego żona zginęła podczas Masakry, a Brine nigdy nie ożenił się ponownie. Namawiano go i naciskano często, ale zawsze się wykręcał, twierdząc, iż nie byłoby to w porządku wobec zmarłej żony i dzieci. Ludzie mówili, że lojalność wobec rodziny była zakorzeniona w jego sercu równie głęboko jak drzewa, które ścinał.

Godzinę później na ganek wszedł powoli Coran Marsh, wspierając się na lasce. Pomagali mu syn Keven i wnuk Fil. Przybyli nie nosili butów, jak wszyscy z Grząskich Mokradeł. Coran liczył sobie osiemdziesiąt lat i należał do najstarszych ludzi w Potoku, dlatego powitano go z szacunkiem. Starzec nie miał ani jednego zęba, dłonie mu drżały, ale gdy pozdrawiał zebranych skinieniem głowy, w jego ciemnych oczach błyszczały spryt i przenikliwość.

Wreszcie przybył Mack z Pastwisk na czele sporej grupki gospodarzy, wśród których znalazł się Jeph Bales. Ten pochylił się ku Seli i wyszeptał jej do ucha:

– Mack nie ma żadnych uprzedzeń wobec Renny. Obiecał, że będzie osądzał ją sprawiedliwie, bez względu na to, co będzie wykrzykiwać rybacka hołota.

Selia tylko skinęła głową, a Jeph podszedł do Ilain, Beni i Lucika, stojących po jednej stronie ganek. Po przeciwnej czekali Garric i Nomi Fisher.

Zbliżało się południe i w Ryneczku narastał gwar. Bez wątpienia nie tylko Rybitwy były licznie reprezentowaną wsią. Po ulicach włóczyły się setki ludzi, zaglądając do warsztatów i sklepów. Większość udawała, że nie obchodzi ich, co się dzieje u Seli, ale wszyscy przechodnie ukradkiem obrzucali ganek Mówczyni uważnym spojrzeniem.

Jako ostatni przybyli ludzie z Południowej Strażnicy, najdalszej osady okręgu. Z populacją liczącą trzysta dusz, własną Zielarką i Świętym Domem Strażnica właściwie stanowiła odrębną miejscowość. Jej mieszkańcy nadeszli zwartą procesją. Nawet z daleka łatwo było ich rozpoznać po jednolitym ubiorze. Mężczyźni, co do jednego brodaci, nosili czarne spodnie z czarnymi szelkami na białych koszulach, a do tego buty, kapelusze i marynarki tego samego koloru, założone pomimo upalnego dnia. Towarzyszyły im kobiety w długich czarnych sukniach, białych fartuchach i czepkach. Kiedy mieszkanki Strażnicy nie pracowały, ich stroje uzupełniały białe rękawiczki i parasole. Przybysze pochyłali głowy i bez ustanku kreślili runy w powietrzu, co miało uchronić ich od grzechu.

Przewodził im Jeorje ze Strażnicy, Mówca i Opiekun w jednej osobie, mężczyzna starszy od najstarszego człowieka w Potoku o dobre dwie dekady. Po wsi biegały dzieci, których jeszcze na świecie nie było, gdy Jeorje obchodził setne urodziny. Pomimo wieku spojrzenie miał przenikliwe i szedł wyprostowany na czele procesji. Stanowił jaskrawy kontrast z Coranem, który choć młodszy o ćwierć wieku, wyglądał na steranego życia.

Wiek oraz poparcie mieszkańców największej osady okręgu powinno bez problemów zapewnić Jeorje'emu pozycję Mówcy Potoku Tibbeta, lecz mężczyzna nigdy nie otrzymał ani jednego głosu poza Strażnicą i nic nie wskazywało, by to się zmieniło. Przywódca Strażnicy był bowiem człowiekiem bardzo surowym i nieugiętym. Dla większości mieszkańców okręgu – zbyt surowym i nieugiętym.

Selia wyprostowała się – a była wysoką kobietą – i podeszła, by się przywitać.

– Mówczyni – zwrócenie się tym tytułem do kobiety, na dodatek niezamężnej, nie przyszło Jeorje'owi łatwo.

– Opiekunie – odparła Selia, bynajmniej nie zbity z tropu oschłą postawą przybysza. Ukłonili się sobie z szacunkiem.

Żony Jeorje’a, niektóre równie sędziwe i dumne jak on sam, inne młodsze, w tym jedna brzemienna, minęły go bez słowa i weszły do domu. Selia wiedziała, że kierują się do kuchni. Mieszkanki Strażnicy zawsze przejmowały kuchnię, chciały bowiem dopilnować, by ich posiłki przygotowywano zgodnie z tradycją, która nakazywała surową dietę i zabraniała stosowania przypraw czy cukru.

Selia skinęła na Jepha.

– Idź i wyciągnij Rusco ze sklepu – poleciła.

Jeph ruszył biegiem.

Selia od zawsze piastowała urząd Mówczyni Ryneczku, ale gdy zostawała wybrana Mówczynią całego Potoku, nieodmiennie wybierała Rusco, by przemawiał w imieniu Ryneczku. W ten oto legalny sposób osada uzyskiwała niezależną reprezentację. Mało kto był z tego zadowolony, ale Selia zdawała sobie sprawę, że sercem Ryneczku był sklep, a dopóki sklep prosperował, Ryneczek również miał się dobrze.

\* \* \*

– Wejźmy i zjedzmy coś – rzekła Selia, gdy goście odpoczęli nieco po podróży. – Zajmiemy się bieżącymi sprawami przy kawie, a potem przejdziemy do kwestii najważniejszej.

– Skoro to wszystko jedno i to samo, Mówczyni – odezwał się Raddock – z chęcią darowałbym sobie zarówno posiłek, jak i owe bieżące sprawy, a zająłbym się kwestią mojego zabitego krewniaka.

– To nie jedno i to samo, Raddock – odezwał się Jeorje, uderzając w podłogę wypolerowaną czarną laską. – Nie możemy zarzucić naszych zwyczajów i zapomnieć o obyczaju tylko dlatego, że ktoś umarł. Trwa czas Plagi i śmierć jest częstym gościem. Stwórca ukarze tych, którzy grzeszą, w swoim czasie. Czyn dziewczyny Tannera zostanie osądzony po załatwieniu bieżących spraw Potoku.

Przemawiał tonem człowieka, którego autorytetu nikt nigdy nie zakwestionował, choć to Selia była Mówczynią. Nie miała jednak nic przeciwko – Jeorje często tak się zachowywał i wykorzystywała to dla swoich korzyści. Im później radni przystąpią do omówienia sprawy Renny, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że skażą dziewczynę na śmierć jeszcze tej nocy.

– Wszyscy chętnie coś przekąsimy – odezwał się Opiekun Harral, choć sam również niejednokrotnie spierał się z Jeorje’em. – Jak powiada Kanon: „Nie spodziewaj się sprawiedliwości po człowieku z pustym żołądkiem”.

Raddock rozejrzał się w poszukiwaniu wsparcia, ale za wyjątkiem Wieprza, który zawsze

przybywał jako ostatni i pierwszy wychodził, wszyscy skłaniali się ku temu, by spotkanie rady odbyło się wedle tradycyjnej formuły.

Sędzia skrzywił się, ale powstrzymał od dalszych protestów. Garric już otworzył usta, ale Raddock uciszył go, kręcąc głową.

Przedstawiciele osad spożyli więc posiłek i omówili bieżące sprawy. Obrady zakończyły się przy kawie i ciastkach.

– Czas spotkać się z dziewczyną – powiedział Jeorje, gdy omówiono sprawy jego osady, co jak zwykle miało miejsce na końcu. Zgodnie z tradycją oficjalne zamknięcie obrad mógł ogłosić jedynie Mówca okręgu, ale Jeorje znowu uprzedził Selię. Zamiast uderzenia młotka zabrzmiało równie głośne uderzenie laski.

Mówczyni nie zaprotestowała jednak. Zaprowadziła dziewięciu członków rady do izdebki, w której przebywała Renna.

– Nie udaje? – zapytał Jeorje.

– Jeżeli chcesz się upewnić, niech twoja Zielarka ją zbada – rzekła Selia, a Jeorje pokiwał głową i wezwał swą żonę Trenę, Zielarkę Południowej Strażnicy, liczącą sobie prawie dziewięćdziesiąt lat. Trena posłusznie wyszła z kuchni i zbliżyła się do dziewczyny.

– Mężczyźni na zewnątrz – rozkazał Jeorje i radni wrócili na miejsca. Selia zasiadła u szczytu stołu, a Jeorje, jak zwykle, na końcu.

Trena wróciła po chwili i spojrzała na Jeorje'ego, który skinieniem głowy wyraził zgodę.

– Nie mam pojęcia, co jej się stało, ale szok jest autentyczny – oznajmiła Zielarka, po czym na skinienie męża odeszła.

– A zatem wszyscy widzieliśmy stan, w jakim się znajduje Renna – odezwała się Selia, nim Jeorje po raz kolejny zdołał przejąć inicjatywę. – Wnioskuje, by jakiegokolwiek decyzje zostały odłożone do czasu, gdy dojdzie do siebie i będzie w stanie przemówić we własnej obronie.

– Prędeż mnie Otchłań pożre! – zerwał się z krzykiem Raddock.

Jeorje trzasnął laską w stół i Sędzia zamarł.

– Nie przebyłem długiej drogi tylko po to, by rzucić okiem na śpiącą dziewczę i ruszyć do domu – oznajmił starzec. – Najlepiej będzie, jeśli wysłuchamy świadków i oskarżycieli jak należy.

Nikt z zebranych nie ośmielił się sprzeciwić, nawet Selia. Mówczyni doskonale wiedziała, że nie zyska poparcia przeciw Jeorje'emu. Wezwała zatem Garrica, by ten wniósł oskarżenie, a potem świadków, by wchodzili jeden po drugim i odpowiadali na pytania rady.

– Nie będę udawała, że wiem, co się wydarzyło tamtego wieczoru – rzekła Selia. – Jedyńm świadkiem jest sama Renna, dlatego powinna mieć prawo wypowiedzieć się we własnej obronie, nim wydamy osąd.

– Nie ma świadków? – wykrzyknął Raddock. – Dopiero co rozmawialiśmy ze Stajem Tailorem, który widział dziewczynę idącą na miejsce zbrodni na chwilę przed przestępstwem!

– Stam Tailor był tej nocy pijany jak bela, Raddock – rzuciła Selia, patrząc na Rusco, który pokiwał głową na potwierdzenie jej słów.

– Porzygał mi się na podłodze, więc wywaliłem go i zaraz potem zamknąłem lokal – wyjaśnił Rusco.

– Moim zdaniem, winić należy tego, kto podsunął mu napitek – oznajmił Jeorje.

Rusco zmarszczył brwi, ale był człowiekiem na tyle mądrym, by wiedzieć, kiedy należy trzymać język za zębami.

– A więc albo widział dziewczynę, albo nie, Selia – rzekł Coran, a reszta potaknęła.

– Widział ją w pobliżu – wyjaśniła Mówczyni. – Nie widział jednak, dokąd zmierzała i co zrobiła.

– A zatem sugerujesz, że nie ma z morderstwem nic wspólnego? – zapytał z niedowierzaniem Jeorje.

– Oczywiście, że istnieje związek – parsknęła Selia. – Każdy głupek by to dostrzegł, ale nikt z nas nie potrafi osądzić, na czym ów związek polega. Może Harl i Cobie wdali się w bójkę i pozabijali nawzajem. Może Renna zabiła w obronie własnej. Coline i Trena mogą poświadczyć, że została ciężko pobita.

– To, o czym mówisz, Selia, nie ma znaczenia – rzekł Raddock. – Dwóch mężczyzn nie jest w stanie pozabijać się nawzajem tym samym nożem. A nawet jeśli dziewczyna nie zabiła ich obu, po co nam wiedzieć, który padł z jej ręki?

Jeorje pokiwał głową.

– I nie zapominajmy, że obu tych mężczyzn do gniewu przywiodła kobieca grzeszna natura. To przez rozwiązłość Renny obaj znaleźli się w tym miejscu i należy obarczyć za to winą dziewczynę.

– Dwóch mężczyzn walczy o dziewczynę, a my obwiniamy o to ją? – wtrąciła się Meada. – Przecież to nonsens!

– To żaden nonsens, Meado Boggin – odparł Raddock. – Jesteś po prostu zbyt zaślepią, by dojrzeć prawdę. Na dodatek oskarżona jest z twojej rodziny.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odgryzła się Meada. – Mogę powiedzieć dokładnie to samo o tobie.

Selia zastukała młotkiem, by przerwać spór.

– Gdybyśmy wykluczyli z obrad wszystkich, którzy są w jakiś sposób związani ze sprawą, Raddock, nie byłoby komu prowadzić dyskusji. Każdy może zabrać głos. Tak stanowi prawo.

– Prawo – zadumał się Raddock. – Poczytałem je sobie ostatnio.

Wyciągnął książkę oprawioną w wyświechtaną, zmurszałą skórę.

– Zwłaszcza ustępy traktujące o mordercach.

Otworzył tom na zaznaczonej stronie i zaczął czytać:

– „Gdyby zaś w granicach okręgu Potok Tibbeta popełniony został czyn ohydny, jakim

jest mord na drugiej osobie, ustawić należy słup na Ryneczku i przykuć doń za czyn ów odpowiedzialnych, by żalowali za swe winy przez dzień cały. Z nastaniem nocy zaś, pozbawieni bariery runicznej, na oczach wszystkich stawią czoła gniewowi Stwórcy, z jakim karze on wszystkich, którzy łamią jego prawo”.

– Ty chyba żartujesz! – wykrzyknęła Selia.

– Przecież to barbarzyństwo! – dodała Meada.

– Tak brzmi prawo – uśmiechnął się szyderczo Raddock.

– Spójrz no tylko, Raddock – wtrącił się Opiekun Harral. – Ta książka ma dobre trzysta lat!

– Kanon jest jeszcze starszy, Opiekunie – rzekł Jeorje. – Czy Kanon też podważysz? Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z łagodnością czy wyrozumiałością.

– Nie spotkaliśmy się tu zresztą po to, by zmieniać przepisy – dodał Raddock. – Prawo jest prawem, czyż nie tak sama powiedziałaś, Selia?

Mówczyni opanowała narastającą wściekłość, biorąc głęboki wdech, i przytaknęła niechętnie.

– Zebraliśmy się tu po to, by ustalić, czy dziewczyna jest odpowiedzialna za swój czyn – ciągnął Raddock, kładąc zakrwawiony nóż Harla na stole. – Moim zdaniem, to jasne jak słońce.

– Mogła podnieść nóż po wszystkim, Raddock, i dobrze o tym wiesz – stwierdził Harral. – Cobie chciał poślubić Renny, a Harl dwukrotnie zagroził, że oberźnie mu jaja, jeśli spróbuje.

Raddock parsknął śmiechem.

– Nie wmawiaj mi, że dwóch mężczyzn zabiło się tym samym nożem. Zresztą tu nie chodzi tylko o śmierć. Obaj zostali okaleczeni! Syn mojego bratanka nie dałby rady porąbać Harla niemalże na kawałki, po tym jak obcięto mu męskość i wbito nóż w serce.

– Co racja, to racja – stwierdził Wieprz.

– A więc głosujmy i kończmy sprawę – burknął Raddock.

– I to szybko – dodał Wieprz. – Od dawna w Ryneczku nie było takich tłumów. Muszę wracać do sklepu.

– Właśnie waży się życie Renny, a ty dbasz tylko o to, ile zarobisz na gapiach? – oburzyła się Selia.

– Oszczędź mi kazań, Selia. To ja musiałem wycierać krew z podłogi na zapleczu.

– Czy wszyscy zgadzają się na głosowanie? – zapytał Jeorje.

– To ja jestem Mówczynią, Jeorje! – warknęła Selia, mierząc w przedstawiciela Strażnicy młotkiem, ale było już za późno, bo zebrani unieśli ręce, zgadzając się na głosowanie.

Jeorje skinął nieznacznie głową na znak, że przyjął reprimendę.

– Dobrze – stwierdziła Selia. – Utrzymuję, że dziewczyna jest niewinna, nie możemy w tej chwili udowodnić jej winy, nie ma dowodów. Spojrzała na Opiekuna Harrala, dając mu

pozwolenie, by przedstawił własne zdanie.

– Mylisz się, Selia – rzekł Harral. – Mamy jeden dowód – dowód na miłość obojga młodych. Rozmawiałem z Cobiem i spojrzałam w oczy Rennie. Chcieli połączyć się węzłem małżeńskim, co zresztą jest prawem każdego dorosłego, a oboje byli dorośli. Harl zaś nie miał prawa stawać im na drodze. Głęboko wierzę, iż rozlew krwi miał miejsce z jego winy, on też go zakończył. Głosuję za tym, że Renna jest niewinna.

Jako kolejny odezwał się Brine Rębacz.

– Wygląda mi na to, że ta dziewczyna działała tylko i wyłącznie w samoobronie – powiedział głosem zaskakująco łagodnym jak na tak potężnego mężczyznę. – Wiem, jak to jest, gdy ujrzy się coś tak potwornego, że umysł ukrywa się za barierą nie do przebicia. Po tym jak otchłańce poszarpały moją rodzinę, przeszedłem przez to samo. Wyzdrowiałem dzięki Selii, a dziewczyna zasługuje na podobny los. Niewinna.

– Nie ma mowy o niewinności! – oznajmił Coran z Mokradeł. – W całym okręgu wiadomo, że Renna Tanner to grzesznica, która oddawała się Cobiemu Fisherowi! Potrafiła sprawić, że każdy mężczyzna tracił zmysły z pożądania! Powinniśmy bez skrupułów przywiązać ją do słupa. Bagienne demony porwały ludzi o wiele zacniejszych od niej, a słońce nadal wstaje co rano. Winna.

Kolejny był Jeorje ze Strażnicy:

– Córki zawsze sprawiały Harlowi wiele kłopotów. Tylko łasce Stwórcy zawdzięczać możemy to, że nie doszło do podobnej sceny piętnaście lat temu, po ucieczce siostry morderczynie. Winna.

Sędzia Raddock pokiwał tylko głową.

– Przecież wszyscy wiemy, że jest winna – powiedział i spojrzał na Rusco.

– Przywiązywanie dziewczyny do słupa w ofierze dla otchłańców to bestialski czyn, bez względu na to, co zrobiła – rzekł Wieprz. – Ale jeśli tak załatwia się tutaj sprawy... – Wzruszył ramionami. – Nie można pozwolić ludziom, by biegali po okręgu i mordowali innych. Załatwmy ją i będziemy mieli spokój. Winna.

– Zobaczymy, czy pozwolę ci w przyszłym roku przemawiać w imieniu Ryneczku – mruknęła Selia.

– Proszę o wybaczenie, droga pani, ale właśnie to czynię – odparł Wieprz. – Ludzie, którzy przyjeżdżają do miasta na zakupy, muszą się czuć bezpiecznie. Nikt zaś nie będzie czuł się bezpiecznie, gdy po wsi chodzi morderczynie.

– Harl był starym, skwaśniałym skąpcem, który dbał tylko o siebie – oznajmiła Meada Boggin. – Swego czasu sama próbowałam wyswatać Rennę, ale Harl nie chciał nawet o tym słyszeć. Nic dziwnego, że postanowił zabić młodego Cobię, a Renna musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by i jej nie zabił. Niewinna.

– A więc czemu Cobię został dźgnięty w przyrodzenie? – zapytała Coline. – Moim zdaniem, Renna została przez niego zgwałcona i przybyła do Ryneczku, żeby się zemścić.

Dziabnęła go nożem między nogi, Cobie stawił opór i wywiązała się walka. Harl zapewne przyjechał w chwilę później i Renna zaskoczyła go od tyłu. Ręce tej dziewczyny zbrukane są krwią, Selia. Mogła udać się do kogokolwiek z nas, mogła poprosić o pomoc, ale zdecydowała się rozwiązać swoje problemy nożem. Moim zdaniem, winna.

Oczy wszystkich zwróciły się na Macka z Pastwisk. Czterech członków opowiedziało się za tym, że Renna jest niewinna, pięciu forsowało jej winę, a zatem decyzja rady zależała tylko od niego. Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę i marszczył czoło, opierając podbródek na splecionych palcach.

– Wszyscy mówicie „winna” lub „niewinna” – powiedział w końcu. – Prawo głosi jednakże coś innego. Dopiero co wszyscyśmy to usłyszeli. Prawo mówi: „odpowiedzialna”. Znałem Harla Tannera. Znałem go od wielu lat i nigdy tego syna otchłańca nie lubiłem. – Splunął na podłogę. – Nie oznacza to jednak, że zasługuje na wbicie noża w plecy. Moim zdaniem, dziewczyna nie przepadała za ojcem, no i mamy dwa trupy. Bez względu na to, czy to ona uniosła nóż czy nie, jest „odpowiedzialna” za to, co się stało. To jasne jak słońce.

Selia zamarła zaskoczona. Nie sięgnęła po młotek, choć wyrok został wydany. Za to Jeorje uderzył laską w podłogę.

– Winna stosunkiem głosów sześć do czterech.

– Dziś w nocy zajmą się nią otchłańce! – warknął Raddock.

– Niedoczekanie twoje – Selia zdołała odzyskać głos. – Wedle prawa Renna powinna mieć cały dzień na przemyślenie swojej winy, a ten dzień dobiegł niemalże końca.

Jeorje znowu uderzył laską w ziemię.

– Selia ma rację. Przywiążemy Rennę Tanner do słupa jutro o świcie, by wszyscy mogli być świadkami sprawiedliwości, która dzieje się za sprawą Stwórcy.

– Ludzie mają się temu przyglądać? – Wieprz był przerażony.

– Jeśli chcesz, by ludzie się czegoś nauczyli, należy dobrze przygotować lekcję – odrzekł Jeorje.

– Nie mam zamiaru stać i przyglądać się, jak otchłańce rozszarpują człowieka na strzępy! – wykrzyknęła Coline.

Inni, nawet Coran, również zaprotestowali.

– Nie chcę nawet o tym słyszeć! – warknęła Selia i potoczyła dookoła spojrzeniem ciężkim jak kamień. – Skoro zadecydowaliśmy, że... że zamordujemy tę dziewczynę, będziemy się temu przyglądać. Wszyscy co do jednego, mężczyźni, kobiety i dzieci, niech patrzą i pamiętają, cośmy uczynili. Wszak prawo jest prawem, nieprawdaż?



## Zaniechane szlaki

### 333 ROK PLAGI, WIOSNA

Fort Angiers znajdował się dzień drogi od mostu na Rzece Granicznej, rozdzielającej ziemie księcia Rhinebecka i księcia Euchora. Naznaczony wyjechał z miasta zbyt późno, by pokonać tę odległość przed zachodem słońca.

Nie przeszkadzało mu to jednak. Pożegnanie z Leeshą wprawiło go w ponury nastrój i nie miał nic przeciwko, by rozprawić się z kilkoma otchłańcami. Jardir swego czasu nauczył go krasjańskiej sztuki wchłaniania bólu i jak dotąd umiejętność nigdy Naznaczonego nie zawiodła, ale nic nie przynosiło mu takiej ulgi jak wyciśnięcie życia z demona gołymi rękami.

Dopóki Leesha rządziła Zakątkiem, miejscowość pozostawała w dobrych rękach, przynajmniej do czasu nadejścia Krasjan. Dziewczyna była urodzoną przywódczynią, szanowaną przez wszystkich, ponieważ słuchała jedynie zdrowego rozsądku i własnego serca. W sztuce stawiania runów zaś dawno prześcignęła Naznaczonego.

No i jest piękna, pomyślał. Nikt temu nie zaprzeczy.

Podróżował swego czasu po najdalszych krainach i nigdzie nie widział kobiety równie urodziwej. Zapewne pokochałby ją, gdyby nie został porzucony na śmierć wśród piasków pustyni, gdzie zrozumiał, że musi wytatuować swe ciało, by przeżyć.

I teraz był kimś niższym, podlejszym od człowieka, a w jego życiu nie było miejsca na miłość.

Zapadła noc, ale obwiedzione runami oczy Naznaczonego doskonale widziały w ciemnościach. Mężczyzna dotknął pancerza wierzchowca i runy zajaśniały lekko, dzięki czemu Nocny Tancerz uzyskał podobną umiejętność. Wszędzie z ziemi powstawały otchłańce. Naznaczony wbił pięty w końskie boki i Tancerz ruszył galopem, lecz drzewne demony nadążały za nim bez trudu, skacząc po drzewach rosnących wzdłuż drogi lub gnając

skrajem lasu. Ich przypominające korę pancerze sprawiały, iż otchłańce były niemalże niewidzialne, ale Naznaczony bez trudu dostrzegał otaczającą je aurę. Wysoko nad jego głową leciały z wrzaskiem wichrowe demony, próbowały nabrać prędkości do pikowania.

Naznaczony puścił wodze – kierował teraz ogierem tylko kolanami – i pochwycił łuk. Wrzask za jego plecami był wystarczającym ostrzeżeniem. Mężczyzna odwrócił się i wystrzelił. Runiczna strzała przebiła łeb wichrowego demona i rozsadziła go magiczną eksplozją.

Wydawało się, że nagły rozbłysk przywabił inne demony. Wypadły zza drzew, wywrzaskując nienawiść, obnażając kły i szpony.

Naznaczony wypuszczał strzałę za strzałą. Pociski wyrywały ogromne czarne dziury w ciałach otchłańców po obu stronach drogi, a gnający naprzód Nocny Tancerz rozpędzał potwory, które atakowały od czoła. Jego wzmocnione runami kopyta krzeszały iskry barwne jak fajerwerki.

Demony nie zaprzestały pościgu. Naznaczony zawiesił łuk przy łęku, złapał za włócznię, zakręcił nią, aż zamigotała, i jął dźgać atakujące otchłańce. Jednemu udało się przedostać bliżej. Run na stopie Naznaczonego rozbłysnęła, gdy mężczyzna kopnął potwora w paszczę. Demon bezwładnie potoczył się po ziemi.

Nocny Tancerz nadal pędził w mrok.

\* \* \*

Masakra otchłańców, jaką urządzili Naznaczony i Nocny Tancerz, napełniła obu energią i przegnała zmęczenie z ich ciał. Jechali niestrudzenie przez całą noc, aż nastał świt i ujrzeli zabudowania Rzeczułki.

Od zniszczenia osady upłynęło piętnaście lat. Przed atakiem otchłańców była to milneńska wieś, ale Rhinebeckowi zamarzyły się zyski z opłat celnych, więc podjął próbę odbudowania osady na południowym – angieriańskim – brzegu Rzeki Granicznej.

Naznaczony przypomniał sobie audiencję, w trakcie której Ragen wyjawiał Euchorowi plan Rhinebecka. Księżca ogarnęła furia i wydawało się, że prędzej spali Fort Angiers, niż pozwoli konkurentowi opodatkować most. W ten oto sposób na brzegach powstały dwie osady handlowe, które bynajmniej nie darzyły się miłością. W każdej stacjonował garnizon książęcego wojska, a podróżnicy płacili cło po obu stronach rzeki. Ci, którzy odmawiali uiszczenia opłaty, mogli wynająć do przeprawy tratwę – co jednak często wychodziło drożej niż cło – lub pokonać rzekę w pław.

Obie Rzeczułki były jedynymi ufortyfikowanymi wsiami w całej Thesie. Tej po milneńskiej stronie broniły mury z kamienia łączonego zaprawą, tej po angieriańskiej – ogromne osmołowane pale tworzące szczelne ogrodzenie. Obie osady schodziły też nad samą wodę i pełniący straż często zabawiali się obrzucaniem przekleństwami żołnierzy po drugiej

stronie rzeki.

Straż na angieriańskiej stronie otwarła właśnie bramy, by powitać słońce, kiedy nadjechał Naznaczony. Nosił rękawice, a twarz ukrył pod kapturem. Nawet jeśli strażnikom wydało się to dziwne, wędrowiec nie miał zamiaru z niczego się tłumaczyć. Nie zwalniając, machnął im pieczęcią Rhinebecka przed oczami. Książęcy Posłańcy zwolnieni byli z opłat. Żołnierze skwitowali jego wyniosłość kilkoma burknięciami, ale nie próbowali go zatrzymać.

W porannym powietrzu unosiła się mgła i większość mieszkańców Rzczułki dopiero przygotowywała poranną owsiankę. Naznaczony przejechał wśród zabudowań osady niezauważony i nierozpoznany. Lubił takie chwile. Tatuaze sprawiały, że napotkani ludzie stronili od niego, jakby był otchłańcem, lub padali na kolana i nazywali Wybawicielem. Naznaczony nie potrafił powiedzieć, co irytowało go bardziej.

Z Rzczułki droga do Miln prowadziła prosto jak strzełił na północ. Zwykły Posłaniec pokonywał ten dystans w dwa tygodnie. Nauczyciel Naznaczonego, Ragen, wybijał się ponad przeciętność, docierając do Fortu Miln w jedenaście dni. Naznaczony zaś, który dosiadał Nocnego Tancerza i nie bał się ciemności, przemierzył odległość w sześć dni, znacząc drogę spopielonymi szczątkami demonów. Podczas najciemniejszych godzin nocy w pełnym galopie przejechał przez Zagajnik Hardena, osadę leżącą o jeden dzień drogi na południe od Miln, i dotarł pod mury stolicy na kilka godzin przed świtem.

Na swój sposób Miln było dla niego domem podobnie jak Potok Tibbeta i na widok górskiej fortecy, do której wielokrotnie przysiągł nigdy nie wracać, Naznaczony poczuł napływ emocji. Nie był w stanie skupić się na walce, więc rozłożył przenośny krąg i usiadł, czekając świtu i przypominając sobie wszystko, co pamiętał o księciu Euchorze.

Widział go tylko raz, gdy był chłopcem, ale pracował w jego bibliotece i znał jego osobowość. Książę gromadził wiedzę, tak jak inni jedzenie czy złoto. Gdyby Naznaczony podarował Euchorowi wojenne runy, ten nie podzieliłby się nimi z ludem, lecz próbowałby je zataić, byle tylko zwiększyć swoją władzę.

Naznaczony nie mógł na to pozwolić. Musiał jak najszybciej rozdać runy Patronom w mieście. W Miln istniała bowiem sieć, którą swego czasu sam pomagał tworzyć. Gdyby przekazał tajemnicę Cobowi, swemu byłemu mistrzowi, błyskawicznie dotarłaby do innych, nim Euchor zagarnąłby sekret dla siebie.

Myśl o Cobie uwolniła falę długo tłumionych wspomnień. Minęło osiem lat, odkąd Naznaczony rozmawiał z mistrzem lub kimkolwiek z Miln. Wędrowiec pisał co prawda listy, ale nigdy nie zdobył się na to, by je wysłać. Czy Ragen i Elissa dobrze się miewali? Ich córeczka Marya liczy sobie przecież już osiem lat. A co z Cobem? Co z jego przyjacielem Jaikiem? A co z Mery?

Mery. To właśnie przez nią Naznaczony nie chciał wrócić do Miln. Swego czasu nie miałby nic przeciwko spotkaniu z Jaikiem, Ragenem czy Cobem. Elissa zapewne zrugaby go od stóp do głów za to, że wyjechał bez pożegnania, ale Naznaczony wiedział, że i tak by

mu wybaczyła. Nie, chodziło o Mery. To jej nie chciał widzieć. Jedynej dziewczyny, którą pozwolił sobie pokochać.

Czy nadal o mnie myśli? – zastanawiał się. Czy czekała, mając nadzieję, że wrócę?

Przez wszystkie te lata Naznaczony niejednokrotnie zadawał sobie te pytania, ale po tym jak Mery go odtrąciła, nigdy nie ośmielił się poszukać odpowiedzi.

A teraz... Spojrzał na tatuaże pokrywające jego skórę. Nie potrafiłby spojrzeć w twarz dawnym przyjaciółom. Nie chciał, by ujrzeli, jakim stał się dziwolągiem. Zdecydował, że skontaktuje się z Cobem, ponieważ nie miał innego wyjścia, ale jeśli chodziło o pozostałych, Naznaczony wolał, by uznawali go za zaginionego lub nawet martwego. Pomyślał o pisanych niegdyś listach, które nadal trzymał w sakwie. Ich treść mówiła wystarczająco wiele. Postanowił, że przekaże je adresatom wraz z wiadomością, iż ten, kto je napisał, miał dobrą śmierć.

Ogarnęło go ogromne znużenie i ułożył się na ziemi, a nim zmógł go sen, oczyma duszy ujrzał twarz Mery. Wspomnił noc, gdy ze sobą zerwali.

W jego snach przeszłość uległa jednak zmianom. Nie pozwolił jej odejść, zarzucił swe plany, by zostać Posłańcem, i pozostał w Miln, by nadal prowadzić interesy Coby, ale nie czuł się skrzepowany czy ograniczony. Wręcz przeciwnie, czuł się bardziej wyzwolony niż teraz, gdy szedł swobodnie przez noc.

Ujrzał oszałamiające piękno Mery strojonej w suknię ślubną, ujrzał zaokrąglenie jej brzuszka. Naznaczony widział, jak się śmieje, otoczona szczęśliwymi, zdrowymi dziećmi. Patrzył na uśmiechniętych klientów, których domy czynił bezpiecznymi, widział dumę w oczach Elissy. Dumę matki.

Miotał się, na próżno usiłując uwolnić swój umysł, ale sen owładnął nim bez reszty. Ucieczka była niemożliwością.

Ponownie Naznaczony ujrzał rozstanie z Mery, tym razem tak, jak się to odbyło naprawdę. Wyjechał tamtej nocy po kłótni, nie zamieniwszy z Mery choćby słowa, ale oczyma duszy widział, co się stało potem. Przyglądał się dziewczynie, jak przez długie lata wystawała na murach Miln, wyczekując powrotu narzeczonego. Z jej twarzy zniknęły kolory, umknęła radość i spontaniczność, a w ich miejscu pojawił się smutek. Z początku smutek jedynie podkreślał urodę Mery, ale z biegiem czasu owa zasmucona piękna twarz stawała się coraz mizerniejsza, coraz bardziej wychudła. Wokół ust kobiety pojawiły się zmarszczki, a pod oczami wykwitły ciemne plamy. Tam, na murach, spędziła najlepsze lata swego życia, modląc się i szlochając.

Potem Naznaczony ujrzał tę samą scenę po raz trzeci, lecz wtedy sen zamienił się w koszmar. Wyjechał, lecz nie pozostawił po sobie ani smutku, ani bólu. Mery splunęła za nim i odwróciła się, po czym natychmiast znalazła sobie kogoś innego. Szybko też zapomniała, że w ogóle istniał. Ragen i Elissa, bezgranicznie pochłonięci wychowywaniem swej malutkiej córeczki, nie zauważyli nawet zniknięcia chłopaka. Nowy czeladnik Coby okazał się

człowiekiem o wiele bardziej wdzięcznym, który marzył tylko o tym, by traktowano go jak syna i podarowano w spadku warsztat. Naznaczony poderwał się, całkiem rozbudzony, lecz przed oczyma nadal miał wizję ze snu. I nadal czuł w sercu ból. Zaraz jednak mężczyzna się zawstydził, zrozumiał bowiem, że to samolubna postawa.

Ostatnia wizja byłaby dla nas najlepsza, pomyślał.

\* \* \*

O świcie Naznaczony pakował zbroję swego rumaka, gdy zauważył, że mimo dwunastu lat opierania się żywiołom odcinek murów, gdzie Jednoręki rozdarł barierę chroniącą miasto Miln, nadal różnił się kolorem od reszty. Naznaczonego prześladowało wspomnienie trzech snów, które nawiedziły go w nocy. Co czekało go za bramami? Czy powinien zadać sobie trud i sprawdzić, która z wizji była najbliższa prawdzie, nawet jeśli miałby to uczynić tylko i wyłącznie dla własnego spokoju?

Nie rób tego, poradził mu głos w głowie. Przybyłeś tu, by spotkać się z Cobem, a nie z innymi. Oszczędź im bólu i cierpienia. Oszczędź go również i sobie.

Ów głos towarzyszył mu od dawna i nieodmiennie przypominał o zachowaniu ostrożności. Naznaczony zwykł nazywać go głosem ojca, choć nie widział Jepha Balesa od prawie piętnastu lat.

Zwykł też go ignorować.

Tylko się rozejrzę, postanowił w duchu. Mery mnie nie zobaczy. Zresztą nie rozpoznałaby mnie, nawet gdyby mnie dostrzegła. Rzucę tylko okiem, by mieć o czym myśleć nocą.

Jechał najwolniej jak umiał, ale mimo to bramy drgnęły, dopiero gdy znalazł się tuż przed nimi. W pierwszej kolejności za mury wyszły oddziały straży eskortujące grupy Patronów Runów i ich czeladników do dokładnie wyznaczonych obszarów. Rzemieślnicy zaczęli podnosić z ziemi przedmioty z grawerowanego runami szkła i upewniać się, czy zostały należycie naładowane bliskością otchłańców. Swego czasu to Naznaczony przywiózł szklane runy do Miln, ale teraz zaskoczyła go wydajność miejscowej produkcji. Runy wydawały się równie skuteczne jak te, które wyrabiano w Zakątku, choć z pewnością nie spełniały aż tak praktycznej roli. Milneńscy Patroni najwyraźniej umieszczali je bowiem głównie na przedmiotach luksusowych – na laskach, posążkach, szybach i biżuterii. Po zmyciu krwi użytej jako przynęta miały się stać równie czyste jak wypolerowane diamenty i o wiele od nich mocniejsze.

Strażnicy spojrzeli na zbliżającego się jeźdźca. Nie dziwiło ich, że w zimny, wilgotny poranek nie zdjął kaptura, ale na widok broni przytroczonej do uprzęży Nocnego Tancerza unieśli włócznie. Ich niepokój rozwiął dopiero widok pieczęci księcia Rhinebecka.

– Wczesna pora na jazdę – powiedział jeden z żołnierzy.

– Ostro popędziłem konia, by nie nocować w Zagajniku Hardena – odparł Naznaczony, a żołnierze bez trudu uwierzyli w kłamstwo. – Już myślałem, że zdążę na czas, ale usłyszałem z daleka ostatni dzwon i uświadomiłem sobie, że nie dotrę już do bram przed zachodem słońca. Rozłożyłem swój krąg jakąś milę stąd i przeczekałem noc.

– To ci pech – stwierdził żołnierz. – Ledwie o milę ciepłe gospody i spokój za barierą, a ty musiałeś spać na ziemi w takim zimnie.

Naznaczony, który już wiele lat temu zdążył zapomnieć, czym jest zimno, pokiwał głową i udał, że przeszywa go dreszcz, a potem ściągnął ciaśniej kaptur, niby dla ochrony przed chłodem.

– Nie pogniewałbym się na ciepły pokój i kubek gorącej kawy. Ba! Ucieszy mnie cokolwiek!

Strażnik pokiwał głową i już miał machnąć dłonią, by przepuścić przybysza, ale nagle się zawahał. Naznaczony znieruchomiał, obawiając się, że żołnierz każe mu zdjąć kaptur. Jednak padło tylko pytanie:

– Czy na Południu jest naprawdę tak źle, jak mówią? – strażnik nie krył niepokoju. – Słyszeliśmy, że Rizon padło, wszędzie roi się od uchodźców, a ten nowy Wybawiciel palcem nie kiwnie, by pomóc.

A więc plotki dotarły nawet tak daleko na północ.

– Wieści, które wiozę, przeznaczone są dla księcia – powiedział Naznaczony. – Musi ich wysłuchać jako pierwszy, nim podzielę się nimi z innymi. Ale tak, nie mylisz się. Na Południu jest naprawdę źle.

Żołnierz sapnął i machnął ramieniem na znak, by Posłaniec przejechał przez bramę.

\* \* \*

Naznaczony znalazł gospodę i wprowadził Nocnego Tancerza do stajni, z której młody chłopak wywoził gnój. Uwijający się stajenny nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat i był brudny jak nieboskie stworzenie.

Klasa Służących, pomyślał Naznaczony. Wyjaśniałoby to, dlaczego chłopak pracował tak wczesnie rano. Zapewne mieszkał tu również i spał, i poczytywał to sobie za wielką łaskę losu. Mężczyzna sięgnął do sakiewki i wyciągnął ciężką złotą monetę, którą wsunął Służącemu do ręki.

Ten wybałuszył oczy na widok monety. Najprawdopodobniej przez całe życie nigdy nie miał w ręku więcej pieniędzy. Mógł sobie za to kupić nowe ubranie, wystarczyłoby także na jedzenie i nocleg w lepszych warunkach przez co najmniej miesiąc.

– Zadbaj o mojego konia, a dostaniesz drugą, gdy będę wyjeżdżał z miasta – powiedział Naznaczony. Rozrzutność nie była najrozsądniejszym sposobem postępowania, ale pieniądze już dawno nie miały dla niego żadnego znaczenia, pamiętał natomiast, jak łatwo Służący w

Miln stawali się Żebrakami. Wszedł do gospody.

– Potrzebuję pokoju na parę dni – rzucił do karczmarza, udając, że z trudem może udźwignąć juki oraz broń, choć dla Naznaczonego ważyły tyle co nic.

– Pięć księżycy za noc – oznajmił karczmarz, młody człowiek, wyraźnie zbyt młody, by prowadzić taki interes. Pochylił się, chcąc zajrzeć pod kaptur Naznaczonego.

– Ognisty demon plunął mi w gębę – parsknął Naznaczony z irytacją. Młodzieniec aż odskoczył. – Nie ma na co patrzeć.

– Oczywiście, Posłańcze – ukłonił się karczmarz. – Proszę o wybaczenie. Nie powinienem się tak gapić.

– W porządku – burknął Naznaczony, po czym raz jeszcze pochwycił juki i zatrzasnął się w pokoju na górze.

\* \* \*

Ulice Miln były jasne, błyszczące i doskonale znane, a smród palonego węgla i nawozu z hut wydał mu się niemal przyjazny. Wszystko było dokładnie takie, jak Naznaczony zapamiętał, a zarazem inne.

To on się zmienił.

Drogę do Coba nadal pokonał bezbłędnie, zupełnie jakby przebył ją wczoraj, ale z zaskoczeniem powitał to, co zobaczył. Po obu stronach warsztatu wznosiły się spore dobudówki, a niewielki domek, który swego czasu dzielili z Cobem, został wyburzony. Na jego miejscu wzniesiono dużo większy magazyn. W chwili wyjazdu Arlena Cobowi powodziło się całkiem nieźle, ale ten widok przeszedł najśmielsze oczekiwania przybysza. Wyprostował się i podszedł do głównego wejścia.

Gdy otworzył drzwi, rozległy się kuranty. Dźwięk ten, niczym brakujący fragment duszy, sprawił, że ciało Naznaczonego przeszył dreszcz. Warsztat, choć większy niż niegdyś, wyglądał i pachniał tak samo. Arlen rozpoznał pulpit, nad którym ślęczał przez niezliczone godziny. Dostrzegł niewielki wózek ręczny, który ciągnął po całym mieście. Mężczyzna podszedł do parapetu i z czułością przesunął dłonią w rękawiczce po runach, które osobiście wyrzeźbił w kamieniu. Miał wrażenie, że mógłby teraz pochwycić za rylec i jak gdyby nigdy nic – jak gdyby wcale nie minęło osiem długich lat – powrócić do pracy.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zabrzmiało pytanie i Naznaczony zeszywniał. Krew w jego żyłach ścięła się lodem. Zatracił się na moment we wspomnieniach i nie usłyszał kroków, ale bez odwracania się wiedział, kto stanął za jego plecami. Wiedział i ogarnęło go przerażenie. Cóż ona tu porabia? Co to wszystko oznacza?

Odwrócił się powoli, nie zdejmując kaptura.

Czas okazał się łaskawy dla Matki Elissy. Miała ponad czterdzieści sześć zim, ale jej długie włosy nadal były ciemne i bujne, policzki gładkie, tylko wokół oczu i ust zaznaczyły

się delikatne jeszcze zmarszczki. Naznaczony przypomniał sobie, iż tego typu zmarszczki powstają od uśmiechu, i niespodziewanie poczuł ulgę.

Przynajmniej dla niej te osiem lat upłynęło wśród uśmiechów, pomyślał.

Elissa otworzyła usta, lecz jej uwagę przyciągnęła mała dziewczynka z długimi brązowymi włosami i wielkimi brązowymi oczyma, która właśnie podbiegła. Miała na sobie sukienkę z brązowo-czerwonego aksamitu i wstążkę z tego samego materiału we włosach. Wstążka poluźniła się nieco i twarz dziecka przesłoniły grube, niesforne loki, ale na policzkach i tak widać było smugi od kredy, podobnie jak na sukience i dłoniach dziewczynki. Naznaczony natychmiast rozpoznał w niej Maryę, córkę Rageny i Elissy, którą trzymał na rękach w kilka chwil po narodzeniu. Była tak piękna i niewinna, aż zabolalo go serce, ujrzał w niej bowiem uosobienie radości minionych lat, której nie było mu dane zaznać.

– Mamo, zobacz, co narysowałam! – wykrzyknęła Marya i zamachała tabliczką, na której znajdował się krąg runiczny. Naznaczony przyjrzał mu się odruchowo i w okamgnieniu pojął, że wzór jest bardzo silny. Co więcej, wiele spośród użytych runów przywiózł z Potoku Tibbeta. Poczuł radość na myśl, że choć w ten skromny sposób miał wpływ na życie dziewczynki.

– Są doprawdy piękne, moja słodka – pochwaliła ją Elissa i pochyliła się, by raz jeszcze zawiązać wstążkę we włosach córki, a potem ucałowała ją w czoło. – Jeszcze trochę, a ojciec zacznie zabierać cię ze sobą, gdy dostanie zlecenie na sporządzenie bariery.

Dziewczynka pisnęła z zachwytem.

– Kochanie, mamy gościa, którym należy się zająć. – Elissa odwróciła się do Naznaczonego, otoczywszy córkę ramieniem. – Jestem Matka Elissa.

Pomimo że upłynęło już wiele lat, w jej głosie nadal słychać było dumę z posiadania tytułu.

– A to moja córka...

– Jesteś Opiekunem? – odezwała się dziewczynka, przerywając matce.

– Nie – rzekł Naznaczony ochryple. Głos mu się zmienił od czasu, gdy zaczął tatuować swe ciało. Tylko tego brakowało, by Elissa go rozpoznała.

– To czemu ubierasz się jak Opiekun? – naciskała dziewczynka.

– Noszę blizny po demonich pazurach – odparł. – I nie chcę cię wystraszyć.

– Nie boję się! – oznajmiła Marya, usiłując zajrzeć pod kaptur.

Naznaczony zrobił krok do tyłu, kryjąc twarz.

– Jesteś niegrzeczna! – skarciła ją Elissa. – Zmykaj stąd i pobaw się z bratem.

Dziewczynka obrzuciła ją buntowniczym spojrzeniem, ale wzrok Elissy okazał się silniejszy. Dziecko przebiegło przez izbę i przypadło do stołu, gdzie pięcioletni na oko chłopczyk układał drewniane klocki z runami wymalowanymi po obu stronach. W jego drobnutkiej buzi Naznaczony dojrzał podobieństwo do Rageny. Nieoczekiwanie przepełniła go głęboka radość, iż mentorowi tak dobrze się wiedzie, lecz wraz z poczuciem szczęścia



pojawił się żal, gorzki żal, iż Naznaczony nigdy tego chłopca nie pozna, nie dowie się też, na jakiego mężczyznę wyrośnie.

Elissa wyglądała na zakłopotaną.

– Przepraszam za to zajście. Mój mąż też nosi blizny, których za nic w świecie nie chciałby nikomu pokazać. Jesteś Posłańcem, prawda?

Naznaczony potaknął.

– A zatem jak mogę ci pomóc? – zapytała. – Potrzebujesz nowej włóczni? Twój przenośny krąg wymaga naprawy?

– Szukam Patrona Runów o imieniu Cob – odparł. – Mówiono mi, że kiedyś był właścicielem tego warsztatu.

Elissa pokręciła głową ze smutkiem.

– Cob nie żyje od prawie czterech lat – powiedziała. Jej słowa okazały się boleśniejsze od ciosu demona. – Pokonał go rak. Pozostawił warsztat mnie i mojemu mężowi. Kto ci o nim mówił?

– Pewien... Pewien znajomy Posłaniec – bąknął Naznaczony.

– Który? – naciskała Elissa. – Jak miał na imię?

Naznaczony zawahał się, wyteżając umysł. Nie mógł sobie przypomnieć żadnego imienia, a wiedział, że im dłużej zwleka z odpowiedzią, tym większe ryzyko, że zostanie rozpoznany.

– Arlen z Potoku Tibbeta – wypalił, przeklinając się w myślach.

W oczach Elissy pojawił się nowy blask.

– Opowiedz mi o Arlenie – poprosiła, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Swego czasu był mi bardzo bliski. Kiedy go ostatni raz widziałeś? Czy dobrze się miewa? Czy mógłbyś przekazać mu wiadomość? Mój mąż i ja zapłacimy każdą cenę!

Widząc nagłą rozpacz w jej oczach, Naznaczony uświadomił sobie, jak bardzo zranił ją swym wyjazdem. A teraz, jak ostatni głupiec, dał jej fałszywą nadzieję, iż kiedyś być może ujrzy Arlena znowu. Lecz przecież ów chłopak, którego kiedyś znała, nie żyje, umarło zarówno jego ciało, jak i dusza. Nawet gdyby Naznaczony zdjął kaptur i wyznał prawdę, Elissa nie odzyskałaby Arlena. Lepiej było położyć temu kres.

– Arlen mówił o tobie tej nocy – oznajmił, podjąwszy decyzję. – Jesteś równie piękna, jak opisywał.

Elissa uśmiechnęła się na komplement, lecz jej oczy zwilgotniały. Niespodziewanie rozwarła je szerzej, uświadomiwszy sobie w pełni, co właśnie powiedział.

– Tej nocy?

– Tej nocy, kiedy to zostałem ranny – powiedział. – Przemierzaliśmy krasjańską pustynię. Arlen zginął, bym ja mógł żyć dalej.

Na swój sposób była to prawda.

Elissa krzyknęła cicho i zakryła usta dłońmi. Jej oczy, które jeszcze przed chwilą skrzyły

radością, wezbrały łzami, a twarz wykrzywiło cierpienie.

– Tuż przed śmiercią wspomniał właśnie ciebie – dodał. – Wspomniał przyjaciół w Miln, swoją... Swoją rodzinę... Chciał, bym tu przyjechał i powiedział ci to wszystko.

Elissa ledwie go usłyszała.

– Och, Arlen! – krzyknęła i zachwiała się boleśnie.

Naznaczony doskoczył, pochwycił ją i posadził ostrożnie na jednej z ław. Elissa opadła bezwiednie, szlochając głośno.

– Matko! – wykrzyknęła Marya, podbiegając. – Matko, co się stało? Dlaczego płaczesz?

Spojrzała na Naznaczonego z wyrzutem w oczach.

On zaś uklęknął przed dziewczynką, nie wiedząc, czy czyni to, by wydać jej się mniej przerażającym, czy też aby pozwolić jej uderzyć go, gdyby zapragnęła. Wolałby to drugie, szczerze mówiąc.

– Obawiam się, że przyniosłem złe wieści, Maryo – odezwał się łagodnie. – Czasami tak bywa, że Posłaniec musi powiedzieć ludziom to, czego nie chcieliby usłyszeć.

Elissa uniosła głowę, jej płacz się urwał. Nabrała głęboko tchu, odzyskując panowanie nad sobą, otarła łzy koronką i przytuliła córeczkę.

– On ma rację, kochanie. Nic mi nie będzie. Zabierz brata, pobawcie się na podwórku, dobrze?

Marya obrzuciła Naznaczonego nieprzychylnym spojrzeniem, po czym skinęła głową, złapała brata za rączkę i razem opuścili izbę. Mężczyzna patrzył, jak znikają, czując się paskudnie. Popęłnił wielki błąd, przychodząc tu osobiście. Powinien pchnąć gońca lub znaleźć innego Patrona, choć nie ufał nikomu tak bardzo jak Cobowi.

– Przepraszam – rzekł. – Nie chciałem sprawić ci bólu.

– Wiem – odparła Elissa. – Cieszę się jednak, że mi powiedziałaś. Dzięki temu życie stanie się nieco łatwiejsze, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Łatwiejsze – zgodził się Naznaczony. Pogmerał chwilę w sakwie i wyciągnął zwój listów oraz grymuar pełen runów wojennych, owinięty w płótno i przewiązany mocnym sznurkiem.

– To dla ciebie. Arlenowi zależało, byś to dostała.

Elissa ujęła paczkę i pokiwała głową.

– Dziękuję. Planujesz dłuższy pobyt w Miln? Mojego męża nie ma w mieście, ale z pewnością będzie miał do ciebie parę pytań. Arlen był dla niego jak syn.

– Zostanę tu tylko dziś, moja pani. – Naznaczony nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z Ragenem. Wiedział, że ten będzie domagał się szczegółów, a szczegółów nie było. – Mam pilną wiadomość do księcia, ponadto muszę pokłonić się jeszcze kilku osobom, a potem wyjeżdżam.

Wiedział, że powinien w tym miejscu przerwać rozmowę i wyjść, ale nieoczekiwanie zapytał jeszcze:

– Czy... Czy Mery dalej mieszka w domu Opiekuna Ronnella?

Elissa pokręciła głową.

– Nie, i to od wielu lat. Ona...

– Mniejsza o to – przerwał jej, nie chcąc słyszeć ani słowa więcej. Mery znalazła sobie kogoś innego. Nic dziwnego, Arlen nie miał prawa czuć się zraniony.

– A ten chłopak, Jaik? – zapytał. – Dla niego też mam list.

– Nie jest już chłopakiem. – Elissa spojrzała na niego przenikliwie. – To dorosły mężczyzna. Mieszka na ulicy Młynowej, w trzeciej chacie robotników.

Naznaczony skinął głową.

– A zatem, za twoim pozwoleniem, ruszam dalej.

– Nie spodoba ci się to, co tam zastaniesz – ostrzegła go Elissa.

Naznaczony zerknął na nią, próbując doszukać się ukrytego znaczenia w jej słowach, ale utonął w jej załzawionych, zapuchniętych oczach. Była teraz po prostu zmęczoną, szczerą i naiwną kobietą. Odwrócił się, by odejść.

– Skąd znałeś imię mojej córki? – zapytała Elissa.

Pytanie zaskoczyło go. Zawahał się.

– Przedstawiłaś mi ją, gdy podbiegła – odparł i natychmiast zaklął w myślach, bo przecież Marya przerwała Elissie, zanim padło imię córki. Mógł powiedzieć, że poznał je od Arlena.

– Niewykluczone – zgodziła się Elissa, co Naznaczony wziął za dobrą monetę i ruszył do drzwi.

Położył już dłoń na klamce, gdy kobieta odezwała się ponownie.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła.

Zamarł, walcząc z pokusą, by się odwrócić, pochwycić ją w ramiona, zmiażdżyć w uścisku i błagać o wybaczenie.

Opuścił warsztat bez słowa.

\* \* \*

Naznaczony szedł ulicą i przeklinał pod nosem. Elissa go rozpoznała. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, ale stało się, a wyjściem bez słowa najprawdopodobniej zranił ją bardziej niż wieścią o swojej śmierci. Elissa była dlań jak matka, a jego nagły wyjazd musiał zostać odebrany jako ostateczne odrzucenie jej miłości. Ale cóż innego mógł począć? Pokazać jej, co ze sobą zrobił? Pokazać, jakim potworem stał się człowiek, którego kiedyś traktowała jak syna?

Nie. Lepiej, żeby myślała, że się od niej odwrócił. Każde kłamstwo było lepsze od tej prawdy.

Nawet jeżeli Elissa zasługuje na to, by poznać prawdę? – rzucił ów dokuczliwy głos w

jego głowie.

To pytanie paliło, sprawiało Naznaczonemu ból, więc odepchnął je i skupił się na prawdziwych powodach swego przyjazdu do Miln. Wieści od Rhinebecka. Skierował się do warowni Euchora, ale straż przy bramie nie okazała zrozumienia.

– Jego Łaskawość nie ma czasu, by przyjmować każdego Opiekuna obdartusa w mieście – warknął jeden ze zbrojnych na widok kaptura i szaty przybyłego.

– Mnie będzie chciał przyjąć. – Naznaczony podsunął strażnikowi pod nos pieczęć Rhinebecka.

Żołnierze wytrzeszczyli oczy, ale pozostali czujni i podejrzliwi.

– Poznałem już wszystkich książęcych Posłańców – rzekł jeden. – A ty nie jesteś żadnym z nich.

– Poza tym co za Posłaniec paraduje po mieście w szatach Opiekuna? – zapytał inny.

Naznaczony, który wciąż wspominał spotkanie z Elisą, nie miał cierpliwości dla szeregowych stróżów prawa.

– Taki, co to rozwali ci łeb, jeśli natychmiast nie otworzysz bramy i nie zaanonsujesz mojego przybycia – oznajmił, ściągając kaptur.

Obaj strażnicy cofnęli się na widok wytatuowanej twarzy. Naznaczony raz jeszcze władczy gestem wskazał bramę, a zbrojni, potykając się jeden przez drugiego, pospieszyli, by ją otworzyć. Jeden z nich popędził do pałacu.

Naznaczony znów nałożył kaptur, kryjąc uśmiech. Bycie dziwołagiem miało również dobre strony.

Szedł ku pałacowi równym krokiem, przyciągając wzrok ludzi na dziedzińcu. Naznaczony miał doskonały słuch, dzięki czemu bez trudu wychwytywał wymieniane szeptem uwagi na jego temat. Niedługo potem wyszła mu na powitanie księżęca szambelanka, Matka Jone, prowadzona przez strażnika. Ostatni raz Naznaczony widział ją ponad dziesięć lat temu i już wtedy wyglądała mizernie, a przez minione lata jej stan znacznie się pogorszył. Skóra, blada i niemalże przezroczysta, sprawiała wrażenie rozciągniętej. Nawet ze sporej odległości dostrzegało się plamy wątrobowe i grube, sine żyły. Mężczyzna przypomniał sobie stwierdzenie Rageny, że szambelanka stanowi nowy gatunek otchłańca i nie ma dowodu, który by temu zaprzeczył.

– To on, Matko – rzekł strażnik.

Staruszka skinęła głową i odprawiła go machnięciem dłonią. Żołnierz ruszył do bramy, a Naznaczony dostrzegł, że wielu spośród ludzi na dziedzińcu podążyło za zbrojnym, wiodła ich żądza wieści i ciekawość.

– To ciebie nazywają Naznaczonym, tak? – zapytała Jone.

Mężczyzna przytaknął.

– Przybyłem z pilnymi wieściami od księcia Rhinebecka oraz z propozycją.

Jone uniosła brew na te śmiałe słowa.

– Wielu ludzi wierzy, że jesteś odrodzonym Wybawicielem. Jak do tego doszło, że wstąpiłeś na służbę do Rhinebecka?

– Nie służę ani jemu, ani żadnemu innemu człowiekowi – odrzekł Naznaczony. – Dostarczam wiadomość od księcia tylko i wyłącznie dlatego, że jego interesy i moje są chwilowo zbieżne. Krasjański najazd na Rizon to sprawa, która dotyczy nas wszystkich.

Jone pokiwała głową.

– Jego Łaskawość zgadza się, przeto udzieli ci audiencji.

Naznaczony skinął głową i ruszył w kierunku pałacu, ale Jone zatrzymała go, unosząc palec.

– Jutro – dokończyła.

Skrzywił się. Książęta zwyczajowo zmuszali Posłańców do czekania, by zaznaczyć swą wyższą pozycję, ale Naznaczony nigdy nie słyszał, by w tej samej sytuacji znalazł się książęcy Posłaniec z ważnymi wieściami, tym bardziej że słońce nie stanęło jeszcze nawet w zenicie. Niepojęte.

– Być może nie doceniasz wagi wieści, pani – rzekł ostrożnie.

– Być może przeceniasz swoje znaczenie – odparła Jone. – Cieszysz się sporą sławą na południe od Rzeki Granicznej, ale teraz znajdujesz się na ziemiach księcia Euchora, Światła Gór i Strażnika Północy. Udzieli ci audiencji, gdy pozwolę mu na to obowiązki, czyli jutro.

Cóż za poza, pomyślał Naznaczony. Euchor chce podkreślić swą potęgę.

Oczywiście mógł nalegać. Mógł oznajmić, że został urażony, zagrożić, że wraca do Angiers, a nawet przebić się przez strażę. Nie zdołałyby go powstrzymać, gdyby się uparł.

Musiał jednak pozyskać życzliwość Euchora. Ragen otrzyma grymuar z runami wojennymi i będzie wiedział, co z nimi począć, ale tylko Euchor mógł wesprzeć Angiers, wysyłając ludzi i zaopatrzenie. Opłacało się zatem poczekać.

– Dobrze. Będę przed bramami pałacu o świcie – rzekł Naznaczony i odwrócił się, by odejść.

– Wychodzenie przed świtem na ulice jest w Miln zabronione – oznajmiła Jone.

Naznaczony uniósł lekko kaptur, by mogła ujrzeć jego twarz. Uśmiechnął się, a jego zęby błysnęły na tle wytatuowanych ust.

– A zatem każ swoim ludziom, by mnie aresztowali – zaproponował.

On też potrafił przybrać stosowną pozę.

Jone zacisnęła wargi w cienką linię. Jeśli widok jego wytatuowanej twarzy wyprowadził ją z równowagi, nie dała tego po sobie poznać.

– A zatem o świcie – zgodziła się i odwróciła, po czym szybkim krokiem ruszyła do pałacu.

\* \* \*

W drodze powrotnej był śledzony przez kilku strażników. Zachowali dyskrecję i utrzymywali spory dystans, niemniej Naznaczony nie miał wątpliwości, że chcą odnaleźć miejsce, w którym się zatrzymał, i dowiedzieć się, z kim rozmawia i przestaje.

Mieszkał jednak w Miln wiele lat i zdążył przez ten czas doskonale poznać miasto. Skręcił w ślepią uliczkę i zniknąwszy szpiegom z oczu, podskoczył na dziesięć stóp i pochwycił parapet na drugim piętrze. Stamtąd bez trudu mógł doskoczyć do okna na trzecim piętrze, które znajdowało się po przeciwnej stronie, i dalej, na przeciwległy dach. Wyrżał zza krawędzi i dostrzegł strażników, którzy czekali cierpliwie, aż śledzony załatwi potrzebę i wyjdzie. Wkrótce znużą się czekaniem i któryś z nich wejdzie w zaułek, ale do tego czasu Naznaczony już dawno będzie gdzieś indziej.

\* \* \*

Gdy zbliżał się do trzeciego domu na ulicy Młynowej, przypomniał sobie ostatnie, tajemnicze zdanie Elissy na temat Jaika. Cóż chciała dać mu do zrozumienia? Czy wszystko było z przyjacielem w porządku? Czy coś mu się stało?

Jaik i Mery byli jedynymi przyjaciółmi Arlena w okresie dojrzewania. Jaik marzył o zostaniu Minstrelem. Przyjaciele umówili się, że będą podróżować wspólnie, gdy Arlen zdobędzie licencję Posłańca, jak to Posłańcy i Minstrele często mieli w zwyczaju. Lecz choć Arlen realizował swe marzenia z żelazną konsekwencją, Jaik nigdy nie odnalazł w sobie ochoty i motywacji, by poświęcić długie lata na naukę rzemiosła Minstrela. Gdy dla Arlena nadszedł czas wyjazdu, Jaik był równie dobry w żonglowaniu co w lataniu.

Jednak chyba dobrze się urządził. Jego dom nie mógł się równać z wielką posiadłością, jakiej dorobili się Ragen i Elissa, ale był porządną, masywną, dobrze utrzymaną chatą, dość przestronną jak na warunki przepelnionego ludźmi Miln. Sam Jaik o tej porze dnia przypuszczalnie przebywał w młynie, co Naznaczonemu pasowało idealnie. Z pewnością przyjaciel miał rodzinę, która mogła odebrać listy, ludzi, którzy nie rozpoznaliby Arlena Balesa, nie mówiąc już o Naznaczonym.

Nie spodziewał się jednak, że drzwi otworzy Mery.

Wystraszyła się na widok zakapturzonej, odzianej w długą szatę postaci i zrobiła krok do tyłu. Przybysz, równie przerażony i zaskoczony jak ona, zrobił mniej więcej to samo.

– Tak? – spytała, odzyskując panowanie nad sobą. – Mogę w czymś pomóc?

Trzymała dłoń na drzwiach, gotowa w każdej chwili je zatrzasać.

Kobieta była starsza od tej, której obraz Naznaczony przechowywał w pamięci, ale bynajmniej nie umniejszało to jej piękna. Wręcz przeciwnie. Dawna Mery przypominała wiosenny pączek, ale teraz rozkwitła jak kwiat. Miast chudziutkiej dziewczyny z czasów swej młodości Naznaczony miał przed sobą dojrzałą, kusząco zaokrągloną kobietę. Fale jej bujnych włosów opadały na okrągłą twarz i przesłaniały te same słodkie usta, które całował

tysiące razy. Czuł, że jego dłonie zaczynają drżeć. Dojrzała uroda Mery całkowicie go zaskoczyła, lecz prawdziwy wstrząs przeżył, gdy uświadomił sobie, co oznacza obecność kobiety w tym domu.

Mery wyszła za Jaika. Jaika, który nauczył Arlena gry w piłkę i wykrał dla przyjaciół ciastka przez okno na zapleczu piekarni. Jaika, który wpatrywał się weń z nabożnym zachwytem, gdy Arlen zdradził mu, że chce zostać Posłańcem. Jaika, który dla Mery zawsze był niewidzialny, ponieważ Mery spoglądała tylko na Arlena.

– Przepraszam – wydusił. Był zbyt wytrącony z równowagi, by choć pomyśleć o zmianie tonu głosu. – Zapewne pomyliłem adres...

Odwrócił się i ruszył na oślep przez ulicę Młynową.

Usłyszał za sobą ciche westchnienie i przyspieszył kroku.

– Arlen? – zawołała Mery, a wtedy rzucił się do biegu.

Próbowała go dogonić.

– Arlen, stój, proszę! – krzyczała, ale nie zwracał na to uwagi, gnał jak szalony, bez trudu zostawiając ją z tyłu.

Ulicę przegradzał zepsuty wóz, wokół którego trwała wściekła kłótnia. Naznaczony stracił kilka bezcennych sekund, próbując ominąć zgromadzenie, a Mery udało się skrócić nieco dystans. Arlen rzucił się między dwie chaty, chcąc przemknąć skrótem zapamiętanym z dawnych lat, ale srodze się rozczarował. Skrót zniknął, a w jego miejscu pojawił się kamienny mur, zbyt wysoki, by go przeskoczyć.

Mężczyzna zamknął oczy, pragnął zdematerializować się, jak uczynił to kiedyś w chacie Leeshy, ale w blasku słońca magiczna umiejętność nie działała. Spróbował więc uciec ze ślepego zaułka, lecz było już za późno. Wpadł prosto na Mery, a zderzenie posłało oboje na ziemię. Nawet wtedy Naznaczony nie stracił głowy i nim rąbnął o bruk, przytrzymał skraj kaptura. Mężczyzna napiął mięśnie, gotów zerwać się na równe nogi, ale Mery przycisnęła go własnym ciężarem i objęła mocno.

– Arlen! – zaszlochała. – Raz już pozwoliłam ci odejść. Poprzysięgłam wówczas na Stwórcę, że drugi raz tego samego błędu nie popełnię.

Objęła go jeszcze mocniej, wtulając twarz w jego szaty i płacząc, a Arlen objął ją i zaczął kołysać lekko w przód i w tył. W życiu mierzył się z niejednym demonem, lecz ten uścisk przeraził go bardziej niż jakiegokolwiek starcie z otchłańcami, choć Naznaczony nie potrafił zrozumieć dlaczego.

Po chwili Mery doszła do siebie i otarła nos oraz oczy rękawem.

– Pewnie wyglądam okropnie – wychrypiała.

– Jesteś piękna – odparł Naznaczony. Nie był to komplement, lecz po prostu stwierdzenie faktu.

Zaśmiała się z niedowierzaniem i opuściła spojrzenie.

– Próbowałam czekać na ciebie – wyszeptwała.

– Przecież nie mam pretensji.

Mery westchnęła.

– Ale gdybym wiedziała, że kiedyś wrócisz, czekałabym całe życie. – Uniosła głowę i spojrzała w ciemne zakamarki jego kaptura. – Nigdy bym nie...

– Nie wyszła za Jaika? – zapytał, być może mniej uprzejmie, niż zamierzał.

Odwróciła wzrok. Oboje zaczęli niezdarnie wstawać.

– Znikłeś – powiedziała. – A on był tu na miejscu. Dobrze mnie traktował przez wszystkie te lata, Arlen, ale... – Znów spojrzała na niego z wahaniem. – Ale jeśli mnie poprosisz...

Naznaczony poczuł ucisk w żołądku. O co niby miałby ją poprosić? By wyjechała wraz z nim? By pozostała w Miln, ale rzuciła Jaika dla niego? W jego umyśle znów pojawiły się wizje ze snów.

– Mery, przestań – poprosił. – Nie mów takich rzeczy.

Nie miał teraz odwrotu.

Dziewczyna zareagowała, jakby uderzył ją w twarz.

– A więc nie wróciłeś po mnie, tak? – zapytała, oddychając ciężko, jakby usiłowała powstrzymać kolejny atak płaczu. – Wpadłeś tu tylko, by ujrzeć starego kumpla Jaika, klepnąć go w plecy i pogawędzić chwilę przed wyruszeniem w dalszą drogę.

– To nie tak, Mery... – Położył jej dłonie na ramionach. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni dotknął kogokolwiek w ten sposób. – Miałem nadzieję, że znalazłaś sobie kogoś po moim wyjeździe. Dowiedziałem się, że w istocie tak się stało, i nie chcę tego zepsuć – urwał na moment. – Nie sądziłem tylko, że będzie to Jaik.

Mery objęła go raz jeszcze, tym razem nie patrząc mu w oczy.

– Zawsze dobrze mnie traktował. Ojciec pogadał z baronem, do którego należy młyn, i Jaik został nadzorcą. Ja zaś poszłam do Szkoły Matek, by zająć się robieniem tabliczek. Za coś trzeba było przecież kupić dom.

– Jaik jest dobrym człowiekiem – zgodził się Naznaczony.

– Arlen, dlaczego nadal ukrywasz twarz? – Mery uniosła wzrok.

Tym razem to on się odwrócił. Przez moment udało mu się bowiem zapomnieć o swej inności.

– Oddałem ją nocy w ofierze. Nie chcę, byś ją widziała.

– Bzdura – rzekła Mery, sięgając do kaptura. – Przecież właśnie okazało się, że żyjesz, po tylu latach. Sądzisz, że wystraszę się twoich blizn?

Naznaczony cofnął się gwałtownie i powstrzymał jej dłoń.

– Słuchaj, to o wiele bardziej skomplikowane.

– Arlen – przerwała mu, opierając dłonie o biodra tak samo jak ongiś, kiedy uważała, że nie pora na bzdury – minęło osiem lat od twojego wyjazdu z Miln. Nawet się ze mną nie pożegnałeś. Miejsze przynajmniej teraz odwagę, by pokazać mi twarz.



– Z tego, co pamiętam, to ty zmusiłaś mnie do odejścia.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – krzyknęła Mery. – Spędziłam osiem lat na obwinianiu się o to, co się wtedy wydarzyło! Osiem lat zeszło mi na zamartwianiu się, czy nie leżysz martwy na szlaku lub że spoczywasz w ramionach innej kobiety tylko dlatego, że jednej nocy byłam egoistką! Jak długo jeszcze mam ponosić karę za to, że gotów byłeś zaryzykować życie, byle wyrwać się z więzienia, jakim byłoby życie ze mną?

Naznaczony wiedział, że Mery ma rację. Nigdy nie okłamałby ani jej, ani nikogo innego, ale tak czy owak oszukał ją, ponieważ pozwolił, by kobieta uwierzyła, iż porzucił marzenia o zostaniu Posłańcem.

Powoli uniósł dłonie i ściągnął kaptur.

Mery otworzyła szerzej oczy i zasłoniła usta, by powstrzymać okrzyk. Na twarzy Arlena, wzdłuż szczęki i warg, przez nos i dookoła oczu, nawet na uszach, ciągnęły się tuziny tatuaży. Kobieta cofnęła się instynktownie.

– Twoja twarz, twoja piękna twarz... Arlen, coś ty zrobił?

Tysiące razy wyobrażał sobie, jak Mery zachowa się na jego widok. Mężczyzna wielokrotnie widywał podobne reakcje jak Thesa długa i szeroka, ale doświadczenie nie uchroniło go przed bólem w sercu, gdy na twarzy kobiety odbił się wstręt. Arlen poczuł się nagle drobny, słaby i bezbronny. Nie zaznał tego uczucia od lat.

Teraz wyzwoliło w nim gniew i Arlen z Miln, który ujawnił się po raz pierwszy od wielu lat, umknął w ciemność. W jego miejsce znów pojawił się Naznaczony. Spojrzenie mężczyzny stwardniało.

– Zrobiłem to, co zrobić musiałem, by przeżyć – rzekł ochryple.

– Nie, wcale nie. – Mery pokręciła głową. – Przeżyć to mogłeś tu, w Miln, gdzie nigdy nie groziłoby ci niebezpieczeństwo. Mogłeś żyć w którymkolwiek z Wolnych Miast. Ty nie... Nie okaleczyłeś się, by przeżyć. Zrobiłeś to, ponieważ uznałeś, że nie zasługujesz na nic poza włóczęgą przez noc. Zrobiłeś to, gdyż na samą myśl, że mógłbyś stracić przez otchłańce to, co byś pokochał, odczuwałeś przerażenie.

– Nie boję się niczego, co potrafią zrobić otchłańce – oznajmił. – Chadzam swobodnie pod nocnym niebem i nie lękam się żadnego demona, obojętnie, małego czy dużego! Nie ja uciekam przed otchłańcami, ale one przede mną! Przede mną!

Uderzył się w pierś dla podkreślenia swych słów.

– Oczywiście – szepnęła Mery, a po jej gładkich, krągłych policzkach spłynęły łzy. – Bo sam stałeś się potworem.

– Potworem? – wrzasnął Naznaczony, aż dziewczyna drgnęła przestraszona. – Dokonałem tego, co nie udało się nikomu od stuleci! Dokonałem tego, o czym zawsze marzyłem! Przyniosłem ludziom utraconą broń!

Mery splunęła na ziemię z odrazą. Był to irytujący widok, Naznaczony pamiętał go ze swojej trzeciej wizji.

– Jakim kosztem? – zapytała szyderczo. – Jaik dał mi dwóch synów, Arlen. Poprosisz ich, by poszli na kolejną wojnę przeciwko demonom i zginęli? Przecież oni mogli być twoimi synami, twoim darem dla świata. Ale ty chcesz mu podarować tylko zniszczenie.

Naznaczony już otworzył usta, by rzucić gniewną ripostę, ale nie wyrzekł ani słowa. Natarłby na każdego innego, kto obrzuciłby go podobnymi zarzutami, ale Mery bez trudu przełamała jego wewnętrzne bariery obronne. Właściwie cóż takiego podarował światu? Broń, z którą młodzi ludzie wyruszą na wojnę... I jaki los ich czeka? Zapewne tylko krwawa śmierć pod gwiazdami.

– Przyznaję, że dokonałeś tego, o czym zawsze marzyłeś, Arlen – rzekła Mery. – Dołożyłeś wszelkich starań, by już nikt nigdy nie stał ci się bliski.

Pokręciła głową, a jej twarz wykrzywiła gorycz. Spomiędzy jej miękkich ust wyrwał się szloch. Zasłoniła usta, odwróciła się i uciekła.

Naznaczony stał przez dłuższą chwilę i spoglądał na bruk. Tłumy przechodniów dostrzegły jego tatuaże. Widok ten budził ożywione rozmowy, ale mężczyzna ledwie je słyszał. Po raz drugi w życiu Mery uciekła od niego z płaczem. Naznaczony zapragnął, by pochłonęła go ziemia.

\* \* \*

Włóczył się po ulicach bez celu, próbując pogodzić się ze słowami Mery, ale nie potrafił. Czy miała rację? Czy od owej nocy, kiedy otchłańce zabiły jego matkę, przynajmniej raz otworzył serce przed innym człowiekiem? Naznaczony znał odpowiedź na to pytanie, przez co oskarżenia Mery nagle wydały mu się jeszcze cięższe. Ludzie omijali go szerokim łukiem. Jego wytatuowane ciało stanowiło barierę nie do pokonania nie tylko dla demonów, również dla mieszkańców Miln. Tylko Leesha próbowała się przez nią przebić, lecz za każdym razem Naznaczony ją odpychał.

Kiedy mężczyzna wreszcie uniósł głowę, uświadomił sobie, że instynktownie zbłądził w pobliże sklepu Coba. Znajome miejsce wabiło i Naznaczony nie miał siły, by się oprzeć. W sercu czuł pustkę. Próżnię. Niech Elissa nawrzeszczy na niego, niech okłada go pięściami. Nie uczyni nic gorszego niż to, co Arlen już zrobił.

Elissa zamiatała podłogę. W izbie nie było nikogo innego. Zabrzmiały kuranty w drzwiach, gdy Naznaczony wszedł, i kobieta uniosła głowę, a wtedy ich spojrzenia się spotkały. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że są małżeństwem? – zapytał w końcu. Pytanie było grubiańskie i nie miało większego sensu, ale Arlen nie potrafił wymyślić nic innego.

– Ty również nie uznałeś za stosowne powiedzieć mi wszystkiego – odparła Elissa. W jej głosie nie zabrzmiał ani gniew, ani oskarżenie. Mówiła rzeczowo i obojętnie, jakby referowała, co zjadła na śniadanie.

– Nie chciałem, abyś mnie zobaczyła w takim stanie.

– W jakim stanie? – zapytała łagodnie. Odłożyła miotłę i podeszła do Naznaczonego, a potem położyła mu dłoń na ramieniu. – Chodzi ci o blizny? Widywałam już blizny.

Odsunął się natychmiast. Dłoń Elissy zsunęła się.

– Moje blizny są inne. Sam je sobie zadałem.

– Wszyscy takie mamy.

– Mery spojrzała na mnie raz i uciekła, jakbym był otchłańcem.

– Przykro mi. – Kobieta podeszła znowu i od tyłu otoczyła ramionami talię Arlena.

Naznaczony chciał się cofnąć, ale serce mu stajało w uścisku Elissy. Odwrócił się i również ją objął, wdychając znajomy zapach jej włosów. Zamknął oczy i otworzył się na ból, pozwalając, by z niego wypłynął.

Po chwili, która była o wiele zbyt krótka, Elissa odsunęła się.

– Chcę zobaczyć, co jej pokazałeś.

– Ja... – Pokręcił głową.

– Cicho. – Elissa położyła mu palec na ustach.

Mężczyzna odruchowo napiął mięśnie, gdy uniósłszy dłonie, powoli zsunęła mu kaptur. Arlena przeszył strach, krew mu się ścięła w żyłach, ale stał nieruchomo niczym posąg, pogodzony ze swym losem.

Podobnie jak Mery, Elissa otworzyła szeroko oczy i krzyknęła cicho, ale nie cofnęła się ani o krok. Tylko patrzyła.

– Kiedyś nie umiałam docenić runów – szepnęła. – Wydawały mi się narzędziem, jak młotek czy ogień.

Dotknęła twarzy Naznaczonego. Jej delikatne palce przesuwają się wzdłuż ciągów runicznych na jego brwiach, na szczęce i policzkach.

– Dopiero teraz, gdy pracuję w tym sklepie, dostrzegam ich prawdziwe piękno. Wszystko, co chroni tych, których kochamy, musi być piękne.

W piersi Naznaczonego wezbrał szloch. Mężczyzna zgiął się wpół, nagle bezsilny, ale Elissa podtrzymała go mocno.

– Chodź do domu, Arlen – powiedziała. – Nawet jeśli tylko na tę noc.

## Dwór księcia Euchora

333 ROK PLAGI, WIOSNA

Naznaczony wyszedł ze sklepu i przez dłuższy czas wałęsał się po mieście, po czym wspiął się na dachy, by mieć pewność, że nikt nie będzie go śledził. Tą drogą przedostał się do posiadłości Ragena i Elissy.

Była mniejsza, niż zapamiętał. Gdy po raz pierwszy przybył do Miln w wieku jedenastu lat, rezydencja Ragena i Elissy, otoczona ogrodami, domami służby i wysokim murem, sprawiała wrażenie niemal samodzielnej osady. Teraz nawet dziedziniec, który w młodości wydawał się Arlenowi nieskończoną przestrzenią, wywoływał klaustrofobię. Naznaczony tak dalece przywykł do wędrówek pod gołym niebem, że mury przytłaczały go i dusiły.

Służący przy bramie wpuścili go bez słowa. Elissa bowiem pchnęła gońca z wieścią do domu, nie zapomniawszy też o sprowadzeniu Nocnego Tancerza oraz sakw z gospody. Naznaczony przeszedł przez ogrody i wślizgnął się do domu. Po marmurowych schodach wspiął się do swego dawnego pokoju.

Pomieszczenie wyglądało tak jak przed tym, nim Arlen je opuścił. Podczas pobytu w Miln mężczyzna wszedł w posiadanie wielu książek, ubrań, narzędzi i przyrządów do kreślenia runów. Umykając z miasta, nie był w stanie zabrać tego ze sobą – Posłaniec jest przecież ograniczony pojemnością sakw przy siodle – i nigdy o swym dobytku nie pomyślał. Teraz Naznaczony odnosił wrażenie, że w pokoju zatrzymał się czas. Na łóżku znajdowała się świeża pościel, nie było śladu kurzu, ale rzeczy Arlena znajdowały się na dokładnie tych samych miejscach co kiedyś. Nawet na jego biurku nadal panował bałagan. Mężczyzna siedział przez dłuższą chwilę, napawając się atmosferą swojskości i czując się, jakby znów miał siedemnaście lat.

Głośnie pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy. W progu stanęła Matka Margrit i

skrzyżowawszy grube, mięsiste ramiona na piersi, wbiła w Arlena spojrzenie. Zajmowała się nim, odkąd po raz pierwszy dotarł do Miln, leczyła jego rany i pomagała mu poznać miasto. Naznaczony ze zdumieniem odkrył, że po tylu latach kobieta nadal go onieśmiela.

– Pokaż – nakazała.

Nie musiał pytać, co miała na myśli. Wyprostował się i ściągnął kaptur.

Margrit przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a na jej twarzy na próżno było szukać przerażenia czy zaskoczenia, którego się spodziewał. Burknęła i pokiwała głową, jakby potakując własnym myślom.

A potem z całej siły walnęła Naznaczonego w twarz.

– To za złamanie serca mojej pani! – krzyknęła.

Cios był zaskakująco silny i nim Arlen zdołał oprzytomnieć, uderzyła go po raz drugi.

– A to za złamanie mojego! – zaszlochała i nagle pochwyciła mężczyznę w ramiona i przytuliła ze wszystkich sił. – Dzięki niech będą Stwórcy, że nic ci się nie stało – wykrztusiła z płaczem.

\* \* \*

Niedługo potem powrócił Ragen. Klepnął Arlena w ramię i spojrzał mu prosto w oczy, nie robiąc żadnych uwag na temat tatuaży.

– Cieszę się, że wróciłeś – oznajmił.

W rzeczy samej Naznaczony był bardziej zdumiony niż Ragen. Dostrzegł bowiem, iż jego były mentor nosi przypięty do piersi złoty symbol runiczny Gildii Patronów Runów.

Ragen pokiwał głową na spojrzenie Arlena.

– Zostaliśmy z Cobem partnerami po twoim wyjeździe. Zapoczątkowana przez ciebie wymiana runów między Patronami dała nam przewagę nad innymi firmami w mieście. Cob pełnił funkcję mistrza Gildii przez trzy lata, nim zmógł go rak. Po jego śmierci nikt nie miał wątpliwości, że to ja powinienem być jego następcą.

– Nie ma choćby jednego człowieka w Miln, który by tej decyzji żałował – wtrąciła Elissa. Nie spuszczała z męża oczu, a w jej głosie pobrzmiewała duma i miłość.

Ragen wzruszył ramionami.

– Rzecz jasna, dokładałem wszelkich starań, gdzie tylko się dało. Ale to wszystko powinno być twoje. – Spojrzał na Naznaczonego. – Zresztą nadal może. Cob nie pozostawił co do tego cienia wątpliwości: jeśli kiedykolwiek powrócisz, pakiet kontrolny ma przejść w twoje ręce.

– Masz na myśli sklep z warsztatem? – zapytał Naznaczony ze zdumieniem, że jego dawny mistrz umieścił go w testamencie pomimo upływu tylu lat.

– Sklep, warsztat, biblioteka, magazyny i zakłady szklarskie – sprecyzował Ragen. – Wszystko aż po kontrakty z czeladnikami.

– A to wystarczy, byś został jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Miln – dodała Elissa.

Naznaczony nagle ujrzał oczyma wyobraźni, jak przemierza korytarze pałacu księcia Euchora, doradza Jego Łaskawości w kwestiach politycznych i zarządza dziesiątkami, a może nawet setkami Patronów Runów. Wyobraził sobie władzę, jaką to niesie...

Budowanie sojuszów...

Czytanie raportów.

Wyznaczanie obowiązków.

Tłumy Służących, gotowych spełniać każdą zachciankę.

Pułapkę murów miejskich.

– Nie, nie chcę tego. – Pokręcił głową. – Nie chcę niczego. Arlen Bales nie żyje.

– Arlen! – wykrzyknęła Elissa. – Jak możesz mówić takie rzeczy, stojąc tu przed nami?

– Nie mogę tak po prostu wrócić do dawnego życia, podjąć tam, gdzie je przerwałem, Elisso – powiedział, ściągając kaptur i rękawice. – Wybrałem swoją ścieżkę i wiem, że nigdy już nie będę szczęśliwy za murami. Nawet teraz mam wrażenie, że powietrze jest cięższe, trudniej mi oddychać...

Ragen położył mu rękę na ramieniu.

– Ja też kiedyś byłem Posłańcem – przypomniał mu. – Znam smak powietrza na otwartej przestrzeni i wiem, jak bardzo się za nim tęskni pośród murów miejskich. Wierz mi jednak, że z czasem owa tęsknota zamiera i przestaje przeszkadzać.

Naznaczony spojrział na starszego mężczyznę i spochmurniał.

– A skąd pomyśł, że tego właśnie chcę? – warknął. – Dlaczego ty tego chciałeś? Po co dobrowolnie zatrzasnąłeś się w więzieniu, skoro nadal miałeś klucze do wolności?

– Ze względu na Maryę – odpowiedział Ragen. – I Arlena.

– Arlena? – zapytał Naznaczony ze zdumieniem.

– Nie chodzi o ciebie! – warknął Ragen, który również zaczął tracić panowanie nad sobą.

– O mojego pięcioletniego syna, Arlena! Małego chłopca, który potrzebuje ojca bardziej niż jego ojciec świeżego powietrza!

Cios okazał się równie bolesny jak ten, który wymierzyła mu Margrit, ale Naznaczony czuł, że sobie zasłużył. Przez chwilę mówił do Ragen, jak gdyby ten był jego prawdziwym ojcem, jak gdyby był Jephem Balesem z Potoku Tibbeta, tchórzem, który bezsilnie patrzył na śmierć własnej żony.

Ragen jednakże nie był tchórzem, co udowodnił tysiące razy. Naznaczony widział, jak mistrz stawiał czoła demonom zbrojny jedynie w tarczę i włócznię. Nie porzucił wędrówek przez noc ze strachu. Uczynił to, aby pokonać strach.

– Przepraszam – mruknął. – Masz rację. Nie miałem prawa...

– W porządku, chłopcze. – Ragen odetchnął głęboko.

Naznaczony wstał i podszedł do portretów wiszących na ścianach pokoju gościnnego.

Ragen i Elissa co roku zamawiali nowy portret, by upamiętnić upływ czasu. Na pierwszym uwiecznieni zostali tylko we dwójkę, jeszcze bardzo młodzi. Kolejny wizerunek został namalowany kilka lat później i Naznaczony ujrzał na nim swą twarz, zwykłą twarz bez runów. Nie widział tego oblicza od dawna... Arlen Bales, chłopiec w wieku dwunastu lat, siedział na krześle przed Ragenem i Elissą.

Na każdym następnym portrecie Arlen był odpowiednio starszy, aż na którymś stał między małżonkami, trzymając na rękach malutką Maryę.

Na kolejnym obrazie już go nie było, lecz kilka lat później pojawił się nowy Arlen. Naznaczony lekko dotknął płótna.

– Żałuję, że nie było mnie tu, gdy się narodził. Szkoda, że nie mogę zostać i spędzić z nim trochę czasu.

– Kto powiedział, że nie możesz? – oburzyła się Elissa. – Jesteśmy rodziną, Arlen. Nie musisz już żyć jak Żebrak. Zawsze znajdziesz tu dom.

Naznaczony pokiwał głową.

– Teraz to rozumiem, rozumiem jak nigdy, i przykro mi. Oboje zasługujecie na wiele, na więcej, niż mogłem wam dać kiedyś lub teraz. Wyjeżdżam z Miln zaraz po audiencji u księcia.

– Co takiego? – wykrzyknęła Elissa. – Przecież dopiero co przyjechałeś!

Naznaczony pokręcił głową.

– Wybrałem swoją ścieżkę i muszę dojść do jej końca.

– A zatem gdzie się teraz udasz?

– Na początek do Potoku Tibbeta – odparł. – Zostanę tam tyle, ile potrwa przekazanie runów wojennych. Potem zaś, jeśli wy zajmiecie się rozprawieniem runów wojennych w Miln i w okolicach, zrobię to samo w księstwach Angiers i Lakton.

– Chcesz, by każda wioska zerwała się do walki? – zapytała Elissa.

Naznaczony znów pokręcił głową.

– Nikogo do tego nie namawiam. Wiem natomiast, że gdyby pewnego dnia dawno, dawno temu mój ojciec miał łuk z runicznymi strzałami, moja mama zapewne by żyła. Każdy powinien otrzymać szansę, której ona nie dostała. Gdy runy dotrą wszędzie, gdy staną się tak powszechne, że nigdy już nie będzie im grozić zapomnienie, ludzie będą mogli podjąć decyzję, co dalej z nimi począć.

– A potem? – naciskała Elissa. Z tonu jej głosu można było wyczytać, iż czeka na zapewnienie, że pewnego dnia Arlen powróci na dobre.

– A potem sam ruszę do walki – rzekł Naznaczony. – Z radością powitam każdego, kto stanie u mego boku, i razem będziemy tępić demony, do ostatniego tchu. Albo do czasu, aż Arlen i Marya będą mogli bez obaw patrzeć na zachód słońca.

Było już późno i Służący udali się na spoczynek. Ragen, Elissa i Naznaczony zasiedli w gabinecie z butelką brandy. Powietrze wnet wypełnił dym z fajek.

– Zostałem wezwany na audiencję u księcia jutro z rana – rzekł Ragen. – Przyznam jednak szczerze, że nigdy w życiu nie zgadłbym, że chodzi o ciebie. Wiesz, co mi kazano zrobić? – Uśmiechnął się chytrze. – Księżę nakazał mi przebrać kilku Patronów za Służących, mają skopiować twoje tatuaże, gdy będziesz rozmawiał z Jego Wysokością.

– Nie będę zdejmował kaptura. – Naznaczony kiwnął głową.

– Dlaczego? – zapytał Ragen. – Skoro chcesz, by wszyscy posiadli sekret tych runów, dlaczego chcesz je ukryć?

– Ponieważ Euchor pragnie zagarnąć je dla siebie, a potem wykorzystać do zwiększenia własnej potęgi. Chcę wyrobić w nim przekonanie, że kupuje je ode mnie, podczas gdy wy potajemnie rozprowadzicie runy po wszystkich Patronach w księstwie, tak daleko, że Euchor nigdy nie zdoła nimi zawładnąć.

– Sprytne – przyznał Ragen. – Lecz pamiętaj, Euchora szlag trafi, gdy się dowie, że został wystrychnięty na dudka.

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Podówczas będę już daleko, a Euchor na nic więcej nie zasługuje, po tym jak zamknął mądrość starego świata w skarbcu, do którego tylko nieliczni mają wstęp.

– Najlepiej zatem, jeśli podczas audiencji udam, że cię nie znam – skinął głową Ragen. – Jeśli twoja tożsamość wyjdzie na jaw, udam zszokowanego.

– Tak będzie najmądrzej – zgodził się Naznaczony. – Jak sądzisz, kto jeszcze tam się znajdzie?

– Wydaje mi się, że na audiencji nie będzie wielu osób – stwierdził Ragen. – Euchorowi w sumie odpowiada, że przyjdiesz o świcie, bo wtedy audiencja dobiegnie końca, nim Opiekunowie i rodzina księżęca zorientują się, że w ogóle miała miejsce. Poza samym księciem i Jone, będę obecny ja, mistrz Gildii Posłańców Malcum, córki Euchora oraz moi Patroni przebrani za Służących.

– Opowiedz mi o córkach Euchora – poprosił Naznaczony.

– Nazywają się Hypatia, Aelia i Lorain – odparł Ragen. – Co do jednej równie tępe jak ich ojciec, a do tego wcale od niego nie piękniejsze. Każda urodziła przynajmniej jednego syna. Jeśli Euchor sam nie zdoła spłodzić potomka płci męskiej, Rada Matek wybierze kolejnego księcia spośród tych berbeci.

– A zatem po śmierci Euchora księciem zostanie jakiś chłopiec? – zapytał Naznaczony.

– Oficjalnie tak, choć zaznaczyć należy, że faktyczne rządy obejmie matka chłopaka i rządzić będzie za niego do chwili, gdy osiągnie pełnoletność, lub być może dłużej. Trzeba się liczyć z każdą z nich.

– Tak też zrobię – obiecał Naznaczony.



– Powinieneś też wiedzieć, że księżę ma nowego herolda.

– A co mnie to obchodzi? – Naznaczony wzruszył ramionami. – Przecież nie znałem nawet poprzedniego.

– Powinno cię to obchodzić, bo tym nowym jest Keerin.

Naznaczony zmarszczył brwi. Keerin był Minstrelem, który towarzyszył Ragenowi podczas wędrówek. W trakcie jednej z nich znaleźli na szlaku młodego Arlena, nieprzytomnego i umierającego na demoniczną gorączkę po okaleczeniu Jednorękiego. Minstrel okazał się tchórzem, który kulił się pod pledem i szlochał, gdy demony raz za razem testowały wytrzymałość przenośnego kręgu, ale kilka lat później Naznaczony przyłapał go na występie, podczas którego Keerin przypisywał sobie okaleczenie demona, co noc próbującego wdrzeć się do miasta, by wyrzec zemstę na Arlenie. Na oczach wszystkich Arlen wyzwiał Keerina od kłamców, po czym on i Jaik zostali brutalnie pobici przez trupę Minstrela.

– Jak człowiek, który boi się podróżować, może pełnić funkcję książęcego herolda? – zdumiał się szyderczo.

– Euchor umacnia władzę nie tylko przez gromadzenie wiedzy, ale i ludzi wokół siebie – odparł Ragen. – Po tym jak Keerin ułożył głupią pioseneczkę o Jednorękim, stał się nagle osobą popularną w rodzinie panującej, co przyciągnęło uwagę samego Euchora. Wkrótce Keerin otrzymał urząd i teraz popisuje się przed samym księciem.

– A zatem nie jest prawdziwym heroldem.

– Jest, a jakże – odparł Ragen. – Większość wsi wokół Miln jest oddalona najwyżej o dzień drogi, a Euchor kazał nawet pobudować chronione runami stacje na dłuższych szlakach, by ta tchórzliwa mała łasica miała gdzie przeczekać noc.

\* \* \*

Bramy do książęcego pałacu otwały się o świcie, a człowiekiem, który wyszedł na zewnątrz, by powitać Naznaczonego, był sam Keerin.

Keerin wyglądał mniej więcej tak, jak go Arlen zapamiętał: wysoki nawet jak na Milneńczyka, z jasnymi, zielonymi oczami i czupryną w kolorze marchewkowym. Nieco przytył, na co bez wątplenia wpłynęły zaszczyty, jakimi cieszył się u boku nowego pana. Cieniutki, mizerny wąsik nadal nie łączył się z bródką, choć zmarszczki na twarzy pokrywał puder, którym bezskutecznie Keerin próbował zamaskować nadchodzącą starość.

Gdy Arlen widział go po raz ostatni, Keerin miał na sobie pstrokaty strój Minstrela, a teraz, jako książęcy herold, ubierał się stosownie do wymogów nowej profesji. Miał na sobie tunikę w barwach książęcych – szaro-biało-zieloną – w której wyglądał o wiele bardziej poważnie, choć nadal lubił luźne pantalony, pewnie na wypadek gdyby przyszło mu wystąpić. Jego czarny płaszcz od spodu obszyty był kolorowymi jedwabnymi łatkami, które herold-Minstrel mógł odsłonić jednym efektownym piruetem.

– To zaszczyt, iż mogę cię powitać, panie! – rzekł, kłaniając się oficjalnie. – Jego Łaskawość oczekuje na przybycie garstki najbliższych doradców przed rozpoczęciem audiencji. Jeśli zechcesz, panie, udać się ze mną, pokażę drogę do poczekalni.

Naznaczony ruszył za przewodnikiem korytarzami pałacu. Gdy przemierzał je poprzedniego dnia, zmuszony był przedzierać się przez tłum Służących i Matek, spieszących, by wypełnić rozkazy księcia. O tej porze jednak korytarze świeciły pustkami, nie licząc garstki Służących, wyszkolonych, by nie rzucali się w oczy.

Drogę oświetlały buczące cicho, pulsujące lampy, niewymagające oliwy, knotów czy chemii Zielarek. Sekret ów nazywano lektryką, kolejne odkrycie z dawnych wieków, które Euchor zachował tylko dla siebie. Lampy wydawały się magiczne, lecz Naznaczony po wielu latach spędzonych na myszkowaniu po Bibliotece Księżęcej wiedział, iż pracują tylko i wyłącznie dzięki rozwiązaniu tajemnicy magnetyzmu.

Keerin zaprowadził go do komnaty, w której znajdowały się obite pluszem krzesła. W kominku tlił się ogień. Wzdłuż ścian ustawiono półki z książkami oraz mahoniowe biurko. Gdyby Arlena pozostawiono tu samego, okres oczekiwania na pewno upłynąłby mu przyjemnie. Tymczasem Keerin bynajmniej nie miał ochoty wyjść. Podszedł do srebrnej zastawy, wybrał dwa puchary, które nappełnił winem z przyprawami, po czym jeden z nich wręczył Naznaczonemu.

– Ja również jestem na swój sposób pogromcą demonów – powiedział. – Słyszałeś być może pieśń pod tytułem „Jednoręki”, którą ułożyłem?

Młody Arlen wpadłby w szal, słysząc, jak Keerin nadal przypisuje sobie jego dokonania, ale Naznaczony już dawno nauczył się wznosić ponad takie drobiazgi.

– Słyszałem, w rzeczy samej – rzekł, klepiąc wysokiego Minstrela po ramieniu. – To prawdziwy zaszczyt poznać człowieka tak wielkiego męstwa! Rusz więc ze mną w noc, a przyniesiemy zagładę nie jednemu skalnemu demonowi, lecz krociom!

Keerin aż pobladł, słysząc propozycję. Jego skóra nabrała chorowitego odcienia, a Naznaczony uśmiechnął się pod kapturem. Być może nie wzniosł się jednak aż tak bardzo.

– Ja... Ja jestem wdzięczny za propozycję – wyjąkał Keerin. – Byłbym, rzecz jasna, zaszczycony, ale moje obowiązki wobec księcia nie pozwalają mi na takie eskapady.

– Rozumiem – rzekł Naznaczony. – Pozostaje mi się cieszyć, iż w chwili, gdy ratowałeś życie tego chłopca z pieśni, nie wiązały cię jeszcze przysięgi lojalności. Jak ten chłopak się nazywał?

– Arlen Bales – odparł Keerin, który szybko odzyskał panowanie nad sobą i przybrał wypraktykowany uśmiech. Podszedł bliżej, otoczył ramieniem plecy gościa i szepnął mu do ucha: – Mówię teraz jak jeden pogromca demonów do drugiego – byłbym nieskończenie zobowiązany za możliwość unieśmiertelnienia cię w moich pieśniach. Wystarczyłaby mi krótka rozmowa po audiencji u Jego Łaskawości.

Naznaczony wyprostował się i uniósł głowę, by światło lektrycznych lamp wniknęło w

głąb jego kaptura. Keerin aż sapnął i odskoczył z przestraczem.

– Ja nie zabijam demonów dla chwały, Minstrelu – warknął Naznaczony i zrobił kilka kroków w kierunku nieszczęsnego, przerażonego herolda. Keerin cofał się, aż natrafił plecami na półkę z książkami, która zakołysała się niepewnie. – Ja zabijam demony – szepnął Arlen, pochylając się ku niemu – ponieważ na to zasługują.

Dłoń Minstrela zadrżała, ulewając nieco wina. Naznaczony zrobił krok w tył i uśmiechnął się.

– Może spróbuj napisać pieśń o tym, co? – zaproponował.

Keerin nadal nie opuścił poczekalni, ale nie odezwał się już ani słowem i Naznaczony był mu za to wdzięczny.

\* \* \*

Komnata audiencyjna Euchora była mniejsza, niż Arlen zapamiętał, ale nadal robiła wrażenie, zwłaszcza wysokie kolumny wspierające sufit, który wydawał się nieprawdopodobnie wysoko. Pomalowano go na niebiesko, by przypominał niebo, a w samym centrum umieszczono żółto-białą kulę słoneczną. Podłogę pokrywały mozaiki, a ściany gobeliny. Miejsca wystarczyłoby tu dla wielkiego tłumu, zresztą książę urządził tu wiele balów i przyjęć, którym przyglądał się z wysokości swojego tronu pod jedną ze ścian.

Tam właśnie książę oczekiwał na nadejście gościa. Na podwyższeniu za tronem stały trzy kobiety, których mało urodziwe twarze, przypominające księżyc, oraz drogie szaty ociekające klejnotami nie pozostawiały cienia wątpliwości, że to sławetne córki władcy. U stóp podestu czekała z tabliczką do pisania oraz piórem Matka Jone, a naprzeciwko niej mistrzowie Ragen i Malcum. Obaj swego czasu zarabiali na życie jako Posłańcy i dobrze się czuli w swym towarzystwie. W pewnym momencie Ragen szepnął coś do Malcuma, który zachichotał, a Matka Jone posłała mu piorunujące spojrzenie.

Obok Jone stał Opiekun Ronnell, książęcy bibliotekarz, ojciec Mery.

Naznaczony zaklął w myślach. Powinien przewidzieć, że ujrzy Ronnella. Jeśli Mery powiedziała mu o wszystkim...

Ronnell w istocie przyglądał się przybyszowi z zaciekawieniem, ale nic nie wskazywało, że go rozpoznał. Na razie sekret Arlena był więc bezpieczny.

Dwóch strażników zamknęło wrota i skrzyżowało włócznie. Rzekomi „Służący”, zaopatrzeni w tabliczki do pisania, snuli się daleko za kolumnami, przyglądając się Naznaczonemu dyskretnie.

Z bliska okazało się, że Euchor utył i postarzał się o wiele bardziej, niż Naznaczony się spodziewał. Nadal nosił pierścienie z klejnotami na każdym serdelkowatym palcu, a złote łańcuchy, którymi się obwiesił, warte były fortunę, lecz korona spoczywała na niemalże łysej czaszce. Swego czasu książę robił imponujące wrażenie, lecz teraz wyglądał, jak gdyby nie

był w stanie powstać ze swego tronu bez niczyjej pomocy.

– Książę Euchorze, Światło Gór i Władco Miln! – zawołał Keerin. – Pozwól sobie przedstawić Naznaczonego, Posłańca, który przybył w imieniu księcia Rhinebecka, Strażnika Leśnej Fortecy i Władcy Angiers.

Jak zwykle podczas spotkań z księciem, z pamięci Naznaczonego wypłynął głos Rageny: „Kupcy i rodzina księżęca zadowolą cię, jeśli im na to pozwolisz. W ich obecności musisz zachowywać się niczym król i nigdy nie zapominać, kto naprawdę ryzykuje życiem”.

Podbudowany jego słowami, Arlen wyprostował się i ruszył ku tronowi.

– Bądźcie pozdrowieni, Wasza Łaskawość! – odezwał się, nie czekając na pozwolenie, i odrzucił z łopotem szatę, wykonując zgrabny ukłon. Kilka osób zaszemrało nieprzychylnie na taką śmiałość, ale Euchor udał, że nic się nie stało.

– Witaj w Miln – oznajmił. – Sporo o tobie słyszeliśmy i przyznaję, że sam byłem jednym z wielu, którzy uznali cię za mit. Proszę, uczyn mi zaszczyt i zdejmij kaptur.

Naznaczony skinął głową i odsłonił twarz. Dookoła rozległy się westchnienia i okrzyki przestachu, nawet Ragen udał odpowiednio oszołomionego.

Naznaczony czekał, chcąc, by obecni nasycili się widokiem.

– Imponujące – rzekł Euchor. – Opowieści nie oddają w pełni obrazu sytuacji.

Gdy wypowiadał te słowa, Patroni wyznaczeni przez Ragenę pospiesznie zanurzyli pióra w atramencie i zaczęli kopiować podpatrzone symbole, starając się robić to niezauważenie.

Tym razem Naznaczony przypomniał sobie słowa Coba: „Fort Miln nie ma nic wspólnego z Potokiem Tibbeta, chłopcze. Tutaj wszystko ma swą cenę”. Arlen nie sądził, by przebrany Patronom udało się wiele skopiować – symbole wytatuowane na jego skórze były zbyt drobne, a ponadto znajdowały się blisko siebie – ale mimo to spokojnym ruchem podciągnął kaptur, nie spuszczać spojrzeń z księcia. Przekaz był jasny. Naznaczony nie zdradzi swych tajemnic za darmo.

Euchor zerknął na Patronów i skrzywił się na ich brak dyskrecji.

– Przynoszę wieści od księcia Rhinebecka z Angiers. – Naznaczony wyciągnął paczkę z książęcą pieczęcią.

Euchor zignorował ten gest.

– Kim jesteś? – zapytał bez ogródek. – Skąd pochodzisz?

– Zwą mnie Naznaczonym, a pochodzę z Thesy.

– W Miln nie stosujemy tej nazwy – ostrzegł go książę.

– Jednakowoż tak przedstawia się prawda.

Śmiałość posłańca sprawiła, że Euchor otworzył szeroko oczy, wyprostował się na tronie i zamyślił. Nie przypominał innych książąt, których Naznaczony spotykał podczas swych wędrówek. W Lakton i Rizon książę był jedynie marionetką rady miejskiej. W Angiers książę co prawda rządził, ale wyglądało na to, że wiele decyzji podejmowali jego bracia bądź lord Janson. W Miln to Euchor decydował o wszystkim. Nie było wątpliwości, że to doradcy służą

jemu, a nie na odwrót. Samo to, że utrzymywał się na tronie od tak dawna, najlepiej świadczyło o jego przebiegłości.

– Czy naprawdę potrafisz zabijać otchłańce gołymi rękami? – zapytał książę.

– Jak już proponowałem waszemu Minstrelowi, Wasza Łaskawość – uśmiechnął się Naznaczony – wyjdźcie ze mną po zmroku za mury, a pokażę wam osobiście.

Euchor zaśmiał się niewesoło, a z jego rumianej, nalanej twarzy nagle odpłynęły wszelkie barwy.

– Może innym razem.

Naznaczony skinął głową. Euchor zaś wpatrywał się w niego przez dłuższy czas w milczeniu, jakby próbował podjąć decyzję.

– A więc? – spytał w końcu. – Jesteś nim czy nie?

– O czym mówicie, Wasza Łaskawość?

– Jesteś Wybawicielem?

– Oczywiście, że nie – parsknął Opiekun Ronnell, ale ucichł, skarcony ostrym gestem księcia.

– Jesteś czy nie? – powtórzył pytanie Euchor.

– Nie – odparł Naznaczony. – Wybawiciel to tylko legenda, nic więcej.

Ronnell wyglądał, jakby chciał się wtrącić, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na księcia, by zrezygnować.

– Ja jestem jedynie człowiekiem, który odnalazł utracone runy.

– Runy wojenne! – odezwał się Malcum z błyskiem w oku. Nie licząc Rageny, był w tej sali jedynym mężczyzną, który samotnie stawiał czoła demonom w środku nocy, stąd nie dziwiło jego zainteresowanie. Gildia zapłaciłaby zapewne każdą cenę za możliwość uzbrojenia swych ludzi w runiczne włócznie i strzały.

– A w jaki sposób je zdobyłeś? – naciskał Euchor.

– Wiele rzeczy można znaleźć w ruinach na odludziu.

– Gdzie? – zapytał Malcum, lecz Naznaczony jedynie się uśmiechnął.

– Dość tego – uciął Euchor. – Ile złota chcesz za te runy?

– Nie sprzedam ich za złoto. – Naznaczony pokręcił głową.

– Mógłbym kazać moim strażnikom, by cię do tego nakłonili – ostrzegł go książę, wskazując żołnierzy przy drzwiach.

– Źle by się to dla nich skończyło.

– Być może, ale ja mam wielu ludzi na swoje rozkazy. Zapewne wystarczająco, by przygnieść cię do podłogi i dać czas Patronom na skopiowanie wszystkiego, co znajduje się na twojej skórze.

– Żaden z tych symboli nie nadaje się do wzmocnienia włócznie czy innej broni – odparł Naznaczony. – Właściwe runy znajdują się tu. – Postukał się w czaszkę przesłoniętą kapturem. – I szczerze mówiąc, nie wystarczyłoby strażników w Miln, by wyciągnąć je ze

mnie siłą.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął władca. – Niemniej widzę, że masz już ustaloną cenę. Wymień ją i miejmy to z głowy.

– Póki co rzeczy najistotniejsze. – Naznaczony wręczył Jone sakwę Rhinebecka. – Książę Rhinebeck prosi o zawarcie sojuszu celem odparcia krasjańskiego najazdu, który objął już Rizon.

– Nic dziwnego, że Rhinebeck poszukuje sojusznika! – parsknął Euchor. – Siedzi za swoimi drewnianymi murami pośrodku pięknej zielonej krainy, której nagle pozazdrościły mu pustynne szczury. Lecz z jakiego powodu niby miałbym wyruszyć w pole?

– Książę Rhinebeck powołuje się na Pakt – rzekł Naznaczony.

Euchor zaczekał, aż Jone podsunie mu list, wyrwał go z jej ręki i przeczytał szybko, a potem skrzywił się i zgniół arkusz.

– Rhinebeck już złamał Pakt, próbując odbudować Rzeczułkę po drugiej stronie Rzeki Granicznej – warknął. – Niech odda myto z ostatnich piętnastu lat, a ja może pomyślę wówczas o jego mieście.

– Wasza Łaskawość – Naznaczony z trudem zwalczył pokusę, by wbiec na podwyższenie i udusić piniacza na tronie – kwestię Rzeczułki możecie rozstrzygnąć kiedy indziej. Zarówno ludziom mieszkającym w Angiers, jak i w Miln zagraża teraz inne niebezpieczeństwo, o wiele poważniejsze od pomniejszych waśni.

– Pomniejszych?! – wrzasnął książę. Ragen pokręcił głową, a Naznaczony natychmiast pożałował nieszczęsnego doboru słów. Nigdy nie dorównał swemu mentorowi w subtelnej sztuce obcowania z członkami rodziny panującej.

– Krasjanie nie przybyli tu, by zbierać podatki, Wasza Łaskawość – podjął wyjaśnienia. – Nie miejcie złudzeń, ludzie pustyni przybyli, by zabijać i gwałcić, póki wszyscy mieszkańcy Północy nie zostaną wcieleni do ich armii.

– Nie obawiam się pustynnych szczurów. Niech spróbują przedostać się przez moje góry! Niech rozbiją obóz na skutych lodem zboczach i przekonają się, czy piaskowe runy sprawdzają się w walce ze śniegowymi demonami. A potem niech dzikusy sprawdzą, jak długo są w stanie głodować...

– A co ze wsiami? – wtrącił Naznaczony. – Chcecie je również poświęcić, Wasza Łaskawość?

– Jestem w stanie obronić własne księstwo bez niczyjej pomocy – oznajmił Euchor. – W mojej bibliotece znajduje się wiele ksiąg o sztuce prowadzenia wojny, a także planów broni i machin bojowych, dzięki którym bez większych strat rozpedzimy hordę tych dzikusów.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Wasza Łaskawość – odezwał się nagle Opiekun Ronnell, ściągając na siebie uwagę obecnych. Kapłan uklonił się głęboko, a gdy książę udzielił mu przyzwolenia skinieniem głowy, wbiegł na stopnie podwyższenia i zaczął szeptać do władcy.

Naznaczony jednak dosłyszał każde słowo.

– Wasza Łaskawość, czy jesteście pewni, że należy oddawać światu tak wielkie sekrety?

– zapytał cicho Opiekun. – To przecież wojny między ludźmi sprowadziły na nas Plagę.

– Wolałbyś plagę Krasjan? – zasyczał Euchor w odpowiedzi. – Co się stanie z Opiekunami Stwórcy, gdy nadejdą wyznawcy Everama?

Ronnell zaniemówił.

– Rozumiem, Wasza Wysokość – szepnął, po czym uklonił się i odszedł.

– A zatem chcecie utrzymać Podział, panie – oznajmił Naznaczony. – A jak długo Miln wytrzyma bez ziarna, ryb i drewna z Południa? Książęce Ogrody zaspokoją potrzeby pałacu, ale gdy reszta miasta zacznie głodować, mieszkańcy znajdą sposób, by się tu dostać.

Euchor tylko prychnął w odpowiedzi.

– Nie – rzekł w końcu. – Nie wyślę milneńskich żołnierzy na Południe, by umierali za Rhinebecka, jeśli nie otrzymam czegoś w zamian.

Krótkowzroczność księcia sprawiła, że w sercu Naznaczonego aż zawrzało, ale musiał przyznać, że niczego innego nie należało się spodziewać. Rozmowa weszła w fazę negocjacji.

– Książę upoważnił mnie do przedstawienia kilku ustępstw – powiedział Naznaczony. – Nie wycofa się z własnej części Rzeczułki, lecz w zamian za pomoc odda wam pięćdziesiąt procent pobranych opłat celnych za okres dziesięciu lat.

– Tylko połowę? Za całą dekadę? – parsknął Euchor. – Pieniądzy nie wystarczy nawet na prowiant dla wojska.

– Proszę przedstawić własną propozycję, Wasza Łaskawość – odrzekł Naznaczony.

Euchor potrząsnął głową.

– To za mało, o wiele za mało. Jeśli Rhinebeck pragnie mojej pomocy, musi mi dać coś jeszcze.

– A cóż to takiego, Wasza Łaskawość? – Naznaczony pochylił głowę.

– Rhinebeck nadal nie spłodził męskiego potomka, nieprawdaż? – rzekł bez ogródek Euchor. Matka Jone aż westchnęła, a pozostali poruszyli się niespokojnie na tę nieoczekiwaną zmianę tematu, na dodatek tematu zaliczanego do niestosownych.

– Podobnie jak i wy, Wasza Łaskawość – rzekł Naznaczony, lecz Euchor machnął z lekceważeniem dłonią.

– Mam wnuków, moja linia nie wygaśnie.

– Proszę o wybaczenie, lecz jaki to ma związek z sojuszem? – zapytał Naznaczony.

– Skoro Rhinebeckowi tak bardzo zależy na aliansie, powinien poślubić którąś z moich córek. – Euchor zerknął na kobiety za tronem. – A opłaty celne możemy potraktować jako prezent weselny.

– Czy twoje córki nie zostały już Matkami? – zapytał ze zdumieniem Naznaczony.

– W rzeczy samej. Ich wartość została udowodniona, wszystkie urodziły synów, ale nadal są w kwiecie wieku.

Naznaczony znów zerknął na trzy córki księcia. Żadna z nich nie przypominała kwiatu, ale lepiej było przemilczeć to spostrzeżenie.

– Miałem na myśli to, że zapewne zostały już komuś poślubione, Wasza Łaskawość.

Euchor wzruszył ramionami.

– Tak, wyszły za pomniejszych szlachciców, ale bez wysiłku mogę rozwiązać ich przysięgi ślubne. Każda z dumą zasiądzie obok Rhinebecka i urodzi mu syna. Pozwolę nawet mojemu krewniakowi wybrać tę, która najbardziej mu się spodoba.

Rhinebeck prędzej umrze, niż się na to zgodzi, pomyślał Naznaczony. Nici z sojuszu.

– Nie zostałem upoważniony do negocjowania takich kwestii – oznajmił.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Euchor. – Przedstawię moją ofertę na piśmie jeszcze dziś i pošlę herolda, by osobiście wręczył ją Rhinebeckowi.

– Wasza Łaskawość – wyjąkał Keerin, znów trupioblady – przecież będę potrzebny tu, żeby...

– Pojedziesz do Angiers albo zrzucę cię z wieży! – warknął Euchor.

Keerin uklonił się, próbując ukryć lęk pod maską Minstrela, ale na próżno.

– Oczywiście, Wasza Łaskawość, poczytuję sobie tę misję za wielki honor, o ile zostanę zwolniony z moich dotychczasowych zadań.

Euchor chrząknął i znów skupił na Naznaczonym.

– Nadal nie wymieniłeś ceny za runy wojenne.

Naznaczony uśmiechnął się i sięgnął w głąb sakwy, skąd wydobył oprawiony w skórę, ręcznie zszywany grymuar.

– Chodzi o te?

– Coś mi się wydaje, że mówiłeś, iż nie masz ich przy sobie – rzekł Euchor.

– Kłamałem. – Naznaczony wzruszył ramionami.

– Czego za nie chcesz? – powtórzył pytanie książę.

– Chcę, byście wraz ze swoim heroldem wysłali zapasy oraz Patronów do Rzeczułki – rzekł Naznaczony. – Ponadto domagam się książęcego dekretu pozwalającego uchodzićcom przebyć Rzekę Graniczną bez opłat i gwarantującego im pożywienie oraz schronienie na zimę.

– I to wszystko za książeczkę z runami? – wrzasnął Euchor. – Kpiny!

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Jeśli zyczą sobie, Wasza Łaskawość, kupić od Rhinebecka runy, które mu sprzedałem, dobrze by było już teraz rozpocząć targi. Lada chwila zjawią się tu Krasjanie i spalą miasto.

– Rzecz jasna, Gildia Patronów Runów będzie partycypować w kosztach, Wasza Wysokość – wtrącił Ragen.

– Gildia Posłańców również! – dodał szybko Malcum.

Euchor zmrużył oczy, wpatrując się podejrzliwie w obu mężczyzn, a Naznaczony



zrozumiał, że wygrał starcie. Książę wiedział, iż gdyby odmówił, mistrzowie sami kupiliby runy, a władca straciłby dostęp do największego osiągnięcia w dziedzinie magii od czasów Pierwszej Wojny z Demonami.

– Nigdy nie spodziewam się podobnych poświęceń ze strony Gildii – oznajmił. – Koszty opłacone zostaną w całości z książęcego skarbcza. W końcu przyjęcie uchodźców, którzy dotrą aż tak daleko na północ, nie będzie dla Miln wielkim problemem. – Skinął na Naznaczonego.  
– O ile, rzecz jasna, przybysze złożą przysięgę na wierność.

Naznaczony zmarszczył brwi, ale wyraził zgodę skinieniem głowy. Na znak Euchora Opiekun Ronnell podbiegł do Naznaczonego i wziął księgę. Malcum wpatrywał się w nią chciwie.

– Czy udasz się z karawaną w drogę powrotną do Angiers? – zapytał książę, próbując ukryć nadzieję, że Naznaczony wkrótce opuści miasto.

Ten pokręcił głową.

– Dziękuję, Wasza Łaskawość, ale nie potrzebuję towarzystwa, gdy jadę przez noc.

Skłonił się i nie czekając na pozwolenie, odwrócił się i wyszedł z sali.

\* \* \*

Zgubienie ogona, który posłał za Naznaczonym Euchor, okazało się dziecinnie proste. W mieście rozpoczęła się już poranna krzątanina i ulice były zatłoczone. Naznaczony, gdy piął się po marmurowych schodach największej budowli w Thesie, wyglądał jak jeszcze jeden Opiekun.

Jak zwykle widok biblioteki przepełnił go zarówno uniesieniem, jak i smutkiem. Euchor i jego przodkowie zgromadzili tu kopie niemalże każdej książki, która ocalała z pożarów wznieconych przez ogniste demony w dniach Powrotu. Nauka. Medycyna. Magia. Historia. Wszystko. Książęta Miln zgromadzili tę wiedzę, po czym zamknęli ją, odbierając ludzkości szansę skorzystania z jej dobrodziejstw.

Jeszcze jako czeladnik Arlen naznaczył runami meble biblioteki, co wynagrodzono mu stałym dostępem do archiwów. Oczywiście teraz nie miał najmniejszego zamiaru ujawniać swej tożsamości, nawet akolicie, który pełnił tu tylko funkcję odźwiernego. Jednak tym razem Arlena nie interesował księgozbiór. Zaraz po tym, jak wślizgnął się do budynku, niespostrzeżenie skręcił w jeden z bocznych korytarzy, prowadzący do komnaty Opiekuna Ronnella.

Tam Naznaczony zaczekał, aż Opiekun wróci. W pierwszej chwili Ronnell w ogóle nie dostrzegł intruza – zamknął drzwi i odwrócił się, odetchnąwszy z ulgą, po czym przycisnął księgę z wojennymi runami do piersi.

– Dziwne, że Euchor powierzył grymuar tobie, a nie przełożonemu Gildii Patronów, którzy rozgryźliby treść o wiele szybciej – powiedział Naznaczony.

Ronnell krzyknął z przestachu i aż się zatoczył. Na widok intruza oczy wyszły mu z orbit. Pospieszenie nakreślił przed sobą runy.

Minęła chwila, nim Opiekun nabrał pewności, że Naznaczony nie chce go zaatakować. Wyprostował się wówczas i odzyskał rezon.

– Jestem dobrze przygotowany do zapoznania się z treścią tej książki – oznajmił. – Sztuka stawiania runów wchodzi w zakres studiów każdego akolity. Świat jednakże może nie jest jeszcze gotów na poznanie zawartości tego grymuaru, stąd Jego Łaskawość rozkazał, bym jako pierwszy ją ocenił.

– Czy na tym polega twoje zadanie, Opiekunie? Czyżbyś to ty miał decydować, co ludzkość może ujrzeć? Rościecie sobie wraz z Euchorem prawo do odebrania ludziom szansy na podjęcie walki z otchłańcami?

– Mówisz, drogi panie, jak ktoś, kto oddał te runy za darmo, a nie sprzedał je za wysoką cenę – parsknął Ronnell.

Naznaczony podszedł do biurka Ronnella, nieskazitelnie czystego i niemalże pustego, nie licząc lampy, zestawu do pisania z wypolerowanego mahoniu oraz mosiężnej podstawki, na której spoczywał osobisty egzemplarz Kanonu Opiekuna. Niedbałym gestem podniósł książkę, a wtedy usłyszał, jak Ronnell gwałtownie wciąga powietrze. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Oprawiona w skórę księga nosiła ślady częstego używania, a atrament, którym ją spisano, zaczynał już blaknąć. Na pewno nie był to egzemplarz na pokaz, raczej osobisty przewodnik, do którego Opiekun często zaglądał, by rozważać opisane w nim tajemnice. Za czasów, kiedy Arlen pracował w bibliotece, Ronnell często kazał mu czytać ustępy z tego właśnie woluminu, lecz chłopak nie był w stanie odnaleźć w sobie tej samej pasji, która cechowała kapłana. Księga opierała się bowiem na dwóch zasadach, których młodzieniec zaakceptować żadną miarą nie potrafił. Kanon głosił, iż istniał wszechwładny Stwórca, a otchłańce były częścią jego planu, karą, którą zesłał na ludzkość za grzechy.

Zdaniem Arlena to właśnie przez Kanon ludzkość znalazła się w godnym pożałowania stanie, przez tę księgę ludzie kulili się i drżeli ze strachu, zamiast prostować się z dumą. Kanon siał wśród nich strach i odbierał nadzieję. Zawierał jednak kilka ustępów, w które Naznaczony głęboko wierzył – tych, które mówiły o wspólnocie i braterstwie.

Kartkował księgę przez moment, aż odnalazł właściwy fragment i zaczął czytać:

*Nie ma człeka na ziemi, który nie byłby twym bratem,  
Każda kobieta jest twą siostrą, każde dziecko twym chwatem,  
Albowiem Plaga spada na wszystkich, jednako grzesznych i poczciwych,  
I wszyscy siły złączyć muszą, by nocy się sprzeciwić.*

Naznaczony zamknął tom z trzaskiem, od którego bibliotekarz aż podskoczył.

– A jakiej to niby ceny zażądałem za moje runy, Opiekunie? Chodzi ci o gwarancję, by Euchor wspomógł garść bezradnych włóczęgów, którzy zastukają do jego bram? A twoim zdaniem, jakie zyski miałbym z tego czerpać?

– Możesz działać na zlecenie Rhinebecka – oznajmił Ronnell. – Mogłeś zostać opłacony, by pozbyć się Żebraków, którzy na południe od Rzeki Granicznej sprawiają coraz więcej problemów.

– Posłuchaj sam siebie, Opiekunie! – rzekł Naznaczony. – Właśnie robisz wszystko, co w twojej mocy, by nie wypełnić zaleceń Kanonu!

– Po co tu przybyłeś? – zapytał Ronnell. – Przecież gdybyś chciał, mógłbyś rozdać runy wszystkim ludziom w Miln!

– Już to zrobiłem. Nie zdołacie tego powstrzymać, ani ty, ani twój książe.

Ronnell wybałuszył oczy.

– Dlaczego mi to mówisz? Przecież Keerin wyjeżdża dopiero jutro! Mogę jeszcze przekonać księcia, by cofnął obietnicę i odmówił schronienia uchodźcom.

– Ale nie zrobisz tego – odparł Naznaczony z naciskiem, odkładając Kanon na miejsce.

– Czego ode mnie chcesz? – skrzywił się Ronnell.

– Chcę wiedzieć coś więcej na temat owych machin, o których wspomniał Euchor.

Ronnell nabrał tchu.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy sam odszukam odpowiednie księgi – wzruszył ramionami Naznaczony.

– Wstęp do archiwów jest wzbroniony wszystkim, którzy nie dysponują księżecą pieczęcią.

– Nawet mnie? – Naznaczony ściągnął swój kaptur.

Widok ten odebrał Ronnellowi mowę. Wpatrywał się zadziwiony w wytatuowaną skórę, a gdy wreszcie się odezwał, jego słowa okazały się kolejnym cytatem z Kanonu:

– „Albowiem będzie naznaczony na całym swym ciele...”

– „...a demony nie będą mogły znieść widoku jego i uciekać będą z przerażeniem na widok jego” – dokończył Naznaczony. – Zmusiłeś mnie, bym wyuczył się tego ustępu na pamięć, gdy malowałem runy na twoich regałach.

Ronnell wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, usiłując przypomnieć sobie, skąd go zna. Nie było to łatwe – twarz nieznanego przesłaniały runy, a na dodatek minęło wiele lat. Niespodziewanie oczy mu rozbłysły.

– Arlen?

Naznaczony pokiwał głową.

– Dałeś mi słowo, że po kres życia będę mógł myszkować po twoich zbiorach – przypomniał bibliotekarzowi.

– Oczywiście, oczywiście... – zaczął Ronnell, ale nagle urwał. Potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli. – Jakże mogłem być tak ślepy? – wyszeptał. – Jak ja mogłem

tego nie dostrzec?

– Czego?

– Ciebie! – Ronnell opadł na kolana. – Tego, że jesteś Wybawicielem, zesłanym, by położyć kres Pladze!

Naznaczony skrzywił się z niechęcią.

– Niczego takiego nie twierdziłem. Znałeś mnie jako chłopca, jako kapryśnego, impulsywnego szczeniaka! Moja stopa nigdy nie stanęła w Świętym Domu. Związałem się z twoją córką, a potem zламаłem przysięgę i uciekłem!

Pochylił się ku Opiekunowi.

– I wiesz co? Prędeż zjem demonie ścierwo, nim uwierzę, że ludzkość zasłużyła sobie na tę całą „Plagę”.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Ronnell. – Wybawiciel musi wierzyć w coś przeciwnego.

– Nie jestem żadnym cholernym Wybawicielem! – parsknął Naznaczony, ale tym razem bibliotekarz nawet nie drgnął. Wpatrywał się tylko w mężczyznę szeroko rozwartymi oczyma.

– Jesteś – rzekł. – Tylko w ten sposób można wyjaśnić cuda, jakich dokonałeś.

– Cuda? – powtórzył z niedowierzaniem Naznaczony. – Czyżbyś palił jakieś ziele, Opiekunie? O jakich cudach mówisz?

– Keerin może sobie śpiewać ile dusza zapragnie o tym, jak cię znalazł na drodze, ale ja znam inną wersję wydarzeń od mistrza Coba – rzekł Ronnell. – Odrąbałeś ramię skalnemu demonowi, a gdy potwór przerwał barierę, zwabiłeś go w pułapkę zastawioną przez Patronów.

– I co z tego? – wzruszył ramionami Naznaczony. – Każdy człowiek, który posiadał choćby podstawy kreślenia runów, mógłby tego dokonać.

– Jakoś jednak nie przypominam sobie, by komukolwiek się to udało – odparł Ronnell. – Miałeś zaledwie jedenaście lat, gdy dokonałeś tej sztuki, sam jeden pod nocnym niebem.

– Zostałem poważnie ranny. Umarłbym, gdyby nie znalazł mnie Ragen – zaoponował Naznaczony.

– Udało ci się przetrwać kilka długich nocy, nim przybył Posłaniec – rzekł Ronnell. – Nikt inny, tylko Stwórca wysłał go po ciebie, gdy twoja próba dobiegła końca.

– Jaka znowu próba? – zapytał Naznaczony, ale Ronnell go zignorował.

– Byłeś tylko nieletnim Żebrakiem, gdy odnaleziono cię na trakcie – ciągnął. – Przyniosłeś jednak do Miln nowe runy i tchnąłeś w rzemiosło nowego ducha, choć nawet nie ukończyłeś stażu jako czeladnik!

Opiekun mówił teraz innym tonem, jakby każdy uczynek Arlena widział w nowym świetle, jakby porządkował elementy wielkiej układanki.

– Zabezpieczyłeś runami Świętą Bibliotekę – mówił w uniesieniu. – Byłeś chłopcem, zwykłym czeladnikiem, a mimo to pozwoliłem ci nałożyć znaki ochronne na najważniejszy

budynek świata.

– Tylko na meble – wtrącił Naznaczony.

Ronnell pokiwał głową, jakby odnalazł kolejny pasujący element.

– Stwórca chciał, byś tu trafił, do biblioteki. Jej sekrety zostały zebrane dla ciebie!

– Bzdura – parsknął Naznaczony.

– Proszę, załóż kaptur – nakazał Opiekun, wstając, po czym podszedł do drzwi.

Naznaczony wpatrywał się w niego przez moment, a potem usłuchał. Ronnell zaś poprowadził go do głównego archiwum. Opiekun przemknął przez labirynt regałów równie sprawnie jak człowiek spieszący przez własne mieszkanie ku imbryczkowi, w którym gotuje się woda.

Naznaczony dotrzymał Ronnellowi kroku. Ongiś naznaczył runami każdą półkę, stół i ławkę w budynku, przez co rozkład pomieszczeń miał wyryty w pamięci. Wkrótce znaleźli się przed łukowatym przejściem przegrodzonym sznurem i strzeżonym przez tęgiego akolity. Na zworniku kamiennego łuku widniały wyryte litery: PP – Przed Powrotem.

W środku znajdowały się najcenniejsze woluminy archiwum – oryginalne egzemplarze książek sprzed Powrotu, które przechowywano pod szkłem i z rzadka dotykano, gdyż już dawno zrobiono ich kopie. W tej części księgozbioru ciągnęły się niezliczone rzędy regałów z podręcznikami, traktatami filozoficznymi i opowieściami, które główny bibliotekarz, zawsze gorliwy Opiekun, uznał za stosowne ukryć nawet przed mędrkami z Miln.

Za młodu Naznaczony uwielbiał przeglądać właśnie te księgi, gdy akolici wyznaczeni na strażników patrolowali inne zakątki biblioteki. Wyniósł stąd potajemnie niejedną zakazaną romans czy nieocenzurowaną rozprawę historyczną, by przeczytać ją przez noc i odnieść na miejsce, nim ktokolwiek dostrzegł zniknięcie cennego egzemplarza.

Na widok Opiekuna akolita pochylił się w głębokim ukłonie, a Ronnell poprowadził Naznaczonego ku jednemu z regałów. Znajdowało się tam chyba z tysiące zakazanych książek, a książęcy bibliotekarz znał na pamięć lokalizację każdej z nich, dlatego teraz błyskawicznie odnalazł pożądany tom. Odwrócił się i wręczył wolumin Naznaczonemu. Na ręcznie malowanej okładce widniał tytuł: „Broń starego świata”.

– W Wieku Nauki istniały straszliwe rodzaje broni – oznajmił Ronnell. – Dzięki nim można było zabić setki, a nawet tysiące ludzi. Nic dziwnego, że Stwórca poczuł gniew.

Naznaczony zignorował komentarz.

– Czy Euchor będzie próbował odtworzyć tę broń?

– Skonstruowanie najstraszniejszych narzędzi zagłady pozostaje poza naszymi możliwościami – stwierdził Ronnell. – Potrzebowałibyśmy ogromnych rafinerii i wielkiej potęgi elektrycznej. Istnieje jednak wiele rodzajów broni, które potrafiłby zbudować każdy człowiek z dostępem do nieskomplikowanych substancji chemicznych i zwykłej kuźni. Szczegółowe opisy takiej broni i instrukcje budowy zawiera ta książka – wskazał tom w rękach Naznaczonego. – zatrzymaj ją.

Naznaczony uniósł brew.

– Jak zareaguje Euchor, gdy się dowie, że księga znikła?

– Wścieknie się i zażąda, bym sporządził odpis z oryginałów. – Ronnell wskazał rząd szklanych gablot. Ich szyby Naznaczony osobiście wzmacniał runami. – Gdy kilka lat temu Gilida Patronów zaczęła wzmacniać szkło, wystawiłem kilka z tych gablot za mury miejskie. Dzięki twoim runom stały się praktycznie niezniszczalne. Kolejny cud.

– Nie wolno ci zdradzić nikomu, kim naprawdę jestem – rzeki Naznaczony. – Naraziłbyś w ten sposób wszystkich, którzy mnie znali.

Ronnell pokiwał głową.

– Wystarczy, że ja wiem.

Gdyby nie zdradził Ronnellowi swej tożsamości, z pewnością zrobiłaby to Mery, ale nigdy by się nie spodziewał, że człowiek o tak surowych zasadach po prostu uwierzy, że on, Arlen Bales, jest Wybawicielem. Naznaczony skrzywił się, wsuwając księgę do sakwy.

\* \* \*

W ostatnią noc nowiu demon umysłu wyśledził Naznaczonego w Miln. Książę Otchłani mógł powstać jedynie podczas trzech najciemniejszych nocy cyklu księżycowego, ale szybko pochwyił trop i pomknął za zapachem, który nadal unosił się w powietrzu, choć upłynęło już wiele dni. Był to doprawdy intrygujący zapach – nie całkiem ludzki, a do tego aż ciepły od magii skradzionej Otchłani.

Z grzbietu uskrzydłonego zmiennokształtnego demon umysłu wpatrywał się w sieć chroniącą ludzki teren rozrodu. Murów broniły potężne runy, ale między liniami magii, przecinającymi się nad dachami, ziały spore dziury. Skrzydlaty demon nie był w stanie dojrzeć owych nici bez aktywacji całej bariery i nigdy by owych luk nie odnalazł – chyba że przez przypadek – ale dla księcia Otchłani wzór był doskonale widoczny. Demon pokierował więc swym powietrznym rumakiem, by gładko prześlizgnąć się między magicznymi liniami i znaleźć tuż nad miastem.

Okiennice były zamknięte, a ulice ciemne i wymarłe. Książę poczuł przez moment ssanie, gdy runy jakiegoś domostwa próbowały wyciągnąć z niego magię, ale zmiennokształtny przemknął obok nich tak zwinnie, że bariery nie zdołały pochwylić celu. Niezdarnie sporządzone bariery ciągnęły się po całym mieście, ale książę omijał je równie łatwo jak człowiek kałuże.

Oba demony leciały wzdłuż niewidzialnej ścieżki w powietrzu. Zatrzymały się nad wrotami wielkiej fortecy w samym sercu miasta, ale po chwili książę nabrał pewności, że poszukiwany człowiek znajduje się gdzieś indziej. Demon skierował zatem zmiennokształtnego nad inny budynek, ogromny, a do tego otoczony potężną barierą. Książę aż syknął, czując silne ssanie runów, choć znaki znajdowały się w sporej odległości. Każdy

ludzki obszar rozrodu dysponował przynajmniej jednym takim miejscem i najlepiej było trzymać się z daleka, tym bardziej że poszukiwany człowiek już stąd odszedł. Nowy, świeższy trop oddalał się od budynku.

Wiódł zaś ku kolejnej barierze, ciasnej, starannie skonstruowanej i pozbawionej luk. Runy nie były co prawda związane z tym, kto je narysował, ale książę wiedział, że nie wolno mu się zbliżyć. Gdyby on bądź jego wierzchowiec spróbowali przebić się przez barierę, doznaliby sporego bólu. Demon musiał unieszkodliwić niektóre runy, jeżeli chciał przekroczyć barierę bezpiecznie.

W absolutnej ciszy stwory podplęły do budowli. W jednym z okien książę wypatrzył zwierzynę, na którą polował. Ci, którzy otaczali ściganego przez księcia człowieka, nie liczyli się wcale, byli pozbawieni wyraźnych cech, lecz ten jeden naznaczył swe ciało runami i błyszczał jaskrawo od skradzionej magii.

Zbyt jaskrawo. Książę otchłańców liczył sobie tysiące lat i zwykł działać przezornie, z namysłem, ale zdecydowanie. Tu, w samym środku ludzkiego obszaru rozrodczego, nie mógł wezwać podległych mu demonów do ataku, niechętnie też dopuszczał do siebie myśl o narażeniu zmiennokształtnego na niebezpieczeństwo. Ujrzał jednak poszukiwanego człowieka i nie miał wątpliwości, że należy go zabić. Lepiej jednak poczekać na bardziej dogodną chwilę, gdy ofiara będzie słabiej chroniona. Ponadto książę musiał jeszcze wyjaśnić, skąd taka moc u człowieka.

Książę przybliżył się do okna i przyjrzał ludziom, toczącym rozmowę za pomocą prymitywnych gestów i chrząknięć.

\* \* \*

– „Źle by się to dla nich skończyło”! – śmiał się głośno i serdecznie Ragen. – Myślałem, że Euchor dostanie wylewu, gdy to usłyszał! Kazałem ci zachowywać się jak król, a nie jak samobójca z Krasji!

– Nie sądziłem, że będzie się domagał małżeństwa – powiedział Naznaczony.

– Euchor zdaje sobie sprawę, że nie zdoła już spłodzić męskiego potomka – odparł Ragen. – A zatem uznał za stosowne wyprawić choć jedną ze swoich córek daleko poza miasto, zanim rozedrą je na strzępy w walce o tron. Bez względu na to, którą z nich wybierze Rhinebeck, dziewczyna z radością powita szansę na rozpoczęcie własnych intryg w Angiers.

– Rhinebeck nigdy nie zgodzi się na tę propozycję – zauważył Naznaczony.

Ragen pokręcił głową.

– Wszystko zależy od tego, jakim zagrożeniem tak naprawdę okażą się Krasjanie. Jeśli sytuacja jest choćby w połowie tak zła, jak ją przedstawiasz, Rhinebeck może nie mieć wyboru. Podzielisz się z Euchorem zawartością jego księgi o starych rodzajach broni?

– Nie interesuje mnie polityka – odparł Naznaczony. – Nie mam też zamiaru zachęcać

ludów Thesy, by się wzajemnie wyrzynały, gdy za dnia nasze ziemie palą Krasjanie, a nocą demony siekają pazurami po naszych runach. Wolę wykorzystać tę broń w walce z otchłańcami, o ile to możliwe.

– Nic dziwnego, że Ronnell ma cię za Wybawiciela – mruknął Ragen.

Naznaczony obrzucił go ostrym spojrzeniem.

– Nie patrz tak na mnie – dodał Ragen. – Nie wierzę w to jak i ty. No, a przynajmniej nie w to, że jesteś istotą boską. Może jednak tak właśnie jest, że gdy nadchodzi odpowiednia pora, pojawia się człowiek obdarzony odpowiednio silną wolą i motywacją, by poprowadzić resztę.

Naznaczony potrząsnął głową.

– Nie chcę nikogo prowadzić. Chcę jedynie dopilnować, by runy wojenne rozpowszechniły się i już nigdy nie zostały utracone. Niech ludzie wybierają przywódców spośród siebie.

Podszedł do okna, odsunął zasłony i spojrzał na niebo.

– Wyruszę o pierwszym brzasku, więc nikt nie zauważy...

Patrzył w nieboskłon, nie na ziemię, tylko dlatego go dostrzegł. Kątem oka, ledwie mignięcie. Naznaczony nie zdążył się przyjrzeć, ale jego okolone runami oczy nigdy się nie myliły.

Na dziedzińcu znajdował się demon.

Arlen runął ku drzwiom, zdzierając z siebie szatę i rzucając ją na marmurową podłogę. Elissa otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Arlen, co ty wyczyniasz?! – wykrzyknęła.

Naznaczony zignorował kobietę. Uniósł zasuwę założoną w poprzek dębowych drzwi i pchnął ciężkie skrzydło, jakby nic nie ważyło. Wypadł na dziedziniec, rozglądając się z szaleństwem w oczach.

Nic.

Ragen znalazł się przy drzwiach w chwilę po Naznaczonym. W gotowości trzymał włócznię, ramię chroniła tarcza.

– Coś tam zobaczył? – zawołał.

Naznaczony zatoczył powolny krąg, rozglądając się w poszukiwaniu śladów magii i wyciągając zmysły, by odnaleźć jakikolwiek dowód potwierdzający jego podejrzenia.

– Na dziedzińcu jest demon – rzucił. – Potężny. Nie przekraczaj bariery!

– Raz mógłbyś też zastosować się do własnych rad! – zawołała Elissa. – Wracaj do środka, zanim mi serce stanie!

Naznaczony jednakże nie przerywał poszukiwań. W obrębie murów posiadłości Rageny znajdowały się domy Służących, a także ogród i stajnie. Wiele potencjalnych kryjówek. Mężczyzna przycisnął się w mroku jak myśliwy i rozejrzał. Znakomicie widział w ciemności, lepiej niż w blasku dnia.



W powietrzu wyczuwał obecność, nikły smród, osobliwie niekonkretny i trudny do zidentyfikowania. Naznaczony napiął mięśnie, gotów w okamgnieniu wyzwolić całą swą siłę.

Przeszukał całą posiadłość, ale nie natknął się na żadne ślady demona. Czyżby go sobie wymyślił?

– Masz coś? – zapytał Ragen, gdy Naznaczony powrócił. Mistrz Gildii nadal stał na progu, bezpieczny za barierą, lecz gotów wybiec w każdej chwili na dziedziniec.

– Nic – odparł Arlen, wzruszając ramionami. – Może coś mi się przywidziało.

– Nadmierna ostrożność nocą jeszcze nikomu nie zaszkodziła – uspokoił go Ragen.

Gdy weszli do środka, Naznaczony wyjął włócznię z rąk towarzysza i obejrzał ją dokładnie. Oręż ten był jego zaufanym przyjacielem podczas wędrówki na szlaku i Ragen, choć od niemalże dekady nie pracował jako Posłaniec, nadal starannie ją oliwił i ostrzył.

– Nim odjadę, nakreślę na niej kilka runów wojennych – powiedział Arlen, po raz ostatni zerkając za drzwi. – A rankiem dokładnie zbadam waszą barierę.

Ragen pokiwał głową, a Elissa zapytała:

– Musisz wyjeżdżać tak szybko?

– Przyciągam zbyt wiele uwagi w tym mieście, a nie chcę, by ktokolwiek połączył mnie z wami – odparł Naznaczony. – Będzie lepiej, jak zniknę przed świtem i przekroczyć bramy zaraz po ich otwarciu.

Elissa nie wyglądała na zadowoloną, ale objęła go mocno i ucałowała.

– Obiecuj, że odwiedzisz nas wcześniej niż za dziesięć kolejnych lat – ostrzegła go.

– Daję słowo – przyrzekł Naznaczony.

\* \* \*

Od lat nie czuł się tak dobrze jak w chwili, gdy przed wschodem słońca opuszczał rezydencję Rageny i Elissy. Oboje nie położyli się spać i przez całą noc siedzieli wraz z Naznaczonym, opowiadając mu o tym, co się działo w Miln po jego odejściu. Wypytywali też o wszystko, co wydarzyło się w jego życiu, a dawny podopieczny z chęcią opowiedział im parę historii ze swoich wczesnych podróży. Nie napomknął jednak ani słowem o czasie, który spędził na pustyni, kiedy to umarł Arlen Bales, a narodził się Naznaczony. O tym, co miało miejsce później, również nie wspominał.

I tak zresztą opowieści starczyło aż nadto, by wypełnić resztę nocy. Ledwie się wymknął przed dzwonem oznajmiającym nadejście świtu i zmuszony był klusować kilkaset metrów, by nie zdradzić, że przebywał u Rageny i Elissy. Ludzie bowiem zaczęli już otwierać chronione runami drzwi i okiennice.

Uśmiechnął się. Istniało ogromne prawdopodobieństwo, że przegapienie dzwonu było wielkim marzeniem Elissy, która w ten sposób zmusiłaby gościa do pozostania na kolejny dzień, niemniej żonie Rageny nigdy dotąd nie udało się zamknąć Arlena w klatce.

Strażnicy przy bramie nadal przeciągali się i ziewali, ale wrota stały otworem.

– Dzisiaj wszyscy jakoś wcześniej się zrywają.

Naznaczony zastanawiał się, co oznaczają te słowa, lecz zrozumiał je, dopiero kiedy minął wzgórze, gdzie kiedyś poznał Jaika. I oto ujrzał starego przyjaciela siedzącego na sporym głazie.

– Wygląda na to, że zdążyłem na czas – powiedział Jaik. – Musiałem złamać prawo dotyczące godzin nocnych, by się tu zjawić.

Naznaczony zeskoczył z siodła i podszedł. Jaik nawet nie drgnął – nie podniósł się, ani nawet nie wyciągnął dłoni – więc Arlen po prostu usiadł przy nim na kamieniu.

– Jaik, którego poznałem na tym wzgórzu, nigdy nie złamałby tego akurat prawa.

– Niespecjalnie miałem wybór – wzruszył ramionami Jaik. – Wiedziałem, że będziesz próbował wymknąć się skoro świt.

– Ragen nie przyniósł ci listów ode mnie?

Jaik wyciągnął zwój i rzucił go na ziemię.

– Nie umiem czytać i dobrze o tym wiesz.

Naznaczony westchnął. Całkiem o tym zapomniał.

– Chciałem spotkać się z tobą osobiście – rzekł. – Nie spodziewałem się, że zastanę Mery, a jej nie zależało, bym został.

– Wiem – odparł Jaik. – Przyszła do mnie do młyna, cała zapłakana. Powiedziała mi o wszystkim.

Naznaczony zwiesił głowę.

– Przykro mi.

– I powinno. – Jaik milczał przez chwilę, spoglądając na krajobraz. – Zawsze wiedziałem, że jestem dla niej kimś gorszym, towarem zastępczym – powiedział w końcu. – Dopiero w rok po twoim wyjeździe ujrzała we mnie kogoś więcej niż człowieka, na którego ramieniu można się wyplakać. Minęły dwa kolejne lata, nim zgodziła się zostać moją żoną, a potem jeszcze rok, nim ostatecznie zostaliśmy sobie poślubieni. Nawet tego dnia jednakże wstrzymywała oddech, mając nadzieję, że wpadniesz do Świętego Domu i przerwiesz ceremonię. Na noc, ja chyba również na to liczyłem.

Wzruszył ramionami.

– Trudno ją o cokolwiek winić. Wychodziła za kogoś z niższej klasy, a ja nie jestem ani wykształcony, ani nawet szczególnie urodziwy. Nie chodziłem przecież za tobą bez powodu, gdy byliśmy dziećmi. Zawsze byłeś ode mnie lepszy. Nie nadawałem się nawet, by zostać twoim Minstrelem.

– Jaik, nie jestem od ciebie lepszy – zaprotestował Naznaczony.

– Jasne, teraz to widzę wyraźnie. Jestem lepszym mężem, niż ty mógłbyś zostać. A wiesz dlaczego? Bo w przeciwieństwie do ciebie nigdy jej nie porzuciłem.

Naznaczony skrzywił się, a wszelkie myśli o skrusze uleciały mu z głowy. Zniósłby z ust

Jaika wiele, zniósłby jego gniew i ból, ale protekcyjny ton w jego głosie palił go do żywego.

– Oto Jaik, którego pamiętam – oznajmił. – Pojawia się ni z tego, ni z owego i daje z siebie tak mało, jak tylko się da. Słyszałem, że ojciec Mery musiał pociągnąć za parę sznurków, by było cię stać na wyrzucenie starego dywanu po rodzicach.

Jaik jednakże przemilczał zaczepkę.

– Nigdy jej nie porzuciłem – warknął. – Byłem przy niej zarówno tu – postukał się w czaszkę – jak i tu – pokazał serce. – Ty zaś zarówno myślami, jak i sercem byłeś zawsze gdzieś indziej, daleko, jak najdalej stąd.

Wskazał szerokim gestem horyzont.

– Czemu więc tam nie wrócisz? Po co tu komu Wybawiciel?

Naznaczony pokiwał głową i wskoczył na siodło Nocnego Tancerza.

– Uważaj na siebie, Jaik – rzucił i odjechał.

## Braterstwo pośród nocy

333 ROK PLAGI, WIOSNA

– Hej! Uwaga na te dziury, instrument stroję! – wykrzyknął Rojer, gdy toczący się wolno wóz znów podskoczył na wybojach. Młodzieniec starannie wyczyścił i nawoskował sprezentowane mu przez Naznaczonego skrzypce, kupił też do nich drogie struny w Gildii Minstreli. Poprzednie skrzypce odziedziczył po mistrzu Jaycobie, lecz był to źle wykonany instrument, przez co Rojer musiał bez przerwy go stroić. Jeszcze wcześniej grał na skrzypcach Arricka, które na pewno zaliczały się do zaniejszych instrumentów, ale służyły Minstrelowi od wielu lat i straciły brzmienie, jeszcze zanim roztrzaskał je Jasin Złotogłosy i jego czeladnicy.

Jednakże skrzypce ocalone z zapomnianej ruiny były całkiem innej klasy. Gryf i pudło zostało uformowane w nieco osobliwy sposób i Rojer musiał się do tego przyzwyczaić, ale instrument został wykonany z pietyzmem i zupełnie nie było po nim znać upływu czasu. Tak, oto instrument, na którym można zagrać przed księciem.

– Przepraszam, Rojer – rzekła Leesha. – Ale drogi chyba to nie obchodzi. Zupełnie nie wiem, co w nią wstąpiło.

Rojer pokazał towarzysze język. Kciukiem i palcem wskazującym okaleczonej dłoni obracał delikatnie kołkiem, a palcami drugiej potrącał strunę.

– Mam! – krzyknął w końcu. – Zatrzymaj wóz!

– Rojer, musimy jeszcze pokonać kilka mil przed zapadnięciem zmroku! – napomniwała Leesha.

Minstrel wiedział, że przyjaciółka ciężko znosi każdą chwilę spędzoną z dala od Zakątka. Martwiła się o mieszkańców osady podobnie jak matka o własne dzieci.

– Tylko na chwilę – poprosił.

Leesha pokręciła głową z dezaprobatą, ale ściągnęła wodze. Gared i Wonda również się zatrzymali, przyglądając się z zaciekawieniem parze na wozie.

Rojer stanął na koźle, uniósł skrzypce. Wsunął instrument pod brodę i lekko przeciągnął smyczkiem po strunach. W powietrzu poniósł się donośny dźwięk.

– Posłuchajcie tylko! – zachwycił się. – Płynie i ciągnie się jak miód. W porównaniu z tym cackiem skrzypki Jaycoba wydają się zabawką dla dzieci.

– Skoro tak twierdzisz – westchnęła Leesha.

Rojer zmarszczył brwi, ale natychmiast rozpozgodził się i machnął smyczkiem. Gryf idealnie pasował do jego okaleczonej dłoni, a oba ocalałe palce, rozstawione odpowiednio szeroko dla równowagi, rozpoczęły taniec po strunach. Melodia pomknęła ku niebu i rozkręciła się niczym trąba powietrzna.

Czuł medalion Arricka na piersi, skryty pod pstrokatą tuniką. Nie przywoływał już bolesnych wspomnień, przynosił teraz otuchę, był dla młodego Minstrela sposobem na uhonorowanie wszystkich, którzy za niego umarli. Dzięki temu stał teraz z dumą i odwagą.

Nie był to pierwszy talizman, który nosił. Przez długie lata trzymał w sekretnej kieszonce pstrokatych spodni laleczkę z drewna i sznurków, której główkę wieńczył lok złocistych włosów jego mistrza. Przedtem laleczka przedstawiała jego matkę, a kosmyk był rudy.

Medalion jednakże zastępował je obie. Dzięki niemu Rojer czuł, że zarówno Arrick, jak i rodzice patrzą i nadal czuwają nad synem, gdy przemawiał przez muzykę. Wygrywał na skrzypcach swą miłość, swą samotność i żal. Wszystko, czego nie zdołał przekazać bliskim, gdy żyli.

Gdy wreszcie Minstrel skończył, trójka towarzyszy wpatrywała się w niego bez słowa niczym oczarowane otchłańce. Minęła dłuższa chwila, nim zaczęli potrząsać głowami i odzyskiwać przytomność.

– Nigdy żem czegoś tak pięknego nie słyszała – rzekła Wonda.

Gared chrząknął, a Leesha wyciągnęła chusteczkę, by otrzeć łzy.

Resztę podróży do Zakątka Wybawiciela wypełniła muzyka, gdyż Rojer porywał za skrzypki przy każdej okazji. Wiedział, że we czworo wracają do tych samych problemów, które pozostawili za sobą, ale przecież wieźli obietnicę pomocy od księcia i Gildii Minstrela. Rojer czuł, jak budzi się w nim nadzieja, że wszystkie problemy uda się rozwiązać.

\* \* \*

Od Zakątka dzielił podróźnych jeszcze dzień drogi, gdy nagle na trakcie pojawiły się gromady ludzi. Wielu rozstawiało namioty albo kreśliło kręgi runiczne w pyle drogi. Leesha od razu rozpoznała Laktończyków – co do jednego rośliwych, barczystych i niskich ludzi o okrągłych twarzach. Widać po nich było, że bardziej nawykli do pokładów łodzi aniżeli do wędrowania po stałym lądzie.

– Co się dzieje? – zapytała Leesha pierwszą osobę, która znalazła się blisko wozu. Była to młoda matka, usiłująca uspokoić płaczące niemowlę. Patrzyła pustymi, niczego nierozumiejącymi oczami, jak Leesha zeskakuje z kozła. Młoda matka rozpromieniła się dopiero po dłuższej chwili, gdy rozpoznała fartuch z kieszeniami, uniform Zielarki.

– Proszę, pomóż nam! – poprosiła, wyciągając płaczące dziecko. – On chyba zachorował.

Leesha wzięła dziecko w ramiona i wrażliwymi palcami zbadła puls i temperaturę. Po chwili oparła jego główkę w zgięciu ramienia i wsunęła mu kciuka do buzi. Dziecko natychmiast się uspokoiło i zaczęło intensywnie ssać.

– Nic mu nie jest – powiedziała. – Tylko wyczuwa niepokój mamy.

Kobieta odprężyla się zauważalnie i odetchnęła z ulgą.

– Co się stało? – ponowiła pytanie Leesha.

– Krasjanie – odparła kobieta.

– Na Stwórcę, czyżby tak szybko dotarli do Lakton?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie, rozeszli się po rizońskich wsiach i wprowadzili nowe porządki. Zmuszają kobiety, by zasłaniały twarze, i zabierają mężczyzn, by walczyli z demonami. Przebierają wśród miejscowych dziewcząt w poszukiwaniu odpowiednich żon, zupełnie jak gospodarz, gdy wybiera kurczaki do ubicia, a chłopców zaganiają do obozów ćwiczebnych, gdzie uczą ich nienawiści do własnych rodzin.

Leesha skrzywiła się smutno.

– Wsie nie są już bezpieczne – ciągnęła uciekinierka. – Ci, którzy mogli, uciekli do Lakton, garstka została, by bronić domów, a reszta udała się do Zakątka szukać Wybawiciela. Nie było go tam, ale ludzie mówili, że udał się do Angiers, a więc poszliśmy za nim. On przyniesie nam spokój, ocali ten świat, zobaczycie.

– Wszyscy mamy taką nadzieję – westchnęła Leesha, choć miała wątpliwości. Oddała dziecko i wsiadła na wóz. – Musimy natychmiast wrócić do Zakątka – powiedziała do towarzyszy podróży i spojrzała znacząco na Gareda.

– Z drogi! – ryknął olbrzymi Rębacz i najechał ciężkim rumakiem na tłum, a ludzie rozpierchli się, pośpiesznie zbierając namioty, koce i kręgi runiczne. Leeshy zrobiło się przykro, ale wóz nie mógł przejechać poboczem, a mieszkańcy osady jej potrzebowali.

Gdy podróżni minęli tłumy – a uchodźców były dosłownie tysiące – popędzili ostro konie, ale choć do zmroku pozostało dużo czasu, byli daleko od Zakątka. Wystarczyło jednak, by Leesha spojrzała na Rojera, a Minstrel natychmiast uniósł skrzypce. Jechali przez noc, osłonięci jego cudowną muzyką, a różdżka Leeshy rozpraszała ciemności.

Zielarka widziała demony błakające się na granicy światła, kołyszące się w rytm melodii, zahipnotyzowane.

– Już bym wolała, żeby się na nas rzuciły – stwierdziła Wonda, czuwając z runiczną strzałą na cięciwie wielkiego łuku.

– To nienaturalne – zgodził się Gared.

O północy podróżni dotarli do chaty Leeshy, znajdującej się na obrzeżach Zakątka, ale nie popasali tam długo. Gdy tylko dziewczyna zaniósła najcenniejsze rzeczy do domu, ruszyli przez mrok ku sercu wsi.

Przed ich wyjazdem w Zakątku panował tłok, w tej chwili sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Uchodźcy z Lakton przybyli lepiej wyposażeni – mieli namioty, przenośne kręgi runiczne i wozy pełne zapasów – ale rozbijali obozowiska dosłownie wszędzie, osłabiając moc wielkiego runu.

Leesha odwróciła się ku Garedowi i Wondzie.

– Odnajdźcie pozostałych Rębaczy i oczyśćcie wielki run. Każdy namiot czy wóz znajdujący się w odległości dziesięciu stóp od znaku musi zostać przesunięty, bo na ulicach pojawią się otchłańce.

Oboje pokiwali głową i ruszyli, by wypełnić polecenie, a Leesha zwróciła się do Rojera:

– Znajdź Smitta i Jonę. Chcę się spotkać z radą i nie obchodzi mnie, że ktoś już leży w łóżku.

– Nie muszę chyba pytać, gdzie ty będziesz – rzucił Rojer, po czym nałożył kaptur runicznego płaszcza i zeskoczył z wozu. Dziewczyna zaś skierowała go do małego szpitala.

\* \* \*

Jardir uniósł głowę, gdy Abban wszedł, kuszykając, do sali tronowej.

– Wyglądasz niemalże radośnie, *khaffit*.

– Wiosenne powietrze dodaje mi energii, Shar'Dama Ka – uklonił się Abban.

Stojący u boku Jardira Ashan parsknął głośno. Jayan i Asome milczeli, wiedząc, iż nie należy szydzić z Abbana w obecności ojca.

– Co wiesz o miejscu zwanym Zakątek Wybawiciela? – zapytał Jardir.

– Szukasz Naznaczonego? – odpowiedział pytaniem Abban.

Ashan doskoczył do grubasa i pochwycił go za gardło.

– Gdzie usłyszałeś to imię, *khaffit*?! Jeśli znów przekupiłeś jakiegoś *nie'dama*, by zdradził ci informację, to...

– Dość! – krzyknął Jardir, widząc niemrawy opór Abbana. Gdy *Damaji* zwlekał z wysłuchaniem polecenia, Jardir poderwał się i z całej siły kopnął go w bok. Ashan upadł ciężko na wypolerowaną kamienną podłogę.

– Jestem twoim lojalnym *Damaji*, a mimo to bijesz mnie z powodu tego wieprzajada? – zapytał z niedowierzaniem, gdy odzyskał oddech.

– Uderzyłem cię dlatego, że nie posłuchałeś rozkazu – poprawił go Jardir i potoczył spojrzeniem po reszcie zebranych, po Aleveraku i Majim, Jayanie i Asome, Ashanie, Hasiku, a nawet po strażnikach przy drzwiach. Jedynie Inevera, nadal strojna w przejryste szaty,

wyciągnięta na łożu pełnym jedwabnych poduszek, uniknęła gniewnego spojrzenia Shar'Dama Ka. – Męczy mnie ta zabawa, więc powiem to tylko raz. Zabiję następnego, który odważy się w mojej przytomności zaatakować innego człowieka bez mojej zgody.

Na twarzy Abbana już pojawił się uśmiezek, ale Jardir wbił w niego spojrzenie i warknął:

– A co do ciebie, *khaffit*, jeśli jeszcze raz odpowiesz pytaniem na pytanie, wydrę ci prawe oko i zmuszę, byś je zjadł.

Abban pobladł, a Jardir, nadal wściekły, powrócił na tron i zasiadł na nim ciężko.

– Skąd dowiedziałeś się o człowieku, którego nazywają Naznaczonym? *Dama* musieli przeprowadzić intensywne przesłuchanie, by zmusić Świętego Męża *chin* do wyjawienia tego miana.

Abban pokręcił głową.

– *Chin* o nikim innym nie rozmawiają, Wybawicielu. Wątpię, czy dzięki przesłuchaniom *dama* dowiedzieli się więcej niż ja na ulicy, rozdając kromki chleba lub pochlebstwa.

– Czy wedle twoich rewelacji siedzibą Naznaczonego jest Zakątek Wybawiciela? – skrzywił się Jardir.

Abban przytaknął.

– Co wiesz o tej osadzie?

– Jeszcze rok temu zwano ją Zakątkiem Drwali – powiedział gruby *khaffit*. – Była to niewielka wieś pod rządami księcia Angiers, a jej mieszkańcy zajmowali się ścinaniem drzew na opał i surowiec. Drewna nie da się transportować przez pustynię, więc nie miałem z nimi styczności, choć mam tam jeden kontakt. To wytwórca papieru znakomitej jakości.

– I co dobrego z tego przyjdzie? – prychnął Ashan.

Abban wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo, *Damaji*.

– A co ci wiadomo o osadzie po zmianie jej nazwy? – dopytywał się Jardir.

– Wiem tyle, że ów Naznaczony przybył tam w zeszłym roku, gdy we wsi szalała zaraza i bariery runiczne zaczynały zawodzić. Wiem też, że zabił setki *alagai* gołymi rękami i nauczył wieśniaków *alagai'sharak*.

– Niemożliwe – rzekł Jayan. – *Chin* są zbyt słabi i zbyt tchórzliwi, by rzucić wyzwanie nocy.

– Być może nie wszyscy – stwierdził Abban. – Pamiętajcie o Par'chinie.

Jardir wbił w niego złowrogie spojrzenie.

– Nikt nie pamięta Par'china, *khaffit* – warknął. – Tobie też dobrze by zrobiło, gdybyś o nim zapomniał.

Abban pokiwał głową i uklonił się tak nisko, jak pozwoliła na to jego laska.

– Sam się temu przyjrze – zdecydował Jardir. – A wy pójdziecie ze mną.

Zgromadzeni obrzucili go zaskoczonymi spojrzeniami.



– Hasik, znajdź Shanjata – polecił Jardir. – Każ mu zebrać Włócznie Wybawiciela.

Oddział, na którego czele walczył w Labiryncie, przybrał nowe miano, gdy stał się osobistą gwardią Shar'Dama Ka. Składał się z pięćdziesięciu najlepszych *dal'Sharum* w Krasji, a dowodził nimi *kai'Sharum* Shanjat.

Hasik uklonił się i bezzwłocznie wyszedł.

– Jesteś pewien, że to mądra decyzja, Wybawicielu? – zapytał Ashan. – Niedobrze jest odłączać się od swoich wojsk na ziemiach wroga.

– Ci, którzy toczą *Sharak Ka*, nie wiedzą, czym jest niebezpieczeństwo – rzekł Jardir i położył dłoń na ramieniu Ashana. – Ale jeśli się troskasz, możesz udać się wraz ze mną, mój przyjacielu.

Ashan złożył władcy głęboki ukłon.

– To głupota! – warknął Aleverak. – Wystarczy tysiąc słabeuszy *chin*, by otoczyć i wybić Włócznie Wybawiciela!

– Raczej bym w to wątpił, staruszku – parsknął Jayan.

Aleverak odwrócił się do Jardira, który skinął głową, udzielając mu pozwolenia. Sędziwy *Damaji* złapał Jayana i chłopak niespodziewanie uświadomił sobie, że leży na podłodze.

– Zabiję cię za to, starcze! – warknął, zrywając się na równe nogi.

– Spróbuj szczęścia, chłopcze – zachęcił go Aleverak, przyjmując pozycję *sharusahk* i wabiąc go ku sobie ruchami jedyne ramienia. Młodzieniec warknął, ale w ostatnim momencie zerknął na ojca.

– Ależ proszę – uśmiechnął się Jardir. – Spróbuj go zabić.

Na twarzy Jayana pojawił się paskudny uśmiech, lecz kilka sekund później chłopak znów leżał na podłodze. Aleverak dławił stopą jego gardło, ciągnąc go przy tym za ramię, by wzmocnić siłę nacisku.

– Dość – rzekł Jardir, a Aleverak natychmiast puścił ramię młodzieńca i odsunął się. Jayan zakaszlał i wstał, masując gardło.

– Nawet mój własny syn musi szanować *Damaji*, Jayan – ostrzegł go Jardir. – Na przyszłość pomnij, że lepiej jest trzymać język za zębami.

Następnie odwrócił się do Aleveraka.

– Pod moją nieobecność Lennem Everama będą rządzić *Damaji*, którym będziesz przewodził.

Aleverak zmrużył oczy, zupełnie jakby się zastanawiał, czy protestować przeciw wyprawie przywódcy, czy też nie. W końcu złożył Jardirowi głęboki ukłon.

– Jak Shar'Dama Ka rozkaże. Kto będzie przemawiał w imieniu Kaji do powrotu *Damaji* Ashana?

– Mój syn, *dama* Asukaji – odparł Ashan, skinąwszy na młodego człowieka.

Asukaji nie miał nawet osiemnastu lat, ale był wystarczająco dojrzały, by nosić białą szatę. To zaś oznaczało, że wolno mu również założyć czarny turban, o ile okaże się na tyle

silny, by go utrzymać.

Jardir pokiwał głową.

– Natomiast Jayan, jeśli zachowa pokorę, obejmie funkcję Sharum Ka.

Oczy wszystkich zwróciły się na Jayana, którego twarz zdradzała bezbrzeżne zaskoczenie. Po chwili młodzieniec przyklęknął na jedno kolano, dotykając dłonią posadzki, być może po raz pierwszy w życiu.

– Będę posłuszny Radzie *Damaji*, oczywiście.

Jardir skinął z aprobatą i zwrócił się do Asukajiego i Aleveraka:

– Wy zaś dopilnujcie, by na czas mojej nieobecności pozostałe plemiona kontynuowały podporządkowywanie sobie *chin*. Potrzebuję nowych wojowników na *Sharak Ka*, a nie plemion wadzących się o studnie.

Obaj ukłonili się, a wtedy z poduszek uniosła się Inevera. Jej twarz, przesłonięta przejrzystą woalką, wyrażała spokój.

– Będę rozmawiała z moim mężem na osobności – oznajmiła.

Ashan ukłonił się nisko.

– Oczywiście, *Damajah* – rzekł i wyprowadził zgromadzonych z sali. Pozostał jedynie Asome, który wyprowadzić się nie pozwolił.

– Coś cię dręczy, mój synu? – zapytał Jardir, gdy wszyscy znikli.

– Skoro Jayan ma zostać Sharum Ka na czas twojej nieobecności, to wedle wszelkich praw ja powinienem zostać *Andrahem*.

Inevera zaśmiała się. Asome zmrużył oczy, ale nie odezwał się słowem. Dobrze wiedział, że matki nie wolno drażnić.

– To postawiłoby cię nad twoim starszym bratem, synu – rzekł Jardir. – Nie ma ojca, któremu taka decyzja przyszlaby łatwo. Co więcej, Sharum Ka są wybierani, a *Andrah* to tytuł, na który trzeba sobie zapracować.

– Wezwij więc *Damaji* – wzruszył ramionami Asome. – Pozabijam ich wszystkich, jeśli tego trzeba.

Jardir spojrział synowi w oczy i dostrzegł ambicję, a także zaciekłą dumę, która w istocie mogłaby umożliwić zwycięstwo w pojedynkach, choć każdy groził śmiercią, a przecież Asome nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Nie zawahałby się jednak, gdyby przyszło mu zabić własnych braci lub Asukajiego, najbliższego przyjaciela, a jeśli wierzyć plotkom, również kochanka. Co prawda biała szata zabraniała dzierżyć oręż, ale nieuzbrojony Asome był przeciwnikiem o wiele groźniejszym od Jayana i nawet Aleverak wolał obchodzić się z nim ostrożnie.

Jardir poczuł, jak rośnie w nim duma z syna. Zaczynał już przyzwyczajać się do myśli, że jego drugi potomek okaże się lepszym kontynuatorem jego dzieła niż Jayan, ale na razie chłopak musiał nabrać doświadczenia. Ponadto Jayan jako pierworodny nigdy nie dopuściłby do tego, by prześcignął go rodzony brat.

– Póki żyję, Krasja nie potrzebuje Andraha – rzekł. – Jayan zaś będzie nosił biały turban jedynie podczas mojej nieobecności. Pomożesz Asukajiemu w utrzymywaniu kontroli nad Kaji.

Asome znów otworzył usta, ale Inevera weszła mu w słowo:

– Dość tego. Sprawa jest zamknięta. Zostaw nas samych.

Asome skrzywił się, ale uklonił i wyszedł.

– Któregoś dnia zostanie wielkim przywódcą, o ile przeżyje do tego czasu – powiedział Jardir, gdy za synem zamknęły się drzwi.

– Często myślę to samo o tobie, mężu – rzekła Inevera. Jej słowa zaboląły, ale Jardir zachował milczenie, wiedząc, iż nie ma sensu przerywać żonie. – Aleverak i Ashan mieli rację – ciągnęła. – Nie ma powodu, byś osobiście prowadził tę ekspedycję.

– Czyżby obowiązkiem Shar'Dama Ka nie było zbieranie armii na *Sharak Ka*? – zdziwił się podstępnie Jardir. – Wedle meldunków ci *chin* toczą Świątą Wojnę. Muszę zbadać tę sprawę.

– Mogłeś przynajmniej poczekać z ogłoszeniem decyzji, aż rzucę kośćmi.

– Nie ma sensu, byś rzucała kośćmi za każdym razem, gdy wychodzę z pałacu – burknął Jardir.

– Skąd wiesz, że nie ma sensu? – oburzyła się Inevera. – *Sharak Ka* to nie zabawa. Jeśli mamy zwyciężyć, musimy wykorzystać każdą przewagę.

– Jeśli Everam chce, bym zwyciężył, to niepotrzebne mi inne przewagi. Jeśli zaś Jego wolą jest, bym...

Inevera uniosła sakiewkę z *alagai hora*.

– Proszę, pozwól mi.

Jardir westchnął, ale skinął głową i oboje przeszli do komnaty za salą tronową, którą Inevera uznawała za swoją. Jak zwykle podłogę pomieszczenia pokrywały poduszki, a w powietrzu unosił się zapach kadzideł. Jardir poczuł, jak krew zaczyna żywiej krążyć mu w żyłach, gdyż zapach ten zawsze kojarzył mu się z seksem i z Ineverą. *Jiwah Ka* bez skrępowania dzieliła się przyjemnością, gdy sama była już nasycona, w kwestii pożądania nie różniła się specjalnie od innych kobiet i boczna komnata często stawała się gniazdem miłości, nierzadko gdy *Damaji* i doradcy Jardira oczekiwali w sali tronowej.

Inevera zaciągnęła zasłony, a Jardir przyglądał się jej ciału, doskonale widocznemu pod półprzejrystymi szatami, które od dawna stanowiły jej zwykły strój. Liczyła już sobie ponad czterdzieści lat – nigdy nie zdradziła mu swego prawdziwego wieku – ale i tak była najpiękniejszą z żon Jardira. Piersi nadal miała twarde i kształtne, a skórę niebywale gładką. Kusilo go, by złapać ją i wziąć tu i teraz, ale wiedział, że gdy Inevera zdecydowała się rzucić kośćmi, nie myślała o niczym innym. Gdyby teraz objął żonę, dostałby tylko ostrą reprimendę.

Uklękli na jedwabnych poduszkach i rozsunęli je, by kości miały gdzie upaść. Jak zwykle

Inevera potrzebowała krwi męża, którą upuściła szybkim, oszczędnym cięciem runicznego noża. Oblizła ostrze do czysta i wsunęła je do pochewki za pasem, potem przycisnęła palce do rany Jardira, rozmazała krew na swojej dłoni i ujęła kości. Zajaśniały w mroku, gdy potrząsnęła nimi i rzuciła.

Demoniczne kości rozsypały się po podłodze i Inevera przyjrzała im się szybko. Jardir wiedział, że wzór, w jaki się ułożyły, był równie istotny jak symbole, które ukazywały, ale na tym kończyło się jego pojmowanie. Niejednokrotnie widywał, jak jego żony wyklócały się o znaczenie rzutu, choć żadna nigdy nie kwestionowała interpretacji Inevery.

Damajah syknęła z gniewem, widząc układ, a potem spojrzała ostro na Jardira.

– Nie możesz wyjechać – powiedziała.

Jardir skrzywił się, podszedł do okna i ze złością złapał zasłony.

– Nie mogę? – zapytał i rozsunał ciężkie płachty jednym szarpnięciem. Pokój zalała fala oślepiającego światła słonecznego i Inevera ledwie zdążyła wsunąć kości do sakiewki. – Jestem Shar'Dama Ka – oznajmił. – Nie ma rzeczy, której nie mogę zrobić.

W spojrzeniu Inevery błysnęła wściekłość, którą natychmiast zdławiła.

– Kości zwiastują klęskę, jeśli pojedziesz – ostrzegła żona.

– Dość mam tych twoich kości i podążania za ich wytycznymi – rzekł Jardir. – Tym bardziej że zawsze jakoś mówią ci więcej, niż ty uznajesz za stosowne mi przekazać. Jadę.

– A zatem pojedę z tobą.

– Nie ma mowy. – Jardir pokręcił głową. – Zostaniesz i będziesz czuwać, by nasi synowie nie pozabijali się do mojego powrotu.

Podszedł do żony i złapał ją mocno za ramiona.

– Nim jednak ruszę na północ, chcę po raz ostatni posmakować mojej *Jiwah Ka*.

Inevera zmieniła nieco pozycję i uderzyła go lekko w ramię. Jej cios zdawał się jedynie miękkim pacnięciem, lecz w dłoniach Jardira naraz zabrakło siły. *Dama'ting* wyswobodziła się bez trudu.

– Skoro wyjeżdżasz sam, miłość może poczekać – rzekła z okrutnym uśmiechem. – Będziesz miał jeszcze jeden powód, by powrócić cały i zdrow.

Jardir skrzywił się, ale wiedział, że lepiej jej nie przymuszać. To, że był Shar'Dama Ka i jej mężem, nie miało żadnego znaczenia.

\* \* \*

Wonda otworzyła drzwi, wpuszczając Rojera i Gareda do chaty Leeshy. Odkąd dziewczyna dowiedziała się, że Naznaczony polecił Garedowi strzec Rojera, uparła się, by odgrywać tę samą rolę wobec Leeshy, dlatego co noc spała w jej domu. Zielarka z początku zaczęła przydzielać swojej samozwańczej strażniczce obowiązki, by ją zniechęcić, ale Wonda z ochotą wykonywała przydzielone jej prace, a sama Leesha musiała przyznać w głębi serca,

że przyzwyczała się już do milczącej obecności wysokiej dziewczyny.

– Rębacze skończyli oczyszczanie terenu na kolejny wielki run – rzekł Rojer, gdy zasiedli przy stole i ujęli filiżanki z herbatą. – Zgodnie z twoim życzeniem to miła kwadratowa.

– Dobrze – odparła Leesha. – Możemy więc natychmiast zacząć układanie kamieni, które wyznaczą krawędzie znaku.

– Dookoła pełno drzewnych demonów – wtrącił Gared. – Całe setki tych drani. Czują wyrąb i zlatują się jak muchy do łajna. Pora zebrać ludzi i utoczyć im krwi, zanim zaczniemy budowę.

Leesha spojrzała uważnie na Gareda. Olbrzymi Rębacz zawsze palił się do walki, czego najlepszym dowodem były wysłużone, pogięte rękawice u pasa. Zielarka jednakże nigdy nie miała pewności, czy wielkolud czynił to dla dobra ludzi, czy też przemawiały przez niego żądza krwi i uwielbienie magicznych impulsów, które przenikały ciało podczas walki.

– Ma rację – dodał Rojer, gdy Leesha nie odzywała się przez dłuższą chwilę. – Gdy run zacznie działać, pojawi się ich jeszcze więcej. Będą się miotać na jego skraju, gotowe rozszarpać każdego, kto przez przypadek wyjdzie z kręgu. Lepiej rozprawić się z nimi teraz, na otwartej przestrzeni, niż ścigać je później wśród drzew.

– Tak właśnie postąpiłby Naznaczony – rzekł Gared.

– Naznaczony sam wytlukłby przynajmniej połowę – zaproponowała Leesha. – Ale nie ma go tutaj.

– I dlatego właśnie potrzebujemy twojej pomocy – pokiwał głową Gared. – Przyda się nam dużo piorunowych patyków i płynnego ognia. Bardzo dużo.

– Rozumiem.

– Wiem, że masz mnóstwo spraw na głowie – ciągnął. – Skombinuję ludzi do mieszania, tylko daj nam przepis.

– Chcesz, żebym ci zdradziła sekrety ognia? – Leesha parsknęła śmiechem. – Za skarby świata!

– A co za różnica między ogniem a moim runicznym toporem? – zapytał Gared. – Powierzysz ludziom jedno, ale poskąpisz drugiego?

– Różnica polega na tym, że twój topór nie wybuchnie i nie zniszczy wszystkiego w promieniu pięćdziesięciu stóp, jeśli go upuścisz lub pozostawisz na słońcu – rzekła Leesha. – Tylko moim najlepszym uczennicom przekażę sekrety ognia.

– A zatem mamy wybudować osadę dla uchodźców na ziemi skażonej przez demony? – spytał Gared.

– Planujemy rozbudowę Zakątką, a nie budowę osobnej osady – poprawiła go Leesha. – Ale zgadzam się, demonami trzeba się zająć. Sporządź plan, a jeśli okaże się sensowny, zrobię wszystko, co trzeba. Ale – ostrzegła – będę w pobliżu, by mieć pewność, że żaden głupiec z drewnianym kłosem zamiast mózgu nie podpali siebie lub okolicznych lasów.

– To ryzykowne. – Gared pokręcił głową. – Lepiej, żebyś była w szpitalu. A jeśli ktoś

zostanie ranny?

Leesha skrzyżowała ramiona na piersi.

– To stoczyć swoją bitwę bez ognistej broni – oznajmiła.

– Żaden demon nie tknie pani Leeshy, póki ja jestem w pobliżu, Rębaczu – stwierdziła Wonda, również ze skrzyżowanymi ramionami. – A ja nie mam zamiaru sterczeć w szpitalu.

– Przeprowadzimy akcję za tydzień – zdecydowała Leesha. – To da nam sporo czasu na przygotowanie zarówno terenu, jak i odpowiednich substancji chemicznych. Powiadomcie Benna. Nic się nie stanie, jak demony naładują trochę szkła, zanim pokażemy im słońce.

Ani Gared, ani Rojer nie wyglądali na zadowolonych, ale Leesha wiedziała, że muszą się zgodzić. Może nie była tak subtelna jak księżna Araine, która z pewnością poprowadziłaby rozmowę tak, by mężczyźni doszli do wniosku, iż wszystko to jest ich pomysłem, ale dała sobie radę. Postawiła na swoim. Zapytała się w duchu, czy Bruna aby nie działała w podobny sposób. Niewykluczone, że rządziła Zakątkiem ze swej małej chatynki, lecz nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

\* \* \*

Pięćdziesięciu wojowników galopowało na czarnych pustynnych rumakach za białymi ogierami Jardira i Ashana. Za oddziałem człapał długonogi wielbłąd Abbana, a kupiec starał się nie stracić *Sharum* z oczu. Kawalkada musiała zatrzymywać się kilkakrotnie, by *khaffit* ją dogonił, ale zwykle stawała przy strumieniach, gdzie można było napić rumaki. Strumienie zaś przecinały szlak regularnie, czemu pustynni wojownicy nadal nie przestawali się dziwić.

– Na brodę Everama, jakie te trakty kamieniste! – zajęczał Abban, gdy w końcu dołączył do reszty nad strumieniem. Ledwie wypowiedział te słowa, a już wyleciał z siodła i zajęczał jeszcze głośniejszym głosem, rozmasowując tłuste pośladki.

– Nie rozumiem, po co wlecemy ze sobą tego *khaffit*, Wybawicielu – rzekł Ashan.

– Ponieważ potrzebuję kogoś, kto różni się ode mnie czy od ciebie, a do tego potrafi ruszyć mózgowicą – odparł Jardir. – Abban dostrzega rzeczy, o których inni ludzie nie mają pojęcia, a ja chcę poznać zielone krainy na wylot, jeśli mam je należycie wykorzystać podczas *Sharak Ka*.

Abban narzekał na każdą nierówność terenu i na zimny wiatr, ale Jardir ignorował niekończące się tyrady handlarza bez najmniejszych trudności. Nie pamiętał bowiem, kiedy ostatni raz czuł się tak wolny. Miał wrażenie, że zdjęto mu z barków ogromny ciężar. Nie wiedział, jak długo potrwa wyprawa – a mogła się ciągnąć tygodniami – ale przez cały ten czas Jardir odpowiadał jedynie za Abbana, Ashana i swą pięćdziesiątkę zaprawionych w bojach *dal'Sharum*. W głębi duszy marzył, by gnać tak przez całą wieczność, jak najdalej od polityki związanej z *chin*, *Damaji* i *dama'ting*.

Wojownicy natknęli się na grupy uchodźców, które pierzchały na ich widok, ale Jardir nie

zamierzał ich gonić. Nikt z *chin* nie miał bowiem konia, a wszyscy obawiali się podróżować przez noc, nie było zatem niebezpieczeństwa, iż wyprzedzą Jardira i zaalarmują Zakątek. Nikt z nich też nie miał śmiałości, by zaatakować Włócznie Wybawiciela. Nawet otchłańce w mroku nocy schodziły im z drogi, albowiem Jardir ani myślał rozbijać obóz po zmroku. Od zachodu słońca Abban potrafił dotrzymać kroku reszcie i jechał w samym środku oddziału, nic sobie nie robiąc z kpin wojowników.

Podczas jednej z takich nocy *dal'Sharum* dotarli do Zakątki. Z dala słyszeli echo dzikich wrzasków, którym towarzyszyły odgłosy przypominające uderzenia pioruna oraz ogromne, oślepiające rozbłyski.

Natychmiast zwolnili, a Jardir wjechał między drzewa, by sprawdzić źródło hałasu. Wojownicy ruszyli w ślad za nim. Wkrótce dotarli na skraj wielkiej poręby, gdzie *chin* rozgrywali północną wersję *alagai'sharak*.

Z okopów buchały szalejące płomienie, bez ustanku błyszcząły też runy, przez co nad polem bitwy było jasno jak w dzień. Oczom *dal'Sharum* ukazały się stosy martwych *alagai*. Płomienie i bariery runiczne układały się w gigantyczną pułapkę – demony, które do niej wpadały, trafiały na wojowników gotowych porąbać stwory na kawałki.

– Przygotowali pole bitwy – zadumał się Jardir.

Abban rozejrzał się, znalazł odpowiedni kawałek terenu, z juków wyciągnął przenośny krąg i uwiązawszy wielbłąda, zaczął rozkładać barierę.

– Nawet wśród tyłu wojowników musisz się kryć za runami jak tchórz? – zapytał go Jardir.

Abban wzruszył ramionami.

– Jestem *khaffit* – stwierdził po prostu. Jardir tylko parsknął i odwrócił się, by oglądać walkę ludzi z Północy.

W przeciwieństwie do *chin* z Lenna Everama ci byli wysocy i potężnie zbudowani. Najroślejsi z nich dzierżyli wielkie runiczne topory i kilofy miast włócznie i tarcz. Dorównywali wzrostem drzewnym demonom i ścinali je niczym młode drzewka.

Dzielnie stawali, ale mieli przeciwko sobie setki potworów. Wszystko wskazywało na to, że lada chwila mieszkańcy Północy zostaną pokonani i zaleje ich fala demonów, ale wówczas rozproszyli się nieoczekiwanie, schodząc z linii strzału szeregom łuczników.

Jardir aż rozdziawił usta na widok strzelców w długich sukniach, preferowanych przez kobiety z Północy. Łuczniczki odsłaniały bezwstydnie twarze i dekolty niczym ostatnie ładacznice.

– Ich kobiety walczą w *alagai'sharak*? – zdumiał się Ashan.

Jardir wyteżył wzrok i przekonał się, że kobiety znajdowały się także wśród walczących wręcz.

Jednak szczególną uwagę przyciągał pewien olbrzym, wyróżniający się rozmiarami nawet wśród pobratymców, który nieustraszenie wiódł każde natarcie z rykiem niosącym się

echem na długie mile. W jednej dłoni dzierżył ogromny topór, a w drugiej maczetę, którą wymachiwał bez wysiłku, niczym kozikiem.

Któryś z jego towarzyszy padł na kolana, zwalony ciosem drzewnego demona wzrostu ośmiu stóp. Potwór już uniósł szpony, by dobić człowieka, gdy wpadł na niego ów olbrzym, uprzedzając śmiertelny cios. Mężczyzna stracił broń, ale nie miało to znaczenia, gdyż demon dostrzegł go i zaatakował. *Chin* złapał go jedną ręką, a drugą uderzył. Błysnęły runy, demon zatoczył się bezwładnie. Jardir dostrzegł, że olbrzym ma ciężkie rękawice ze znaczonego runami metalu.

Wielkolud nie dał drzewnemu stworowi czasu na odzyskanie przytomności, doskoczył i zaczął tłuc demona po łbie, aż ten znieruchomiał. Zbryzgany czarną posoką, olbrzym zarzucił w niebo. Rozjuszony, ze zmierzwioną jasną czupryną i gęstą brodą, przypominał teraz lwa nad upolowaną zdobyczą.

Doskoczył doń kolejny demon, ale drogę zastąpił mu szczupły, rudowłosy chłopak o bladej cerze, odziany niczym *khaffit* w strój z różnokolorowych łątek. Młodzieniec uniósł jakiś instrument i wy dobył z niego ostry, nieprzyjemny dźwięk. *Alagai* złapał się za łeb i wrzasnął z bólu. Chłopak nie przestawał grać i demon rzucił się do ucieczki, prosto na innego *chin*, gotowego do ciosu toporem.

– Na brodę Everama – szepnął Abban.

– Cóż to za magia? – zapytał Ashan.

– Musimy się tego dowiedzieć – zgodził się Jardir.

– Pozwól mi zabić tego olbrzyma i przyprowadzić ci chłopaka, Wybawicielu! – poprosił Hasik, w którego oczach już zapłonął dziki blask, jak zwykle przed bitwą.

– Nic nie rób – nakazał Jardir. – Jesteśmy tu po to, by się uczyć, a nie by walczyć.

Był pewien, że odpowiedź nie przypadła jego ludziom do gustu, ale niewiele go to obeszło, bo niespodziewanie jego uwagę przykuły kolejne dwie postaci. Kobiety. Jedna zamiast broni niosła niewielki koszyk. Druga, o wiele wyższa i odziana po męsku, dzierżyła łuk, a na jej twarzy widniały ślady po szponach demona.

Obie miały na sobie piękne płaszcze z wyhaftowanymi setkami runów. Szły przez pole bitwy bez przeszkód – *alagai* nie atakowały ich, a rodacy z szacunkiem schodzili z drogi.

– Są niewidzialne dla *alagai*, zupełnie jakby nosiły Płaszcz Kajiego – rzekł Ashan.

Pazury któregoś z demonów rozszarpały pierś jednego z walczących. Padł z krzykiem, upuszczając topór. Odziane w płaszcze kobiety pobiegły mu na pomoc. Wyższa wpakowała w demona strzałę, a niższa, szczuplejsza, uklękła przy rannym i odrzuciła kaptur. Jardir ujrzał jej twarz.

Urodą przewyższała nawet Ineverę. Jej skóra była jasna niczym mleko, tworząc piękny kontrast z włosami, czarnymi niczym pancerz skalnego demona. Na oczach Jardira rozdarła koszulę wojownika i zabrała się do opatrywania rany, podczas gdy osłaniająca ją łuczniczka kładła każdego *alagai*, który ośmielił się zbliżyć.



– Północna wersja *dama'ting*? – odgadł Jardir.

– Chyba raczej jej pogańska parodia – stwierdził Ashan.

W chwilę później piękna kobieta wydała towarzysze jakieś polecenie, a ta zarzuciła łuk na plecy i uniosła rannego w ramionach. Drogę powrotną zastąpiła im horda *alagai*, ale *dama'ting* z Północy sięgnęła w głąb sakwy i w jej dłoni błysnął ogień. Kobieta bez wahania podpaliła wyjęty przedmiot, a potem cisnęła nim prosto w demony. Potężna eksplozja zmiotła potwory z jej drogi i rozrzuciła dookoła ich martwe ciała.

– Może i pogańska – rzekł Jardir. – Ale ma moc.

– Ci mężczyźni muszą być tchórzami jeszcze gorszymi od *khaffit*, skoro pozwalają, by kobiety ratowały ich z opresji – stwierdził Shanjat. – Wolałbym umrzeć na polu bitwy.

– Nie – powiedział Jardir. – To my jesteśmy tchórzami, bo kryjemy się w ciemnościach, podczas gdy *chin* toczą *alagai'sharak*.

– To nasi wrogowie – rzekł Ashan.

Jardir pokręcił głową.

– Być może w blasku dnia, ale w nocy wszyscy ludzie są braćmi.

Po czym opuścił przesłonę na twarz, uniósł włócznię i wydał okrzyk bitewny, spinając konia.

*Dal'Sharum* zawahali się przez moment zaskoczeni, ale zaraz odkrzyknęli i rzucili się za przywódcą.

\* \* \*

– Krasjanie! – wrzasnęła Merrem, żona rzeźnika, a Rojer ze zdumieniem uniósł głowę. Nie myliła się. Spora formacja odzianych na czarno jeźdźców gnała przez polanę, wymachując włóczniami i wyjąc triumfalnie. Krew ścięła się Rojerowi w żyłach, a smyczek ześlizgnął ze strun.

O mały włos nie pożegnałby się z życiem. Jakiś demon runął do ataku, ale w ostatniej chwili pojawił się Gared i odrąbał potworowi ramię maczetą.

– Uwaga na demony! – ryknął głośno, by wszyscy Rębacze go usłyszeli. – Kto spuści Krasjanom lanie, jeśli otchłańce odwalą za nich całą robotę?

Szybko jednak okazało się, że Krasjanie nie mają zamiaru atakować mieszkańców Zakątka. Prowadzeni przez męża w białym turbanie, uzbrojonego w runiczną włócznię, która wyglądała, jakby wykonano ją z wypolerowanego srebra, rzucili się na drzewne demony z impetem watahy wilków wpadającej do kurnika, siejąc spustoszenie z podziwu godną sprawnością. Ich przywódca sam rzucał się w największe roje nieprzyjaciół, lecz jego brak lęku miał swe uzasadnienie, gdyż zabijał je równie skutecznie jak Naznaczony. Ramiona Krasjanina poruszały się z nieludzką wprost prędkością, a wirująca włócznia niemalże zniknęła w jego dłoniach.

Pozostali wojownicy uformowali kliny, chroniąc się nawzajem tarczami, i parli przez pole bitwy, kosząc otchłańce jak żyto. Na czele jednej z tych grup szedł mąż w nieskazitelnie białej szacie, która tworzyła ostry kontrast z czernią szat pozostałych. Nie nosił żadnej broni, lecz mimo to kroczył bez lęku. Kiedy skoczył na niego demon, mąż w bieli usunął się płynnym ruchem i odepchnął sprawnie potwora. Ten stracił równowagę, przetoczył się i wpadł pod włócznie innych Krasjan.

Inny ciął pazurzastymi łapami, lecz mąż w bieli wychylił się najpierw w prawo, potem w lewo, z gracją unikając ciosów. Demon zamierzył się po raz trzeci, lecz człowiek pochwycił go za nadgarstek i przekręcił, wykorzystując siłę stwora przeciwko niemu. Demon wylądował na plecach, a któryś z Krasjan od niechcenia przeszył go włócznią.

Rojer wraz z resztą mieszkańców Zakątka zakładali, że wybijanie demonów potrwa całą noc, i wyznaczili posiłki, które miały zastąpić zmęczonych wojowników.

Po przybyciu Krasjan bitwa skończyła się w ledwie parę minut.

\* \* \*

Po śmierci ostatniego demona Krasjanie i mieszkańcy zielonych krain zamarli naprzeciwko siebie, mierząc się zaskoczonymi spojrzeniami. Nadal nie wypuszczali broni z garści, jakby nie wiedzieli, czy bitwa dobiegła końca, ale nikt nie ośmielił się zaatakować jako pierwszy. Wszyscy czekali na rozkaz dowódcy.

– *Chin* obserwują nas jednym okiem – powiedział JarDir do Ashana.

– Tak, a drugim spoglądają na tego olbrzyma i rudowłosego *khaffit*, który budzi przerażenie w *alagai* – potwierdził Ashan.

– Ci jednakże są równie zaskoczeni jak reszta – zauważył JarDir.

– A zatem nie są prawdziwymi przywódcami – doszedł do wniosku Ashan. – To *kai'Sharum* lub ich pogański odpowiednik. Ten gigant może nawet być ich *Sharum Ka*.

– Tak czy owak, zasługują na szacunek – stwierdził JarDir. – Chodźmy.

Wsunął włócznię do tulei na ramieniu i podszedł do obu *chin*, unosząc puste dłonie na znak pokojowych intencji. Stanąwszy przed nimi, wykonał uprzejmy ukłon.

– Jestem Ahmann, syn Hoshkamina z linii JarDira, syna Kajiego – powiedział w perfekcyjnym thesańskim. Oczy obu *chin* błysnęły, jakby go rozpoznały. – To zaś jest *Damaji* Ashan.

Wskazał Ashana, który w ślad za swym przywódcą również wykonał płytki ukłon i rzekł uprzejmie:

– Jestem zaszczycony.

Mieszkańcy zielonych krain spojrzeli po sobie z zaciekawieniem. Rudowłosy wzruszył w końcu ramionami i olbrzym rozluźnił się wyraźnie. JarDir z zaskoczeniem zrozumiał, że z tych dwóch to chłopak zajmuje wyższą pozycję.

– Ja jestem Rojer, syn Jessuma z Gospody w Rzeczułce – rzekł rudowłosy, odrzucając połę pstrokatego płaszcza. Jedną nogę wysunął do przodu, drugą cofnął i wykonał ukłon na miejscową modłę.

– Gared Rębacz – przedstawił się olbrzym. – Ten tego... Syn Steave’a.

W pierwszej chwili okazał się człowiekiem jeszcze mniej cywilizowanym od rudzielca, gdyż po prostu zrobił krok do przodu i wyciągnął prawicę tak szybko, iż Jardir o mały włos nie złapał go za nadgarstek i nie złamał mu ręki. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że olbrzym zwyczajnie chce mu podać dłoń. Ucisnął ją mocno, zapewne w ramach prymitywnego testu męskości, a Jardir odwzajemnił uścisk, aż obaj poczuli, jak trzeszcza im kości. W końcu puścili swe dłonie, a olbrzym skinął głową z szacunkiem.

– Shar’Dama Ka, nadchodzą kolejni *chin* – odezwał się Ashan po krasjańsku. – Widzę wśród nich tego heretyckiego kleryka i uzdrowicielkę.

– Nie życzę sobie mieć w tych ludziach wrogów, Ashan – rzekł Jardir. – Mogą sobie być poganami, ale będziemy traktować ich z szacunkiem, jakby byli *dama* i *dama’ting*.

– Mam również obmywać stopy ich *khaffit*? – zapytał Ashan z niesmakiem.

– Tak, jeśli wydam ci taki rozkaz – odparł Jardir, kłaniając się nisko nowo przybyłym. Rudzielec podszedł, by ich sobie przedstawić. Jardir uklonił się miejscowemu Świętemu Mężowi, lecz natychmiast zapomniał jego imienia, gdy spojrzał na kobiety.

– Pani Leesha, córka Erny’ego – przedstawił ją Rojer. – Zielarka Zakątka Wybawiciela.

Leesha rozłożyła suknie i dygnęła, a Jardir odkrył, że nie może oderwać wzroku od jej dekoltu, pięknie wyeksponowanego, gdy się podnosiła. Spojrzała mu śmiało w oczy i z zaskoczeniem odkrył, iż są one błękitne niczym niebo.

Tknięty impulsem, ujął jej dłoń i ucałował. Wiedział, że to odważny gest, zwłaszcza wobec nieznanym, ale powiadano, że Everam zawsze sprzyjał odważnym. Leesha aż westchnęła, zaskoczona gestem, a jej blade policzki lekko poczerwieniały. O ile było to w ogóle możliwe, wyglądała na jeszcze piękniejszą niż przed chwilą.

– Dziękuję wam za wsparcie – powiedziała, wskazując ruchem głowy setki trupów *alagai* na polanie.

– W nocy wszyscy ludzie są braćmi – odparł Jardir z ukłonem. – Walczymy zjednoczeni.

– A za dnia?

– Wygląda na to, że na Północy kobiety zajmują się nie tylko walką – mruknął Ashan po krasjańsku.

– Moim zdaniem, za dnia ludzie również powinni się zjednoczyć – uśmiechnął się Jardir. Leesha zmrużyła oczy.

– Zjednoczeni pod twoim przywództwem?

Jardir poczuł, jak atmosfera niespodziewanie stężała, a Ashan i mężczyźni z zielonych krain napięli mięśnie. Odczuł, że poza nimi dwojgiem – nim i Zielarką – nikt inny się nie liczy. Tylko oni dwoje byli w stanie zdecydować, czy czarna posoka demonów na polu

bitwy nie zostanie spryskana czerwoną krwią ludzi.

Jardir jednakże nie obawiał się tego, gdyż odniósł wrażenie, iż to spotkanie od dawna stanowiło element jego przeznaczenia. Bezradnie rozpostarł dłonie.

– Jeśli taka będzie wola Everama, być może któregoś dnia tak się stanie – rzekł i znów się uklonił.

W kąciку ust Leeshy błąkał się uśmiech.

– Przynajmniej jesteś szczerzy. Dobrze, że noc jest jeszcze młoda. Czy wraz ze swoimi doradcami przyjmiecie zaproszenie na herbatę?

– Byłby to dla nas zaszczyt – rzekł Jardir. – Czy moim wojownikom będzie wolno rozstawić namioty i rozkulbaczyć konie na polanie?

– Po przeciwnej stronie. Po tej wciąż mamy sporo pracy do wykonania.

Jardir spojrział na nią z zainteresowaniem, a potem zauważył gromadę miejscowych, która pojawiła się na polu bitwy po zakończeniu walk. Byli to mężczyźni drobniejsi i słabsi od toporników, których Shar'Dama Ka widział przed chwilą w akcji. Nowo przybyli zajęli się zbieraniem drobnych, błyszczących przedmiotów z ziemi.

– Co oni robią? – zapytał, choć tak naprawdę nie interesowało go, czym zajmują się północni *khaffit*. Chciał tylko znów usłyszeć głos Leeshy.

Zielarka rozejrzała się, a potem pochyliła, by podnieść zatkaną szklaną butelkę, którą podała Jardirowi. Było to udane, zgrabne naczynie, piękne w swej prostocie.

– Rozgnieć ją tępym końcem swojej włóczni – powiedziała.

Jardir zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, dlaczego ma zniszczyć tak piękny przedmiot, ale doszedł do wniosku, iż może to jakaś forma rytuału przyjaźni. Wysunął Włócznię Kajiego z tulei i spełnił prośbę, lecz koniec włóczni odskoczył od butelki z głośnym brzęknięciem. Szkło pozostało nietknięte.

– Na brodę Everama! – wymamrotał Jardir. Spróbował rozbić butelkę jeszcze kilkakrotnie, ale naczynie pozostawało odporne na ciosy. – Niezwykłe!

– Runiczne szkło – oznajmiła Leesha, podając mu butelkę.

– Dar godny księcia – zauważył Ashan po krasjańsku. – Przynajmniej potrafia okazać szacunek.

Jardir pokiwał głową.

– Nasze ludy mogą się wiele od siebie nauczyć, jeśli utrzymamy pokój nie tylko w nocy, ale również i za dnia – stwierdziła Leesha.

– Zgadzam się – odparł Jardir, patrząc jej w oczy. – Omówimy to oraz inne sprawy przy herbacie?

\* \* \*

– Widziałeś jego koronę? – zapytała Leesha.

– Widziałem – potwierdził Rojer. – Widziałem też jego metalową włócznię. To ten, o którym mówili Marick i Naznaczony.

– Wszystko na to wskazuje – przyznała Leesha. – Co do tej korony, Naznaczony nosi te same runy na własnym czole.

– Naprawdę? – Rojer był zaskoczony.

Leesha kiwnęła głową i dodała szeptem przeznaczonym tylko dla jego uszu:

– Coś mi się nie wydaje, by Arlen powiedział nam wszystko na temat tego człowieka.

– Nie mogę uwierzyć, że zaprosiłaś go na herbatę – stwierdziła Wonda.

– A może miałam mu zamiast tego napluć do oka? – zadrwiła Leesha.

– Albo kazać mi go zastrzelić – odgryzła się Wonda. – Ten człowiek zabił połowę mieszkańców Rizon i kazał swoim ludziom zgwałcić każdą płodną kobietę w księstwie!

Wonda urwała nagle i odwróciła się ku Leeshy.

– Masz zamiar podać mu jakiś narkotyk, tak? – szepnęła z błyszczącymi oczami. – A potem weźmiesz Krasjan do niewoli?

– Nie mam najmniejszego zamiaru! Wszystko, co wiemy o tym człowieku, to plotki i pogłoski. Jedno jest pewne, wraz ze swoimi ludźmi pomógł nam usiec dwieście drzewnych demonów. Należy go traktować jak gościa, dopóki swoimi czynami nie da nam do zrozumienia, że trzeba rozmawiać z nim inaczej.

– Nie wspomnę też, że porwanie krasjańskiego Wybawiciela byłoby najpewniejszym sposobem na ściągnięcie pustynnej armii do Zakątka – wtrącił Rojer.

– Właśnie, nie zapomnijmy również i o tym – zgodziła się Leesha. – Poproś Smitta, by opróżnił główną izbę, musimy zwołać radę. Niech wszyscy ujrzą na własne oczy i osądzą tego rzekomego demona pustyni.

– Nie jest tym, kogo spodziewałem się ujrzeć – rzekł Opiekun Jona.

– Uprzejmy jak diabli – zgodził się Gared. – Ale to tylko pozory, zupełnie jak u służących w pałacu księcia.

– To nie pozory, Gared, to się nazywa maniery – skwitowała Leesha. – Tobie i twoim chłopakom przydałoby się kilka lekcji.

– To, co powiedział Gared, nie jest pozbawione sensu – zauważył Rojer. – Spodziewałem się potwora, a nie uśmiechniętego księcia ze starannie utrefioną brodą.

– Wiem, co masz na myśli – odparła Zielarka. – Z całą pewnością nie spodziewałam się, że będzie taki przystojny.

Jona, Rojer i Gared stanęli jak wryci. Leesha przeszła jeszcze kilka kroków i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nikt jej nie towarzyszy. Odwróciła się i napotkała niedowierzające spojrzenia. Nawet na twarzy Wondy odmalowało się zdziwienie.

– Co takiego? – zapytała.

– Po prostu udamy, że tego nie powiedziałaś – odezwał się Rojer i ruszył przed siebie, a reszta poszła za nim. Leesha pokręciła głową i dołączyła do towarzyszy.

\* \* \*

– Ci ludzie z zielonych krain są gorsi, niż sądziliśmy – powiedział Ashan, gdy wracali z Jardirem do oddziału. – W głowie mi się nie mieści, że przyjmują polecenia od kobiety.

– Ale jakiej kobiety! – wykrzyknął przywódca. – Potężnej, egzotycznej i pięknej jak świt.

– Ubiera się jak ladacznica. Powinieneś był ją zabić choćby za to, że ośmieliła się spojrzeć ci w oczy.

Jardir syknął i machnął dłonią, jakby odpędzał urok.

– Za zabicie *dama'ting* grozi śmierć.

– Proszę o wybaczenie, Shar'Dama Ka, ale ona nie jest *dama'ting* – zaproponował Ashan. – To poganka. Wszyscy ci miejscowi to niewierni, modlą się do fałszywego boga!

– Czczą Everama, choć nie zdają sobie z tego sprawy – pokręcił głową Jardir. – Są tylko dwa Boskie Prawa w Evejah: Czczij jednego Boga i tańcz *alagai'sharak*. O ile plemię przestrzega tych zasad, może trzymać się własnych zwyczajów. Ludzie z zielonych krain nie różnią się od nas tak bardzo. Po prostu ich zwyczaje wydają nam się obce.

Ashan otworzył usta, by zaprotestować, ale rzuciwszy spojrzenie na Jardira, zrozumiał, że dyskusja dobiegła końca.

– Oczywiście, skoro tak rzecze Shar'Dama Ka, musi to być prawda.

– Rozkaż *dal'Sharum* rozbić obozowisko – polecił Jardir. – Potem razem z Hasikiem, Shanjatem i Abbanem idziecie ze mną na herbatę.

– Bierzemy tego *khaffit*? – skrzywił się Ashan. – Nie jest godzien zasiadać wśród mężczyzn.

– Lepiej włada ich językiem niż ty, mój przyjacielu – rzekł Jardir. – A Hasik i Shanjat ledwie znają podstawowe zwroty. To najważniejszy powód, dla którego chcę go zabrać. Jego pomoc na zebraniu okaże się nieoceniona.

\* \* \*

Przed przybyciem Krasjan wokół tawerny zgromadziło się chyba całe miasto. Leesha pozwoliła na udział w spotkaniu jedynie członkom rady oraz ich małżonkom, ale jeżeli doliczyć Smitta wraz ze sporą gromadą dzieci i wnuków, które usługiwały podczas spotkania, miejscowi liczebnie przewyższali Krasjan.

Tłum zebrany pod karczmą zaszemrał groźnie na widok Jardira.

– Wracaj na swoje piaski! – wykrzyknął ktoś, a wiele głosów burknęło z aprobatą.

Jeśli Krasjanie się tym przejęli, nie dali tego po sobie poznać. Kroczyli przez tłum z wysoko uniesionymi głowami, nie okazując strachu. Tylko jeden, otyły mężczyzna w barwnych szatach, wspierający się na lasce, przyglądał się mieszkańcom Zakątka z obawą. W

drzwiach tawerny stanęła Leesha, gotowa wybiec, gdyby tłum zaczął okazywać wrogość.

– Miałas rację, jest przystojny – szepnęła Elona do córki.

Zaskoczona Leesha podniosła wzrok.

– A kto ci to powiedział? – zapytała.

Elona jedynie się uśmiechnęła.

– Witajcie – powiedziała, gdy Jardir podszedł bliżej.

Obie z matką dygnęły w identyczny sposób. Jardir spojrzał na Elonę, a potem na Leeszę. Nie sposób było przeoczyć podobieństwo, które zdradzało bliskie więzi pokrewieństwa.

– To twoja... siostra? – zapytał Jardir.

– To moja matka, Elona – przedstawiła ją Leesha i zaraz przewróciła oczami, gdy matka zachichotała i pozwoliła Jardirowi ucałować swą dłoń. – A to mój ojciec, Ernal.

Jardir uklonił się, a potem gestem wskazał ludzi stojących za nim.

– Pozwólcie, że przedstawię moich doradców. *Damaji* Ashana już poznaliście. Oto *kai'Sharum* Shanjat i mój osobisty ochroniarz, *dal'Sharum* Hasik.

Wojownicy złożyli ukłon, a Jardir stanął w jednej linii z nimi, by kontynuować prezentację. Nawet nie wspomniał o ostatnim, piątym członku świty, który tak bardzo różnił się od reszty. Był bowiem otyły, podczas gdy pozostali przybysze nie mieli grama zbędnego tłuszczu. Nosił barwne szaty niczym Minstrel, a nie ponure, w jednolitych kolorach. I w przeciwieństwie do silnych i sprawnych wojowników wspierał się na lasce tak ciężko, iż zapewne bez niej nie mógłby się poruszać.

Leesha otworzyła usta, by go powitać, gdy wchodził do tawerny, ale ten nawet jej nie zauważył. Odnalazł wzrokiem jej ojca i uklonił się przed nim.

– Miło mi cię wreszcie poznać, Ernalu z Zakątka.

– Czy my się znamy? – Erny spojrzał na niego z zaintrygowaniem.

– Jestem Abban am'Haman am'Kaji – przedstawił się przybysz.

– Kiedyś... – zawahał się Erny. – Kiedyś sprzedawałem ci papier! Tak, już sobie przypominam. Ostatnie zamówienie dla ciebie wciąż zalega u mnie w sklepie. Czekałem na zapłatę, ale Posłańcy przestali przybywać z Rizon.

– Sześćset arkuszy z kwiecistym wzorem twojej córki, jak sądzę – rzekł Abban.

– Na noc, to miało być dla ciebie? – wykrzyknęła Leesha. – Zdajesz sobie sprawę, ile godzin śleczalam nad tymi arkuszami? A teraz leżą w suszarni niczym... niczym kompost!

Jardir wyrósł przy nich w jednej chwili, przerwawszy przedstawianie się Smittowi, jakby nie miało to dlań najmniejszego znaczenia.

– Czym uraziłeś naszych gospodarzy, *khaffit*? – zapytał ostro.

Abban uklonił się tak nisko, jak pozwalała mu laska.

– Wygląda na to, że jestem winien jej ojcu trochę pieniędzy, Wybawicielu, za papier, który przygotował dla mnie ze swoją córką parę lat temu. Nie zdołałem go odebrać, po tym jak zamknięto granicę.

Jardir warknął i uderzył go kilkakrotnie otwartą dłonią.

– Zapłacisz im trzykroć tego, co jesteś winien, i to natychmiast! – wykrzyknął.

Abban jęknął i przewrócił się na ziemię, plując krwią.

Leesha odepchnęła Jardira i przypadła do Abbana. Próbował się wyrwać, ale pochwyciła jego głowę, ujęła mocno i zbadala leżącego. Miał rozciętą wargę, ale nie na tyle, by wymagało to szycia.

Zielarka podniosła się szybko i wbiła w Jardira wściekłe spojrzenie.

– Co w ciebie wstąpiło, na Otchłań?

Na twarzy mężczyzny znać było szok, zupełnie jakby Leeshy nagle wyrosły rogi.

– Przecież to tylko *khaffit* – wyjaśnił. – Cherlak bez honoru!

– Nie interesuje mnie, kim on jest! – warknęła Leesha. Stała tak blisko Jardira, iż ich nosy niemalże się stykały, a jej oczy płonęły furją. – Jest gościem pod naszym dachem, podobnie jak ty, i jeśli chcesz, by tak pozostało, zacznij się zachowywać po ludzku i trzymaj łapy przy sobie!

Jardir stał oszołomiony. Jego doradcy, równie zaskoczeni, wpatrywali się w przywódcę, nie wiedząc, jak zareagować. Wojownicy stężeli, jakby gotowali się do chwycenia za włócznie, które nosili na plecach, a Leesha już ścisnęła garść oślepiającego proszku, na wypadek gdyby musiała zaatakować.

Jardir przerwał jednak napięcie – odwrócił wzrok i cofnął się, wykonując głęboki ukłon.

– Oczywiście masz rację. Przepraszam za ów pożałowania godny pokaz gwałtowności – rzekł, po czym odwrócił się do Abbana. – Odkupię od ciebie te stronice po trzykrotnie większej cenie niż ta, którą musisz zapłacić jej ojcu – oznajmił głośno, nie spuszczać wzroku z Zielarki. – Wszystko, co jest tak cenne dla pani Leeshy, w istocie musi być skarbem.

Abban dotknął czołem podłogi przed nim, a potem wsparł się na swej lasce, usiłując wstać. Erny podbiegł, by go podeprzeć, choć nie był roslym mężczyzną i niezbyt mógł pomóc człowiekowi tak ciężkiemu jak Abban.

Jardir zaś uśmiechnął się do Leeshy, promieniejąc dumą, jakby w istocie wierzył w to, że bogactwem zaimponował jej bardziej niż pokazem przemocy.

– Może i jest przystojny, ale to nadęty osioł – mruknęła do Rojera.

– Może – zgodził się Rojer. – Ale ów nadęty osioł może zmiażdżyć Zakątek jak robaka.

– Nie byłabym tego taka pewna – skrzywiła się Leesha.

\* \* \*

– Kobiety na Północy są ze stali – stwierdził Hasik po krasjańsku, gdy poprowadzono ich do jednego ze stołów, wokół którego rozstawiono twarde ławki, co w zielonych krainach stanowiło tradycję.



– Nasze też – odparł Jardir. – Lecz ukrywają to pod szatami.

Wszyscy, nie wykluczając Abbana, parsknęli śmiechem i nikomu nie przyszło do głowy, by zaprzeczyć.

Herbata została podana przez dzieci, które przyniosły również tace z twardymi sucharami. Miejscowy Święty Mąż odchrząknął i wszyscy skupili na nim uwagę. Ashan obserwował go jak dziki drapieżnik gryzonia. Duchowny poblądł pod tym spojrzeniem, ale kontynuował.

– Nasz zwyczaj nakazuje pomodlić się przed posiłkiem – oznajmił.

Elona prychnęła, a Jona obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Jardir zdumiał się nieuprzejmością kobiety.

– Przestrzegamy podobnego zwyczaju, Opiekunie – powiedział z ukłonem. – Słusznym jest dziękować Everamowi za wszystko, co nam daje.

Warga Jony drgnęła, gdy usłyszał imię, którym Jardir określił Stwórcę, ale pokiwał głową, nieco udobruchany.

– Stwórco! – zaintonował, unosząc filiżankę z herbatą niczym naczynie ofiarne. – Składamy Ci podziękowanie za to pożywienie i picie, które jest symbolem życia, znakiem Twojej łaski i hojnym darem. Modlimy się do Ciebie o siłę, by lepiej Ci służyć, i prosimy o błogosławieństwo dla nas samych i dla wszystkich tych, którzy tej nocy nie mają stołu, wokół którego mogliby się zgromadzić.

– Tego roku próżno wypatrywać hojnych darów – mruknęła Elona i zmarszczyła nos z niesmakiem, wybierając suchara. Nagle podskoczyła, a ze spojrzenia, jakie przesłała córce, Jardir domyślił się, że Leesha właśnie kopnęła matkę pod stołem.

– Przykro mi, że nie możemy zaproponować wam bardziej wystawnego posiłku – rzekła Leesha, gdy Jardir pochwycił jej spojrzenie. – Niemniej grabieże i rabunki, jakie pociąga za sobą wojna, odcisnęły trwałe piętno na naszej wsi. Przyjeliśmy pod dachy tysiące uchodźców, którzy z niepojętych dla nas, idiotycznych powodów utracili wszystko, co posiadali, i wielu tych, których kochali.

– Z idiotycznych powodów? – szepnął Ashan po krasjańsku. – Przecież oni szyczą sobie z ciebie i ze świętej drogi, jaką obrałeś, Wybawicielu!

– Nie! – syknął Abban. – To wyzwanie! Udziel ostrożnej odpowiedzi!

Ashan zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Zamknijcie się obaj! – parsknął Jardir, który oderwał spojrzenie od Leeshy i jej matki, po czym odwrócił się ku Opiekunowi.

– Wasza modlitwa przed posiłkiem niewiele różni się od naszej – rzekł. – W Krasji modlimy się nawet nad pustą miską, bo z woli Everama wzmocni nas ona w sposób, który człowiekowi nasyconemu nigdy do głowy nie przyjdzie.

Znów spojrzął na Leeshę.

– Mówiono mi, że wasza wioska była kiedyś niewielka i mało istotna, a rok temu nie różniła się niczym od wielu innych – oznajmił. – Lecz teraz staliście się wielkim i potężnym

ośrodkiem. Nie widzę głodujących na waszych ulicach, nie widzę żebraków, żałobników ani kalek. Widzę natomiast ludzi, którzy chwytają w noc za broń i kładą demony setkami. Jesteście niczym stal, a moje nadejście zahartowało was i wzmocniło.

– To nie ty żeś nas zahartował – parsknął Gared. – To robota Naznaczonego! Zrobił to dawno temu, gdy wy żarliście jeszcze piasek pustyni.

Hasik napiął mięśnie. Jardir wątpił, czy zrozumiał wszystko, co powiedział człowiek z zielonych krain, ale ton jego głosu nie dawał złudzeń. Przywódca uspokoił Hasika gestem.

– Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej na temat owego Naznaczonego – powiedział. – Sporo o nim słyszałem w Lennie Everama, ale nikt ze snujących opowieści nie widział go na własne oczy.

– Jest Wybawicielem i to wszystko, co powinniście wiedzieć – warknął Gared. – Zwrócił nam magię, którą utraciliśmy wiele lat temu.

– Runy wojenne do zwalczania *alagai*? – zapytał Jardir, a Gared skinął głową.

– Czy mógłbym zobaczyć broń z jego runami?

Gared zawahał się, zerknął na Leeshę. Jardir uczynił to samo i znowu miał wrażenie, że te błękitne oczy niczym chłodna woda wciągną go, pochłoną i utopią. Leesha uśmiechnęła się, a ciało Jardira przeszły dreszcz.

– Pokażemy ci, jeśli i ty pokażesz nam coś swojego – powiedziała nieśmiało. – Choćby swoją włócznie.

Nawet Abban otworzył szeroko oczy na taką bezczelność, ale Jardir jedynie się uśmiechnął. Sięgnął po włócznie, lecz wtedy Ashan złapał go za rękę.

– Wybawicielu, nie – syknął. – Żaden *chin* nie powinien nawet dotknąć Włóczni Kajiego!

– To już nie jest Włócznia Kajiego, Ashan – odparł Jardir po krasjańsku. – To Włócznia Ahmanna, a ja będę jej używał tak, jak uznam za stosowne. Nie będzie to pierwszy raz, kiedy dotykają jej dłonie *chin*, a błogosławieństwo nadal trwa.

– A jeśli spróbują ją ukraść? – zapytał Hasik.

Jardir spojrzał na niego ze spokojem.

– Jeśli spróbują, zabijemy każdego człowieka w tej wsi – bez względu na to, czy będzie to mężczyzna, kobieta czy dziecko – a osadę spalimy do gołej ziemi.

Sprawa została tym samym zamknięta i Jardir wyciągnął włócznie, po czym pokazał ją, trzymając poziomo przed sobą. Gared wyciągnął z za pasa długie ostrze. Hasik i Shanjat napięli mięśnie, gotowi zaatakować na najlżejsze oznaki prowokacji, ale olbrzym obrócił maczetę w palcach, tak by Jardir mógł pochwycić rękojeść. Broń przeszła z rąk do rąk.

I wszyscy ci, którzy znali się na sztuce kreślenia runów, skwapliwie skupili się wokół obu wojowników, by przyrzeć się rzędom magicznych symboli.

Jardir obrócił długie ostrze maczety, by blask świateł prześlizgnął się wzdłuż ciągu skomplikowanych znaków wyrytych wzdłuż klingi. Natychmiast zauważył, że większość runów była identyczna z tymi, którymi jego ludzie znaczyli własny oręż. Pochodziły więc z

Włóczni Kajiego, na której znajdowały się niemal wszystkie znane runy wojenne.

Niemniej symbole, którym się przyglądał, miały w sobie coś ponad zimną, bezosobową funkcjonalność, która cechowała te wyciosane na włóczniach *dal'Sharum*. Wryto je z niezrównanym kunsztem, który jak dotąd przywódca Krasjan widział jedynie na Włóczni Kajiego. Setki runów płynęły harmonijnie wzdłuż ostrza, tkając sieć o niezrównanej mocy, w której piękno łączyło się z niszczycielską siłą.

– Przepiękne – mruknął Jardir.

– Bezcenne – dodał Abban.

– Czy ów Naznaczony mógł ukraść symbole ze Słońca Anocha? – zastanawiał się na głos Ashan.

– To niedorzeczne – stwierdził Jardir. – Nikt nie odwiedził tego miasta od tysiąca lat za wyjątkiem...

Urwał i spojrzał na swych ludzi. Wszystkich poraziła ta sama myśl.

– Nie – wykrztusił w końcu Jardir. – Nie, przecież on nie żyje.

– Oczywiście, nie ma wątpliwości – potwierdził po chwili Ashan, a pozostali pokiwali głowami.

Unieśli oczy, by przyjrzeć się Leeshy i jej ojcu, który założył okulary. Oboje badali Włócznię Kajiego nieco zbyt dokładnie jak na gust Jardira. Uznał, że mieli już wystarczająco dużo czasu, by ocenić jej piękno, a zdradzać wszystkich swoich sekretów nie zamierzał.

– Te runy są silne – powiedział, oddając maczetę Garedowi, po czym znacząco spojrzał na włócznię. Mieszkańcy Zakątka oddali mu ją z ociąganiem. W oczach Leeshy dostrzegł pragnienie i tęsknotę, co uradowało go w głębi duszy. Kobieta miała ogromną ochotę zgłębić sekrety broni Jardira. – Gdzie jest ten Naznaczony? – zapytał Gareda, po tym jak umieścił włócznię w tulei na ramieniu. – Z ochotą bym go poznał.

– Nie wiadomo – powiedziała Leesha, nim Gared zdążył się odezwać. – Przybywa i zaraz potem znika.

– Czy to on podarował ci ów wspaniały płaszcz? Zaiste przypomina Płaszcz Kajiego, skoro możesz w nim chodzić niespostrzeżenie między *alagai*.

Na policzkach Leeshy pojawił się rumieniec i Jardir uświadomił sobie, iż właśnie wygłosił komplement pod jej adresem.

– Płaszcz Ślepoty są moim własnym dziełem – wyznała. – Zmieniłam nieco kształt runów zmieszania i wzroku, a potem wzmocniłam je lekko runami zakazu. Żaden otchłaniec, obojętnie, duży czy mały, nie dostrzeże tego, kto ów płaszcz założył.

– Niezwykłe – rzekł Jardir. – Zapewne sam Everam szepcze ci do ucha rady, skoro potrafisz zmieniać runy, tym bardziej jeśli dzięki temu powstają przedmioty tak niebiańsko piękne i potężne.

Leesha spojrzała na własny płaszcz i nieświadomie musnęła go palcami. Po chwili westchnęła, wstała i odpięła srebrną sprzączkę pod szyją.

– Zatrzymaj go – powiedziała, wręczając płaszcz Jardirowi.

– Oszalałaś? – wykrzyknęła Elona, chcąc ją powstrzymać.

– Ten płaszcz przydaje się tylko w walce z demonami – oznajmiła Leesha, jednocześnie swojej matce i Jardirowi. – Zatrzymaj go, byś po wschodzie słońca nadal pamiętał, kto jest twoim prawdziwym wrogiem.

Odsunęła matkę i podała okrycie Jardirowi.

Ten położył dłonie na blacie stołu i ukłonił się nisko.

– To zbyt zacny dar, a ja nie mam nic, czym mógłbym się odwdziaczyć. Na Everama, nie mogę go przyjąć.

– W zamian chcę tylko, byś pamiętał moje słowa – rzekła Leesha.

Jardir ukłonił się ponownie i z szeroko rozwartymi oczyma ujął cudowny płaszcz. Jeśli runy na broni tego tak zwanego Naznaczonego układały się w harmonię, to te na Płaszczu Ślepoty Leeshy tworzyły symfonię. Złożył ostrożnie okrycie i schował pod szatą, nie chcąc, by jego czy któregoś z doradców pochłonęło studiowanie wzorów zdobiących tkaninę.

– Dziękuję, Leesho córko Erny’ego, Zielarko z Zakątka Wybawiciela – powiedział z kolejnym ukłonem. – Twój dar to dla mnie ogromny zaszczyt.

Leesha uśmiechnęła się i powróciła na miejsce, a jej rodacy szeptali między sobą z ożywieniem, choć starali się udawać, że są zaabsorbowani herbatą. Jardir wykorzystał chwilę i zwrócił się do Abbana.

– Opowiedz mi o tym rudowłosym, który ubiera się jak *khaffit* – polecił.

– Mieszkańcy zielonych krain nazywają takich jak on Minstrelami, Wybawicielu. Są wędrownymi gawędziarzami i muzykantami, którzy stroją się w barwne szaty, by wszyscy rozpoznali ich profesję. Minstrel uchodzi za szacowne zajęcie, a tych, którzy je wykonują, często wysoko się ceni za inspirację.

Jardir pokiwał głową, trawiąc informacje.

– Muzyka tego tutaj ma władzę nad *alagai*. Ten Minstrel potrafi przewodzić i rozkazywać demonom. Skąd to się bierze?

Abban wzruszył ramionami.

– W opowieściach o Naznaczonym pojawia się również i człowiek, który potrafi zaczarować *alagai* muzyką, ale nie wiem nic o jego mocy. Przypuszczam jednak, że nie jest to powszechna umiejętność.

\* \* \*

Rojer z niepokojem obserwował Krasjan, którzy obrzucali go ukradkowymi spojrzeniami. Nie miał wątpliwości, że rozmawiali na jego temat, ale chociaż dzięki swym muzycznym zdolnościom zaczynał już rozróżniać dźwięki i rytm ich zaskakująco melodyjnego języka, nadal nie rozumiał ani słowa.

Krasjanie fascynowali go w tym samym stopniu, co przerażali, podobnie zresztą jak Naznaczony. Prócz grania młody Minstrel parał się również układaniem historii i choć na temat mieszkańców pustyni obmyślił niejedną, nigdy nie spotkał nikogo, kto pochodziłby z ich krainy. W głowie Rojera kotłowało się tysiące pytań, które pojawiały się i znikwały, nim udało mu się je wyartykułować, ponieważ oto miał przed sobą ludzi z krwi i kości, nie egzotycznych księżąt z opowieści. Rojer podróżował traktem do Rizon i widział skutki działalności Krasjan. Może i byli ludźmi kulturalnymi, ale także mordercami, gwałcicielami i bandytami.

Jardir znów zerknął ku niemu i tym razem Minstrel nie zdołał odwrócić wzroku. Ich spojrzeń spotkały się i młodzieniec zadrżał niczym zwierzę zapędzone w pułapkę.

– Wybacz mi, zachowujemy się niestosownie – uklonił się Jardir.

Rojer udał, że musi się podrapać po klatce piersiowej, lecz w rzeczy samej był to jedynie pretekst, by dotknąć medalionu. Zarówno jego talizman, jak i obecność Gareda u boku dodawały mu otuchy. Nie po raz pierwszy Minstrel cieszył się w duchu, iż potężny drwal poprzysiągł go strzec.

– Nie widzę powodu do przeprosin – odparł.

– Tam, skąd pochodzimy, nie ma Minstreli – powiedział Jardir. – Intryguje nas twoja profesja.

– Nie macie muzyków? – zdumiał się Rojer.

– Mamy, lecz w Krasji muzyka istnieje tylko po to, by chwalić Everama, nie zaś po to, by oczarowywać demony na polu bitwy. Powiedz, czy często się spotyka podobną umiejętność na Północy?

– Skądże znowu – parsknął Rojer i wychylił filiżankę do dna, żalując, że nie ma w niej czegoś mocniejszego. – Nie umiem jej nawet nauczyć. Sam nie do końca wiem, jak to robię.

– Być może Everam przemawia do ciebie – zasugerował Jardir. – Być może pobłogosławił twój ród tym właśnie talentem. Czy któryś z twoich synów budzi nadzieje?

– Synów? – zaśmiał się znów Rojer. – Nie jestem nawet żonaty!

Krasjanie wydawali się zaskoczeni.

– Człowiek z talentem takim jak twój powinien mieć wiele kobiet, by rodziły mu synów – wyjaśnił Jardir.

Rojer zachichotał i uniósł swą filiżankę w toaście.

– Zgadza się. Powinienem mieć wiele kobiet.

– Chciałabym najpierw zobaczyć, jak radzisz sobie z jedną – rzuciła Leesha i wszyscy zgromadzeni przy stole wybuchnęli głośnym śmiechem. Minstrel zniósł to spokojnie – podobne żarty nie były w Zakątku niczym nowym – ale i tak poczuł, jak na policzki wypływa mu rumieniec. Spojrzał na Jardira i dostrzegł, że krasjański przywódca nie przyłączył się do ogólnej wesołości.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie, synu Jessuma?

Rojer dotknął medalionu w miejscu, gdzie widniało imię jego ojca, i skinął głową na znak przyzwolenia.

– Jak zdobyłeś tę bliznę? – zapytał Jardir, wskazując okaleczoną rękę Rojera, w której brakowało dwóch palców i części dłoni. – Wygląda na starą, zbyt starą, byś zdobył ją w walce z *alagai* jako mężczyzna. Co więcej, raczej ci nie przeszkadza, zupełnie jakbyś miał ją od wielu lat.

Rojer poczuł, jak krew w jego żyłach zmienia się w lód. Zerknął na tłustego kupca w jaskrawych jedwabiach, traktowanego przez towarzyszy z pogardą, ponieważ był kaleką. Zadał sobie pytanie, czy Krasjanie również i jego uważają za kogoś gorszego, ponieważ utracił część dłoni.

Rozmowy ucichły, wszyscy wpatrywali się w Rojera, czekając na odpowiedź.

Minstrel skrzywił się.

Czy mieszkańcy Zakątka są naprawdę inni? – zapytał się w duchu. Nikt, nie wyłączając Leeshy, nawet nie napomknął o jego okaleczonej dłoni, każdy udawał, że problem nie istnieje, a mimo to gapił się, gdy sądził, że Rojer tego nie widzi.

Krasjaninowi trzeba przynajmniej przyznać, że nie kryje się ze swoją ciekawością, pomyślał, spoglądając na Jardira. A ja w dupie mam, co o mnie myśli.

– Demony przerwały barierę runiczną w moim domu, gdy miałem trzy lata – odpowiedział. – Mój ojciec zastąpił im drogę, uzbrojony jedynie w pogrzebacz, a matka uciekła ze mną. Ognisty demon wskoczył jej na plecy i wgryzł się w jej bark, raniąc mnie przy tym w dłoń.

– Jak udało ci się przeżyć? – zapytał Jardir. – Czy ojciec cię ocalił?

– Ojciec już nie żył – pokręcił głową Rojer. – Matka zabiła demona i wepchnęła mnie do kryjówki.

Wokół stołu poniosły się okrzyki zgrozy, nawet Jardir otworzył szerzej oczy.

– Twoja matka zabiła demona? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Strąciła go ze mnie i utopiła w korycie z wodą. Woda zagotowała się błyskawicznie i nim potwór znieruchomiał, jej ramiona były czerwone i pokryte bąblami.

– Rojer, to straszne! – jęknęła Leesha. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

– Nigdy nie pytałaś – wzruszył ramionami Minstrel. – Nikt nie pytał o moją dłoń. Wszyscy, nie wyłączając ciebie, starają się na nią nie patrzeć.

– Sądziłam, że nie chcesz o tym rozmawiać – odparła Zielarka. – Nie chciałam, byś poczuł się niezręcznie, gdy zwrócę uwagę na twoją...

– Deformację? – podpowiedział Rojer, podirytowany współczuciem w jej głosie.

Jardir poderwał się nagle z wściekłością. Ludzie wokół niego zeszywnieli, gotowi rzucić się do walki lub do ucieczki.

– To blizna pozostawiona przez *alagai*! – wykrzyknął, łapiąc Rojera za rękę i unosząc ją wysoko, by wszyscy się dobrze przyjrzeni. – Niech Nie pochłonie każdego, kto spogląda na

ciebie ze współczuciem, albowiem to powód do chwały! Blizny są dowodem oporu, jaki stawiamy *alagai*! Wyzwania, jakie rzucamy Nie! Przypominają, że spoglądamy w Otchłań i plujemy w nią z pogardą! Hasik!

Najpotężniejszy z wojowników Jardira powstał i rozsunał wzmocnioną płytkami szatę, pokazując półokrąg śladów po zębach, które wyznaczały łuk na jego klatce piersiowej.

– Demon gliny – powiedział z kiepskim akcentem. – Duży.

Jardir zwrócił się w kierunku Gareda i zmrużył oczy, rzucając mu wyzwanie.

– Nieźle – burknął olbrzym. – Tylko że ja bym takiemu dokopał.

Ściągnął koszulę i obrócił się, by pokazać szramy pozostawione przez pazury, biegnące od prawego ramienia po lewe biodro.

– Drzewny demon mnie dorwał, i to ostro – wyjaśnił. – Kogoś mniejszego rozdarłby na pół.

Rojer patrzył zdumiony, jak kolejni uczestnicy spotkania podjęli wyzwanie. Jeden po drugim wstawali niczym fala, pokazywali swe blizny i wykrzykiwali historie, sprzecząc się, czyje ślady są okazalsze. Przez ostatni rok mało kto w Zakątku nie zdobył choć jednej blizny.

W powstałym zamieszaniu na próżno było jednak szukać żalu czy smutku. Ludzie ryczeli ze śmiechu, wspominając lub nawet naśladowując sytuacje, w których demon chybił o włos, nawet Krasjanie przyłączyli się do ogólnej wesołości, z zachwytem klepiąc się po kolanach. Rojer odszukał wzrokiem Wondę o zeszpeconej potwornie twarzy i przekonał się, że dziewczyna również się uśmiecha, po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią.

Kiedy kakofonia sięgnęła zenitu, Jardir wskoczył na ławę niczym Minstrel.

– Niech *alagai* ujrzą nasze blizny! Niech patrzą i niech rozpaczają! – wykrzyknął, zrywając szatę.

Mięśnie gładko prześlizgnęły się pod jego oliwkową skórą, ale nie to wyrwało okrzyki zdumienia i zachwyty z ust wszystkich obecnych. Uwagę przyciągnęły blizny. Blizny i runy, setki, może nawet tysiące runów, wyciętych w skórze wojownika jak u Naznaczonego.

– Na noc, a może on rzeczywiście jest Wybawicielem – mruknął Rojer.

## Za każdą cenę

333 ROK PLAGI, WIOSNA

– Kuszykaj szybciej! – pogoził Hasik Abbana ze śmiechem. – Bo cię zostawimy w ciemnościach!

Abban skrzywił się z bólu. Pot spływał strumieniami po jego rumianej, mięsistej twarzy i obwisłym podbródku. Wracali do krasjańskiego obozu i Ahmann narzucił mordercze tempo. Przywódca szedł na czele z Ashanem, pozostawiwszy nieszczęsnego Abbana między Hasikiem a Shanjatem, dwoma wojownikami, którzy prześladowali go od dzieciństwa, a teraz pozwalali sobie na jeszcze gorsze uczynki.

Jakiś tydzień temu Hasik przybył do pawilonu zajmowanego przez rodzinę Abbana z wieścią i zgwałcił jedną z córek kupca. Wcześniej pohańbił w podobny sposób jego żonę. Jurim i Shanjat z kolei dokładali wszelkich starań, by synowie Abbana, którzy ćwiczyli w Kaji'sharaj jako *nie'Sharum*, znaleźli się pod ich skrzydłami, po czym wpajali im taką niechęć do ojca *khaffit*, że serce Abbana krwawiło rozdarte. Wojownicy z Włóczni Wybawiciela szydzili i opluwali go, a pod nieobecność Shar'Dama Ka korzystali z każdej okazji, by go uderzyć. Znali Ahmanna od dawna i irytowało ich, że Wybawiciel nadstawia ucha dla rad *khaffit*, a nie ich. Abban zaś wiedział, że jeśli kiedykolwiek wypadnie z łask Ahmanna, jego życie dobiegnie końca.

Kiedy jednak Krasjanie przekroczyli barierę wytworzoną przez ogromny run Zakątka Wybawiciela, Abban poczuł, jak cierpnie mu skóra na plecach i z bólem uświadomił sobie, że bez względu na to, jaką krzywdę wyrządzą mu *Sharum*, i tak z nastaniem ciemności będzie musiał przełknąć gorzką pigułkę i prosić ich o ochronę.

Taka była dola *khaffit*.

– Nie rozumiem, dlaczego traktujesz tych nędznych *chin*, jakby byli prawdziwymi



mężczyznami – zwrócił się Ashan do Ahmanna.

– Ci ludzie są silni – odparł Ahmann. – Nawet ich kobiety noszą blizny po starciach z *alagai*.

– Ich kobiety obnażają się jak ladacznice! Bez wątpienia ich mężowie nie powinni im szcędzić rzemienia. A ta, która im przewodzi, jest najgorsza! Nie mogę uwierzyć, iż pozwoliła, by cię zelżyła jak... jak...

– Jak *dama'ting*? – spytał Ahmann.

– Prędeż jak Damajah – przyznał Ashan. – A przecież ona nie jest ani jedną, ani drugą!

Przez twarz Ahmanna przemknął lekki skurcz. Był to ledwie dostrzegalny znak narastającej irytacji, na którego widok Abban rzuciłby się w panice do ucieczki. Ahmann zdołał jednak się opanować.

– Pomyśl tylko, Ashan – powiedział. – Czy powinienem marnować życie wojowników, by podbili tych ludzi i zmusili ich do *Sharak Ka*, skoro już walczą z *alagai*?

– Ale nie walczą pod twoim dowództwem, Shar'Dama Ka – zauważył Ashan. – Ewejah głosi, iż wszyscy wojownicy powinni być posłuszni Wybawicielowi, jeśli mamy odnieść zwycięstwo w *Sharak Ka*.

– I tak też będzie – skinął głową Ahmann. – Pamiętaj jednak, że nie zjednoczyłem plemion Krasji przez rozlew krwi. Uczyniłem to, poślubiając *dama'ting* z każdego plemienia, by zmieszać z nimi krew. Nie widzę powodu, by nie powtórzyć tego tu, na Północy.

– Chcesz poślubić tę... tę... – Ashan nie wierzył własnym uszom.

– No co? – zapytał Ahmann. – Tę piękną kobietę, która zabija *alagai* machnięciem dłoni, a sztukę stawiania runów opanowała niczym czarodziejka z baśni?

Pokazał mu płaszcz, który otrzymał w darze od Leeshy, a potem przyłożył go do policzka, zamknął oczy i wciągnął głęboko zapach materiału.

– Nawet jej woń mnie upaja. Muszę ją posiadać.

– Przecież ona nawet nie jest córką Everama! – splunął Ashan. – To niewierna!

– Nawet niewierni są częścią planu Everama, mój przyjacielu – rzekł Ahmann. – Nie rozumiesz? Na czele jedyne go plemienia na Północy, które toczy *alagai'sharak*, stoi kobieta, miejscowa uzdrowicielka, pobłogosławiona mocami, których nikt dotąd nie znał. Poślubiając ją, dodam moc jej ludu do własnej potęgi, nie rozlewając przy tym ani kropli krwi. Zupełnie jakby Everam we własnej osobie skrzyżował nasze ścieżki i pobłogosławił nasz związek. Czuję, jak Jego wola pulsuje w moim ciele, i nie śmiem się sprzeciwiać.

Ashan nie wyglądał na przekonane go, Abban przypuszczał, że nie poprzestanie i będzie dalej starał się odwieść przyjaciela od powziętej decyzji, ale Ahmann najwyraźniej uznał sprawę za zamkniętą. Ashan skrzywił się, ale się uklonił.

– Będzie, jak rzekłeś, Wybawicielu – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Dotarli w końcu do obozu i Abban aż westchnął z ulgą na widok pawilonu Ahmanna. Otaczali go *dal'Sharum*, którzy spali na zmianę, lecz zachowali czujność, gotowi w każdej

chwili porwać za broń.

– Abban, chcę z tobą porozmawiać – rzucił Ahmann. – Shanjat i Ashan, zajmijcie się ludźmi.

*Damaji* oraz *kai'Sharum* spojrzeli po sobie z goryczą i niezadowoleniem, ale bez sprzeciwu wypełnili polecenie. Hasik chciał wejść za Ahmannem, lecz przywódca osadził go w miejscu jednym spojrzeniem.

– Nie potrzebuję ochroniarza podczas rozmowy z *khaffit*.

– Nie przydzieliłeś mi innego zadania, Wybawicielu – ukłonił się Hasik. – Uznałem więc, że powinienem być przy tobie.

– Mój namiot wciąż jest nierozłożony – zasugerował Abban.

– Hasik, zajmij się tym – skinął Ahmann.

Hasik spojrział na Abbana, a w jego oczach błysnęła żądza mordy, ale kupiec, bezpieczny za plecami Wybawiciela, miał ukłonić się, szacunkiem, jak przystało na *khaffit*, wyszczerzył szyderczo zęby. Następnie odwrócił się, uniósł połę namiotu przed Ahmannem, a potem wszedł za nim. Bezsilna wściekłość, którą ujrzał na twarzy Hasika, była mizerną rekompensatą za dziewictwo córki, ale Abban mścił się za każdym razem, gdy tylko trafiła się okazja.

\* \* \*

– Przepraszam, że cię uderzyłem – powiedział Ahmann, gdy zostali sami. – Ja...

– ...chciałeś zaimponować kobiecie – dokończył za niego Abban. – Wiem. I nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby twój plan się powiódł, ale ci *chin* postrzegają świat inaczej niż my.

Jardir pokiwał głową, przypominając sobie, jak Par'chin bronił Abbana.

– Nasze kultury stoją wobec siebie w sprzeczności. Powinienem o tym pamiętać.

– Z *chin* trzeba postępować szczególnie ostrożnie – zgodził się Abban.

– Jestem wojownikiem. – Jardir uniósł Włócznie Kajiego. – Układam plany strategiczne, by podbijać ludzi i niszczyć *alagai*. Nie najlepiej sobie radzę z tymi... tymi manipulacjami – wypluł niemalże to słowo – w których ty i Inevera przodujecie.

– Kłamstwa nigdy nie kalają twoich ust, Ahmann – zgodził się Abban z ukłonem, w którym można się było dopatrzeć zarówno uniżoności, jak i szyderstwa.

– Jak więc mam zdobyć tę kobietę? – zapytał Jardir. – Widziałem, jak na mnie patrzy. Sądzisz, że niczym *dama'ting* dysponuje swobodą w wyborze męża, czy powinienem zwrócić się do jej ojca?

– *Dama'ting* cieszą się ową swobodą, ponieważ ich ojcowie są nieznani – rzekł Abban. – Pani Leesha zaś dołożyła wszelkich starań, byśmy jej ojca poznali, a potem wręczyła ci ów płaszcz, co jest czytelnym znakiem, iż jest gotowa na zaloty. Zwykła dziewczyna podarowałaby

pretendentowi do jej ręki piękną szatę, ale dar uzdrowicielki jest zaiste godny Wybawiciela.

– A zatem wszystko sprowadza się do uzgodnienia wiana z jej ojcem.

– Erny to twardy negocjator. – Abban pokręcił głową. – Niemniej rozmowa z nim to łatwiejsza część zadania. Bardziej przejmowałbym się tym, że Damajah sprzeciwi się małżeństwu, a *Damaji* ją poprą.

– Zabiję każdego *Damaji*, który mi się sprzeciwi – oznajmił butnie Jardir. – Nawet Ashana.

– A jaki wniosek wyciągną z tego twoi wojownicy? – zapytał Abban. – Oto nasz przywódca zabija *Damaji* z powodu kobiety *chin*!

– A cóż to ma za znaczenie? – skrzywił się Jardir. – Inevera nie ma powodu, by się sprzeciwić.

– Sugeruję jedynie trudności, gdyż Damajah może dojść do wniosku, że kontrolowanie kobiet z Północy nie przychodzi jej tak łatwo jak innych *Jiwah Sen* – wzruszył ramionami Abban.

Jardir czuł, że kupiec ma rację. Zawsze uważał Ineverę za najpotężniejszą kobietę pod słońcem, ale wydawało się, że Leesha z Zakątka Wybawiciela dorównuje *Jiwah Ka* pod każdym względem. Nigdy nie zgodziłaby się na rolę podrzędnej żony, zaś Inevera nie przyjęłaby żadnego innego rozwiązania.

– W istocie, znać po niej swoiste nieposkromienie, ale tego właśnie mi trzeba, jeśli mam poprowadzić *chin* do *Sharak Ka* – przyznał Jardir. – Może mógłbym ją poślubić w sekrecie.

– Wieści o waszym związku prędzej czy później dotarłyby do uszu Damajah – pokręcił głową Abban. – Unieważniłaby małżeństwo jednym słowem, a to plemię Leeshy mogłoby uznać za straszliwą zniewagę.

– Musi istnieć jakiś sposób – upierał się Jardir. – Przecież to wola Everama. Czuję to!

– Może... – zaczął Abban, nawijając kosmyk brody na palce.

– Może co?

Abban milczał przez moment, lecz w końcu pokręcił głową i machnął dłonią.

– Nie, miałem pewien pomysł, ale po przemyśleniu stwierdzam, że się kupy nie trzyma.

– Co za pomysł? – ton głosu Jardira wskazywał, że wojownik nie ma zamiaru powtarzać tego pytania.

– Ach – westchnął Abban. – Zastanawiałem się tylko, co by się stało, gdybyśmy uznali, że Damajah jest jedynie twoją krasjańską *Jiwah Ka*. W tej sytuacji może i rozsądnie byłoby wybrać również *Jiwah Ka* dla Północy, by aranżować małżeństwa z *chin* w zielonych krainach. Ale nawet Kaji nie miał dwóch *Jiwah Ka*.

Zamyślony Jardir potarł dłonie, czując gładkie blizny po wyciętych w skórze runach.

– Kaji żył trzy tysiące lat temu – powiedział w końcu. – Święte teksty są zaś niekompletne. Któż dowiedzie z całą pewnością, ile *Jiwah Ka* posiadał?

Gdy sprytny Abban nie udzielił natychmiastowej odpowiedzi, Jardir uśmiechnął się

szerzej.

– Udasz się jutro do domu ojca Leeshy, by uregulować dług – rozkazał. – Dowiesz się też, jakiego wiana żąda za córkę.

Abban uklonił się i odwrócił.

\* \* \*

Abban kusztykał przez wieś i uśmiechał się do mijanych mieszkańców. Wpatrywali się w niego, niekiedy obojętnie, częściej z nieufnością, ale jego laska zwieńczona głową wielbłąda, która w Krasji prowokowała do prześladowań i dokuczliwości, tutaj wydawała się wywierać odwrotny wpływ. *Chin* wzdrali się na myśl o uderzeniu kobiety lub atakowaniu człowieka, który nie umiałby się obronić. To zaś wyjaśniało, dlaczego tutejsze kobiety cieszą się takimi swobodami.

Abban z upływem czasu uświadamiał sobie, iż zielone krainy przypadają mu coraz bardziej do gustu. Pogoda była umiarkowana – nie było ani nieznośnie zimno, ani nieznośnie gorąco, podczas gdy na pustyni można się było spodziewać tylko ekstremów – a ponadto zachwycała go dostrzegalna wszędzie obfitość. Nieskończone wprost możliwości na zarobek. Żony i dzieci Abbana już zbijały majątek w Lennie Everama, a przecież większość zielonych krain dopiero stawała przed nimi otworem. W Krasji dysponował wielkim majątkiem, ale uważano go za półczłowieka. Tu zaś, na Północy, mógłby żyć jak *Damaji*.

Nie po raz pierwszy Abban zastanawiał się nad prawdziwymi motywami Ahmanna. Czy przywódca naprawdę wierzył w to, że jest Wybawicielem i poślubienie miejscowej kobiety stanowi wolę Everama, czy może był to jedynie pretekst, by umocnić swoją władzę?

Gdyby owe rozważania dotyczyły innego człowieka, Abban bez trudu doszedłby do wniosku, iż chodzi o władzę, ale Ahmann zawsze żywił naiwną, lecz niezachwianą wiarę w świętości, mógł więc równie dobrze ulec podobnym złudzeniom.

Oczywiście zakrawało to na kpinę, ale wiara w świętość osoby Jardira, podzielana przez niemalże każdego mieszkańca Krasji bez względu na płeć czy wiek, dała Ahmannowi tak ogromną władzę, iż to, czy jest on naprawdę Wybawicielem, właściwie nie miało już znaczenia. Tak czy owak, Abban służył najpotężniejszemu człowiekowi na świecie i nawet jeśli nie odrodziła się między nimi dawna przyjaźń, przynajmniej częściowo ją sobie przypomnieli.

Pojawił się w niej jednakże całkowicie nowy element – Damajah – a Abban, znakomity manipulator, natychmiast rozpoznał konkurencję. Inevera bez trudu wykorzystywała Ahmanna do własnych celów, a te były niejasne nawet dla kupca, który zbił fortunę tylko dzięki umiejętności odkrywania pragnień w ludzkich sercach.

Damajah roztoczyła nad Ahmannem niepojętą, tajemniczą władzę, lecz była ona wątła i właściwie nieistotna. Jardir był przecież Shar'Dama Ka. Gdyby tylko rozkazał, ludzie z

radością rozszarpaliby Ineverę na strzępy, byle tylko go zadowolić. Nikt nie dbałby o to, że to *dama'ting*.

Abban oczywiście był doświadczonym graczem i wiedział, że nie wolno stawać między małżonkami. Zbyt długo chadzał po świecie, by teraz popełnić tak głupi błąd. Gdyby Inevera nabrała podejrzeń, że Abban jest niełojalny, bez chwili wahania rozgniotłaby go pod sandałem niczym skorpion i nawet sam Ahmann nie zdołałby jej powstrzymać. W hierarchii *khaffit* znajdował się równie nisko pod Damajah jak ona pod Ahmannem, a nawet niżej.

„Naprawdę manipulować kobietą potrafi tylko inna kobieta”, przypomniał sobie maksymę swego ojca, którą ten powtarzał wielokrotnie przed swą śmiercią. Była to dobra rada.

Leesha z Zakątka Wybawiciela mogła podważyć fundamenty władzy Inevery, a być może uwolnić Ahmanna spod wpływu Pierwszej Żony. A co najważniejsze, Damajah nigdy się nie domyśli, że Abban pomagał uknuć tę intrygę.

Uśmiech kupca stawał się coraz szerszy.

\* \* \*

Abban z zadowoleniem przekonał się, że Erny negocjuje równie zaciekle twarzą w twarz jak przez Posłańców. Kupiec żywił pogardę wobec tych, którzy nie potrafili się targować. Wyjątek od tej zasady stanowił jedynie Ahmann, ponieważ w przypadku Shar'Dama Ka nie chodziło o brak umiejętności, lecz o niechęć, by z niej skorzystać.

Kupiec po targach z Ernym uzyskał niezłą cenę, ale po tym jak potroił ją zgodnie z wytycznymi Ahmanna, powstała spora suma. Ojciec Leeshy i jego żona wyglądali na bardzo zadowolonych, gdy Abban odliczył złoto.

– Arkusze znajdują się tu. – Erny postawił skrzynię z wzorzystym papierem Leeshy na ladzie i zdjął wieko.

Abban przesunął lekko palcami po karcie, wyczuwając nieznaczne zgrubienia tam, gdzie spletały się kunsztownie oddane kwiaty. Zamknął oczy i wciągnął powietrze do płuc.

– Tyle czasu minęło, a nadal słodko pachnie – stwierdził z uśmiechem.

– Trzymaj ten papier w suchym miejscu, a przetrwa wieczność – zapewnił Erny. – Lub tak długo, by zadowolić śmiertelnika.

– Nie mam wątpliwości, że twojej córki dotknął sam Everam – ciągnął Abban. – Osiąga doskonałość we wszystkim, co robi, niczym serafin z niebios.

Elona parsknęła, ale Erny zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Niewątpliwie – zgodził się.

– Mój pan chciałby kupić ją na żonę – mówił Abban. – Upoważnił mnie, bym przeprowadził negocjacje w sprawie wiana, i kazał mi zapewnić, że okaże wielką hojność.

– Jak wielką? – zainteresowała się Elona.

– Przecież to bez znaczenia! – parsknął Erny. – Leesha nie jest na sprzedaż jak jakiś koń!

– Ależ oczywiście, jasne, że nie! – rzekł Abban, kłaniając się, by zyskać czas do namysłu. Nie spodziewał się podobnej odpowiedzi, a na tym etapie nie mógł ustalić, czy w istocie uraził Erny’ego, czy była to tylko taktyczna zagrywka w celu podbicia ceny.

– Wybacz mi, proszę, mój nieszczęśliwy dobór słów – podjął kupiec ostrożnie. – W chwilach krytycznych wasz język czasami mnie zawodzi. Nie chciałem nikogo obrazić.

Erny wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią, a Abban przywołał swój specjalny uśmiech, dzięki któremu wpoił tysiącom klientów przekonanie, iż jest ich prawdziwym przyjacielem.

– Mój pan wychodzi z założenia, że twoja córka przewodzi waszemu plemieniu, przez co nie jest zwykłym towarem – powiedział. – Mieszając waszą krew ze swoją, czyni jej i całemu waszemu plemieniu ogromny zaszczyt. U boku Ahmanna twoja córka będzie pierwszą wśród wszystkich kobiet Północy, będzie też dzierżyć wielką władzę zarówno na dworze Wybawiciela, jak i w jego łożu. Dzięki temu uchroni Północ od niepotrzebnego rozlewu krwi, gdy mój pan ruszy na dalsze podboje.

– Czy to groźba? – zapytał Erny. – Czyżbyś usiłował nam właśnie przekazać, że twój pan przyjdzie tu i nas pozabija, jeśli nie sprzedam mu córki?

Abban aż się spocił. A więc uraził Erny’ego, i to głęboko. Par’chin zawsze mówił mu, że Krasjanie są porywczym narodem, ale wyglądało na to, że mieszkańcy zielonych krain niewiele się od nich różnią. Kupiec uklonił się więc nisko i rozłożył dłonie.

– Proszę cię, przyjacielu, rozpocznijmy naszą rozmowę od początku. Mój pan nie chce nikomu grozić, nie życzy sobie też urazić niczyjej godności. Tam, skąd pochodzimy, to ojciec ustala, z kim wezmą ślub jego córki. W skład owych ustaleń wchodzi również wysokość wiana wnoszonego przez rodzinę przyszłego męża, a zależnego od wartości kobiety. Mówiono mi, że na Północy istnieje identyczny zwyczaj.

– Ależ istnieje – wtrąciła się Elona.

– Tak, niektórzy ludzie wciąż go przestrzegają – poprawił żonę Erny. – Nie tak jednak wychowałem Leeszę. Skoro twój pan życzy sobie poślubić moją córkę, będzie musiał ubiegać się o jej rękę jak każdy inny mężczyzna, a jeśli ona – podkreślam, ona! – zadecyduje, że godzi się na niego, wtedy może tu przyjść i poprosić mnie o błogosławieństwo.

Rytuał ten wydał się Abbanowi nieco staroświecki, ale nie miało to większego znaczenia. Uklonił się raz jeszcze.

– Przekażę twoje warunki mojemu panu. Sądzę, że bezzwłocznie rozpocznie starania, o których wspomniałeś.

Erny otworzył szerzej oczy.

– Ja nie... Au! – wykrzyknął, gdy Elona bez ceregieli wbiła mu w przedramię długie paznokcie. Abban dostrzegł jej zachowanie i bardzo go to zaintrygowało. Jego żony bynajmniej nie należały do istot potulnych, ale żadna nie ośmieliłaby się upokorzyć go w ten

sposób przed klientem.

– Nikomu się nic nie stanie, jak przyjdzie z kwiatami – rzekła Elona. – Sam powiedziałaś, że to wybór Leeshy.

Erny przyglądał się małżonce przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnął i pokiwał głową. Założył pokrywę na skrzynię z papierem Leeshy.

– Kufer swoje waży – powiedział. – Jeśli chcesz, to zawołam chłopaka, by ci go zaniósł.

– Byłbym zobowiązany – ukłonił się Abban.

– Wszyscy chłopcy są zajęci, jak sądzę – odezwała się Elona. – Mnie zaś przyda się spacer. Sama zaniosę papier.

Abban znów poczuł zdumienie. W Krasji z oczywistych względów podobnymi rzeczami zajmowały się tylko kobiety, ale z tego, jak Erny wytrzeszczył oczy, *khaffit* natychmiast wywnioskował, że propozycja Elony była dlań nie lada zaskoczeniem.

Przyjrzał się Elonie, gdy kobieta obesła ladę. Mimo że nie pierwszej młodości, nadal zachowała urodę. Być może należała do faworyt Erny'ego, który przydzielał jej tylko lekkie zadania, by zawsze pozostawała pod ręką, gdyby jej męża ogarnęło pożądanie. Wielu krasjańskich mężczyzn utrzymywało kobiety w tym celu, lecz Abban nigdy nie tolerował takiego lenistwa i oczekiwał od swoich najmłodszych i najpiękniejszych żon, iż będą pracować równie ciężko jak pozostałe.

Gdy szli ścieżką prowadzącą ze sklepu Erny'ego, Abban odwrócił się do Elony.

– Modłę się do Everama, byście nie żywili do mnie długo urazy, która wynika jedynie z mojego niezrozumienia waszych zwyczajów.

– Nie różnimy się tak bardzo od was – pokręciła głową Elona. – Może tylko w tym, że tutaj ojcowie zgadzają się na małżeństwa, ale ustalają je matki. Erny nie pobłogosławi niczego przed ustaleniem wysokości wiana.

Abban zatrzymał się jak wryty, wreszcie zrozumiał.

– Oczywiście. Wielce żałuję, że matka mojego pana, Kajivah, nadal przebywa z jego żonami w Lennie Everama. Czy mogę przeprowadzić rozmowy w jej zastępstwie?

Elona skinęła głową, lecz zaraz uniosła brew.

– Twój pan ma inne żony?

– Oczywiście – odparł Abban. – Ahmann Jardir jest Shar'Dama Ka.

Elona zamyśliła się głęboko.

– Przekaż mu więc, że jeśli jest mądrym człowiekiem, niech lepiej nie wspomina o tym mojej córce. Dziewczyny robią się zazdrosne i szaleją potem niczym burza z piorunami.

Abban pokiwał głową.

– Z pewnością przekażę mu tę radę. Dziękuję. Zakładam, że twoja córka jest dziewicą?

– Oczywiście, że tak! – parsknęła Elona.

Abban złożył ukłon.

– Proszę, nie pomyślaj tego za obrazę. W Krasji Pierwsza Żona osobiście bada

narzeczone, ale jeśli nie przestrzegacie tego obyczaju, wystarczy twoje słowo.

– Na Otchłań, oczywiście, że nie mamy takiego obyczaju! Nikt poza mężami i Zielarkami nie zagląda nam między nogi – odparła Elona. – Niech więc tobie czy twemu panu nawet do głowy nie przyjdzie, by próbować tego przed ślubem.

– Oczywiście – odparł Abban i uśmiechnął się, szczęśliwy, iż ponownie wszedł w fazę targów.

\* \* \*

Jardir miotał się po pawilonie niczym niespokojne zwierzę, oczekując powrotu Abbana.

– Co powiedział? – krzyknął na widok *khaffit* wchodzącego do namiotu. – Załatwione?

Abban pokręcił głową. Jardir nabrał głęboko tchu, by stłumić rozczarowanie i odepchnąć je jak najdalej.

– Pani Leesha bardziej przypomina *dama'ting*, niż sądziłem – rzekł Abban. – Ma prawo samodzielnie wybrać męża, choć będziesz musiał zapłacić wiano, by uzyskać błogosławieństwo jej ojca.

– Zapłacę każdą cenę – powiedział Jardir.

– Pamiętam twoje słowa – uklonił się Abban. – Niemniej jako twój pokorny sługa wszcząłem działania, by zminimalizować uszczerbek na twoim skarbcu.

Jardir machnął dłonią niecierpliwie.

– A więc mogę zacząć się z nią spotykać?

– Jej ojciec udzielił ci zgody na starania o jej rękę – oznajmił Abban, a Jardir uśmiechnął się, porwał włócznię i znieruchomiał wraz z nią przed posrebrzonym lustrem. – Co jej powiesz? – zapytał Abban.

– Nie mam pojęcia – szczerze przyznał Jardir. – Ale skoro to wola Everama, ufam, iż wszystko, co powiem, okaże się właściwe.

Abban zmarszczył brwi.

– Nie sądzę, żeby to działało w ten sposób, Ahmann.

Jardir spojrział na Abbana, rozumiejąc wszystkie niewypowiedziane słowa. Pod tym względem Abban przypominał Par'china. Był uprzejmy. Cierpliwy. Tolerancyjny. I skrajnie nieufny.

Jardir spojrział na przyjaciela z dawnych lat i poczuł w sercu żal, ponieważ pojął, na czym polega dola *khaffit*. Everam nigdy do nich nie przemawiał, byli głusi na Jego słowa. Abban mógł używać imienia Stwórcy nawet w co drugim zdaniu, ale tak naprawdę nie słyszał Jego głosu ani też nie odczuwał uniesienia, które towarzyszyło podporządkowywaniu się boskiej woli. Do Abbana przemawiał jedynie zysk i *khaffit* na zawsze miał pozostać jego niewolnikiem.

Lecz to również stanowiło element planu Everama, gdyż *khaffit* widział rzeczy, które dla



innych były niepojęte, rzeczy niezwykle istotne dla Jardira, jeśli miał wygrać *Sharak Ka*. Położył więc dłoń na ramieniu Abbana i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Widzę, że w to powątpiewasz, ale jeśli nie pokładasz nadziei w Stwórcy, uwierz we mnie.

– Oczywiście – skłonił się Abban. – Ale przynajmniej nie wspominaj o swoich pozostałych żonach. Wedle słów jej matki zazdrość Leeshy przypomina burzę.

Jardir skinął głową, bynajmniej nie zaskoczony tym, że kobieta tej klasy jest świadoma swej wartości i oczekuje, by inne ustąpiły jej miejsca. Sprawilo to, że Ahmann zapragnął jej jeszcze bardziej.

\* \* \*

Rojer bez zaangażowania prowadził ćwiczenia z uczniami. Grali już nieco lepiej, ale za każdym razem, gdy Kendall pochylała się nad skrzypcami, Minstrel widział blizny, które biegły przez jej klatkę piersiową. Może i był to powód do chwały, ale Rojerowi boleśnie przypominały, jak długą drogę jego uczniowie musieli jeszcze przejść, zanim naprawdę zaczną przydawać się podczas nocnych bitew. Miał nadzieję, że wkrótce pojawią się nauczyciele z Gildii.

Po drugiej stronie Cmentarzyska Otchłańców ćwiczyli Rębacze. Przed wytyczeniem kolejnego wielkiego runu mieli do wykonania mnóstwo pracy, ale dopóki w pobliżu obozowali Krasjanie, żaden z drwali nawet nie pomyślał o pracy. Gared wyznaczył grupy do patrolowania okolic, a reszta zbierała się na głównym placu, by ćwiczyć się w walce i pozostać w gotowości na wszelki wypadek. Bez wątpienia Leesha się wścieknie, gdy zobaczy, że praca nie została jeszcze skończona – jednak pomimo trudnych przejść Zielarka nadal za bardzo ufała ludziom.

Rozległ się głośny okrzyk. Rojer odwrócił się i ujrzał krasjańskiego przywódcę, który nadchodził w asyście przybocznych, Hasika i Shanjata. Wojownicy tarcze i włócznie przytroczyli do pleców – Jardir wyglądał na rozluźnionego, a na jego twarzy malował się spokój, lecz jego towarzysze byli spięci jak w obliczu wroga. Co rusz zaciskali pięści, jakby tęsknili za dotykiem drzewca włócznie.

Jardir podszedł do Rojera. Gared krzyknął i wraz z kilkoma innymi Rębaczami ruszył Krasjanom naprzeciw. Hasik i Shanjat odwrócili się z furkotem szat, w ich dłoniach błyskawicznie pojawiły się włócznie i tarcze. Na ten widok Rębacze unieśli własną broń i zanosilo się na walkę.

Wtedy jednak Jardir odwrócił się i krzyknął zarówno do Rębaczy, jak i *Sharum*:

– Jesteśmy gośćmi pani Leeshy! Nie zostanie tu przelana ani kropla krwi, chyba że pani Leesha i tylko ona postanowi inaczej!

– To każ swoim ludziom, by odrzucili włócznie! – rzekł Gared, który stał z toporem w

jednej garści i runiczną maczetą w drugiej.

Zewsząd nadbiegały tuziny Rębaczy, którzy zbierali się za jego plecami, ale Hasik i Shanjat wyglądali na nieporuszonych, jakby przewaga liczebna przeciwnika jeszcze bardziej zachęcała ich do walki. Rojer, który widział Krasjan w boju, przeczuwał, że stawiliby zacięty opór.

Jardir zakrzyknął po krasjańsku i obaj przyboczni wsunęli włócznie do tulei na plecach, choć nie rozstali się z tarczami.

– Nie chodziło mi o schowanie włóczni – warknął Gared. – Powiedziałem, że macie je odrzucić!

– Nie wypada prosić gości, by zostawiali noże przy drzwiach, synu Steave’a – rzekł Jardir z uśmiechem, kładąc nacisk na słowo „gości”.

Gared już otworzył usta, by się odciąć, lecz Rojer wszedł mu w słowo.

– Oczywiście masz rację – powiedział głośno, patrząc na Gareda. – Schowaj topór – polecił.

Gared otworzył szeroko oczy. Rojer nigdy wcześniej nie wydał mu polecenia przy ludziach, a tego akurat rozkazu z chęcią by nie usłuchał. Gdyby bowiem schował broń, wszyscy pozostali Rębacze uczyniliby to samo.

Ich spojrzenia się starły – Gared ewidentnie rzucał wyzwanie Minstrelowi, ale zapomniał, że Rojer był aktorem i bez trudu potrafił naśladować surowe spojrzenie Naznaczonego i ochrypliły głos, którym mówił, gdy chciał odstraszyć ludzi.

– Nie powtórzę tego po raz drugi, Gared – rzekł i poczuł, że przełamuje opór olbrzyma. W końcu wielkolud skinął głową i cofnął się o krok, wsuwając topór w specjalną uprzęż na plecach, a ostrze do pochwy. Pozostali Rębacze spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale uczynili to samo. Pocięli się, że mają przewagę liczebną i nie potrzebują broni.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – Rojer zwrócił się do Jardira.

– Chcę porozmawiać z panią Leeshą.

– Nie ma jej we wsi.

– Rozumiem – odparł Jardir. – Możesz mi powiedzieć, gdzie mogę ją zastać?

– Prędeż nas Otchłań pochłonie! – warknął Gared, ale Rojer i Jardir zignorowali go bez słowa.

– Po co? – zapytał Rojer.

– Ów płaszcz, który mi wręczyła, jest darem niezwyklej wartości – objaśnił Jardir. – Chciałbym przekazać jej prezent równie cenny.

– Co to za dar? – indagował Minstrel.

– A to już sprawa między panią Leeshą i mną – uśmiechnął się Jardir.

Rojer przyjrzał mu się uważnie. Przecucie ostrzegało go przed owym uśmiechniętym pustynnym demonem, który wymordował i zgwałcił tylu ludzi, lecz Minstrel przekonał się już, że Krasjanin ma swój kodeks honorowy. Nie skrzywdziłby Leeshy, dopóki trwa rozejm.

Jeśli zaś dar, którym chciał się odwdziżyć, był prawdziwie magicznym artefaktem o podobnej do płaszcza wartości, głupotą byłoby odmówić.

– Zabiorę cię do niej, jeśli pozostawisz tu przybocznych – zaproponował Minstrel.

– Oczywiście – zgodził się Jardir.

Hasik i Shanjat zaprotestowali gwałtownie, podobnie jak Gared i kilku spośród Rębaczy, ale Rojer i Jardir znów nie zwrócili na nich uwagi.

– Nie żywię wrogich zamiarów wobec pani Leeshy – wyjaśnił Krasjanin. – Będę traktować ją honorowo i z należnym szacunkiem. Oczywiście zgodzę się na obecność osoby trzeciej podczas naszego spotkania.

Rojer zwrócił uwagę na dość niecodzienny dobór słów, ale nie znalazł powodów do sprzeciwu. Wkrótce obaj szli ścieżką prowadzącą do chaty Leeshy. Gared nalegał, by im towarzyszyć, i przez całą drogę nie spuszczał z Jardira oczu. Wydawało się jednak, że krasjański przywódca szczęśliwie jest tego nieświadom.

\* \* \*

– Dlaczego pani Leesha nie mieszka w obrębie owego cudownego wielkiego runu w waszej wsi? – zdziwił się Jardir. – Przecież jest dla was kimś tak cennym, że nie powinna narażać się na niebezpieczeństwo grożące ze strony *alagai*.

Rojer wybuchnął śmiechem.

– Gdyby jednej nocy powstała nawet cała Otchłań, dom Leeshy byłby najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Jardir nie dawał wiary w te słowa do chwili, gdy podeszli do chaty i przekonał się, że na ścieżce wytyczono runy ukształtowane z kamieni na tyle wielkich, iż nawet nadeptanie nie naruszało struktury symbolu.

Jardir zatrzymał się jak wryty i ze zdumieniem przyjrzał kamieniom. Ukucnął i obmacał najbliższy z nich.

– Na brodę Everama, przecież do wyrzeźbienia tych runów potrzeba było pewnie tysiąca niewolników!

– My nie mamy nic wspólnego z pustynnymi brudasami, którzy trzymają niewolników – mruknął Gared.

Pierwszą myślą Jardira było zabić olbrzyma, ale w ten sposób na pewno nie zaimponowałby Leeshy. Odepchnął więc zniewagę i nie zaprzętał już sobie nią głowy, na powrót skupiając uwagę na ścieżce.

– Te runy zostały wylane, a nie wyrzeźbione – oznajmił Rojer. – Wykonano je z mieszaniny wody i kamienia zwanej kretą, która twardnieje, schnąc. Leesha własnoręcznie wycięła dziury w ziemi, a mieszkańcy wioski – ochotnicy co do jednego – wylali kretę.

Nadal zdumiony Jardir przyjrzał się kolejnym symbolom.

– To przecież runy wojenne – zauważył. – I to połączone.

– Każdy demon, który postawi na nich stopę, równie dobrze może zaczekać na wschód słońca.

Jardir uświadomił sobie, że gardzenie dziełami *chin* było z jego strony aktem naiwności i arogancji. Mieszkańcy Północy może i na swój sposób byli dzikusami, ale nawet Sharik Hora nie emanowała mocą zbliżoną do tutejszych runów.

Podwórce przed chatą było równie imponujące – z wytyczonymi ścieżkami symboli z krety, które tworzyły skomplikowaną barierę. Nieopodal znajdował się kwitnący, oszałamiający barwami ogród z kwiatami i ziołami. Grządki uformowano tak, by tworzyły kolejne runy. Jardir nie rozpoznawał wielu znaków, ale wyczuwał, że zadaniem całej struktury jest o wiele więcej niż tylko odpędzanie czy zabijanie otchłanców.

Poczuł się silny jak nigdy w życiu, a wola Everama pulsowała mu w ciele. Przeznaczeniem tej kobiety było zostać żoną Jardira. Gdy już będzie miał zarówno Leeszę, jak i Ineverę u boku, czy znajdzie się na tym świecie coś, czego Ahmann nie będzie w stanie dokonać?

\* \* \*

Leesha zajęta przygotowaniem posiłku przysłuchiwała się, jak Wonda rąbie drewno za domem. Monotonny, regularny rytm uderzeń siekiery uspokajał, a proste czynności związane z krzątaniem się po kuchni pomagały kobiecie odzyskać jasność umysłu. Wciąż wspominała wydarzenia poprzedniej nocy i nadal porównywała ludzi, których ujrzała, z tymi, którzy pojawili się w opowieściach uchodźców i ostrzeżeniach Arlena.

Bynajmniej nie chodziło o to, że lekceważyła relacje uciekinierów, ale wolała formować własne opinie. Wielu spośród uchodźców skłonnych było do przesady lub wygadywania bzdur, a Arlen nierzadko okazywał się człowiekiem surowym, niezdolnym do wybaczenia. Coś przytrafiło mu się w Krasji, wyrządzono mu krzywdę, której nie potrafił zapomnieć, ale skoro nie chciał o tym rozmawiać, Leesha mogła się tylko domyślać przyczyn niechęci Naznaczonego do przybyszów z pustyni.

Cokolwiek by mówić o Krasjanach, bez wątplenia byli niezrównanymi wojownikami. Przyglądająca się ich szarzy Leesha uświadomiła sobie to natychmiast. Rębacze przewyższali ich wzrostem i muskulaturą, ale na próżno było szukać u nich precyzji cechującej *dal'Sharum*. Ich pięćdziesiątka w okamgnieniu rozbiła hordę otchłanców szalejącą wokół Zakątka i jeśli reszta armii Jardira dysponowała choć połową tych umiejętności, rodacy Leeshy nie mieli w walce z nimi najmniejszych szans, nawet gdyby wsparła ich sekretami ognia.

Doszła więc do wniosku, że jeśli uniknięcie walki będzie możliwe, należy do tego dążyć. Życie każdego człowieka było zbyt cenne, by je marnować. Księgi ze starego świata

utrzymywały, że swego czasu świat zaludniały miliardy ludzi, a ilu ich przetrwało Powrót? Ćwierć miliona? Leeshy robiło się niedobrze na myśl o tym, że ostatni na świecie ludzie mieliby się wymordować w bratobójczej walce.

Nie mogła jednak się poddać. Nie mogła pomóc Krasjanom zgwałcić Zakątką. Zbyt dużo wysiłku kosztowało Leeshę utrzymanie mieszkańców razem po spustoszeniu, jakie poczyniła zaraza, a potem ułożenie życia uchodźcom z Lakton i Rizon, by teraz oddać wszystko na pastwę obcych. Zielarka musiała znaleźć jakiś sposób na zawarcie pokoju.

Jej pierwsze spotkanie z krasjańskim przywódcą rokowało pewne nadzieje. Okazał się człowiekiem kulturalnym i inteligentnym, w niczym nie przypominał oszalałego, toczącego pianę zwierzęcia z opowieści i na pewno honorował swoje zasady, nawet jeśli zdaniem Leeshy były one niekiedy okrutne. Leesha spojrzała głęboko w oczy krasjańskiego przywódcy i nie dostrzegła w nich okrucieństwa. Niczym surowy ojciec, który wymierza dziecku konieczną karę, Ahmann Jardir działał w imię tego, co uznawał za dobre dla ludzkości.

Leesha przerwała pracę, uświadomiwszy sobie, że odgłosy rąbania nagle ucichły. Uniosła głowę. Drzwi się otworzyły, a w progu stanęła Wonda.

– Umyj się i nakryj do stołu – nakazała Leesha. – Jedzenie będzie za kilka minut.

– Wybacz, pani, ale przyszli tu Rojer i Gared – powiedziała Wonda.

– Powiedz więc, by weszli, i nakryj dla nich również.

Wonda ani drgnęła.

– Nie są sami.

Leesha położyła nóż na krawalnicy, wytarła dłonie w ręcznik i podeszła do drzwi. Na ganku stał spokojnie Ahmann Jardir, ignorując złowrogie spojrzenia Gareda. Na czarny ubiór wojownika narzucił przepiękną białą szatę, która idealnie pasowała do białego turbanu i korony. Spojrzenie Leeshy przemknęło po wygrawerowanych na niej runach, ale zmusiła się, by opuścić wzrok. Napotkała wówczas jego oczy, co okazało się jeszcze gorsze. Źrenice Jardira wwierały się w nią z taką intensywnością, iż miała wrażenie, że przebijają się wprost do głębi jej duszy.

Jardir uklonił się nisko.

– Wybacz mi niezapowiedzianą wizytę, pani.

– Powiedz tylko słowo, a zawlokę go tam, skąd przylazł – rzucił Gared.

– Cóż znowu – oburzyła się Leesha. – Witaj – zwróciła się do Jardira. – Wraz z Wondą miałyśmy właśnie zasiąść do posiłku. Przyłączysz się do nas?

– Będzie to dla mnie zaszczyt. – Jardir znów się uklonił, a potem wszedł w ślad za Leeshą do domu, zatrzymując się tylko po to, by ściągnąć sandały i pozostawić je przy drzwiach. Zielarka zauważyła, iż nawet jego stopy pokryte są runami. Jego kopniak okazałby się dla otchłańca równie zabójczy jak kopniak Naznaczonego.

\* \* \*

Leesha przygotowała beźmięsną zupę, którą podała ze świeżym chlebem i serem. Jardir pochylił głowę, gdy pomodliła się przed posiłkiem, a potem wszyscy przystąpili do jedzenia. Krasjanin już ujął miskę, by wypić zawartość, gdy zauważył, że mieszkańcy zielonych krain nie ruszali nawet własnych, a opróżniali je osobliwymi narzędziami, którymi nabierali zupę i wlewali sobie do ust.

Zauważył podobny przedmiot przy własnym talerzu, drewniany, podłużny, z wgłębieniem na końcu. Zerknął na Leeszę i naśladowując jej ruchy, skosztował zupy. Smakowała wybornie warzywami, których nigdy dotąd nie jadł. Zaczął pałaszować z większym apetytem, a na koniec wytarł talerz kawałkami chleba, co podpatrzył u Gareda i Wondy.

– Wspaniale – oznajmił i aż przeszył go dreszcz, gdy ujrzał, że jego komplement sprawił kobiecie przyjemność. – Nie mamy tak pysznego jedzenia w Krasji.

– Możemy się wiele od siebie nauczyć, jeśli znajdziemy sposób na życie w pokoju – uśmiechnęła się Leesha.

– W pokoju, moja pani? – zapytał Jardir. – Nie ma mowy o pokoju na Ala dopóty, dopóki nocą rządzą *alagai*, a ludzie kulą się przed nimi ze strachu.

– A więc opowieści nie kłamią? Naprawdę chcesz nas podbić i utworzyć armię, z którą przystąpisz do *Sharak Ka*?

– A dlaczego miałbym was podbijać? – zdziwił się Jardir. – Wasz lud z pokorą wyznaje Stwórcę, nie waha się ruszyć do walki w noc i wspólnie z moimi wojownikami przelewał krew podczas *alagai'sharak*. To wszystko czyni was wyznawcami Everama, choć nie zdajecie sobie z tego sprawy.

– Akurat! – warknął Gared. – Nie mamy nic wspólnego z twoim plugawym...

– Gared! – ostry ton Leeshy przypominał trzaśnięcie bicia *dama* i natychmiast uciszył drwa. – Albo zaczniesz zachowywać się uprzejmie przy moim stole, albo zaaplikuję ci taką dawkę pieprzu, że nie odezwiesz się przez miesiąc!

Gared skulił się, a Jardir raz jeszcze zdumiał się wielkością władzy tej kobiety. *Dama'ting* przy niej wydawały się nieśmiałe i bezradne.

Leesha odwróciła się ku niemu.

– Proszę o wybaczenie, Ahmann.

Krasjański przywódca uśmiechnął się promiennie, a na twarzy Leeshy pojawiło się zaskoczenie.

– Cóż takiego powiedziałam?

– Moje imię – odparł po prostu Jardir.

– Przepraszam... Czy było w tym coś niestosownego?

– Wręcz przeciwnie. W twoich ustach zabrzmiało doprawdy pięknie.

Jego słowa sprawiły, że na bladych policzkach Leeshy, nieosłoniętych woalką, pojawił się rumieniec. Nigdy w życiu Jardir nie uwodził kobiety, ale zdaje się, że sam Everam podsuwał mu odpowiednie słowa.

– Ponad trzy tysiące lat temu mój przodek Kaji rządził ziemiami od Południowego Morza aż po lodowe pustkowia – powiedział.

– Tak głoszą opowieści – zgodziła się Leesha. – Niemniej trzy tysiące lat to długi okres, a opowieści z czasem tracą swoją... Swoją wyrazistość.

– Może tu, na Północy, ale świątynia Sharik Hora, stojąca w sercu Pustynnej Włóczni, trwa o wiele dłużej, a nasze opowieści są wierne i czyste jak łza. Kaji bez wątpienia rządził tymi ziemiami. Bywało, że rządził włócznie, bywało, że budował sojusze z miejscowymi plemionami i umacniał je więzami krwi.

Rozejrzał się.

– Krew Kajiego jest tu nadal silna. Nawet nazwa tej miejscowości – Zakątek Wybawiciela – oddaje mu cześć. Nie jesteście *chin*, których należy podbić. Jesteście braćmi, których należy powitać i włączyć do powstającego mocarstwa. Mianuję was plemieniem Zakątka i niniejszym przyznaję wam wszelkie należne prawa.

– Jakie prawa? – zapytała Leesha.

Jardir sięgnął pod szatę i wyciągnął swój egzemplarz Evejah. Jego okładkę sporządzono z miękkiej skóry i wzmocniono runami, a stronice pozłożono. Spomiędzy nich zwisała czerwona wstążka zaznaczająca miejsce, gdzie skończył czytać. Kartki były wytarte od częstego przewracania.

– Te oto prawa – rzekł, podając Leeshy księgę.

Kobieta ujęła tom z rewerencją kogoś, kto doskonale zna wartość podarunku, a gdy odwróciła książkę, by obejrzeć grzbiet, Jardir przypomniał sobie, że jest przecież córką introligatora. Odsunęła miskę i rozłożyła w tym miejscu serwetkę zdjętą ze stołu, po czym położyła na niej księgę i zaczęła ją wertować.

– Jest piękna – odezwała się po chwili. – Ale choć bardzo chciałabym nauczyć się waszego języka, obawiam się, że póki co nic z niej nie zrozumie.

Zamknęła tom i oddała go Jardirowi, lecz ten uniósł dłoń.

– Zatrzymaj ją. To najlepsza książka do nauki. Niewykluczone, iż przekonasz się, że zawarte w niej prawdy są o wiele bliższe twojej wierze, niż sądzisz.

– Nie mogę! – wykrzyknęła Leesha. – Jest zbyt cenna!

Jardir zaśmiał się.

– Obdarowałaś mnie płaszczem, który mógłby konkurować z szatą Kajiego, a wzdragasz się przed przyjęciem księgi prawd? Przecież mogę ją sobie przepisać raz jeszcze.

Leesha spojrzała na księgę, a potem na Krasjanina.

– Sam ją przepisałeś?

– Własną krwią – rzekł Jardir. – Podczas lat spędzonych na nauce w Sharik Hora.

Leesha otworzyła szerzej oczy.

– To nie złoto czy diamenty, zdaję sobie z tego sprawę – ciągnął wojownik. – Obsypałbym cię nimi, gdybym mógł, ale nie zabrałem ze sobą błyskotek. Ta księga jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadam, nie licząc korony, włóczni i nowego płaszcza. Mam jednak nadzieję, że ją przyjmiesz, nim Abban wynegocjuje odpowiednie wiano z twoją matką.

– Wiano? – zapytała zaskoczona Leesha.

– Oczywiście – rzekł Jardir. – Twój ojciec udzielił mi zgody, bym zaczął starać się o twoją rękę, a matka poprowadzi rozmowy w sprawie wiana. Rodzice niczego ci nie mówili?

– Nie, na Otchłań! – wykrzyknęła Leesha i zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedziała, upadło. Wszyscy poszli w jej ślady. Jardir nagle poczuł ukłucie strachu. Uraził Leeszę, ale nie miał pojęcia czym i nie wiedział nawet, jak przeprosić.

– Ty synu Otchłani! – ryknął Gared i zamachnął się ogromną pięścią na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Jardira.

Ten zaś nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni ktokolwiek ośmielił się go uderzyć. Gdyby byli w jakimkolwiek innym miejscu, zabiłby wielkoluda bez wahania za afront, ale w porę przypomniał sobie, że Leesha niechętnie spogląda na przemoc. Uciekł się zatem tylko do obrony własnej. Złapał nadgarstek Gareda, wykonał obrót i rzucił nim ponad stołem tak, by olbrzym padł na plecy. Po czym przycisnął stopą gardło Gareda, a gruby nadgarstek ścisnął dwoma palcami. Choć drwal rzucał się wściekle, nie był w stanie się uwolnić. Z każdą chwilą jego twarz czerwieniała coraz mocniej.

– Lepsi od ciebie właśnie rozmawiają, *Sharum* – rzekł. – Ze względu na szacunek do pani Leeshy znośłem jak dotąd twoje grubiaństwo, ale jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie zaatakować, wyrwę ci ramię ze stawu.

Pociągnął lekko, a Gared zaryczał z bólu. Wszyscy spojrzeli na Leeszę, nie wiedząc, jak zareagować. Ta zaś skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie zaszkodzi ci ta lekcja, Rębaczu. Nikt cię nie prosił, byś atakował gościa pod moim dachem. A teraz precz stąd. Rojer, Wonda, wy również wyjdźcie. Poczekajcie na podwórzu.

– Prędej nas Otchłań pochłonie! – wykrzyknął Rojer, a Wonda skinęła głową, zaznaczając swe poparcie. – Jeśli przyszło ci do głowy, że zostawimy cię z tym...

Rozległ się huk, u stóp Minstrela i dziewczyny podłoga eksplodowała. Oboje odskoczyli przerażeni. Leesha nie powiedziała ani słowa, ale z zaciętą twarzą, gniewna niczym chmura burzowa, wskazała im drzwi. Para zniknęła w okamgnieniu. Jardir puścił Gareda, który czmychnął w ślad za towarzyszami.

Jardir odwrócił się do Leeshy i złożył jej głęboki, długi ukłon.

– Proszę o wybaczenie, pani, choć doprawdy nie pojmuję, dlaczego stałem się przyczyną takiego zamieszania. Przybyłem do ciebie i do twojej rodziny z uczciwymi zamiarami, niemniej zachowujecie się, jakbym próbował uprowadzić cię siłą.

Leesha nie odpowiadała przez chwilę, a jej straszliwy, nieposkromiony gniew obudził w



sercu Ahmanna lęk, sprawił, iż mężczyzna miał wręcz ochotę zasłonić ramieniem oczy niczym podczas burzy piaskowej. Powoli jednak kobieta stłumiła targające nią emocje i na jej twarzy znów pojawił się spokój.

– Ja również przepraszam – westchnęła. – Mój wybuch nie był skierowany przeciwko tobie. Rozwścieczyło mnie, że dowiedziałam się jako ostatnia, że właśnie zacząłeś starać się o moją rękę.

– Abban powiedział twoim rodzicom, że przyjdę bezzwłocznie – odparł wojownik. – Założyłem więc, że cię powiadomili.

– Wierzę ci – skinęła głową Leesha. – Moja matka nie po raz pierwszy robi takie rzeczy za moimi plecami.

– Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, nie musisz od razu udzielać odpowiedzi – ukłonił się Jardir.

– Tak... – zaczęła Leesha. – To znaczy nie. Chodzi o to, że... No tak, czuję się zaszczycona propozycją, ale nie mogę za ciebie wyjść.

Ale tak się stanie, pomyślał Jardir. Twoim przeznaczeniem jest pokochać mnie tak jak ja kocham ciebie.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Twoja matka utrzymuje, że nikt inny nie ubiega się o twoją rękę, a ja zapłacę każde wiano, którego zażąda twoja rodzina. Wkrótce zapanuję nad całą Północą, a ty będziesz rządzić wraz ze mną. Który mąż mógłby zaoferować ci więcej?

Leesha zamilkła na moment, a potem pokręciła głową, jakby chciała rozgonić natrętne myśli.

– To bez znaczenia. Ledwie cię znam, a wiano się dla mnie nie liczy i szczerze mówiąc, wcale nie wiem, czy chcę, byś „zapanował” nad czymkolwiek.

– Wybierz się ze mną do Lenna Everama – zaproponował Jardir. – Poznaj mój lud, przekonaj się na własne oczy, co budujemy. Nauczę cię mojego języka, będziesz mogła mnie poznać i zdecydować, czy jestem... Czy jestem godzien panować.

Leesha przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a Jardir czekał cierpliwie, wiedząc, że jej odpowiedź okaże się *inewera* – wolą Everama.

– Dobrze – odezwała się wreszcie. – Ale zabiorę ze sobą odpowiednich towarzyszy i nie będę musiała podejmować żadnych decyzji, póki nie wrócę bezpiecznie do Zakątka.

– Oczywiście – ukłonił się Jardir. – Przysięgam na Everama.

\* \* \*

Rojer kroczył po podwórzu, nie spuszczając wzroku z domu Leeshy. Gared zaciskał pięści przypominające bochny, nawet Wonda założyła cięciwę na łuk. W końcu drzwi stanęły otworem i wyszedł przez nie Jardir, a po nim Leesha.

– Wonda, odprowadź Jardira do wsi – poleciała Zielarka. – Gared, dokończ rąbanie

drewna.

Gared z burknięciem pochwycił siekierę Wondy, a łuczniczka w towarzystwie Krasjanina szła już ścieżką przez podwórze. Rojer zerknął na Leeszę, która wskazała mu drzwi. Wbiegł za nią do izby. Zielarka usiadła na bujanym fotelu Bruny i owinęła się szalem. Nie był to dobry znak.

– Jak JarDir zniósł odmowę? – zapytał Rojer, nadal stojąc.

– Do niczego nie doszło – westchnęła Leesha. – Powiedział, bym się nie spieszyła i przemyślała sobie wszystko dokładnie. Zaprosił mnie, bym udała się wraz z nim do Rizon.

– Nie możesz z nim pojechać – sprzeciwił się Minstrel.

Leesha uniosła brew.

– Masz mniej więcej tyle samo do powiedzenia w kwestii mojego przyszłego męża co moja matka, Rojer.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar go poślubić? Po wypiciu filiżanki herbaty i jednym niezbyt udanym wspólnym posiłku?

– Oczywiście, że nie. Nie mam zamiaru przyjąć jego oświadczyn.

– A więc dlaczego, na Otchłań, chcesz oddać się w ręce tego barbarzyńcy?

– Tuż za naszym progiem obozuje wroga armia, Rojer. Nie czujesz potrzeby, by się jej bliżej przyjrzeć? Nie widzisz sensu w przeliczeniu namiotów i sprawdzeniu, jak myśli jej przywódca?

– Nie, jeśli mielibyśmy zapłacić za to życiem – rzekł Rojer. – Księżę Rhinebeck nie jeździ do Miln osobiście, by się przekonać, co knuje Euchor. Ma od tego szpiegów.

– Ja nie mam szpiegów.

– Masz natomiast ponad tysiąc Rizończyków, którzy zawdzięczają ci życie. Wielu z nich pozostawiło rodziny w Rizon. Kilku z pewnością da się namówić, by wrócili do domu i mieli oczy i uszy szeroko otwarte.

– Nie będę wydawała rozkazów, których spełnienie wiąże się z ryzykiem utraty życia – sprzeciwiła się Leesha.

– Swoje natomiast narazisz?

– Nie sądzę, by Ahmann chciał mnie skrzywdzić.

– Dwa dni temu był tylko demonem pustyni – rzucił Rojer. – A teraz jest Ahmannem? Co, teraz będziesz się uśmiechać z wdzięcznością do każdego, kto wierzy, że jest Wybawicielem?

– Nie mam już ochoty tego słuchać, Rojer – zmarszczyła brwi Leesha.

– A mnie nie obchodzi, na co ty masz ochotę, a na co nie! – warknął Minstrel. – Słyszałaś, jak Krasjanie traktują kobiety? Bez względu na to, co ten oślizgły wąż ci naopowiadał, gdy tylko wyjdiesz poza zasięg naszych łuków, staniesz się jego własnością, a każdego z twoich towarzyszy czeka włócznia wbita w oko.

– A zatem nie pojedziesz ze mną? – rzuciła Leesha.

– Na noc, czy słyszałaś choć połowę tego, co ci właśnie powiedziałem?

– Wysłuchałam, co do słowa. Mimo to nie zmieniłam decyzji. Jeśli Ahmann jest taki, jak go opisujesz, nie da się uniknąć wojny, a to, co zrobimy, nie będzie miało większego znaczenia. Niemniej jeśli istnieje choć drobna szansa, że Jadir wierzył w to, co mówił przy stole, to jest też nadzieja, że znajdziemy sposób na współistnienie bez konieczności zabijania się nawzajem. Odkrycie owego sposobu jest zaś dla świata o wiele ważniejsze niż los Leeshy z Zakątka.

Rojer westchnął i opadł ciężko na krzesło.

– Kiedy wyjeżdżamy?

Część IV

# Zew Otchłani

## Powrót do Potoku Tibbeta

333 ROK PLAGI, LATO

Fort Miln niknął na horyzoncie, a Naznaczony jechał w ponurym nastroju. Radość, którą natchnęło go pożegnanie z Ragenem i Elissą, rozwiała się po spotkaniu z Jaikiem. Raz za razem Naznaczony rozgrywał w myślach rozmowę, którą odbył z przyjacielem, i wymyślał słowa, które powinien był mu powiedzieć, a które przychodziły Arlenowi do głowy dopiero teraz, gdy było już za późno. Nie pomogło to w odpędzeniu dręczącego go przeświadczenia, że Jaik miał rację.

Chcąc skupić się na czymś innym, otworzył księgę podarowaną mu przez Ronnella, ale również to nie przyniosło mu ulgi. Ujrzał w niej sekrety ognia, których tak zazdrośnie strzegła Leesha, a obok schematy machin, dzięki którym można je było zamienić w morderczo precyzyjną broń. Machiny były jednakże przeznaczone do zabijania ludzi, a nie demonów.

Czy ludzkość naprawdę znalazła się na krawędzi zagłady przez otchłańce? – zastanawiał się. A może to ludzie ludziom zgotowali ten los?

Słońce chyliło się ku zachodowi, a Naznaczony dostrzegł przy drodze ruiny niewielkiej warowni. Któryś z przodków Euchora trzymał tam ongiś garnizon, ale później warownia dostała się we władanie demonów i nigdy jej nie odbudowano. Większość Posłańców omijała ją szerokim łukiem, przeświadczona, że miejsce jest nawiedzone. Pogięte, przerdzewiałe skrzydła bramy zwisały martwo na zawiasach, a w murze ziały ogromne jamy.

Naznaczony wjechał do ruin i spętał Nocnego Tancerza w runicznym kręgu. Rozebrał się do przepaski biodrowej, wybrał włócznię i łuk. Gdy zapadły ciemności, pomiędzy rumowisk na dziedzińcu zaczęły się sączyć obłoki mgły, powoli gęstniejąc i przeistaczając się w postaci otchłańców. Demony wyrastały jak grzyby po deszczu, kierując się instynktem, który podpowiadał im, że smakowita zdobycz powróci któregoś dnia w te strony. Gdy zawiodła

bariera runiczna, która chroniła warownię, demony pożarły pięćdziesięciu ludzi. Niewykluczone, że były to te same, które teraz mężczyzna widział na dziedzińcu. Polegli zasługiwali przynajmniej na zemstę.

Naznaczony odczekał, aż demony go dostrzegą, i ruszył do ataku, unosząc łuk. Pierwsza strzała zgasiła życie ognistego demona. Kolejną ofiarą był wielki skalny potwór, na którego Naznaczony musiał zużyć kilka pocisków.

Gdy stwór wreszcie padł, pozostałe demony znieruchomiały. Runiczne kamienie, które Naznaczony rozmieścił uprzednio w dziurach w ścianie oraz w bramie, nie pozwoliły im na ucieczkę. Arlenowi szybko skończyły się strzały, a wtedy zaatakował otchłańce z tarczą i włócznią, by w końcu porzucić wszelką broń i walczyć gołymi rękami.

Z każdą upływającą godziną nocy mężczyzna czuł się coraz silniejszy i wchłaniał coraz więcej magii. Pograżony w morderczym szale, nie myślał o niczym poza zabijaniem, aż w końcu uświadomił sobie, że nie ma już przeciwników. Tylko czarna posoka syczała na jego runach. Wkrótce niebo zaczęło jaśnieć, a kilka ocalałych demonów zamieniło się w obłoczki mgły i umknęło przed promieniami słońca.

Gdy blask padł na Naznaczonego, mężczyzna poczuł, jakby oblał go płynny ogień. Słońce paliło go w oczy, czuł nudności i zawroty głowy, a gardło aż płonęło. Stanie w słońcu okazało się dlań torturą nie do zniesienia.

Nie pierwszy raz miał z tym do czynienia. Leesha twierdziła, że słońce wypala nadmiar zgromadzonej w nim magii, ale z głębi duszy – owej najbardziej pierwotnej głębi – instynkt podpowiadał mu, iż prawda wyglądała inaczej.

Słońce go odrzucało. Naznaczony stawał się demonem. Powierzchnia ziemi nie była już jego domem.

Otchłań wzywała go, oferując schronienie. Jego okolone runami oczy wyraźnie widziały ścieżki wylaniające się z głębi ziemi, podobne do magicznych otworów wentylacyjnych. Wszystkie śpiewały tę samą pieśń. Słońce nie spopieli cię, gdy znajdziesz się w objęciach Otchłani.

Naznaczony zaczął się dematerializować, chcąc ześlizgnąć się wzdłuż jednej ze ścieżek, posmakować jej.

Tylko ten jeden raz, obiecał sobie. Tylko po to, by poszukać słabych stron. Tylko po to, by się przekonać, czy można przenieść walkę pod ziemię.

Wiedział, że to myśl w tym samym stopniu szlachetna co nieprawdziwa. Wiedział, że najprawdopodobniej zostanie unicestwiony.

Tak czy owak, świat płakać po mnie nie będzie.

Nim zdążył się rozpląnąć, oślepił go nagły rozbłysk, gdy jedno z poczerniałych ciał na dziedzińcu eksplodowało w zetknięciu z promieniami słońca. Naznaczony rozejrzał się. Trupy jeden po drugim stawały w płomieniach, aż dziedziniec przypominał scenę podczas pokazu fajerwerków.

Otchłańce płonęły, a ból mężczyzny zaczynał słabnąć. Słońce osłabiło go jak zwykle, ale nie zniszczyło.

Jeszcze nie, pomyślał. Niemniej niewiele mi zostało czasu. Trzeba zawieźć runy do Potoku, póki to jeszcze możliwe.

\* \* \*

Im bliżej Potoku, tym więcej elementów krajobrazu wydawało się Naznaczonemu znajomych, dzięki czemu jego umysł, nadal rozpamiętujący Otchłań, skupił się na rzeczywistości. Mężczyzna minął jaskinię Posłańców, w której kiedyś znalazł schronienie z Ragenem i Keerinem. Minął ruiny, za którymi natrafił na towarzyszy. Wiedział, że tam akurat demonów nie zastanie, gdyż miejsce to obrała na siedzibę gromada nocnych wilków, te zaś należało omijać szerokim łukiem. Nawet otchłańce zwykły dwakroć się zastanowić przed atakowaniem watahy. Po stuleciach niczym niezagrożonej dominacji demonów i ich polowań na słabsze i mniejsze stworzenia przetrwały jedynie nieliczne gatunki drapieżców, równie zajadłych jak same otchłańce. Waga dorosłych nocnych wilków, nazwanych tak z powodu czarnej sierści, sięgała trzystu funtów, a w sytuacjach zagrożenia wataha była w stanie rozszarpać drzewnego demona.

Mężczyzna jechał dalej, aż natrafił na polankę, gdzie okaleczył Jednorękiego. Spodziewał się, że miejsce będzie wyglądać tak, jak je zostawił. Był przygotowany na widok spalonej, poczerniałej ziemi otaczającej czysty krąg.

Walka z demonem odbyła się ponad czternaście lat temu i ponure miejsce już dawno zarosło bujną trawą i kwiatami. Wydawało się wręcz weselsze i żywsze niż otoczenie. Gdyby Naznaczony wierzył w przesady, gotów byłby nazwać to dobrym znakiem.

W tak odosobnionej wsi jak Potok Tibbeta każdy Posłaniec, każdy przybysz, ba, nawet wędrowiec ze Słonecznych Pastwisk należał do rzadkości i nieodmiennie wzbudzał sensację. Dotarcie do osady o tak wczesnej porze nie było dobrym pomysłem, więc Naznaczony ściągnął wodze i zatrzymał się na popas. Lepiej przemierzyć wioskę późnym popołudniem, gdy ludzie skupiają się na sprawdzaniu runów, a nie na obserwacji drogi. Mężczyzna zamierzał dotrzeć do Ryneczku tuż przed zmierzchem, by zdążyć wynająć pokój w tawernie Wieprza. O świcie zaś Naznaczony chciał jak najszybciej odnaleźć Mówcę i przekazać grymuar z runami wojennymi, rozdać trochę broni i zniknąć, nim przyciągnie większą uwagę. Zastanawiał się, czy Selia nadal piastowała funkcję Mówcy jak za młodych lat Arlena.

Pierwszym mijanym gospodarstwem była farma Macka, ale choć Naznaczony słyszał zwierzęta w oborze, nie dostrzegł nikogo. Niedługo dotarł do obejścia Harla, lecz wydawało się opuszczone. Naznaczony stwierdził, iż musiało się to wydarzyć niedawno, gdyż runy nadal były nietknięte. Nie znalazł jednakże bydła ani trzody chlewnej, a na polach panował nieporządek, jakby nie zajmowano się nimi od dłuższego czasu. Nie tak przedstawiały się

następstwa ataków demonów. Mężczyzna zastanawiał się, co też mogło się tu stać.

Gospodarstwo Harla miało dla Arlena szczególne znaczenie. Przez jedenaście lat życia było to najdalsze miejsce, do którego dotarł. Co więcej, to tu właśnie całował Beni i Rennę tej nocy przed śmiercią ich matki. Cóż za ironia losu. Nie pamiętał już rysów twarzy własnej matki, ale nadal przypominał sobie pocałunki z córkami Harla. Pamiętał, jak zderzył się zębami z Beni i jak oboje przestraszeni odskoczyli od siebie, pamiętał ciepłe, miękkie usta Renny, pamiętał smak jej oddechu.

Od dawna już nie myślał o Rennie Tanner. Ich ojcowie uzgodnili małżeństwo i gdyby Arlen nie uciekł z domu, pewnie Renna byłaby teraz jego żoną, wspólnie wychowywaliby dzieci i zajmowali się gospodarstwem Jepha. Zastanawiał się, co się z nią stało.

Z każdą chwilą natrafiał na kolejne zagadki. Nie było powodu, by zachować szczególną ostrożność, ponieważ nigdzie Naznaczony nie widział ani żywego ducha, domy pozamykano na siedem spustów. Przyszło mu do głowy, iż być może nadszedł festiwal przesilenia letniego, ale po przeliczeniu dni doszedł do wniosku, że to niemożliwe. A zatem wszyscy musieli zostać wezwani przez Wielki Róg.

Wielki Róg znajdował się w Ryneczku, a dęto w niego po ataku otchłańców, by mieszkający najbliżej przybyli z pomocą, zatroszczyli się o ocalałych lub jeśli trzeba, pomogli w odbudowie. W takich sytuacjach ludzie zamykali domy oraz obory i wyjeżdżali, czasem na całą noc.

Naznaczony wiedział, że przed ucieczką z domu oceniał swych rodaków zbyt surowo, albowiem nie różnili się niczym od mieszkańców Zakątka Drwali ani tuzina innych wsi, które miał okazję odwiedzić. Ludzie z Potoku może i nie rzucali wyzwania otchłańcom jak Krasjanie, ale stawiali opór na swój sposób, trzymając się razem i odnawiając łączące ich więzi. Kłótnie dotyczyły jedynie spraw drobnych. Nikt w Potoku nie pozwoliłby, by jego sąsiad chodził głodny czy nie miał gdzie się schronić na noc, co miało miejsce w wielu innych osadach.

Mężczyzna wciągnął powietrze w płuca i przyjrzał się niebu, ale nigdzie nie wykrył śladów dymu, który był najbardziej zauważalnym sygnałem, iż demony dokonały wyłomu. Wyteżył słuch, ale wokół panowała absolutna cisza, więc po kilku rekonesansach w okolicy Naznaczony ruszył drogą do Ryneczku. Liczył, iż być może tam pozna wieści o ataku.

Dotarł na miejsce pod wieczór i już z daleka usłyszał gwar. Naznaczony odprężył się, uświadamiając sobie, że jego lęki były bezpodstawne, ale zaraz zadał sobie pytanie, co takiego ściągnęło wszystkich mieszkańców okręgu do Ryneczku. Czyżby jedna z córek Wieprza wreszcie wychodziła za mąż?

Ulice były puste, ale we wsi zgromadziła się chyba cała ludność okręgu. Ludzie tłoczyli się na gankach, w sieni i w oknach. Niektórzy, jak choćby przybysze ze Strażnicy, nakreślili nawet własne kręgi. Stali w nich z dala od innych, ściskając Kanony, zatopieni w modlitwie. Stanowili ostry kontrast dla przybyszów z Pagórka Bogginów, którzy szlochali, obejmując się



nawzajem. Naznaczony dostrzegł w tłumie siostrę Renny, Beni, która trzymała się kurczowo Lucika Boggina.

Wszyscy zaś patrzyli na rynek, gdzie tkwił słupek. Przywiązano do niego młodą, piękną kobietę.

A słońce chyliło się ku zachodowi.

\* \* \*

Naznaczony niemalże natychmiast rozpoznał Rennę Tanner. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało, być może dlatego, że niedawno o niej myślał lub dopiero co widział jej siostrę. W każdym razie nawet po tak długiej rozłące nie mógł pomylić jej okrągłej buzi ani brązowych włosów, które sięgały niemalże do talii dziewczyny.

Ledwie stała, podtrzymywana głównie przez sznury, którymi opasano ją pod pachami i dookoła klatki piersiowej. Oczy miała otwarte, ale jej spojrzenie, puste i rozmazane, nie skupiało się na niczym konkretnym.

– Co tu się wyrabia, na Otchłań! – ryknął Naznaczony, wbijając pięty w boki Nocnego Tancerza. Ogromny ogier wpadł na plac i zaczął tańczyć przed zaskoczonymi wieśniakami, ryjąc głębokie bruzdy w trawie. Rynek opromieniał nikły, migotliwy blask lamp i pochodni, lecz wyżej purpura nieba nabierała intensywności. Do powstania otchłańców pozostały sekundy.

Mężczyzna zeskoczył z siodła i podbiegł do słupka, by rozwiązać sznury krępujące Rennę. Ruszył ku niemu jakiś starzec, wymachujący długim myśliwskim nożem o poplamionej klindze. Naznaczony miał bardzo czuły węch i jego nozdrza od razu pochwyciły zapach zaschniętej krwi. Rozpoznał też Sędziego Raddocka, Mówcę Rybitw.

– To nie jest twoja sprawa, Posłańcze! – oznajmił Sędzia, mierząc w intruza nożem. – Ta dziewczyna zabiła mojego krewniaka oraz własnego ojca, dlatego chcemy ją za karę rzucić na pastwę otchłańcom!

Naznaczony spojrział ze zdumieniem na Rennę i w jednej chwili, jakby po wymierzeniu siarczystego policzka, napłynęły świeże wspomnienia. Arlen przypomniał sobie zabawę w małżeństwo, do której Beni i Renna chciały go namówić na strychu, zabawę obmyśloną na podstawie obserwacji Ilain i ich ojca. Przypomniał sobie sekret Ilain, przypomniał sobie, jak błagała Jepha, by ją zabrał, przypomniał sobie postękiwanie, które dobiegało z pokoju Harla późno w nocy.

Tym razem przyjrzał się tym wspomnieniom jako dorosły mężczyzna, a nie naiwny chłopiec. Ogarnęło go przerażenie, które natychmiast zastąpił wściekły gniew. Złapał Raddocka za ramię tak szybko, że Sędzia nie zdołał nawet tego zauważyć, i wykorzystując jeden z tajników *sharusahk*, rzucił nim o ziemię. Nóż wypadł z bezsilnych palców starca.

Naznaczony uniósł ostrze wysoko, by wszyscy mogli je ujrzeć.

– Skoro Renna Tanner zabiła swojego ojca – wykrzyknął – powiem wam tylko, że wreszcie się dograł!

Odwrócił się, by przeciąć więzy dziewczyny, ale wtedy kilku ludzi z Rybitw z Garrikiem na czele zaatakowało go rybackimi nożami. Naznaczony wbił zakrwawiony nóż w słup i popatrzył na nadchodzące osoby.

Nazwanie walką tego, co nastąpiło potem, byłoby wielkim komplementem dla rybaków. Choć silni, nie dało się ich nazwać wojownikami. Naznaczony zaś był weteranem, silniejszym od mieszkańców osady razem wziętych. Tylko jego łasce zawdzięczali to, że żaden z nich nie padł na ziemię z poważniejszymi obrażeniami.

– Póki tu jestem, nikogo nie rzucicie otchłāncom na pożarcie! – warknął. – Zabieram dziewczynę i nikt mnie nie powstrzyma.

Rozległo się stuknięcie. Mężczyzna uniósł spojrzenie i jego oczy otwarły się szerzej z niedowierzania. Przed nimi stał Jeorje ze Strażnicy, który wyglądał mniej więcej tak jak wtedy, gdy Arlen widział go po raz ostatni, czyli szesnaście lat temu, Jeorje’emu stuknął wówczas dziewiąty krzyżyk.

– Może rzeczywiście nikt z nas cię nie powstrzyma – rzekł, kiwając głową i wymachując laską. – Odnoszę jednak wrażenie, że to nie z nami będziesz miał teraz przeprawę, chłopcze. Plaga pochłonie was oboje!

Naznaczony spojrzał we wskazanym kierunku i zrozumiał, że starzec się nie myli. Wszędzie unosiły się obłoki mgły, a kilka demonów już przybierało materialne kształty. Rybacy podnosili się i z okrzykami przestachu kuszykali ku runom.

Na twarzy Jeorje’a odmalowało się uduchowanie człowieka, który patrzy, jak dokonuje się sprawiedliwość, ale Naznaczony nawet nie drgnął. Ściągnął kaptur i spojrzał w oczy Opiekunowi z Południowej Strażnicy.

– Miewałem już gorsze przeprawy, staruszku – warknął, pozbywając się szat. Tłum aż westchnął na widok wytatuowanej skóry.

Jak zwykle ogniste demony natarły pierwsze. Jeden skoczył na Rennę, ale Naznaczony złapał go za ogon i cisnął przez plac. Inny zaatakował frontalnie, lecz runy na ciele wojownika rozjarzyły się nagle i szpony demona chybiły. Mężczyzna błyskawicznie złapał otchłānca za szczęki, stwór nie zdążył go ugryźć, lecz za to plunął mu ogniem między oczy.

Runy na twarzy Naznaczonego rozjarzyły się na ułamek sekundy, wchłaniając impet ataku i zamieniając plunięcie w chłodny powiew wiatru. Symbole na jego dłoniach promieniały coraz mocniej, coraz jaskrawiej, aż w końcu zmiażdżył pysk demona i odrzucił jego truchło.

Jako kolejny zmaterializował się drzewny demon, który natychmiast ruszył na Nocnego Tancerza, lecz ogier stanął dęba i zmiażdżył go naznaczonymi runami kopytami, spod których strzeliły iskry.

Nad głową Naznaczonego rozległ się wrzask. Mężczyzna uskoczył w samą porę, by

uniknąć ataku wichrowego demona, po czym złapał stwora i wykorzystał jego impet przeciw niemu. W rezultacie latający stwór grzmotnął o ziemię, a Naznaczony przy świetle dzikich rozbłysków magii zmiażdżył mu gardło stopą.

Skoczyły nań dwa kolejne drzewne demony. Naznaczony kopnął pierwszego w brzuch i odrzucił przy eksplozji magii, a potem przypadł do drugiego. Wykorzystując *sharusahk*, unieruchomił ramię i oderwał, a potem rzucił nim w Jeorje'ego. Ramię zakreśliło szeroki łuk w powietrzu i pacnęło o ziemię niedaleko bariery, za którą stał Opiekun Południowej Strażnicy.

Trzy ogniste demony opadły okaleczonego pobratymca, który wrzasnął, gdy pożarły go płomienie. Drugi z drzewnych demonów, odrzucony wcześniej kopnięciem, pozbierał się i ruszył do ataku, ale wystarczyło głuchoe warknięcie Naznaczonego, by demon stracił rezon.

– To Wybawiciel! – zakrzyknął ktoś w tłumie. Wielu innych powtórzyło okrzyk, niektórzy padli nawet na kolana, ale Naznaczony jedynie się skrzywił.

– Nie mam zamiaru wybawiać nikogo, kto rzucił dziewczynę demonom! – ryknął. Podszedł do Renny, wyrwał nóż wbity w słup i przeciął jej więzy. Padła w ramiona wybawcy, a ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. W jej oczach pojawiło się zrozumienie i potrząsnęła głową, jakby próbowała uporządkować myśli. Naznaczony zaś podsadził ją na koński grzbiet.

– Ta wiedźma zabiła mojego syna! – wrzasnął Garric Fisher.

Naznaczony odwrócił się szybko. Doskonale pamiętał krzywdy, które znosił za sprawą Cobiego jako dziecko.

– Twój syn był niegodziwym brutalem, wartym tyle co szczyzny otchłańca – oznajmił, wskakując na siodło za Renną. Dziewczyna wtuliła się w niego niczym dziecko, drżąc, choć noc była ciepła.

Naznaczony rozejrzał się po otaczających go przerażonych twarzach. Dostrzegł swojego ojca w tłumie, tulącego Ilain Tanner, i znów przeszył go gniew. A więc nic się nie zmieniło – ojciec gotów był tylko stać i patrzeć, jak Renna ginie, chociaż znał przewiny Harla.

– Przybyłem tu, by nauczyć was, jak walczyć z otchłańcami! – wykrzyknął. – Ale widzę, że w Potoku Tibbeta nadal rodzą się jedynie tchórze i głupcy!

Odwrócił się, by odjechać, ale wyrzuty sumienia mu nie pozwoliły. Spojrzał przez ramię, gotów dać mieszkańcom Potoku ostatnią szansę.

– Każdy mężczyzna, każda kobieta czy dziecko, ktokolwiek, kto miałby ochotę zabijać otchłańce, a nie karmić je mięsem sąsiada, niech przybędzie tu o zmierzchu! – wykrzyknął. – Będę czekał. Jeśli nie przyjdziecie, niech was szlag trafi i Otchłań pogrąży!

Jeph śmiało zniósł jego spojrzenie, choć nie rozpoznał syna.

– Renna Tanner jest moją krewną! – wykrzyknął starszy z Balesów, przyciągając spojrzenia krajanów. – Zatrzymaj się w moim gospodarstwie przy drodze północnej! Renna zna drogę!

Naznaczony nie potrzebował wskazówek, ale mimo to skinął głową i zawrócił Nocnego Tancerza na północ.

– Cóż to ma znaczyć! – wrzasnął Sędzia Raddock. – Nie wolno udzielać schronienia wiedzmi morderczyń! Rada zagłosowała!

– Dobrze zatem, że w niej nie zasiadam! – odkrzyknął Jeph. – Bo niech noc będzie moim świadkiem, jeśli ty czy ktokolwiek inny przybędzie do mojego domu po Rennę, poleje się krew! O wiele więcej krwi!

Raddock otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tłumie poniosło się gniewne szemranie. Sędzia rozejrzał się, niepewny, po czyjej stronie są ludzie.

Naznaczony chrząknął, spiął Nocnego Tancerza do galopu i skierował się ku farmie swego ojca.

\* \* \*

Renna milczała przez całą drogę, opierając się o Arlena i przywierając do jego szat. Kilka demonów próbowało ich zatrzymać, ale Nocny Tancerz uskakiwał zręcznie i pędził, zostawiając je w tyle. Dwukrotnie po prostu wbił demona w pył drogi, nie zwalniając przy tym cwału.

Gospodarstwo ojca wyglądało mniej więcej tak, jak Arlen zapamiętał, choć z tyłu pojawiła się nowa przybudówka. Wzdłuż granicy pola z jęczmieniem stały słupy runiczne, z których kilka wyrzeźbił własnoręcznie, z roku na rok malowane świeżym lakierem. Jeph dbał o owe słupy z nabożnym niemal pietyzmem. Podobną gorliwość zaszczepił synowi, co Arlenowi niejednokrotnie ocaliło skórę i wpłynęło na wiele zdarzeń w jego życiu.

Wokół bariery uwijało się sporo demonów, tu i ówdzie próbując się przebić. Naznaczony ustrzelił dwa z nich z siodła, a gdy już znalazł się za barierą, przywiązał Nocnego Tancerza, ujął łuk, stanął w progu obory i wystrzelał resztę stworów. Gdy droga stanęła otworem, zaniósł Rennę do domu.

Drżał na całym ciele, gdy układał ją we wspólnej izbie i zapalał lampy, rozniecał ogień w palenisku. Otoczenie wydawało się Naznaczonemu tak bardzo znajome, że aż serce mu krwawiło. W izbie unosił się nawet ten sam zapach. Podświadomie Arlen oczekiwał wręcz, aż jego matka wyjdzie ze spiżarni i powie, by umył się na kolację. Przyszedł stary kocur, obwąchał go i otarł się o jego nogę, mrucząc. Naznaczony uniósł zwierzaka i podrapał za uszami, przypominając sobie jego narodziny za zepsutym wozem w oborze.

Podszedł do Renny, która siedziała tam, gdzie ją zostawił, bawiąc się rąbkiem sukni.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Renna pokręciła głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek jeszcze dobrze się poczuję.

– Znam to – odparł Naznaczony. – Chcesz coś zjeść?

Skinęła głową, a więc wstał i poszedł do spizarni. Bynajmniej się nie zdziwił, że wszystko było pozostawione dokładnie tak, jak zapamiętał. Widział wędzoną szynkę i świeże warzywa, bochny w skrzyni. Ułożył jedzenie na desce do siekania i nabrał wody z beczki. Wkrótce nad ogniem zaskwierczała pożywna potrawka, a po domu poniósł się smakowity aromat. Arlen otworzył kredens i rozstawił na stole miski oraz łyżki. Wrócił do Renny i zastał ją z kotem zwiniętym na kolanach. Głaskała zwierzę z nieobecny spojrzeniem, a jej łyżki wsiąkały w kocią sierść.

Renna nie mówiła wiele podczas posiłku, Naznaczony zaś złapał się na tym, że wpatruje się w nią i zastanawia, jakie słowa mogłyby ponownie tchnąć w nią życie.

– Dobrze? – zapytał, widząc, jak odrywa kawałek chleba, by wytrzeć resztki sosu z talerza.  
– Jest jeszcze trochę, jeśli chcesz dokładkę.

Pokiwała głową, więc podszedł do ognia i nałożył jej kolejną porcję.

– Dzięki – powiedziała. – Mam wrażenie, że nie jadłam niczego od wielu dni. Choć właściwie to chyba nie jadłam. Nie czułam głodu.

– Masz pewnie za sobą ciężki tydzień – stwierdził.

Wreszcie spojrzała mu w oczy.

– Pozabijałeś demony – rzekła. – Pozabijałeś je gołymi rękami.

Naznaczony pokiwał głową.

– Dlaczego? – zapytała.

Uniósł brew.

– Trzeba jakiegoś powodu, żeby zabijać demony?

– Ale przecież radni powiedzieli ci, co robiłam – zauważyła Renna. – I mieli rację. Nie doszłoby do tego, gdybym była posłuszna ojcu. Może zasługuję na śmierć.

Znów odwróciła spojrzenie, ale Naznaczony złapał ją mocno za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała. W jego oczach płonął ogień, jej rozwarły się szerzej ze strachu.

– Posłuchaj mnie, Renno Tanner – powiedział. – Twój ojciec nie zasługiwał na posłuszeństwo. Wiem, co za krzywdę wyrządził tobie i siostrze. Taki człowiek nie jest wart, by go słuchać. To on wywołał kłopoty, nie ty. Ty nigdy nie byłaś niczemu winna.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko, więc mężczyzna potrząsnął nią mocno.

– Rozumiesz?

Minęła dłuższa chwila, nim wreszcie Renna skinęła głową. Potem zrobiła to po raz drugi, bardziej zdecydowanie.

– To, co nam robił, nie było w porządku.

– Mało powiedziane – burknął Naznaczony.

– A biedny Cobie nie zrobił nic złego – ciągnęła Renna, mówiąc coraz szybciej i szybciej.

– Nie był brutalem ani gburem, przynajmniej ja niczego takiego w nim nie zobaczyłam. Chodziło mu tylko o to, by mnie poślubić, a ojciec...

– Zabił go z tego powodu – dokończył Naznaczony, gdy się zawahała.

Potwierdziła ruchem głowy.

– Taki człowiek nie jest więcej wart od demona.

– A z demonami się walczy, Renno – zgodził się Naznaczony. – Nie ma innego sposobu, trzeba iść przez życie z wysoko uniesioną głową. Nie można oczekiwać, że inni rozwiążą za ciebie problemy.

\* \* \*

Renna leżała skulona przy ogniu, pogrążona w głębokim śnie, gdy wóz Jepha wjechał na podwórze. Naznaczony przyglądał się temu przez okno. Z trudem przełknął ślinę, widząc czwórkę dzieci zeskakujących z tyłu wozu. Oto widział swych braci i siostry, których nigdy nie miał okazji poznać.

W ślad za nimi zeskoczyła stara, wciąż krzepka Norine oraz Ilain. Za młodu Naznaczony nie mógł oderwać od niej oczu, i nadal była śliczną kobietą.

Dopiero na widok swego ojca, który pomaga jej zejść z wozu, tak jak kiedyś pomagał jego matce, poczuł, jak na powrót budzi się w nim złość. Nie obwiniał Ilain o to, że chciała uciec od Harla – a w każdym razie już tego nie robił – ale mimo to nadal nie było mu łatwo pogodzić się z tym, jak szybko zajęła miejsce jego matki.

Spojrzał na drogę, ale nikt za nimi nie podążał. Otworzył więc drzwi i wyszedł im na spotkanie. Dzieci zatrzymały się jak wryte, wpatrując się w niego, a on podszedł prosto do Jepha.

– Śpi przy ogniu – powiedział.

– Dziękuję, Posłańcze. – Jeph skinął głową.

– Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i uchronisz ją od każdego, kto będzie chciał wyrządzić jej krzywdę – rzekł Naznaczony, celując w niego wytatuowanym palcem.

Jeph przełknął ślinę, ale pokiwał głową.

– Obiecuję.

Naznaczony zmrużył oczy. Jeph nierzadko składał szczerze obietnice, których rzekomo zamierzał dotrzymać, ale gdy nadchodził czas działania, łamał je bez namysłu. Nie było jednak innej opcji, więc skinął i rzekł:

– Dobrze. Wezmę więc konia i pojedę.

– Poczekaj, proszę. – Jeph złapał go za ramię.

Naznaczony spojrzał z niesmakiem i Jeph puścił go błyskawicznie.

– Ja tylko... – zawahał się. – Byłoby nam miło, gdybyś został na śniadanie. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Dziś wieczorem na głównym placu Ryneczku pewnie zbierze się całe miasto. Możesz póki co odpocząć trochę u nas.

Naznaczony wpatrywał się w niego. Z jednej strony chciał wyjechać stąd jak najszybciej, lecz z drugiej pragnął poznać swe rodzeństwo, a na samą myśl o porządnym, tradycyjnym

śniadaniu jego żołądek aż zaburczał. Tego typu rzeczy nie miały dlań znaczenia, gdy był dzieckiem, lecz teraz były cennymi wspomnieniami.

– W sumie to chyba mogę się u was zatrzymać na chwilę – powiedział i pozwolił się odprowadzić do domu, podczas gdy dzieci przystąpiły do swych obowiązków, a Norine i Ilain pospieszyły do spiżarni.

\* \* \*

– To jest Jeph junior – powiedział Jeph, gdy zebrali się przy stole.

Chłopiec skinął głową ku Naznaczonemu, ale nie odrywał wzroku od jego wytatuowanych dłoni, co rusz próbując też zajrzeć pod kaptur.

– Obok niego siedzi Jeni – ciągnął ojciec. – Jest od jakichś dwóch lat przyrzeczona chłopakowi od Tailorów. A dalej nasze dwie najmłodsze, Silvy i Cholie.

Naznaczony, którego posadzono naprzeciwko dzieci, między Renną a Norine, aż kaszlnął, słysząc oba imiona. Jedno bowiem nosiła jego nieżyjąca matka, a drugie wuj, który również nie żył. Upił nieco wody z kubka, by zatuszować zaskoczenie.

– Masz piękne dzieci – powiedział.

– Opiekun Harral mówi, że jesteś Wybawicielem – wypaliła mała Silvy.

– Cóż, myli się – odparł Naznaczony. – Jestem Posłańcem, który nosi dobre nowiny.

– Posłańcy wyglądają teraz tak jak ty? – zapytał Jeph. – Wymalowani od stóp do głów?

– Ja jestem jedyny w swoim rodzaju – przyznał Naznaczony z uśmiechem. – Ale jestem tylko człowiekiem, takim jak wy wszyscy. Nie przybyłem tu, by kogokolwiek wybawić.

– Wybawiłeś jednakże Rennę – rzekła Ilain. – Będę ci za to wdzięczna aż po grób.

– Nie musiało do tego dojść – stwierdził Naznaczony.

Po tych słowach zapadła cisza.

– Masz rację – rzekł po chwili Jeph. – Ale czasami, gdy ktoś zostaje zabity, to ogół podejmuje decyzję, a...

– Przestań się tłumaczyć, Jeph – warknęła Norine. – Przecież on ma słuszość. Cóż tak naprawdę mamy na tym świecie prócz krewnych i rodziny? Bez względu na to, co się dzieje, musimy stanąć po ich stronie.

Naznaczony spojrzał na nią. To nie była ta Norine, którą zapamiętał, Norine, która stała na ganku tej nocy, gdy jej matka została zabita przez otchłańce. Nie ruszyła się wówczas z miejsca i nie zrobiła niczego oprócz powstrzymania Arlena przed wybiegnięciem na pomoc matce. Kiwnął głową i zerknął na Jepha.

– Ma rację – rzekł. – Zawsze trzeba stawić czoła tym, którzy chcą skrzywdzić ciebie i twoich bliskich.

– Zupełnie jakbym słyszał swojego syna – stwierdził Jeph, a jego oczy zaszyły mgłą.

– Co takiego? – zapytał Naznaczony, czując niespodziewanie ucisk w gardle.

– Mnie? – zapytał Jeph junior.

– Nie, nie chodzi o ciebie. – Ojciec pokręcił głową. – Chodzi o twojego starszego brata.

Wszyscy przy stole za wyjątkiem Renny i Naznaczonego nakreślili run w powietrzu.

– Miałem kiedyś, dawno, dawno temu, jeszcze innego syna, chłopaka o imieniu Arlen – wyjaśnił Jeph, a Ilain ujęła jego dłoń i ścisnęła dla pokrzepienia serca. – Był zresztą przyrzeczony obecnej tu Rennie. Ale mama Arlena została zabita przez otchłańce i chłopak uciekł z domu.

Wbił wzrok w blat stołu.

– Zawsze wypytywał mnie o Wolne Miasta – podjął zduszonym głosem. – Lubił sobie wyobrażać, że kiedyś tam dotrze...

Urwał i potrząsnął głową, jakby chciał odgonić przygnębiające myśli.

– Ale masz teraz nową wspianiałą rodzinę – Naznaczony chciał, by w rozmowie pojawiły się bardziej pozytywne akcenty.

Jeph pokiwał głową, nakrył dłonią rękę Ilain i ścisnął ją mocniej.

– Każdego dnia dziękuję Stwórcy za to, że ich mam, ale nie oznacza to, że pogodziłem się z utratą tych, którzy kiedyś byli mi bliscy.

Po śniadaniu Naznaczony poszedł do stajni pod pozorem zajęcia się Nocnym Tancerzem, ale tak naprawdę chodziło mu o to, by побыć chwilę w samotności. Właśnie zaczął szcztokować sierść swego ogiera, gdy otworzyły się drzwi i weszła do środka Renna. Pocięła jabłko na mniejsze kawałki i zaczęła karmić Nocnego Tancerza, a gdy owoc został zjedzony, stała i gładziła go po bokach.

– Gdy przybiegłam tu, zapadał już wieczór – odezwała się. – Demony dorwałyby mnie, gdyby Jeph nie wyskoczył z bariery i nie rąbnął jednego z nich siekierą.

– Naprawdę? – zapytał Naznaczony, a gdy Renna przytaknęła, poczuł, jak coś zaczyna dławić go w gardle.

– Nie powiesz mu, prawda? – powiedziała.

– Co takiego miałbym mu powiedzieć? – zapytał Naznaczony.

– Że jesteś jego synem. Że żyjesz, masz się dobrze i że mu wybaczasz. Czekał tak długo. Dlaczego nadal go karzesz, skoro w twoich oczach widzę przebaczenie?

– Wiesz, kim jestem? – zapytał zaskoczony.

– Oczywiście, że wiem – parsknęła Renna. – Nie jestem głupia, bez względu na to, co ludzie sobie myślą. Skąd byś wiedział, co wyczyniał mój ojciec, gdybyś nie był Arlenem Balesem? Skąd wiedziałbyś, że Cobie był brutalem i która farma należy do Jepha? Na noc, ty grzebałeś po jego kredensie, jakby to nadal był twój dom.

– Nie chciałem, by ktokolwiek wiedział – odparł Naznaczony, uświadamiając sobie nagle, że jego miejscowy akcent, którego pozbył się w Miln, właśnie powrócił.

Zmiana akcentów była starą sztuczką Posłańców, którzy uciekali się do niej, by ludzie w odwiedzanej przez nich wsi czuli się swobodniej w ich towarzystwie. Sam posłużył się nią



setki razy, lecz tym razem odebrał to inaczej. Miał wrażenie, że posługiwał się ową sztuczką od chwili swego wyjazdu, a teraz wreszcie powrócił do dawnego sposobu mówienia.

Renna kopnęła go mocno w goleń. Aż kwiknął z bólu.

– To za to, że ubrdałeś sobie, że o niczym nie wiem! I za to, że mi nic nie powiedziałeś! – krzyknęła i pchnęła go tak mocno, że padł na stóg siana z tyłu stajni. – Czekałam na ciebie czternaście lat! Zawsze sądziłam, że kiedyś do mnie powrócisz! Byliśmy w końcu przyrzeczeni. Ty jednak nie wróciłeś po mnie, nieprawdaż? Nawet teraz przybyłeś tu z innego powodu! Planowałeś jedynie, że wpadniesz tutaj, prześpisz noc i wymkniesz się rano nierozpoznany!

Kopnęła go raz jeszcze, ale szybko zerwał się na równe nogi i schował za Nocnego Tancerza.

Co do tego, czy miała rację, nie było najmniejszych wątpliwości. Podobnie jak podczas jego wyprawy do Miln, wymyślił sobie, iż może wejrzeć w swoje dawne życie bez dotykania go, zupełnie jakby można było zajrzeć pod bandaż, by się przekonać, czy rana już się zagoiła. Bliższe prawdy było jednak to, iż pozostawił te rany, by wdało się w nie zakażenie, a teraz nadszedł czas, by upuścić sobie krwi.

– Pięć minut rozmowy między naszymi ojcami nie czyni nas przyrzeczonymi, Ren – powiedział.

– Ja poprosiłam ojca, by porozmawiał z Jephem – oznajmiła Renna. – Powiedziałam ci wówczas, że jesteśmy przyrzeczeni, powtórzyłam to też na ganku o zachodzie słońca tego dnia, gdy uciekłeś. To czyni nas przyrzeczonymi.

Naznaczony pokręcił głową.

– Kilka słów wypowiedzianych o zachodzie nadal niczego nie zmienia. Ja ci nigdy siebie nie przyrzekłam, Renna. Tej nocy każdy miał dużo do powiedzenia za wyjątkiem mnie.

W oczach Renny pojawiły się łzy.

– Może i niczego nie powiedziałeś – przyznała. – Ale ja ci się przyrzekłam. Była to jedyna prawdziwie moja rzecz w tym życiu i nie mam zamiaru cofać swoich słów. Wiem, że nasze pocałunki były znakiem, że tak ma być.

– Ale poślubiłabyś Cobiego Fishera – rzekł. Mimo starań w jego głosie pobrzmiwała gorycz. – Człowieka, który kiedyś prześladował mnie ze swoimi koleżkami.

– Dokopałeś im za to. Poza tym Cobie zawsze okazywał mi wiele sympatii... – Pociągnęła nosem, dotykając równocześnie naszyjnika. – Nie wiedziałam, że żyjesz, a musiałam stamtąd uciekać.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Wiem, Ren. Nie chciałem, by to tak zabrzmiało. Nie winię cię o to, że zrobiłaś to, co zrobiłaś. Pamiętaj tylko, że nic nie odbywa się w ten czy inny sposób tylko dlatego, że „tak musi być”. My wszyscy idziemy przez życie i robimy to, co w danej chwili jest najodpowiedniejsze.

Spojrzała na niego.

– Chcę więc wyruszyć z tobą. Myślę, że to jest dla mnie najodpowiedniejsze.

– Wiesz jednak, co to oznacza, Ren? – zapytał Naznaczony. – Ja już nie chowam się w kręgu po zachodzie słońca. Nie prowadzę bezpiecznego trybu życia.

– A tu niby jestem bezpieczna? – zapytała Renna. – Jeśli nie przywiążą mnie do słupa zaraz po twoim wyjeździe, do kogo się zwrócę? Z kim zamieszkać? Kto nie miałby ochoty ujrzeć, jak otchłańce drą moje ciało na strzępy?

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, usiłując znaleźć sposób na odmowę. Mieszkańcy Rybitw niczym nie różnili się od innych mściwych brutali na całym świecie, a on był w stanie ich odstraszyć do zmięczenia, o ile już nie napędził im potężnego stracha. Renna byłaby bezpieczna w Potoku. Zasłużyła sobie na to.

Ale czy zwykle bezpieczeństwo wystarczało? Gdyby chodziło o niego, też zadowoliliby się bezpiecznym schronieniem? Jakże miał prawo wypowiadać się w imieniu dziewczyny? Zawsze spoglądał z pogardą na tych, którzy żyli w strachu przed nocą.

Każda chwila w towarzystwie Renny była niczym rozgrabianie starych ran. Jej widok przypominał mu o wszystkim, co odrzucił przez wytatuowanie swego ciała. Nawet przebywanie wśród ludzi, którzy nigdy wcześniej go nie znali, było dlań ciężkim przeżyciem, a przy Rennie czuł się, jak gdyby nadal miał jedenaście lat.

Mimo to potrzebowała go, a dzięki temu zew Otchłani wydawał się odleglejszy, mniej niebezpieczny. Miniony poranek był pierwszym, na który czekał od chwili wyjazdu z Miln. W głębi serca Naznaczony wiedział, że nigdy nie przeżyłby próby wtargnięcia do świata demonów, lecz na widok własnych rodaków, którzy próbowali rzucić Rennę na pastwę otchłańców, miał ochotę porzucić ludzkość na zawsze. Gdyby wyjechał z Potoku Tibbeta sam, nie miałby z tym większych trudności.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Możesz mi towarzyszyć, o ile będziesz w stanie wytrzymać tempo. Jeśli zaczniesz mnie spowalniać, zostawię cię w pierwszym napotkanym mieście.

Renna rozejrzała się po oborze i dostrzegła strugę światła wpadającą przez otwarte drzwi strychu. Stała w niej i spojrzała Arlenowi prosto w oczy.

– Nie będę cię spowalniała – obiecała, wyciągając nóż Harla. – Niech słońce będzie mi świadkiem.

– Ściskasz ten nóż, zupełnie jakbyś miała nadzieję, że pomoże ci w walce z otchłańcami – rzekł. – Daj mi go. Naznaczę go runami.

Renna zamrugała, zerknęła na nóż i podała mu go. Naznaczony sięgnął, by go pochwycić, lecz dziewczyna cofnęła go nagle i przytuliła do swego ciała.

– Ten nóż to jedna z nielicznych moich własnych rzeczy na tym świecie – powiedziała. – Wolałabym naznaczyć go sama, jeśli mnie nauczysz.

Naznaczony spojrzał na nią z powątpiewaniem, przypominając sobie niezgrabne runy,

które stawiała jako dziecko. Renna pochwyliła jego spojrzenie i skrzywiła się.

– Nie mam już dziewięciu lat, Arlenie – parsknęła. – Moje runy chronią gospodarstwo od dziesięciu lat i przez cały ten czas żaden demon nie przebił się przez barierę, więc podaruj sobie to pogardliwe spojrzenie. Jestem pewna, że potrafię nakreślić każdy cholerny run gorąca równie dobrze jak ty.

Całkiem zaskoczony, Naznaczony potrząsnął głową.

– Przepraszam. Patroni Runów z Wolnych Miast traktowali mnie identycznie po moim przyjeździe z Potoku. Całkiem zapomniałem, jakie to upokarzające.

Renna podeszła do jego juków i wyciągnęła runiczny nóż z pochwy przy siodle.

– Na przykład ten – powiedziała, podchodząc do niego. – Co ten tu robi? – Wskazywała pojedynczy run przy czubku ostrza. – I dlaczego wzdłuż ostrza ciągną się identyczne z tym, tyle że odwrócone? W jaki sposób tworzą sieć, skoro nie są połączone?

Zadając te pytania, przesuwała palcami po tuzinach symboli na powierzchni.

– Ten tu jest runem przebicia. – Naznaczony wskazał jej czubek. – Dzięki niemu nóż przesywa pancerz. – Te ciągnące się wzdłuż ostrza są runami cięcia i pozwalają ostrzu wnikać w głąb ciała po przebiciu pancerza. Runy cięcia łączą się same, o ile zostaną odpowiednio odwrócone.

Renna pokiwała głową, nie odrywając oczu od pokrywających ostrze linii.

– A te? – zapytała, wskazując symbole zdobiące samo ostrze.

\* \* \*

Po kolacji Jeph zaprzągnął swój wóz i wraz z całą rodziną udał się do Ryneczku. Towarzyszył im Naznaczony na Nocnym Tancerzu oraz Renna, która siedziała za nim.

Przybyli na miejsce tuż przed zapadnięciem zmroku. Tłumy, które otaczały główny plac wioski, były jeszcze gęstsze niż wczoraj. Zgromadzili się tu dosłownie wszyscy mieszkańcy każdej osady okręgu, bez względu na płeć i wiek. Większą część placu oraz ulicy wypełniał tłum liczący sobie ponad tysiąc osób, chroniony jedynie pospiesznie przygotowanymi kręgami runicznymi.

Nikt nie zwrócił uwagi na Jepha i jego rodzinę, spojrzenia wszystkich przyciągał zakapturzony jeździec na ogromnym, chronionym runami ogierze oraz siedząca za nim dziewczyna. Ludzie rozstąpili się w ciszy, gdy jechał ku centrum placu, odwracając się to tu, to tam, by wszyscy dobrze mu się przyjrzeni. Wreszcie ściągnął swój kaptur, a wszędzie poniosło się westchnienie zdumienia i grozy.

– Przybyłem z Wolnych Miast, by nauczyć dobrych ludzi z Potoku Tibbeta, jak zabijać demony – wykrzyknął. – Ale jak dotąd żadnych „dobrych ludzi” tu nie zastałem! Bo dobrzy ludzie nie karmią otchłańców bezbronnymi dziewczynami! Dobrzy ludzie nie stoją beczynnie, gdy ktoś inny ginie tuż obok!

Krzyczał, co rusz zawracając rumaka, spoglądając w oczy każdemu, kto uniósł wzrok.

– Ona nie jest bezbronną dziewczyną, Posłańcze! – wykrzyknął Sędzia Raddock, wychodząc przed tłum przybyszów z Rybitw. – To morderczyni, a rada zasądziła jej winę! Zasądziła również, że ma ponieść karę śmierci!

– Tak, zgadza się! – głośno przytaknął Naznaczony. – I nikt się temu nie sprzeciwił.

– Ludzie ufają Mówcom – rzekł Raddock.

– Doprawdy? – Naznaczony skierował pytanie do całego tłumu. – Ufacie swoim Mówcom, ludzie?

Tłum buchnął chórem gorących zapewnień – ludzie z Potoku Tibbeta byli dumni z osad, z których się wywodzili.

– Dobrze – pokiwał głową Naznaczony. – A zatem sprawdzę nie was, a waszych Mówców.

Zeskoczył z konia i wyciągnął dziesięć lekkich włóczni przytroczonych do uprzęży Nocnego Tancerza, które następnie powbił w ziemię. Zakołysały się lekko przed znieruchomiałym tłumem.

– Każdy z członków rady okręgu, który stanie u mego boku i podejmie walkę z demonami, otrzyma ciężką bitewną włócznię oraz sekrety stawiania runów wojennych – oznajmił. – Jeśli poniesie śmierć, broń i sekrety przejdą na jego potomków.

Zaskoczeni ludzie obejrzel się na swych Mówców.

– A nie możemy się nad tym zastanowić przez chwilę? – zapytał Mack. – Nie można przecież podejmować pochopnych decyzji.

– Oczywiście. – Naznaczony zerknął na niebo. – Pozostało wam jakieś... Jakieś dziesięć minut. Jutro o tej samej porze mam zamiar znaleźć się na trakcie do Wolnych Miast.

Selia wyszła przed swoich rodaków.

– Oczekujesz od nas, starszych Potoku, byśmy wyszli w noc i walczyli uzbrojeni jedynie we włócznie?

Naznaczony spojrzał na nią. Upłynęło wiele lat, ale Mówczyni nadal wzbudzała w nim nabożny respekt. Niejednokrotnie spuściła mu lanie, ale za każdym razem zrobiła to dla jego dobra. Pomysł sprzeciwienia się jej woli wydawał mu się jeszcze bardziej abstrakcyjny od pojedynku spojrzeń ze skalnym demonem, ale tym razem to ona potrzebowała lania.

– Rennie Tanner tylu szans nie daliście – rzekł.

– Nie wszyscy głosowali za wyrokiem skazującym, Posłańcze – stwierdziła Selia.

– Ale pozwoliliście, by do tego doszło. – Naznaczony wzruszył ramionami. – Nie widzę różnicy.

– Nikt nie stoi ponad prawem – rzekła Selia. – Podczas głosowania rady musimy mieć na względzie przede wszystkim interes okręgu, bez względu na to, co sami czujemy.

Naznaczony splunął pod jej stopy.

– Niech Otchłań pochłonie wasze prawo, skoro nakazuje wam rzucić sąsiada na pastwę

nocy! Skoro stawiasz interes okręgu na pierwszym miejscu, wyjdź tu i pokaż nam wszystkim, ile potrafisz mu ofiarować. W przeciwnym razie zabieram swoje włócznie i odchodzę.

Selia zmrużyła oczy, ale zakasała spódnicę i energicznym krokiem wyszła poza barierę. Ze wszystkich stron rozległy się jęki przerażenia i zdumienia, ale staruszka zignorowała je i pochwyciła jedną z włóczy. Opiekun Harral i Brine Zwalisty poszli natychmiast w jej ślady. Olbrzymi drwał pochwycił włóczęnię łąpczywie, z pożądanym spojrzeniem. Mieszkańcy Ryneczku oraz pobratymcy Brine'a zakrzyknęli z tryumfem.

– Czy ktoś jeszcze ma jakieś pytanie? – zapytał Naznaczony, rozglądając się dookoła. Jako chłopiec nie miał prawa głosu w Potoku Tibbeta, ale teraz miał zamiar wygarnąć im wszystko, co mu leżało na sercu. W tłumie zapanowało ożywienie, ale bez trudu dostrzegali Mówców, przypominających teraz wielkie głazy w potoku.

– Ja mam – odezwał się Jeorje ze Strażnicy.

Naznaczony odwrócił się ku niemu.

– Pytaj więc, a ja odpowiem ci szczerze.

– Skąd mamy wiedzieć, że naprawdę jesteś Wybawicielem? – zapytał Jeorje.

– Już mówiłem, Opiekunie – rzekł Naznaczony. – Nie jestem Wybawicielem. Jestem Posłańcem.

– A kto cię przysłał?

Naznaczony zawahał się, przeczuwając pułapkę. Gdyby powiedział, że nikt, wielu uznałoby, że jest Posłańcem Stwórcy. Stosunkowo najlepiej byłoby wymienić księcia Euchora jako zleceniodawcę, gdyż Potok w zasadzie podlegał pod Miln, a ludzie uznaliby wówczas runy wojenne za jego dar. Obiecał jednak, że odpowie szczerze.

– Nikt mnie nie najął – przyznał. – Znalazłem te runy w jednej z ruin starego świata i powzięłem decyzję, by rozdać je wszystkim dobrym ludziom, by mogli podjąć walkę.

– Lecz Plaga nie może dobiec końca bez nadejścia Wybawiciela – rzekł Jeorje, zupełnie jakby Naznaczony zapędził się właśnie w logiczną pułapkę. Ten jednak wzruszył ramionami i wręczył Jeorje'mu runiczną włóczęnię.

– Może to ty właśnie jesteś Wybawicielem? – powiedział. – Zabij demona, a wszyscy się przekonamy.

Jeorje upuścił laskę i pochwycił za broń. W jego oczach zaśniła stal.

– Przyglądam się Pladze od ponad stu lat – powiedział. – Widziałem, jak umierają ludzie, których znam, nawet moje własne wnuki. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Stwórca pozwolił mi przeżyć tak długo, a po drodze wołał do siebie tylu innych. Pewnie chodziło mu o to, że mam jeszcze coś do zrobienia.

– W Forcie Krasja mawiają, że człowiek nigdy nie pójdzie do Nieba, jeśli nie zabije choćby jednego otchłańca.

– Niegłupie – pokiwał głową Jeorje i stanął u boku Selii. Jego rodacy kreślili w powietrzu runy, gdy przechodził.

Potem na placu pojawił się Rusco Wieprz, podwijając rękawy, ciasno opinające jego grube, mięsiste przedramiona. W rękę trzymał własną włócznię.

– Ojczy, co ty wyczyniasz! – wykrzyknęła jego córka Catrin, łapiąc go za rękę.

– Rusz głową, dziewucho! – warknął Wieprz. – Sprzedaż runicznej broni przyniesie nam fortunę!

Uwolnił swoje ramię szarpnięciem i podszedł do pozostałych Mówców.

Wśród mieszkańców Mokradeł, gdzie na twardym krześle zasiadał Coran, zapanowało zamieszanie.

– Mój ojciec nie potrafi nawet stać bez swojej laski! – wykrzyknął Keven. – Pozwól mi walczyć zamiast niego!

Naznaczony pokręcił głową.

– Dla człowieka, który zasiada w radzie i zabawia się w Stwórcę, włócznia jest równie dobra jak laska.

Mieszkańcy Mokradeł zaczęli wygrażać mu pięściami i pokrzykiwać złowrogo, ale Naznaczony nie zwrócił nawet na to uwagi i nadal nie spuszczał wzroku z Corana, wyzywając go, by wstał i wyszedł poza barierę. Sędziwy Mówca skrzywił się, ale pokuszył się, by podnieść włócznię. Porzucił swą laskę na ziemi obok laski Jeorje'a.

Naznaczony przeniósł wzrok na Meadę Boggin, która wyswobodziła się z objęć swego syna i wyszła spośród ziomków z Pagórka Bogginów. Przechodząc obok Coline, obrzuciła ją znaczącym spojrzeniem, lecz Zielarka pokręciła głową.

– Mam chorych pod swoją opieką – oznajmiła. – Ponadto ktoś musi się zająć tymi z was, którzy będą mieli na tyle szczęścia, by wrócić.

Mack również pokręcił głową.

– Nie jestem głupcem – stwierdził. – Mam ludzi i bydło pod swoją opieką. Nie przyszedłem tu po śmierć.

Cofnął się, a wśród ludzi z jego stron rozległ się pomruk niezadowolenia.

– Daj nam wybrać nowego Mówcę, skoro temu brakuje odwagi! – wykrzyknął ktoś z tłumu.

– A niby czemu? – wrzasnął na nich Naznaczony. – Przecież nikt z was nie miał odwagi, by wstawić się za Renną Tanner!

– To nieprawda! – zawołała Renna. Naznaczony odwrócił się ku niej, nie posiadając się ze zdumienia, i napotkał jej zacięte spojrzenie. – Nie dalej jak pięć nocy temu Jeph Bales obronił mnie przed ognistym demonem!

Oczy wszystkich zwróciły się na Jepha, który aż skurczył się pod ich spojrzeniami. Naznaczony poczuł się, jakby Renna właśnie kopnęła go w zęby, ale szybko o tym zapomniał. Jego ojciec właśnie przechodził sprawdzian odwagi i nikt inny nie pragnął poznać jego wyników tak bardzo jak on sam.

– Naprawdę, Bales? – zapytał. – Stawiłeś czoła demonowi na własnym podwórzu?

Jeph patrzył przez długą chwilę na ziemię, a potem zerknął na swoje dzieci. Widok ten najwyraźniej dodał mu otuchy, gdyż nagle wyprostował się i rzekł:

– Tak.

Naznaczony spojrział na przybyszów z jego stron, rolników i pasterzy.

– Jeśli uczynicie Jepha Balesa swoim Mówcą przed zachodem słońca, pozwolę mu walczyć.

Natychmiast rozległ się ryk aprobaty, a Norine szturchnęła go, by ponaglić do wyjścia. Naznaczony odwrócił się w końcu ku Sędziemu Raddockowi.

– Nie mamy żadnego dowodu, że te włócznie są skuteczne! – krzyknął Sędzia.

– To, czy wyjdiesz, czy nie, to twoja sprawa – wzruszył ramionami Naznaczony. – Ufasz mi, wychodzisz, nie ufasz, zostajesz.

– Nie znam cię, Posłańcze – stwierdził Sędzia. – Nie wiem, skąd pochodzisz, nie wiem, w co wierzysz. Nie wiem o tobie nic poza tym, co mówisz, a z tego, co słyszę, zarzucasz nam niesprawiedliwość!

Wielu z jego ziomekowi pokiwało głowami lub burknęło z aprobatą.

– Wybacz mi więc – Raddock wyszedł na plac i mówił dalej, już nie tylko do ludzi z Rybitw, ale również do pozostałych mieszkańców Potoku – jeśli zachowam dystans wobec twoich słów.

Naznaczony pokiwał głową.

– Wybaczam – rzekł i wskazał mgłę, która zaczęła się unosić pod stopami Mówcy. – A teraz radziłbym ci, albo łap za włócznie, albo zmykaj za swoją barierę.

Sędzia Raddock aż pisnął i nie dbając o godność, popędził do swych rodaków, przebijając nogami tak szybko, jak to było możliwe.

Naznaczony odwrócił się ku Mówcom, którzy stali u jego boku. Nawykli do posługiwania się narzędziami, a nie bronią, niezdarnie ściskali włócznie, ale ku jego zaskoczeniu żaden z nich nie okazywał oznak strachu. Za wyjątkiem Jepha, który był błady niczym łuski śnieżnego demona, wszyscy wydawali się spokojni. Mówcy nie kwestionowali decyzji, które już zostały podjęte.

– Teraz gdy demony dopiero się materializują, są najbardziej bezbronne – powiedział. – Jeśli się pospieszycie...

Nim skończył, Wieprz chrząknął i dopadł nadal półprzejrystego drzewnego demona. Naznaczony przypomniał sobie święto przesilenia letniego ze swych chłopięcych lat, kiedy to Wieprz przynosił wielkie świnię, które własnoręcznie nadziewał na rożna, i płacił dzieciakom, by obracały je nad ogniem. Uniósł włócznie i wbił ją w pierś otchłanca z tą samą morderczą dokładnością, co ongiś nadziewał świnię.

Runy na ostrzu włóczni rozbłysły i otchłaniec zawrzasnął. Tłumy mieszkańców Potoku krzyknęły, widząc w półprzejrystym ciele demona, jak runiczny impuls rozszczepia się niczym błyskawica uderzająca w ziemię. Demon zaczął się dziko miotać, ale Wieprz nie

puszczał włóczni. Magiczne impulsy objęły jego ramiona, a broń ożyła, gdy pozostałe runy załśniły.

W końcu opór otchłańca ucichł i Wieprz wyrwał swą broń, pozwalając materialnemu już demonowi paść martwo na ziemię.

– Fajne uczucie – oznajmił Wieprz i splunął na demona. – Mógłbym się do tego przyzwyczaić.

Jako następna zadziałała Selia, która za cel obrała sobie materializującego się właśnie ognistego demona. Dźgnęła go kilka razy, jakby ubijała masło, a magia rozbłysła, zsyłając nań śmierć.

Coran uczynił to samo – zamierzył się na kolejnego ognistego demona, jakby chciał przekłuć żabę na bagnach, ale poślizgnął się, stracił równowagę i grot włóczni chybił całkowicie. W gardzieli materializującego się demona zabulgotało głośno, co oznaczało, że szykuje się do ognistego splunięcia.

– Ojcze! – krzyknął Keven i wybiegł na plac. Porwał jedną z dwóch ostatnich włóczni, zakręcił nią nad głową i rąbnął demona w pysk. Potwór potoczył się po ziemi, a ognista ślina buchnęła, wypalając pas trawy, ale nie czyniąc nikomu krzywdy. Keven gnał za toczącym się demonem, aż przekłuł go tak, jak planował to jego ojciec. Wtedy spojrzał na Naznaczonego z zaciekleścią w oczach.

– Nie mam zamiaru pozwolić na to, by mój ojciec rozstał się z życiem! – Obnażył zęby, gotów do kłótni. Za jego plecami Fil, jego własny syn, pomógł Coranowi wstać i przejść przez barierę.

Naznaczony skinął głową z aprobatą.

– Dobry z ciebie człowiek.

Jeph doskoczył do niemalże zmaterializowanego ognistego demona, ale nie był wystarczająco szybki i ten plunął nań ogniem. Jeph wrzasnął i odruchowo zasłonił się włócznią. Tłum krzyknął w przestrachu, ale wtedy załśniły runy wzdłuż drzewca i płomień zamienił się w chłodny powiew. Jeph natychmiast odzyskał rezon i dziabnął otchłańca, jakby podważał szczególnie kłopotliwy korzeń, a potem nastąpił na jego dymiący grzbiet i wyrwał broń w ten sam sposób, w jaki przydeptywał snop siana, by uwolnić widły.

W tejże chwili pojawił się wichrowy demon. Naznaczony odrzucił szatę, pochwycił przelatującą bestię i cisnął nią o barierę Bogginów. Runy eksplodowały i odrzuciły oszołomionego, półprzytomnego z bólu demona na ziemię.

– Meada Boggin! – zawołał, wskazując bezbronną bestię.

Drzewny demon zamachnął się na niego pazurami, ale Naznaczony pochwycił jego sękate, przypominające konar ramię i wykorzystując impet uderzenia przeciwko niemu, pchnął go tak, by wylądował na plecach przed Jeorje'em. Ten uniósł włócznię jak swą laskę, gdy miał ochotę grzmotnąć nią o ziemię. Uderzył, a wtedy przeszła go magia. W jego oczach błysnął fanatyczny blask.



Opiekun Harral i Zwalisty Brine osłaniali Meadę, trzymając włócznie w pogotowiu, na wypadek gdyby wichrowy demon ocknął się przedwcześnie. Ich obawy jednak okazały się płonne, albowiem Meada grzmotnęła włócznią niczym łomem w wieko beczki z piwem.

Pojawił się kolejny drzewny demon i Brine wraz z Harralem zaatakowali go wspólnie.

Wszystkie demony były już w pełni materialne. Większość pojawiła się na placu, lecz leżała już martwa, a bariery runiczne chroniące tłumy zagradzały drogę odsiecz.

Ognisty demon naskoczył na Rennę. Dziewczyna wrzasnęła, ale na szczęście nadal siedziała na grzbiecie Nocnego Tancerza. Rumak stanął dęba i rozdeptał potwora.

– Bliżej siebie! – rozkazał Naznaczony. – Ostrzami włócznie na zewnątrz!

Mieszkańcy wykonali polecenie i wspólnie ubili dwa wichrowe demony. Naznaczony zaś ze spokojem prowadził ich po placu i przydzielał kolejne cele, gotów interweniować, gdyby jego pomoc okazała się potrzebna. Nie musiał już jednak działać, a ocalałe demony zostały szybko wybite. Mówcy nadal się rozglądali, ale teraz trzymali włócznie inaczej niż wcześniej.

– Nie czułam w sobie takiej siły od dwudziestu lat, kiedy to po raz ostatni porąbałam drewno na opał – stwierdziła Selia. Pozostali przytaknęli.

Naznaczony spojrzał na tłum.

– Wasi starsi zdali sprawdzian! – wykrzyknął. – Pamiętajcie o tym, gdy po raz kolejny w obejściu spotkacie demona!

– Na placu w każdym razie nie ma już ani jednego – zauważył Wieprz. – Wykonaliśmy naszą część umowy, teraz pora na zapłatę.

– Teraz? – ukłonił się lekko Naznaczony.

– Mam niezapisany tom na zapleczu – pokiwał głową Wieprz.

– W porządku – rzekł Naznaczony, a Wieprz wskazał mu drogę do sklepu. Pozostali Mówcy wraz z Naznaczonym już ruszyli, ale Wieprz odwrócił się, by spojrzeć na zgromadzonych.

– Przyjdźcie z rana! – wykrzyknął. – Będę przyjmował zamówienia na runiczne włócznie w sklepie, zatrudnię też dobrych stawiaczy runów do ich wykonania. Im szybciej się stawicie, tym szybciej zostaniecie obsłużeni.

W gromadzie poniósł się szmer, a Naznaczony pokręcił głową. Wiedział, że Wieprz błyskawicznie ubije interes. Zawsze potrafił zarabiać na rzeczach, które ludzie potrafiliby zrobić samodzielnie.

# Ucieczka

## 333 ROK PLAGI, LATO

Renna siedziała w kącie, gdy Arlen uczył radę okręgu sposobów wykorzystania runów wojennych. Dasy i Catrin krążyły to tu, to tam, przynosząc nowe dzbanki z kawą. Nie przestawały przy tym obrzucać Renny podejrzliwymi spojrzeniami, jakby spodziewały się, iż lada chwila dziewczyna poderwie się i zaatakuje je nożem Harla, który leżał na stole obok. Wymalowała już na nim starannie runy, a teraz mozoliła się z narzędziem do grawerowania i powoli wycinała symbole na ostrzu. Arlen raz podszedł, by obejrzeć jej postępy, ale Renna się odwróciła. Miała już dosyć proszenia o pomoc.

Przez szczeliny między okiennicami przenikał blask świtu, gdy Mówcy zakończyli naukę i każdy powstał ze zwojem zapisanego welinu.

Arlen zamienił jeszcze kilka słów z Wieprzem, a potem podszedł do Renny.

– W porządku? – zapytał.

Pokiwała głową, tłumiąc ziewnięcie.

– Tak. Jestem tylko zmęczona.

Arlen odrzucił kaptur.

– Może dobrze by było, byś się zdrzemnęła parę godzin na gospodarstwie, nim Wieprz przygotuje zapasy potrzebne na drogę powrotną – powiedział i zaraz parsknął. – Ten stary oszust miał czelność zażądać za to zapłaty, choć dzięki temu, co ode mnie dostał, zbije wprost fortunę.

– A spodziewałeś się czegoś innego? – zdziwiła się dziewczyna.

– A więc wyjeżdżasz? – Selia zatrzymała ich przy drzwiach. – Przewróciłeś cały Potok do góry nogami, a teraz odjeżdżasz, nie troszcząc się o konsekwencje?

– Potok był odwrócony do góry nogami, gdy tu przyjechałem – rzekł Arlen. – Wygląda

na to, że dzięki mnie wszystko wróciło do normy.

– Może i racja – skinęła Selia. – Jakie przynosisz wieści z Wolnych Miast? Czy tam też ludzie znaczą broń runami i zabijają otchłańce?

– Nie przejmujcie się póki co Wolnymi Miastami. – Arlen machnął ręką. – Najpierw powybijajcie demony w okolicach Potoku, potem rozejrzyjcie się po szerokim świecie.

Jeorje ze Strażnicy grzmotnął nową włócznią o podłogę.

– „Zajmij się własnym polem, nim przyjrzyysz się polu sąsiada” – zacytował popularną sentencję z Kanonu.

Arlen zaś zwrócił się do Rusco Wieprza:

– Chcę, żebyś sporządził kopie i wysłał je do Mówców Słonecznych Pastwisk.

– Cóż, nie będzie to tanie – zaczął Wieprz. – Papier welinowy kosztuje, a przepisanie...

Arlen przerwał mu, unosząc złotą, ciężką monetę. Wieprz wybałuszył oczy, zaskoczony rozmiarem i grubością krążka.

– Jeśli nie dostaną tych runów, dowiem się o tym – ostrzegł Naznaczony, podając pieniądz Wieprzowi. – A wtedy to własnoręcznie zedrę ci skórę z karku i przerobię na papier.

Renna ujrzała, jak ogorzałe policzki Wieprza nagle bledną, a choć mężczyzna był słusznej postury i wielkiej tuszy, skurczył się pod spojrzeniem Arlena.

– Daj mi dwa tygodnie. – Przełknął ślinę. – Przysięgam.

– Z tego, co widzę, nieźle już sobie radzisz z zastraszaniem innych – mruknęła cicho Renna, gdy Arlen do niej podszedł. Nie spojrzał na nią, a twarz nadal osłaniał kapturem. Wydawało jej się, że jej nie usłyszał.

– Odebrałem kilka cennych lekcji, gdy skoiliłem się na Posłańca – rzekł, porzucając wreszcie ponury, śmiertelnie poważny ton, którym posługiwał się w rozmowach z mieszkańcami Potoku. Renna potrafiła nawet wyobrazić sobie uśmiech na jego wytatuowanych wargach.

Wieprz otworzył drzwi do sklepu i ujrzał zebrany tłum.

– Cofnąć się! – ryknął. – Przejście dla Mówców! Nie przyjmę ani jednego zamówienia, jeśli się nie rozstąpicie!

Ludzie zaszemrali gniewnie – wszyscy obawiali się bowiem utracić miejsce w kolejce – ale ostatecznie rozstąpili się i pozwolili Wieprzowi przejść.

Gdy Renna zeszła po schodach prowadzących na ganek sklepu, okazało się, że na czele tłumu stoi Sędzia Raddock.

– To nie koniec, Renno Tanner! Nie możesz się chować na farmie Jepha po kres swego życia!

– Nie chowam się już przed tobą. – Renna spojrzała Sędziemu prosto w oczy. – Opuszczam tę przeklętą przez Stwórcę wieś i nigdy tu nie wrócę!

Raddock już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Arlen wycelował w niego wytatuowany palec i starzec zamilkł. Z wściekłością przyglądał się, jak Naznaczony splata dłoń, by

pomóc dziewczynie wspiąć się na grzbiet Nocnego Tancerza.

Potem Arlen zajrzał do juków i wyciągnął z nich małą książeczkę. Rozejrzał się po zebranych i podszedł do Coline Trigg. Zielarka gwałtownie cofnęła się na jego widok, potrąciła stojących za nią i przewróciła się, pociągając za sobą z wrzaskiem kilka osób.

Arlen poczekał, aż się pozbiera i wstanie, zaczerwieniona z upokorzenia i wstydu, a potem wcisnął jej książkę do rąk.

– Znajdziesz tu wszystko, co wiem, o leczeniu ran zadanych przez demony – powiedział jej. – Jesteś mądrą kobietą, szybko się nauczysz i przekazesz wiedzę dalej.

Coline wytrzeszczyła oczy, ale kiwnęła głową. Naznaczony zaś burknął pod nosem przekleństwo i wskoczył na siodło.

\* \* \*

Arlen opuścił gospodarstwo Jepha około południa, by przywieźć zapasy obiecane przez Wieprza.

– Spakuj się – polecił Rennie na odchodnym. – Wyjeżdżamy, gdy tylko wrócę.

Renna potaknęła i odprowadziła go wzrokiem. Nie miała nic do pakowania, nawet na farmie Harla. Jej cały majątek składał się z sukni Selii, noża po ojcu u boku i naszyjnika z otoczków, подарowanego jej przez Cobiego. Żałowała, że nie dysponuje niczym, co mogłaby dać Arlenowi jako wyraz wdzięczności za ocalenie, ale pozostało jej tylko własne ciało. Cobie umiał je docenić, lecz Renna nie sądziła, by w ten sposób udało jej się łatwo spłacić dług, który zaciągnęła u Arlena.

Siedziała, kończąc rycie runów na ostrzu ojcowego noża, gdy z domu wyszła Ilain.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia na drogę. – Podała siostrze koszyk. – Wieprz przygotowuje jedzenie tak, by jak najdłużej wytrzymało, a nie by dobrze smakowało. W jego bekonie jest więcej dymu niż mięsa.

– Dzięki. – Renna wzięła koszyk.

Spojrzała na siostrę, za którą rozpaczliwie tęskniła przez tyle lat, i zapytała się w duchu, dlaczego nie ma jej zupełnie nic do powiedzenia.

– Nie musisz wyjeżdżać, Ren – rzekła Ilain.

– Oczywiście, że muszę – odparła Renna.

– Ten Posłaniec to twardy, zahartowany mężczyzna i nie wiemy o nim nic ponad to, że zabija demony – ciągnęła Ilain. – Przecież może się okazać gorszy od ojca. Z nami będziesz bezpieczniejsza. Po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy, ludzie są już wobec ciebie przyjaźniej nastawieni.

– Przyjaźniej nastawieni – powtórzyła Renna. – A ja, jak rozumiem, mam zapomnieć, że chcieli mnie rzucić demonom na pożarcie.

– A więc masz zamiar uciec z obcym, któremu odbiło na tyle, by wymalować sobie runy

na ciele?

– Przyganiał kocioł garnkowi! – parsknęła Renna, zrywając się na równe nogi. – Nie kochałaś Jepha, gdy z nim uciekłaś, Lainie. Nie wiedziałaś o nim nic prócz tego, że weźmie nową żonę, nim stara zdąży ostygnąć!

Ilain uderzyła Rennę w twarz, ale ta nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w siostrę zaciętym wzrokiem i Ilain jako pierwsza pochyliła głowę.

– Różnica między nami, Lainie – odezwała się Renna – polega na tym, że ja nie uciekam od czegoś. Ja uciekam ku czemuś.

– Uciekasz ku czemuś?

– Nie chcę już mieszkać w Potoku. Nie chcę mieszkać w miejscu, gdzie ludzie pokroju ojca robią, co im się żywnie podoba, a potem rzucają mnie demonom na pożarcie. Nie mam pojęcia, jak wyglądają Wolne Miasta, ale musi tam być lepiej niż tu.

Podeszła bliżej i przysunęła usta do ucha siostry.

– Zabiłam ojca, Lainie – szepnęła tak, by nikt jej nie usłyszał, unosząc przy tym nóż. – Tak, zabiłam go. Zarznęłam ten pomiot Otchłani. Trzeba było go zabić nie za to, co zrobił, ale za to, co mógłby jeszcze uczynić. Tata nigdy nie zapłacił za swoje występki, a dawno przekroczył granice okrucieństwa.

– Renna! – wykrzyknęła Ilain, cofając się, jakby jej siostra naraz przeobraziła się w otchłańca.

Renna pokręciła głową i splunęła nad balustradą.

– Gdybyś zebrała się na odwagę, sama zrobiłabyś to już dawno, kiedy Beni i ja byliśmy jeszcze dziećmi.

Ilain otworzyła szeroko oczy, ale nie powiedziała słowa, a Renna nie potrafiła ocenić, czy z powodu winy czy też zaskoczenia. Odwróciła się więc i popatrzyła na podwórze.

– Nie winię cię – odezwała się po chwili. – Gdybym odnalazła w sobie odwagę, zarznęłabym go zaraz po tym, jak mnie zgwałcił po raz pierwszy. Ale nie zrobiłam tego, bo się bałam.

Spojrzała siostrze w oczy.

– Ale już się nie boję, Lainie. Nie boję się Sędziego Raddocka ani Garrica Fishera, ani też tego Posłańca. Sądzę, że jest dobrym człowiekiem, ale jeśli okaże się kimś pokroju ojca, uczynię temu światu przysługę i zabiję go. To jasne jak słońce.

\* \* \*

Naznaczony wjechał na podwórze kilka godzin później. Renna czekała na ganku i wyszła mu na spotkanie. Nocny Tancerz drobił nerwowo, wzbijając tumany kurzu.

– Słońce zachodzi – rzekł mężczyzna, nie zeskakując z siodła, i podał jej rękę.

– Nie masz nawet zamiaru się pożegnać? – zapytała Ren.

– Życie w Potoku lada moment stanie się naprawdę ciekawe – odparł. – Najlepiej będzie, jeśli wszyscy wyjdą z przekonania, że zatrzymałem się u Jepha i Lainie tylko po to, by cię wykraść.

– Twój ojciec zasługuje na lepsze traktowanie – sprzeciwiła się Renna.

Naznaczony wbił w nią wzrok.

– Nie zdradzisz mu, kim jestem – warknął.

Dziewczyna nie dała się zastraszyć.

– Przynajmniej powiedz mu, że jego syn nadal żyje, bo w przeciwnym razie okaże się, że nie tobie decydować, kto zasługuje na twoje runy, a kto nie.

Naznaczony skrzywił się, ale zeskoczył z siodła. Renna miała rację i doskonale o tym wiedział, choć za żadną cenę nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą.

– Odjeżdżamy! – zakrzyknął i rodzina zbiegła się z podwórza.

Naznaczony skinął na ojca, a ten podszedł doń skwapliwie.

– Prowadziłem kiedyś karawanę z jakimś Arlenem Balesem z Gildii Posłańców – powiedział, gdy oddalili się od reszty. – To mógł być twój syn. Bales to często spotykane nazwisko, ale imienia Arlen nie słyszy się często.

– Mówisz poważnie? – W oczach Jepha rozjarzył się blask.

Naznaczony pokiwał głową.

– Miało to miejsce wiele lat temu, ale z tego, co pamiętam, Arlen pracował dla Kompanii Runicznej Coba z Fortu Miln. Być może tam się czegoś na jego temat dowiesz.

Jeph złapał rękę Naznaczonego w obie dłonie i uściśnął mocno.

– Niech cię słońce prowadzi, Posłańcze.

Naznaczony pożegnał się krótko i znów podszedł do Renny.

– Słońce zachodzi – powtórzył.

Tym razem kiwnęła głową i pozwoliła, by podsadził ją na siodło Nocnego Tancerza. Sam usiadł przed nią, a dziewczyna objęła go w talii. Rumak pocwałował po tracie na północ.

– Czy do Wolnych Miast nie jedzie się na południe? – zapytała Renna.

– Znam pewien skrót – odparł Naznaczony. – Nie dość, że zaoszczędzimy czasu, to jeszcze ominiemy wsie okręgu.

Nocny Tancerz pomknął po tracie niczym ptak. Wiatr targał włosy Renny i dziewczyna zaśmiała się z uniesienia. Naznaczony jej zawtórował.

\* \* \*

Arlen nie kłamał. W istocie pamiętał każdą ścieżkę i każde pastwisko wokół gospodarstw na północ od Potoku Tibbeta. Zanim Renna zdążyła się zorientować, znów znaleźli się na głównym trakcie, daleko za gospodarstwem Macka.

Pędzili bez wytchnienia przez resztę dnia i przemierzili sporą część drogi do Wolnych

Miał, gdy Naznaczony ściągnął wodze. Od zachodu słońca dzielił ich ledwie kwadrans.

– Już się zatrzymujemy? – zapytała zdziwiona.

Arlen wzruszył ramionami.

– Mamy jeszcze dość czasu, by rozłożyć kręgi. Gdybym jechał sam, pewnie gnałbym przez całą noc.

– A zatem jedźmy – rzekła Renna, usiłując odepchnąć od siebie lęk na myśl o nocy. – Obiecałam, że nie będę cię spowalniać.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Zeskoczył z konia i wyciągnął z juków dwa kręgi, z których jeden rozłożył dookoła Nocnego Tancerza, a drugi wokół niewielkiej polanki. Sprawnie ustawił runy w odpowiednim położeniu.

Renna przełknęła ślinę, ale nie zaprotestowała. Sparaliżowana narastającym lękiem, ścisnęła nóż i rozglądała się w poszukiwaniu pierwszych obłoków mgły. Arlen uniósł wzrok i dostrzegł trawiący ją niepokój. Wyprostował się, podszedł do konia i zaczął gmerać w jukach.

– O, mam – powiedział w końcu i z łopotem rozpostarł płaszcz, który następnie zarzucił na ramiona Renny. Zapiął go w odpowiednich miejscach i naciągnął jej kaptur na głowę.

Sukno, które dotknęło jej policzka, było niewyobrażalnie miękkie, niczym futro małego kota. Przyzwyczajona do szorstkiego płótna domowej roboty, Renna ze zdumieniem przyjrzała się kunsztownie utkanemu materiałowi, a potem westchnęła. Na całej długości płaszcza mieniły się runy, setki runów, wszystkie wyszyte niewiarygodnie drobnym ścięciem.

– To Płaszcz Ślepoty – objaśnił Arlen. – Póki go nie zdejmiesz, żaden demon nie będzie zdawał sobie sprawy z twojej obecności.

– Naprawdę? – zapytała zaskoczona.

– Przysięgam na słońce.

Wtedy Renna zrozumiała, że nadal kurczowo ścisnęła nóż, tak mocno, że gdy rozluźniła dłoń, zabolaty ją kłykcie. Odetchnęła głęboko, po raz pierwszy od ponad godziny.

Arlen znów nachylił się nad kręgami i bez trudu przygotował je na noc, podczas gdy Renna ułożyła palenisko i opróżniła zawartość koszyka podarowanego przez Ilain. Siedzieli obok siebie, zajadając pierogi na zimno, szynkę, świeże warzywa i chleb z serem. Otchłańce raz na jakiś czas rzucały się na barierę, ale Renna pokładała zaufanie w zdolnościach Arlena i nie zwracała uwagi na potwory.

– W tej dziwacznej sukni nie można cię porządnie w siodle usadzić – rzekł Arlen.

– Co? – ocknęła się z zamyślenia jego towarzyszką.

– Póki nie siedzisz prawidłowo, nie mogę pogonić Nocnego Tancerza do cwału – wyjaśnił.

– To on może biec szybciej? – zapytała Renna z niedowierzaniem.

– O wiele szybciej – zaśmiał się Arlen.

Oparła się o jego plecy i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Jeśli zależy ci na tym, by zerwać ze mnie tę suknię, Arlen, nie krępuj się – powiedziała

z uśmiechem, ale Naznaczony cofnął się, a potem objął ją w talii i odsunął od siebie równie łatwo, jakby Renna zdejmowała Pannę Drapkę z kolan. W okamgnieniu poderwał się na równe nogi.

– Nie z tego powodu cię zabrałem, Ren – powiedział, cofając się.

– Nie wykorzystasz mnie? – zapytała zmieszana i zaskoczona.

– Nie w ten sposób. – Arlen wyciągnął z juków swój zestaw do szycia i rzucił go towarzysze, po czym natychmiast się odwrócił. – Skróć spódnicę i lepiej się z tym pospiesz, bo mamy jeszcze tej nocy wiele do zrobienia.

– Do zrobienia? – powtórzyła Renna.

– Przed świtem zabijesz swojego pierwszego demona – rzekł Arlen. – Albo zostawię cię w najbliższej napotkanej wsi.

\* \* \*

– Gotowe! – zawołała Renna. Zdjęła halkę i skróciła suknię, pozostawiając z obu stron długie wycięcie. Arlen, który siedział przy granicy kręgu i znał runami strzałę, uniósł wzrok. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po odsłoniętych udach dziewczyny.

– Podoba ci się? – zapytała, uśmiechając się lekko, gdy spłoszony umknął spojrzeniem do jej twarzy. – Stań bliżej ognia, będziesz lepiej widział.

Arlen przez dłuższą chwilę wbijał wzrok w dłoń, powoli trąc ją palcami. Z jego oczu przebijała głęboka zaduma. W końcu potrząsnął głową i zerwał się, by podejść do Renny.

– Ufasz mi, Ren? – zapytał.

Potaknęła, a wtedy ujął pędzel i pojemnik z gęstą, lepką mazią.

– To wyciąg z czarnego korzenia – wyjaśnił. – Będzie się trzymał na twojej skórze przez kilka dni, może nawet tydzień.

Ostrożnie, niemalże z czułością, odsunął długie włosy z twarzy dziewczyny i otoczył jej oczy runami. Skończywszy, dmuchnął delikatnie, by barwnik wysechł. Jego usta znajdowały się tuż przy jej i nagle Renna zapragnęła przywrzeć do nich, ale wciąż nie doszła do siebie, po tym jak ją odrzucił, i nie mogła zebrać się na odwagę.

– Co widzisz poza kręgiem światła? – zapytał.

Rozejrzała się. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności.

– Nic.

Arlen pokiwał głową i zasłonił jej oczy dłońmi, szorstkimi, twardym, ale mimo to giętkimi. Tam, gdzie jej dotknął, Renna odczuwała przyjemne mrowienie, aż przeszył ją dreszcz. Mężczyzna cofnął dłoń i wrażenie przeminęło, lecz runy wokół jej oczu zaczęły promieniować ciepłem.

– A teraz co widzisz? – powtórzył pytanie.

Renna rozejrzała się zdumiona. Drzewa i rośliny emanowały blaskiem, a pod jej nogami



snuła się wolno i leniwie lśniąca mgła.

– Wszystko – powiedziała zadziwiona. – Więcej niż w blasku słońca. Wszystko lśni.

– Widzisz magię – rzekł Arlen. – Sączy się z Otchłani i wnika w każdą żywą istotę, stąd bierze się to światło.

– To dusza? – zapytała Renna.

– Nie jestem Opiekunem, nie wiem – wzruszył ramionami Naznaczony. – Otchłańce w każdym razie są nią przesyczone. Będą cię razić swoim blaskiem.

Rozległ się szelest w krzakach. Renna odwróciła się do źródła dźwięku i ujrzała drzewnego demona, dotychczas niewidzialnego, teraz promieniejącego w oświetlonym magicznie świetle. Nawet dłonie Ren mieniły się lekko. Nocny Tancerz wydawał się nieco jaśniejszy, runy na jego kopytach i uprzęży jaśniały niczym gwiazdy na niebie.

Najjaśniejszy był jednak Arlen. Symbole na jego ciele emanowały jaskrawą magią. Wyglądały, jakby wypisano je światłem.

– Zbyt wiele runów – powiedział Arlen, pochwycając jej zdumione spojrzenie, po czym nałożył kaptur. – Moje ciało wchłonęło zbyt wiele demonicznej magii, by uznać mnie jeszcze za normalnego człowieka.

– Dlaczego miałbyś zrezygnować z tak wielkiej mocy? – spytała Renna.

Arlen nie odpowiedział, najwyraźniej zaskoczony pytaniem. Otworzył usta, po czym je zamknął.

– Nie wiem, czybym tego chciał – przyznał w końcu. – Sęk w tym, że to decyzja, od której nie ma odwrotu, a podejmowałem ją w chwili, gdy miałem niezły zamęt w głowie. Ty zresztą też masz w swojej spory zamęt.

– A kim ty jesteś, Arlen, by mówić mi, czy mam zamęt, czy nie? – ostro rzuciła Renna.

Znow ję zignorował w ten sam irytujący sposób co zawsze. Ujął po prostu włócznię i podał jej, lecz dziewczyna spojrzała na broń z powątpiewaniem i ani drgnęła.

– Mówcom się udało – przypomniał jej Arlen.

– Wiem – odparła Renna. – Ale skoro mam już walczyć, będę walczyć własnym nożem.

Runy cięcia i przebicia były już wykonane, więc podała mu ostrze do sprawdzenia.

– Niezła broń – stwierdził Arlen, ujmując nóż. Starczyło, by lekko przesunął palec wzdłuż ostrza, a natychmiast pociekła krew. – Ostry jak licho, golić się nim można.

– Ojciec dbał o niego bardziej niż o bliskich.

Arlen obrzucił ją baczny spojrzeniem, ale nie powiedział słowa. Obejrzał dokładnie ostrze z runami.

– Niezłe wykonane – przyznał z odrobiną skruchy. – Porządna robota, nie ma się czego wstydić. Przydałoby się ich nieco więcej, ale wystarczy na początek.

Oddał jej nóż rękojeścią do przodu, a Renna przyjęła broń z pomrukiem zadowolenia.

– Pozostaje więc go przetestować – uznał Arlen. – Pora opuścić krąg.

Renna od początku wiedziała, że okaże się to konieczne, ale nie była w stanie stłumić fali

strachu, niczym wzbierających wymiocin. Powiedziała siostrze, że nie boi się niczego na świecie, ale nie była to do końca prawda. Może i nie bała się ludzi, ale otchłańce... Wciąż nachodziły ją wspomnienia owej straszliwej nocy w wychodku, które mroziły jej krew w żyłach nawet na jawie.

Arlen położył jej dłoń na ramieniu.

– Od najbliższej osady dzieli nas wiele mil, Ren, a otchłańce zbierają się tam, gdzie mogą polować na ludzi. Wątpię, czy natkniemy się tu na więcej niż kilka. Załóż swój płaszcz, a ja nie opuszczę cię ani na krok.

– By przyjść mi z pomocą – powiedziała Renna. Naznaczony skinął głową, a wtedy w sercu dziewczyny obudził się gniew. Miała już dość czekania na innych, aż przyjdą jej z pomocą, ale gdy spojrzała na drzewnego demona czającego się na skraju drogi, znów przeszył ją dreszcz. – Nie jestem jeszcze na to gotowa – przyznała z bólem serca, niechętnie obnażając słabość.

Arlen nie napomniał jej tak jak Mówców.

– Wiem, jak bardzo się boisz – powiedział. – Ja też się bałem za pierwszym razem. W Krasji nauczyłem się jednakże, jak wchłaniać i łagodzić własny strach.

– Jak to działa?

– Otwórz się na to uczucie, a potem zatop się w swoich myślach i omiń je.

– To nie ma sensu – parsknęła Renna.

– Ma. Widywałem chłopców dwakroć młodszych od ciebie, którzy szarżowali na demony ze zwykłą drewnianą włócznią w garści. Widziałem, jak walczą, lekceważąc ból i cierpienie, wiedząc, że czeka ich albo zwycięstwo, albo przegrana. Strach i ból mogą cię dotknąć tylko wtedy, gdy im na to pozwolisz.

– Naprawdę? – zapytała Renna.

Pokiwał głową i dziewczyna zamknęła oczy, otwierając się na nieprzyjemne uczucie strachu. Uświadomiła sobie, że jej mięśnie są napięte do granic, a żołądkiem rządzą mdłości, że zaciska mocno pięści, a twarz ma zimną jak lód. Gdy w pełni pojęła rozmiar swego strachu, zrozumiała, jak go zignorować.

Arlen uniósł palec, wskazując niewielkiego demona, który przywarł do pobliskiego drzewa. W innych okolicznościach Renna nie dostrzegłaby stwora – zlałby się idealnie z pniem drzewa – ale jej otoczone runami oczy bez trudu wypatrzyły jaśniejącą sylwetkę, wyraźnie odcinającą się od emanującego słabo drzewa.

Ufając swemu płaszczowi, Renna opuściła krąg i spokojnie podeszła do demona. Ten zaczął węszyć z osobliwym zaintrygowaniem, ale nie dawał po sobie poznać, iż wyczuwa jej bliskość. Nim w pełni uświadomiła sobie, co czyni, dźgnęła go w plecy. Runy zapłonęły i przypominający korę pancerz demona rozstąpił się pod opadającym ostrzem. Prawe ramię dziewczyny przeszył impuls, jakby wsunęła je w ryczące płomienie, pulsujący ból ekstazy.

Demon wrzasnął i skoczył, ale Renna uwolniła ostrze i dziabnęła go ponownie, a potem

jeszcze raz. W chwilę później demon padł na ziemię, a magiczna mgła rozstąpiła się, falując i tworząc wiry.

Renna wyprostowała się, wdychając słodkie powietrze nocy. Czuła się silniejsza i energiczniejsza niż wcześniej.

Po drugiej stronie drogi wypatrzyła płonące ślepia ognistego demona i tym razem się nie zawahała. Z błyskiem zaciętości w oczach przypadła do potwora i wbiła mu nóż w czaszkę. Śmiertelnie raniony demon zaczął wierzgać i w końcu padł. Tym razem ból magicznego impulsu, który przeszył jej ramię, przyniósł jej rozkosz. Ziemię zbrzyzgała czarna posoka, a tam, gdzie padły jej krople, buchały kłęby dymu, a nawet płomienie.

Pierwszy dostrzeżony przez nią drzewny demon, liczący sobie sześć stóp wzrostu, zwrócił uwagę na zamieszanie. Ren mogła schować się za swym płaszczem, ale nawet nie przyszło jej to do głowy. Miast tego parsknęła i rzuciła się na otchłānca. Demon ryknął i zamachnął się na nią, ale Renna była szybka i silna jak nigdy dotąd. Wybuchła śmiechem, bez trudu unikając niezgrabnego ataku, i wbiła stworowi nóż w pierś. Tym razem czuła się, jakby patroszyła świnie.

Rozejrzała się. Ciężko dyszała, ale daleko jej było do zmęczenia. Czuła natomiast, że rozpiera ją coś bliskiego pożądaniu. Chciała, po prostu chciała, by gdzieś w pobliżu znajdował się jeszcze jakiś demon, ba, cała ich horda!

Nie było jednak żadnego.

– A nie mówiłem – uśmiechnął się Arlen. Zebrał oba kręgi i ujął wodze Nocnego Tancerza. – No, to zapraszam na przejażdżkę pod gwiazdami. Całkiem wolno.

Renna skinęła głową i bez dotykania strzemion wskoczyła w siodło. Usiadła z przodu i Arlen chcąc nie chcąc musiał usiąść za nią. Mimo to zaśmiał się tylko i wskoczył na grzbiet rumaka równie łatwo jak dziewczyna. Otoczył ją ramionami, a wtedy Renna uderzyła piętami w końskie boki i aż zakrzyknęła z radości, gdy ogromny rumak wyrwał do przodu i pogalopował po lśniącej w mroku drodze.

\* \* \*

Uplłynął już cały cykl, odkąd książę otchłānców dostrzegł swą ofiarę na otoczonych murami obszarach rozrodczych ludzi. Ponowne wytropienie człowieka zabrało mu dwie noce, aż wreszcie znalazł się nad porzuconymi ruinami, w których nadal unosił się jego zapach. Murów pustej warowni broniły silne, świeże runy, lecz przebicie się przez barierę nie przedstawiałoby dużych trudności.

Nie było jednak takiej potrzeby, gdyż demon wypatrzył ów ludzki umysł wśród lasów, z dala od murów.

Zmiennokształtny załopotał ogromnymi skrzydłami i unosił się nad człowiekiem, cichy niczym śmierć. Demon umysłu próbował przeniknąć do jego myśli, ale został odrzucony

potężnymi runami. Aż zasyczał, ale gdy zaczął sondować swymi myślami otoczenie, odkrył, że poszukiwany przez niego człowiek nie jest sam. Podróżował w towarzystwie samicy, której umysł był otwarty niczym niebo. Demon wślizgnął się więc niespostrzeżenie do jej umysłu i zamarł, patrząc na świat jej oczyma.

\* \* \*

*Renna dziabnęła mocno drzewnego demona w serce, a potem przekreśliła ostrze. Obok niej Arlen przygwoździł innego do ziemi i nie pozwolił mu wstać, póki zabójcze symbole na jego ciele nie zrobiły tego, co do nich należy.*

*Rozległo się warknięcie i Renna uniosła głowę w porę, by ujrzeć trzeciego demona, który pojawił się wśród gałęzi nad jej głową. Dziewczyna zrobiła unik przed pikującym stworem, ale ostrze utknęło w pancerzu pierwszego otchłańca. Demon padł, ale nóż został wyszarpięty z jej ręki.*

*– Jasna cholera! – zaklęła, padając na plecy i podkulając nogi, jak ją nauczył Arlen. Złapała długie, przypominające konary ramiona demona i pociągnęła, by pomagając sobie kopnięciem, posłać potwora w siną dal. Ten wylądował przed Arlenem, który zmiażdżył mu czaszkę. – Jeśli pozwolisz mi pomalować sobie kłykcie, sama będę mogła to robić – oznajmiła Renna.*

*– Nie ma potrzeby, byś malowała sobie skórę – odparł. – Wystarczy ci nóż.*

*Renna podeszła do martwego otchłańca i uwolniła swą broń.*

*– Nie miałam noża – przypomniała.*

*– Ale poradziłaś sobie wyśmienicie bez niego.*

*– Tylko dlatego, że skończyłeś już zapasy z tym tam – rzekła Renna. – Zresztą nie będę się dziargać igłą, potrzeba mi tylko pędzla i wyciągu z czarnego korzenia.*

*Arlen zmarszczył brwi.*

*– Gdy runy znajdują się na twojej skórze, będziesz je odczuwać zupełnie inaczej, Ren. Są wówczas tak silne, iż ich moc potrafi człowieka całkiem pochłonąć. Ja zostałem tak pochłonięty, a po tym zacząłem się tatuować i jeszcze nie doszedłem w pełni do siebie. Nie chcę, by to samo przytrafiło się tobie. Jesteś dla mnie zbyt cenna.*

*– Naprawdę?*

*– Dobrze mieć przy sobie kogoś, kto jest lepszym partnerem do rozmowy niż Tancerz – ciągnął Arlen, nie zdając sobie sprawy z jej ożywienia. – Czasami jest się... cóż, samotnym.*

*– Samotnym – powtórzyła Renna. – Znam to uczucie. Też się można w nim zatracić. Na tym świecie wiele rzeczy i spraw może cię pochłonąć, co bynajmniej nie oznacza, że po kres życia mamy się chować za runami.*

*Arlen przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, aż wreszcie wzruszył ramionami.*

*– Nie mogę ci mówić, co masz robić, Ren. Jeśli chcesz zignorować moje słowa i*

wymalować sobie runy na dłoniach, proszę bardzo.

\* \* \*

Książę otchłańców przyglądał się zalotom jeszcze przez parę chwil, rozbawiony ludzkimi zwyczajami godowymi. Wiedział już, że samiec ledwie rozumiał istotę magii i nie zdawał sobie sprawy z obecności demona w umyśle dziewczyny, ani też z ogromu własnej potęgi. Książę wyczuwał w nim potencjał, wiedział, iż może on kiedyś zjednoczyć ludzkość, ale tu, w dziczy, nie stanowił zagrożenia i można go było bezpiecznie obserwować.

Demon opuścił więc powierzchowne myśli samicy i wniknął głębiej, poszukując informacji o samcu, ale nie znalazł niczego intrygującego. Podsunął jej więc pytanie.

\* \* \*

*– Jak ci się udało przywrócić ludziom utracone runy? – zapytała Renna, zaskakując tym nawet siebie. Wiedziała dobrze, że Arlen nie życzył sobie, by pytano go, co się działo po opuszczeniu Potoku.*

*– Mówiłem już. Znalazłem je w ruinach – odparł.*

*– W jakich ruinach? Gdzie? – naciskała Renna.*

*– A co to ma za znaczenie? – parsknął Arlen. – Pisziesz sagę czy co?*

*– Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło – potrząsnęła głową Renna. – Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy.*

*Arlen skierował konia ku warowni, w której spędził ostatnie tygodnie, umacniając mury runami i ucząc Rennę polowania na demony.*

\* \* \*

Książę zasyczał, gdy usłyszał odmowę. Logika nakazywała zabić oboje, ale nie było pośpiechu. Ilość runów dookoła schronienia ludzkiej pary sugerowała, że nie odjadą stąd szybko. Demon będzie miał możliwość obserwować przez kilka następnych cykli interesującego samca.

Gdy ludzie przeszli przez barierę, demon stracił kontakt z umysłem samicy. W chwilę później zmiennokształtny wylądował na leśnej polanie i zamienił się w mgłę, strzegąc ścieżki, którą jego pan podąży do Otchłani.

## Pałac Luster

### 333 ROK PLAGI, LATO

Ciemność zapadła już dawno, gdy spotkanie rady dobiegło końca. Zgodnie z oczekiwaniami Leeshy zagłosowano jednomyślnie przeciwko jej wyjazdowi z Jardirem do Rizon. Mieszkańcy Zakątka byli wstrząśnięci, gdy oznajmiła im, że ich głosy nie mają najmniejszego znaczenia.

Leesha nie miała już swego płaszcza, który zawsze przydawał się w sytuacjach, gdy musiała wracać po zmroku do domu, ale Rojer otoczył grupę aurą swej muzyki, równie potężnej jak bariera runiczna. Odkąd grał na nowych skrzypcach, jego moc zdawała się rosnać dziesięciokrotnie, ale mimo to Wonda i Gared trzymali broń w pogotowiu, gdy odprowadzali Darsy i Vikę.

– Wciąż twierdzą, że upadłaś na głowę – warknęła Darsy, która onieśmielała obcych w tym samym stopniu co Wonda. Nie dorównywała łuczniczce wzrostem, ale była od niej szersza w barach i nawet bez blizn po szponach demonów odstraszała ludzi urodą.

– Każdy ma prawo do własnej opinii – wzruszyła ramionami Leesha. – Ten temat został już jednak zamknięty.

– A co takiego mamy począć, jeśli Krasjanie cię uwiężą? – zapytała druga Zielarka. – Przecież nie damy rady cię uratować, a ty jedna trzymasz miasto w kupie, zwłaszcza po tym, jak Wybawiciel wyjechał Stwórca wie dokąd.

– Wkrótce przybędzie tu książę Thamos i Drewniani Żołnierze – przypomniała jej Leesha.

– Oni też nie przyjdą ci z pomocą – oznajmiła Darsy.

– Nie spodziewam się tego po nich. – Leesha wzruszyła ramionami. – Będziesz więc musiała mi zaufać, że się o siebie zatroszczę.

– Bardziej obawiam się o resztę – odezwała się Vika. – Jeśli wyjdiesz za tego człowieka, stracimy cię na zawsze, ale jeśli nie... Cóż, wtedy najprawdopodobniej również cię stracimy. Co mamy robić?

– To właśnie dlatego przyprowadziłam was tutaj dziś w nocy – oznajmiła Leesha.

Po chwili oczom idących ukazał się dom, a ledwie znaleźli się w środku, Zielarka nakazała Wondzie podnieść klapę, pod którą znajdowało się zejście do podziemnego warsztatu.

– Na dół zejđą jedynie Vika i Darsy – rozkazała. – To sprawa między Zielarkami.

Pozostali pokiwali głowami, a Leesha sprowadziła obie kobiety do piwnicy, zapalając po drodze zimne lampy chemiczne.

– Na Stwórcę – westchnęła Darsy.

Nie schodziła tu od wielu lat, praktycznie odkąd Bruna wyrzuciła ją z terminu. Leesha znacznie powiększyła pomieszczenie, które rozciągało się teraz daleko poza chatę. Naznaczone runami stemple podtrzymywały sufit głównej izby i wielu rozchodzących w różne strony tuneli. Bruna zresztą trzymała w swej piwnicy jedynie garść piorunowych patyczków, by usuwać przeszkadzające jej pniaki, oraz parę słoików z płynnym ogniem demonicznym, zaś Leesha nagromadziła tu nieprzebrany arsenał.

– Jest tu wystarczająco dużo chemikaliów, by zamienić Zakątek w powierzchnię słońca – stwierdziła Vika.

– Jak sądzicie, dlaczego postanowiłam nadal mieszkać tak daleko od głównej osady? – zapytała Leesha. – Przygotowuję ogień demoniczny i piorunowe patyki co noc od prawie roku.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałaś? – zapytała Vika.

– Bo nikt nie może się o tym dowiedzieć – odparła Leesha. – Nie mam zamiaru pozwolić Rębaczom czy radzie decydować, jak należy spożytkować moje dobra. To wszystko znajduje się w gestii jedynie nas, Zielarek, i to wam powierzam pieczę nad moim arsenałem. Korzystajcie z niego oszczędnie i tylko po to, by ratować ludzkie życie. Chcę również, byście dały mi słowo, że o tym miejscu nie powiedzicie nawet słówka, bo w przeciwnym razie dosypię wam czegoś do herbaty i nie będziecie w ogóle pamiętać, że tu zeszłyście.

Kobiety spojrzały po sobie, jakby próbowały dociec, czy to na poważnie, ale nic nie wskazywało, że Leesha żartuje. Można to było wyczytać z jej oczu.

– Przysięgam – powiedziała Vika.

Darsy zawahała się na okamgnienie, ale w końcu przytaknęła i ona.

– Przysięgam na słońce – rzekła. – Ale nawet twoje skarby na nic nam się nie zdadzą, jeśli nie wrócisz.

Leesha pokiwała głową i obróciła stolik, na którym piętrzyły się książki.

– Tu zgromadzone są sekrety ognia – wyznała.

\* \* \*

Jardir uśmiechnął się szeroko na widok Leeshy i jej asysty. Spodziewał się, że tak potężna osobistość przybędzie z większą świtą, a tymczasem ujrzał jedynie jej rodziców, Rojera, olbrzyma Gareda i kobietą *Sharum*, Wondę.

– Ta wprawi naszego *dama* w furję. – Abban wskazał mu Wondę. – Kaze jej odłożyć broń i zasłonić twarz. Powinieneś zażądać, by nie przychodziła.

Jardir pokręcił głową.

– Obiecałem Leeshy, iż będzie mogła swobodnie wybrać sobie towarzyszy, i nie mam zamiaru cofnąć danego słowa. Nasi ludzie muszą nauczyć się akceptować zasady rządzące w plemienu Zakątki. Być może pokazanie im kobiety, która walczy w *alagai'sharak*, to dobry początek.

– O ile ta kobieta dobrze wypadnie – stwierdził Abban.

– Widziałem ją w bitwie – rzekł Jardir. – Odpowiednio przeszkolona mogłaby stać się równie groźnym przeciwnikiem jak każdy *Sharum*.

– Postępuj ostrożnie, Ahmann – ostrzegł Abban. – Jeśli zaczniesz wymagać od naszych ludzi i zbyt mocno naciskać, by akceptowali zmiany, wielu z nich je odrzuci.

Jardir pokiwał głową, wiedząc, że Abban nie przesadza.

– Chcę, żebyś się trzymał blisko Leeshy podczas podróży do Lenna Everama – nakazał. – Dajmy na to pod pretekstem uczenia jej naszej mowy, skoro tego chce. Nie wypada, bym sam zajmował się nią zbyt często, ale ciebie jej opiekunowie powinni zaakceptować.

– Chętniej niż *dal'Sharum*, co do tego nie ma wątpliwości – mruknął Abban.

– Chcę wiedzieć o niej wszystko – dodał Jardir. – Chcę wiedzieć, w jakich potrawach się lubuje, jakie zapachy sprawiają jej przyjemność. Co tylko się da.

– Oczywiście – rzekł Abban. – Zajmę się tym.

\* \* \*

Gdy *dal'Sharum* rozbijali obozowisko, Abban podszedł, kuszący, do wozu, w którym podróżowała Leesha oraz jej rodzice. Z zaintrygowaniem odkrył, że kobieta sama powozi. Nie miała żadnych służących, którzy by wykonywali za nią pracę. Kupiec poczuł, że jego szacunek dla Zielarki rośnie.

– Czy mogę się dosiąść, pani? – zapytał z ukłonem. – Mój pan poprosił mnie, bym nauczył cię naszego języka, jak tego pragnęłaś.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Leesha. – Rojer może przesiąść się na konia.

Minstrel, który siedział obok na koźle, jęknął głucho i wykrzywił się szydyczko. Abban zaś uklonił się nisko, wspierając na nieodłącznej lasce. Zgodnie z przewidywaniami *dama'ting*, noga nigdy się nie wyleczyła w pełni i nawet teraz zawodziła w najmniej



oczekiwanych momentach.

– Jeśli wolisz, synu Jessuma, możesz dosiąść mojego wielbłąda – rzekł *khaffit*, wskazując wierzchowca.

Minstrel przyjrzał się zwierzęciu nieufnie, lecz dostrzegłszy wymoszczony poduszkami, ocieniony palankin, przestronny i bogato zdobiony, błysnął oczyma.

– To łagodne zwierzę, które podąży za innymi. Nie trzeba nim kierować – dodał Abban.

– Cóż, jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko... – zaczął Rojer.

– Oczywiście, że nie – zapewnił Abban.

Rojer pochwycił skrzypki i zeskoczył z wozu, wykonując efektowne salto, po czym podbiegł do wielbłąda. Gruby kupiec oczywiście go okłamał – temperament zwierzęcia w najlepszym razie można było nazwać paskudnym – ale nim wielbłąd zdążył opluć młodzieńca, Rojer uniósł skrzypce i bez trudu ukoił wierzchowca, jakby miał do czynienia z *alagai*. Leesha z pewnością przedstawiała dla Ahmanna o wiele większą wartość, ale Rojer również był cennym nabytkiem.

– Mogę ci zadać pytanie, Abban? – zapytała Leesha, wyrywając go z zadumy.

– Naturalnie, pani.

– Chodzisz o lasce od urodzenia?

Zaskoczyła go ta śmiałość. Wśród Krasjan kalectwo było ignorowane lub stanowiło powód do kpin. Nikt nie interesował się *khaffit* na tyle, by w ogóle zadawać podobne pytania.

– Nie, to stało się później – przyznał. – Odniosłem kontuzję podczas *Hannu Pash*.

– Co to jest *Hannu Pash*? – zapytała Leesha.

– Cóż, każda sytuacja nadaje się do tego, by rozpocząć naukę – uśmiechnął się Abban i wdrapał na wóz, by usiąść obok Zielarki. – W waszej mowie oznacza to „ścieżka życia”. Krasjańscy chłopcy są w dzieciństwie zabierani od matek i przyprowadzani do *sharaj* ich plemienia. *Sharaj* to coś w rodzaju koszar, gdzie poznajemy wolę Everama – czy chłopiec ma zostać *Sharum*, *dama* czy *khaffit*.

Postukał chromą nogę laską.

– To musiało nastąpić. Nie mam duszy wojownika, wiedziałem to od pierwszego dnia w *sharaj*. Urodziłem się jako *khaffit*, a dyscyplina podczas *Hannu Pash* wkrótce to obnażyła.

– Nonsens – rzekła Leesha.

– Ahmann myślał podobnie – wzruszył ramionami Abban.

– Naprawdę? – Leesha wyglądała na zaskoczoną. – Sposób, w jaki cię traktuje, zupełnie o tym nie świadczy.

Abban pokiwał głową, ale zaraz dodał:

– Błagam cię, wybacz mu to, pani. Mój pan został zabrany na *Hannu Pash* tego samego dnia co ja i dla mnie każdego dnia przeciwstawiał się woli Everama. Nie zważając na trudy, włókł mnie przez Kaji'sharaj na własnych plecach. Co rusz dawał mi kolejną szansę, ale ja zawodziłem jego oczekiwania podczas każdego sprawdzianu.

– Czy te sprawdziany były sprawiedliwe i uczciwe? – dopytywała się Leesha.

– Nic na Ala nie jest sprawiedliwe, pani – zaśmiał się Abban. – A dola wojownika nie ma zgoła nic wspólnego ze sprawiedliwością. Albo człowiek jest silny, albo słaby. Krwiożerczy albo pobożny. Odważny lub tchórzliwy. *Hannu Pash* odsłania, jaki mężczyzna drzemie w duszy chłopca. Dla mnie owa odsłona okazała się trafna. W moim sercu nie ma *Sharum*.

– Przecież to nie powód do wstydu.

– Słusznie, toteż się nie wstydzę – zapewnił Abban. – Ahmann zna moją wartość, ale byłoby wielce... hmm, wielce niestosowne, gdyby okazał mi uprzejmość w obecności innych mężczyzn.

– Uprzejmość nigdy nie jest niestosowna – stwierdziła Leesha.

– Życie na pustyni jest bardzo surowe, pani – wyjaśnił Abban. – Nic więc dziwnego, że mój lud zatracił łagodność. Zaklinam cię, nie osądzaj nas, póki nie poznasz.

– To właśnie dlatego jadę do was z wizytą – pokiwała głową Leesha. – Póki co jednak pozwól, że cię zbadam. Niewykluczone, że pomogę ci z twoją nogą.

Niespodziewanie Abban uświadomił sobie, co by się stało, gdyby Ahmann ujrzał, jak kupiec opuszcza jedwabne pantalone przed Leeshą. Jego życie nie byłoby warte worka piasku. Machnął dłonią, zbywając jej prośbę.

– Jestem *khaffit*, pani – rzekł. – Niewart twojej uwagi.

– Jesteś człowiekiem jak każdy – stwierdziła Leesha z uporem. – Jeśli chcesz spędzić w moim towarzystwie jeszcze choć chwilę, nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich zapewnień, jakoby było inaczej.

Abban uklonił się.

– Znałem kiedyś człowieka z zielonych krain, który miał podobne przekonania – przyznał, starając się, by zabrzmiało to jak komentarz rzucony od niechcenia.

– Doprawdy? Jak miał na imię?

– Arlen syn Jepha z klanu Bales z Potoku Tibbeta.

Twarz Leeshy ani drgnęła, ale *khaffit* dostrzegł, że jej oczy zabłyśły, jakby imię było jej znane.

– Potok Tibbeta leży daleko stąd, w księstwie Miln – rzekła. – Nie miałam dotąd przyjemności poznać kogoś z tamtych stron. Jak wyglądał?

– Wśród moich rodaków znany był jako Par'chin, co oznacza „odważny przybysz” – rzekł Abban. – Czuł się jak ryba w wodzie zarówno na bazarze, jak i w Labiryncie. Niestety, opuścił nasze miasto wiele lat temu i nigdy nie powrócił.

– Może kiedyś jeszcze go spotkasz – rzekła Leesha.

– *Inevera* – wzruszył ramionami Abban. – Jeśli Everam tak zechce, będę wielce rad ze spotkania starego przyjaciela. Mam nadzieję, że dobrze się miewa.

Jechali wspólnie przez resztę dnia, rozmawiając na wiele tematów, ale do kwestii Par'china już nie powrócili. Milczenie Leeshy w tym temacie wiele jednak Abbanowi

zdradziło.

Ciężki, wlokący się wóz spowolnił podróż i *dal'Sharum* nie mogli popędzić rumaków po zapadnięciu ciemności. Ahmann wydał więc rozkaz rozbicia obozu. Abban stawiał właśnie swój namiot, gdy został wezwany przez Ahmanna.

– Jak minął pierwszy dzień? – zapytał przywódca.

– Jest niezwykle błyskotliwą osobą – przyznał Abban. – Rozpocząłem od uczenia jej prostych fraz, a rozebranie struktury zdania na czynniki pierwsze zajęło jej ledwie kilka minut. Nim dotrzemy do Lenna Everama, pani Leesha będzie mogła się przedstawić i porozmawiać o pogodzie, a z nastaniem zimy zapewne bez trudu się porozumie.

– Wolą Everama jest, by nauczyła się naszej mowy – rzekł Ahmann.

Abban wzruszył ramionami.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś?

– Lubi jabłka – uśmiechnął się Abban.

– Jabłka? – zdumiał się Ahmann.

– To owoc powszechny na Północy.

– Rozmawiałeś z nią przez cały dzień i dowiedziałeś się tylko, że lubi jabłka? – zmarszczył brwi Ahmann.

– Czerwone, twarde, świeżo zerwane z drzewa. Ubolewa nad tym, że teraz gdy ma tylu ludzi do wykarmienia, jabłka stały się rzadkością – ciągnął z uśmiechem kupiec, widząc, jak pogłębia się zmarszczka na czole Ahmanna. Sięgnął więc do kieszeni i wyjął owoc. – O, na przykład takie.

Ahmann uśmiechnął się niemalże od ucha do ucha.

Abban wyszedł z namiotu przywódcy z lekkim poczuciem winy. Dręczyło go, że nie wspomniał o reakcji Leeshy na wzmiankę o Par'chinie. Nie okłamał Jardira, ale nawet przed sobą kupiec nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zataił tę informację. Par'chin w istocie był jego przyjacielem, ale Abban nigdy nie pozwalał, by przyjaźń przeszkodziła w zyskowych interesach, a jego zyski były nierozdzielnie związane z udanymi podbojami Ahmanna. Najpewniejszym sposobem na osiągnięcie zwycięstwa byłoby odnalezienie i zabicie Par'china. Lecz syn Jepha nie był przeciwnikiem, którego można było lekceważyć.

Abban jednakże przeżył jako *khaffit* dlatego, że umiał dotrzymywać sekretów i wybierać odpowiednie momenty na ujawnianie tajemnic. Na świecie zaś nie było sekretu większego niż ten, który Abban właśnie poznał.

\* \* \*

Leesha mieszała w garnku zupę, kiedy Jardir wszedł do kręgu. Podobnie jak Naznaczony, bez lęku chodził po niestrzeżonych strefach zaimprovizowanego obozowiska. Miał co prawda na sobie płaszcz Leeshy, ale zrzucił go, pozbywając się ochrony przed otchłāncami.

Nie miał zresztą właściwie czego się obawiać, chyba że dostrzegłby go przelatujący wysoko wichrowy demon. Po zapadnięciu zmroku *dal'Sharum* z ochotą zabrali się do wybijania dręczących obóz otchłańców, a potem zrzucili ich trupy w jedno miejsce, by powitać wschód słońca wielkim ogniskiem.

– Mogę zasiąść przy twoim ogniu? – zapytał po thesańsku.

– Oczywiście, synu Hoshkamina – odpowiedziała Leesha po krasjańsku. Zgodnie z naukami Abbana odłamała kawałek chleba ze świeżego bochenka i podała Jardirowi. – Skosztuj naszego chleba.

Jardir uśmiechnął się szeroko i uklonił nisko, przyjmując poczęstunek.

Rojer i pozostali również zgromadzili się wokół kociołka w oczekiwaniu na posiłek, ale wycofali się na znaczące spojrzenie Leeshy. Jedynie Elona pozostała na tyle blisko, by usłyszeć rozmowę, co Jardir uznał za jak najbardziej stosowne, nawet jeśli Leesha była tym podirytowana.

– Przygotowywane przez ciebie potrawy są rozkoszą dla podniebienia – oznajmił Jardir, gdy wyskrobał resztki drugiej porcji.

– To zwykła potrawka – rzekła Leesha, lecz mimo to komplement wywołał jej uśmiech.

– Mam nadzieję, że masz jeszcze nieco miejsca w żołądku. – Jardir wyciągnął z kieszeni wielkie czerwone jabłko. – Wielce polubiłem ten północny owoc i chciałbym się nim z tobą podzielić, jak ty podzieliłaś się ze mną chlebem.

Leesha na widok jabłka pocięła ślinka. Jak dawno temu jadła tak dojrzały owoc? Głodujący uchodźcy grasowali wokół Zakątka Wybawiciela niczym szarańcza i bywało, że jabłka znikły z drzew, na długo nim stały się jadalne.

– Z przyjemnością – starała się nie zdradzić, jak wielką ma ochotę na jabłko.

Jardir wyciągnął mały nożyk i pokroił owoc na niewielkie, zgrabne kawałki. Leesha rozkoszowała się każdym kęsem i upłynęło sporo czasu, nim deser dobiegł końca. Zauważyła jednak, że mimo upodobania do jabłek Ahmann oddał jej większość owocu i tylko przyglądał się, jak Leesha je. W jego oczach błyszczał zachwyty.

– Dziękuję, to było cudowne – uśmiechnęła się Leesha, gdy skończyli.

Jardir uklonił się, nie wstając.

– Przyjemność po mojej stronie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, równą przyjemnością będzie dla mnie odczytanie ci kilku ustępów z Ewejah, jak obiecałem.

Leesha wyraziła zgodę i wyciągnęła oprawioną w skórę księgę z przepastnych kieszeni sukni.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko, ale jeśli masz mi czytać swoją książkę, musisz rozpocząć od początku i niczego nie ominąć.

Jardir przechylił lekko głowę i przez moment Leesha obawiała się, że nieświadomie go uraziła. Tymczasem na twarz Krasjanina powoli wypłynął uśmiech.

– To potrwa wiele nocy.

Leesha rozejrzała się po obozowisku i ciągnących się daleko pustych równinach.

– Póki co raczej nie mam w nocy wiele do roboty.

\* \* \*

Co ciekawe, po przybyciu do Lenna Everama najwięcej zainteresowania przyciągnęła nie Wonda, ale Gared. Jardir widział wzrok *Sharum*, którzy taksowali olbrzymią sylwetkę i grube mięśnie Rębacza, szukali jego słabych punktów i próbowali ocenić, jakim jest przeciwnikiem. W ten sam sposób przyglądali się zresztą każdemu, czemu nie należało się dziwić – wedle wyznawanej przez *Sharum* filozofii należało zawsze pozostawać w gotowości do walki, bez względu na to, czy z wrogiem, bratem, ojcem czy przyjacielem. Każdy z wojowników miałby ochotę zmierzyć się z olbrzymem z Północy, a *Sharum*, który by go powalił, zyskałby ogromną sławę.

Dopiero gdy ludzie pustyni dobrze przyjrzeni się Garedowi, który stanowił dla nich najbardziej oczywiste zagrożenie, zwrócili uwagę na Wondę. Wielu przeżyło ogromne zaskoczenie, uświadomiwszy sobie, iż to kobieta.

*Sharum* nie posyłali przodem gońców, ale gdy grupa znalazła się na dziedzińcu przed pałacem Jardira, powitała ją Inevera w towarzystwie *Damaji'ting*. Inevera spoczywała w wyścielonym poduszkami palankinie, podtrzymywanym przez muskularnych *chin*, strojnych jedynie w kamizelę i bido. Jej strój był wyzywający jak zawsze i nawet mieszkańcy zielonych krain sapnęli ze zdziwienia i zarumienili się, gdy niewolnicy postawili lektykę, a *Jiwah Ka* wstała. Hipnotycznie kołysząc biodrami, podeszła do Jardira z rozłożonymi szeroko ramionami.

– Kto to? – zapytała Leesha.

– Moja Pierwsza Żona, Damajah Inevera – odparł Jardir. – Reszta to moje drugorzędne żony.

Leesha zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Jak ostrzegał Jardira Abban, jej twarz pociemniała niczym chmura burzowa.

– Jesteś już żonaty?

Jardir spojrział na nią z zaciekawieniem. Przecież zrozumiała chyba tyle z nauk Abbana, nawet jeśli była typem zazdrośnicy.

– Ależ oczywiście. Jestem Shar'Dama Ka.

Leesha już otwierała usta, by się odciać, ale wtedy podeszła Inevera i Zielarka zduśiła cisnące jej się na usta słowa.

– Mężu! – Inevera objęła Jardira i ucałowała namiętnie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo tęskniłam za twoim ciepłem w naszym łożu.

Jej słowa zaskoczyły nawet Ahmanna, ale od razu dostrzegł, że Inevera zerka ku Leeshy, i poczuł się, jakby pies właśnie obsikał mu nogę.

– Pozwól, że przedstawię ci moich gości honorowych – powiedział. – Oto pani Leesha, córka Erny’ego, pierwsza Zielarka plemienia Zakątki.

Inevera zmrużyła lekko oczy, gdy usłyszała tytuł. Obrzuciła złowrogim spojrzeniem najpierw Jardira, a potem Leeshę.

Leesha godnie zniosła pierwsze spotkanie z żoną Ahmanna – wytrzymała jej spojrzenie ze spokojem i nie cofnęła się ani o krok. Ujęła suknię i złożyła Pierwszej Żonie Jardira ukłon faworyzowany przez kobiety z jej stron.

– To prawdziwy zaszczyt móc cię poznać, Damajah.

Uśmiech Inevery oraz ukłon, którym odpowiedziała na powitalny gest Leeshy, były całkowicie neutralne i nie zdradziły żadnych emocji, ale Jardir wiedział już, że Abban się nie mylił. Inevera nie zaakceptuje tej kobiety jako *Jiwah Sen*, a Leesha nie czułaby się dobrze, gdyby Jardir poślubił ją wbrew woli Pierwszej Żony, by zyskać panowanie nad kobietami Północy.

– Porozmawiamy na osobności, mężu – powiedziała, a Jardir skinął głową. Teraz gdy nadeszła chwila konfrontacji z żoną, nie miał najmniejszego zamiaru zwlekać. Podziękował Everamowi, że słońce nadal stoi wysoko – w jego świetle Inevera nie była w stanie korzystać z magii swych *hora*.

– Abban, dołóż wszelkich starań, by Pałac Luster był gotowy dla pani Leeshy oraz jej świty – rzekł po krasjańsku.

Pałac nie nadawał się dla kogoś tak dostojnego jak Leesha, ale w całym Lennie Everama nie było godniejszego miejsca. Była to trzypiętrowa budowla o wnętrzach bogato przystrojonych dywanami, tkaninami i posrebrzonymi lustrami.

– O ile się nie mylę, w Pałacu Luster mieszka obecnie *Damaji Ichach* – rzekł Abban.

– A zatem *Damaji Ichach* będzie musiał poczynić nowe ustalenia – zdecydował Jardir.

– Rozumiem – ukłonił się Abban.

– Proszę o wybaczenie. – Jardir również się pokłonił, lecz Leeshy. – Muszę się naradzić z żoną. Abban zatroszczy się o wasz nocleg. Gdy załatwię swoje sprawy, złożę wam wizytę.

Leesha skinęła głową, lecz ów chłodny gest ostrzegał, że w jej sercu wrze ogień. Na sam widok Jardir poczuł, jak puls mu przyspiesza. Poczuł też przyływ nowych sił, gdy wraz z Ineverą wkroczył do pałacu.

\* \* \*

– W jakim celu przywiodłeś tu tę kobietę? – zażądała wyjaśnień żona, gdy znaleźli się oboje w komnacie za salą tronową.

– Kości ci tego nie powiedziały? – uśmiechnął się złośliwie Jardir.

– Oczywiście, że powiedziały – warknęła Inevera. – Niemniej nie tracę nadziei, że chociaż tym razem mnie okłamały, a ty nie jesteś aż takim głupcem.

– Małżeństwa scementowały moją władzę w Krasji – rzekł Jardir. – Czy głupotą jest założyć, że spełnią tę samą rolę na Północy?

– Ale to *chin*, mężu! Nadają się tylko do rozplodu i wierz mi, nie ma wśród nich kobiety wartej twojego nasienia.

– Nie zgadzam się – zaproponował Jardir. – Leesha jest warta w tym samym stopniu co każda spotkana przeze mnie kobieta.

Inevera skrzywiła się.

– Cóż, i tak nie ma to znaczenia. Kości przemówiły przeciwko niej, a ja nie zaaprobuję takiego związku.

– Masz rację, to nie ma znaczenia – rzekł Jardir. – Bo poślubię ją tak czy owak.

– Nie wolno ci. Jestem *Jiwah Ka* i to ja decyduję, czy możesz poślubić nową kobietę, czy nie.

Lecz Jardir potrząsnął głową.

– Ty jesteś moją krasjańską *Jiwah Ka*. Leesha zaś stanie się północną *Jiwah Ka*, będzie rządzić wszystkimi moimi żonami na Północy.

Inevera wytrzeszczyła oczy tak szeroko, iż wydawało się, że niemalże wyskoczą z orbit. Wrzasnęła i zaatakowała męża. Długie paznokcie, które wbijały się w plecy Jardira w zupełnie innych okolicznościach, teraz uzmysłowiły mu, że kobiety mogą się nimi posłużyć jak śmiertelnie niebezpieczną bronią.

Jardir pośpiesznie zszedł Ineverze z drogi. Nie zapomniał, w jaki sposób unieszkodliwiła go ostatnim razem, więc unikał jej ciosów i blokował je tak, by zminimalizować kontakt. Jej długie nogi, ledwie okryte cienkim, przezroczystym jedwabiem, kopały wysoko i celnie, a palce godziły w miejsca, gdzie mięśnie łączyły się z nerwami. Gdyby udało jej się trafić choć raz, ciało odmówiłoby Ahmannowi posłuszeństwa.

Był to pierwszy prawdziwy pokaz *dama'ting sharusahk*, którego Jardir był świadkiem. Śledził precyzyjne, śmiertelnie groźne ruchy żony z fascynacją, wiedząc dobrze, iż Inevera mogłaby zabić któregokolwiek z *Damaji*, nim ten by się zorientował, że w ogóle został uderzony.

Ale Jardir był Shar'Dama Ka. Był największym spośród żyjących mistrzem *sharusahk*, a jego ciało było silniejsze i szybsze dzięki magii Włóczni Kajiego. Teraz gdy znał możliwości Inevery i zachowywał ostrożność, nawet żona nie stanowiła dla niego zagrożenia. W końcu złapał kobietę za nadgarstek i cisnął na stertę poduszek.

– Zaatakuj mnie raz jeszcze – ostrzegł – a zabiję cię bez względu na to, kim jesteś.

– Ta pogańska ladacznica rzuciła czar na twój umysł! – splunęła Inevera.

– Może – zaśmiał się Jardir. – A może właśnie zaczęła go uwalniać!

\* \* \*

*Damaji* Ichach obrzucił ich wściekłym spojrzeniem, opuszczając Pałac Luster ze swymi żonami i dziećmi.

– Gdyby wzrok mógł zabijać, bylibyśmy martwi – rzekł Rojer.

– I co z tego? – odparła Leesha. – Przecież Ahmann zabrał tę posiadłość przemocą jakiemuś rizoniańskiemu arystokracie.

– A kto tam wie co tym ludziom siedzi w głowach. Może Jardir uznałby za powód do dumy, gdybyśmy wyświadczyli mu uprzejmość i wyrznęli całą jego rodzinę z nim na czele.

– To nie było śmieszne, Rojer – oburzyła się Leesha.

– Nie żartowałem – odparł Rojer.

Abban wyszedł niedługo potem z posiadłości i złożył gościom głęboki ukłon.

– Twój pałac oczekuje cię, pani – oznajmił. – Moje żony przygotowują niższe piętra dla twojej świty, lecz górna kondygnacja, gdzie znajdują się twoje prywatne komnaty, jest gotowa.

Leesha uniosła wzrok i spojrzała na gigantyczną rezydencję. Na najwyższym piętrze widziała tuziny okien. Czyżby naprawdę miała dla siebie całą górną część rezydencji? Z pewnością powierzchnia dziesięciokrotnie przewyższała chatę, którą Zielarka dzieliła z Wondą.

– Przydzieliles jej całe piętro? – Rojer również patrzył z niedowierzaniem.

– Oczywiście twoje komnaty także zostaną bogato przystrojone, synu Jessuma – obiecał Abban z ukłonem. – Niemniej wedle tradycji dziewica, która ma niebawem wyjść za mąż, zawsze zajmuje najwyższe piętro, zaś pod nią mieszka jej rodzina, której zadaniem jest dopilnować, by córka z godnością założyła weselne szaty jako kobieta nietknięta.

– Nie zgodziłam się jeszcze przyjąć oświadczyn Ahmanna – podkreśliła Leesha.

– To prawda, ale także ich nie odrzuciłaś – ukłonił się Abban. – To zaś oznacza, że do chwili podjęcia decyzji nadal jesteś tą, którą mój pan zamierza poślubić. Obawiam się, że zasady wynikające z tradycji są tu niewzruszone.

Niespodziewanie podszedł bliżej i osłaniając usta pod pretekstem gładzenia brody, wyszeptał:

– A ja gorąco radzę, pani, że jeśli nie zamierzasz się zgodzić na ożenek z Ahmannem, ogłoś tę decyzję z dala od Lenna Everama.

Leesha, która doszła do podobnych wniosków, przytaknęła.

W pałacu goście natknęli się na odziane w czerń kobiety, które szorowały podłogi. Wzdłuż ścian głównego korytarza ciągnęły się rzędy luster, odbijających się w nieskończoność. Dywan wyściełający kamienną podłogę był miękki, gruby i aż raził jaskrawymi kolorami, a balustrada przy schodach była pomalowana na złoto i barwę kości słoniowej. Na ścianach nadal wisiały portrety, przypuszczalnie prawowitych właścicieli posiadłości. Sprawiały wrażenie, że przyglądają się intruzom z dezaprobatą. Leesha zadała sobie w duchu pytanie, jaki los spotkał poprzednich mieszkańców pałacu, gdy nadeszli



Krasjanie?

– Gdybyś zechciała zaczekać ze swoją świtą tutaj, pani – rzekł Abban. – Wrócę niebawem, by zaprowadzić każdego z was do przeznaczonych wam komnat.

Leesha wyraziła zgodę skinieniem głowy, a Abban uklonił się i pozostawił gości w ogromnym salonie, z którego okien rozciągał się widok miasta.

– Gared, stań na zewnątrz i pilnuj wejścia – rozkazała Leesha po odejściu Abbana.

Gdy drzwi zostały zamknięte, Zielarka odwróciła się z furkotem spódnicy do matki.

– Powiedziałaś im, że jestem dziewicą? – zapytała ostro.

Elona wzruszyła ramionami.

– Sami wyszli z tego założenia. Ja tylko nie wyprowadzałam ich z błędu.

– A co będzie, jeśli wyjdę za Ahmanna i mąż przekona się, że jest inaczej?

– Nie będziesz pierwszą żoną, która udaje w łóżu małżeńskim – parsknęła Elona. – Żaden mężczyzna nie odrzuci z tego powodu kobiety, której naprawdę pożąda.

Spojrzała przy tym na Erny'ego.

Ojciec Leeshy przyglądał się swym butom, jak gdyby znajdowały się na nich wyjątkowo interesujące zapiski.

Leesha skrzywiła się, ale pokręciła głową.

– To zresztą nie ma znaczenia. Nie mam najmniejszego zamiaru zostać kolejną żoną w wielkim haremie Jardira. Cóż za tupet! Przywiódł mnie aż tutaj i ani słowem się nie zdradził, że ma żony!

– Och, na noc! – warknął Rojer. – Niewiedzą się nie zasłaniaj, Leesha. Każda krasjańska opowieść opisuje wielkiego władcę z tuzinem znudzonych żon zamkniętych w haremie. Zresztą cóż to za różnica. Już powiedziałaś, że nie masz zamiaru wychodzić za Jardira.

– Ciebie nikt o zdanie nie pyta – parsknęła Elona.

Leesha spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Wiedziałaś, że on jest już żonaty, czyż nie? – krzyknęła na matkę. – Wiedziałaś, a mimo to próbowałaś mnie sprzedać jak krowę na targu?

– Tak, wiedziałam – przyznała Elona. – Wiedziałam też, że ten człowiek może albo obrócić Zakątek w perzynę, albo uczynić moją córkę królową. Co, podjęłam złą decyzję?

– Nie tobie decydować, za kogo wyjdę!

– Cóż, ktoś musi podjąć tę decyzję – odgryzła się Elona. – Bo że ty nie zrobisz w tej sprawie niczego, jest jasne jak słońce.

Leesha wbiła w nią złowrogi spojrzenie.

– Co jeszcze im obiecałaś, matko? I co zaproponowano ci w zamian?

– Co im obiecałam? – zaśmiała się Elona. – Przecież to ślub! Twojemu narzeczonemu zależy tylko na tym, by mieć z kim poigrać w łóżu i doczekać się synów. To wszystko!

– Brzydzę się tobą – odparła Leesha. – Ale w jaki sposób się tego dowiedziałaś?

– No, powiedzmy, że napomknęłam o twoich sześciu starszych braciach – przyznała

Elona. – Co do jednego poległych w walce z demonami.

Cmoknęła w zadumie.

– Jak mogłaś! – wykrzyknęła Leesha.

– Co, sześcioro to zbyt wielu? Martwiłam się, że przesadzam, ale Abban uznał, że historyjka się nadaje, był nawet nieco rozczarowany. Sądzę, że powinnam powiedzieć, że było ich więcej...

– Nawet jeden to za dużo – prychnęła Leesha. – Żeby kłamać o martwych dzieciach... Czy ty nie masz za grosz szacunku?

– Szacunku? – zapytała Elona. – Dla kogo? Dla nieszczęsnych dusz dzieci, które nigdy nie istniały?

Leesha poczuła, jak powieka lewego oka zaczyna jej pulsować, i zrozumiała, że nadchodzi potworny ból głowy. Pomasowała skroń.

– Przybycie tutaj było wielkim błędem.

– Za późno na podobne wnioski – rzekł Rojer. – Nawet jeśli teraz Krasjanie nas wypuszczą, odjazd potraktowaliby jak splunięcie w twarz.

Ból w czaszce Leeshy eksplodował gwałtownie i uwolnił falę nudności.

– Wonda, dawaj moją sakwę z ziołami.

Wiedziała, że poradzi sobie z matką o wiele lepiej, po tym jak wypije napar na krwotoki, który łagodził ból głowy.

\* \* \*

Jardir przybył wkrótce po tym, jak komnaty na niższych piętrach zostały należycie przygotowane i towarzysze Leeshy zostali tam wprowadzeni. Zielarka zastanawiała się, czy mężczyzna nie zwlekał z wizytą celowo, czekając, aż zostanie sama. Stanął w progu i uklonił się, ale nie wszedł.

– Nie chcę cię w niczym urazić. Czy wolałabyś, by twoja matka była obecna podczas naszej rozmowy?

– Już prędeż wolałabym otchłańca na przyzwoitkę niż ją – parsknęła Leesha. – Myślę, że dałabym sobie z tobą radę, gdybyś położył rękę tam, gdzie nie wypada.

Jardir roześmiał się, uklonił ponownie i wszedł do komnaty.

– Och, nie obawiaj się. Chciałbym cię natomiast przeprosić za skromne warunki, w jakich mogłem cię zakwaterować. Żałuję, iż nie dysponuję pałacem godnym twojej potęgi i piękna, lecz ta nieszczęsna szopa to najzacniejszy pałac w Lennie Everama.

Leesha już chciała mu powiedzieć, że nigdy nie widziała miejsca równie pięknego za wyjątkiem pałacu księcia Rhinebecka, ale ugryzła się w język. W porę przypomniała sobie, że Krasjanie siłą zagarnęli tę rezydencję, przez co nie oni powinni wysłuchiwać komplementów.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz inne żony? – zapytała bez ogródek.

Na twarzy Jardira pojawiło się szczere zdumienie.

– Wybacz mi, pani – uklonił się. – Założyłem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Twoja matka zaproponowała, bym o tym nie wspominał, gdyż twoja zazdrość dorównuje twemu pięknu, przez co w istocie musi być straszna.

Na wspomnienie matki głowa Leeshy znów zapulsowała bólem, choć słysząc komplement, jakkolwiek nieco przesłodzony, poczuła, że serce zabiło jej żywiej.

– Pochlebiła mi ta propozycja – rzekła Leesha. – Na Stwórcę, nawet się poważnie nad nią zastanawiałam! Ale nie mam ochoty dołączyć do tłumu, Ahmann. Tu, na Północy, tak się nie robi. Ślub jest związkiem między dwojgiem ludzi, a nie tuzinami.

– Nie mogę zmienić tego, co trwa od wieków – odparł Jardir. – Niemniej błagam cię, byś nie podejmowała pochopnych decyzji. Chcę uczynić cię moją Pierwszą Żoną na Północy, a twoja władza pozwoliłaby ci odrzucić każdą kolejną kobietę. Jeśli nie życzysz sobie, bym wiązał się z innymi kobietami na Północy, wystarczy, że to powiesz, a stanie się wedle twej woli. Rozważ to dokładnie. Jeśli urodzisz mi synów, moi ludzie nie będą mieli wyboru i uznają plemię Zakątki.

Leesha zmarszczyła brwi, ale wiedziała, że nie wypada odmawiać wprost i bez zastanowienia. Krasjanie sprawowali tu władzę i dobrze o tym wiedzieli. Znów pożałowała pochopnej zgody na przyjazd do Rizon.

– Wkrótce zapadnie noc – odezwał się Jardir, gdy Leesha nie odpowiadała przez dłuższą chwilę. – Przybyłem, by zaprosić ciebie i twoich przybocznych na *alagai'sharak*.

Leesha przyjrzała mu się z namysłem.

– Nasza wojna z *alagai* jest płaszczyzną, która łączy nasze ludy – rzekł Jardir. – Jeśli moi wojownicy ujrzą, że pod gwiazdami walczymy niczym... niczym bracia i siostry, łatwiej będzie uznać twoich ludzi za plemię.

Leesha skinęła głową.

– W porządku, choć wolę, by moi rodzice zostali z tyłu.

– Oczywiście. Przysięgam na brodę Everama, że włos im z głowy nie spadnie.

– Czy jest powód, by obawiać się czegoś całkowicie przeciwnego? – zapytała Leesha, przypominając sobie wzrok *Damaji* Ichacha.

– Skądże znowu. – Jardir pokłonił się. – Po prostu przedstawiłem oczywisty fakt. Proszę o wybaczenie.

\* \* \*

Widok zwartych, zdyscyplinowanych oddziałów krasjańskich wojowników, zebranych na inspekcję przed *alagai'sharak*, wzbudził podziw Leeshy. Abban kusztykał u jej boku i dziewczyna w głębi serca czuła z tego powodu ogromną wdzięczność. Robiła szybkie postępy w krasjańskim, ale problem nadal stanowiły bariery kulturowe, których nie rozumiała.

Podobnie jak Rojer, Abban był brzuchomówcą i podszeptował jej rady, kiedy należy się uklonić, kiedy skinąć głową, wygłosić komplement i zatrzymać się na dłuższą pogawędkę. Tylko dzięki temu jak dotąd udawało się nie wywołać żadnego konfliktu.

Co więcej, Leesha odkryła, że po prostu lubi Abbana. Pomimo kontuzji, przez którą znalazł się w najniższej warstwie swojego społeczeństwa, *khaffit* potrafił zachować poczucie humoru i pogodę ducha, a do tego zdobył sobie nową, bardzo potężną pozycję.

– To nie mogą być wszyscy – mruknął Rojer, patrząc na zebranych *Sharum*, ponad tysiąc wojowników. – To niemożliwe, by taka garstka zajęła całe księstwo. W samym Zakątku jesteśmy w stanie zebrać tylu zbrojnych.

– Nie, Rojer – szepnęła Leesha, kręcąc głową. – Możemy zebrać tylu piekarzy i stolarzy, praczek i krawcowych. Zapewne byliby w stanie podnieść broń w razie konieczności, by bronić siebie i swoich rodzin. Ci tutaj to urodzeni wojownicy.

Rojer burknął i raz jeszcze przyjrzał się krasjańskim szeregom.

– Tak czy owak, jest ich za mało.

– Oczywiście masz rację – rzekł Abban, który usłyszał każde słowo z ich szeptanej rozmowy. – Patrzycie jedynie na niewielką część wielkiej armii pod dowództwem mojego pana.

Wskazał dwanaście oddziałów stojących na dziedzińcu przy wielkiej bramie.

– To najlepsi *dal'Sharum* wybrani spośród dwunastu plemion. Spotkał ich zaszczyt służenia u boku swoich *Damaji* jako osobista eskorta. Patrzycie na najwaleczniejszą, najbardziej niezwykłą formację w dziejach świata, ale i tak nic nie może się równać z milionem włóczni, które jest w stanie skrzyknąć Shar'Dama Ka. Pozostałe plemiona rozproszyły się po setkach wsi Lenna Everama.

Milion włóczni. Jeśli Jardir był w stanie zebrać choć czwartą część tej liczby, Wolne Miasta powinny poddać się bezwarunkowo, a Leesha musi przyzwyczajać się do myśli, iż będzie rodzić Jardirowi synów. O ile dobrze pamiętała, Arlen twierdził, iż krasjańska armia jest o wiele mniejsza. Leesha zerknęła na Abbana, zastanawiając się, czy jej nie okłamał. W głowie aż jej huczało od pytań, ale tymczasem zachowała je dla siebie, mając nadzieję, że drogą przemyśleń dojdzie do kolejnych wniosków.

„Nigdy nie pozwól, by ktokolwiek poznał twe myśli, chyba że zmusi cię konieczność”, uczyła niegdyś Leeshę Bruna, a księżna matka Araine wydawała się zgadzać z tą filozofią.

– A mieszkańcy owych wsi? – zapytała Zielarka. – Co się z nimi stało?

– Wciąż w nich mieszkają – rzekł Abban, choć znać było po nim, że pytanie głęboko go uraziło. – Naprawdę sądzisz, że mordujemy niewinnych! Nie jesteśmy potworami!

– Obawiam, że takie właśnie plotki krążą na całej Północy – rzekła Leesha.

– Cóż, są one wysrane z palca – stwierdził Abban. – Podbijane miejscowości są opodatkowywane, a chłopcy i mężczyźni są szkoleni, by mogli brać udział w *alagai'sharak*, lecz poza tym w ich życiu nie zachodzą żadne inne zmiany. Co więcej, mają od tej pory

okazję zdobywać chwałę podczas nocnych bitew.

Leesha znów przyjrzała się twarzy Abbana, usiłując się domyślić, w którym momencie skończył przesadzać, a zaczął kłamać, ale nie dopatrzyła się niczego. Pobór do wojska był koszmarem, ale przynajmniej mogła powiedzieć udręczonym uchodźcom w Zakątku, iż pojmani w niewolę mężowie, bracia i synowie najprawdopodobniej nadal żyją.

Na widok Leeshy i pozostałych w szeregach krasjańskich poniósł się szmer, ale wystarczyło, by stojący na ich czele dowódcy z twarzami przesłoniętymi białą tkaniną warknęli krótki rozkaz, a zapadła cisza. *Sharum* w milczeniu oczekiwali na inspekcję. Na czele stało dwóch mężczyzn, jeden w czarnej szacie wojownika, lecz w białym turbanie, a drugi w śnieżnobiałych szatach *dama*.

– Oto pierwszy syn mego pana, Jayan. – Abban wskazał wojownika. – A ów kleryk to jego drugi syn, Asome.

Jardir wystąpił przed swoich ludzi. Stał nieruchomo, emanując niemalże namacalną władzą. Wojownicy patrzyli na niego z nabożnym podziwem, nawet w oczach jego synów widać było błysk fanatyzmu. Leesha ze zdumieniem odkryła, że po zaledwie dwóch tygodniach nauki rozumiała większość wypowiedzianych przez Jardira słów.

– *Sharum* z Pustynnej Włóczni! – wykrzyknął przywódca. – Dziś spotkał nas niezwykle zaszczyt, albowiem w naszej *alagai'sharak* wezmą udział *Sharum* z plemienia Zakątku na Północy, nasi bracia w nocnych bitwach!

Wskazał przy tym Leeszę i jej towarzyszy. Wśród wojowników poniósł się szmer niedowierzania.

– Oni mają walczyć? – zapytał ostro Jayan.

– Ojciec, Ewejah jasno stwierdza, że kobietom nie wolno walczyć w *sharak* – zaprotestował Asome.

– Ewejah został spisany przez Wybawiciela – rzekł Jardir. – Teraz to ja jestem Wybawicielem i ja ustalam, wedle jakich reguł toczona jest *sharak*.

– Nie będę walczył u boku kobiety – warknął Jayan.

Jardir natarł nań jak rozszalały lew. Błyskawicznie, niemalże niedostrzegalnym gestem pochwycił syna za gardło. Jayan sapał wściekle i usiłował się uwolnić, ale chwyt ojca był jak imadło. Jardir napiął mięśnie i uniósł ramię. Stopy młodzieńca ledwie dotykały ziemi.

Leesha chciała ruszyć z pomocą, lecz Abban z zaskakującą siłą zablokował jej drogę laską.

– Nie bądź głupia! – wyszeptał ochryple, lecz stanowczo. Ton jego głosu sprawił, że Leesha pozostała na miejscu. Patrzyła tylko bezradnie, jak Jardir dusi własnego syna, i odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie rzucił go na ziemię, z trudem łapiącego oddech, ale żywego.

– Jakim trzeba być zwierzęciem, by zaatakować własne dziecko? – zapytała Leesha ze zgrozą.

Abban już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ubiegł go Gared:

– Nie miał wyboru. Nikt nie ruszy do boju za człowiekiem, który własnego smarkacza nie może utrzymać w ryzach.

– Nie potrzebuję rady od wioskowego sadysty! – parsknęła Leesha.

– Ale kiedy on ma rację – ku jej zdumieniu szepnęła Wonda. – Nie wiem, o czym gadali, ale mój stary rozbiłby mi nos, gdybym się do niego odezwała tym tonem. Chwila tarzania się po ziemi raczej smarkowi nie zaszkodzi.

– Wygląda na to, że zasady, wedle których funkcjonują nasze ludy, nie różnią się tak bardzo – zauważył Abban.

\* \* \*

*Alagai'sharak* była w rzeczy samej czystką na granicach miasta. *Sharum* opuścili Rizon przez północną bramę i rozeszli się. Sześć plemion udało się na zachód, a sześć na wschód. Wojownicy tworzyli zwarte formacje, ustawiali mur tarcz i las włóczni, zabijając każdego *alagai* na swej drodze, aż spotkali się przy bramie południowej. By uniknąć kolejnych konfliktów, Jardir wysłał Jayana i Asome na wschód, a sam zabrał Leeshę i pozostałych na zachód. Abban został przy bramie.

Nikt z przybyszów z zielonych krain nie nosił tarczy, więc Jardir kazał im iść za pierwszym szeregiem. Osobiście strzegł Leeshy, mając do pomocy Hasika i kilku wojowników z Włóczni Wybawiciela. Demony zbiegały się zewsząd, by pożerać trupy zabitych wcześniej pobratymców, i nie wahały się atakować niewielkiej grupy wojowników.

Z początku Krasjanie próbowali chronić obcych, ale nadzieje Jardira nie okazały się płonne i towarzysze Leeshy wnet uświadomili *Sharum*, iż ochrona nie jest potrzebna. Rojer grał na skrzypcach, to zwabiając otchłańce do pułapki, to sprawiając, że rzucały się na siebie. Leesha ciskała magią ognia, rozrzucając potwory jak ziarna piasku na wietrze, a Gared i Wonda rzucali się bez wahania w największe gromady nieprzyjaciół. Ogromny Rębacz siekł demony na kawałki toporem i maczetą, a Wonda strzelała tak szybko, iż cięciwa jej łuku pobrękiwała jak struny skrzypiec Rojera. Jej pociski zabijały każdego demona, którego zdołała wypatrzeć. Zestrzeliła nawet kilka na niebie, nim zdążyły opaść na walczący oddział.

Niespodziewanie jednak odkryła, że jej kołczan jest pusty. W tej samej chwili ognisty demon rzucił się na nią z sykiem. Któryś z *dal'Sharum* ostrzegł ją okrzykiem i rzucił się na pomoc.

Nie musiał się jednak przejmować. Wonda błyskawicznie przewiesiła łuk przez ramię i pochwyciła demona za rogi. Uchyliła się, by uniknąć ognistego plunięcia, a potem czystym, perfekcyjnie wykonanym rzutem *sharusahk* posłała stwora na ziemię. W jej dłoni pojawił się runiczny nóż, którym przerznęła gardło bestii. Uniosła głowę i w jej oczach Jardir ujrzał tę samą żądzę krwi co u *Sharum*. Dziewczyna uśmiechnęła się do oszołomionego *dal'Sharum*, który jeszcze chwilę temu spieszył jej na pomoc, lecz nagle wytrzeszczyła oczy i wskazała

niebo.

– Uważaj! – krzyknęła, lecz ostrzeżenie pojawiło się za późno. Wichrowy demon zanurkował, a jego długie szpony przebiły zbroję wojownika i przeorały jego ciało.

Wszyscy zareagowali w jednej chwili. W powietrzu zawirowały runiczne noże Rojera i Wondy, wystrzeliły też trzy włócznie i demon padł na ziemię, nim zdołał porwać ciało wojownika ku niebu. Leesha uniosła suknie i podbiegła do leżącego *dal'Sharum. Alagai*, ledwie kilka cali dalej, nadal się miotał, lecz kobieta nie zwróciła na niego uwagi i uklękła przy rannym. Jardir podbiegł do niej, a Gared i pozostałe Włócznie dobili otchłanica i odwrócili się, poszukując kolejnych celów.

Ranny wojownik, Restavi, służył Jardirowi lojalnie od wielu lat. Jego zbroja przesiąkła krwią, lecz nadal rzucał się szaleńczo, nie pozwalając Leeshy obejrzeć rany.

– Przytrzymajcie go – rozkazała głosem nawykłym do posłuszeństwa, niczym *dama'ting*.  
– Nie mogę niczego zrobić, gdy się tak miota.

Jardir złapał ramiona Restawiego i przytrzymał go mocno. Wtedy też pochwycił rozszalałe spojrzenie wojownika.

– Jestem gotów, Wybawicielu – wykrzyknął. – Pobłogosław mnie i poślij na samotną ścieżkę!

– Co on mówi? – zapytała Leesha, przecinając grubą szatę i odrzucając strzaskane ceramiczne płytki. Aż zakłęła, widząc rozmiary rany.

– Mówi, że jego dusza jest gotowa udać się do Nieba. Prosi, bym pobłogosławił go szybką śmiercią.

– Ani się waż – warknęła Leesha. – Powiedz mu, że jego dusza może i jest gotowa, ale ciało nie.

Ależ ona przypomina Par'china, pomyślał Jardir i nagle uświadomił sobie, jak bardzo tęskni za dawnym przyjacielem. Restavi umierał, nie było co do tego wątpliwości, ale uzdrowicielka z Północy nie chciała go puścić bez walki. Było to honorowe, chwalebne podejście i dobrze zdawał sobie sprawę, iż gdyby zlekceważył jej życzenie i po prostu zabił swego człowieka, nawet jeśli ten błagał o śmierć, uraziłby jej dumę. Ujął więc twarz Restawiego w dłonie i spojrzał mu prosto w oczy.

– Jesteś Włócznie Wybawiciela! Ruszysz swoją samotną ścieżką, gdy ci rozkażę i ani chwili wcześniej! A teraz przyjmij swój ból, pogódź się z nim, wchłoń go i przestań się ciskać!

Restavi zadrżał, ale kiwnął głową i nabrał tchu, a jego konwulsje osłabły. Leesha przyjrzała mu się z zaskoczeniem, lecz odepchnęła Jardira i przystąpiła do pracy.

– Nacierajcie dalej! – przykazał Jardir Hasikowi. – Ja zaczekam przy pani.

– Po co? – zapytał Hasik. – Nawet jeśli przeżyje, i tak nigdy już nie uniesie włócznie.

– Nie masz o tym pojęcia, podobnie jak ja – odparł Jardir. – To *inevera*. Nie będę stawał na drodze mojej narzeczonej, podobnie jak uszanowałbym wolę *dama'ting*.

Włócznie Wybawiciela uformowały wokół Leeshy krąg, ale nie było to potrzebne, gdyż Rojer otoczył ich ścianą dźwięków, przez co żaden *alagai* nie ośmielił się zbliżyć.

– No, teraz możemy go przenieść – rzekła w końcu Leesha. – Zatomowałam krwotok, ale będzie trzeba zrobić parę operacji. Do tego potrzebny jest jednak odpowiedni stół i więcej światła.

– Czy będzie mógł jeszcze kiedyś stanąć do walki? – zapytał Jardir.

– On żyje – rzekła Leesha. – Tyle na razie nie wystarczy?

Jardir zmarszczył brwi i odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa:

– Jeśli nie będzie mógł już nigdy walczyć, prawdopodobnie sam odbierze sobie życie.

– Bo w przeciwnym razie zostanie *khaffit*? – skrzywiła się Leesha.

– Nie. – Jardir pokręcił głową. – Restavi zabił setki *alagai* w swoim życiu. Ma zapewnione miejsce w Niebie.

– To dlaczego chce się zabić?

– Bo jest *Sharum* – rzekł Jardir. – Jego przeznaczeniem jest śmierć na pazurach *alagai*. Wojownicy nie umierają ze starości, w łóżach, jako utrapienie dla rodziny i plemienia. To właśnie z tego względu *dama'ting* nie oglądają rannych aż do świtu.

– By ci, którzy odnieśli największe rany, zdążyli umrzeć?

Jardir pokiwał głową.

– To nieludzkie – stwierdziła Zielarka.

– Takie zwyczaje panują wśród nas – wzruszył ramionami Jardir.

– I na tym polega różnica między naszymi ludami. Wy żyjecie po to, by walczyć, a my walczymy, by żyć. Co zrobisz, gdy osiągniesz zwycięstwo w *Sharak Ka* i odkryjesz, że nie masz już po co walczyć?

– Wtedy Ala i Niebo staną się jednym – odparł Jardir. – I znajdziemy się w raju.

– A więc czemu nie zabiłeś tego człowieka, skoro cię o to poprosił?

– Ponieważ nie chciałaś, bym tak postąpił. Popełniłem raz podobny błąd i zignorowałem prośbę jednego z twoich rodaków, co nieomal kosztowało mnie jego przyjaźń.

Leesha przechyliła głowę, nagle zaintrygowana.

– Masz na myśli tego, którego Abban nazywa Par'chinem?

Jardir zmrużył oczy.

– Co ten *khaffit* nawygadywał ci o nim?

Leesha odpowiedziała hardym spojrzeniem.

– Nic. Tylko tyle, że byli przyjaciółmi i że mu go przypominam.

Gniew na Abbana zgasł równie szybko, jak rozgorzał, i Jardir poczuł smutek i pustkę.

– Par'chin był i moim przyjacielem – powiedział w końcu. – Zaiste przypominasz go na wiele sposobów, choć w innych sytuacjach wydajesz się całkowicie odmienna. Par'chin miał serce *Sharum*.

– Co masz na myśli?



– Mam na myśli to, że walczył dla innych, by mogli żyć w spokoju, ale w głębi duszy żył po to, by walczyć. Gdy jego ciało zostało strzaskane i ramiona odmówiły mu posłuszeństwa, mimo wszystko zdołał się podnieść i walczył do ostatniego tchu.

– A więc nie żyje? – zapytała zaskoczona dziewczyna.

– Od wielu lat – potwierdził Jardir.

\* \* \*

Leesha pracowała do późnych godzin nocnych na sali operacyjnej dawnego szpitala Rizon, rozcinając i ponownie zszywając ciało rannego *dal'Sharum*. Jej ramiona pokryte były krwią, a plecy bolały od nachylania się nad stołem, ale wiedziała, że Restavi przeżyje, a co więcej, szybko odzyska pełnię sił.

*Dama'ting*, które objęły budynek w posiadanie, szeptały między sobą, przyglądając się jej działaniom z mieszaniną zachwytu i przerażenia. Leesha wyczuwała, że są wściekłe z powodu jej interwencji, tym bardziej iż nastąpiła ona w środku nocy, wiedziała też, że nienawidzą jej za rozkazy, które wykrzykiwała tonem nieznośnym sprzeciwu, ale za tłumacza miała samego Jardira, a żadna z odzianych na białe kobiet nie ośmieliła się sprzeciwić woli Shar'Dama Ka. Wonda i Gared zostali zmuszeni do pozostania na zewnątrz w charakterze eskorty Rojera i Jardira.

*Dama'ting*, które niniejszym stały się jeńcami we własnym domu, odetchnęły z namacalną ulgą, gdy do szpitala wtargnęła Inevera. Jej twarz wykrzywiła się z wściekłości, gdy stanęła tuż przed Leeszą, wręcz dotykając nosem jej nosa.

– Jak śmiesz! – warknęła. Mówiła po thesańsku z ciężkim akcentem, ale zrozumiale. Otaczała ją woń perfum, a skąpy ubiór przypominał Leeshy matkę.

– O co ci chodzi? – zapytała Zielarka, nie cofając się nawet o krok. – O to, że ratuję życie człowiekowi, któremu ty pozwoliłabyś się wykrwawić do świtu?

Jedyną odpowiedzią Inevery był siarczysty policzek, jaki wymierzyła Leeshy. Ostre paznokcie *dama'ting* rozorały jej skórę. Leesha zatoczyła się i nim zdążyła odzyskać równowagę, Krasjanka wyrwała zakrzywiony nóż i rzuciła się do ataku.

– Nie jesteś godna, by stać w obecności mojego męża, nie mówiąc już o spaniu w jego łóżu! – parsknęła.

Leesha błyskawicznie wsunęła dłoń do jednej spośród rozlicznych kieszeni fartucha i gdy Inevera zbliżyła się, strzeliła palcami. Twarz Damajah znalazła się w obłoku oślepiającego proszku.

Inevera wrzasnęła i padła na ziemię, drapiąc się po twarzy, a Leesha wyprostowała się. Dopiero po dłuższej chwili Inevera pochwyciła dzbanek z wodą i wylała go sobie na głowę, a gdy znów zwróciła się ku Leeshy, makijaż spływał jej po policzkach, zamieniając twarz w straszliwą maskę. Jej zaczerwienione, lśniące nienawiścią oczy zwiastowały śmierć.

– Dość! – krzyknął Jardir, stając między nimi. – Zakazuję wam walki!

– Ty zakazujesz mnie? – zapytała z niedowierzaniem Inevera.

Leesha miała podobne odczucia – Jardir, jak Arlen, nie miał nad nią żadnej władzy – lecz uwaga mężczyzny skupiała się tylko na żonie. Uniósł Włócznie Kajiego tak, by wszyscy mogli ją ujrzeć.

– Tak – rzekł. – Czy chcesz okazać mi nieposłuszeństwo?

W sali zapadła cisza, a pozostałe *dama'ting* spojrzały po sobie, wystraszone i zbite z tropu. Inevera była ich przywódczynią, ale to Jardir mówił głosem ich Boga. Leesha mogła sobie wyobrazić, do czego by doszło, gdyby Inevera dalej się opierała.

W rzeczy samej, Pierwsza Żona również zdała sobie z tego sprawę, gdyż obróciła się na pięcie i wybiegła ze szpitala. Pstryknięciem palców wezwała pozostałe *dama'ting*, które co do jednej podążyły za nią.

– Zapłacę za to – mruknął do siebie Jardir po krasjańsku, ale Leesha zrozumiała. Przez chwilę zgarbił się, jakby na jego ramiona zwałił się ogromny ciężar. Nie przypominał już niezwycięzonego, nieomylnego przywódcy Krasji, ale raczej ojca Leeshy po kłótni z Eloną. Mężczyzna wyobrażał sobie zapewne, jak Inevera zamienia mu życie w piekło na tysiące różnych sposobów. Leesha poczuła ogromne współczucie.

Lecz wtedy ciszę nocy przeszył wrzask kobiety i ów zmęczony mężczyzna zniknął w okamgnieniu, a zastąpił go ponownie najpotężniejszy wojownik na świecie.

## Szczypta czarnoliścia

333 ROK PLAGI, LATO

W chwili gdy Jardir wypadł z sanktuarium *dama'ting*, ujrzał olbrzyma z zielonych krain ryczącego jak lew i szamocącego się z jego ludźmi. Amkaji i Coliv zarzucili mu liny na nadgarstki, a za każdą ciągnęło po trzech *dal'Sharum*, usiłując unieruchomić wielkoluda jak narowistego, oszalałego ogiera. Jeden z wojowników naskoczył mu na plecy i otoczył gardło ramieniem, usiłując go udusić, ale jeśli Gared w ogóle to zauważył, nie dał po sobie poznać. Stopy wojownika unosiły się bowiem wysoko nad ziemią i nawet ci, którzy trzymali za liny, z największą trudnością utrzymywali równowagę.

Rojera pilnował tylko jeden wojownik, który przycisnął go od niechcienia do ściany jedną ręką, nie przestając się przyglądać zmaganiom z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

– Co tu się wyprawia! – zażądał odpowiedzi Jardir. – Gdzie jest kobieta?

Nim którykolwiek z *Sharum* zdążył odpowiedzieć, z alei między budynkami ponownie dobiegł wrzask.

– Każdy z was, który do mojego powrotu choćby tknie ludzi z zielonych krain, straci rękę, którą to zrobił! – wrzasnął przywódca, pędząc przez ulicę.

W alejce ujrzał Wondę przytrzymywaną od tyłu przez wojownika, który wył z bólu, ugryziony w ramię. Kolejny leżał na ziemi i zwijał się, ściskając swą męskość, a trzeci, Jurim, opierał się o ścianę i z przerażeniem wpatrywał w ramię, wygięte pod nienaturalnym kątem.

– Puścić ją! – ryknął Jardir i wszyscy nagle go dostrzegli.

Wonda została uwolniona w mgnieniu oka i nie marnując ani sekundy, wbiła łokieć w żołądek napastnika, który przytrzymywał ją niedawno. Mężczyzna zgiął się wpół, a Wonda porwała za nóż.

Jardir wycelował w nią włócznię.

– Ani się waż – ostrzegł.

W tej samej chwili w uliczkę wpadła Leesha, która aż krzyknęła na widok zajścia. Natychmiast podbiegła do Wondy.

– Co się stało? – zawołała.

– Ci synowie Otchłani usiłowali mnie zgwałcić!

– Ta dziwka z Północy kłamie, Wybawicielu! – splunął Jurim. – Zaatakowała nas i złamała mi ramię! Domagam się, by zapłaciła za to życiem!

– Spodziewasz się, że uwierzę, iż Wonda zwabiła całą waszą trójkę w to miejsce, a potem was zaatakowała? – naskoczyła nań Leesha.

Jardir zignorował ich oboje. To, do czego tu doszło, było dlań oczywiste. Miał nadzieję, że męstwo, jakie Wonda okazała na polu bitwy, zaimponuje jego ludziom na tyle, że zarzucą podobne pomysły, ale najwyraźniej Jurim i jego kompani odczuli potrzebę przypomnienia jej, iż poza polem bitwy nadal jest kobietą, a do tego niezamężną. Wedle słów Evejah nie miała prawa odmówić *Sharum*, ani też zaatakować człowieka z jakiegokolwiek powodu. Wojownicy nie popełnili więc żadnego przestępstwa i mieli prawo domagać się jej życia.

Niemniej Jardir pamiętał, że przybysze z zielonych krain nie postrzegali tego zdarzenia w ten sam sposób, a poza tym potrzebowali wojowników, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, na *Sharak Ka*.

Zerknął na Leeszę i zrozumiał, że jest jeszcze jeden powód, dla którego powinien rozstrzygnąć spór niekonwencjonalnie. *Sharum* należało nauczyć panowania nad sobą. Musiał dać im surową, bezlitosną lekcję, podobną do tej, której przed laty udzielił Hasikowi.

Wskazał na Jurima i pozostałych, a potem na mur. Wojownicy posłusznie ustawili się pod ścianą, wysoko trzymając głowy, ignorując obrażenia zadane im przez dziewczynę. Była przecież urodzoną wojowniczką, bez względu na jej płeć.

Za plecami Zielarka usłyszała, jak Jardir nabiera tchu, ale uniósł rękę, nim zdążyła powiedzieć choć słowo.

– Jestem wielce zobowiązany wobec pani Leeshy – powiedział spokojnie. – Krzywda zadana którejś z jej służących jest krzywdą zadaną jej. Zaś krzywda zadaną jej jest krzywdą zadaną mnie.

Spojrzał Jurimowi w oczy, lekko dotykając jego klatki piersiowej ostrzem Włóczni Kajiego.

– Czy wyrządziłeś mi krzywdę, Jurim? – zapytał łagodnie.

Wojownik otworzył szeroko oczy. Spojrzał z przerażeniem na Wondę, a potem na Jardira. Drżał pod ostrzem włóczni, mimo że ledwie go dotykało. Wiedział, że jego życie zależy od tej odpowiedzi, ale kłamstwo wobec Wybawiciela z pewnością miało go kosztować miejsce w Niebie.

Nagle padł na kolana i zaczął szlochać. Dotknął czołem ziemi i zawodził, obejmując stopy Jardira.

– Wybacz mi, Shar'Dama Ka!

Jardir kopnął go i zrobił krok w tył, by zmierzyć wzrokiem wojowników po obu stronach Jurima. Oni również bez słowa padli na ziemię i z głośnym szlochem zaczęli bić przed nim pokłony.

– Cisza! – warknął Jardir.

Obaj wojownicy natychmiast ucichli, a wtedy przywódca wskazał Wondę.

– Ta kobieta zabiła tej nocy więcej *alagai* niż wasza trójka razem wzięta, przez co jej honor jest więcej wart niż życie was trzech.

Winowajcy znów się skulili, ale nie ośmielili się odezwać słowem w swej obronie.

– Udajcie się do świątyni i módlcie przez resztę nocy i cały dzień – rzekł Jardir. – Potem weźmiecie włócznie i pójdziecie w noc, bez tarcz i odziani tylko w bido. Jeśli padniecie, wasze kości staną się budulcem Sharik Hora.

Wojownicy aż zadrżeli z ulgi i znów uderzyli w płacz, całując stopy Jardira. Jego wyrok albowiem obiecywał im jedyne rzeczy, na których *Sharum* naprawdę zależało – śmierć godną wojownika i wejście do Nieba.

– Dziękujemy, dziękujemy, Wybawicielu – powtarzali jeden przez drugiego.

– Precz mi z oczu! – parsknął przywódca i trzech *dal'Sharum* zerwało się do biegu.

Jardir spojrział na Leeshę, na której twarzy malowała się wściekłość porównywalna do burzy piaskowej.

– Pozwoliłeś im odejść? – krzyknęła, a Jardir uświadomił sobie, że cała rozmowa odbyła się po krasjańsku, przez co kobieta mogła zrozumieć ledwie drobną jej część.

– Oczywiście, że nie – przeszedł na jej język. – Zostali skazani na śmierć.

– Ale przecież ci dziękowali!

– Dlatego, że nie kazałem ich wykastrować i obedrzeć z czarnych szat.

– Przydałoby się, synom Otchłani – splunęła Wonda.

– A właśnie że nie! – rzekła Leesha.

Jardir widział, że jest nadal rozdrażniona, lecz nie miał pojęcia dlaczego. Czyż powinien był zabić sprawców osobiście, na oczach Leeshy? Ludzie z zielonych krain odmiennie traktowali kobiety niż *dal'Sharum* i nie wiedział, w jaki sposób radzili sobie z podobnymi sprawami.

– Czego jeszcze się domagasz? – zapytał Jardir. – Nie zdołali ani zgwałcić, ani nawet skrzywdzić tej dziewczyny – przy tych słowach skłonił się z szacunkiem Wondzie – a zatem nie należy się spodziewać, by wypłacili rekompensatę za jej dziewictwo.

– Tak czy owak, nie jestem już dziewicą – rzuciła Wonda.

Leesha spojrzała na nią ostro, lecz ta wzruszyła jedynie ramionami.

– Ale to, by zapłacili za przewinę własnym życiem, jest wymagane? – zapytała.

Jardir przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

– Zginą z honorem. Wyjdą bez tarcz w noc, uzbrojeni jedynie we włócznie.

– Przecież to barbarzyństwo! – Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

I wtedy Jardir wszystko zrozumiał. Tabu dla mieszkańców zielonych krain była śmierć.

– Sądziłem, że wymierzona przeze mnie kara cię zadowoli – rzekł z ukłonem. – Jeśli sobie tego życzysz, mogę kazać ich wychłostać.

Leesha spojrzała na Wondę, która wzruszyła ramionami.

– Doskonale – powiedziała do Jardira. – Chcemy jednak, by chłosta odbyła się publicznie, a po wszystkim będę miała prawo zajęcia się ich ranami.

Jardir ukrył zdziwienie wywołane niecodzienną prośbą Zielarki i znów wykonał ukłon. W zielonych krainach panowały doprawdy fascynujące obyczaje.

– Oczywiście, pani. Kara zostanie wymierzona jutro po zachodzie słońca, by wszyscy *Sharum* stali się jej świadkami. Wymierzę ją osobiście.

– Dziękuję – skłoniła głowę Leesha. – To wystarczy.

– Tym razem – warknęła Wonda, a Jardir uśmiechnął się, widząc jej zaciekłość. Trzeba było trzech Włóczy Wybawiciela, by ją unieruchomić, a żaden nie zdołał osiągnąć tego, po co ją złapał. Jeśli dziewczyna przejdzie odpowiednie przeszkolenie, będzie w stanie upokorzyć nawet *kai'Sharum*. Patrząc na nią, Jardir podjął niespodziewanie radykalną decyzję, która mogła co prawda rozbić jego własną armię, ale przecież to Everam wybrał go do przewodzenia podczas *Sharak Ka* i Ahmann miał zamiar przewodzić tak, jak uzna za stosowne.

Uklonił się przed dziewczyną jak przed wojownikiem.

– Nie będzie już więcej takich sytuacji, Wondo vah Flinn am'Rębacz am'Zakątek. Daję ci słowo honoru.

– Dziękuję – rzekła Leesha i położyła mu dłoń na ramieniu. Serce Jardira zabiło żywiej.

\* \* \*

Rozległo się łomotanie do drzwi.

– Ktotamm? – zawołał wyrwany ze snu Rojer, rozglądając się nieprzytomnie. W jego komnacie panowały ciemności, ale widział światło przenikające między aksamitnymi zasłonami.

Łoże było cudem, jakiego Rojer nie zaznał od czasu opuszczenia burdelu księcia Rhinebecka. Materac oraz poduszki zostały wypchane gęsim pierzem, a prześcieradła zachwycały gładkością i miękkością. Miał wrażenie, że śpi na ciepłej chmurze. Pukanie się urwało i zapadła cisza. Rojer uświadomił sobie, że nie jest w stanie oprzeć się pokusie zagrzebania w pościeli.

Drzwi uchyliły się i Rojer otworzył oko. Jedna z żon Abbana – lub jego córek, Rojer nie był w stanie ich rozróżnić – wślizgnęła się do komnaty. Ubrana była zgodnie z krasjańską tradycją w luźne czarne szaty, które ukrywały wszystko za wyjątkiem oczu, a te skromnie

spuszczala w jego obecności.

– Masz gościa, synu Jessuma – oznajmiła.

Podeszła do okna i rozchyliła ciężkie aksamitne kotary, a Rojer aż jęknął, zasłaniając oczy przed światłem, które niespodziewanie zalało bogato przystrojone pomieszczenie. Leeshy przydzielono całe piętro gigantycznej posiadłości, ale Rojer również nie został poszkodowany – otrzymał do dyspozycji skrzydło drugiego piętra, w którym znajdowało się więcej komnat niż w gospodzie prowadzonej przez jego rodziców w Rzeczułce. Elona wpadła we wściekłość, uświadomiwszy sobie hojność, z jaką obdarowano Minstrela – rodzice Leeshy otrzymali bowiem jedynie sypialnię z salonikiem.

– Która godzina? – zapytał Rojer. Miał wrażenie, że spał zaledwie chwilę.

– Dopiero co wstało słońce – oznajmiła kobieta.

Rojer znów jęknął. A więc nie przespał nawet godziny.

– Bez względu na to, kim jest ów gość, poproś go, by przyszedł później – mruknął i padł znów na materac.

Kobieta odpowiedziała głębokim ukłonem.

– Nie mogę, panie. Twoim gościem jest bowiem Damajah. Musisz się z nią zobaczyć natychmiast.

Rojer poderwał się, błyskawicznie porzucając wszelkie myśli o śnie.

\* \* \*

W całym pałacu panowało zamieszanie. Rojer jednak zwlekał, dopóki nie uznał, że wygląda na tyle dobrze, by opuścić komnaty. Dzięki przyborom do charakteryzacji zamaskował plamy pod oczami, zaczesał też rude włosy i związał je na karku. Założył swój najlepszy strój.

*Damajah*, pomyślał. Cóż, na Otchłań, może ode mnie chcieć?

Gared czekał na niego w korytarzu i bez słowa ruszył w ślad za Minstrelem. Rojer nie mógł zaprzeczyć, że w towarzystwie wielkiego Rębacza czuł się o wiele bezpieczniej, a gdy dotarł do schodów, ujrzał Leeshę i Wondę schodzące w towarzystwie Erny'ego i Elony.

– Czego ona chce? – zapytała Leesha. Nie zaznała więcej snu od Rojera, ale nawet bez pudru i tuszu wyglądała lepiej niż Minstrel.

– Przeszukaj moje kieszenie – rzekł. – Nie znajdziesz w nich odpowiedzi.

Wszyscy ruszyli w ślad za Rojerem w dół schodów. Minstrel nie mógł się oprzeć wrażeniu, że prowadzi ich na skraj przepaści. Był doświadczonym artystą i aktorem, przyzwyczajonym do znajdowania się w centrum uwagi, ale tym razem uświadomił sobie, że czuje lęk. Dotknął medalionu przez koszulę – twardy kształt dodał mu otuchy i pokrzepiony na duchu młodzieniec wszedł do salonu.

Jak poprzednim razem, Rojer poczuł, że na widok Damajah jego twarz oblewa gorący

rumieniec. Zaciągnął do łóżka całe tuziny wiejskich dziewcząt i niejedną wysoko urodzoną, kulturalną Angieriankę, każdą atrakcyjną, ładną lub nawet piękną. Leesha przewyższała je wszystkie, choć wydawała się nieświadoma swej urody i bynajmniej nie podejmowała żadnych wysiłków, by ją wykorzystać.

Za to Damajah doskonale wiedziała, jak wykorzystać swą urodę. Za przejrzystą woalką Rojer widział jej idealny podbródek i delikatny nos, jej egzotyczne oczy ocienione długimi rzęsami oraz czarne loki spływające na ramiona. Lekka szata okrywała ciało, ale nie zakrywała niczego, ukazując gładkość ramion, krągłość bioder, kusząco kształtne piersi i cień dokładnie wygolonej kobiecości. Pierwszą Żonę otaczał słodki zapach perfum.

Co więcej, każdy jej gest, krok czy wyraz twarzy sprawiał, że wszystkie elementy ciała układały się w harmonijną całość, zdolną uwieść każdego mężczyznę. Tak jak Rojer oczarowywał otchłānce grą na skrzypcach, tak Damajah oszałamiała mężczyznę własnym ciałem. Minstrel poczuł, jak sztywnieje, i ulżyło mu na myśl, że założył luźne spodnie.

Nie była sama – dziewczyny, które jej towarzyszyły, ubrane były na krasjańską modłę, którą Inevera gardziła, choć ich szaty wykonano z najprzedniejszego jedwabiu. Jedna z kobiet nosiła biel *dama'ting*, a druga zwykłą czarną szatę. Spod ich zawojów wypływały długie czarne warkocze ze złotymi pierścieniami, sięgające poniżej talii. Nie spuszczały Rojera z oczu zza woalek.

– Rojer asu Jessum z Rzczułki – rzekła Inevera z ciężkim akcentem. Słyszając jej słowa, młodzieniec poczuł, jak przeszywa go przyjemny dreszcz. Próbował się napomnieć, iż stoi naprzeciwko wroga, ale daremnie. – Jestem zaszczycona, mogąc się poznać – ciągnęła Damajah, kłaniając się tak nisko, iż Rojer przez moment był przekonany, że jej piersi wysuną się spod szaty. Ciekawiło go zresztą, czy w ogóle zwróciłaby na to uwagę. Dziewczyny za jej plecami ukłoniły się jeszcze niżej.

W odpowiedzi Rojer wykonał swój najlepszy ukłon.

– Damajah! – rzekł po prostu, nie znając odpowiedniej formy kurtuazyjnej. – To ja jestem zaszczycony, że przybyłaś tu, by poznać kogoś równie mało ważnego.

– Nie przesadzaj, Rojer – mruknęła Leesha.

– Mój mąż poprosił mnie, bym złożyła ci wizytę – oznajmiła Inevera. – Powiedział bowiem, że przyjąłeś jego propozycję, by znalazł dla ciebie żony, by twoja magia została przekazana kolejnemu pokoleniu.

– Przyjąłem jego propozycję? – powtórzył Rojer. Pamiętał rozmowę dawno temu w Zakątku Wybawiciela, ale obrócił ją podówczas w żart. Przecież Jaridir nie mógł potraktować słów Minstrele na poważnie...

– Oczywiście – odparła Inevera. – Mój mąż oddaje ci najstarszą córkę, Amanvah, by stała się twoją *Jiwah Ka*.

Dziewczyna w bieli *dama'ting* wystąpiła, przyklękła na grubym dywanie i dotknęła czołem podłogi. Jej jedwabna szata opięła się wzdłuż ciała, ujawniając ponętną sylwetkę.



Rojer z trudem oderwał od niej oczy i spojrzał na Damajah niczym przerażony królik.

– Musiała zajść jakaś... – zaczął. Chciał powiedzieć „pomyłka”, ale słowo uwięzło mu w gardle, gdy Inevera wskazała na drugą dziewczynę i gestem nakazała jej podejść bliżej.

– To zaś jest służąca Amanvah, Sikvah – wyjaśniła, gdy ta złożyła pokłon. – Córka Hanyi, siostry Shar’Dama Ka.

– To jego córka i siostrzenica? – zapytał zaskoczony Rojer.

– Mój mąż utrzymuje, że Everam przemawia do ciebie. Nie zaszczyciłby cię więc żoną pośledniejszego rodu. Jeśli tego zechcesz, Sikvah stanie się dla ciebie dobrą drugą żoną, a Amanvah zajmie się poszukiwaniem kolejnych, które przypadną ci do gustu.

– Na Stwórcę, ilu żon potrzebuje mężczyzna? – zapytała Leesha.

Zazdrosna? – pomyślał Rojer z irytacją. Dobrze. Posmakuj tego uczucia choć raz.

Inevera spojrzała na Leeshę z pobłażaniem.

– Jeśli mężczyzna okaże się wart swoich żon, a one jego, powinien pojąć ich tyle, ile będzie w stanie utrzymać. Niektóre jednak – uśmiechnęła się pogardliwie do Leeshy – nie są tego warte.

– Kim jest matka Amanvah? – zapytała Elona, nim Leesha zdążyła odpowiedzieć.

Inevera spojrzała na nią i uniosła brew, a wtedy Elona, zreflektowawszy się, rozłożyła suknie i wykonała płynny, uniżony ukłon, który wydawał się całkowicie sprzeczny z jej charakterem.

– Zwę się Elona z Zakątka Wybawiciela, jestem matką Leeshy.

Inevera otworzyła szerzej oczy, uśmiechnęła się szeroko i podeszła do kobiety, by ją objąć.

– Oczywiście, to wielki zaszczyt cię poznać. Mamy wiele spraw do omówienia, ale zostawmy to na inną okazję. Rozumiem, że matka syna Jessuma udała się już na łono Everama. Czy zastąpisz ją na czas ceremonii?

– Naturalnie. – Elona skinęła głową, a Leesha posłała jej złowrogie spojrzenie.

– Zastąpić? – zapytał Rojer. – A w jaki sposób?

Inevera uśmiechnęła się skromnie.

– Jej zadaniem będzie upewnić się, czy twoja żona na pewno jest dziewicą, i dopilnować, byś wykonał swoją powinność, gdy odsłoni przed tobą twarz.

Rojer poczuł, jak jego policzki znów płoną. Z trudem przełknął ślinę.

– Ja... – zaczął, ale Inevera nie zwróciła na niego uwagi.

– To ja jestem matką Amanvah – powiadomiła Elonę. – Czy spotka się to z twoją aprobatą?

– Oczywiście – odpowiedziała Elona z powagą, zupełnie jakby każda rozsądna osoba mogła udzielić tylko takiej odpowiedzi.

Inevera pokiwała głową i odwróciła się ku pozostałym.

– Czy zostawicie nas na chwilę samych?

Przez moment nikt się nie poruszył, aż Elona klasnęła w dłonie. Wszyscy aż podskoczyli.

– Słyszeliście słowa Damajah? Już, zmykać stąd! Nie, Rojer, ty zostajesz!

Złapała go za ramię i zatrzymała, uniemożliwiając ucieczkę. Wtedy obie z Ineverą uświadomiły sobie, że Leesha ani drgnęła.

– Ta sprawa cię nie dotyczy, córko Erny’ego – rzekła Inevera. – Nie jesteś spokrewniona ani z przyszłym mężem, ani z jego żonami.

– Och, wręcz przeciwnie, Damajah – oznajmiła Zielarka. – Skoro moja matka zastępuje matkę Rojera, to ja, jako jej córka, mogę zająć miejsce jego siostry.

Uśmiechnęła się promiennie i pochyliła ku Ineverze:

– Evejah nie pozostawia w tej kwestii cienia wątpliwości – dodała szeptem.

Inevera skrzywiła się i już otworzyła usta, gdy wtrącił się Rojer:

– Chcę, żeby pozostała.

Damajah nagle zwróciła się ku niemu i w tym samym momencie głos Rojera załamał się, lecz Krasjanka uśmiechnęła się szeroko, a potem ukloniła.

– Jak sobie życzysz.

– Zamknij drzwi, Leesha – rozkazała Elona. – Jeszcze wpadnie tu Gared, twierdząc, że gdzieś zgubił jeden ze swoich toporzysk.

Inevera roześmiała się, lecz ich wspólna wesołość przeraziła Rojera jeszcze bardziej. Wszystko wskazywało na to, że Elona orientuje się w zaistniałej sytuacji o wiele lepiej od niego.

Leesha była równie zaniepokojona, ale nie wiedziała, czy powodem jest śmiech obu kobiet, czy dominujący ton, jaki przybrała wobec niej Elona. Odwróciła się więc i podeszła do ogromnych, połączonych drzwi. Zasuwa szcęknęła głośno i serce Rojera zatrzepotało. Minstrel miał wrażenie, że kobiety nie tyle chcą zatrzymać Gareda na zewnątrz, co jego w środku.

Inevera strzeliła palcami i obie dziewczyny wyprostowały się, choć nadał klęczały na podłodze.

– Amanvah to *dama’ting* – objaśniła, kładąc dłoń na ramieniu córki. – Jest uzdrowicielką, położną i wybraną przez Everama. Pomimo młodego wieku wykonała już swoje kości i zdała wszystkie testy. Być może udałoby się jej poradzić coś na te zadrapania na twojej twarzy – powiedziała z uśmiechem, patrząc na Leeszę i wskazując czerwone pręgi na jej policzku, pozostałość po uderzeniu, które sama jej wymierzyła.

Leesha uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Sporo mrugasz, Damajah. Czyżby oczy dalej kłuły? Mogę przygotować płyn do płukania, jeśli zechcesz.

Rojer spojrział na Ineverę, spodziewając się wścieklej riposty, ale ta jedynie uśmiechnęła się i powróciła do tematu:

– Sama urodziłam mojemu mężowi ośmiu synów i trzy córki. Kobiety z mojego rodu są

równie płodne jak ja, a kości twierdzą, że Amanvah urodzi zdrowe dzieci.

– Kości? – zaciekała się Leesha, ale Inevera zmierzyła ją tylko złowrogim spojrzeniem.

– To nie twoje zmartwienie, *chin* – warknęła, lecz jej uśmiech powrócił w okamgnieniu. – Liczy się tylko to, że Amanvah urodzi ci synów, synu Jessuma. Matka Sikvah była równie płodna, więc jej córka też będzie rodzić regularnie.

– Tak, ale czy potrafią śpiewać? – zapytał Rojer, mając nadzieję, że choć w ten sposób uda mu się oddalić uczucie dyskomfortu, które go ogarnęło. Pytanie było bowiem puentą sprośnego dowcipu często opowiadanego przez Arricka, a mówiącego o mężczyźnie, który był wiecznie niezadowolony bez względu na to, ile kobiet zaciągnął do łóżka.

Inevera uśmiechnęła się jedynie i pokiwała głową.

– Naturalnie – rzekła, po czym znów strzeliła palcami i warknęła polecenie po krasjańsku.

Amanvah odkaslnęła i zaczęła śpiewać pięknym, czystym głosem. Minstrel nie rozumiał słów, nigdy też nie odkrył w sobie smykałki do śpiewu, ale po długich latach terminowania u Arricka, najwspanialszego śpiewaka swych czasów, wiedział, jak pieśni należy słuchać i jak ją ocenić. Wiedział jedno – słysząc głos Amanvah, Arrick uciekłby ze wstydu. Słuchając jej śpiewu, miało się wrażenie wzlatywania, opanowania przez moc potężniejszą od wichru, która unosiła człowieka ku niebu na kompozycji nut.

Niespodziewanie zadał jednak kolejny wiatr, gdy do śpiewu włączyła się płynnie Sikvah. Ich głosy zgrały się w jednej chwili, a Rojer nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Były dziewczynami, ale nie miało to znaczenia, bo gdyby dostały się do Gildii Minstrelów, przyszłość miałyby zapewnioną.

Nie odzywał się ani słowem, słuchając pieśni obu kobiet. Gdy Inevera przerwała występ machnięciem dłoni, poczuł się jak marionetka, której niespodziewanie przecięto sznurki.

– Sikvah jest również wybitną kucharką – dodała Damajah. – Obie zostały także przeszkolone w sztuce uprawiania miłości, choć pozostają nietknięte.

– W, eee... sztuce? – wyjąkał Rojer, czując, jak na policzkach znów rozlewa mu się gorący rumieniec.

Inevera zaśmiała się i strzeliła palcami. Amanvah powstała błyskawicznie, ale z wdziękiem i uniosła dłoń, by zdjąć woalkę kryjącą jej twarz. Cienki biały jedwab opadł zwiewnie niczym smużka dymu, odsłaniając twarz o oszałamiającej urodzie. Bez wątpienia wdała się w matkę.

Sikvah uniosła się jako druga i uwolniła jakieś niewidoczne zapięcie na wysokości ramion. Cały przyodziewek Amanvah zniknął w jednej chwili – szaty z szelestem osunęły się na podłogę. Stała przed nim całkowicie naga, a Rojer nie mógł opanować zdumienia.

Inevera zakreśliła palcem koło w powietrzu i Amanvah posłusznie obróciła się, by Minstrel mógł ją obejrzeć z każdej strony. Jej ciało, podobnie jak ciało matki, było doskonałe i Rojer zaczynał się obawiać, że jego pstrokate spodnie nie są wystarczająco luźne. Zadał sobie pytanie, czy jemu również każą się rozebrać, by wszystkie kobiety ujrzały jego erekcję.

– Na Stwórcę, czy to wszystko jest naprawdę konieczne? – zapytała Leesha.

– Bądźże cicho – parsknęła Elona. – Oczywiście, że jest.

Tym razem to Amanvah rozpięła szatę Sikvah, która znikła niczym cień przegnany słońcem, zmieniając się w czarną kałużę u stóp dziewczyny. Może nie dorównywała urodą Amanvah, ale i tak nie licząc kobiet obecnych w sali, Rojer nigdy nie widział piękności, która mogłaby jej dorównać.

– Możesz teraz również sprawdzić to, czy zachowywały czystość – rzekła Inevera.

Rojer na wszelki wypadek wbił dłoń w kieszenie.

– Ja... – bąknął. – To... To nie będzie konieczne.

Inevera zaśmiała się.

– Cóż, w końcu to twoje kobiety – stwierdziła z psotnym uśmiechem. – Trzeba coś zostawić na noc poślubną.

Mrugnęła do niego i Rojerowi aż zakręciło się w głowie.

– Zechcesz uczynić mi zaszczyt? – zwróciła się do Elony.

– Ach – zawahała się starsza kobieta. – Moja córka jest lepiej wykwalifikowana...

Leesha parsknęła.

– Moja matka nie poznałaby błony dziewiczej, nawet gdyby ją jej pokazać – szepnęła do Rojera. – Za szybko pozbyła się własnej.

Elona usłyszała komentarz, ale nie odezwała się, poprzestając na zmierzeniu Leeshy złowrogim spojrzeniem.

– Dobrze, niech wam będzie – warknęła w końcu Zielarka. – Zrobię wszystko, by zakończyć to przedstawienie.

Nachyliła się, by podnieść szaty dziewcząt, a potem ujęła je za ramiona i poprowadziła do niewielkiej alkowy przy bocznej ścianie korytarza, z wejściem za zasłonami.

\* \* \*

Leesha opuściła zasłonę, a dziewczyny posłusznie, niczym kłaczki rozplodowe, pochylili się nad niewielkim stołem. Jako Zielarka zbadała przez całe życie setki młodych dziewcząt, a nawet samą księżną Angiers, ale zawsze czyniła to wiedzioną troską o zdrowie, a nie dla zasad honorowego rytuału. Bruna nie miała cierpliwości do podobnych bzdur, a Leesha niczym się od niej pod tym względem nie różniła.

Wiedziała jednakże, jak kruchy był ich układ z Krasjanami. Gdyby publicznie zelżyła ich obyczajom, pogrzebałaby wszelkie nadzieje na sojusz.

Błona Amanvah była nietknięta, ale gdy Zielarka zbadała Sikvah, dziewczyna wzdrygnęła się i westchnęła cicho. Jej skóra pokryła się warstewką potu, a oliwkowa cera pობladła. Zwarła mocno mięśnie, gdy Leesha wsunęła palec, ale to jej nie zmyliło. Druga kandydatka na żonę Rojera nie była dziewicą.

Leesha uśmiechnęła się lekko. Uczestniczyła w idiotycznym, barbarzyńskim rytuale, ale zgodnie z jego zasadami właśnie znalazła powód, by odwołać farsę, oskarżając Damajah o oszustwo, i odprawić narzeczone, nim Rojer powie coś głupiego. Wtedy jednak badana przez nią dziewczyna spojrzała na nią, a strach w jej oczach podziałał jak siarczasty policzek. Amanvah podchwyciła spojrzenie towarzyszk i skrzywiła się pogardliwie.

– Ubierajcie się – rozkazała Leesha Krasjankom i rzuciła im szaty. Sikvah błyskawicznie nałożyła własny przyodziewek i pospieszyła, by pomóc Amanvah, która nie spuszczała z niej złowrogiego spojrzenia.

\* \* \*

Gdy Leesha powróciła w towarzystwie Krasjanek, na jej twarzy znać było spokój. Rojer wiedział, że jej werdykt nie ma znaczenia – nie miał najmniejszego zamiaru poślubić córki Jardira – niemniej z jakiegoś powodu odkrył, że serce mu łomocze, jakby jego życie zależało od słów Zielarki.

– Obie są dziewczycami – rzekła Leesha, a Rojer odetchnął głęboko.

– Oczywiście, że tak – uśmiechnęła się Inevera, ale Amanvah wydawała się innego zdania. Podeszła do matki i szepnęła jej kilka słów do ucha, wskazując najpierw Sikvah, a potem Leeszę.

Oblicze Inevery pociemniało niczym niebo przed burzą. Podeszła do Sikvah i złapała ją za długi warkocz. Rojer już ruszył w ich stronę, ale Elona złapała go za ramię i ścisnęła z zaskakującą siłą. Minstrel skrzywił się z bólu.

– Nie bądź głupi, skrzyпку – syknęła Elona.

Sikvah wrzasnęła, ciągnięta brutalnie do alkowy.

Amanvah weszła tam za nimi i zaciągnęła zasłony.

– Co się dzieje, na Otchłań? – zapytał Rojer.

– Sikvah nie jest dziewczicą – westchnęła Leesha.

– Ale powiedziałaś coś innego.

– Wiem, co może się stać z dziewczyną, gdy ludzie zaczną kwestionować jej „czystość” – rzekła Leesha. – I prędzej mnie szlag trafi, niż się do tego sama przyczynię.

Elona pokręciła głową.

– Nie jesteś w stanie ocalić ludzi przed nimi samymi, Leesha. Twoje małe kłamstewko pewnie tylko pogorszyło sytuację. Gdybyś powiedziała prawdę i pozwoliła mi zażądać worka ze złotem w ramach rekompensaty za utratę wartości, byłoby już po problemie.

– Mamo, ale przecież to istota ludzka, a nie...

Rojer nie słuchał, nie spuszczał oczu z zasłony, gdzie znikła nieszczęsna dziewczyna o pięknym głosie. Dobiegały stamtąd stłumione krzyki, głosy kłócących się kobiet zagłuszały inne dźwięki.

– Czy możecie się w końcu zamknąć?

Obie kobiety przeszły go nieprzyjawnymi spojrzeniami, ale ucichły. Zza zasłony nie dobiegały już żadne odgłosy, co przeraziło Rojera jeszcze bardziej. Już miał wbiec do alkowy, gdy nagle zasłona odsunęła się i wyszła Inevera. Za nią postępowała Amanvah, a na końcu szlochająca Sikvah. Amanvah otaczała towarzyszkę ramieniem, pocieszając ją i wspierając na duchu. W sercu Rojera wezbrało współczucie, a jego dłoń bezwiednie dotknęła medalionu.

Inevera ukloniła się przed Rojerem.

– Przepraszam za nieprzyjemność, jaka cię spotkała, synu Jessuma. Twoja zbieraczka zielska okłamała cię. Sikvah nie jest nietknięta i oczywiście zostanie surowo ukarana za swoje wiarołomstwo. Błagam jednakże, byś nie myślał źle o mojej córce tylko dlatego, że jest spokrewniona z tą kłamczuchą.

Dotknęła przy tym wysadzanego diamentami sztyletu przy talii, a Rojer nie mógł się oprzeć, by nie zadać sobie pytania, jaką karę ci ludzie uważali za surową.

Nastąpiła chwila całkowitej ciszy. Wszyscy w napięciu oczekiwali na jego odpowiedź. Rojer omiół spojrzeniem komnatę, a każda z kobiet wydawała się wstrzymywać oddech. Dlaczego? Przecież chwilę temu żadna z nich nie zwracała na niego uwagi.

Wtedy go olśniło.

„Zaraz, przecież to mnie obrażono!”

Uśmiechnął się, wyprostował i bez trudu przybrał odpowiednią maskę Minstrela, by po raz pierwszy spojrzeć Ineverze głęboko w oczy.

– Po tym jak usłyszałem ich śpiew, nie mam zamiaru zmieniać wcześniejszych ustaleń. Głos Sikvah jest dla mnie cenniejszy niż jej czystość.

Inevera rozluźniła się lekko.

– To bardzo wielkoduszne z twojej strony – oznajmiła. – Okazałeś tej grzesznicy więcej łaski, niż na to zasługuje.

– O niczym póki co nie zadecydowałem – sprecyzował Rojer. – Nie chcę jednak, by została poddana niepotrzebnej... Niepotrzebnej presji, która mogłaby wpłynąć na jej głos. Wolałbym sam załatwić tę sprawę.

Przez półprzeźroczystą woalkę widać było, jak Inevera uśmiechnęła się, zupełnie jakby zdał jakiś test.

Elona ujęła Rojera pod ramię i szarpnęła.

– Wszystko to będzie jednak miało wpływ na wysokość wiana.

– Oczywiście – zgodziła się Inevera. – Dziewczyny mogą pozostać w skrzydle zajęтым przez Rojera, o ile zgodzisz się roztoczyć nad nimi opiekę. Dobrze by było, gdyby je poznał i zapewnił im... Cóż, ów brak presji przed dokonaniem wyboru.

– Och, moja matka jest wspaniałą przyzwoitką – mruknęła Leesha.

Inevera spojrzała na nią z zaintrygowaniem, jakby nie do końca rozumiała sarkazm, ale

nie skomentowała.

Rojer pokręcił głową, jakby otrząsał się ze snu.

Czy właśnie zostałem zaręczony?

\* \* \*

Abban przybył tuż przed zachodem słońca, by zaprowadzić trzech wojowników na miejsce chłosty. Leesha po raz ostatni przejrzała zioła i inne leki w swym koszyku, a potem odetchnęła głęboko, by rozluźnić ściśnięty żołądek. Po tym, co *dal'Sharum* wyrządzili Wondzie, zasługiwali na karę, ale nie oznaczało to, że Zielarka z radością oczekiwała, aż ich plecy rozora bat. Dowiedziała się już, że Krasjanie dość niefrasobliwie podchodzą do ran, i obawiała się, że jeśli sama nie zajmie się obrażeniami wychłostanych, wda się zakażenie i mężczyźni zapłacą śmiercią za swój występki.

W Forcie Angiers wraz z Jizell co tydzień zajmowały się ludźmi, których skazano na chłostę wyrokiem miejscowego sądu, ale nigdy nie była w stanie przyglądać się wymierzaniu kary ze spokojem. W jej oczach pojawiały się łzy i musiała się odwrócić. Był to okrutny zwyczaj, choć musiała przyznać, że wyjątkowo zdarzało jej się zajmować dwakroć tym samym człowiekiem. Zazwyczaj jednak ukarany pojmował swą winę i nie powtarzał przestępstwa.

– Mam nadzieję, że rozumiesz zaszczyt, który mój pan wyświadczył tobie i córce Flinna – rzekł Abban. – Rzadko bowiem się zdarza, by osobiście chwycił za bat. Zazwyczaj zostawia wymierzenie kary jakiemuś *dama*, który mógłby okazać współczucie ukaranym i przez to nie wywiązać się należycie z zadania.

– *Dama* mógłby okazać współczucie gwałcicielom? – zapytała Leesha.

Abban pokręcił głową.

– Musisz zrozumieć, pani, że nasze tradycje są odmienne od waszych. Choćby to, że wasze kobiety chodzą swobodnie z odsłoniętymi twarzami i... eee... – wskazał gestem głęboki dekolt Leeshy – innymi wdziękami, przeszkadza bardzo wielu moim rodakom, którzy obawiają się, że dacie zły przykład ich własnym żonom.

– I z tego właśnie powodu ci trzej postanowili pokazać Wondzie jej miejsce – rzekła Leesha, a Abban przytaknął.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale sensacje w jej żołądku niespodziewanie ustały. Celowe zadawanie krzywdy innym istotom ludzkim stało w sprzeczności ze złożonymi przysięgami Zielarki, ale nawet Bruna nie wahała się wymierzyć bolesnych lekcji tym, którzy nie umieli się zachowywać w cywilizowany sposób.

– Mój pan rozkazał, by *Damaji* oraz ich *kai'Sharum* również byli obecni przy wymierzaniu kary – ciągnął Abban. – Jego życzeniem jest, by oni również zrozumieli, iż powinni zaakceptować niektóre z waszych zasad.

Leesha pokiwała głową.

– Powiedział mi, że tak samo było, gdy poznał Par'china.

Twarz Abbana pozornie ani drgnęła, ale Leesha ujrzała, że pojawił się na niej lekki rumieniec. Nie zdziwiła się – w głębi duszy czuła, że Arlen oddziaływał tak na ludzi, jeszcze nim zaczął tatuować swe ciało.

– Mój pan wspomniał przy tobie o Par'chinie? – zapytał Abban.

– Tak, w rzeczy samej – odparła Leesha. – Zaskoczyło mnie to, że Ahmann również go znał.

– Och, tak, mojego pana i Par'china łączyła wielka przyjaźń – oznajmił Abban ku wielkiemu zdziwieniu Leeshy. – Ahmann był jego *ajin'pal*.

– Co to znaczy?

– Był jego... – Abban zmarszczył czoło, szukając odpowiedniego określenia. – Najlepszym terminem byłoby chyba „bratem we krwi”. Ahmann pokazał mu Labirynt i wspólnie przelewali w nim krew, ryzykując dla siebie życie. W Krasji to więź równie silna jak pokrewieństwo.

Leesha otworzyła usta, lecz nim powiedziała cokolwiek, Abban znów się odezwał:

– Musimy już ruszać, jeśli nie chcemy się spóźnić, pani.

Leesha skinęła głową i zebrała resztę delegacji z Zakątką, wraz z Amanvah i Sikvah, które nie odstępowały Rojera na krok.

Zaprowadzono ich na rynek Fortu Rizon, ogromną wybrukowaną przestrzeń w kształcie koła, ze studnią w samym środku i kramami na obwodzie. Oczom Leeshy ukazał się tłum załatwiających sprawunki kobiet, zarówno miejscowych, jak i krasjańskich. Te pierwsze, choć nadal nosiły szaty typowe dla Północy, zakrywały zarówno twarze, jak i dekolty. Wiele z nich spoglądało z trwogą na Leeszę i jej matkę, jakby się spodziewały, że eskortujący je *dal'Sharum* lada chwila rzucą się na nie brutalnie.

Na rynku zebrało się już sporo Krasjan, wśród nich liczni *Damaji* w palankinach, a także *Sharum* i *dama*. Na samym środku ustawiono trzy drewniane słupy, ale nigdzie nie było widać lin ani kajdan.

Naraz w tłumie rozgorzało zamieszanie i zebrani spojrzeli tam, gdzie pojawił się Jardir, za którym niesiono Ineverę w palankinie i pozostałe żony. Leesha naliczyła czternaście, ale nie miała pojęcia, czy to były wszystkie. Zatrzymały się przy Zielarce i przybyszach z Zakątką na tyle blisko, że można było poczuć zapach perfum Damajah.

Jardir podszedł do słupów i machnął na Włócznie Wybawiciela. Trzem *dal'Sharum* nie trzeba było zachęty – wyszli na plac i rozebrali się do pasa. Uklękli i dotknęli czołami bruku przed Jardirem, a potem podeszli do słupów i każdy z nich otoczył jeden ramionami. Nie mieli żadnych więzów. Ten, któremu Wonda złamała rękę, nosił biały opatrunek.

Jardir sięgnął w głąb szaty i wyciągnął bicz z trzema zaplecionymi w supły rzemieniami. Na końcu każdego z rzemieni przywiązano ostre kawałki metalu.



– Co to takiego? – zapytała Leesha. Oczekiwała, że Jardir pochwyci za zwykły bat. To narzędzie karni wydawało się o wiele brutalniejsze.

– Nazywamy to ogonem *alagai* – rzekł Abban. – To bicz *dama*. Mówią, że uderzenie tym biczem jest porównywalne do smagnięcia ogonem piaskowego demona.

– Ile uderzeń otrzyma każdy ze skazanych?

– Tyle, ile dadzą radę wytrzymać! – zaśmiał się Abban. – *Sharum* są smagani do chwili, gdy nie mogą trzymać się na nogach.

– Ale... Ale to może ich zabić!

Abban wzruszył ramionami.

– *Sharum* to wielcy wojownicy, ale bynajmniej nie słyną ani z inteligencji, ani z instynktu samozachowawczego. Sądzą, że wytrzymanie jak największej liczby ciosów jest swoistą próbą męskości. Ich bracia zaś będą robić zakłady, kto wytrzyma najdłużej.

– Nigdy nie zrozumieję mężczyzn – spochmurniała Leesha.

– Ja też nie – zgodził się Abban.

Był to doprawdy brutalny pokaz. Każdy cios ogona *alagai* pozostawiał krwawe pasmo na plecach ofiary. Jardir smagał każdego raz, a potem stawał przy kolejnym, ale Leesha nie wiedziała, czy jest to akt łagodności, czy po prostu chodzi o to, by nie zubożeli na ból. Wzdrygała się przy każdym uderzeniu, miała wręcz wrażenie, że ciosy spadają na jej plecy. Po twarzy płynęły jej strumienie łez i o niczym nie marzyła bardziej jak o ucieczce z tego okropnego miejsca, by nie patrzeć na kaźń, po której plecy trzech mężczyzn zamieniają się w ziejące rany. Żaden z *dal'Sharum* nawet nie krzyknął, ani też nie dawał po sobie poznać słabości.

Wreszcie Leesha odwróciła się, a wtedy ujrzała Ineverę, która przygląda się kaźni z całkowitym spokojem. Dostrzegła łzy Leeshy i skrzywiła się szyderczo.

W sercu dziewczyny coś pękło, gniew rozgorzał niczym run chroniący przed dalszymi cierpieniami. Wyprostowała się, otarła oczy i przyglądała chłóście do końca z tą samą chłodną obojętnością co Damajah.

Chłosta zaś wydawała się nie mieć końca, ale wreszcie pierwszy z wojowników osunął się na ziemię, a po nim drugi. Leesha dostrzegła, jak wśród zgromadzonych z rąk do rąk przechodzą monety, i miała ochotę splunąć z pogardą. Gdy padł ostatni z nich, Jardir skinął na nią i Zielarka pobięła ku skatowanym wojownikom, wyciągając przygotowane zawczasu nici, maści i bandaże. Miała nadzieję, że przygotowała ich odpowiednio dużo.

Jardir uderzył włócznią o ziemię. Leesha uniosła na niego wzrok.

– Ponieście wieści wszystkim tym, którzy pragną ujrzeć raj na końcu samotnej ścieżki! – ryknął Jardir, a jego głos poniósł się echem po rynku i przylegających uliczkach. – Każda kobieta, która rzuci wyzwanie demonowi w *alagai'sharak*, stanie się *Sharum'ting* i zyska wszystkie prawa *Sharum*!

Wśród zgromadzonych wojowników poniósł się szmer niedowierzania, a Leesha ujrzała

przerażenie na twarzach nie tylko *dama*, ale i *Sharum*. Tu i ówdzie poniosły się krzyki sprzeciwu, ale Jaridir uciszył je warknięciem.

– Wszyscy, którzy sprzeciwiają się dziś tej decyzji – oznajmił, obnażając zęby – niech tu wyjdą! Obiecuję im szybką, honorową śmierć! Wobec tych, którzy sprzeciwia mi się jutro, nie będę tak łaskawy!

W tłumie nadal było widać wiele wykrzywionych ze złości twarzy, ale nikt nie był na tyle głupi, by wyjść przed szereg.

\* \* \*

Następnego dnia Abban przybył na dziedziniec przed Pałacem Luster z pewnym *dal'Sharum*, który na ramiona narzuconą miał czerwoną przesłonę, noszoną przez wojowników w nocy. Jego czarna broda przetykana była nitkami siwizny, ale choć promieniał energią, jego widok zaskoczył Leeshę. Niewielu krasjańskich wojowników dożywało wieku, w którym pojawiała się siwizna. Nieznajomy szedł dumnym krokiem, ale mięśnie twarzy wydawały się napięte, jakby przez cały czas tłumił grymas niechęci.

– Pozwól, że przedstawię Gavrama asu Chenin am'Kaval am'Kaji, Mistrza Ćwiczeń Kaji'sharaj – rzekł Abban.

Wojownik uklonił się, a Leesha dygnęła w odpowiedzi. Nowo przybyły powiedział coś po krasjańsku, zbyt szybko, by Zielarka mogła zrozumieć, ale Abban przełożył jego słowa:

– Powiedział, że przybywa tu z rozkazu Wybawiciela, by przygotować twoich wojowników na *alagai'sharak*. Mistrz Ćwiczeń Kaval był nauczycielem dla Shar'Dama Ka i dla mnie, gdy obaj uczyliśmy się w *sharaj* – dodał. – Nie ma nikogo odeń lepszego.

Leesha zmrużyła oczy i przyjrzała się Abbanowi uważnie, usiłując odnaleźć w jego słowach podwójne znaczenie, choć ten nadal zachowywał całkowicie obojętny wyraz twarzy. Nie mogła zapomnieć, iż został okaleczony w *sharaj*.

– Czy chcecie ćwiczyć? – zapytała Gareda i Wondę.

Kaval i Abban znów odbyli krótką rozmowę, ale mówili tak szybko, iż Leesha, choć rozumiała wiele słów, nadal nie pojmowała sensu. Wyglądało na to, że Abban usiłuje czegoś dowieść, ale Kaval zwarł nagle pięść i *khaffit* uklonił się, ustępując.

– Mistrz Ćwiczeń prosi, bym przekazał twoim wojownikom, że ich życzenia są pozbawione znaczenia. Shar'Dama Ka wydał rozkaz i zostanie on wypełniony.

Leesha skrzywiła się i już chciała zaprotestować, ale przerwał jej Gared:

– W porządku, Leesha – rzekł. – Ja chcę ćwiczyć.

– Ja też – odezwała się Wonda.

Leesha skłoniła się i odsunęła, a Kaval skinął na oboje *chin*, by podeszli bliżej. Obejrzał ich dokładnie. Burknął z aprobatą, przyjrzaawszy się ogromnemu Garedowi, ale Wonda nie wywarła na nim dobrego wrażenia, choć budową ciała i wzrostem nie ustępowała większości

*dal'Sharum*. Po oględzinach podszedł do Leeshy i powiedział kilka zdań.

– Z tego olbrzyma zrobię wielkiego wojownika – przełożył Abban. – O ile okaże się zdyscyplinowany. Co do kobiety zaś, to się jeszcze okaże.

W głosie Abbana pobrzmiwał sceptycyzm.

Mistrz Ćwiczeń cofnął się na dziedziniec. Poruszał się szybko i z wdziękiem. Spojrzał na Gareda i rzucił polecenie, waląc się przy tym w klatkę piersiową.

– Mistrz chce, byś go zaatakował – wyjaśnił Abban.

– Tego to akurat nie musisz mi tłumaczyć – rzekł Gared. Ruszył ku nauczycielowi.

Chociaż Rębacz górował nad nim wzrostem, Kaval wydawał się zupełnie nieporuszony.

Gared ryknął i rzucił się do ataku, ale jego pięści, choć celował starannie, trafiały w próżnię. Odwrócił się więc i spróbował pochwycić przeciwnika, lecz miast tego sam znalazł się na plecach. Kaval wykręcił mu ramię i puścił, dopiero gdy Gared zakrzyknął.

– Ciebie nie potraktuje tak łagodnie – poradził Wondzie Abban. – Bądź czujna.

– Nie boję się – powiedziała dziewczyna i ruszyła ku Kavalowi.

Wytrwała dłużej niż Gared. Poruszała się płynniej, szybciej, ale wynik walki nie pozostawiał cienia wątpliwości. Dwukrotnie jej ciosy padały tak blisko, że Mistrz Ćwiczeń zmuszony był je zablokować, ale przystąpił wówczas do gwałtownego kontrataku. Za pierwszym razem trafił dziewczynę w szczękę z taką siłą, że Wonda zatoczyła się, plując krwią, a za drugim grzmotnął ją w żołądek, że zgięła się wpół i straciła dech. Kaval złapał jej ramię, nim zdołała się poderwać, i wykręcił je tak, by padła na bruk. Wonda próbowała kopnąć nauczyciela w twarz, ale na obliczu Mistrza pojawił się jedynie uśmiech. Nadal wykręcał jej ramię. Wonda pobladła, zacisnęła mocno zęby, ale nie pozwoliła sobie na najcichszy nawet jęk.

– Mistrz Ćwiczeń złamie jej rękę, jeśli się nie podda – ostrzegł Abban.

– Wonda! – zawołała Leesha i dziewczyna wreszcie odzyskała na tyle rozumu, by krzyknąć. Kaval wypuścił wówczas jej rękę i burknął coś do Abbana.

– Twierdzi, że może uda mu się mimo wszystko coś z niej zrobić – przełożył *khaffit*. – Prosi, abyśmy ich opuszcili, by mogli trenować bez przeszkód.

Leesha spojrzała na Gareda i Wondę, a potem skinęła głową.

– Napiłbyś się herbaty ze mną i z Rojerem, Abban?

– Byłbym zaszczycony – uklonił się kupiec.

– Nim jednak odejdziemy – ciągnęła Leesha, a jej głos nagle stwardniał – wyjaśnijmy mistrzowi Kavalowi, że uwolnię Otchłań, jeśli wrócę i zastanę swoich wojowników zbyt poturbowanych, by mogli dziś walczyć.

\* \* \*

Żony Abbana próbowały im usługiwać, ale Amanvah przepędziła je jednym syknięciem.

Klasnęła w dłonie i Sikvah popędziła, by przygotować herbatę. Leesha zmarszczyła nos. Ta dziewczyna może i była siostrzenicą Jardira, ale niewiele różniło ją od niewolnicy.

– Krzątają się wokół mnie od wczoraj – oznajmił Rojer.

Amanvah powiedziała coś po krasjańsku, a Abban skinął głową.

– Naszym zadaniem jest zaspokajać potrzeby Rojera – przełożył. – Nie zgadzamy się, by ktokolwiek inny robił to za nas.

– Mógłbym się do tego przyzwyczaić – przyznał Minstrel z szerokim uśmiechem, wyciągając się na krzesło i zakładając ręce za głowę.

– Tylko nie przyzwyczajaj się za bardzo – ostrzegła go Leesha. – To nie potrwa długo.

Ujrzała, że wzrok Amanvah niespodziewanie stężał, ale nie odezwała się słowem.

Sikvah powróciła chwilę później z herbatą. Podała ją w ciszy, nie unosząc spojrzenia, a potem bezszelestnie stanęła pod ścianą obok Amanvah. Leesha upiła łyk, przez moment trzymała go w ustach, a potem wypuła do filiżanki.

– Dodałaś szczyptę czarnoliścia – powiedziała do Sikvah, odstawiając naczynie. – Sprytne. Większość ludzi nie wykryłaby smaku, a przy tej dawce umierałabym długie tygodnie.

Rojer zakrztusił się i oblał herbatą. Leesha złapała jego filiżankę i przesunęła palcem po porcelanowej krawędzi, smakując osad.

– Nie masz się czego obawiać, Rojer – dodała. – Wygląda na to, że ciebie nie chcą się tak bardzo pozbyć.

Abban ostrożnie odstawił filiżankę na stół. Amanvah spojrzała na niego i powiedziała coś po krasjańsku.

– Ach – Abban zwrócił się do Leeshy – to było doprawdy poważne oskarżenie. Czy chcesz, bym przetłumaczył to, co powiedziałaś?

– Proszę bardzo – zaśmiała się Leesha. – Choć nie mam wątpliwości, że zrozumiała mnie co do słowa.

Abban przełożył jej wypowiedź, a Amanvah wrzasnęła dziko, podbiegła do Leeshy i zaczęła na nią krzyczeć.

– *Dama'ting* nazywa cię kłamcą i idiotką – przetłumaczył Abban.

Leesha uśmiechnęła się i uniosła swą filiżankę.

– A więc powiedz, by sama to wypila.

Oczy Amanvah zapłonęły, gdy nie czekając na przekład, wyrwała filiżankę z rąk Zielarki. Napój był nadal gorący, ale kobieta uniosła woalkę i jednym haustem wychyliła całą zawartość naczynia. Spojrzała na Leeshę z triumfem. Zielarka nadal się uśmiechała.

– Powiedz jej, że doskonale wiem, iż jeszcze dzisiaj może przyjąć antidotum – zwróciła się do kupca. – Ale jeśli stosuje to samo co my na Północy, będzie miała krwawy stolec przez cały tydzień.

Nim Abban skończył tłumaczyć, z odsłoniętego przez woalkę pasma skóry wokół oczu

odpłynęły wszystkie kolory.

– Jeśli spróbujesz podobnej sztuczki, powiem o wszystkim twojemu ojcu – ciągnęła. – I o ile go znam, wspólna krew bynajmniej nie powstrzyma go od zdarcia twojej pięknej białej szaty z pleców i solidnego wygarbowania ci skóry, chyba że zabije cię od razu.

Amanvah wbiła w nią wściekle spojrzenie, ale Leesha odprawiła ją machnięciem ręki.

– Wyjdź.

*Dama 'ting* syknęła coś w odpowiedzi.

– Nie tobie wydawać nam polecenia – przełożył Abban, na co Leesha zwróciła się do Rojera, który wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Odeślij swoje narzeczone do komnat, Rojer.

– Precz! – warknął Minstrel, machając dłonią, nawet nie patrząc na obie Krasjanki. Amanvah zmarszczyła wściekle brwi i parsknęła coś w rodzinnej mowie, po czym wypadła z sali z Sikvah depczącą jej po piętach. Leesha powtórzyła w myślach jej słowa, zapamiętując klątwę na przyszłość.

– Nic dziwnego, że Damajah obawia się ciebie – zaśmiał się Abban.

– Nie wydaje się przestraszona – zauważyła Leesha. – Co za tupet, żeby próbować zabić mnie w biały dzień.

– Po ostatnim dekrete Ahmanna nie jest to wielka niespodzianka – rzekł Abban. – Ale nabierz otuchy, bo sprawiają ci wielki honor. W Krasji, jeśli nikt nie stara się ciebie zabić, oznacza to, że nie jesteś kimś, kogo zabić warto.

\* \* \*

– Może już czas stąd wyjeżdżać? – zasugerował Rojer, gdy Abban wyszedł. – O ile w ogóle nam na to pozwolą.

Nie mógł zaprzeczyć, że Amanvah i Sikvah pobudziły jego wyobraźnię i zmysły, ale po tym, co zaszło, w wyobraźni widział jedynie noże ukryte pod miękkimi jedwabnymi poduszkami ich komnat.

– Ahmann pozwoli nam odejść, jeśli go poproszę – stwierdziła Leesha. – Ale ja się nigdzie nie wybieram.

– Leesha, oni właśnie próbowali cię zabić!

– Nie oni, a Inevera, ale jej nie wyszło – stwierdziła Leesha. – W tej sytuacji moja ucieczka byłaby dla niej równoznaczna z moją śmiercią. Mam dać się wygnać przez tę... Tę...

– Wiedźmę? – odpowiedział Rojer.

– Wiedźmę – zgodziła się Leesha. – Ma o wiele za dużą władzę nad Ahmannem. Ja zaś nie mam zamiaru pogodzić się z utratą jego sympatii bez walki.

– Jesteś pewna, że chodzi ci akurat o sympatię? – zapytał Rojer. Leesha zmierzyła go nieprzychylnym spojrzeniem, ale Minstrel wytrzymał ze spokojem. – Nie jestem ślepy,

Leesha, widzę, jak na niego patrzysz. Może nie jak krasjańska żona, ale też nie jako przyjaciółka.

– To, co do niego czuję, nie ma znaczenia – odparła dziewczyna. – Nie mam zamiaru stać się kolejną kobietą w jego haremie. Czy wiedziałeś, że Kaji miał tysiąc żon?

– Biedny drań – zgodził się Rojer. – Mam wrażenie, że większość mężczyzn ledwie daje sobie radę z jedną.

– Dobrze sobie zapamiętaj ten wniosek – parsknęła Leesha. – Co więcej, zarówno Abban, jak i Ahmann znają Arlena i obaj twierdzą, iż są jego przyjaciółmi.

– Od niego usłyszeliśmy coś zupełnie innego – rzekł Rojer. – W każdym razie na temat Jardira.

– Wiem. Muszę więc poznać prawdę.

– A co z Amanvah i Sikvah? – zapytał Rojer. – Mam je odesłać?

– By mogli zabić Sikvah za to, że skłamała co do swojego dziewictwa i nie zdołała mnie zabić? – odparła Leesha. – Nie, nie ma mowy. Wzięliśmy za nią odpowiedzialność.

– Ale to było, zanim próbowała cię zabić – sprzeciwił się Minstrel.

– Rusz głową, Rojer. Gdybym kazała Wondzie wpakować strzałę w oko Inevery, zrobiłaby to bez namysłu, ale winę za zbrodnię poniosłabym ja. Lepiej zostawić je tu, gdzie możemy je obserwować, a być może dowiemy się czegoś ciekawego.

\* \* \*

Był środek nocy, kiedy Leeszę obudziły krzyki. Rozległo się walenie do jej drzwi, więc zapaliła lampę i naciągnęła jedwabną krasjańską szatę, otrzymaną w podarunku od Jardira. Sukno było chłodne i przyjemnie gładko ocierało się o skórę.

Otworzyła drzwi i ujrzała zaniepokojonego, udręczonego Rojera na progu.

– To Amanvah – zawołał. – Słyszę, jak zawodzi w swojej komnacie, ale Sikvah nie chce otworzyć drzwi.

– Wiedziałam – mruknęła Leesha, zawiązała szatę ciasniej w pasie i założyła swój fartuch z wieloma kieszeniami. – W porządku – westchnęła. – Chodźmy do niej.

Udali się do skrzydła zajętego przez Rojera i Leesha zastukała do komnaty zamieszkałej przez krasjańskie dziewczęta. Zza drzwi dosłyszała stłumione jęki Amanvah, a potem wołanie Sikvah, która w swym ojczystym języku kazała im się wynosić.

Leesha zmarszczyła brwi.

– Rojer – rozkazała na głos – ściągnij tu Gareda. Jeśli drzwi nie zostaną otwarte do twojego powrotu, każemy mu je wyważyć.

Minstrel skinął głową i rzucił się do biegu.

Zgodnie z oczekiwaniami drzwi uchyliły się w chwilę później i na zewnątrz wyjrzała przerażona Sikvah.

– Wszystko dobrze – powiedziała, ale Leesha wepchnęła się do środka i ruszyła w kierunku toalety, skąd dobiegał głos Amanvah. Sikvah wrzasnęła i próbowała zastąpić jej drogę, ale Leesha zignorowała jej wysiłki i szarpnęła za klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

– Gdzie klucz? – zażądała.

Sikvah w odpowiedzi zaczęła tłumaczyć po krasjańsku, ale Leesha miała już dość. Wymierzyła dziewczynie siarczysty policzek, od którego aż echo poszło po komnacie.

– Przestań udawać, że mnie nie rozumiesz! – warknęła. – Nie jestem głupia! Powiesz jeszcze jedno słowo po krasjańsku, a gniew Damajah stanie się najmniejszym z twoich problemów.

Sikvah nie odpowiedziała, ale wyraz przerażenia na jej twarzy zdradził Leeshy, że doskonale ją zrozumiała.

– Gdzie klucz? – wycodziła Zielarka przez zęby. Sikvah pospiesznie wyciągnęła go zza pazuchy.

Leesha otworzyła drzwi. W bogato przystrojonej toalecie unosił się trudny do zniesienia smród wymiocin przemieszany z aromatem jaśminowego kadzidła. Obie wonie tworzyły mieszaninę, która rozstroiłaby każdy żołądek. Leesha zignorowała jednak odór i przypadła do zawodzącej, zapłakanej Amanvah, leżącej przy komodzie. Dziewczyna odrzuciła woalkę i zawój, a oliwkowa cera wydawała się niemalże biała.

– Jest odwodniona – rzekła Leesha. – Przynieś dzbanek zimnej wody i ustaw imbryk na ogniu.

Sikvah wybiegła, a Zielarka przyjrzała się zawartości szuflad w komodzie. Ujęła stojącą na niej filiżankę i posmakowała osadu.

– Kiepska robota – poinformowała Amanvah. – Wystarczyłaby jedna trzecia zastosowanej przez ciebie porcji świeżenia, a bez trudu zneutralizowałabyś efekt działania czarnoliścia.

Młoda *dama'ting* nie odpowiedziała. Puste spojrzenie wbiła przed siebie i ciężko oddychała, ale Leesha wiedziała, że dziewczyna rozumiała każde jej słowo.

Nawet nie patrząc, wyciągnęła z kieszeni moździerz oraz kilka porcji ziół, które utarła bez chwili namysłu. Gdy Sikvah przyniosła gorącą wodę, uwarzyła zioła, a potem kazała podtrzymać Amanvah i wlała jej miksturę do ust.

– Otwórz okna, by wpuścić nieco świeżego powietrza – przykazała Sikvah. – I przynieś poduszki. Będzie tu musiała pozostać przez parę godzin, a my spróbujemy przywrócić równowagę płynów w jej organizmie.

Rojer i Gared zajrzeli do środka, ale Leesha bezzwłocznie odesłała ich do łóżek. Wraz z Sikvah zajmowały się Amanvah, dopóki jej wnętrzności nie uspokoiły się i można było zanieść ją na posłanie.

– Najlepiej będzie, jeśli się teraz porządnie wyśpi – oznajmiła Leesha, wlewając kolejny napar do ust chorej. – Obudź ją za jakieś dwanaście godzin i spróbujemy wtedy podać jej

nieco chleba i ryżu.

– Dlaczego to robisz? – wyszeptała Amanvah. Jej akcent był równie toporny jak jej matki, ale każde słowo wymawiała zrozumiale. – Moja matka nie byłaby taka miła dla kogoś, kto próbował ją otruć.

– Moja również nie, ale my nie jesteśmy naszymi matkami, Amanvah – odparła Leesha. Amanvah uśmiechnęła się.

– Gdy następnym razem stanę przed jej obliczem, będę żałować, że trucizna mnie nie zabiła.

Leesha pokręciła głową.

– Póki co przebywasz pod moim dachem. Nikt cię tu nie skrzywdzi, nikt też nie będzie cię przymuszać do ślubu z Rojerem, jeśli sobie tego nie życzysz.

– Ależ my tego chcemy, pani – rzekła Sikvah. – Ów przystojny syn Jessuma został dotknięty przez Everama. Czy kobieta może marzyć o większym zaszczycie niż pozycja pierwszej bądź drugiej żony takiego mężczyzny?

Leesha otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, ale natychmiast je zamknęła, przypominając sobie, że cokolwiek by powiedziała, obie Krasjanki i tak jej nie zrozumieją.

\* \* \*

Gdy Leesha wreszcie wyszła z komnat Amanvah, ujrzała Elonę, która czekała na nią w korytarzu. Zielarka westchnęła ciężko, albowiem nie marzyła o niczym poza wypełnieniem do własnego łóżka, ale Elona wstała z ławki i podeszła z nią do schodów.

– Czy to, co mówi Rojer, to prawda? – zapytała. – Te Krasjanki próbowały cię otruć?

Leesha przytaknęła, na co Elona zareagowała uśmiechem.

– Co oznacza, że Inevera naprawdę się obawia, że go jej ukradniesz.

– Nic mi nie jest, jeśli cię to interesuje – rzekła Leesha.

– Oczywiście, że nie – stwierdziła Elona. – Jesteś moją córką, czy ci się to podoba czy nie. Jeśli spodobał ci się jakiś mężczyzna, żadna pustynna wiedźma cię nie zatrzyma.

– Nie mam zamiaru ukraść mężczyzny, który należy do innej kobiety, matko.

– A więc po co tu przybyłaś? – zaśmiała się Elona.

– By położyć kres wojnie.

– A jeśli będziesz w tym celu musiała ukraść męża kobiecie, która próbowała cię zamordować? – zapytała Elona. – Czy to zbyt wysoka cena? Zresztą to przecież nie kradzież – parsknęła. – Te kobiety dzielą się mężami w ten sam sposób co kury kogutem.

– Och. – Leesha przewróciła oczami. – Żeby tak zostać jedną z niosek w kurniku Ahmanna... Cóż za zaszczyt!

– Zawsze to lepiej, niż być tą, która idzie do rosołu – odcięła się Elona.

Dotarły do komnat Leeshy i Elona weszła za córką do środka. Zielarka padła na



wysciewane poduszkami łoże i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie masz pojęcia, jak żałuję, że nie ma tu Bruny. Ona wiedziałaby, co należy zrobić.

– Wyszłaby za Jardira i okiełznała go – odparła Elona. – Gdyby była równie młoda i piękna jak ty, już dawno nagięłaby obu Wybawicieli do swojej woli i zażywała rozkoszy do końca swoich dni.

– Skąd ty to możesz wiedzieć, matko – rzekła Leesha.

– Wiem to lepiej od ciebie – odparła Elona. – Przed twoim narodzeniem pobierałam nauki pod okiem tej nieszczęsnej starej wiedźmy, a żyli wówczas ostatni ludzie, którzy pamiętali ją za młodu. Mówili, że rzadko kiedy zwierzała nogi, a po wyjściu za mąż, co miało miejsce dość późno, rządziła całym okręgiem żelazną ręką, pewnie i bez wahań. O wiele pewniej niż ty, ponieważ umiała korzystać nie tylko z tego – Elona postukała w czoło Leeshy – ale i z tego – wskazała swoje krocze. – Tu tkwi prawdziwa moc kobiety i trzeba być idiotką, by z niej nie korzystać.

Leesha już chciała zaprotestować, ale z jakichś względów słowa jej matki wydały jej się słuszne i nie potrafiła obmyślić żadnej riposty. Bruna była brudną, niezadbaną staruchą, która wygłaszała sprośne komentarze i opowiadała historyjki ze swej rozwiązłej młodości. Leesha uznała wiele z nich za wysane z palca, uważała, że stara wiedźma po prostu lubiła szokować innych, ale teraz nie była już taka pewna.

– W jaki sposób należy z niej korzystać? – zapytała.

– Jardir ma na twoim punkcie obsesję – rzekła Elona. – Każdej kobiecie starczy jedno spojrzenie, by się o tym przekonać. To właśnie dlatego Inevera się ciebie obawia i to właśnie w ten sposób możesz pochwycić tę pustynną zmięję za gardło i odsunąć zagrożenie od naszych rodaków.

– Od rodaków – powtórzyła Leesha. – Od Zakątka.

– Oczywiście, że od Zakątka! – parsknęła Elona. – Słońce nad Rizon już zaszło i nic na to nie poradzisz.

– A co z Angiers? – zapytała Leesha. – Co z Lakton? Co z małymi, rozsianymi wszędzie wsiami? Może i będę w stanie uchronić Zakątek, ale cóż będę mogła uczynić dla nich?

– Z łoża Jardira? – zapytała z niedowierzaniem Elona. – Czy jest jakieś miejsce na świecie, z którego miałabyś większy wpływ na przebieg wojny? Rozbudź w mężczyźnie żądzę, a da ci wszystko, czego zapragniesz. Z pewnością ten twój wspaniały umysł jest w stanie podsunąć ci kilka prostych prośb, dzięki którym będziesz w stanie odwrócić bieg wydarzeń.

Niespodziewanie podeszła bliżej i nachyliła się do ucha córki.

– A może wolałabyś, by to Inevera szeptała Jardirowi rady do ucha, gdy co noc zapada w sen?

Była to przerażająca myśl i dziewczyna potrząsnęła głową, ale wciąż była pełna wątpliwości.

– Brama do Nieba nie kryje się między twoimi nogami, Leesha – powiedziała Elona. – Wiem, że marzyłaś o prawdziwej nocy poślubnej, a ja, jeśli mam być z tobą szczerą, również tego dla ciebie chciałam. Niestety, życie potoczyło się inaczej.

Leesha zmierzyła matkę ostrym spojrzeniem, lecz ujrzała, że ta wpatruje się w nią wyzywająco, gotowa bronić swoich przekonań.

– Masz bardzo wyrazisty punkt widzenia na świat – stwierdziła Leesha. – Czasami ci tego zazdroszczę.

Elona była zaskoczona.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem.

– Czasami, podkreślam – uśmiechnęła się Leesha.

# Zdziczenie

## 333 ROK PLAGI, LATO

Renna czekała cierpliwie, aż demon się zmaterializuje. Ostrożnie wybrała sobie miejsce – siedziała wysoko na gałęzi pojedynczego drzewa rosnącego na wzgórzu, mając przed sobą grupę skał przypominających złamaną kość wystającą z rany.

Ślady na ziemi zdradziły, że niemalże co noc materializował się tu ogromny otchłaniec mający kilkanaście stóp wzrostu. Przez ostatnie sześć tygodni Arlen nauczył Rennę wielu rzeczy, między innymi tego, że demony skalne zawsze działają rutynowo, a demony od nich mniejsze szybko się uczyły, by materializować się z dala od miejsc wybranych przez ich skalnych kuzynów.

Gdy złowroga, szara mgła zaczęła się sączyć pomiędzy skał, z wolna gęstniejąc i przybierając demoniczną formę, zamknęła oczy i głęboko oddychając, opanowała strach i odnalazła równowagę wewnętrzną. Nie mogła się nadziwić, jak dobrze sprawdzała się krasjańska technika tłumienia emocji. Z początku jej stosowanie było dla dziewczyny wyzwaniem, ale teraz zmiana perspektywy trwała jedynie chwilę. Błyskawicznie odnajdywała w sobie miejsce, gdzie nie było bólu, ani też strachu przed przeciwnikiem czy porażką.

Gdy otworzyła oczy, świat wyglądał inaczej. Stała na gałęzi, jej bosc stopy utrzymywały idealną równowagę. W lewej ręce trzymała nóż Harla i nieświadomie gładziła palcem runy, które wyrzeźbiła w kościanej rękojęści. W prawej dłoni zaś trzymała orzech.

Powiał chłodny wiatr, żółknące liście zaszeleściły. Oddychała głęboko, ciesząc się tym, jak podmuch pieścił jej nagą skórę. Czuła się częścią tego świata rodem z koszmaru w tym samym stopniu co niczego niepodejrzewający demon materializujący się pod jej nogami.

Sięgający ongiś do pasa brązowy warkocz przeszkadzał jej w działaniu, więc skróciła go, pozostawiając sobie jedynie na pamiątkę króciutki, cienki kosmyk. Całkowicie rozstała się też

z suknią, którą przeszyla na ciasną kamizelkę, podtrzymującą biust, lecz odsłaniającą nagi, pokryty runami brzuch, oraz rozciętą po bokach spódnicę, okrywającą nogi, również pokryte symbolami.

Arlen nadal nie zgadzał się malować runów na jej ciele, ale zignorowała jego zakazy i sama ucierała czarny korzeń. Uzyskany w ten sposób ciemnobrązowy atrament pozostawał na jej skórze przez długie dni.

Renna spojrzała w dół. Demon zmaterializował się wreszcie w pełni, więc rzuciła orzechem. Nie dbając o to, czy trafiła, czy nie, bezszelestnie zeskoczyła.

Orzech trafił potwora w ramię. Run gorąca, który wymalowała na jego gładkiej powierzchni, rozjarzył się w ciemnościach, zasysając magię potężnego otchłańca. W jednej chwili rozgrzał się niemal do czerwoności i głośno eksplodował.

Wybuch nie wyrządził demonowi żadnej krzywdy, ale hałas i rozbłysk odwróciły jego uwagę. W tejże chwili Renna wylądowała na jego przeciwległym ramieniu. Złapała wolną ręką za róg, by nie stracić równowagi, i wbiła mu nóż w gardło. Runy na ostrzu zapłonęły i w tej samej chwili ciało demona przeszył niosący ekstazę magiczny impuls, a dłoń dziewczyny zbryzgała czarna posoka.

Skrzywiła się i uniosła ramię, by pchnąć raz jeszcze, ale demon zawył i odrzucił głowę. Zamiast atakować, Renna musiała się mocno trzymać.

Wykonała serię błyskawicznych uników – demon tłukł bowiem wściekle pazurastymi łapami we własną głowę, próbując się pozbyć przeciwniczki – ale Renna nie przestawała dźgać nożem i kopać go stopą wzmocnioną wymalowanymi na niej runami. Magiczne impulsy przesywały ją za każdym uderzeniem, przez co stawała się coraz to szybsza, silniejsza, bardziej odporna. Uaktywniły się też runy wokół jej oczu i noc zapłonęła magicznym blaskiem.

Ciosy Renny nie pozwalały demonowi się skupić, ale nie wyrządziły mu żadnej szkody. Nie była w stanie wbić noża w jego oczy czy gardło, które stanowiły najwrażliwsze punkty, nie miała też tyle siły, by przebić nożem grubą czaszkę. Wiedziała, że lada chwila któreś z potężnych uderzeń zmiecie ją z jego grzbietu, lecz myśl ta obudziła w niej jedynie dziki śmiech.

Renna wsunęła nóż do pochwy i sięgnęła za pazuchę po długi rzemień z nawleczonymi otoczakami, naszyjnik, który otrzymała od Cobiego Fishera dawno temu, wydawałoby się, że w innym życiu. Otoczyła nim szyję potwora, puściła jego róg i złapała drugi koniec rzemienia, po czym zsunęła się między opancerzone łopatki rozwścieczonego demona, gdzie nie mógł jej dosięgnąć.

Ten miotał się, próbując ją strząsnąć, ale trzymała się mocno, a naznaczone runami otoczaki pod naporem jej wagi wpijały się w gardło potwora. Wymalowała na nich runy zakazu i te buchały teraz światłem, miażdżąc jego gardło.

Już po chwili demon zaczął się zataczać, jego grzmiące kroki utraciły swój rytm.

Rzemień stawał się coraz cieplejszy, magia nabierała intensywności, rozjaśniając noc dookoła nich.

W końcu rozległ się trzask i runy błysnęły po raz ostatni. Ogromna rogata głowa, oderżnięta od korpusu, spadła na ziemię, a Renna uskoczyła jej z drogi. Wylądowała lekko na ziemi, a tułów demona grzmotnął tuż obok. Dziewczyna czuła mrowienie skradzionej magii, leczącej każde zadrapanie, które otrzymała w tym starciu. Czarna demonia jucha plamiła jej skórę i Renna znów się zaśmiała, zwijając kamienne korale i ruszając na poszukiwanie kolejnej ofiary.

Nigdy dotąd nie czuła się tak wolna.

\* \* \*

Kolejnym przeciwnikiem okazał się samotny ognisty demon, który polował wśród krzaków u stóp drzew. Renna przygotowała się na jego szarżę, czekając na wdech powietrza.

Ogniste demony zawsze rozpoczynały atak plunięciem, gdy tylko znalazły się w zasięgu. Ich oddech podpalał wszystko, czego dotknął, i oszołomiona ofiara zaczynała desperacką walkę z ogniem, co pozwalało demonowi skoczyć na zdobycz i zakończyć atak pazurami i kłami. Niemniej jeśli uniknęło się pierwszego plunięcia, mijała dłuższa chwila, nim demon mógł sztukę powtórzyć.

Renna przykucnęła z twarzą do ziemi. Była oczywistym celem, więc demon zatrzymał się tuż przed nią, nabrał powietrza i plunął, mrużąc pozbawione powiek ślepią, zupełnie jak człowiek przy kichaniu. Renna rzuciła się błyskawicznie na lewo i podmuch nie wyrządził jej krzywdy.

Nim otchłaniec rozwarł ślepią, Renna była już za nim i pochwyciła go za rogi. Szarpnęła, odciągając mu łeb, po czym wypatroszyła niczym zająca pochwyczonego na polu ojca. Znów obryzgała ją krew, płonąca niczym żar z ogniska, ale Renna znajdowała się w stanie, w którym ból nie miał dla niej znaczenia. Chlapnęła błotem na oparzenie i wstała.

Gardłowy bulgot zdradził jej, że została osaczona, choć od momentu zaatakowania ognistego demona upłynęła ledwie chwila. Odwróciła się i ujrzała tuż za sobą zgarbionego drzewnego demona, mierzącego sześć stóp w kłębie. Dalej, między drzewami, jej okolone runami oczy dostrzegły dwa kolejne, których pancerze idealnie zlewały się z lasem, ale przed jej magią ukryć się nie mogły. Wiedziała, że kiedy zwiąże walką pierwszego – najsilniejszego – pozostałe naskoczą na nią z boków.

Renna niejednokrotnie zabijała drzewne demony, lecz bez asysty Arlena nigdy nie atakowała więcej niż dwóch naraz.

Poradzę sobie z trzema? – zawahała się, ale odepchnęła bezużyteczny niepokój. Nie warto liczyć demonów, bo gdy już człowieka zauważyły, nie było przed nimi ucieczki.

– No, to chodźcie – warknęła, wskazując nożem najbliższego.

\* \* \*

Naznaczony przyglądał się Rennie z drzew po przeciwnej stronie drogi i kręcił głową. Wytropienie jej zabrało mu trochę czasu. Zostawił ją, by nazbierać chrustu i ziół, a dziewczyna obiecała, że nie opuści warowni do jego powrotu – mieli się potem udać wspólnie na polowanie.

Nie po raz pierwszy uległa własnej niecierpliwości lub po prostu zignorowała jego wolę i wyruszyła w noc samotnie.

Arlen przyglądał się, jak dziewczyna sprytnie przekrada się w martwą strefę ognistego demona i patroszy go ojcowym nożem. Musiał przyznać, że szybko się uczy. Przewyższyła nawet Wondę z Rębaczy. Polowaniu na demony Renna oddała się całym ciałem i duszą, o czym najlepiej świadczył poziom jej umiejętności po zaledwie kilku krótkich tygodniach nauki.

Naznaczony zastanawiał się, czy słusznie postąpił, pokazując jej technikę pokonywania strachu. Dzięki niej Renna przekroczyła pewną barierę i stała się zbyt śmiała. Stanowiła teraz niebezpieczeństwo nie tylko dla demonów, ale i dla siebie.

Rozumiał, przez co właśnie przechodziła, o wiele lepiej niż sama Renna. Noc była jednak bezlitosna nawet dla tych, którzy przyjęli jej zasady – drzewne demony, które otoczyły dziewczynę, gdy zajmowała się patroszeniem ich ognistego kuzyna, były tego najlepszym przykładem. Arlen miał wrażenie, że Renna dostrzegła tylko stwora, który wyszedł na otwartą przestrzeń, przeoczyła zaś pozostałe.

Nałożył strzałę na cięciwę i wycelował. Postanowił, że wstrzyma się z wypuszczeniem pocisku do chwili, gdy Renna dostrzeże trzy otchłańce i zrozumie, że jej życie znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Może wtedy nauczy się, że należy bardziej dbać o bezpieczeństwo.

\* \* \*

Drzewny demon zaryczał, co miało ją przerazić i oszołomić, podobnie jak splunięcie potwora. Jego pobratymcy podpełzli bliżej, szykując się do natarcia.

Renna jednakże nie dała im szansy – rzuciła się do pozornie samobójczego ataku na najbliższego potwora. Ten odsłonił rzędy kłów i uniósł pazurzaste łapy, chcąc przyjąć atak na klatkę piersiową. Drzewne demony ustępowały bowiem siłą i rozmiarami jedynie skalnym, a temu najwidoczniej nikt nigdy dotąd nie przebił korowatego pancerza.

Renna wykorzystała swój pęd i kopnęła go z wysokości. Naznaczone runami pięta oraz goleń eksplodowały w zderzeniu z klatką piersiową demona, który poleciał do tyłu oszołomiony.

Pozostałe zaryczały wśród drzew. Rzuciła się na najbliższego, pochwyciła go za nadgarstek, rozstawiła szeroko nogi i obróciła całym ciałem, chcąc wykorzystać siłę potwora przeciwko niemu. Niemalże bez wysiłku posłała ciężkiego drzewnego demona w powietrze tak, by wpadł na trzeciego osobnika z watahy. Sczepione otchłańce próbowały się podnieść i oddzielić od siebie, ale dziewczyna bezbłędnie wykorzystała moment i wpadła na nie z nożem Harla w garści.

Jeden z demonów, wciąż leżąc, zamachnął się na nią, gdy tylko znalazła się w zasięgu jego długiego, przypominającego konar ramienia. Dziewczyna padła na plecy, a szpony przemknęły tuż nad jej piersią. Nie udało jej się naznaczyć runami kamizeli i gdyby otchłańiec trafił, okrutnie poszarpałby Rennie ciało. Zazdrościła Arlenowi, że może walczyć bez koszuli.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi nawet nie draśnięta, ale straciła już element zaskoczenia – trzy demony pozbierały się i znów stanowiły zagrożenie. Na ich pancerzach, tam gdzie trafiły ciosy, widniały poczerńiałe ślady, lecz choć magia, którą zassała z ciał otchłańców, wyleczyła jej skaleczenia, demony również szybko regenerowały swe siły. Jeszcze chwila, a odzyskają pełną sprawność.

Sięgnęła do sakiewki przy pasku i wyciągnęła garść naznaczonych runami orzechów, którymi cisnęła w demony. Te zawrzasnęły i poderwały pazurzaste łapy, próbując się ochronić, gdy orzechy eksplodowały szalejącymi płomieniami, siejąc naokoło odłamkami.

Dwa otchłańce umknęły bez obrażeń, ale trzeci, ten w środku, stanął w płomieniach. Kilka uderzeń serca później zmienił się w żywą pochodnię i ciskał konwulsyjnie z dzikim wrzaskiem.

Widząc pobratymca w płomieniach, pozostałe demony rzuciły się do ucieczki. Renna miała teraz wymarzoną okazję do ataku. Skoczyła na bliższego stwora, wbijając nóż we wrażliwe miejsce między trzecim a czwartym zębem. Ostrze dosięgnęło czarnego serca potwora.

Uniknęła jego gwałtownych, konwulsyjnych wymachów pazurzastych łap, przemknęła pod jednym z nich i złapała go za ramię. Runy na jej dłoni zapłonęły gorąco, przepalając jego sękatą skórę. Jej ciało wzmocnił nowy napływ sił i energii. Obróciła się i wbiła nóż jeszcze głębiej, a potem wykorzystała go, by przerzucić ważącego ponad dwieście funtów stwora nad głowę. Wrzasnęła ochryple, jakby sama była demonem, i rzuciła nim w płonącego kompana.

Nóż Harla, nadal tkwiący w ciele demona, powinien się wówczas uwolnić, ale jego jelec ugrzązł między zębami. Krzyknęła, czując, że wyslizguje się z jej palców.

Widząc, że dziewczyna nie ma noża, trzeci demon zaatakował z rykiem i powalił Rennę. Na jej skórze roziskrzyły się runy, ale demon, oszalały z wściekłości i bólu, gryzł i uderzał łapami, aż odnalazł słaby punkt, miejsce, gdzie mógł wbić szpony. Renna wrzasnęła, popłynęła czerwona krew.

Zaszeleściły krzaki. Renna wiedziała, że wkrótce pojawią się kolejne drzewne demony,

które przyciągało światło oraz ruch. Jednak nie będzie to miało znaczenia, jeżeli dziewczyna nie pozbedzie się więżącego ją napastnika.

Demon znów zaryczał, a ona odpowiedziała tym samym i pchnęła go z całej siły. Był to podstawowy cios *sharusahk*, którego z łatwością uniknąłby każdy nowicjusz, ale otchłańce wiedziały o dźwigniach i rzutach tyle, co mówił im instynkt. Desperacko tłukła kolanami w uda demona, by pozbać go równowagi i utrudnić kolejne ataki szponami. Naoglądała się w życiu walk kotów i wiedziała, że gdy ostatecznie znajdzie się nad nią, nic nie będzie w stanie jej ocalić.

Zdołała uwolnić dłoń, pochwyciła swój naszyjnik i zarzuciła demonowi na szyję. Zacisnęła go z całej siły. Szpony demona dalej darły jej ciało, ale wchłonęła ból i zaciskała do chwili, gdy wielki rogaty łeb odpadł z młażnięciem i chlusnęła na nią czarna, parująca jucha.

\* \* \*

Gdy Renna cisnęła orzechy, Naznaczony nieświadomie popuścił cięciwę łuku. Znał run gorącą, który był dość powszechny w Potoku Tibbeta. Jego rodzice często korzystali z niego w zimie – malowali go na ogromnych kamieniach dookoła domu i obory, by wchłaniać i utrzymywać ciepło. Swego czasu próbował naznaczać nim broń i odkrył, że nadaje się tylko na groty strzał. Broń ręczną niszczył lub rozgrzewał do tego stopnia, że parzyła trzymającą ją dłoń. Nawet niewielkie runy gorąca, które wytatuował na swej skórze, potwornie paliły, gdy je aktywował.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, by naznaczać nimi orzechy. Po ledwie paru tygodniach walk pod gwiazdami Renna już wykorzystywała runy na sposoby, które nigdy by mu do głowy nie przyszły.

Widział ów dziki blask w jej oczach, gdy unosiła drzewnego demona, i zastanawiał się, czy sam wyglądał podobnie, gdy po raz pierwszy smakował magii otchłańców. Nie miał powodów, by myśleć, iż było inaczej. Uczucie to uderzało do głowy i dawało złudzenie niewyciężoności.

Renna jednak nie była niezwyciężona, co okazało się w chwilę później, gdy została rozbrojona i przygnieciona przez drzewnego demona. Naznaczony wykrzyknął, a ze strachu zrobiło mu się zimno. Sięgnął po swój wielki łuk. Próbował wycelować, ale Renna i demon szamotali się w desperackim starciu, istniało więc ryzyko, że postrzeli dziewczynę. Rzucił łuk i wypadł ze swej kryjówki.

Tylko po to, by się przekonać, że pomoc nie była potrzebna.

Stał z mocno bijącym sercem i patrzył na Rennę, piękną Rennę, o której słodkich całusach śnił podczas niejednej samotnej nocy pod gwiazdami, teraz zakrwawioną i raną na ścierwie demona.

Odwróciła się ku niemu z wyszczerzonymi zębami, aż w jej oczach błysnęło zrozumienie.



Uśmiechnęła się, poznając go, zupełnie jak kot, który składa martwego szczura u stóp swego pana.

\* \* \*

Renna stoczyła się z trupa i spróbowała wstać, nim dopadną ją kolejne demony. Była zbryzgana własną krwią, choć już czuła, jak jej upływ zaczyna się zmniejszać – dzięki skradzionej magii otchłańców jej rany zaczęły krzepnąć. Niemniej wiedziała, że nie nadaje się do dalszej walki.

Wyszczerzyła zęby, nie chcąc się poddać, lecz gdy uniosła spojrzenie, ujrzała jedynie Arlena. Stał otoczony aureolą blasku niczym serafin Stwórcy. Odziany jedynie w przepaskę biodrową, był piękny, muskularny, z runami pulsującymi wzdłuż ciała. Nie był tak wysoki jak Harl ani zwały niczym Cobie, ale emanował siłą, której tym dwóm brakowało. Uśmiechnęła się do niego, przepelniona dumą ze zwycięstwa. Pokonała trzy drzewne demony!

– Jesteś cała? – w jego głosie pobrzmiwała surowość, nie duma.

– Tak – odparła. – Muszę tylko chwilę odpocząć.

– Usiądź i oddychaj głęboko. Niech magia cię uzdrowi.

Renna posłuchała polecenia, czując, jak głębokie rany na całym ciele zaczynają się powoli zamykać. Niedługo pozostaną po nich zaledwie cienkie blizny, lecz i te szybko znikną. W międzyczasie Arlen podniósł resztki zwęglonego orzecha.

– Sprytne – mruknął.

– Dzięki – odparła Renna. Nawet ów prosty komplement wywołał u niej dreszcz.

– Mimo to zachowałeś się jak idiotka, Ren. Mogłaś podpalić cały las! Nie mówię już o tym, że walka z trzema demonami naraz to głupota, jakich mało.

Renna poczuła się, jakby uderzył ją w żołądek.

– Nie prosiłam ich, by mnie opadły.

– Ale zignorowałaś mnie i samodzielnie wyprawiałaś się na przeklętego skalnego demona – ciągnął Arlen. – No i zostawiłaś swój płaszcz w warowni!

– Płaszcz przeszkadza podczas polowania!

– Gdzieś to mam! Ten ostatni demon prawie cię zabił, Ren. Twoja walka w parterze była beznadziejna. Byle *nie* 'Sharum by cię zmógł!

– To ma jakieś znaczenie? – parsknęła Renna, choć wiedziała, że Arlen ma rację. – Przecież wygrałam.

– Ma! – rzekł Arlen. – Bo któregoś dnia przegrasz. Nawet drzewnemu demonowi może dopisać szczęście lub może mu się udać przełamać twoją obronę, Renna. Gdy magia w tobie pulsuje, czujesz się silna, ale nie jesteś nawet w połowie tak silna jak one. Jeśli o tym zapomnisz lub choć na chwilę przestaniesz żywić do nich należy szacunek, zniszczą cię.

Musisz więc wykorzystać każdą dostępną przewagę, a bycie niewidzialnym dla demonów to ogromna przewaga.

– A więc czemu ty go nie nosisz? – zapytała Renna.

– Bo podarowałem go tobie.

– Gównu tam – splunęła Renna. – Przetrzasałeś swoje juki, jakbyś nie widział go od miesiący. Założę się, że sam też nigdy go nie nosisz.

– Przestańmy rozmawiać o mnie – przeciął dyskusję Arlen. – Jestem w tym o wiele dłużej od ciebie. Upijasz się magią, a to niebezpieczne. Doskonale to wiem.

– Przyganiał kocioł garnkowi! – krzyknęła Renna. – Sam to robisz i jakoś nic ci nie jest!

– Na Otchłań, Renna, kto ci powiedział, że nic mi nie jest! – wrzasnął Arlen. – Na noc, nawet w trakcie naszej rozmowy czuję, jak się zmieniam! Ta moja agresja, pogarda dla ludzi, którzy żyją w świetle dnia, to wszystko sprawka magii! Magii demonów! Odrobina tej magii czyni cię silniejszą. Wchłoniesz jej zbyt dużo i... dziczejesz.

Uniósł dłoń, pokrytą setkami drobnych runów.

– To, co zrobiłem, nie jest naturalne. Nie dość, że wyglądam jak szaleniec, to jeszcze czuję się, jakbym postradał zdrowy rozsądek.

Położył jej dłonie na ramionach i dodał:

– Nie chcę, by to samo przytrafiło się tobie.

Renna ujęła jego twarz w dłonie.

– Dziękuję ci za troskę – powiedziała.

Uśmiechnął się i próbował odwrócić spojrzenie, ale Renna nie cofnęła dłoni i nadal wpatrywała mu się w oczy.

– Dziękuję ci, ale pamiętaj, że nie jesteś ani moim ojcem, ani moim mężem, a nawet gdybyś był którymś z nich, moje ciało nadal należałoby do mnie i zrobiłabym z nim to, co uznałabym za stosowne. Już nie żyję tak, jak inni mi każą. Podążam własną ścieżką.

– Podążasz własną czy weszłaś na moją? – skrzywił się Arlen.

Renna wytrzeszczyła oczy. Z całej siły oparła się ochocie, by skoczyć na niego, kopiąc, drapiąc i gryząc, aż... Pokręciła głową i nabrała głęboko tchu.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Wróć ze mną do warowni – rzekł Arlen.

– Niech szlag trafi twoją cholerną warownię! – wrzasnęła. – Zostaw mnie w spokoju, ty synu Otchłani!

Arlen wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

– Dobrze – powiedział, odwrócił się i odszedł.

Renna zacisnęła mocno szczęki, by nie wybuchnąć płaczem. Zerwała się na równe nogi i wyprostowała pomimo bólu, a potem wyswobodziła nóż ze szerniałych zwłok demona. Broń była nietknięta, choć przed chwilą trawiły ją płomienie, a gdy otarła ostrze, by wsunąć je do pochwy przy biodrze, przekonała się, że nadal nasyczone jest magią.

Stała przez długą chwilę, a w jej sercu zmagaly się dwie przeciwstawne siły. Jedna nakazywała jej pomknąć z wrzaskiem w noc i szukać pomsty na demonach, a druga zastanawiała się, czy Arlen miał rację, grożąc, iż lada chwila pośle ją szlochającą na ziemię.

Zamknęła oczy, wchłaniając zarówno ból, jak i wściekłość. Znów nie mogła się nadziwić, jak szybko się uspokoiła.

Arlen okazał zwykłą nadopiekuńczość. Tyle się nauczyła, a on nadal jej nie ufał.

Wolna od wszelkich uczuć, rozstawiła odpowiednio stopy i rozpoczęła pierwszy *sharukin*, płynnie przechodząc z jednej postawy w drugą, usiłując wpoić je w mięśnie tak głęboko, by przychodziły jej bez namysłu, instynktownie. Pochłonięta rytmem ćwiczeń, analizowała każdy szczegół swych nocnych bitew, wyciągając wnioski i poszukując sposobów na poprawę.

Może i dla innych był niepokonanym Naznaczonym, ale Renna wiedziała, że to tylko Arlen Bales z Potoku Tibbeta, i prędzej pozwoli, by pochłonęła ją Otchłań, niż ustanie w wysiłkach, by nauczyć się wszystkiego, co i on potrafi.

\* \* \*

Niezła robota, pomyślał sarkastycznie Naznaczony. Nie odszedł daleko – usiadł i oparł się plecami o drzewo, po czym zamknął oczy. Jego uszy były w stanie wychwycić szelest gąsienic wędrujących po liściach. Gdyby Renna go potrzebowała, usłyszałby i przyszedł jej z pomocą.

Przeklął swą dziecięcą naiwność, przez którą nie widział Harla takiego, jakim był naprawdę. Kiedy Ilain oddała się jego ojcu, uznał to za niewysłowioną podłość, a tymczasem dziewczyna robiła tylko to, co było potrzebne do przetrwania. Zupełnie tak jak on na krasjańskiej pustyni.

A Renna... gdyby wrócił wraz ze swym ojcem, zamiast uciekać po śmierci matki, zapewne wróciłyby wraz z nimi na gospodarstwo. Uniknęłyby losu, który zgotował jej ojciec, uniknęłyby też kary śmierci. Ich własne dzieci byłyby już gotowe do przyrzeczenia.

Ale odwrócił się wówczas od Renny. Porzucił drogę do szczęścia, w rezultacie czego jej życie zamieniło się w koszmar.

Popęłnił błąd, zabierając ją ze sobą. Był samolubny. Myślał tylko o sobie, skoro skazał ją na los tułaczki tylko po to, by samemu przy niej zachować resztkę zdrowych zmysłów. Renna wybrała zaś jego ścieżkę, ponieważ nie miała nic do stracenia, lecz dla niej nie było jeszcze za późno. Nie mogła powrócić do Potoku, ale gdyby zaprowadził ją do Zakątka Wybawiciela, przekonałaby się, że są jeszcze na tym świecie dobrzy ludzie, ludzie, którzy nadal chcą walczyć i nie poświęcić przy tym wszystkiego tego, co czyni ich ludźmi.

Ale Zakątek, nawet gdyby pojechali w linii prostej, nadal znajdował się w odległości dobrego tygodnia drogi. Tymczasem on musiał ją zabrać do cywilizacji natychmiast, nim

zaadoptowana przez nią dzikość stanie się jedyną znaną jej rzeczywistością.

Rzeczulka leżała w odległości niecałych dwóch dni drogi. Stamtąd mogli udać się do Świerszczowej Ostoi, Angiers i Ostatniej Poręby, by wreszcie dotrzeć do Zakątka. W drodze wykorzystywałby każdą możliwą okazję, by zmusić ją do kontaktów z ludźmi i żyć w świetle dnia. Dość przesypiania poranków i szukania śladów demonów po południu, czym oboje zajmowali się od jakiegoś czasu.

Sam aż się wzdragał na myśl o spędzeniu tyle czasu wśród ludzi, ale nie mógł nic na to poradzić. Renna była ważniejsza. Jeśli ludzie zauważą jego runy i zaczną gadać na ich temat, niech się dzieje, co chce.

\* \* \*

Euchor dotrzymał słowa i przepuszczał uchodźców przez Rzekę Graniczną, niemniej po utracie Rizon, które zaopatrywało wiele krain w ziarno, nadeszły dla wszystkich ciężkie czasy. Po obu stronach rzeki rozrosło się pęczniejące z każdym dniem miasteczko namiotów uciekinierów, otoczone słabymi, niekompletnymi barierami, w którym szerzyły się brud i ubóstwo. Renna marszczyła nos z obrzydzeniem, gdy przejeżdżali między namiotami, a on zaś czuł, że te widoki nie pomogą mu polubić na powrót cywilizacji.

Liczba strażników przy bramach miasteczka również się zwiększyła. Z lekceważeniem spoglądali na nadjeżdżających Naznaczonego i Rennę. Nie należało się temu dziwić. Naznaczony, który był szczelnie odziany od stóp do głów nawet w najgorętsze upały, zawsze przyciągał uwagę, a Renna, ubrana w szokująco kusy strój, z ciałem pomalowanym mazidłem z czarnego korzenia, również nie budziła zaufania.

Niemniej Naznaczony nie spotkał się jeszcze ze strażnikiem w jakimkolwiek znanym sobie mieście, który nie stałby się miły i wylewny na widok złotej monety, a tych miał wiele w swych jukach. Niebawem znaleźli się za murami miasteczka i przywiązali wierzchowce w stajni należącej do popularnej, zatłoczonej gospody. Nadchodził wieczór i mieszkańcy Rzeczułki wracali do domów po ciężkim dniu pracy.

– Nie podoba mi się tu – stwierdziła Renna, przyglądając się mijającym ich tłumom. – Połowa z tych ludzi przymiera głodem, a druga połowa patrzy na nas, jakbyśmy mieli ich obrabować.

– Nie przejmuj się tym – rzekł Naznaczony. – Potrzebuję informacji, a te ciężko zdobyć w głuszy. Przyzwyczaj się na chwilę do miasta.

Renna nie wydawała się zadowolona z odpowiedzi, ale skinęła głową w milczeniu.

Główna izba gospody była zatłoczona o tej porze dnia, ale większość gości skupiała się przy barze i Naznaczonemu udało się dostrzec niewielki pusty stolik z tyłu. Usiedli tam z Renną, a po chwili podeszła do nich dziewczyna służebna. Była młoda i ładna, choć w jej oczach widać było smutek i zmęczenie. Miała na sobie stosunkowo czystą, lecz znoszoną

suknię, a jej cera i kształt twarzy zdradziły mu natychmiast, iż pochodziła z Fortu Rizon. Być może była jedną z pierwszych uciekinierek, której powiodło się na tyle, że znalazła pracę.

Stolik obok nich zajmowała grupa mężczyzn o ochrypłych głosach.

– Hej, Milly, jeszcze jedną kolejkę! – zawołał jeden z nich i klepnął dziewczynę w siedzenie, aż się poniosło. Ta aż podskoczyła i zamknęła oczy, po czym zacisnęła powieki, nabrała tchu i stając do nich bokiem, rzuciła z udawanym uśmiechem:

– Się robi, chłopaki!

Jej uśmiech znikł, gdy wróciła do Arlena i Renny.

– Co dla was?

– Dwa piwa i obiad – powiedział Naznaczony. – I pokój, jeśli wam co zostało.

– Jest jeden, ale przy takiej liczbie ludzi, którzy wędrują przez miasteczko, cena poszła w górę – oznajmiła dziewczyna.

Naznaczony położył na stole złotą monetę. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, przypuszczalnie nigdy dotąd nie widziała złota.

– To powinno wystarczyć za posiłek i piwo. Zatrzymaj resztę. Z kim mam rozmawiać w sprawie pokoju?

Dziewczyna porwała monetę, nim ktokolwiek zdołał ją zauważyć.

– Porozmawiajcie z Michem, jest właścicielem – rzekła, wskazując sporego mężczyznę ubranego w koszulę z podwiniętymi rękawami i biały fartuch. Stał za barem i spocony nalewał piwa, z trudem nadążając z zamówieniami. Naznaczony odwrócił się, by mu się przyjrzeć, i kątem oka dostrzegł, jak dziewczyna wrzuca monetę do kieszeni z przodu sukni.

– Dziękuję – powiedział.

– Zaraz podam wasze piwa, Opiekunie – rzuciła dziewczyna i odbiegła.

– Zostań tu i zajmij się sobą, a ja zdobędę dla nas pokój – powiedział Arlen Rennie. – To nie potrwa długo.

Renna kiwnęła głową, więc wstał i wmieszał się w tłum ludzi, którzy chcieli jeszcze wychylić po kufelku, nim pospieszą do domu, by spędzić noc za własną barierą. Musiał zaczekać dłuższą chwilę, nim gospodarz zwrócił na niego uwagę, ale starczyło, by błysnął kolejną monetą, a ten natychmiast pospieszył do niego.

Mich robił wrażenie człowieka, który kiedyś był potężnym, zwalistym mężczyzną, lecz roztył się z czasem. Nadal miał tyle krzepy, iż był w stanie wyrzucić awanturującego się gościa, ale sukces finansowy i upływający czas bezlitośnie obrabowały go z wigoru wieku młodzieńczego.

– Potrzeba mi pokoju – rzekł Naznaczony, wsuwając mu monetę w dłoń. Potem wyciągnął kolejną i mignął mu nią przed oczami. – Potrzeba mi też wieści z Południa. Przybywam z Potoku Tibbeta.

Mich pokiwał głową, lecz zmrużył oczy.

– Trudno o lepsze miejsce dla kogoś, kto szuka wieści – oznajmił, pochylając się lekko,

by wejrzeć pod kaptur Naznaczonego. Ten zrobił krok w tył i karczmarz natychmiast się cofnął, zerkając nerwowo na monetę, jakby się bał, że zaraz zniknie.

– O niczym innym ostatnio się nie gada, Opiekunie – rzekł Mich. – Tym bardziej że ostatnio pustynne szczury porwały Zielarkę z Zakątka, by oddać ją swojemu przywódcy za żonę.

– Jardir – warknął Naznaczony, zaciskając pięść. Powinien był zakraść się do krasjańskiego obozu i zabić go, z chwilą gdy przebyli pustynię. Niegdyś miał Jardira za człowieka honoru, lecz teraz wiedział, że honor to jedynie fasada, która kryła jego żądze władzy.

– Gadają też, że przybył tam, by zabić Naznaczonego, ale Wybawiciel w porę znikł – mówił dalej Mich.

W sercu Naznaczonego szalała wściekłość. Jeśli Jardir skrzywdził Leeszę, jeśli chociaż ją tknął, Arlen zabije go i przepędzi pustynną armię.

– Wszystko w porządku, Opiekunie? – zapytał Mich. Naznaczony rzucił mu monetę, którą zgniótł w dłoni, i odwrócił się, nie pytając o klucz do pokoju. Musiał bezzwłocznie powrócić do Zakątka.

Potem jednak usłyszał krzyk Renny. I krzyk bólu.

\* \* \*

Gdy weszli do tawerny, Renna nabrała głęboko tchu. Nigdy dotąd nie była w pomieszczeniu, w którym panowałyby taka ciżba. Ogłuszający zgiełk, gorąco i duszno, a powietrze cuchnie potem i fajkowym dymem. Czują, jak jej serce bije coraz szybciej, ale zerknęła na Arlena, który trzymał się prosto i kroczył pewnie, i przypomniała sobie, kim on jest. Przypomniała sobie, kim są oboje. Wyprostowała się jak i on, z chłodną obojętnością odpowiadając na spojrzenia gapiów.

Na jej widok kilku mężczyzn zareagowało głośnymi gwizdami i wiwatami, ale zgasła ich entuzjazm złowrogim, zimnym wzrokiem. Mimo to gdy przeciskali się przez tłum, poczuła dłoń na pośladku. Obróciła się na pięcie, kurczowo ściskając rękojeść miecza, ale nie dopatrzyła się winowajcy – mógł być to każdy z tuzina otaczających ją mężczyzn, którzy zresztą umyślnie ją ignorowali. Zacisnęła zęby i pospieszyła za Arlenem, słysząc śmiech za plecami.

Gdy mężczyzna siedzący przy stole nieopodal klepnął barmankę w siedzenie, poczuła, że wzbiera w niej wściekłość, jakiej nie czuła nigdy dotąd. Arlen udawał, że niczego nie dostrzega, ale dobrze wiedziała, że jest inaczej. Podobnie jak i ona sama, najprawdopodobniej zmagął się z ochotą złamania mężczyźni ręki.

Ledwie Arlen wstał, by pomówić z karczmarzem, mężczyzna natychmiast odwrócił się ku niej.

– Już myślałem, że Opiekun nigdy sobie nie pójdzie – powiedział z uśmiechem. Był wysokim Milneńczykiem o szerokich barach, z żółtą brodą i długimi złocistymi włosami. Jego kompani pożerali wzrokiem ciało Renny.

– Opiekun? – zapytała ze zdumieniem.

– Twoja przyzwoitka w ciemnej szacie – rzekł mężczyzna. – Patrząc sobie na was i myśląc, że tak ładna dziewczyna w istocie potrzebowałaby Świętego Męża jako towarzysza podróży, bo nikt inny nie utrzymałby łap przy sobie.

Sięgnął pod stołem i oparł swą ogromną dłoń na jej odsłoniętym udzie. Ścisnął, a Renna zeszywniała, zdumiona jego śmiałością.

– Tak sobie też myślę, że nadajesz się dla całej naszej trójki – ciągnął mężczyzna ochryłym głosem. – Pewnie też aż się mokra zrobiłaś na samą myśl, co?

Jego dłoń wsunęła się pod jej suknię.

Renna miała już dosyć. Złapała go za kciuk lewą ręką, a kłykciami prawej uderzyła w czuły punkt między kciukiem a palcem wskazującym. Uścisk napastnika natychmiast zelżał i aż jęknął z bólu, gdy Renna wykorzystała chwyt *sharusahk*, wygięła jego nadgarstek i grzmotnęła nim o stół.

A potem rozchlastała go nożem.

Milneńczyk wybałuszył oczy i czas zatrzymał się na moment. Wraz ze swymi kompanami wpatrywał się w oszołomieniu w ranę. Gdy nagle trysnęła krew, zaczął głośno wrzeszczeć, a jego towarzysze zerwali się na równe nogi, przewracając krzesła.

Renna była już gotowa. Kopnęła wrzeszczącego tak, że wpadł na kompanów, i wskoczyła na stół, gdzie przykucnęła na szeroko rozstawionych stopach. Nóż, trzymany ostrzem w dół, przywarł do jej przedramienia, niewidoczny dla większości gapiów, ale nadal gotowy do użycia.

– Renna? – zawołał Arlen, chwytając ją i ściągając ze stołu, nie zwróciwszy uwagi na jej gwałtowny opór.

– Co tu się wyrabia! – wrzasnął Mich, przebijając się przez tłum z tęgą palą w garści.

– Ta wiedźma odrąbała mi rękę! – krzyczał jasnowłosy Milneńczyk.

– Masz szczęście, że nie odrąbałam ci czegoś więcej! – warknęła Renna znad ramienia Arlena. – Nie miałeś prawa mnie tam dotykać! Nie jestem ci przyrzeczona!

Karczmarz już chciał na nią naskoczyć, lecz wtedy jego wzrok padł na Arlena i aż wybałuszył oczy. W trakcie zmagania z Renną kaptur osunął się do tyłu, ukazując wytatuowane oblicze.

– To Naznaczony! – szepnął, a miano to poniosło się po tłumie.

– Wybawiciel! – wykrzyknął ktoś inny.

– Pora się stąd wynosić – mruknął Arlen i złapał dziewczynę za ramię. Ciągnąc ją za sobą, ruszył przez tłum, odtrącając każdego, kto nie umknął z jego drogi. Naciągnął kaptur, lecz mimo to w ślad za nim z gospody wypadł spory tłum ludzi.

Przyspieszył kroku i zawlókł Rennę do stajni, gdzie rzucił kolejną złotą monetę i pobiegł po Nocnego Tancerza.

W chwilę później wypadli ze stajni i przemknęli przez miasteczko. Strażnicy przy bramie zakrzyknęli coś w ślad za nimi, a od gospody nadciągał biegiem tłum ludzi, ale zapadł zmrok i nikt się nie odważył za nimi wybiec.

\* \* \*

– Na Otchłań, Ren, nie można tak po prostu odrzynać ludziom rąk! – krzyczał Arlen, gdy zatrzymali się na nocleg w pobliżu miasteczka.

– Zasłużył sobie na to – rzekła Renna. – Żaden mężczyzna nie dotknie mnie wbrew mojej woli.

Arlen skrzywił się, ale nie odpowiedział.

– Następnym razem złam takiemu kciuk – rzekł w końcu. – Zrób to, a nikt nie spojrzy na ciebie po raz drugi. Tymczasem po tym, co tam wyprawiałaś, długo nie będzie mowy o powrocie do Rzeczułki.

– I tak mi się tam nie podobało – odparła Renna i rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć noc. – To jest moje miejsce. Tu należymy.

Arlen jednak pokręcił głową.

– Ja należę do Zakątka Wybawiciela, a z tego, co karczmarz zdążył mi wyjawić przed twoim idiotycznym wybrykiem, powinniśmy dotrzeć tam możliwie najszybciej.

– To jedźmy – wzruszyła ramionami Renna.

– A niby jak mamy tego dokonać, skoro właśnie uniemożliwiłaś nam przedostanie się przez jedyny ocalały most w Thesie? – wykrzyknął Arlen. – Rzeka Graniczna jest zbyt głęboka i szeroka, by Tancerz zdołał ją przepłynąć.

Renna wbiła spojrzenie w stopy.

– Przepraszam. Nie wiedziałam.

– Co się stało, to już się nie odstanie, Ren – westchnął Arlen. – Coś wymyślimy, ale ty musisz zacząć inaczej się ubierać w miastach. Podczas nocnych walk dobrze jest odsłonić swoje runy, ale zbyt wiele golizny w świetle dziennym może podsuwać mężczyznom niezdrowe pomysły.

– Każdemu za wyjątkiem ciebie, coś mi się zdaje – mruknęła Renna.

– Oni widzą tylko twoje uda i dekolt – rzekł Arlen. – A ja widzę pijaną krewią dziewczynę, która myśli bardziej swoim nożem niż umysłem.

Renna otworzyła szeroko oczy.

– Ty synu Otchłani! – wrzasnęła i rzuciła się na niego, ściskając nóż w rękę. Arlen bez wysiłku zszedł z linii ataku, pochwycił ją za nadgarstek i rozbroił. Następnie wparł dłoń w jej łokieć i wykorzystał jej własną siłę, by przewrócić ją na plecy.



Usiłowała powstać, ale przygniótł ją, unieruchamiając nadgarstki. Spróbowała wbić kolano między jego nogi, ale przewidział i to, blokując jej uda kolanami. Moc płynąca z runów jak zwykle rozwiała się w blasku dnia, przez co nie była w stanie zrzucić go z siebie. Wrzeszczała i rzucała się dziko.

– Zrozum mnie wreszcie! – warknął. – Daj sobie z tym spokój!

– Nie tego właśnie pragnąłeś? – wrzeszczała Renna. – Nie pragnąłeś kogoś, kto nie będzie cię spowalniał? Kogoś, kto nie będzie się bał nocy?

Szarpała się, ale jego ramiona były jak ze stali. Ich twarze dzieliły ledwie cale.

– Ja niczego nie pragnąłem! – rzucił Arlen. – Jedynym, na czym mi zależało, było wyrwanie cię z tego bajzlu! Nie chciałem, żebyś... Żebyś mnie polubiła.

Renna przestała się szamotać.

– Do niczego mnie nie zmusiłeś. Sprawileś tylko, że spojrzałam na ciebie krytycznie. Jeśli chodzi o resztę, robiłam tylko to, co sama chciałam. Jeśli porzucisz mnie jutro, ja i tak będę malować runy na swojej twarzy. Teraz gdy posmakowałam wolności, nigdy nie wrócę do więzienia.

Poczuła, jak jego uścisk słabnie. Gdyby chciała, mogłaby uwolnić ręce, ale w oczach Arlena dostrzegła coś nowego, iskrę zrozumienia, której nie widziała nigdy wcześniej.

– Wspominałam tę noc, kiedy jako dzieciaki bawiliśmy się w buziaki na strychu – powiedziała. – Uznałam, że to symbol przyrzeczenia, i czułam go na ustach przez wiele lat później, gdy czekałam na twój powrót. Zawsze wierzyłam w to, że kiedyś wrócisz. Nie całowałam się z nikim, aż poznałam Cobiego Fishera, a wtedy robiłam to tylko dlatego, by nie być z ojcem. Ledwie się znaliśmy.

– Ja też ledwie cię znałem, gdy byliśmy dziećmi – rzekł Arlen.

Pokiwała głową.

– Ja też nie wiedziałam, co oznacza przyrzeczenie. Nie wiedziałam, że to, co robią Lainie i ojciec, to coś złego. Nie rozumiałam wielu rzeczy, które teraz rozumiem doskonale.

W jej oczach wezbrały łzy. Zamknęła powieki i pierwsze z nich popłynęły po jej policzkach.

– Zobaczyłam, kim jesteś i jak żyjesz. Nie mam żadnych złudzeń. Ale nadal mogłabym być twoją żoną. Jeśli mnie zechcesz, jestem twoja.

Przyglądał jej się bez słowa, ale zdradziły go oczy. Pochylił się jeszcze bardziej. Jego nos musnął jej, a Renna poczuła dreszcz.

– Czasem dalej czuję ten pocałunek – szepnęła, zamykając oczy i rozchylając usta. Przez chwilę była pewna, że Arlen ją pocałuje, lecz niespodziewanie puścił jej ramiona i odcoczył się na bok. Zdumiona otworzyła oczy i ujrzała, jak mężczyzna wstaje i odchodzi.

– Wiesz o wiele mniej, niż ci się wydaje, Ren – rzekł.

Renna chciała wrzasnąć z frustracji, lecz powstrzymał ją smutek w jego głosie. Odetchnęła głęboko i uklękła.

– Stwórcu, już rozumiem. Ty już jesteś żonaty! – szepnęła. Naraz poczuła się, jakby się dusiła.

Ale Arlen wybuchnął śmiechem. Nie był to krótki, ochrypły śmiech, jakim kwituje się dowcipy, ani też przeciągły, okrutny śmiech, który ma sprawić przykrość, ale głęboki śmiech z całego serca. Śmiał się do rozpuku, coraz głośniejszy i potężniejszy, aż musiał się oprzeć o Nocnego Tancerza, by nie stracić równowagi. Naraz sama poczuła, jak jego śmiech przepędza jej strach. Coś w niej pękło i nagle uświadomiła sobie, że śmieje się wraz z nim, trzyma się za boki i wymachuje nogami. Ich niepowstrzymana, spontaniczna wesołość trwała dłuższą chwilę, ostatecznie rozpraszając resztki napięcia między nimi. W końcu uspokoili się, śmiech przeszedł w sporadyczne chichoty, aż wreszcie zapadła cisza.

Renna zerwała się na równe nogi i położyła dłoń na ramieniu Arlena.

– Jeśli jest coś, czego nie wiem, powiedz mi.

Arlen skinął głową i znów odsunął się od niej. Odszedł na kilka kroków, patrząc w ziemię.

– Tu – powiedział po chwili, kopiąc mech. – Tu znajduje się przejście do Otchłani.

Podeszła i przyjrzała się bacznie. Jej okolone runami oczy dostrzegły kłęby opalizującej mgły unoszące się nad wskazanym przez niego miejscem niczym dym nad kominem.

– Czuję ją – rzekł Arlen. – Czuję, jak ciągnie się do samej Otchłani. Wzywa mnie, Ren. Wzywa mnie niczym matka na obiad, ciągnie mnie, a ja chciałem...

Naraz zaczął się rozpląwać, jakby był duchem lub... Lub otchłańcem.

– Nie! – Renna chciała złapać go za ramię, lecz jej dłoń przeszła na wylot. – Odrzuć to! Odpędź z powrotem do tej cholernej studni!

Arlen zmaterializował się po chwili i Renna odetchnęła z ulgą, choć w jej oczach nadal widać było smutek.

– To nie przez tatuaże nie mogę prowadzić normalnego życia, Ren. Do tego prowadzi wchłonięcie zbyt wielkiej ilości magii. Jestem bardziej demonem niż człowiekiem i przysięgam ci, co rano zastanawiam się, czy to ten dzień, kiedy słońce wreszcie spali mnie na dobre.

Renna potrząsnęła głową.

– Nie jesteś demonem. Demon nie martwiłby się o Zakątek Wybawiciela czy o Potok Tibbeta. Demon nie przejmowałby się tym, czy jakaś znana mu dziewczyna zostanie spalona, czy nie. Nie odłożyłby swojego życia na całe miesiące, by próbować jej pomóc.

– Może – rzekł Arlen. – Ale tylko demon mógłby poprosić tę dziewczynę, by stała się kimś takim jak on sam.

– O nic mnie nie prosiłeś – rzekła Renna. – Sama dokonuję wyborów za siebie.

– A więc nie spiesz się i dokonuj ich ostrożnie – rzekł Arlen. – Bo skoro już dokonasz, nie będziesz mogła ich cofnąć.

## Cudowna bitwa

333 ROK PLAGI, LATO

Rojer powiedział wszystkim, że ćwiczy grę na skrzypcach przy szerokich schodach posiadłości, a nie we własnym skrzydle, ponieważ odpowiadała mu akustyka w tym konkretnym miejscu – echo niesło się po całym budynku. Do pewnego stopnia była to prawda, lecz w rzeczywistości chodziło o dobry widok na drzwi prowadzące do komnat Amanvah i Sikvah. Przez trzy dni Minstrel nie widział ani jednej, ani drugiej.

Nie miał pojęcia, dlaczego się o nie martwi. Co mu strzeliło do głowy, by wstawić się za Sikvah, gdy pojawiła się idealna sposobność, by oddalić je obie. Dlaczego pozwolił im zostać, po tym jak próbowały zabić Leeshę? Czy na poważnie liczył się z tym, że zostanie zięciem tego pustynnego demona? Zawsze przerażała go myśl o małżeństwie. Przecież wielokrotnie uciekał z wiosek, by nie narzucono nań tej pętli.

„Małżeństwo to śmierć dla profesjonalisty – powiadał Arrick. – Kobiety zawsze aż się rwą, by wepchnąć się do łóżka Minstrela, więc musimy sprawiać im przyjemność. Niemniej po przyrzeczeniu trzeba zapomnieć o sprawach, które z początku przyciągały do ciebie kobiety. One nie chcą, byś dalej podróżował. Nie chcą, byś występował co noc lub o dziwnych godzinach. Potem zaczynają się domagać, byś wyjaśnił, dlaczego wybrałeś najładniejszą dziewczynę do pokazu z nożami. Nim się obejrzysz, będziesz harował jako przeklęty stolarz i będziesz się cieszył, że możesz zaśpiewać na święta. Wskakuj do łóżka każdej kobiety, która ci się spodoba, ale zawsze trzymaj pod nim spakowany tobołek, na wypadek gdybyś usłyszał słowo „przyrzeczenie”.

Tymczasem bez namysłu stanął w obronie Sikvah, a co więcej, wciąż słyszał w głowie wspaniałą harmonię dziewczęcych głosów. Aż się palił, by do niej przyłączyć, a gdy wspomniał ich szaty osuwające się na podłogę, budził się w nim inny ogień, którego nie

odczuwał na widok żadnej innej kobiety od momentu poznania Leeshy.

Leesha jednak go odrzuciła, a Arrick umarł pijany, opuszczony przez przyjaciół.

Kobiety Abbana przychodziły raz na jakiś czas, by przynieść jedzenie i zabrać baseny, ale drzwi do komnaty dziewcząt jedynie się uchylały i zawsze zatrząskiwaly, nim zdążył chociaż zajrzeć do środka.

\* \* \*

Tej nocy podczas *alagai'sharak* Rojer nie spuszczał nerwowego spojrzenia z Jardira. Kaval rozkazał Garedowi i Wondzie chwycić za włócznie oraz tarcze i stanąć w szeregu z *dal'Sharum*, ale doskonale się sprawdzili. Gared był może zbyt niezdarny, by wyróżnić się w *sharusahk*, ale świetnie nadawał się do walki w ścisku. W całym szeregu nie było wojownika silniejszego od niego, nikt też dalej nie sięgał włócznią.

Niemniej w trakcie bitwy, gdy wraz z Leeshą, Jardirem i zastępem Włóźni Wybawiciela podążali za formacją, Rojer boleśnie odczuwał brak Rębacza, choć muzyka odpędzała demony. Wiedział bowiem, że prędzej czy później Jardir zapyta o jego zamiary wobec córki i siostrzenicy, a jeśli wojownik nie usłyszy satysfakcjonującej odpowiedzi, dojdzie do rozlewu krwi. Krwi Minstrela.

Na razie jednak Jardir nie spuszczał oczu z Leeshy, niczym człowiek naprawdę zakochany. Oczywiście Rojer bynajmniej nie czuł się z tego powodu swobodniej, zwłaszcza gdy przyłapał Leeshę na podobnych spojrzeniach. Nie był głupcem. Dobrze wiedział, co to oznacza.

Odetchnął z ulgą, gdy ich oddział zakończył czystkę i pozwolono wojownikom powrócić do miasta. Był wyczerpany do cna, palce zeszywniały mu od gry, a każdy mięsień w jego ciele płonął żywym ogniem. Był zlany potem i pokryty warstwą tłustej sadzy z płonących demonów.

Gared i Wonda, przepojeni demoniczną magią, wyglądali, jakby właśnie z łóżek wyskoczyli, a nie do nich zmierzali, co bynajmniej nie poprawiło mu nastroju. Rojer nigdy nie posmakował tej magii. Po tym jak ujrzał Naznaczonego rozpływającego się w powietrzu i usłyszał rozmowę o wnikaniu do Otchłani, przeraził się nie na żarty. Powziął w duchu postanowienie, iż lepiej trzymać demony na odległość muzyką lub razić je z dala nożami.

Po roku w Zakątku Wybawiciela wiedział jednak, że magia wywiera oczywiste działanie na wszystkich tych, którzy regularnie uczestniczyli w potyczkach z demonami. Stawali się silniejsi. Szybsi. Nigdy nie chorowali, nigdy się nie męczyli. Młodzi szybciej dojrzewali, starsi starzeli się wolniej, lub na odwrót. Rojer zaś czuł się, jakby miał zaraz paść trupem.

Dowlókl się do sypialni, marząc tylko o zapadnięciu w błogą nieświadomość na parę godzin, lecz ujrzał, że w komnacie płoną krasjańskie lampki oliwne, napełniając ją słodkim zapachem. Zdziwiło go to, bo zdmuchnął je, wychodząc. Na stoliku odkrył dzbanek z zimną

wodą oraz jeszcze ciepły bochenek chleba.

– Kazałam Sikvah przygotować ci również kąpiel – odezwał się jakiś głos za jego plecami. Krzyknął z przestachu i odwrócił się z nożem w każdej dłoni, ale ujrzał tylko Amanvah. Dalej dostrzegł Sikvah klęczącą przy wielkiej, parującej wannie.

– Co wy robicie w moim pokoju? – zapytał. Chciał schować noże, lecz dłonie go nie słuchały.

Amanvah uklękła płynnie i dotknęła czołem podłogi.

– Wybacz nam, narzeczony. Ostatnio byłam... Byłam niedysponowana, a Sikvah całkiem pochłonęła opieka nade mną. Serce mnie boli na myśl, że nie byliśmy w stanie ci usługiwać.

– Przecież... Przecież nic się nie stało. – Rojer wreszcie schował noże. – Niczego nie potrzebuję.

Amanvah wciągnęła powietrze.

– Wybacz nam, narzeczony, ale potrzebujesz kąpieli, i to zaraz. Jutro zaczyna się Nów i musisz być przygotowany.

– Nów?

– To czas, gdy księżyc znika – wyjaśniła Amanvah. – Mówi się, że księżę demonów, Alagai Ka, chodzi wówczas po ziemi. Każdy człowiek musi godnie przeżyć dni Nowiu, by z odwagą czekać na najciemniejszą noc.

Rojer zamrugął.

– Piękne. Ktoś musiałby ułożyć o tym pieśń – stwierdził, już układając w głowie melodię.

– Wybacz, narzeczony, ale takich pieśni jest już wiele. Czy chcesz, byśmy ci zaśpiewały podczas kąpieli?

Rojer nagle ujrzał oczyma duszy, jak nagie Krasjanki topią go w kąpieli, nie przestając śpiewać.

– Mój mistrz nauczył mnie, iż należy się strzec rzeczy, które są zbyt piękne, by były prawdziwe.

– Nie rozumiem. – Amanvah przekrzywiła głowę.

Rojer przełknął ślinę.

– Może po prostu sam się wykąpię.

Dziewczęta zachichotały.

– Przecież sam już widziałeś nas bez szat – rzekła Sikvah. – Obawiasz się tego, co my możemy ujrzeć?

– Nie, ja tylko... – zarumienił się Rojer.

– ...nie ufam wam – dokończyła zaś Amanvah.

– A czy jest jakiś powód, dla którego powinienem wam zaufać? – parsknął Rojer. – Udajecie niewiniątka, które nie znają ani słowa po thesańsku, a potem próbujecie otruć Leeshę, po czym okazuje się, że rozumiecie każde powiedziane przez nas słowo. A skąd mam wiedzieć, że w tej wannie nie ma czarnoliścia?

Obie znów przytknęły czoła do podłogi.

– Jeśli takie masz przecucia, tedy zabij nas, narzeczony – rzekła Amanvah.

– Co takiego? Nie mam zamiaru nikogo zabijać.

– Niemniej takie masz prawo, a my nie zasługujemy na nic więcej, po tym jak zdradziłyśmy. Jeśli nas odeślesz, czeka nas zresztą ten sam los.

– Zabiją was? – zdumiał się Rojer. – Kobiety z rodu Wybawiciela?

– Czekają nas śmierć z ręki Damajah za to, że nie udało nam się otruć pani Leeshy, albo z ręki Shar'Dama Ka za samą próbę. Twoje komnaty to jedyne miejsce, gdzie jesteśmy bezpieczne.

– To fakt, jesteście tu bezpieczne, co nie oznacza, że musicie mnie kapać.

– Ja i moja kuzynka nie chciałyśmy cię urazić, synu Jessuma – rzekła Amanvah. – Jeśli nie chcesz nas za żony, udamy się do naszego ojca i wszystko wyznamy.

– Nie wiem... Nie wiem, czy mogę się na to zgodzić – odparł Rojer.

– Nie musisz się tej nocy na nic godzić – rzekła Sikvah – poza pieśnią o Nowiu i kąpielą.

Obie Krasjanki opuściły jednocześnie głowy i zaczęły śpiewać tymi samymi pięknymi głosami, które tak dobrze zapamiętał. Nie rozumiał słów, ale ponura, przerażająca melodia dobrze odmalowała siłą potrzebną podczas najciemniejszych nocy. Potem obie powstały i łagodnie przywiodły go do wanny, przed którą zdjęły jego ubranie. Wkrótce siedział nagi w parującej wodzie, czując, jak jej cudowne ciepło wypędza ból z jego mięśni. Dziewczęta nie przestawały śpiewać, a ich muzyka otaczała Minstrela i hipnotyzowała. Czuł się oczarowany niczym demon, który słyszał skrzypce.

Sikvah potrząsnęła ramionami i jej czarna szata spłynęła na podłogę. Rojer rozdziawił usta, gdy ujrzał, jak odwraca się, by odpiąć ubranie Amanvah.

– Co wy wyprawiacie? – zapytał, gdy Sikvah weszła do wanny i usiadła przed nim. Amanvah znalazła się za nim.

– Kąpiemy cię, rzecz jasna – rzekła Amanvah i podjęła pieśń, nabierając gorącej wody i polewając jego głowę. Sikvah ujęła szczotkę i kawałek mydła.

Szorowała go stanowczymi, oszczędnymi ruchami. Ścierała zeń brud i zakrzepłą krew, masując jednocześnie jego obolałe mięśnie, lecz Rojer ledwie zwrócił na to uwagę. Siedział z zamkniętymi oczami, upojony ich śpiewem i dotykiem na jego skórze. Ocknął się, dopiero gdy dłoń Sikvah zanurzyła się pod wodę. Aż podskoczył.

– Ciii – szepnęła Amanvah, a jej miękkie usta musnęły jego ucho. – Sikvah wie już, jak należy postępować z mężczyznami, i ma doświadczenie w tańcach na poduszkach. Pozwól, byśmy stały się twoim darem na Nów.

Rojer nie wiedział dokładnie, co oznacza pojęcie „taniec na poduszkach”, ale mógł sobie wyobrazić. Sikvah dotknęła ustami jego ust i aż westchnął, gdy przesunęła się na jego kolana.

Leesha nie zdawała sobie sprawy, że sypialnia Rojera znajduje się dokładnie nad jej komnatą, dopóki nie usłyszała krzyków Sikvah. Z początku myślała, że dziewczynę dopadły jakieś bóle, i już usiadła gotowa założyć swój fartuch, gdy zdała sobie sprawę z natury owych odgłosów.

Usiłowała zasnąć ponownie, ale ani Rojer, ani dziewczyna bynajmniej nie mieli zamiaru się uciszyć. Przycisnęła sobie poduszkę do głowy, ale odgłosy ich miłosnej gry nadal do niej docierały.

Nie była zdziwiona tym, że się kochają. Dziwiło ją tylko to, że trwało to tak długo, nim Krasjanki się do tego zabrały. Dzięki temu, że Inevera nakłoniła ją do sprawdzenia dziewictwa Sikvah, Leesha wiedziała od początku, że coś planują. Zdobycie serca Rojera było przecież błahostką, wystarczyło zagrać na jego uczuciach i skusić go, by przyjął obie dziewczęta jako narzeczone. Przecież był tylko mężczyzną.

Leesha parsknęła, wiedząc, że to tylko jeden wątek intrygi. Ona również została ograna przez Ineverę.

Mimo że Zielarka nie akceptowała ślubów z wieloma kobietami, miała nadzieję, że Rojer wpłynie na dziewczęta, a pełniąc męzowskie obowiązki, wyorośnie i dojrzeje. O ile oczywiście tego właśnie chce...

Ale nawet jeśli tego chce, ja nie muszę tego słuchać, pomyślała, po czym wstała z łóżka, wyszła na korytarz i udała się do jednej z wielu pustych sypialni na swym piętrze. Z wdzięcznością opadła na pościele. Sądziła, że natychmiast odpłynie w krainę snu, lecz pośród jej myśli nadal rozbrzmiewały odgłosy zasłyszane z sypialni Rojera, budząc niepożądane wyobrażenia. Widziała Jardira bez koszuli, widziała jego mięśnie pokryte rzędami runów. Była ciekawa, czy dotknąwszy ich, poczuje mrowienie w palcach jak wtedy, gdy dotykała Arlena.

Gdy w końcu ogarnął ją sen, zewsząd napłynęły wizje pełne pasji. Czowała w nich ciepło bijące od ogniska, gdy całowała się z Garedem na podłodze w izbie ich rodziców. Widziała wilcze oczy Maricka. Czowała gorące pocałunki i pieszczoty Arlena.

Lecz przecież Gared i Marick ją zdradzili, a Arlen odtrącił. Niespodziewanie sen zamienił się w koszmar, wyrazisty jak nigdy. Znow widziała siebie na szlaku w owo straszliwe popołudnie, znow widziała trzech mężczyzn przygniatających ją do ziemi, słyszała ich szyderstwa i żarty, czuła, jak ciągną ją za włosy, ponownie przeżywała to, co jej zrobili. Wspomnienia, o których starała się zapomnieć, powróciły i wiedziała, że są prawdą, okrutną prawdą. Przeżywała tę scenę raz za razem, a przez cały ten czas widziała szyderczy uśmiech Inevery, którym obdarzyła ją podczas chłosty.

Zbudziła się z mocno bijącym sercem. Odruchowo chciała złapać za jakąś broń, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest sama. Jej strach umknął, zastąpiony wściekłością.

Wtedy na drodze ci ludzie zabrali mi coś, pomyślała. Ale prędzej mnie szlag trafi, niż

pozwolę, by stało się to ponownie.

\* \* \*

Umalowana i upudrowana, Leesha przymierzała kolejną, bodaj setną suknię, uważając, by nie zepsuć starannie upiętej fryzury.

Jardir przysłał dziś rano gońca z wieścią, iż po południu zamierza złożyć jej wizytę i przeczytać kolejne ustępy z Evejah, ale nikt nie miał złudzeń co do jego prawdziwych intencji.

Pierwsza Żona Abbana, Shamavah, przyniosła całe tuziny sukni do przymierzenia, uszytych z jedwabiu delikatniejszego od skóry niemowlęcia, barwnych, nierzadko lubieżnie wyciętych. Wraz z Eloną stroiły Leeszę niczym lalkę, zmuszały, by paradowała przed szeregiem luster, i wyklócały się, które wycięcia najlepiej podkreślają sylwetkę. Wonda przyglądała im się z rozbawieniem, przypuszczalnie uznając to za osobliwą zemstę za podobne potraktowanie przez krawcową księżnej Araine.

– No, to już przesada, nawet wedle moich standardów – oznajmiła Elona przy kolejnej sukni.

– Masz na myśli to, że jest zbyt rozwiązła? – zapytała Leesha. Suknia była praktycznie przejrzysta, podobna do tych, które nosiła Inevera. W tej sukni potrzebowałyby któregoś z grubych szali Bruny, by poczuć się choć trochę przyzwoicie.

– Nie chcesz przecież pokazać mu wszystkiego – zgodziła się Elona. – Chce zobaczyć więcej, to niech sobie na to zapracuje.

Wybrała jej bardziej matową szatę, lecz jedwabną i na tyle obcisłą, by Leesha poczuła się w niej całkiem naga. Przeszył ją dreszcz i zrozumiała, dlaczego taka moda nie była tak popularna na Północy jak na pustyniach.

– Nonsens – rzekła Shamavah. – Pani Leesha mogłaby rywalizować pięknem swojego ciała nawet z Damajah. Niech więc Shar'Dama Ka ujrzy to, czego mieć nie może do chwili podpisania kontraktu.

Pokazała przy tych słowach suknię tak skąpą i przejrzystą, że Leesha zadała sobie w myślach pytanie, czy nie lepiej byłoby, gdyby przyszła nago.

– Dość – warknęła, wyrwała Elonie z rąk trzymaną przez nią suknię i rzuciła ją na podłogę, a potem złapała jakiś ręcznik i zaczęła ścierać z twarzy tusz i puder, które nałożyła na nią Shamavah wspólnie z Eloną, zaglądającą jej przez ramię i narzekającą na dobrane przez nią odcienie. – Wonda, idź po moją niebieską suknię – rzuciła.

Jej ton stał się uśmiech z ust dziewczyny, która pośpiesznie wybiegła z komnaty.

– Tę zwykłą starą szmatę? – zapytała Elona. – Będziesz w niej przypominać...

– Siebie samą – przerwała jej Leesha. – A nie jakąś wymalowaną angieriańską dziwkę.

Obie kobiety wyglądały, jakby chciały gorąco zaprotestować, ale smagnęła je takim



spojrzeniem, że ugryzły się w język.

– Oszczędź przynajmniej włosy! – poprosiła Elona. – Ich ułożenie zabrało mi cały ranek, a ładna fryzura naprawdę ci nie zaszkodzi.

Leesha odwróciła się w stronę lustra, podziwiając pracę swej matki.

Dzięki jej wysiłkom gęste czarne włosy dziewczyny spływały na plecy bujnymi, falistymi kaskadami. Uśmiechnęła się.

Powróciła Wonda z błękitną suknią, lecz Leesha przyjrzała jej się i pokręciła głową.

– Po namyśle stwierdzam, że ta jednak odpada. Przynies tę odświętną.

Mrugnęła do matki.

– Chyba warto się dziś wystroić.

\* \* \*

Leesha kroczyła po swych komnatach w tę i z powrotem, czekając na przybycie Jardira. Odesłała pozostałe kobiety, gdyż przez ich gadaninę robiła się jeszcze bardziej nerwowa.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi. Leesha zerknęła po raz ostatni do lustra, poprawiła biust, wzięła głęboki oddech i poszła otworzyć. Ujrzała jednak nie Jardira, ale Abbana, który stał z niewielką butelką i malutkim kieliszkiem.

– To ode mnie – rzekł, podając jej obie rzeczy. – Na odwagę.

– Co to takiego? – zapytała Leesha, otwierając butelkę i wachając. Natychmiast zmarszczyła nos. – Pachnie jak środek do dezynfekcji ran.

Abban zaśmiał się.

– Bez wątplenia niejednokrotnie wykorzystywano to również w tym celu. Nazywa się couzi. Moi rodacy piją go często, by uspokoić nerwy, nawet *dal'Sharum*, by nabrać odwagi po zachodzie słońca.

– Upijają się przed bitwą? – zapytała z niedowierzaniem dziewczyna.

Abban wzruszył ramionami.

– Couzi zsyła na człowieka swoistą pewność siebie, pani. Po jednej porcji poczujesz się spokojniejsza i rozgrzana. Po drugiej nabierzesz odwagi godnej *Sharum*. Po trzeciej będziesz gotowa na taniec na skraju otchłani Nie.

Leesha uniosła lekko brew, lecz w kąciku jej ust błąkał się uśmiech.

– Może jeden kieliszek nie zaszkodzi – rzekła, napełniając naczynko. – Coś rozgrzewającego dobrze by mi zrobiło.

Przyłożyła kieliszek do ust i wychyliła zawartość. Aż zakaszłała, gdy alkohol zapłonął w jej przetyku.

Abban ukłonił się.

– Każdy kolejny kieliszek smakuje lepiej od poprzedniego, pani.

Wyszedł, a Leesha nałała sobie jeszcze jeden. W istocie, przełknęła go o wiele łatwiej.

Trzeci smakował cynamonem.

\* \* \*

Abban nie mylił się co do couzi. Leesha czuła, jak ciepło rozlewa się po jej ciele, zupełnie jakby narzuciła na ramiona runiczny płaszcz, który nie tylko ogrzewa, ale i chroni. Sprzeczące się głosy w jej umyśle umilkły i naraz ogarnął ją spokój, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

Zrobiło jej się gorąco, choć miała na sobie odświętną suknię z głębokim dekoltem. Zaczęła się wachlować, z rozbawieniem zauważając ukradkowe spojrzenia Jardira, który nadal udawał brak zainteresowania.

Na jedwabnych poduszkach między nimi leżał otwarty Evejah, lecz Jardir nie czytał już od dłuższego czasu. Rozmawiali o różnych rzeczach – o jej coraz większej sprawności językowej, o jego życiu w Kaji'sharaj i jej nauce pod okiem Bruny, a także o tym, jak matka Jardira stała się wyrzutkiem po urodzeniu zbyt wielu córek.

– Moja matka również nie cieszyła się z tego, że ma tylko jedną córkę – rzekła Leesha.

– Cóрка taka jak ty jest warta tuzina synów – rzekł Jardir. – A co z twoimi braćmi? To, że znaleźli się już na łonie Everama, wcale nie umniejsza jej zasług.

– Moja matka cię okłamała, Ahmann – westchnęła Leesha. – Jestem jej jedynym dzieckiem i nie mam magicznych kości, dzięki którym mogłabym obiecać ci synów.

Mówiąc te słowa, poczuła, jak z jej serca spada wielki ciężar. A jeśli chodzi o ubranie – cóż, niech Ahmann pozna, co jest pod szatą.

Jardir zaskoczył ją, wzruszając ramionami.

– Będzie tak, jak zechce Everam. Nawet jeśli urodzisz mi najpierw trzy dziewczęta, będę je kochał i żywił wiarę, że kiedyś pojawią się również synowie.

– Nie jestem też dziewicą – wypaliła i wstrzymała oddech.

Jardir przyglądał jej się przez dłuższą chwilę i Leesha zadała sobie w myślach pytanie, czy nie powiedziała za dużo. Choć właściwie czy to jego sprawa, czy jest dziewicą, czy też nie?

Niemniej w jego postrzeganiu świata była to jak najbardziej jego sprawa, a kłamstwa matki ciążyły na sumieniu dziewczyny, o czym świadczyło przeciągające się milczenie.

Jardir rozejrzał się na boki, jakby chciał się upewnić, czy na pewno są sami, a potem pochylił się ku niej, niemalże dotykając ustami jej ust.

– Ja też już nie jestem – szepnął, a Leesha wybuchła śmiechem. Jardir jej zawtórował i przez chwilę oboje śmiali się szczerze. – Wyjdź za mnie – poprosił ją.

Leesha parsknęła.

– Cóż z kolejnej żony, skoro masz już ich...

– Czternaście – uzupełnił Jardir, machając ręką, jakby zupełnie się nie liczyły. – Kaji miał

ich tysiąc.

– Czy ktokolwiek w ogóle pamięta imię jego piętnastej? – spytała Leesha.

– Shannah vah Krevakh – odparł Jardir bez wahania. – Powiada się, że jej ojciec kradł cienie, by zrobić z nich jej włosy, a z jej łona wyszli pierwsi Wypatrywacze, niewidzialni w mroku nocy, ale nadal czujni u boku ojca.

– Zmyślasz – zmrużyła oczy Leesha.

– Pocałujesz mnie, jeśli to prawda? – zapytał Jardir.

Leesha udała, że się zastanawia.

– O ile będzie mi wolno spoliczkować cię, jeśli to kłamstwo.

Jardir uśmiechnął się i wskazał Evejah.

– Wymieniono tu każdą z żon Kajiego, by na zawsze upamiętnić ich imiona. Niektóre opisy są całkiem obszerne.

– Cały tysiąc, co do jednej? – zapytała Leesha z niedowierzaniem.

Jardir mrugnął do niej.

– Jakoś po pierwszej setce ich opisy zaczynają się stawać coraz bardziej treściwe.

Leesha uśmiechnęła się lekko i uniosła księgę.

– Strona dwieście trzydzieści siedem – powiedział Jardir. – Linijka ósma.

Dziewczyna przekartkowała Evejah, aż odnalazła właściwą stronę.

– Co tam jest napisane? – zapytał.

Leesha nadal miała spore trudności z rozumieniem tekstu pisanego, ale Abban nauczył ją prawidłowej wymowy.

– Shannah vah Krevakh – powiedziała, a potem odczytała cały ustęp, próbując naśladować melodyjny akcent krasjańskiej mowy.

Jardir uśmiechnął się.

– Radość mnie rozpiera, gdy słyszę, jak mówisz naszym językiem. Spisuję już swoje życie – księga będzie się zwała Ahmannjah, a piszę ją własną krwią, tak jak Kaji spisał Evejah. Jeśli obawiasz się, że zostaniesz zapomniana, przyrzeknij, że za mnie wyjdiesz. Wypiszę wówczas o tobie całą dunę.

– Wciąż nie jestem tego pewna – powiedziała szczerze Leesha. Uśmiech Jardira zaczął gasnąć, ale wtedy dziewczyna się rozpromieniła. – Ale na ten pocałunek z pewnością sobie zapracowałam.

Ich usta zetknęły się i Leeshę przeszył dreszcz o wiele potężniejszy od impulsu magicznego.

– A co, jeśli przyłapie nas twoja matka? – zapytał Jardir, który odsunął się jako pierwszy, gdy zrozumiał, że Leesha nie ma zamiaru wypuścić go z objęć.

W odpowiedzi ujęła jego twarz.

– Zamknęłam drzwi na zasuwę – odparła i rozchyliła usta do kolejnego pocałunku.

\* \* \*

Leesha była Zielarką. Studiowała nauki starego świata, prowadziła własne eksperymenty i nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż nauczenie się czegoś nowego. Obojętnie, czy chodziło o zioła, runy czy obce języki, nie było umiejętności, której nie potrafiłaby opanować i ulepszyć. Tego dnia więc, gdy zrzucili ubrania i znaleźli się wśród poduszek, Leesha, która spędziła półtorej dekady na uzdrawianiu ciał, wreszcie nauczyła się, jak sprawiać rozkosz.

Jardir, który leżał obok niej, zdyszany i spocony, wydawał się tego samego zdania.

– Zawstydzilibyś nawet *jiwah’Sharum*.

– Odezwały się lata tłumionych pasji – rzekła Leesha, przeciągając się z rozkoszą, nie wstydząc się swej nagości. Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo wyzwolona. – Masz szczęście, że jesteś Shar’Dama Ka. Ktoś mniej potężny od ciebie mógłby tego nie przeżyć.

Jardir zaśmiał się i pocałował ją.

– Urodziłem się, by toczyć wojny, a z tobą będę toczył ową cudowną bitwę i sto tysięcy razy, jeśli tylko zechcesz.

Powstał i uklonił się nisko.

– Obawiam się jednak, że niebawem zajdzie słońce i pora, bym przystąpił do bitwy zupełnie innego rodzaju. Dziś wypada pierwsza noc Nowiu i *alagai* będą silne.

Leesha pokiwała głową i oboje ubrali się niechętnie. On ujął swą włócznię, ona zapięła swój fartuch z kieszeniami.

Gdy spotkali się na dziedzińcu z Garedem, Wondą, Rojerem oraz kilkoma Włóczniami Wybawiciela, nikt nie powiedział ani słowa. Leesha była niemalże zdziwiona – czuła się tak dalece inaczej, iż była pewna, że inni muszą to dostrzec, ale nawet jeśli tak było, nikt nie dał tego po sobie poznać.

Nawet w trakcie *alagai’sharak* trudno jej było skupić się w pobliżu Jardira. Miała wrażenie, że z nim dzieje się podobnie, ale nie opuszczał jej ani na krok, gdy opatrywała kilka drobnych ran odniesionych podczas tej potyczki.

– Czy jutro też będę mógł ci poczytać? – zapytał po zakończonej bitwie. Sam miał jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale mieszkańcy Zakątka mogli już wracać do siebie.

– Możesz mi czytać i co dzień, jeśli sobie tego życzysz – rzekła, a on omiółł ją rozpromienionym spojrzeniem.

\* \* \*

Książę otchłańców trzymał się w należytej odległości, przyglądając się, jak dziedzic i jego ludzie zabijają demony. Przyglądał mu się od kilku cykli i jego obawy się potwierdzały. Ten człowiek był zjednoczycielem. Z pewnością nie zdawał sobie sprawy z ogromu mocy drzemiących we włóczni i koronie z kości demona, lecz jego potęga rosła, a

podwładni nadal się przegrupowywali i organizowali. Demon wiedział, że niebawem przestaną być tylko niedogodnością. Zabicie dziedzica już stanowiło pewien problem, a nawet gdyby książę zdołał tego dokonać, było wielu, którzy potencjalnie mogli zająć jego miejsce.

Niemniej owa samica z Północy była nową, nieprzewidzianą dotychczas zmienną, słabym punktem w pancerzu dziedzica. Jej umysł nie był niczym chroniony, a wiedziała sporo zarówno o dziedzicu, jak i o tym, którego jego brat wytropił na Północy.

Gdy oderwała się od innych, demon podążył za nią.

\* \* \*

Gdy znalazła się w pałacu, Leesha pomknęła po schodach niczym wiatr.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytała Wonda.

– Nic, co by nie wstąpiło również w ciebie – rzuciła Leesha. Wonda spojrzała na nią bez zrozumienia i Leesha wybuchnęła śmiechem. – Idź lepiej spać! Nim się zorientujesz, Mistrz Kaval zacznie na ciebie wrzeszczeć.

– Kaval nie jest taki zły – odparła Wonda, ale postąpiła zgodnie z przykazaniem.

Leesha zaś przemknęła cichutko obok komnat matki, modląc się, by ta okazała na tyle przyzwoitości, by poczekać z wypytywaniem do południa. Gdy wreszcie wślizgnęła się do komnaty, gdzie kochała się z Jardirem, i zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła z ulgą i podziękowała w duchu Stwórcy.

Wreszcie znalazła się sama. Wreszcie mogła sobie pozwolić na szeroki uśmiech, który powstrzymywała przez całą noc.

W teże chwili ktoś zarzucił jej na głowę kaptur.

Próbowała wrzeszczeć, ale napastnik zdecydowanym ruchem ściągnął ramię, dusząc ją i zamieniając wrzask w stłumione stęknięcie. Silna dłoń unieruchomiła ramiona Leeshy, ten sam ramię zacisnął się mocno na jej nadgarstkach. Kopnięcie pod kolana sprawiło, że upadła na ziemię, a wtedy również skrupowano jej kostki. Z początku próbowała się szamotać, ale każde szarpnięcie sprawiło, że ramię wokół gardła zaciskał się jeszcze mocniej, więc znieruchomiła, nie chcąc się udusić.

Silne ramię uniosło ją do okna. Aż zadrżała od nocnego chłodu, gdy zawisła przeniesiona nad parapetem, a potem była niesiona na niewątpliwie męskich plecach po drabinie. Zamachowcy działali bezszelestnie, ale drgania szczebli zdradziły Leeshy, że było ich przynajmniej dwóch.

Dla niosącego ją mężczyzny zdawała się ważyć tyle co piórko, bo biegł bez przeszkód przez opustoszałe ulice, nawet się nie zasapawszy. Leesha próbowała się orientować, dokąd ją prowadzą, lecz okazało się to niemożliwe. Wiedziała tylko tyle, że w którymś momencie niosący ją porywacz wbiegł po schodach, a potem przeszedł przez jakieś drzwi. W końcu zatrzymali się, a ona sama została bezceremonialnie rzucona na podłogę.

Zderzenie z ziemią wybiło jej powietrze z płuc, ale gruby dywan, na który opadła, załagodził impet. Przecięto rzemień krępujący jej kostki i nadgarstki, a potem zerwano jej kaptur z głowy. W pomieszczeniu paliło się zaledwie kilka lamp, ale Leesha zamruwała, niemalże oślepią. Osłoniła oczy drżącą dłonią i mrużyła je, póki nie przyzwyczyły się do światła. Potem zorientowała się, iż leży na brzuchu przed obliczem spoczywającej na poduszkach Inevery, przyglądającej jej się wzrokiem kota, który właśnie zapędził do kąta mysz.

Damajah spojrzała na dwóch wojowników stojących za nią. Byli odziani od stóp do głów w czerń, jak *dal'Sharum*, ich twarze kryły też przesłony, ale nie mieli ani tarcz, ani włócznie. Każdy z nich dźwigał natomiast drabinę na ramieniu.

– Nigdy was tu nie było – powiedziała, a obaj mężczyźni ukłonili się i znikli. Damajah zaś spojrzała na Leeshę i uśmiechnęła się. – Mężczyźni mają swoje zastosowania – stwierdziła. – Chodź, proszę, dołącz do mnie.

Wskazała gestem sąsiednią stertę poduszek.

Leesha zachwiała się nieco, gdyż krew napływała powoli do jej odrętwiałych stóp, ale powstała najszybciej jak mogła, opierając się pokusie pomasowania gardła.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Znalazła się w wyściełanej poduszkami alkowie, słabo oświetlonej, lecz przepelnionej zapachami kadzidła, wszędzie obitej aksamitem bądź jedwabiem. Drzwi znajdowały się tuż za nią.

– Po drugiej stronie nie ma strażnika – zaśmiała się Inevera, machając dłonią, jakby zachęcała Leeshę, by przekonała się na własne oczy. Tej nie trzeba było dwa razy powtarzać – szarpnęła za mosiężny pierścień, lecz wtedy rozbłysła magia i Leesha padła na miękki dywan. Dojrzała jeszcze, jak runy na krótką sekundę opromieniły nadproże, ościeżnicę i próg, po czym blask znikł, pozostawiając jedynie upiorne refleksy w kącikach oczu.

Ciekawość przytłumiła jej strach. Leesha wstała i podeszła do drzwi, by przyjrzeć się runom, kunsztownie wymalowanym złotą i srebrną farbą wzdłuż ościeżnicy. Nie знаła wielu z nich, ale dostrzegła runy ciszy w kombinacji z innymi. Wiedziała, że nikt z zewnątrz nie usłyszy, co się dzieje w pokoju.

Dotknęła utworzonej przez runy bariery, która zajaśniała w tym miejscu na moment, oświetlając całą ciasno utkaną sieć.

Co jest źródłem jej mocy? – zastanawiała się. Przecież nie ma tu otchłańców, które dostarczyłyby potrzebnej magii, a bez magii runy stanowiły jedynie pismo.

Wiedziała, że gdyby miała więcej czasu, zdołałaby zneutralizować sieć i uciec, ale przecież w pomieszczeniu przebywała Inevera, a Leesha nie miała pojęcia, jakie *Jiwah Ka* miała zamiary. Odwróciła się do Damajah, rozpartej na poduszkach.

– W porządku – rzekła i usiadła naprzeciwko niej. – O czym chciałabyś powiedzieć?

– Udajesz głupią? – zapytała Inevera. – Czy ty naprawdę sądziłaś, że nie zorientuję się, gdy dotknęłaś go po raz pierwszy?

– No i co z tego? Przecież to nie przestępstwo. Wedle waszego prawa mężczyzna może sypiać z każdą kobietą, która nie jest czyjąś żoną.

– Być może na Północy zachowanie godne zdziwy jest sposobem na zdobycie męża – rzekła Inevera – ale wśród moich rodaków kobiety, które tak postępują, są trzymane na postronku przez żony ich ofiar.

– Ahmann poprosił mnie o rękę, na długo nim poszłam z nim do łóżka – odparła Leesha. Celowo ją prowokowała, próbując jednocześnie obmyślić sposób na ucieczkę. – Wątpię też, czy uważa się za ofiarę. – Uśmiechnęła się. – Aż się rwał do dzieła.

Inevera zasyczała i aż się poderwała. Leesha wiedziała, że ugodziła ją do żywego.

– Odrzuć oświadczyzny mojego męża i jeszcze dzisiaj uciekaj z Lenna Everama – rzekła Pierwsza Żona. – To twoja ostatnia szansa na ocalenie życia.

– Ostatnie dwa zamachy na moje życie zakończyły się niepowodzeniem, Damajah – odparła Leesha. – Dlaczego uważasz, że kolejny się powiedzie?

– Tym razem nie powierzę sprawy w ręce piętnastolatki – syknęła Inevera. – Mój mąż zaś nie znajdzie nas w porę, by cię ocalić. Opowiem wszystkim, że przyszłaś mnie zamordować tej samej nocy, kiedy uwiodłaś mojego męża. Nikt nie zakwestionuje mojego prawa do zakończenia twojego nędznego życia.

– Ja coś zakwestionuję – uśmiechnęła się Leesha. – A mianowicie to, czy dałabyś sobie z tym radę.

Inevera wyjęła spod poduszki niewielki przedmiot. Niespodziewanie komnatę opromienił gwałtowny jęzor ognia, który uderzył w Leeshę falą gorąca i znikł.

– Mogłabym zniszczyć cię tu i teraz – wycedziła Damajah.

Była to imponująca sztuczka, lecz Leesha zajmowała się przygotowywaniem płynnego ognia od dziesięciu lat i zwróciła uwagę nie na sam efekt, lecz wykorzystane środki. Inevera nie skrzesła iskry, nie wykorzystwała żadnych chemikaliów, niczym też nie uderzyła. Przyjrzała się lepiej przedmiotowi w rękach Inevery i nagle wszystko stało się jasne.

Kobieta trzymała czaszkę ognistego demona.

Oto źródło zasilania jej bariery, uświadomiła sobie dziewczyna, dziwiąc się, że wcześniej na to nie wpadła. *Alagai hora*. Kości demonów.

Odkrycie to otwierało przed nią nieskończone wprost możliwości, ale musiała najpierw przeżyć tę noc. Wobec demonicznych płomieni Inevery była bezbronna.

– Czy to tak zasilasz barierę w futrynie? – spytała, odwracając głowę ku drzwiom. – Czy w drewnie ukryto *alagai hora*?

Inevera zerknęła na drzwi i w tymże momencie Leesha błyskawicznie wsunęła dłoń do kieszeni fartucha, wyszarpnęła garść ziaren i cisnęła nimi ku Ineverze.

Pociski eksplodujące z trzaskiem i rozbłyskami nie były w stanie wyrządzić nikomu krzywdy, lecz Inevera wrzasnęła i zasłoniła rękami twarz. Leesha zaś doskoczyła do niej i złapała ją za nadgarstek, w którym trzymała czaszkę. Wbiła kciuk w miejsce, gdzie zbiegały

się nerwy, i broń wypadła na podłogę. W tym samym momencie Leesha zwarła drugą dłoń w pięść i grzmotnęła Damajah w twarz. Delikatne chrząstki jej nosa pękły z trzaskiem.

Leesha już zamierzyła się do kolejnego uderzenia, gdy Inevera odtoczyła się na podłogę, złapała Zielarkę za ramiona i z potworną siłą wbiła jej kolano między nogi.

– Ty suko! – wrzeszczała, gdy Leeshę oślepił ból. – Dobrze ci wygodził mój mąż? – krzyknęła i kopnęła po raz drugi. – Dobrze cię popchnął?

I po raz trzeci.

Leesha nigdy dotąd nie doznała takiego bólu. Nieprzytomnie złapała za włosy Damajah, lecz ta pochwyciła mocno jej luźne rękawy i odciągnęła jej ręce, jakby była kukiełką. W sekundę później znalazła się za nią i otoczyła jej szyję ramieniem.

– Dziękuję – szepnęła jej do ucha. – Planowałam cię zabić samym ogniem i oszczędzić sobie w ten sposób ponownego malowania paznokci, ale to jest o wiele przyjemniejsze.

Leesha ciskała się i rzucała, ale na próżno. Inevera otoczyła jej talię nogami i wbijała jej twarz w podłogę, dusząc bez litości. Leesha nie była w stanie jej strącić lub sięgnąć do którejkolwiek ze swych kieszeni. Kończyło jej się powietrze i świat zaczął rozmazywać. W końcu dostrzegła czaszkę demona, sięgnęła po nią, lecz Inevera odkopnęła ją w bok. Na skraju utraty przytomności namacała swój runiczny nóż, wyszarpnęła go i wbiła w udo Damajah.

Jej dłoń zbryzgał strumień gorącej krwi. Inevera wrzasnęła, a jej uścisk zelżał. Leesha odtrąciła ją i odtoczyła się w bok, nabierając życiodajnego powietrza. W chwilę później klęczała z nożem w garści. Damajah, która odtoczyła się w przeciwnym kierunku, sięgnęła do sakiewki przy pasie i rzuciła czymś w Zielarkę.

Leesha umknęła w bok, a w miejscu, gdzie znajdowała się przed chwilą, przemknęło coś, co zabrzmiało jak rój szerszeni. Krzyknęła, gdy jeden z pocisków wbił jej się w udo, a drugi w ramię. Wyrwała go i uświadomiła sobie, że to kiel demona. Był pokryty jej krwią, lecz kciukiem wyczuła runy wyryte na powierzchni. Wsunęła go do kieszeni.

Inevera poderwała się już na równe nogi i znów rzuciła się na Zielarkę, lecz ta powstała w porę z nożem gotowym do uderzenia. Inevera wyhamowała, wyszarpnęła zza pasa zakrzywione ostrze, pokryte runami i równie ostre jak skalpele Leeshy, i obie kobiety zaczęły się okręgać.

Leesha wsunęła dłoń do kolejnej kieszeni fartucha, a Inevera do sakiewki z czarnego aksamitu, wiszącej u jej pasa.

\* \* \*

Książę otchłańców przyglądał się z rozbawieniem samicom, walczącym ze sobą równie zaciekle jak wysocy książęta, gdy królowa była gotowa do rozplodu. Zamierzał początkowo pożreć umysł samicy z Północy i podstawić w jej miejsce zmiennokształtnego, który zabiłby



dziedzica, ale starcia między ludźmi były o wiele ciekawsze. Przecież konflikt między samicami mógł zniszczyć zarówno jego siłę woli, jak i marzenia o zjednoczeniu.

Trzeba było tylko pchnąć samice do działania.

## Wybór demona

333 ROK PLAGI, LATO

Gdy Jardir wreszcie wrócił do swego pałacu, wciąż trwały najciemniejsze godziny nocy. Nie był zmęczony – od czasu gdy dzierżył Włócznie Kajiego, nigdy nie zaznał prawdziwego zmęczenia – ale tak czy owak marzył o ułożeniu się w łóżku, nawet jeśli tylko po to, by zamknąć oczy i oddać się na chwilę marzeniom o niej, aż nadejdzie chwila ich ponownego spotkania.

Leesha zaiste była darem od Everama. Jardir wierzył głęboko, że kobieta przyjmie jego oświadczyzny, dzięki czemu Wybawiciel zdobędzie przyczółek na Północy, ale powoli dochodził do wniosku, że polityczny aspekt ma dla niego coraz mniejsze znaczenie. Liczyło się tylko to, by mieć ją u swego boku. Nie dość, że była mądra, piękna i młoda na tyle, by urodzić mu wielu synów, kryła w sobie niezmierną wprost pasję, która wyzwalała się zarówno w gniewie, jak i miłości. Była godną narzeczoną nawet dla Wybawiciela, a dzięki ślubowi z nią powstrzymałby rosnącą władzę Damajah. Wiedział, że Inevera sprzeciwi się jego planom, ale na razie nie miał zamiaru się tym martwić.

Jardir ujrzał światło w swych komnatach i zmarszczył brwi. W Lennie Everama nie było Podmiasta dla kobiet i dzieci, więc nie było gdzie się schronić nawet w noce Nowiu. Jego żony zatem na zmianę czekały w jego komnatach, chcąc mu umilić czas kąpielą i własnym ciałem, ale Jardir nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Tylko jedna kobieta na całym świecie mogła zaspokoić jego żądzę, ta, której zapach dalej czuł na swym ciele. Chciał, by nigdy go nie opuścił.

– Niczego nie potrzebuję – powiedział, wchodząc do środka. – Zostaw mnie w spokoju.

Ale kobiety, które zastał w sypialni, nie należały do tych, którym po prostu każe się odejść.

– Musimy porozmawiać – rzekła Leesha, a siedząca u jej boku Inevera pokiwała głową.

– Po raz pierwszy w życiu muszę się zgodzić z tą zdziwą z Północy – stwierdziła Inevera.

Nastąpiła długa, bardzo długa chwila ciszy. Jardir stał, usiłując zrozumieć sytuację, w jakiej właśnie się znalazł, i odzyskać równowagę.

Przyjrzał się baczniej obu kobietom. Ich suknie były poszarpane i podarte, Inevera nosiła przesiąknięty krwią opatrunek na nodze, a Leesha na ramieniu. Dostrzegł też, że nos Damajah był niewiarygodnie spuchnięty, a na szyi Leeshy widnieją czerwone przebarwienia i sińce. Co więcej, utykała na jedną nogę.

– Co się stało? – zapytał ostrym głosem.

– Ucięłam sobie pogawędkę z twoją Pierwszą Żoną – rzekła Leesha.

– I zadecydowałyśmy, że nie będziemy się tobą dzielić – zakończyła Inevera.

Jardir wykonał ruch, jakby chciał do nich podejść, ale Leesha uniosła palec, zatrzymując go w miejscu niczym dziecko.

– Trzymaj się z dala. Nie dotkniesz żadnej z nas, póki nie dokonasz wyboru.

– O czym wy mówicie? – zapytał Jardir.

– O wyborze między mną a nią – odparła Leesha. – Obu nas mieć nie możesz.

– Ta, którą wybierzesz, stanie się twoją *Jiwah Ka* – rzekła Inevera. – Drugą zaś skazesz na szybką śmierć z twojej ręki na głównym placu miasta.

Leesha obrzuciła Damajah zdeglustowanym spojrzeniem, ale nie zaprotestowała.

– A ty się na to zgodziłaś? – Jardir był zdumiony. – Wbrew przysięgom Zielarki?

– Jeśli chcesz, możesz ją obedrzeć z szat i wyrzucić na ulice miasta, by wszyscy mogli się jej przyjrzeć.

– Jest słaba, jak wszyscy ludzie na Północy – zadrwiła Inevera. – Pozostawiacie wrogów przy życiu tylko po to, by mogli się kiedyś zemścić.

Leesha wzruszyła ramionami.

– To, co dla was jest słabością, ja zwę siłą.

Jardir patrzył to na jedną, to na drugą, nadal nie mogąc uwierzyć w to, do czego doszło, lecz kobiety wpatrywały się w niego z zaciętością i wiedział, że żadna z nich nie rzuca słów na wiatr.

Wybór był jednak niemożliwy do dokonania. Zabić Leeshę? To nie do pomyślenia. Pominąwszy nawet to, że jej śmierć zniszczyłaby wszelkie potencjalne sojusze na Północy, Jardir prędeż wyrwałby własne serce, niż wyrządził jej najdrobniejszą krzywdę.

Alternatywa jednakże była równie nieprawdopodobna. *Dama'ting* nie uznałyby Leeshy za przywódczynię, a gdyby pozbawił Ineverę władzy i oddał ją w ręce kobiety z Północy, opowiedziałyby się po stronie *Jiwah Ka*, wywołując rozłam, którego imperium Krasji mogłoby nie przetrzymać. Poza tym była jego Pierwszą Żoną, matką jego dzieci, kobietą, która sterowała jego drogą ku władzy i wręczyła mu odpowiednie narzędzia, by mógł osiągnąć zwycięstwo w *Sharak Ka*. Chociaż regularnie sprawiała mu ból, patrząc na nią,

odkrył, że nadal ją kocha.

– Nie dokonam tego wyboru – rzekł.

– Musisz – warknęła Inevera, wyciągając swój runiczny nóż. – I to teraz, bo zaraz poderżnę tej suce gardło.

– Chyba nie zdążysz. – Leesha wyszarpnęła własny.

– Nie! – krzyknął Jardir i cisnął Włócznią Kajiego, która wbiła się głęboko w ścianę między oboma kobietami i zadygotała. Skoczył na nie, sprężysty niczym kot, złapał je za nadgarstki i oderwał od siebie.

Niespodziewanie runy na jego koronie ożyły, opromieniając obie kobiety, które potrzęsnęły głowami, jakby budziły się ze snu.

Leesha oprzytomniała jako pierwsza.

– Za tobą! – krzyknęła, wskazując coś za jego plecami.

– Alagai Ka! – krzyknęła Inevera.

Alagai Ka. Mianem tym Jardir i jego ludzie dla śmiechu przezwali skalnego demona, który przybył do Krasji w ślad za Par'chinem, lecz było to starożytne imię, otoczone aurą niezwykłej potęgi. Alagai Ka był bowiem mężem samej Matki Demonów i wraz ze swymi synami należał do najpotężniejszych demonów, które dowodziły armiami Nie.

Zawirował, by stanąć z nim twarzą w twarz, lecz w pierwszej chwili niczego nie dostrzegł. Dopiero gdy się skupił, Korona Kajiego rozgrzała się raz jeszcze i ujrzał, że pokój jest częściowo spowity magiczną mgłą. Niespodziewanie mgła zafalowała i wychynął z niej demon o wiele straszliwszy od tych, z którymi Jardir się potykał.

Złapał za włócznię, lecz ta tkwiła mocno w ścianie. Potwór zaś w ułamku sekundy pokonał odległość dzielącą go od człowieka i rzucił się na Jardira. Obaj padli na łóżko, przetoczyli się po nim i runęli na ziemię. Demon wściekle tłukł go pazurzystymi łapami – ceramiczne płytki pancerza Jardira pękały z trzaskiem, ale załagodziły pierwszą fazę ataku. Demon najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę, gdyż jego paszcza rozwarła się nagle zaskakująco szeroko. Z każdą chwilą stawała się większa, wyrastały w niej kolejne rzędy zębów, aż stała się tak potężna, iż mogłaby pochłonąć jego głowę.

Jardir odepchnął go z całej siły, by móc podkurczyć nogi, a wtedy wyrzucił je gwałtownie i odepchnął demona najdalej jak mógł. Zyskał w ten sposób cenną sekundę, gdyż zdołał zedrzeć z siebie szaty i odsłonić blizny wycięte przez Ineverę w jego skórze. Runy zabłysły jaskrawo, gdy demon rzucił się do kolejnego natarcia.

\* \* \*

Leesha nie zdawała sobie sprawy, że w jej umyśle kryje się demon, do chwili gdy Jardir ją dotknął, a runy na jego koronie zapłonęły jaskrawo. Usłyszała wówczas szepty demona i zrozumiała, czym one są. Bo w komnacie zmaterializował się kolejny.

Inevera też się zorientowała. Obie zdążyły tylko wykrzyknąć ostrzeżenie, a potem demon strażnik natarł na Jardira i rzucił nim przez pokój, czym zneutralizował moc korony. Zielarka poczuła zaś, jak demon umysłu na powrót próbuje wtargnąć między jej myśli.

Leesha stawiała mu opór, podobnie jak Inevera. Rzucały się dziko, za wszelką cenę broniąc swych umysłów przed jego ingerencją, ale wynik tej walki był przesądzony, demon był o wiele za silny. Leesha czuła już, jak jego wola przygniata i unieruchamia jej ciało, czyni je słabym i bezradnym, a sam przygląda się, jak jego strażnik zabija Jardira.

Leesha rozejrzała się z rozpaczą i nagle dostrzegła tackę z kadzidłem, stojącą na stoliku nocnym. Zatoczyła się tam, udając, że dzieje się to przez przypadek, zdążyła jednak zanurzyć dłoń w tłustych popiołach i strącić tacę, wzbijając chmury pyłu.

Inevera również osunęła się na ziemię. Leesha ostatnim wysiłkiem woli potoczyła się w jej kierunku i nakreśliła run na jej czole, a potem identyczny na samym środku korony Jardira.

Leesha padła bez życia, ale symbol natychmiast zapłonął i Inevera usiadła. Demon natomiast dalej niczego nie zauważał, skupiony na walczącym o życie Jardirze.

Inevera złapała Leeszę za włosy z wściekłym grymasem na twarzy.

– I tak dalej jesteś suką! – warknęła i splunęła Zielarce w twarz. Z jej gorsetu bez rękawów do złotych bransolet na nadgarstkach płynęły długie szarfy. Urwała jedną z nich, splunęła na nią i starła sadzę z brwi Leeshy, a potem zanurzyła palec w popiołach i nakreśliła na jej czole identyczny run umysłu.

Leesha poderwała się i pochwyciła za runiczny nóż. Inevera zaś wydobyla ze swej czarnej sakiewki coś, co przypominało grudkę węgla naznaczoną runem, i wycelowała nią w demona. Wyszepiała słowo, a wtedy otchłańca ugodziła błyskawica. Wrzeszcząc z bólu, przeleciał przez całą długość pokoju i grzmotnął o ścianę, gdzie osunął się bez życia na podłogę.

\* \* \*

Kształt demona nieustannie się zmieniał, ale Jardir nie przerywał natarcia. Jego runy syczały i skwierczały, a on tłukł otchłańca łokciami, kolanami, pięściami i stopami. Pierwotna furia demona zdawała się teraz ustępować rozmiarami wściekłości wojownika, który spędził całe życie na bitwach w Labiryncie. Korona jarzyła się jaskrawym światłem, a on sam czuł się przepełniony potęgą do tego stopnia, że jego rany goiły się, nim demon był w stanie zadać mu poważniejsze obrażenia.

Walczę z Alagai Ka, pomyślał. I wygrywam!

Ta myśl uskrzydliła go i prowadziła przez długą chwilę, aż demon poderwał jedną potężną pazurzystą łapą ciężki stół i grzmotnął go nim przez głowę.

Runy na skórze Jardira nie zapewniały ochrony przed drewnem i tylko magia pulsująca w jego ciele uchroniła go przed śmiercią. Uderzenie strzaskało mu jednak kości. Czuł, jak magia

zaczyna uzdrawiać jego ciało w niezwykłym wprost tempie, ale nie mogła przecież nastawić połamanych kości. Wiedział, że zrastają się pod niewłaściwymi kątami.

Nie miało to jednak większego znaczenia, bo oto demon poderwał stół po raz kolejny, chcąc zakończyć walkę. Pozbawiony broni Jardir mógł tylko patrzeć na nadchodzącą śmierć.

Nim jednak demon zdołał spuścić mu stół na głowę, zawrzasnął i złapał się za łeb, upuszczając mebel. Jardir odkopnął go zdrową nogą, a demon zatoczył się i nagle zaczął dziko rzucać na wszystkie strony. Jego ciało wydawało się topnieć niczym wosk.

Jardir uniósł spojrzenie i naraz wszystko pojał. To nie on walczył z Alagai Ka. Leesha i Inevera stały nad dymiącym ciałem smukłego demona z gigantyczną głową. Nawet znajdując się po przeciwnej stronie pokoju, wyczuwał potęgę zła, którą emanował potwór. Demon, z którym on walczył, był kimś na kształt jego własnego Hasika – pozbawionym mózgu mięśniakiem, który torował drogę i rozbijał czaszki, gdy było to poniżej godności jego pana.

Smukły demon uniósł głowę. Inevera krzyknęła i pchnęła w niego kolejną błyskawicę, lecz ten nakreślił w powietrzu run, który wchłonął energię magicznego ataku. Wyciągnął rękę i demoniczna kość wyfrunęła z dłoni Damajah. Otchłaniec złapał ją – kość zajaśniała na krótko w jego uścisku, a gdy jej magia została wchłonięta, roztał ją w pył.

Znów wyciągnął rękę i tym razem znalazła się w niej sakiewka z *hora*. Inevera wrzasnęła ze zgrozą, gdy demon rozsypał woreczek i wysypał jej bezcenne kości na pazurzystą dłoń.

Obie kobiety uniosły runiczne noże i skoczyły na potwora, ale ten nakreślił w powietrzu kolejny run, który rozjarzył się i odepchnął je gwałtownie. Przeleciały przez komnatę niczym porwane wiatrem.

*Alagai hora* zapłonęły, gdy demon wchłaniał ich moc. Jardir poczuł osobliwą mieszaninę strachu i ulgi, patrząc, jak kości, które od ponad dwudziestu lat kontrolowały jego życie, rozsypują się w pył. Inevera zawyła, jakby ten widok sprawił jej fizyczny ból.

Zmiennokształtny odzyskał panowanie nad sobą w chwilę po swym władcy, ale Jardir nie zwracał już na niego uwagi. Kusztykając na zdrowej nodze, dopadł łóżka, wskoczył na nie, złapał za Włócznię Kajiego i stoczył się po drugiej stronie, chcąc wyrwać ją ze ściany samym swoim ciężarem.

Ból buchnął w jego poharatanej nodze, gdy znów się poderwał, ale wchłonął go bez wysiłku. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne jak zawsze. Odchylił ramię do tyłu i cisnął.

I nim stwór zdołał zareagować, walka dobiegła końca. Włócznia przebiła czaszkę demona umysłu, pozostawiając w niej wielką jamę, i znów drżąc, utkwiała w przeciwnej ścianie. Otchłaniec padł martwy, a osierocony zmiennokształtny rzucił się z wrzaskiem na ziemię i zaczął ciskać, jakby jego ciało trawiły płomienie. W końcu znieruchomiał, a po chwili był już tylko nadtopioną kupką łusek i pazurów.

\* \* \*

Leeshę obudziło ostre trzaśnięcie. Otworzyła oczy i ujrzała Jardira leżącego z przymkniętymi powiekami i spokojem wymalowanym na twarzy. Inevera właśnie szarpnęła za jego stopę, by zrobić więcej miejsca na wstawienie kości sterczącej z pęknięcia.

Natychmiast zapomniała o własnym bólu. Podpełzła do boku Ahmanna, ujęła kość i ułożyła ją w nacięciu wykonanym uprzednio przez Ineverę. Podobnie jak w przypadku Arlena, rana zaczęła się zasklepić niemalże natychmiast, ale mimo to Leesha sięgnęła po igłę i nić, by należycie ją zaszyć.

– Nie ma takiej potrzeby – rzekła Inevera, która dźwignęła się na równe nogi i podeszła do zwłok demona. Wyciągnęła swój nóż i wycięła z nich jeden z drobnych, niemalże szczątkowych rogów. Powróciła z ociekającym posoką, złowieszczym trofeum, po czym wyciągnęła z sakwy cienki pędzelek oraz butelkę. Wzdłuż rany Jardira wymalowała serię zgrabnych runów, które zajaśniały, gdy przesunęła nad nimi róg, zamykając nacięcie tak, że na skórze nie pozostał nawet ślad blizny.

W ten sam sposób potraktowała własną ranę, a potem bez słowa zajęła się Leeshą, nie patrząc jej w oczy. Ta przyglądała się w milczeniu, zapamiętując wykorzystane przez nią runy i sposób ich połączenia.

Skończywszy, Inevera przyjrzała się wyciętemu rogowi.

– Z tego to dopiero będą kości – mruknęła.

Leesha również podeszła do demona, wycięła mu drugi róg i odrąbała jedno z ramion, które następnie owinęła w ciężki gobelin, chcąc zbadać je później. Inevera zmrużyła oczy, ale nie odezwała się ani słowem.

– Dlaczego nikt nie przyszedł, by sprawdzić, co się dzieje? – spytał Jardir.

– Przypuszczam, że dla Alagai Ka wyrysowanie runów ciszy wokół twoich komnat to doprawdy błahostka – rzekła Inevera. – Będą zapewne działać aż do chwili, gdy mury zostaną zalane blaskiem słońca.

Jardir przyjrzał się kobietom.

– Ten demon kontrolował wszystko, co mówicie i robicie?

Inevera pokiwała głową.

– On nawet, eee... zmusił nas do walki przeciwko sobie, dla własnej uciechy.

Ostrożnie dotknęła opuchniętego nosa.

Leesha poczuła, jak się rumieni, i kaszlnęła.

– Tak – przytaknęła. – Zmusił nas do tego.

– Po co mu takie okrutne zabawy? – zapytał Jardir. – Dlaczego po prostu nie zmusił któregoś z was, by poderżnęła mi gardło?

– Ponieważ nie chciał cię zabić – rzekła Inevera. – Obawia się ciebie jako przywódcy, nie jako wojownika, a nikt nie inspiruje bardziej od męczennika.

– Słusznie, lepiej byłoby cię skompromitować i rozbić jedność twoich sił – dodała Leesha.

– Ale przecież jesteś Shar'Dama Ka! – powiedziała Inevera. – Nie ma co do tego wątpliwości, skoro Alagai Ka leży martwy u twoich stóp!

Jardir pokręcił głową.

– To nie był Alagai Ka. Zwycięstwo przyszło zbyt łatwo. Sądzę, że był to któryś z pomniejszych książąt. Pojawią się kolejni, potężniejsi.

– Też tak sądzą. – Leesha spojrzała na Jardira. – Dlatego właśnie odwołam się do obietnicy, którą mi złożyłeś, Ahmann. Widziałam już Lenno Everama i pragnę teraz powrócić do domu. Muszę przygotować mój lud.

– Nie musisz wyjeżdżać – rzekła Inevera, a Leesha zrozumiała, z jakim trudem przyszły jej te słowa. – Uczynię cię jedną z *Jiwah Sen* mojego męża.

– Żoną „drugiej kategorii”? – zaśmiała się Leesha. – Nie, chyba podziękuję za ten zaszczyt.

– A ja nie zarzuciłem pomysłu uczynienia ciebie moją północną *Jiwah Ka*, jeśli tego pragniesz – rzucił Jardir mimo nieprzychylnego grymasu Inevery.

Leesha uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Wciąż byłabym jedną z wielu, Ahmann. Człowiek, za którego wyjdę, będzie mój. Tylko i wyłącznie mój.

Jardir sopośniał, ale widząc, że Leesha nie zmieni zdania, w końcu pokiwał głową.

– Tak czy owak, plemię Zakątka zostanie uhonorowane – powiedział. – Nie mogę co prawda dopilnować, by moje plemiona nie próbowały zawładnąć niektórymi spośród waszych studni, lecz jeśli podejmą przeciwko wam działania zbrojne, poznają w pełni rozmiary mojego gniewu.

Leesha opuściła głowę, bojąc się, że jeśli będzie patrzeć w te smutne oczy choć chwilę dłużej, wybuchnie płaczem.

– Dziękuję – powiedziała przez ściśnięte gardło.

Jardir dotknął jej ramienia i uścisnął je lekko.

– I... Przepraszam cię, jeśli to, co miało miejsce w Pałacu Luster, było wbrew twojej woli.

Leesha wybuchnęła głośnym śmiechem, nie bojąc się już płaczu. Rzuciła się na niego, przytuliła mocno i ucałowała w policzek.

– To akurat miało miejsce w środku dnia, Ahmann – powiedziała i mrugnęła do niego.

\* \* \*

– Przykro mi, że wyjeżdżasz, pani – oznajmił w kilka dni później Abban, gdy jego żony spakowały ostatnie z niezliczonych darów od Jardira. – Będzie mi brakowało naszych rozmów.

– Nie mówiąc już o Pałacu Luster, w którym chowasz najładniejsze ze swoich żon i córek przed *dal'Sharum*. – stwierdziła Leesha.



Abban spojrział na nią ze zdumieniem, a potem uklonił się z uśmiechem.

– Poznałaś nasz język o wiele lepiej, niż dajesz to po sobie poznać.

– Dlaczego po prostu nie powiesz o wszystkim Ahmannowi? – zapytała dziewczyna. – Niech zdyscyplinuje Hasika i pozostałych. Nie mogą przecież gwałcić kogo popadnie.

– Proszę o wybaczenie, pani, ale wedle prawa mogą – rzekł Abban. Leesha już chciała zaprotestować, ale uniósł dłoń. – Ahmann nie ma aż tak absolutnej władzy, jak ci się wydaje. Dyscyplinowanie własnych ludzi w kwestii kobiet *khaffit* mogłoby zrazić doń tych, którzy mają strzec jego pleców.

– Co jest niby ważniejsze od bezpieczeństwa twojej rodziny? – zapytała Leesha.

Oczy Abbana błysnęły stałą.

– Nie zakładaj, że po ledwie paru tygodniach wśród nas nasze zwyczaje nie mają dla ciebie tajemnic. Znajdę sposób, by ochronić moją rodzinę tak, by nie zagroziło to mojemu panu.

– Przepraszam – ukloniła się Leesha.

– Zmaż więc swoją winę, pozwalając mi wznieść pawilon w twojej wsi – uśmiechnął się Abban. – Moja rodzina ma takowy w każdym plemieniu, by móc prowadzić handel. W Lennie Everama mamy nadwyżkę ziarna, a wiem, że na Północy jest wiele ludzi do wyżywienia.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Zmienisz zdanie – odparł Abban – gdy po raz pierwszy usłyszysz, jak moje żony targują się z twoimi rodakami.

Leesha odpowiedziała uśmiechem.

Na zewnątrz ktoś krzyknął. Abban pokuszył się do okna i wyrzwał na dziedziniec.

– Twoja eskorta już czeka. Pozwól, że odprowadzę cię na dół.

– Co się stało między Ahmannem i Par'chinem, Abban? – zapytała Leesha. Zbyt długo dręczyła ją ta tajemnica, by nie skorzystać z okazji do jej wyjaśnienia. Zielarka czuła, że jeśli nie pozna odpowiedzi teraz, nie pozna jej najpewniej nigdy. – Dlaczego Ahmann wydawał się zły z powodu tego, że wspomniałeś przy mnie imię Par'china? Dlaczego się bałeś, gdy ci powiedziałam, że wspomniałam je Ahmannowi?

Abban spojrział na nią i westchnął.

– Przed chwilą doszliśmy do tego, że bezpieczeństwo mojego pana jest dla mnie cenniejsze od własnej rodziny. Dlaczego więc sądzisz, że narażę je dla Par'china?

– Przysięgam, że odpowiadając na moje pytanie, w żaden sposób nie narazisz Jardira na niebezpieczeństwo – powiedziała Leesha.

– Może tak, a może nie – rzekł Abban.

– Nic z tego nie rozumiem. Obaj twierdzicie, że Arlen był waszym przyjacielem.

Abban uklonił się.

– Był, pani, i z tego właśnie względu zdradzę ci jedno: jeśli znasz syna Jepha i możesz

przekazać mu wieści, powiedz, by zbiegł na skraj świata i jeszcze dalej, ponieważ Jardir bez wahania podąży tam za nim, by go zabić.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ może być tylko jeden Wybawiciel – rzekł Abban. – Zaś Par'chin i Ahmann... cóż, posprzeczali się, kto nim powinien zostać.

\* \* \*

Z Pałacu Luster Abban poszedł prosto do sali tronowej Jardira. On zaś, ledwie ujrzał *khaffit*, natychmiast odprawił doradców, by mogli zostać sami.

– Wyjechała? – zapytał.

Abban pokiwał głową i dodał:

– Niemniej pani Leesha zgodziła się, bym założył faktorię handlową w Zakątku. To ułatwi integrację i zapewni nam cenne kontakty na Północy.

– Dobra robota – skinął Jardir.

– Będę potrzebował ludzi, by eskortować towary – rzekł Abban. – Wcześniej tak ciężkimi zadaniami zajmowali się moi służący, co prawda *khaffit*, ale za to zdrowi i silni.

– Tak jak wszyscy *kha 'Sharum*.

– A więc rozumiesz moje trudności. Żaden *dal 'Sharum* nie posłucha rozkazu *khaffit*, lecz gdybyś pozwolił mi wybrać paru *kha 'Sharum*, bym mógł nimi dysponować dla tych potrzeb, byłbym szczerze zobowiązany.

– Ilu? – zapytał Jardir.

Abban wzruszył ramionami.

– Wystarczy setka. Przecież to drobiazg.

– Żaden wojownik, nawet *kha 'Sharum*, nie zasługuje na to, by zwać go drobiazgiem, Abban.

*Khaffit* uklonił się.

– Oczywiście wypłacę ich rodzinom stosowne sumy z własnego kufra.

Jardir zastanawiał się jeszcze przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Wybierz sobie swoją setkę.

Abban uklonił się tak nisko, jak pozwoliła na to jego laska.

– Czy obietnice, które złożyłaś pani Zakątka, zmieniają twoje plany?

Jardir potrząsnął głową.

– Obietnice nie mają żadnego znaczenia. Moim obowiązkiem nadal jest zjednoczenie ludów Północy na *Sharak Ka*. Wiosną ruszamy na Lakton.

## Dotrzymane przyrzeczenie

333 ROK PLAGI, LATO

– Po co te tratwy, skoro jest tu doskonały most? – zapytała Renna, wskazując zbiorowisko kilku chat i chatynek, zbyt małe, by nazwać je wioską. Przed każdą z nich na falach Rzeki Granicznej kołysała się tratwa, otoczona naznaczonymi runami palami.

W okolicy włóczyło się kilka demonów, sprawdzających siłę barier wokół domów, lecz Renna miała na sobie Płaszcz Ślepoty, a Arlen emanował taką mocą, że wystarczyło mu spojrzeć na demona bądź zgoła syknąć, by ten umknął. Oboje bez przeszkód szli wzdłuż brzegu rzeki.

– Kupcy, którzy nie życzą sobie, by strażnicy na moście przetrząsali ich ładunek, czasami zatrudniają miejscowych przewoźników – rzekł Arlen. – Głównie z powodu tego, że wiozą coś, czego nie powinni. Lub kogoś, kogo nie powinni.

– Możemy więc któregoś wynająć? – zapytała Renna.

– Moglibyśmy – odparł Arlen. – Musielibyśmy jednak poczekać aż do świtu, a potem stawić czoła kolejnym plotkom. W tych stronach co rusz wpadam na kogoś, kto zachowuje się jak idiota tylko dlatego, iż wierzy, że jestem Wybawicielem.

– Nie znają cię tak dobrze jak ja – uśmiechnęła się lekko Renna.

– O, mam! – Arlen wskazał tratwę na tyle dużą, by mogła bez przeszkód pomieścić Nocnego Tancerza. Leżała wyciągnięta na brzeg, a głębokie ślady na piasku wskazywały, gdzie spychano ją co dzień do wody.

Arlen wyciągnął jedną ze swoich złotych monet i podał Rennie.

– Idź i połóż ją przy drzwiach.

– Dlaczego? – spytała Renna. – Przecież trwa nów. Nie zauważy, że ją bierzemy, a nawet jeśli coś usłyszy, to przecież nie wybiegnie zza swojej bariery, by nas pogonić.

– Nie jesteśmy złodziejami, Ren – rzekł Arlen. – Ten człowiek może i jest przemytnikiem, ale ta tratwa to jego jedyne źródło utrzymania.

Renna pokiwała głową, wzięła monetę i położyła ją na progu najbliższej chatki. Arlen zaś przyjrzał się tratwie.

– Ani jednego cholernego runu wodnego! – parsknął ze złością.

Renna podeszła i trąciła jeden z pali.

– Te też są gównem warte. Ma człowiek po prostu szczęście, ot co.

Arlen pokręcił głową.

– Nie umiem tego wyjaśnić. Każdy dziesięciolatek w Potoku rysuje runy lepiej od większości mieszkańców Wolnych Miast, gdzie ludzie od dziecka wierzą, że do naznaczenia durnego parapetu trzeba wezwać licencjonowanego Patrona z Gildii.

– Dasz radę ją zabezpieczyć?

– Runy nie wyschłyby przed świtem – pokręcił głową Arlen.

Renna spojrzała na szeroko rozlane wody rzeki. Mimo że jej oczy były wzmocnione runami, nie była w stanie dostrzec przeciwległego brzegu.

– Co się stanie, jeśli spróbujemy przekroczyć rzekę na niezabezpieczonej tratwie?

– Przy brzegu zazwyczaj czają się ropuszaki – rzekł Arlen. – Najpierw trzeba byłoby uporać się z nimi, choć z drugiej strony trwa nów. – Wzruszył ramionami. – Panują ciemności i nie ma żadnego źródła światła. Mamy więc szansę niespostrzeżenie przedostać się na głębsze wody. Gdy zbliżymy się do przeciwległego brzegu, zacznie już świtać i większość ropuszków umknie już pewnie do Otchłani.

– Co to są ropuszaki?

– Demony brzegowe. Ludzie nazywają je ropuszkami, bo przypominają wielkie żaby, z tym wyjątkiem, że zamiast w muchach gustują w ludziach. Wyskakują z wody i strzelają jęzorami, które oplatają cię i wciągają prosto do paszczy. Jeśli będziesz się szamotać, to zanurkują, by cię utopić.

Renna pokiwała głową i wyciągnęła nóż. Na jej kłykciach zalśniły świeżo wymalowane runy.

– Jaki jest najlepszy sposób na zabicie takiego?

– Włócznią! – rzekł Arlen, ujmując dwie i podając jej jedną. – Patrz.

Powoli podszedł do brzegu i wydał z siebie przeciągły, przenikliwy gwizd. Przez moment wokół panował spokój, gdy nagle woda eksplodowała wysokim gejzerem i wyskoczył olbrzymi otchłaniec o szerokim pysku. Dwie łapy z grubymi, połączonymi błoną pławną palcami uchwyciły się brzegu, a z jego pyska wystrzelił gruby, lepki język.

Arlen bez trudu uskoczył w bok.

Demon zaskrzeczał i wskoczył na brzeg, pokonując jakieś dziesięć stóp za jednym susem. Jego język znów wystrzelił – Arlen po raz drugi uniknął ataku, lecz tym razem przyskoczył do potwora, nim ten zdołał wessać jęzor do paszczy. Szybkim, precyzyjnym pchnięciem

przebił włócznią fałdy grubej skóry podbródka i wepchnął ją głębiej, przekręcając ostro. Gdy wyszarpnął włócznię, poniósł się trzask wylądowań, a magia rozjaśniła noc. Demon padł, a Arlen dźgnął go raz jeszcze, by upewnić się, że jest martwy.

– Cała sztuka polega na tym, by je wywabić na brzeg – rzekł, wracając do Renny. – Jeśli unikniesz pierwszego ataku jężora, ropuszek wyskoczy z wody, by spróbować po raz drugi. Świetnie skaczą, ale ich przednie łapy mają krótki zasięg, krótszy od włóczni. Możesz dźgać z bezpiecznej odległości.

– Mało to zabawne – rzekła Renna, ale złapała za włócznię, podeszła do brzegu i spróbowała gwizdnąć tak jak on.

Spodziewała się, że upłynie chwila, nim pojawi się pierwszy z nich, ale woda eksplodowała niemal natychmiast i język brzegowego demona wystrzelił z odległości ponad tuzina stóp. Piruetem zeszła z linii ataku, ale nie uczyniła tego dostatecznie szybko. Język potwora trafił ją i przewrócił na ziemię.

Nim zdołała się poderwać, demon wyskoczył z wody, wylądował na brzegu i znów wystrzelił. Usiłowała się odtoczyć, ale jężor oplótł ją ciasno i zaczął przyciągać. Renna puściła włócznię i próbowała wbić palce w ziemię, ale bez skutku. Paszcza otchłańca, ogromna, mogąca pochłonąć ją całą, błysnęła rzędami krótkich, ostrych zębów.

Renna zignorowała to jednak i odwróciła się do Arlena, który już biegł w jej stronę.

– Trzymaj się od tego z daleka, Arlenie Bales! – warknęła, zatrzymując go w pół kroku.

Była już niemal w zasięgu kłów demona, gdy niespodziewanie odwróciła się ku niemu. Strząsnęła sandał ze swej wolnej stopy i kopnęła go w szczękę, aż magia rozbłysła. Jężor demona na chwilę poluznił swój uścisk, a Renna obróciła się i przecięła go jednym chłasknięciem noża. Otchłaniec cofnął się, a dziewczyna skoczyła na równe nogi i dźgnęła go w oko. Odskoczyła, by uniknąć agonalnych konwulsji, a potem przypadła doń raz jeszcze i dla pewności wbiła nóż w drugie oko.

Spojrzała wyzywająco na Arlena, prowokując go, by powiedział choć słowo krytyki. Nie odezwał się, ale jego oczy błyszczwały, a w kąciку ust błąkał się uśmiech.

Z chaty dobiegło wołanie, w jednym z okien zapaliło się światło.

– Czas na nas – rzekł Arlen.

\* \* \*

Człowiek znów zmienił miejsce pobytu. Książę otchłańców syknął z frustracji, lecz natychmiast wskoczył na plecy zmiennokształtnego, a ten poderwał się do lotu i ruszył wskazanym tropem.

Książę wiele ryzykował, pozwalając temu człowiekowi przeżyć kolejny cykl, ale nie porzucał nadziei, iż dowie się, w jaki sposób zdobył on moce, które zostały zniszczone tak dawno temu. Co noc zabijał wielką liczbę demonów, ale było to bez znaczenia, podobnie jak

runy, które rozdawał. Nie był zjednoczycielem, jak ten niebezpieczny na Południu.

Ale mógł nim zostać. Wystarczyło, by zawołał, a ludzie błyskawicznie zaczęliby się wokół niego zbierać. Gdyby do tego doszło, mógłby zagrozić Rojowi.

Teraz wracał w pośpiechu na ludzkie tereny rozplodowe. Książę był pewien, że człowiek zacznie wówczas zwoływać innych i rozpocznie jednoczenie, a na to nie mógł pozwolić. Spędził resztę nocy na próbach wytropienia uciekiniera i tuż przed świtem natrafił na rzekę. Aż zasyczał, gdy zdobycz znalazła się w zasięgu wzroku. Niewiele mógł poradzić teraz, gdy lada chwila miało wstać słońce, ale wiedział, że bez trudu odnajdzie go następną noc.

Zmiennokształtny opadł na brzeg rzeki i pochylił się, by książę mógł zejść. Gdy zaczęli się dematerializować, zmiennokształtny warknął cicho, wyczuwając, że jego pan aż drży z niecierpliwości, by zadać śmierć.

\* \* \*

Słońce wstawało, a Renna i Arlen jechali przed siebie, aż kilka godzin później dostrzegli gałąź, do której przybity był stary drogowskaz.

– Nie zatrzymujemy się w mieście? – zapytała dziewczyna.

– Ty umiesz czytać? – zdziwił się Arlen.

– Oczywiście, że nie! Ale nie trzeba umieć czytać, by wiedzieć, co oznacza drogowskaz.

– Racja – rzekł Arlen, a Renna była niemalże pewna, że uśmiecha się w cieniu kaptura. – Szkoda teraz czasu na odwiedzanie kolejnych miast czy wsi. Muszę jak najszybciej wrócić do Zakątka.

– Dlaczego?

Arlen zastanowił się, nim udzielił odpowiedzi.

– Ktoś mi bliski popadł w tarapaty – odparł w końcu. – I myślę, że to moja wina. Za długo zwlekałem z powrotem.

Renna poczuła, jak lodowate zimno zalewa jej serce.

– Kim jest ów ktoś bliski? Kto to taki?

– Ma na imię Leesha – odparł. – Jest Zielarką z Zakątka Wybawiciela.

Renna przełknęła ślinę.

– Ładna? – zapytała i w tej samej chwili przeklęła się za to pytanie.

Arlen spojrział na nią z mieszaniną rozdrażnienia i rozbawienia.

– Czemu czasem mam wrażenie, że oboje mamy po dziesięć lat?

– Ponieważ ja w przeciwieństwie do wielu innych ludzi nie widzę w tobie Wybawiciela – odparła Renna z uśmiechem. – Nikt z nich nie widział twojego wyrazu twarzy, gdy chciałeś pocałować Beni i zderzyłeś się z nią zębami.

– Twój pocałunek był smaczniejszy – przyznał Arlen.

Renna objęła go mocniej w talii, lecz mężczyzna wzdrygnął się.

– Niebawem zjedziemy z traktu – powiedział. – Ostatnimi czasy podróżuje tędy zbyt wielu ludzi. Znam pewną ścieżkę, która zaprowadzi nas do jednej z moich kryjówek, gdzie znajdziemy więcej broni i zapasów. Potem przemierzmy brodem rzekę Angiers i za parę dni staniemy w Zakątku.

Renna pokiwała głową i stłumiła ziewnięcie. Po zabiciu brzegowego demona poczuła przypływ energii, ale moc tak jak zwykle stopniała w blasku słońca. Drzemiała w siodle przez dłuższą chwilę, aż Arlen potrząsnął nią delikatnie.

– Lepiej zeskakuj i załóż swój płaszcz – powiedział. – Robi się ciemno, a od mojej kryjówki dzieli nas jeszcze kilka godzin drogi.

Renna pokiwała głową, a Arlen wstrzymał Nocnego Tancerza. Znajdowali się na względnie otwartej przestrzeni, tu i ówdzie porośniętej wysokimi drzewami iglastymi, mogli więc oboje wędrować pieszo po obu bokach Nocnego Tancerza. Dziewczyna ześlizgnęła się z siodła, a suche gałązki trzasnęły pod jej sandałami. Sięgnęła do sakwy po runiczny płaszcz.

– Nie lubię go nosić – przyznała.

– Mało mnie to interesuje – rzekł Arlen. – Po tej stronie Rzeki Granicznej demony są liczniejsze. Przyciąga je większa liczba wsi i ruin. W koronach drzew aż się roi od drzewnych demonów, które skaczą z gałęzi na gałąź i spadają ci na plecy z góry.

Renna spojrzała w górę, jakby któryś z otchłańców właśnie szykował się do ataku, ale oczywiście żaden jeszcze nie powstał. Słońce dopiero zachodziło.

Cienie stawały się coraz dłuższe i Renna przyglądała się, jak spomiędzy szyszek i igieł zaścielających runo leśne sączy się mgła, która zaczęła się kłębić między drzewami niczym dym buchający z komina.

– Co one robią? – spytała.

– Niektóre materializują się między drzewami, poza zasięgiem wzroku. Zazwyczaj czekają, aż przejdiesz pod nimi, a potem spadają ci na plecy.

Renna przypomniała sobie skalnego demona, którego zabiła w identyczny sposób, i ciałniej owinęła się płaszczem, zerkając we wszystkie strony.

– Jeden jest przed nami – rzekł Arlen. – Przyjrzyj się.

Oddał jej wodze Nocnego Tancerza i wyprzedził ich o parę kroków.

– Nie zdejmiesz swoich szat? – zapytała Renna, ale Arlen pokręcił głową.

– Pokażę ci sztuczkę – powiedział. – Nie trzeba sobie tatuować skóry, żeby się jej nauczyć.

Renna przyglądała się w napięciu. Przeszli jeszcze parę kroków, gdy nagle, zgodnie z jej oczekiwaniami, nad ich głowami rozległ się szelest i demon o skórze przypominającej korę runął z gałęzi prosto na plecy Arlena.

Ten jednak był gotowy. Obrócił się, zanurkował pod pachą spadającego demona i od tyłu pochwycił go za pysk. Zawirował, pozwalając, by pęd demona złamał mu z trzaskiem kark.

– Niewiarygodne – sapnęła Renna.

– Jest na to kilka sposobów. – Arlen wbił wytatuowany palec w oko potwora, by upewnić się, że otchłaniec nie żyje. – Niemniej zasada zawsze pozostaje taka sama. *Sharusahk* opiera się na wykorzystaniu siły przeciwnika przeciwko jemu samemu, podobnie zresztą jak działają runy. Tylko dzięki tym zasadom Krasjanie przetrwali tyle wieków, walcząc co noc w *alagai'sharak*.

– Skoro są tacy dobrzy w zabijaniu demonów, dlaczego tak bardzo ich nienawidzisz? – zapytała Renna.

– Nie żywię nienawiści do Krasjan – rzekł Arlen i umilkł na chwilę. – Nie do wszystkich w każdym razie. Niemniej ich filozofia, mówiąca, że każdy człowiek, który nie jest wojownikiem, staje się niewolnikiem, po prostu jest niewłaściwa. Zwłaszcza gdy się ją wprowadza włócznie wśród Thesan.

– Co to takiego, ci Thesanie? – zapytała Renna.

Arlen spojrzał na nią ze zdumieniem.

– To my. My wszyscy, wszystkie Wolne Miasta. I naprawdę zależy mi, by właśnie takie pozostały. Wolne.

\* \* \*

Człowiek pokonał znaczną odległość, podczas gdy księżę musiał czekać końca dnia w Otchłani, ale zmiennokształtny szybko przemierzał niebiosa i nie upłynęło wiele czasu, gdy dostrzegł swą ofiarę, prowadzącą konia przez kępę drzew. Demon umysłu zatoczył kilka kręgów, przyglądając się atakującym człowieka drzewnym demonom. Człowiek zabijał szybko i sprawnie, nawet nie zwalniając kroku.

Czaszka księcia zapulsowała i zmiennokształtny zanurkował między drzewa. Jego skrzydła stopniały, gdy przybrał kształt ogromnego drzewnego demona. Złapał za konar, zakotłosał się i pomknął, przeskakując zwinnie z gałęzi na gałąź, nadal niosąc swego pana.

Przycupnął wysoko, przyglądając się, jak nadchodzi jego zdobycz. Nie było ani śladu samicy, choć demon umysłu nie przypominał sobie, by jej ślad gdzieś się urwał. Zaczął węszyć. Tak, jeszcze nie tak dawno znajdowała się gdzieś w pobliżu, choć na razie nigdzie jej nie wyczuwał.

Szkoda. Można by ją wykorzystać przeciwko niemu, a ponadto jej umysł był smakowicie pusty, choć przyprawiony sporą dawką wściekłości. Warto będzie zapolować na nią, gdy już pożre umysł tego człowieka.

\* \* \*

– Kolejny drzewny demon przed nami – westchnął Naznaczony, gdy w polu widzenia pojawił się chyba już ósmy stwór w tej godzinie. Był większy od pozostałych, tak ogromny,



iż gałęzie drzewa ledwie utrzymywały jego ciężar. Rozmiarami przypominał wręcz skalnego demona.

– Mogę spróbować się z tym? – spytała Renna.

Naznaczony pokręcił głową. Zerknął na towarzyszkę, ale minęła dłuższa chwila, nim zdołał ją odszukać wzrokiem. Od patrzenia na runiczny płaszcz kręciło mu się w głowie i jeśli nie był skupiony, potrafił przeczesać okolicę wzrokiem i jej nie dostrzec.

– Musisz się przespać, gdy dotrzemy do mojej kryjówki – rzekł. – Jeśli nabuzujesz się magią, nigdy ci się to nie uda.

– A ty? – zapytała Renna.

– Muszę się jeszcze dziś zająć runami. Wyśpię się po dotarciu do Zakątka – odparł, kątem oka przyglądając się przyczajonemu demonowi.

Drzewny demon nie czekał jednak, aż przejdą pod nim – zeskoczył na ziemię i po prostu rzucił się na niego. Było to całkiem niespodziewane posunięcie, ale Naznaczony nadal miał mnóstwo czasu na unik, złapanie bliższego ramienia potwora i wykorzystanie jego impetu przeciwko niemu.

Musiał jednak źle ocenić długość jego kończyn, ponieważ nie zauważył pazurzastej stopy, która pochwyciła go za nogawkę i szarpnęła, zbijając z nóg. Obaj ciężko padli na ziemię i otchłaniec odtoczył się w bok, by po chwili znów skoczyć na równe nogi.

Stanęli twarzami do siebie i Naznaczony natychmiast zrozumiał, że ten demon jest inny niż reszta. Okręzał go cierpliwie, szukając odpowiedniej okazji. Naznaczony kilkakrotnie opuścił wzrok lub udał, że chce odejść, prowokując w ten sposób atak, ale otchłaniec nie pochwycił przynęty i dalej wpatrywał się w niego czujnie.

– Spryciarz – mruknął mężczyzna.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała Renna, sięgając po nóż.

Naznaczony zaśmiał się.

– Prędzej Otchłań nawiedzi mróz, nim ja będę potrzebował pomocy w zabiciu pojedynczego drzewnego demona.

I zabrał się do odpinania szaty.

Otchłaniec warknął i zaatakował, nim Arlen zdołał się rozebrać. Naznaczony padł na plecy i kopnął stwora równie potężnie jak Nocny Tancerz, ale ramiona potwora niespodziewanie przeistoczyły się w macki brzegowego demona i oplótły go szczelnie. Ich twarde rogowe końcówki wbijały się w ciało, a przyssawki wpijały w szatę, przytrzymując ją i tym samym przesłaniając runy. Paszcza potwora również zdawała się rosnąć, aż przybrała rozmiary pyska brzegowego demona, który mógłby pochłonąć człowieka.

Naznaczony grzmotnął demona głową, trafiając w jego dolną szczękę runem impetu na swym czole. Rozległ się błysk, a demon zawył, tracąc kilka zębów, lecz miał przecież jeszcze całe setki. Ponadto nawet nie poluźnił chwytu. Naznaczony wraz z ciosem wypuścił z płuc powietrze, by nagle odkryć, że nie jest już w stanie nabrać tchu.

Czuając, że zaczyna się dusić, zdobył się jeszcze na przeraźliwy gwizd, który przywołał Nocnego Tancerza. Rumak targnął łbem, wyrwał wodze z ręki Renny i ruszył do szarzy z opuszczonymi rogami. Wśród rozbłysków magii i gejzerów czarnej posoki przeorał nimi ramię potwora, który wrzasnął z bólu i poluźnił uścisk. Naznaczony odtoczył się, łapiąc z trudem oddech.

Ciało otchłanica zaczęło topnieć, uwalniając się tym samym z rogów Nocnego Tancerza, a potem zaczęło błyskawicznie przyrastać. Jego pancerz przekształcał się i zmieniał kolor, aż potwór stał się skalnym demonem. Nie spuszczać wzroku z Naznaczonego, zamachnął się pazurzystą łapą w ogiera.

Nawet bez zbroi i juków Nocny Tancerz ważył prawie tonę, ale cios potwora posłał go w powietrze. Uderzył w pień jakiegoś drzewa z głośnym trzaskiem, trudno było powiedzieć, czy to pękł jego pień, czy może kręgosłup konia.

– Tancerzu! – wrzasnął Naznaczony, zdzierając z siebie szatę i rzucając się na demona. Renna podbiegła do konia.

Ciosy Naznaczonego wstrząsnęły ogromnym otchłanicem, który zaczął się cofać, ale rany zadane mu przez rogi Nocnego Tancerza były już zagojone, a ciosy człowieka wydawały się nie sprawiać mu większej różnicy. Jego ciało pulsowało wokół wypalonych śladów i rany natychmiast zniknęły.

W końcu Naznaczony przewrócił stwora, który padł na jedno ramię, ale potężnymi pazurami drugiego uderzył w podłoże, zasypując człowieka ogromną ilością ziemi i wilgotnych liści. Przed takim atakiem mężczyzna nie był w stanie się uchylić, musiał przyjąć pełen impet uderzenia. Błyskawicznie poderwał się, ścierając brud ze skóry, ale wiedział, że wszędzie tam, gdzie zostały smugi, runy stały się słabsze, jeśli w ogóle jeszcze działały.

Podobnie jak otchłaniec Naznaczony nie odniósł jeszcze żadnej poważnej rany. Nie miał też najmniejszego zamiaru pozwolić, by potężny demon uciekł. Znów zatoczyli wokół siebie krąg, obnażając zęby i warcząc. Jedno z ramion potwora przeobraziło się w tuzin macek, z których każda liczyła sobie co najmniej dziesięć stóp długości i kończyła się ostrym rogiem.

– Na noc, z której części Otchłani żeś ty wylazł? – zapytał Naznaczony, ale zmiennokształtny nie odpowiedział. Miast tego machnął swymi nowymi odnóżami.

Naznaczony umknął w bok, przetoczył się i poderwał, by znów przypaść do otchłanica. Pod jego pachą dostrzegł szczelinę między płytami pancerza – błyskawicznie wykorzystał sytuację i wbił tam sztywne palce uzbrojone w runy przebijania, usiłując naruszyć jakiś witalny organ.

Otchłaniec wrzasnął i targnął się, a fragment ciała, w który Naznaczony wbił dłoń, zaczął topnieć. Dopiero wtedy, gdy wszedł w bezpośredni kontakt z demonem, uświadomił sobie w pełni, co ten przez cały czas robił. Demon materializował się i przekształcał w ten sam sposób co każdy inny otchłaniec lub nawet on sam. Sęk tkwił w tym, że potrafił się przekształcać na tysiąc rozmaitych sposobów. Odkrycie to otworzyło przed Naznaczonym tysiące nowych

możliwości, zbyt wiele, by był w stanie ogarnąć je umysłem. Odepchnął kotłujące się myśli na bok niczym natrętną muchę i skupił się na swym wrogu.

Demon przekształcał się błyskawicznie i Naznaczony wiedział, że został mu tylko ułamek sekundy na reakcję. Bez wahania sam się zdematerializował i wtargnął lekko swym półprzezroczystym ciałem w otchłańca, by uniemożliwić mu materializację. Dla niego demon nadal był realnym, istniejącym przeciwnikiem, choć wrzask Renny zdawał się dobiegać z wielkiej odległości. Arlen wyobrażał sobie, jak dla dziewczyny musi wyglądać to starcie – obaj przeciwnicy rozplýwali się, nikli, przypominali wręcz duchy, a ona nic nie mogła na to poradzić.

Walczył już kiedyś w ten sposób z innym demonem i wiedział, że w tym stanie jego siła i runy są pozbawione znaczenia. Źródłem jego prawdziwej mocy była tu siła woli, a Naznaczony wierzył w to, że była ona potężniejsza od siły woli każdego demona.

Skupił się na cząstkach zmiennokształtnego, roztrącając je, rozpraszając, rozganiając tylko pragnieniem wyrażonym myślą. Niespodziewanie wyczuł strach swego przeciwnika, a wtedy uderzył w niego własnym gniewem i wściekłością, niszcząc jego opór niczym rodzic karzący nieposłuszne dziecko.

W chwili gdy poczuł, jak wola zmiennokształtnego ostatecznie pęka, uderzyła w niego inna, tysiąc razy silniejsza.

\* \* \*

Księżę otchłańców przywarł do czubka drzewa wysoko nad bitwą, ale przyglądał jej się oczyma zmiennokształtnego, wydając swemu podwładnemu polecenia.

W walce z każdym innym przeciwnikiem osiągnąłby szybkie, łatwe zwycięstwo, gdyż potrafił odczytać myśli adwersarza i dzięki temu kontrować jego ataki, nim ten w ogóle je przypuści. Myśli tego człowieka były jednak chronione runami, przez co demon nie znał jego zamiarów. Mimo to zmiennokształtny i tak by zwyciężył, gdyby człowiek nie zrobił czegoś, czego nawet demon się nie spodziewał.

Zdematerializował się.

Księżę otchłańców nigdy nie widział niczego podobnego, nigdy też nie przyszłoby mu do głowy, że stworzenie żyjące na powierzchni jest w stanie czegoś takiego dokonać. Przez moment poczuł ukłucie strachu.

Niepewność trwała zaledwie krótką chwilę, gdyż człowiek przełamał opór zmiennokształtnego i wtargnął w umysł demona. Runy nie działały w stanie przejściowym, o czym wiedział każdy nieopierzony jeszcze księżę. Człowiek pozbawił się broni jak ostatni głupiec.

Nim człowiek zdążył się otrząsnąć z zaskoczenia, demon wbił się głębiej w jego umysł i wtedy, wreszcie, po długim polowaniu, w pełni poznał swego przeciwnika, zanurzył się w

strumieniach jego wspomnień. Wtargnięcie przepeliło człowieka skrajnym przerażeniem, ale nie był w stanie go powstrzymać. Jego bezsilna wściekłość była dla księcia wprost upajająca.

Wtedy człowiek zaskoczył go ponownie. Ktoś słabszy od niego zawahałby się, ustąpił, ale ten porzucił desperackie, nieskuteczne próby obrony pamięci i wbił się myślami w strumień świadomości księcia, wtargnął w jego jestestwo. Zaskoczony zaciekłością ataku demon umysłu nie zdołał się obronić i człowiek przełamał jego opór. Połączyli się i minęła chwila, nim książę skupił się i przeciął więź.

Gdy jego umysł się wyzwolił, człowiek zmaterializował się, zmuszając zmiennokształtnego, by zrobił to samo.

– Renna! – wrzasnął.

Książę z zaskoczeniem zauważył, jak powietrze zaczyna falować i znikąd pojawia się samica, która przypada do zmiennokształtnego i wbija weń swój runiczny nóż.

Demon zignorował wycie sługi, przyglądając się zniekształceniom powietrza i szacie, falującej, gdy samica biegła. Cóż za potężne runy, skoro ukryły ją nawet przed wzrokiem księcia!

Po materializacji runy mentalne odzyskały swą moc, niemniej stracił kontrolę nad zmiennokształtnym. Książę nakazał słudze, by go odepchnął, a potem rzucił się na samicę, zdał z niej szatę i przygniótł do ziemi.

Gdy człowiek poderwał się na równe nogi, ujrzał przed sobą dwie samice, identyczne zarówno w zachowaniu, jak i w działaniu. Książę połączył ich umysły, by zmiennokształtny mógł idealnie naśladować jej ruchy, a potem puścił gałąź i opadł na ziemię, cicho i lekko niczym wirujący liść.

\* \* \*

Naznaczony zamrugał, widząc przed sobą dwie Renny Tanner, identyczne jak dwie krople wody, zgadzał się nawet stopień spłowienia runów wymalowanych wyciągiem z czarnego korzenia. Wpatrywały się w niego identycznymi oczyma, miały na sobie identyczne podarte szaty, trzymały identyczny nóż. Emanowały nawet tą samą magią.

Przypadł do boku Nocnego Tancerza, usiłując zignorować ciężki, chrapliwy oddech konia. Porwał swój wielki łuk, nałożył strzałę na cięciwę i zawahał się, nie wiedząc, w którą wycelować.

– Arlen, to ona jest demonem! – zakrzyknęły obie chórem, wskazując siebie nawzajem.

Spojrzały po sobie w szoku i odwróciły się ku niemu.

– Arlenie Bales! – oznajmiły, biorąc się pod boki tak, jak Renna zwykła to czynić, gdy była wściekła. – Tylko nie mów, że nie potrafisz mnie odróżnić od zwykłego otchłańca!

Naznaczony spojrzał przepraszająco i wzruszył ramionami. Dwie pary lśniących brązowych oczu wpatrywały się w niego groźnie.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego tamtej nocy musiałem bawić się z wami w buziaki?

Obie Renny rozpromieniły się, słysząc pytanie.

– Bo przegrałeś w grze! – odparły chórem i znów spojrzały po sobie z przerażeniem.

Naznaczony skupił się, przyglądając obu naraz.

– A jak przegrałem?

Renny zawahały się i spojrzały na niego.

– Beni oszukiwała – przyznały jednocześnie. W oczach ich obu pojawił się morderczy błysk, obie odwróciły się ku sobie, unosząc noże.

– Przestańcie! – Naznaczony uniósł łuk. – Dajcie mi chwilę!

Obie spojrzały nań z irytacją.

– Niech to szlag, Arlen, daj mi zabić to cholerstwo i miejmy to już z głowy!

– Jest od ciebie silniejszy – rzekł Naznaczony i obie kobiety spojrzały nań złowrogo. – Prawdziwa Renna posłuchałaby mnie – dodał.

Obie odrzuciły głowy w tył i wybuchnęły głośnym śmiechem, ale nie kwapiły się, by zaatakować się nawzajem. Naznaczony pokiwał głową.

– Równie dobrze możesz już wyleźć! – wykrzyknął głośno. – Wiem, że tam jesteś! Ten zmiennokształtny nie jest aż taki sprytny!

W oddali zaszeleściły liście i pojawił się demon. Był drobny, smukły, z wielką głową i wysokim, pulsującym czołem. Oczy miał czarne i ogromne, bez śladu źrenic, a gdy uniósł wargę, ujrzeli tylko jeden rząd ostrych zębów. Szpony na końcu jego delikatnych palców były równie smukłe jak pomalowane paznokcie angieriańskiej damy.

– Ciekaw byłem, kiedy się natknę na któregoś z was, wy przeklęte knypki – rzekł Naznaczony i postukał wielki run wytatuowany na środku czoła. – Przygotowałem go specjalnie na tę okazję.

Demon przekrzywił głowę, przyglądając mu się. Obie Renny zeszywniały lekko.

– Twój umysł jest chroniony, ale umysł twojej samicy nie – powiedziały obie Renny chórem, a demon nie przestawał mu się przyglądać. – Możemy ją zabić w każdej chwili.

Naznaczony napiął łuk i wypuścił strzałę, ale demon zdążył nakreślić run w powietrzu. Rozbłysk magii spopielił pocisk, nim trafił w cel. Naznaczony znowu przygotował się do strzału, ale uświadomił sobie, że w ten sposób nie pokona demona umysłu. Opuścił łuk, zwalniając cięciwę.

– Czego chcesz? – zapytał.

– A czego chce twój rumak od insektów, które odpędza ogonem? – zapytały obie Renny.  
– Jesteś tylko drobnym utrapieniem, niczym więcej.

– No, to chodź – zadrwił Naznaczony. – Zobaczymy!

Renny pokręciły jednak głowami.

– W swoim czasie. Nie masz sług, którzy by zasłonili cię własnymi piersiami, podczas

gdy ja mam ich wielu. Wkrótce otworzę twoją czaszkę i wyjem twój mózg, ale póki co mam ochotę na trochę zabawy. Przyjemnie się patrzy, jak targujesz się o swoją samicę.

– Powiedziałeś, że nie mam niczego, na czym by ci zależało – rzekł Naznaczony.

– To prawda, nie masz – zgodziły się Renny. – Ale oddanie tego, co chciałbyś ukryć, sprawi ci wiele bólu, przez co twój mózg stanie się jeszcze słodszy.

Naznaczony zmrużył oczy.

– Gdzie się o nas dowiedziałeś? – zapytały obie Renny.

Naznaczony spojrział na nie, a potem znów na demona umysłu.

– A niby dlaczego mam ci to zdradzić? Nie wyrwiesz ode mnie tego sekretu, a ona go nie zna.

Renny uśmiechnęły się.

– Wy, ludzie, jesteście niezmiernie wrażliwi na punkcie waszych samic. Tę wadę celowo zaszczerpiono waszym przodkom. Zdradź nam wszystko albo ona umrze.

Obie uniosły identyczne noże i podeszły do siebie. Każda przyłożyła klingę do gardła drugiej.

Naznaczony uniósł łuk i znów się zawahał.

– Mógłbym ustrzelić jedną z nich. Mam połowę szans na to, że zabiję twojego zmiennokształtnego.

Kobiety wzruszyły ramionami.

– To tylko niewolnik. Samica jednakże ma dla ciebie wielkie znaczenie. Będziesz cierpiał, gdy umrze.

– Wielkie znaczenie? – zapytały Renny, a Naznaczony odwrócił się ku nim. W ich oczach dostrzegł strach i rozpacz.

– Przykro mi, Ren – rzekł. – Nie chciałem, by do tego doszło. Ostrzegałem cię.

Obie pokiwały głową.

– Wiem. To nie twoja wina.

Naznaczony uniósł łuk.

– Tym razem nie uda mi się cię uratować, Ren. – Przełknął grudę w gardle. – Nie udałoby mi się, nawet gdybym wiedział, która z was jest prawdziwa.

Renna zdusiła szloch, a Naznaczony niemalże czuł przyjemność demona umysłu.

– A więc będziesz musiała okazać się silna i ocalić się sama – rzekł. – Ponieważ ten potwór to samo zło i nie pozwolę mu uciec.

Demon umysłu zeszywniał, uświadamiając sobie w pełni, co oznaczają jego słowa, ale było już za późno. Naznaczony niespodziewanie odrzucił łuk i skoczył ku niemu, w ułamku sekundy pokonując dzielącą ich odległość. Nim zdołał rozkazać Rennie i zmiennokształtnemu, by się pozabijali, pięść z wytatuowanymi runami grzmotnęła księcia w ogromną głowę. Magia eksplodowała.

Siła uderzenia odrzuciła smukłego demona na kilkanaście stóp. Wylądował na plecach,

sycząc z wściekłości. Jego skroń pulsowała, Naznaczony czuł mrowienie słanej przez nią mocy, choć ta nie wyrządziła mu żadnej szkody.

Za jego plecami rozległ się wrzask zmiennokształtnego, ale zignorował go, znów skacząc na demona, przygważdżając go do ziemi i zasypując gradem ciosów. Rany zasklepiały się błyskawicznie, ale nie ustawał, chcąc, by nie doszedł do siebie do chwili, gdy wreszcie znajdzie sposób, by go zabić. Gdyby się zdematerializował, był już gotowy na pojedynek siły woli.

Ale demon umysłu ani myślał się rozplątać, być może obawiając się kolejnego ataku na swe myśli. Z każdym ciosem Naznaczonego był coraz bardziej otumaniony, a dojście do siebie zabierało mu ułamek sekundy dłużej. W końcu Naznaczony założył mu chwyt *sharusahk*, chcąc go udusić, a runy parcia na jego przedramieniu rozgrzały się, paląc jego gardło, napętniając ciało człowieka mocą. Czuł, że opór potwora lada chwila się załamie.

I w tym momencie na mężczyznę spadł wichrowy demon, roztrącając ich. Naznaczony wskoczył na niego i z całej siły uderzył go w gardło, pozbawiając przytomności. Nim zdążył się obejrzeć, spadł nań drzewny demon. A po nim kolejne.

\* \* \*

Więź ze zmiennokształtnym przerwała się, gdy umysłem księcia wstrząsnęło uderzenie człowieka. Nigdy w życiu nie doznał tak potwornego bólu. Przez dziesięć tysięcy lat, odkąd został zrodzony, żadne stworzenie nigdy nie ośmieliło się uderzyć księcia otchłańców. Była to zbrodnia nie do pomyślenia.

Uderzył mocno o ziemię i natychmiast rozesłał sygnał alarmowy. Wiedział, że niewolnicy zbiegnę się ze wszystkich stron. Zmiennokształtny odpowiedział wrzaskiem, ale nie pospieszył z pomocą, a człowiek dopadł go i zaczął zadawać ciosy wytatuowanymi kończynami.

Książę, który przywykł toczyć walki za pośrednictwem swego zmiennokształtnego sługi, był całkowicie nieprzygotowany na ból i gwałtowność fizycznego starcia. Człowiek nie pozwalał mu dojść do siebie, a potem zarzucił nań swą kończynę i zaczął go dusić w najprymitywniejszy ze wszystkich sposobów. Jego runy zaktywowały się, zasysały moc księcia i obracały ją w ból.

I z pewnością byłby doczekał swego końca, gdyby jego wezwania nie usłuchał wreszcie wichrowy niewolnik, który wpadł na człowieka, odtrącił go i zerwał jego chwyt. Za nim pospieszyły inne, gromadząc się w obronie swego pana. Książę błyskawicznie zaleczył rany i zasyczał z wściekłości, nie mogąc przeboleć afrontu. Pchnął kolejny sygnał, nakazując demonom zmiążyć go, stratować, rozerwać na strzępy. Wyczuł, jak całe tuziny niewolników w bezpośredniej odległości ruszają mu z odsieczą, ale ze zdumieniem uświadomił sobie, że zmiennokształtny nadal jest nieobecny.

Człowiek odepchnął drzewne demony i rzucił się ponownie na księcia, ale tym razem stwór był już przygotowany. Nakreślił w powietrzu run, który eksplodował i cisnął w człowieka falę powietrza. Ten przetoczył się po polanie, a nim powstał, znów otoczony był przez drzewne demony. Na rozkaz księcia odłamały gałęzie z drzew, by wykorzystać je jako broń, przeciwko której nawet zabrudzone runy zakazu były całkiem bezsilne.

\* \* \*

To, że demon naśladował jej słowa i ruchy, przeraziło Rennę do granic, ale prawdziwe obrzydzenie obudziło w niej to, że demon umysłu przejął również jej głos. Uświadomiła sobie bowiem, że siedział w niej od pewnego czasu, niczym pasażer na gapę, który nagle opanowuje przemocą wóz.

Był to niewyobrazalny wprost gwałt, gorszy od wszystkich krzywd, które wyrządził jej Harl. Było to gorsze od zamknięcia w wychodku, gorsze od przywiązania do pala. Czowała, jak demon wprost orze jej myśli i wyłuskuje z nich najcenniejsze i najbardziej osobiste wspomnienia, by wykorzystać je przeciwko Arlenowi.

Poczuła przepelniającą ją wściekłość i w tej samej chwili odkryła, że jej reakcja sprawiła demonowi przyjemność.

„To nie pierwszy raz – szepnęła w jej myślach. – Wchodziłem w ciebie wielokrotnie”.

Spojrzała na Arlena i z rozpaczą dostrzegła rezygnację w jego oczach. Sądziła, że wystarczy jej siła, by iść tą drogą, że zdoła osiągnąć wszystko, czego pragnie, ale udowodniono jej, że kłamie. Mogła teraz tylko doprowadzić do tego, że zostanie zabity.

Zdusiła w sobie szloch i spróbowała unieść nóż, by wbić go we własne gardło, ale demon umysłu zawiądnął ją niczym Minstrel kukielką, nie była w stanie wykonać ruchu wbrew jego woli. Nawet gdyby Arlen odgadnął prawidłowo i zdołał zabić zmiennokształtnego, księżę równie łatwo nakazałby jej, by wbiła sobie sztylet w serce, a ona nie mogłaby nie posłuchać. Chciała go ostrzec, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Niespodziewanie spojrzenie Arlena uległo zmianie, jakby nagle podjął nową decyzję. Spojrzał na nią z zaufaniem, jakim nigdy dotąd jej nie obdarzył.

– A więc będziesz musiała okazać się silna i ocalić się sama – rzekł. – Ponieważ ten potwór to samo zło i nie pozwolę mu uciec.

Jej strach niespodziewanie znikł, wzrok stwardniał. Pokiwała głową i nagle poczuła, jak demon zeszytniał, pojmując znaczenie słów Arlena w tej samej chwili co Renna. Otchłaniec próbował zareagować, ale nie był wystarczająco szybki. Arlen zaś uderzył go w głowę z ogromną siłą, a rozbłysk magii rozświetlił ciemności.

Demon nagle umknął z jej umysłu. Renna rozejrzała się oszołomiona i zdezorientowana. Zerknęła na zmiennokształtnego, który nadal przybierał jej postać. Zatoczył się podobnie jak ona, oderwany nagle od umysłu księcia.



Zacisnęła dłonie na rękojeści ojcowskiego noża, warknęła i doskoczyła do potwora, wbijając ostrze w jego odsłonięty pas. Otoczyła go wolnym ramieniem i przycisnęła, a wymalowane czarnym tuszem runy zapłonęły. Magia przeszła jej ciało, użyczając jej nowych sił. Przeciągnęła nożem ku górze, rozcinając ciało demona od pępka po szczękę.

Ciało zmiennokształtne mogło przypominać jej własne z zewnątrz, lecz czarna, cuchnąca posoka, która z niego buchnęła, nie miała nic wspólnego z ziemskim światem.

Spojrzała na jego twarz, na tę samą twarz, którą oglądała dziesięć tysięcy razy nad lustrem wody. Omal nie zapłakała na widok bólu w oczach, ale wtedy twarz wybrzuszyła się, rozciągnęła w pysk podobny psiemu, a kły zaczęły się wyciągać. Bestia zasyczała.

Zmiennokształtny rzucił się na nią, a Renna obróciła się, wykorzystując jego impet przeciwko niemu, tak jak nauczył ją Arlen. Wolną ręką złapała jego gruby warkocz, szarpnęła nim ku górze i odsłoniła kark. Zyskała naraz mnóstwo energii, by wykonać półobrót i bez wysiłku ciąć po nim nożem.

I nagle walka dobiegła końca. Ciało demona bez życia opadło na ziemię, a ona sama uświadomiła sobie, że trzyma za włosy swą własną głowę. Z przeciętej szyi ściekała czarna krew. Wciągnęła powietrze, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że to pierwszy oddech od wielu godzin.

Uniosła spojrzenie, spodziewając się ujrzeć martwego demona umysłu u stóp Arlena, ale zamiast tego ujrzała go otoczonego przez drzewne demony uzbrojone w grube konary. Demon umysłu zaś wycofał się dalej. Otchłańce nie zwróciły na nią najmniejszej uwagi, skupiając się tylko i wyłącznie na Arlenie.

Renna rozejrzała się, rzuciła oderżniętą głowę na ziemię i pochwyciła runiczny płaszcz. Zmiennokształtny rozdarł jedynie wiązania przy szyi, poza tym szata wydawała się nietknięta. Wepchnęła nóż do pochwy, zarzuciła płaszcz na ramiona, skryła twarz pod kapturem i ściągnęła go obiema dłońmi od środka.

Powstała ostrożnie i ruszyła powolnym, równym krokiem ku starciu, by runy zyskały największą moc. Jeden z drzewnych demonów uderzył Arlena przez plecy, ten krzyknął głośno i padł na ziemię, plując krwią. Inne demony naskoczyły nań w ślad za pierwszym i Arlen odtoczył się w desperackiej próbie uniknięcia ich ciosów, ale udało mu się to tylko częściowo.

Pragnęła rzucić się Arlenowi na pomoc, ale w głębi serca wiedziała, że mężczyzna sobie tego nie życzy. Demon umysłu znów wyprostował się śmiało, nie zamierzał uciekać. Renna uzmysłowiła sobie, że jego śmierć byłaby więcej warta niż życie Arlena czy jej.

\* \* \*

Trafiła go kolejna zaimprovizowana maczuga i Naznaczony poczuł, jak pękają mu zębra. Poczul w ustach ohydłą mieszaninę żółci oraz krwi i wypluł ją na ziemię.

Nim się pozbierał, trafił go kolejny cios. Odtoczył się, by uniknąć trzeciego i czwartego, ale nie zdołał się poderwać, a piąte uderzenie trafiło go prosto w twarz, rozdzierając policzek i wrywając z oczodołu gałkę oczną, która zwisała na ścięgnie. Uderzenie rozbrzmiało echem w jego głowie, przytłumiając wszelkie inne odgłosy.

Zostało mu tylko jedno oko, mimo to uniósł głowę i ujrzał, jak kilka innych demonów zamierza się na niego w tej samej chwili. Przez głowę przemknęło mu, iż być może przyszedł na niego czas, lecz nagle oprzytomniał i przeklął się za głupotę.

Opadające maczugi przecięły tylko mgłę. Zdematerializowany Naznaczony wymknął się z kręgu i powrócił do swej postaci za plecami któregoś z demonów. Jego rany zagoiły się błyskawicznie. Kopnął w nogę demona, chcąc, by stracił równowagę, jednocześnie pochwycił go za rogi i wykorzystał impet upadku, by skrócić mu kark. Skoczył na kolejnego i wbił mu kciuki w oko. Trzeci zamierzył się nań maczugą, lecz Naznaczony zdążył przejść w niematerialną postać i demon trafił jedynie swego oślepionego pobratymca. Odzyskał postać w innym miejscu, wyprostował palce i z całej siły wepchnął je w szczelinę w korowatym pancerzu kolejnego przeciwnika. Palce wbiły się w serce, które eksplodowało niczym orzech wrzucony do ognia.

Wiedział od dawna, że nie istnieje broń, która mogłaby okazać się dlań niebezpieczna – pod warunkiem, że widział, z której strony pada cios – lecz teraz uświadomił sobie coś więcej. Każda rana, nie licząc śmiertelnej bądź trwałego okaleczenia, zostanie uleczona w okamgnieniu, a otaczające go otchłānce są równie groźne jak muchy, które trzeba odpędzić z drogi. Nie były na tyle bystre, by samym wykorzystać sztukę dematerializacji jako broń, zaś demon umysłu nie będzie się kwapił, by wydać im ten rozkaz, chyba że chce znów zetrzeć się z jego wolą na innej płaszczyźnie.

Zignorował więc pozostałe drzewne demony, przemknął między nimi niczym duch i powrócił do swej materialnej postaci, dopiero gdy znalazł się tuż przed księciem. Spojrzał na niego i nagle ogarnęła go fala słabości. Wiara w siebie, która przepęlniała go jeszcze chwilę temu, znikła, gdy uzmysłowił sobie, że dopiero co odkrywa moce, które demon zna od tysięcy lat. Ten zaś obnażył kły i uniósł palec, chcąc nakreślić run w powietrzu.

Lecz wtedy z jego klatki piersiowej wystrzelił czubek noża, eksplodując magią. Słabość opuściła go w jednej chwili – ujrzał, jak Renna odrzuca swój płaszcz i otacza gardziel potwora wolną ręką, a runy kontaktu rozmieszczone wzdłuż ostrza nabierają mocy.

Księżę Otchłani wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Naznaczony nie wahał się ani sekundy dłużej – doskoczył doń i zasypał gradem ciosów. Renna zaś puściła nóż i zarzuciła mu na szyję naszyjnik z otoczaków. Runy zapłonęły, demon rozwarł paszczę, jakby chciał zawrzasać, ale nie wydobył się z niej żaden dźwięk. Miast tego jego skronie zaczęły pulsować i fala wibrującego dźwięku uderzyła w Naznaczonego, przewracając go niczym ostry wiatr.

Renna najwyraźniej niczego nie dostrzegała, ale wszędzie dookoła nich i pewnie dużo,

dużo dalej otchłańce zaczęły wrzeszczeć z bólu. Jakiś wichrowy demon spadł z nieba, z trzaskiem łamiąc gałęzie drzewa, aż padł martwy na ziemię. Drzewne demony, które jeszcze przed chwilą go atakowały, padły jak rażone trupem, zabite nadnaturalnym wrzaskiem księcia.

Który niespodziewanie znikł.

\* \* \*

Księżę otchłańców nie znał uczucia strachu. Nigdy dotąd nie zaznał też bólu. Wznosił się ponad te rzeczy, zdarzało mu się jedynie smakować ich w pożeranych mózgach. Traktował je wówczas jak najpyszniejsze smakołyki.

Śmierć zmiennokształtnego i sztylet w jego klatce piersiowej były jednak przerażająco realne, podobnie jak sznur zaciskający się wokół jego szyi i brutalne ciosy, które uniemożliwiły mu ponowne objęcie władzy. Wrzeszczał i czuł, jak umysły niewolników dookoła niego płoną z bólu.

Nie miał więc wyboru. Wykorzystał jeden krótki moment nieuwagi swego prześladowcy, zdematerializował się i czmychnął do Otchłani. Już wiedział, że musi bezzwłocznie przywiązać do siebie nowego zmiennokształtnego i nabrać sił przed kolejnym cyklem, kiedy to powróci na powierzchnię ziemi z zastępem demonów, jakich nie widziano od mileniów.

\* \* \*

Renna wrzasnęła, a Naznaczony obrócił się błyskawicznie i ujrzał, jak księżę wyparowuje, przeistacza się w mgłę, którą zassała najbliższa ścieżka do Otchłani.

Instynktownie rzucił się za nim.

– Arlen, nie! – krzyknęła Renna, ale jej głos dotarł doń z wielkiej dali.

Wędrówka ścieżką do Otchłani przypominała brnięcie pod prąd wartkiej rzeki w ciemnościach. Wyczuwał ją, ale nie widział – wzrok wydawał się nie mieć znaczenia w tej rzeczywistości. Naznaczony podążał więc po prostu tam, skąd napływały fale magii, brnąc do centrum świata. Nadal koncentrował uwagę na złowieszczej emanacji uciekającego księcia otchłańców. Mężczyzna miał wrażenie, że ścigał go przez całe mile, nim wreszcie dopadł wystarczająco blisko, by pochwyć demona.

Nie miał jednak rąk, którymi mógłby tego dokonać, ale skupił siłę woli i natarł swym jestestwem na demona. Zmieszali się niczym dym wydmuchnięty z dwóch fajek i rozpoczęło się starcie na siłę woli.

Naznaczony spodziewał się, że siła woli demona osłabła, lecz okazało się, że jest on równie potężny jak wcześniej. Wpili się w swe umysły, wbijając palce w każdy wrażliwy punkt. Księżę odsłonił przed Naznaczonym wszystkie jego porażki życiowe, szydził z niego z

powodu losu, na jaki skazał Rennę, i niedoli, jaką ściągnął na Fort Rizon. Drażnił go wyobrażeniami nieszczęsnej Leeshy gwałconej przez Jardira.

Było to niemalże nie do zniesienia, ale ból niespodziewanie dodał mu sił i z furią przedarł się przez obronę demona. Przez ułamek sekundy dojrzał Otchłań, miejsce wiecznych ciemności, lecz opromienionych magią o wiele jaśniej niż bezmiar pustyni.

Demon w jednej chwili zaprzestał ataku i skupił się na obronie. Naznaczony wyczuł, że osiągnął przewagę, i zaatakował jeszcze agresywniej. Wdarł się głęboko w jego umysł, a demon wrzasnął z przerażenia, gdy Naznaczony poznał prawdę o Roju.

I wygrałby wtedy starcie, gdyby nie przerażenie, które ogarnęło go na ten widok. Otchłańce, które przybywały na ziemię, były zaledwie drobnym ułamkiem tego, co Otchłań mogła z siebie wyrzucić. W Roju znajdowały się miliony demonów. Miliardy... Po raz pierwszy od chwili odnalezienia runów z przeszłości zwątpił, czy kiedykolwiek uda się je pokonać.

Wtedy demon natarł nań z furią, a ich starcie zeszło na bardziej prymitywny poziom – chodziło już tylko o przetrwanie. Naznaczony jednakże i tu zyskał przewagę, gdyż nie obawiał się śmierci i nie oglądał się przez ramię, czy nie nadchodzi koniec.

Demon jednakże lękał się zagłady i niespodziewanie jego wola się złamała. Naznaczony wchłonął jego magię do swego własnego jestestwa, pozostawiając wypalony zewłok, który odrzucił ze ścieżki prowadzącej do Otchłani w nicość.

Teraz gdy pozostał na ścieżce sam, Naznaczony usłyszał prawdziwy zew Otchłani, piękny zew. Kryła się w nim moc. Moc, a nie tylko zło. Podobnie jak ogień, moc ta była ponad dobrem czy złem. Była po prostu mocą, która przyciągała Naznaczonego, niczym pierś wabiąca głodnego noworodka. Sięgnął ku niej, gotów jej posmakować.

Wtedy jednak usłyszał inne wołanie.

– Arlen! – poniosło się odległym echem po ścieżce. – Arlenie Bales, wracaj do mnie natychmiast!

Arlen Bales. Imię, którego nie używał od lat. Arlen Bales umarł na krasjańskiej pustyni. Ów głos wołał ducha. Odwrócił się ku Otchłani, gotów do niej wkroczyć.

– Nie porzucaj mnie znowu, Arlenie Bales!

Renna. Dwukrotnie pozostawił ją w ciężkim położeniu, lecz jeśli zrobiłby to po raz trzeci, zadałby jej najboleśniejszy cios. Skazałby ją na los, którego sam próbował uniknąć, a przecież tak ciężko walczyła o ocalenie jego życia.

Cóż mogła mu dać Otchłań, czego nie mogła mu dać ona?

\* \* \*

Nim wreszcie Arlen wyłonił się z ziemi i zaczął przybierać materialną postać, Renna zdążyła całkiem zachrypnąć. Wybuchła śmiechem przez łzy i niemalże się zakrztusiła.

Jeszcze chwilę temu była pewna, że Naznaczony zginął, a teraz nagle każdy demon w okolicy leżał martwy, noc była złowieszczo cicha, a Renna patrzyła w oczy żywego Arlena. Oddziaływanie magii demona umysłu było bardzo silne, wyostrzyło zmysły Renny. Jej ciało pulsowało energią, a serce biło niczym bębenek Minstrela. Arlen zaś płonął tak intensywną poświatą, że dziewczyna musiała mrużyć oczy, gdy na niego patrzyła.

– Co z Tancerzem? – oprzytomniał Naznaczony i podbiegł do konia.

– Ma połamanych wiele kości – rzekła ze smutkiem Renna. – Nawet jeśli przeżyje, nigdy już nie będzie biegał. Ojciec kazałby mi go dobić.

– Niech szlag trafi twojego starego i jego rady! – warknął Arlen.

Cierpienie w jego głosie było niczym policzek. Renna natychmiast zrozumiała, jak bardzo Arlen kochał tego konia. Znała to uczucie, wiedziała, jak to jest, gdy jedynym przyjacielem na całym świecie jest zwierzę. Dałaby wszystko, by kochał ją choć w połowie tak mocno.

– Rany przestały krwawić – dodała. – Pewnie wchłonął nieco magii tego cudaczego demona, nim oberwał.

– Zmiennokształtnego – rzekł Arlen. – Nazywają je zmiennokształtnymi.

– Skąd wiesz? – zapytała Renna.

– Sporo się dowiedziałem z umysłu księcia – rzekł Arlen, po czym ujął jedną ze złamanych nóg rumaka i nastawił kości. Przytrzymując ją mocno, drugą ręką nakreślił w powietrzu run.

Aż sapnął z bólu, ale run zapłonął i kości zrosły się w mgnieniu oka. Potem zajął się kolejną raną rumaka i tak do końca, lecz gdy Tancerz zaczął swobodniej oddychać, Arlen wyraźnie osłabł. Jego magia, tak intensywna jeszcze niedawno, szybko gasła. Wydawał się ciemniejszy.

Renna dotknęła ramion mężczyzny i poczuła ukłucie bólu, gdy jej własna magia zaczęła wlewać się w jego ciało. Arlen aż westchnął i uniósł wzrok.

– Dość już – szepnęła, a on pokiwał głową.

\* \* \*

Naznaczony patrzył na Renę, przepelniony poczuciem głębokiej winy.

– Przepraszam cię, Ren.

Dziewczyna spojrzała nań zaintrygowana.

– Za co mnie przepraszasz?

– Uciekłem od ciebie, gdy byliśmy dziećmi. Porzuciłem cię na pastwę Harla, by móc się uganiać za demonami – rzekł. – Dziś w nocy zaś zrobiłem to ponownie.

Renna potrząsnęła głową.

– Czułam tego demona w swojej głowie. Czułam, jak we mnie wchodzi, jak mnie gwałci o wiele brutalniej od ojca. Czyste zło prosto z Otchłani. Zabicie tego potwora było warte o

wiele więcej niż tysiąc takich jak ja.

Naznaczony dotknął jej policzka. Oczy miał nieprzeniknione.

– Też tak sądziłem – rzekł. – Ale nie jestem już tego taki pewien.

– Nie mam zamiaru cofać swojej obietnicy – powiedziała Renna. – Jeśli takie życie sobie obrałeś, będę wspierać cię, tak jak żonie wypada. Nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Nadchodził świt, a Otchłań nadal go wzywała, lecz jej zew stał się już odległy, łatwo mu było go ignorować. Dzięki niej. Dzięki temu, że przy Rennie przypomniał sobie wreszcie, kim naprawdę jest.

Kolejne słowa przyszły mu bez trudu:

– Ja, Arlen Bales, przyrzekam ci się, Renno Tanner.

KONIEC KSIĘGI DRUGIEJ

## Podziękowania

„Pustynna Włócznia” to bez wątpienia największe i najbardziej wymagające wyzwanie, jakiego się podjąłem. Splatanie wątków ośmiu postaci tak, by powstała z tego spójna historia, okazało się zadaniem niemalże ponad moje możliwości i z pewnością nie poradziłbym sobie bez wsparcia moich przyjaciół, rodziny i przede wszystkim tych, którzy poświęcili czas, czytając tę książkę na wczesnych etapach powstawania, i dzielili się ze mną krytyką oraz radami. To dzięki ich pomocy powieść przybrała ostateczną formę, którą właśnie trzymasz w ręku.

Chciałem zatem podziękować następującym osobom: Myke’owi, Mattowi, Daniemu, Stacy, Amelii, Jayowi, Mamie, Denise, Cobiemu, Jonowi, Nancy, Sue, mojemu agentowi Joshui, redaktorkom Anne i Emmie, korektorce Laurze, moim zagranicznym wydawcom i tłumaczom oraz wszystkim fanom pierwszej części, którzy pisali do mnie po jej lekturze i wspierali mnie, gdy usiłowałem zamienić „Pustynną Włócznię” w dzieło mego życia, które staowało na głowie z powodu kariery oraz pojawienia się kolejnego dziecka. Dziękuję Wam wszystkim. Bardzo wiele dla mnie znaczący.